PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

Błogosławiony lud, którego Panem
Bóg jego. *Ps. 143.*

ROK CZWARTY. — TOM XV.

LIPIEC, SIERPIEŃ, WRZESIEŃ.

1887.

KRAKÓW.
Druk Wł. L. Anczyca i spółki,
pod zarządem Jana Gadowskiego.
1887.

WAŻNIEJSZE OMYŁKI DRUKU.

Str.	214	wiersz	od	dołu	13	*zamiast:*	Kopfthum	*czytaj:* Zopfthum
»	214	»	»		2	»	Masanio Memnie	» Masaccio Memmi
»	220	»	»		3	»	romantyzmem	» romantyzmu
»	221	»	»		4	»	Kauner'a	» Zauner'a

TAJNE TOWARZYSTWA WŁOSKIE

W PIERWSZEJ POŁOWIE XIX. WIEKU [1].

Początek karbonaryzmu. — Organizacya związku. — Ceremonie przy przyjęciu i przysięga adeptów. — Dążności karbonaryuszów. — Instrukcya wysokiej wenty z r. 1819. — *Patto nazionale.* — Sekty pokrewne [2].

Już w pierwszej połowie wieku XVIII. zapuściła masonerya swe zagony we Włoszech, tak że do r. 1740 każde większe miasto półwyspu miało swoją lożę. Postępom jej sprzyjała niechęć do Kościoła i Stolicy św., panująca na dworach książąt, a zwłaszcza w Neapolu, gdzie minister Tanucci od r. 1734 do 1777 rządził w duchu encyklopedystów i Febroniusza. W Rzymie „pracowała“ od r. 1735 do 1737 loża angielska według rytu szkockiego i snadź nie mało znalazła zwolenników, skoro papież Klemens XII. bullą *In eminenti* z 27 kwiet. 1738 wzbronił pod klątwą należenia do tej sekty. Jakie były jej tajne dążności — bo na zewnątrz wywiesiła sztandar humanitaryzmu i cywilizacyi — wykrył jeden ze znaczniej-

[1] Urywek z drukującego się dzieła „Pius IX. i Jego Pontyfikat“.

[2] Mariotti *Memorie sui Carbonari.* — Saint-Edme *Constitutions et organisation des Carbonari* Paris 1821. — Jarcke *Der Orden der Carbonari und die neapolitanische und piemontesische Revolution (Vermischte Schriften).* München 1839 II. — Deschamps *Les sociétés secrètes et la société* 6 ed. Paris 1882 T. I., 99, T. II., 232, T. III., 98. — Crétineau-Joly *L'église romaine en face de la révolution* 3 ed. Paris 1861. T. II., 68 seq. Łubieński *Guerres et révolutions d'Italie en 1848 et 1849.* Paris 1852 p. 36 seq. — Gaspare de Luise *La Framassoneria e la Giovine Italia* 2 ed. Roma 1866. — Thomas Frost *The secret societies of the European Revolution* T. I., III. John Murray *Memoirs of the secret societies.* Lond. 1821. — *Allgemeines Handbuch der Freimaurerei* Leipzig 1863.

szych członków loży rzymskiej, nawróciwszy się podczas jubileuszu w r. 1759 [1]. Później słynny awanturnik hr. Cagliostro (Balsamo) dla propagowania idei rewolucyjnych założył loże w Rzymie i w innych miastach włoskich, za co dostał się do więzienia i tamże umarł (1795).

Pokrewnym masoneryi, a może nawet, jak Pius VII. w konstytucyi z 13 wrześ. 1821 przypuszcza i wielu autorów utrzymuje, jej płodem, był karbonaryzm *(Carbonara* we Włoszech, *Charbonnerie* we Francyi, *Communeros* w Hiszpanii), o którego początkach różne są zdania. Według Crétineau-Joly związek ten powstał r. 1799 w Kalabryi, staraniem przebiegłej królowej Karoliny i osławionego kardynała Fabrycyusza Ruffo, przewódzcy „sanfedystów“ [2]. Anglicy, wówczas potężni na dworze neapolitańskim, jak Nelson, Bentinck i Amhert, nadali karbonaryuszom ściślejszą organizacyę, aby z nich utworzyć kohortę tajnych pretoryan, gotowych nawet skrytobójstwem bronić tronu Ferdynanda IV. Zdanie to ma za sobą pewną podstawę, karbonaryusze bowiem okazali się przeciwnikami „republiki partenopejskiej“, jak niemniej rządów Józefa Bonaparte i Joachima Murata, później zaś jęli domagać się od króla Ferdynanda I. zaprowadzenia konstytucyi, jakoby nagrody zagwarantowanej im przez Anglików.

Inni autorowie sądzą przeciwnie, że związek ten powstał z rozbitków „republiki partenopejskiej“, rozprószonych po Kalabryi.

Jan de Witt, jeden z dygnitarzy masoneryi, łączy karbonaryzm ze związkiem t. z. *Maçons charbonniers* albo *Bons cousins* i *Ma-*

---

[1] Znając dobrze sektę, bo lat 25 do niej należał i więcej niż 200 członków sam przyjął, streścił jej maksymy w następujących zdaniach: „*Nos per nos. 2. Nullus super nos. 3. Quaecunque, ubicunque et quandocunque comede, bibe, laetare. 4. Cum quocunque et quacunque conjunge et disjunge, dummodo convenias simul. 5. Da necessaria ad victum, vestitum et voluptates signatis nostris indigenis. 6. Uxorem, filios, filias, servos, ancillas cum aliis convenientes non impedias. 7. Neque aliorum libertati, etsi contraria volentium, resiste. 8. Nil est quod sit malum, et occisio voluntaria imo. 9. Bonum necare qui volunt praeesse nobis. 10. Morimur et vivimus et iterum semper* (metempsychoza!) *11. Possumus omnia facere, quae volumus, absque levi etiam culpa. 12. Ergo semper liberi sumus*“. Paolo Mencacci *Memorie documentate per la storia della rivoluzione italiana.* Roma 1879. Vol. I. parte I., p. 45.

[2] *L'église romaine en face de la révol.* T. II., 67.

çons philadelphes, jaki dla pielęgnowania konstytucyonalizmu miał przy końcu zeszłego wieku powstać w Besançon, a którego założycielami byli jenerałowie Malet i Oudet, pierwszym zaś naczelnikiem jen. Moreau (do r. 1799). Ze wschodniej Francyi miał ten związek przejść do Włoch północnych, następnie do południowych [1].

Podobnież niektórzy pisarze niemieccy uważają wschodnią Francyę za ojczyznę karbonaryzmu, a stowarzyszenia węglarzy, pracujących w górach Jura, za pierwowzory tegoż pod względem organizacyi. Około r. 1790 miał ten związek dostać się do Genui, w następnych zaś latach na południe [2].

Jakkolwiek rzecz się ma, to jest pewna, że około roku 1809 było już do 30.000 karbonaryuszów w Kalabryi i Abruzzach. Joachim Murat przeciwstawił im loże masońskie i utworzył osobny „Wielki Wschód“ w Neapolitańskiem; później jednak, idąc za radą ministra policyi Maghella, starał się ich pozyskać nadzieją utworzenia jednolitego królestwa włoskiego; jakoż w r. 1815, podczas walki Murata z Austryakami, część went, zwłaszcza w środkowych Włoszech, zdawała się go popierać, podczas gdy wenty neapolitańskie pozostały wiernemi Ferdynandowi. Co więcej, kiedy Napoleon I. bawił na Elbie, tajne towarzystwa włoskie weszły z nim w układy, by go za cenę konstytucyi, którą delegowani miast włoskich ułożyli w Turynie, obwołać cesarzem rzymskim i królem zjednoczonej Italii [3]. Po upadku Napoleona i Murata wystąpili karbonaryusze jako rzecznicy niepodległości włoskiej i rządów konstytucyjnych, przez co ich popularność niesłychanie wzrosła, tak że już w r. 1816 liczono ich przeszło 50.000 w samej Kalabryi.

Przypatrzmy się ich organizacyi. Jak masoni od murarzy, tak karbonaryusze od węglarzy wzięli swą nazwę i niektóre godła.

---

[1] *Mémoires secrets pour servir à l'histoire de ma vie* p. 17—19. Tego zdania jest Deschamps (*Les sociétés secrètes et la société* II., 233).

[2] *Kirchenlexikon* von *Wetzer und Welte* II. Aufl. 1883 Art. *Carbonari*. Za tem zdaniem przemawiałaby ta okoliczność, że karbonaryusze mają w swojej symbolice wiele wyrazów francuskich i że św. Teobalda, znanego prawie tylko we Francyi, uważają za swego patrona.

[3] Napoleon przystał na ten projekt. Jest jeszcze raport emisaryusza Napoleońskiego, datowany z Neapolu (14 paźdz. 1814), a omawiający środki do wywołania rewolucyi w państwie kościelnem. Murat działał w tej myśli w r. 1815 (Deschamps l. c. T. III., Chap. IV., §. 3).

Mianowicie miejsce zebrania karbonaryuszów zwało się chatą *(baracca)*, — wnętrze samo a zarazem robota sprzedażą węgla *(vendita*, stąd wenta), — zewnętrzne otoczenie lasem — zbiór went jednej prowincyi republiką, — zadanie zaś związku oczyszczeniem lasu z wilków, to jest, z tyranów i obcych książąt. Oni sami przybrali nazwę „dobrych kuzynów“ *(buoni cugini, bons cousins)*, obcych zwali poganami *(pagani)*; ich pieczęć przedstawiała boginię wolności depcącą smoka, i miała napis: Despotyzm zniweczony.

Związek cały dzielił się na pojedyńcze wenty *(vendita)*, liczące nie więcej jak po dwudziestu członków; deputowani dwudziestu went tworzyli wentę centralną, która przez jednego deputowanego znosiła się z „wysoką wentą“ i z komitetem wykonawczym. Dla zapobieżenia zdradzie jedna wenta nie miała styczności z drugą, chyba za pośrednictwem wenty centralnej; krom tego wszyscy członkowie zobowiązywali się przysięgą do ścisłego milczenia i ślepego posłuszeństwa, a przed przyjęciem do związku musieli odbywać rodzaj nowicyatu. Każdy karbonaryusz miał jakieś godło wojenne, a przytem strzelbę i pięćdziesiąt nabojów; ponieważ zaś wielu było adeptów z pośród wojska, przeto podzielono ich na legie, kohorty, centurie i manipula.

Karbonaryzm, równie jak masonerya, obejmował stopnie niższe i wyższe; niższe — a było ich trzy, mianowicie stopień ucznia, mistrza i wielkiego wybranego *(grande eletto, grand élu)* — tworzyła armia szeregowców; wyższe stanowili wodzowie, posiadający całą tajemnicę [1]). Obrzędy były symboliczne, jak i u masonów, a za tło służyła religia. Tak np. kiedy uczeń miał być posunięty na mistrza, wprowadzano go do „ogrodu oliwnego“ — bo on miał przedstawiać Chrystusa — i kazano mu mówić: „Jeżeli cierpienia, jakie mam ponieść, mają człowiekowi przynieść pożytek, tedy nie chcę być od nich wolnym; Twoja wola, o Panie, a nie moja niech się stanie“. Następnie dawano mu do picia piołun i ciągniono go przed Piłata, którego wyobrażał przełożony wenty, poczem naczelnik straży występował ze skargą, że adept „chce wywołać rokosz, aby potem zapanować despotycznie nad ludem i zniweczyć naszą religię“. Da-

[1] Według *Kirchenlexikon'a* Wetzera i Weltego (II. ed 1883 Art. *Carbonari*) miały być tylko dwa stopnie, lecz być może, że to miało miejsce we włoskim karbonaryzmie przed r. 1821.

lej wiedziono ucznia do Kaifasza (pierwszego asystenta wenty) i do Heroda (drugiego asystenta), a na zapytanie tegoż: „Ktoś ty jest“, odpowiadał adept: „Ja jestem Synem Bożym“. Następowało przesłuchanie przed Piłatem, ukoronowanie cierniem, *Ecce homo*, czyli przedstawienie kandydata zebranym mistrzom, wyrok tychże: *Crucifigatur*, pochód skazańca na Golgotę z krzyżem na ramionach, i dopiero przed wykonaniem wyroku wołał lud, to jest, mistrzowie: „Łaski, łaski!“, a uwolniony adept składał przysięgę [1].

Przy przyjmowaniu do trzeciego stopnia, to jest, t. z. *grande eletto (grand élu)* zbierała się wenta w grocie ciemnej, mającej kształt trójkąta. We wschodnim jej rogu był umieszczony „tron“ przewodniczącego, naprzeciw zaś, czyli „na zachodzie“ była „dziura“, to jest, wejście do groty, przed którem stało dwóch strażników, zwanych „płomienie“ (flamme), z mieczami w postaci płomienia, by nikogo nie wpuszczać, prócz adeptów tegoż stopnia. Wszyscy członkowie zajmowali miejsce naprzeciw środka groty, mając oczy zwrócone na wielkiego mistrza, którego odznaką była szeroka wstęga morowa o trzech kolorach: niebieskim, żółtym i zielonym, jakoteż trzy godła na niej wiszące: tryangul ażurowy, słońce złote i globus ziemski, barwy blado zielonej. Po przesłuchaniu kandydata, wyliczał w. mistrz siedm korzyści, jakie odbierają wtajemniczeni; szóstą z nich miało być „obalenie na zawsze wszelkiej tyranii“, siódmą zaprowadzenie rozumnej i niekończącej się wolności na gruzach nieprzyjaciół ludu [2]. Następnie zaś ogłaszał adeptowi, że celem karbonaryzmu jest wyrzucenie tyranów, rządzących Włochami, zaprowadzenie świętej filozofii, wykonanie krótkiej, ale strasznej zemsty i zjednoczenie Ausonii w jeden kwitnący i szczęśliwy lud, któryby był wzorem dla całego świata.

Natomiast adept składał przysięgę, że jako wolny obywatel Ausonii użyje wszystkich chwil swego życia, aby zapewnić zwycięstwo zasadom czcigodnej karbonaryi, a więc wolności, równości i nienawiści ciemięztwa, — że dla przywrócenia królestwa wolno-

---

[1] *Ristretto del Processo informativo* z r. 1818 *(Kirchenlexikon von Wetzer und Welte. II. ed. Art. Carbonari.)*

[2] St. Edme. *Constitution et organisation des Carbonari.* Paris 1821, p. 94—103.

ści będzie walczył aż do śmierci, że wreszcie zgadza się, aby w razie niedotrzymania przysięgi został przez nich stracony, wśród najokropniejszych męczarni, nagi, i w koronie cierniowej, „tak, jak nasz dobry kuzyn Odkupiciel, będący naszym wzorem [1]".

Jak widoczna, karbonaryusze dążyli do tego, by wyswobodzić Włochy, zniszczyć religię katolicką i obalić trony. Wprawdzie ustawy niższych stopni nie wypowiadają tego wyraźnie, owszem, nierzadką jest tam wzmianka o Trójcy św., o Stwórcy wszechświata, o Jezusie Chrystusie, Najśw. Pannie, św. Józefie, Apostołach, o chrzcie i grzechu pierworodnym: ale są to tylko czcze nazwy, albo raczej symbole ich tajemnych dogmatów, których treścią cześć natury. Tak n. p. Trójca św. oznacza potrójne królestwo, które składają sól (ziemia), woda i ogień, — Chrystus to pierwszy „dobry kuzyn", czyli karbonaryusz, który przyszedł „dla rozszerzenia na ziemi filozofii, wolności i równości", — św. Tebaldo (?), patron karbonaryuszów, to Teobald, restaurator zakonu Templaryuszów i pierwszy po Jakóbie Molay wielki mistrz tegoż [2].

Że związek karbonaryuszów, podobnie jak i masonerya, był antireligijny i antispołeczny, wypowiedział to jawnie jeden z koryfeuszów sekty — Jan de Witt [3]: „O jakże w wielkim jest błędzie, kto sądzi, że zna ducha i prawdziwe dążności karbonaryuszów, skoro poznał tajemnicę pierwszych trzech stopni. W nich to jest jeszcze mowa o moralności chrystyanizmu, a nawet o Kościele. Adepci wyobrażają sobie, że cel stowarzyszenia jest wzniosły i szlachetny, że jestto zakon tych, którzy pragną moralności czystszej, pobożności silniejszej, niezależności i jedności swojej ojczyzny... Ale jakaż zmiana po przejściu przez trzy pierwsze stopnie! Już w czwartym, t. zw. *Apostoli*, zobowiązują się adepci do obalenia wszystkich monarchij, a zwłaszcza królów z rodu Bourbonów *(Lilia pedibus destrue)*. Wszelako dopiero w stopniu siódmym i ostatnim, który dla niewielu jest dostępny, odkrycie głębiej sięga. Wreszcie rozdziera się zasłona całkowicie dla t. zw. P.·. S.·. P.·., to znaczy,

---

[1] De Luise l. c. p. 243.

[2] St. Edme l. c.

[3] *Mémoires secrets de Jean de Witt.* p. 15—22. Paris. Roulland. 1831. Por. Deschamps l. c. T. I. p. 238.

Principi Summo Patriarchae. Poznaje się wtenczas, że zamiary karbonaryuszów są te same, co illuminatów. Stopień ten, według którego człowiek jest zarazem księciem i biskupem, odpowiada stopniowi *Homo-rex* u illuminatów. Wtajemniczony zaprzysięga zgubę wszelkiej religii i wszelkiemu rządowi pozytywnemu, czy tenże jest despotycznym, czy demokratycznym. Do wykonania tych zamiarów wszelkie środki są dozwolone: morderstwo, trucizna, krzywoprzysięstwo — wszystko to jest na ich usługi".

Ważniejszym dowodem, niż to zresztą niepodejrzane świadectwo, jest instrukcya wysokiej wenty z r. 1819, jakoteż korespondencye naczelników karbonaryzmu, ukrytych pod pseudonimami: Nubius, Piccolo Tigre, Volpe, Vindice, Beppo [1]. „Odkądeśmy się zawiązali w czynne ciało — mówi rzeczona instrukcya — i odkąd porządek zaczyna panować w łonie najodleglejszej wenty, jak w łonie wenty najbliższej centrum, jedna myśl głęboka zajmowała zawsze ludzi pragnących ogólnego odrodzenia, to jest, oswobodzenie Włoch, skąd ma wyjść w dniu oznaczonym wyswobodzenie całego świata, republika braterska i harmonia ludzkości". W tej republice niema miejsca dla religii i papiestwa; owszem zadanie związku jest „to samo, jakie miał Voltaire i rewolucya francuska, to jest, zniszczenie na zawsze katolicyzmu, a nawet idei chrześcijańskiej". By jednak dojść do celu, nie wystarczy naśladować „samochwalców Francuzów, mglistych Niemców, osowiałych Anglików, którzy sądzą, że nieprzyzwoitą piosenką, nielogicznym wywodem lub grubym sarkazmem zabiją katolicyzm. Nie, — katolicyzm ma twardsze życie. Widział on już zapamiętalszych i straszliwszych nieprzyjaciół i nieraz miał tę pociechę, że trumnę najzacieklejszych z pośród nich pokropił wodą święconą. Niech więc bracia nasi z onych krajów oddają się niepłodnym wybrykom swej antikatolickiej gorliwości, — pozwólmy im nawet wyśmiewać nasze Madonny i naszą pozorną

[1] Tajną instrukcyę i korespondencyę wysokiej wenty pochwycił rząd papieski w początkach roku 1846. Grzegorz XVI. polecił znakomitemu pisarzowi Crétineau-Joly wydać te papiery, poczem za pozwoleniem Piusa IX. wydrukował je tenże w dziele swojem: *L'église romaine en face de révolution.* Papiery te znajdują się dotąd w archiwum watykańskiem. Nazwisk onych koryfeuszów nie wymienił Crétineau-Joly przez wzgląd na rody, do których należeli. (Por. *Crétineau-Joly, sa vie* etc. par l'ab. Maynard. Paris. Didot. 1875).

pobożność; mając ten paszport, możemy swobodnie spiskować i przyjdziemy powoli do zamierzonego celu“ [1].

Przedewszystkiem każe instrukcya starać się o pozyskanie papieża, „tej ogromnej potęgi, która się tak zrosła z dziejami włoskiemi, że bez jej pozwolenia nie może Italia ani oddychać, ani się poruszać“. Ponieważ jednak papież, jakimkolwiekby był, nie wejdzie sam do towarzystw tajnych, przeto one same muszą pierwszy krok uczynić i wciągnąć w swe sidła papieża, a przezeń Kościół. Jak to ma nastąpić, wyjaśnia głowacz karbonaryzmu, kryjący się pod przybranem imieniem Nubius: „Musimy zrobić niemoralnem wychowanie Kościoła i dojść do tryumfu idei rewolucyjnej przez papieża“; poczem dodaje, że ten papież ma być „przyzwoity i szanowany, ale słaby, łatwowierny i napojony zasadami demokratycznemi“. Toż samo instrukcya wysokiej wenty mówi, że karbonaryusze nie życzą sobie widzieć na Stolicy św. drugiego Aleksandra VI., ale że z niemniejszem upragnieniem, jak Żydzi za Mesyaszem, wzdychają za drugim Ganganellim (Klemensem XIV.) „Chcecie wywołać rewolucyę we Włoszech — oto jej rada — poszukajcie takiego papieża. Chcecie założyć królestwo wybranych na tronie nierządnicy babilońskiej [2], niechże duchowieństwo chodzi pod naszym sztandarem, myśląc ciągle, że idzie pod chorągwią kluczów apostolskich. Chcecie wytępić do szczętu tyranów i ciemiężycieli, zapuśćcie wasze sieci, jak Szymon Barjona, zapuśćcie je raczej w głębi zakrystyj, seminaryów i klasztorów, aniżeli w toni morskiej; a jeżeli ustrzeżecie się zbytniego pośpiechu, przyrzekamy wam połów cudowniejszy, niż był połów Szymona. Łowca ryb stał się łowcą ludzi..., wy złowicie rewolucyę w tyarze i kapie kardynalskiej, zdążającą naprzód z krzyżem i chorągwią, — rewolucyę, która, trochę rozdmuchana, zdoła zapalić świat na wszystkich rogach“.

Starych kardynałów i prałatów charakteru stanowczego radzi instrukcya pozostawić na boku, jako niepoprawnych, a natomiast poszukać w arsenale broni popularności lub niepopularności, by wyzyskać lub też ośmieszyć władzę, jaką dzierżą w ręku; często

[1] Por. Crétineau-Joly *L'eglise* etc. T. II. p. 72 sq.
[2] To jest, Rzymu.

bowiem jedno słowo trafne może zabić człowieka. „Jeżeli jaki prałat przybywa z Rzymu na prowincyę dla objęcia urzędu, starajcie się pierw poznać jego charakter, przeszłość, zdolności, przedewszystkiem zaś błędy. Jestlito jawny nieprzyjaciel, taki np. Albani, Palotta, Bernetti, della Genga, Rivarola: rozstawcie przed nim sidła na każdym kroku i wyróbcie mu taką opinię, iżby się przed nim trwożyły nawet małe dzieci i stare kobiety“. Do tego zaś mają posłużyć głównie dzienniki, tak włoskie jak obce.

Za to tem baczniejszą uwagę trzeba poświęcić młodszemu duchowieństwu i zapomocą jaskrawego opisu nieszczęść narodowych budzić w niem nienawiść do cudzoziemców. „Starajcie się o to — nakazuje instrukcya — aby Niemiec (to jest, Austryak) wydał się śmiesznym i ohydnym. Obok idei supremacyi papieskiej, odnawiajcie wspomnienia walk między władzą duchowną a cesarstwem. Rozdmuchujcie niewygasłe jeszcze namiętności Gwelfów i Gibellinów, a tak małym kosztem zjednacie sobie opinię dobrych katolików i prawych patryotów. Ta opinia zapewni doktrynom naszym powodzenie pośród młodszego kleru i w głębi klasztorów. Za kilka lat tenże kler siłą rzeczy zajmie wszystkie posady, będzie rządził, kierował, sądził, wejdzie do rady monarszej, będzie powołany do wyboru przyszłego papieża, a ten papież, jak większa część współczesnych, będzie mniej lub więcej napojony ideami włoskiemi i humanitarnemi, które zaczynamy puszczać w obieg. Małe ziarnko gorczyczne, jakie obecnie powierzamy ziemi, rozwinie się pod promieniami słońca sprawiedliwości do najwyższej potęgi, a wam będzie danem widzieć, jak bogate przyniesie ono żniwo“.

Krom tego każe karbonaryzm, podobnie jak masonerya, polować na książąt i możnych. „Dobry jest mieszczanin i obywatel, ale książę daleko lepszy. Wysoka wenta pragnie, aby pod tym lub owym pozorem wprowadzono do lóż masońskich jak najwięcej książąt, i o ile można, jak najwięcej bogaczów. Książęta z domów panujących, nie mający nadziei zostania królami z łaski Bożej, chcą być królami z łaski rewolucyi. Książę orleański jest wolnomularzem [1], książę Carignan był nim także [2]. Nie brak takich we Wło-

[1] Późniejszy król Ludwik Filip.
[2] Późniejszy król Karol Albert.

szech i po innych krajach, którzy pragną skromnych zaszczytów fartucha i symbolicznej kielni. Inni znowu są wydziedziczeni lub wygnani. Wszystkim tym pyszałkom schlebiajcie popularnością, wciągajcie ich do masoneryi, a wysoka wenta zobaczy, jaki z nich będzie mogła zrobić użytek dla sprawy postępu. Wielką jest dla nas zdobyczą książę, który nie może spodziewać się korony, a takich jest wielu. Zróbcie ich masonami, — loża zawiedzie ich do karbonaryzmu. Przyjdzie dzień, w którym wysoka wenta może raczy wpisać ich na członków. Tymczasem będą służyć za lep do łapania głupców, intrygantów, mieszczan i potrzebujących. Biedni ci książęta będą pracować dla naszej sprawy, sądząc, że pracują dla siebie. Jestto wspaniały sztandar, i zawsze znajdą się głupcy, co zechcą należeć do spisku, którego przednim filarem jest książę“ [1].

A jakież środki mają zgotować zwycięstwo karbonaryzmu?

Przedewszystkiem zdemoralizowanie społeczeństwa i odjęcie mu wiary. „Pchnięcie sztyletem nic nie znaczy, nic nie sprawi“ — oto teorya wysokiej wenty, wyrażona w liście węglarza Vindice do Nubiusza z 9 sierpnia 1848. „Cóż zdziała kilka trupów, rzuconych na drodze publicznej przez zemstę tajnych towarzystw?... Katolicyzm, jak i monarchie, nie boi się najostrzejszego nawet sztyletu; ale te obydwie podstawy porządku społecznego mogą się zawalić pod ciosami zepsucia. Nigdy więc nie przestawajmy psuć... Zostało zadecydowane w radach naszych, że już nie chcemy chrześcian; nie róbmy więc męczenników, ale rozpowszechniajmy zepsucie w tłumach. Niech je wciągają w siebie wszystkimi pięciu zmysłami, niech je piją, niech się niem nasycą... Zepsujcie serca, a nie będzie już katolików“.

To zepsucie ma szczególnie ogarnąć rodzinę. „Główną jest rzeczą, — pisze członek wysokiej wenty rzymskiej, kryjący się pod nazwiskiem „Piccolo Tigre“, do kolegi swego „Vindice“ [2] — oderwać męża od rodziny i przywieść go do porzucenia obyczajów domowych. Aż nazbyt jest on skłonnym z natury do unikania trosk gospodarczych, a szukania łatwych zabaw i zakazanych rozkoszy. Lubi on długie pogadanki w kawiarni, i próżnowanie wśród widowisk... Pociągnijcie go, zwabcie go, powierzcie mu co ważnego,

[1] Pismo żyda „Piccolo Tigre“ do went piemonckich z 18 czerw. 1822 r.
[2] Przytacza Crétineau-Joly w *L'église rom.* etc. T. II., p. 150.

wpójcie w niego, ale ostrożnie, wstręt do pracy codziennej. A tak odłączywszy go od żony i dzieci, i pokazawszy mu, jak uciążliwe i przykre są jego obowiązki, obudzicie w nim pragnienie innego bytu. Człowiek rodzi się buntownikiem, — rozdmuchajcie to pragnienie buntu aż do pożaru, ale tak, żeby pożar nie wybuchnął".

Krom ojca rodziny, duchowieństwo i młodzież mają być wciągnięci w bagno zepsucia. „Jestto zepsucie na wielki rozmiar, jakieśmy przedsięwzięli, zepsucie ludu przez duchowieństwo, a duchowieństwa przez nas, — zepsucie, które nas powinno doprowadzić do pogrzebania Kościoła. Żeby zniszczyć katolicyzm, powiedział ktoś niedawno, śmiejąc się z naszych projektów, trzeba zacząć od zniszczenia kobiety. Jestto prawdą w pewnem znaczeniu, ale że nie możemy zniszczyć kobiety, więc zepsujmy ją wraz z Kościołem... Najlepszym sztyletem, któryby uderzył w samo serce Kościoła, jest zepsucie. Nuże więc do dzieła aż do samego końca!". „Odłączcie księdza od pracy, od ołtarza i od cnoty, starajcie się zręcznie zająć czem innem jego myśli i godziny. Zróbcie go leniwym, żarłocznym i patryotą, a stanie się ambitnym, intrygantem i przewrotnym. W ten sposób tysiąckroć lepiej wypełnicie swoje zadanie, aniżeli gdybyście stępili ostrze waszych sztyletów na kościach kilku biedaków" [1].

A jakże brać się do młodzieży? „Młodzież, — nakazuje instrukcya wysokiej wenty — trzeba zwodzić i pociągać pod chorągiew tajnych towarzystw, ale tak, żeby się niczego nie domyślała.. Zostawcie na boku starość i wiek dojrzały; zwróćcie się do młodzieży, a jeżeli możebna, nawet do dzieci. Strzeżcie się przed nią słowa bezbożnego lub nieskromnego; *maxima debetur puero reverentia*. Aby sprawie naszej zjednać powodzenie na łonie każdej rodziny i zapewnić sobie prawo azylu w domowem ognisku, winniście przybierać wszelkie pozory ludzi poważnych i moralnych. Skoro raz dobre imię wasze ustali się w szkołach, po gimnazyach, uniwersytetach, seminaryach, — skoro pozyskacie zaufanie profesorów i uczniów: zwróćcie się szczególnie do tych, którzy się zaciągają do stanu duchownego. Napawajcie te umysły wspomnieniem dawnej świetności Rzymu papieskiego. Ponieważ na dnie każdego serca

[1] Vindice do Nubiusza 9 sierpnia 1838.

włoskiego jest żal za Rzymem republikańskim, przeto połączcie te obydwa wspomnienia. Pobudzajcie, rozgrzewajcie te natury, tak pełne zapału i dumy patryotycznej. Dajcie im najprzód, ale zawsze potajemnie, książki nieszkodliwe, poezye tchnące narodowym entuzyazmem; powoli przyprowadzicie waszych uczniów do takiego stopnia ciepłoty, jaki wam się spodoba" [1].

Jeżeli zepsucie niepomaga, każe instrukcya wysokiej wenty użyć kłamstwa i potwarzy. „Zgniećcie nieprzyjaciela, jakimkolwiek on jest; jeżeli jest potężny, zduście go siłą obmowy albo potwarzy"... „Jak Francya i Anglia, tak i Włochy będą miały zawsze takie pióra, które potrafią pisać kłamstwa, dla dobrej sprawy pożyteczne. Mając gazetę w ręku, nie potrzebuje lud innych dowodów. Jest on w dziecięctwie liberalizmu i wierzy liberałom, tak jak później uwierzy w nas".

Koniecznym środkiem jest obłuda i zachowanie tajemnicy. „Dwóch rzeczy potrzeba, by iść pewnym krokiem po drodze pełnej niebezpieczeństw — uczy dalej instrukcya — oto winniście okazywać się prostymi jak gołębie, a być roztropnymi jak węże. Wasi ojcowie, wasze dzieci, wasze żony nawet nie mają znać tajemnicy, ukrytej w waszych piersiach; a gdyby się wam podobało, dla tem łatwiejszego złudzenia śledczego oka, chodzić często do spowiedzi, jesteście z prawa upoważnieni do zachowania najściślejszego milczenia co do tych spraw. Wiadomo wam, że najmniejsza zdrada, najlżejsza wskazówka, wyjawiona w trybunale pokuty lub gdzieindziej, może ściągnąć ciężkie klęski, i że każdy, dopuszczający się zdrady, dobrowolnie lub niedobrowolnie, pisze na siebie wyrok śmierci" [2].

Wreszcie do rozwoju karbonaryzmu ma służyć krzewienie lóż masońskich. „Kiedyście już wpoili w niektóre dusze niechęć do rodziny i do religii, powiedzcie potem od niechcenia kilka takich słów, któreby w nich obudziły chęć wstąpienia do jakiej najbliższej loży. Być członkiem loży, czuć się bez wiedzy żony i dzieci powołanym do zachowania tajemnicy, której się nigdy nie dowie, jest dla niektórych natur rozkoszą i ambicyą... Ucząc adepta podnosić szklankę [3],

[1] Instrukcya wysokiej wenty z r. 1819.

[2] W wentach karbonarskich udawano nawet przy przyjmowaniu adeptów scenę ukrzyżowania zdrajcy (Por. *Constitution et organisation des Carbonari par St. Edme* p. 110).

[3] Przy biesiadach masońskich.

opanowuje się tem samem jego wolę, umysł i wolność; usposabia się go, obrabia i poznaje, bada się jego skłonności, uczucia, tendencye; a gdy już dojrzeje dla nas, wskazuje się mu drogę do towarzystwa tajnego, do którego wolnomularstwo jest tylko przedpokojem, dosyć licho oświetlonym... Na loże rachujemy, by podwoić nasze szeregi: stanowią one nasz nowicyat przygotowawczy. Rozprawiają bez końca o fanatyzmie, o szczęściu, równości społecznej i o wielkich zasadach wolności religijnej. Miotają wśród swoich biesiad straszne anatema na nietolerancyę. Jestto więcej, niż potrzeba, aby porobić dla nas adeptów... Prawo postępu społecznego jest w lożach, i całe w lożach, nie szukajcie go napróżno gdzieindziej. Ale nie zdejmujcie nigdy maski, uwijajcie się na około owczarni katolickiej, i jak zręczny wilk, chwytajcie pierwszego lepszego baranka"...[1].

Rzeczywiście loże masońskie były niejako przedsionkiem went, tak że każdy mason, wstępujący do wenty, nie potrzebował przechodzić przez stopień „ucznia" *(apprenti)*[2].

Licząc przedewszystkiem na namiętności ludzkie, wierzył karbonaryzm w ostateczne, acz nie tak rychłe zwycięstwo. „Nie zniechęcajmy się — tak kończy instrukcya wysokiej wenty — ani niepowodzeniem, ani zawodem, ani porażką; przygotujmy broń naszą w tajnikach went, ustawmy wszystkie nasze baterye, schlebiajmy wszystkim namiętnościom, tak najgorszym, jak najszlachetniejszym, a wszystko każe nam tuszyć, że plan nasz powiedzie się kiedyś ponad wszelką rachubę".

A jakiż był ideał polityczny karbonaryuszów pod względem ukonstytuowania „niepodległej Italii"? Wyłuszcza takowy t. zw. *Patto nazionale*, którego treść tu przytaczamy. Mianowicie „Ausonia", to jest, wolna Italia, ma obejmować cały półwysep, od morza do najwyższego grzbietu Alp, a krom tego dawne posiadłości weneckie do gór kroackich i t. zw. *Bocche di Cattaro*, tudzież wszystkie wyspy przynajmniej o sto mil od brzegów oddalone[3] (Art. I). Wszystkie dawniejsze rządy przestaną istnieć i poddadzą się „republice ausońskiej" (Art. II). Terytoryum tejże będzie podzielone

[1] Korespondencya wenty piemonckiej z r. 1822.

[2] Th. Frost *The secret societies* of the *European Revolution*. T. I. p. 213.

[3] Tego samego pragnie dziś *Italia irredenta*.

na 21 prowincyj, a każda prowincya wyśle jednego deputowanego do centralnego zgromadzenia, mającego przedstawiać cały naród (Art. III). Najwyższą władzę wykonawczą w republice piastować będą dwaj „królowie", to jest, konsulowie, wybierani przez radę najwyższą na 21 lat. Jeden będzie przełożonym nad morzem, drugi nad ziemią. Mają oni znosić się z sobą, a w razie niezgody rada wybierze „króla ludu", który spór rozstrzygnie (Art. XXII). Rodziny tych królów nie będą miały żadnych przywilejów lub odznaczeń, a ich synowie mają być wykluczeni od biernego prawa wyboru (Art. XXXI). Religia chrześcijańska, którą rada złożona ze wszystkich biskupów półwyspu przywróci do pierwotnej czystości, będzie ogłoszona za religię większej części ludności Ausonii. Wszystkie inne wyznania będą tolerowane i mogą mieć swe kościoły, ale jedna tylko religia chrześcijańska będzie mogła spełniać swe obrzędy publicznie[1] (Art. XXXII). Sobór wybierać będzie patryarchę Ausonii, opłacanego przez skarb państwa. Papież obecny będzie wezwany do przyjęcia tej godności i otrzyma ze skarbu wynagrodzenie za swoje posiadłości świeckie (Art. XXXV). Kolegium kardynałów nie będzie mogło rezydować w obrębie republiki dłużej, jak na czas życia obecnego Papieża[2]; po śmierci tegoż, gdyby Kolegium wybrało innego papieża, musi on przenieść siedzibę swoją gdzieindziej, podczas gdy we Włoszech mieszkać będzie patryarcha Ausonii (Art. XXXVI). Królowie i książęta muszą sprzedać swe domeny i wywędrować gdzieindziej. Dopiero po stu latach potomkowie ich będą mogli wrócić do Ausonii, ale jako prości obywatele (Art. XXXVII). Podatek będzie progresywny; najuboższy będzie płacił siódmą część swoich dochodów, najbogatszy sześć siódmych (Art. XXXVIII). Inne artykuły tego fantastycznego paktu pomijamy[3].

Matecznikiem karbonaryuszów była Kalabrya, skąd posuwali się ku północy. Mimo edyktu kardynała Pacca z 15 sierpnia 1814 założyli kilka went w państwie kościelnem, a nawet w samym Rzymie, gdzie niezmierną działalność rozwinął jeden z naczelników wy-

[1] Jaka hipokryzya!

[2] Jak się zdaje, Piusa VII.

[3] Czyt. *La Framassoneria e la Giovine Italia. Esame critico del P. Gaspare de Luise.* II. ed. Roma-Torino. 1866. p. 247 sq.

sokiej wenty, mający pseudonim Nubius". Był to dawny wiceregens Rzymu, znacznego rodu, bogaty i wpływowy, bo wszakże sam pisze, że miał przystęp do niektórych kardynałów, jak della Somaglia lub Pallotta, i że utrzymywał stosunki z takimi ludźmi, jak Buonarotti, Lafayette, Saint Simon, Chodźko (?), Bem, Bathyani, Hegmann, Jacobi, Klaus, Lieven, Pestel, Murawiew i t. p. Emisaryuszami jego byli przedewszystkiem żydzi, którzy jako złotnicy i handlarze objeżdżali całą Europę[1]; a jeden z jego agentów, Gaëtano, znajdował się w kancelaryi ks. Metternicha i zdradzał urzędowe tajemnice[2].

Po roku 1815 karbonaryzm zrodził albo wcielił w siebie kilka innych sekt o podobnych jeżeli nie gorszych dążnościach. Jedną z nich była *Societá Guelfa* (albo *dei Guelfi*), która według de Luise, przyszła około r. 1816 z Niemiec do Włoch, a później przyjęła nazwę *Societá latina*, kiedy w skutek zaburzeń w Ascoli zdarto z niej maskę. Propagowała ona ateizm pod szatą religijności. Równocześnie zagnieździło się we Włoszech stowarzyszenie, zwane *Congregazione Cattolica Apostolica Romana*, mające na celu niepodległość i jedność włoską, a stąd za hasło służyły jej słowa: *Eleuteria* (wolność) i *Ode* (niezależność)[3]. Pomniejsze odnogi tworzyli Adelphi (Philadelphi) w Piemoncie, Egizini, Dormenti, Apofanumeni, Decisi[4], Sublimi maestri[5], Europejscy patryoci, Zreformowani europejscy patryoci, Biali pielgrzymi i Stowarzyszenie uniwersyteckie.

(Dok. nast.)

Ks. Dr. Józef Pelczar.

---

[1] W Anglii zachęcano karbonaryuszów do walki z papiestwem i oddano do ich dyspozycyi drukarnię na Malcie.

[2] Byłto szlachcic lombardzki, ukryty pod pseudonimem „Gaëtano".

[3] Utrzymywali oni tak ścisłą tajemnicę, że ich „izby" *(camere)* składały się z pięciu tylko członków.

[4] Sekta fanatyczna i komunistyczna, utworzona przez X. Ciro Annichiarico w Neapolitańskiem, a dopuszczająca się w imię „republiki salentyńskiej", mordów i rozbojów. Rozprószono ją w r. 1817. (Por. Reuchlin. *Geschichte Italiens*. Leipzig 1859. Erst. Th. 136).

[5] *Sublimi maestri* albo *Perfetti muratori* dążyli, według Reuchlina, do zniszczenia wszelkiej religii pozytywnej, obalenia wszystkich tronów, wymordowania królów, księży i szlachty, a utworzenia republiki demokratycznej. Szerzyła się ta sekta w Genui i Medyolanie.

JANSSEN I HISTORYA REFORMACYI.

(Tom V. od r. 1580—1618).

(Ciąg dalszy.)

Tymczasem układał się Chrystyan Anhaltski, zawzięty kalwinista, który teraz coraz to więcej stawał się rzeczywistym kierownikiem armii, z buntownikami w Czechach, na Szlązku, starał się nawet usidlić cesarza Rudolfa, przedstawiając w najgroźniejszych barwach niebezpieczeństwo, nadciągające ze strony Macieja, Papieża i Jezuitów, co mu się też w części udało [1].

Sporu julichsko kliwskiego użył on nato, by najprzód skalwinizować całe księstwo, następnie by państwu jak największych przysporzyć kłopotów. Kiedy Austrya zbroić się poczęła, zawezwała Unia opieki i wmieszania się w sprawę Henryka IV., następnie Anglii i Stanów generalnych. Najczynniejszym okazał się Henryk IV. W maju 1609 r. wyprawił on poselstwo do książąt protestanckich „starych sprzymierzeńców Francyi", i ofiarował im usługi szczerego sojusznika i dobrego sąsiada, radził „by sobie na cesarza nie zważali i całą sprawę zdali na oręż" [2]. Przytem był ten król do tego stopnia bezczelnym, że pisał do papieża, „że zamiary jego mają przy tem wmieszaniu się korzyść katolickiej religii na względzie [3], a mimo to bez najmniejszego oporu przyzwolił na reformowanie całego księstwa. Co więcej, w poufnym liście do posła swego Bongars'a powiada jasno: „Powaga cesarza jest złudą, straszydłem na ptaki", protestanccy książęta „umieją tylko pić i spać", powinni przeto być podnóżkiem wszech-chrześcijańskiego króla. A jednak ci protestanccy książęta posłali Chrystyana z Anhaltu do Paryża, aby z Henrykiem IV. rokował w sprawie ogólnego przymierza.

[1] Str. 572. [2] Str. 577. [3] Str. 579.

Właśnie w tym czasie uwikłał się Henryk IV. w brudną sprawę z księżniczką Condé, a wskutek tego zostawał z Rzymem w naprężonych stosunkach. Było więc rzeczą łatwą nakłonić go do wielkiego związku przeciw Habsburgom, Rzymowi i Hiszpanii. Nie trudno też było pozyskać dla tej sprawy Rzeczpospolitę wenecką, gdzie przeniewierczy mnich serwitański Paolo Sarpi niebo i ziemię poruszał przeciw Rzymowi i Jezuitom a kalwinizm wprowadzał. „Wszystko jest gotowe“ pisał tryumfująco sekretarz angielskiego poselstwa do Londynu — „kazalnice burzą się straszliwie przeciw Jezuitom, trzy czwarte szlachty jest przychylnie usposobionej dla „prawdy“ (tj. dla kalwinizmu) sam nawet doża należy do nich — trzeba tylko iskrę rzucić na miny [1]. Pewna liczba wiernych kapłanów została niegodnie straconą. Duplessis Mornay „hugenocki papież“ mniemał, że nadeszła już pora, by papieża w Rzymie zaczepić. „Skoro tylko przymierze z protestanckimi książętami przyjdzie do skutku, skoro zaprowadzona zostanie „czysta ewangelia“ w Austryi, Morawii, Czechach, Węgrzech, skoro zrzucimy z siebie jarzmo papieskie, wtedy trzeba będzie „tę bestyę w samem centrum, i sercu tj. w Rzymie, ognisku papieża i jezuitów zaczepić [2], a w tym względzie „tylko w wojnie jest cała nasza nadzieja — tylko ona może nam przynieść zbawienie“ [3]. Ta wojna „przyniesie wielkiej bestyi w Italii zagładę“. Tak tuszył sobie Duplessis, „sprawa ta zgotuje upadek owego Babylonu“. A Lenk, pełnomocnik Unii (radca Fryderyka IV.,) który przywiódł do skutku przymierze między Wenecyą i Unią, wykrzykiwał radośnie: „Ta iskra roznieci pożar w całej Europie“ [4]. Nawet mniejsi potentaci np. Furzo z Morawii, odgrażali się zuchwale Maciejowi w zgromadzeniu związkowem w Wiedniu. „Ogólna wojna wszystkich zjednoczonych krajów“ położy kres panowaniu austryackiemu. Tę ogólną wojnę zadecydowano też niebawem na zgromadzeniu „Zjednoczonych“ w szwabskiej Hali 1610 r. [5] Co do strony formalnej przyjęto tu trzy następujące punkty: 1) bronić tej religii, która jest wrogą papiestwu 2) bronić sprawiedliwości tj. żeby nikt już nie wiązał się wyrokami cesarza, ale żeby sobie szukał sprawiedliwości u palatyna (Fryderyka IV.) (Absalon przeciw Dawidowi!) 3) wolność (niemiecką swobodę) ochra-

[1] Str. 583. [2] Str. 586. [3] Str. 587. [4] Str. 583. [5] Str. 540.

niać tj. że każdy może robić, co mu się podoba, i że „cesarskiemi mandatami i egzekucyami nie da się obalamucić, ani powstrzymać, by się miał wzdrygać choćby nawet przed wojną“. Najbardziej cieszyli się z tego Francuzi: Bongars, który w imieniu Henryka IV. działał w Hali, donosi z radością królowi: „Wasza Królewska Mość jest panem życia i śmierci tych książąt, doczekaliśmy się chwili, rozstrzygającej o losach domu austryackiego. Węgry, Czechy, nawet kraje dziedziczne nie chcą mieć pana z linii grackiej (Ferdynanda II.) która jest zarówno przeciętą jak przegniłą. Wasza Królewska Mość doczeka się rychło końca tego domu, jeśli będzie Unią popierać“. Jeszcze jaśniej wyraził swoją radość inny poseł w Hali Brissise, mówiąc, że „zaprojektował wszystkim książętom i każdemu z osobna, żeby koronę cesarską przenieść na inny ród i wyprzeć z sąsiedztwa Hiszpanów, że propozycye te przyjęli (książęta w Hali) z wielkim entuzyazmem“ [1]. Z łatwością pozyskano też dla tych planów Jakóba I. angielskiego, który przyrzekł 4000 ludzi. Chętnie przystała także do tej sprawy Dania. To też Unia wykrzykiwała radośnie, że „związkowi z Francyą, Danią, Anglią, Szwecyą nie będzie mógł dom austryacki stawić oporu“. Szczególniej Henryk IV. nie wątpił teraz ani na chwilę o szybkiem i zupełnem zwycięstwie. Mówił on do posłów weneckich, że swoją sprawą tak dobrze pokieruje i tak ze wszystkich stron i równocześnie opadnie potęgę habsburską z pomocą Anglii, Danii, Niderlandów, „zjednoczonych“ książąt niemieckich, Sabaudyi, Graubünden i kilku książąt włoskich, że Wenecya nie opatrzy się, jak szybko i niby jednym rzutem przeskoczy z pokoju w zwycięstwo [2].

Drugiego maja pisał do Boissise'a, że „spodziewa się, iż z końcem tego miesiąca będzie miał na pogotowiu 30.000 wojska“, i że mianowicie jak 7 maja do tegoż pisze: „wtargnie najsamprzód w kraj arcyksięcia Albrechta“ — nim jednak król wyruszył ku Luksemburgowi, padł 7 maja pod nożem Ravaillac'a. Wypadek ten sprowadził wprawdzie odwłokę w wykonaniu planów Unii, nie zniweczył ich jednak wcale. Owszem królowa regentka, Marya Medici „obiecała iść w ślady Henryka IV. i przysłać przyrzeczoną na ten cel pomoc“. Również Stany generalne okazały się gotowemi do

[1] Str. 591. [2] Str. 594.

układów. „Wielka wojna“ nie wybuchła wprawdzie, ale zaczęła się mała, tj. Fryderyk IV. wkroczył bez ceremonii do biskupstwa würcburgskiego i bambergskiego i spustoszył jedno i drugie. W Jülichu zdzierano ludzi do tego stopnia, „że ich krew i nędza wołały o pomstę do nieba“ — cały kraj, szczególniej nad Renem był „jedną wielką pustynią“ [1]. Toż samo działo się w Alzacyi, gdzie dawano „gruntowne lekcye“, a kiedy cesarz zażądał rozwiązania się Unii, odpowiedziano zuchwale, że „oni (książęta należący do Unii) zajmują obronne stanowisko i że chodzi im tylko o umocnienie kraju i pokoju religijnego“ [2]. Wprawdzie poniosła Unia 1610 r. nową stratę, tj. Fryderyk IV. padł ofiarą swego wyuzdania 19 września. Wielki był lament książąt zjednoczonych z tego powodu: „w jednym roku stracić dwu tak dobrych i znakomitych patronów i przyjaciół!“ (Henryka IV. i Fryderyka IV.); gdyż Unia została teraz bez głowy, a formalny układ z Anglią i Stanami generalnemi nie został jeszcze zawarty — ale żałoba nie zabiła Unii. Owszem umocniła się ona jeszcze bardziej skutkiem śmierci Rudolfa II. 1612 r. i wstąpienia na tron nowego cesarza Macieja, który z nią sympatyzował. Z Anglią udało się przez małżeństwo między Elżbietą, córką Jakóba I. i Fryderykiem V. z Palatynatu przywieść do skutku formalne przymierze. Intencye Jakóba I. przy tem związku są znane, tj. „marzył on o koronie czeskiej dla swego zięcia“. Z tego też powodu agitowali posłowie w Wiedniu z wszystkimi protestanckimi naczelnikami w Czechach i Austryi, przyczem pieniądze angielskie wielką grały rolę [3]. Za jego (Jakóba) pośrednictwem przyszedł też wreszcie do skutku długo upragniony związek między Unią i generalnemi Stanami na lat 15 [4]. Przymierze to występowało z coraz wzmagającym się uporem przeciw wszelkim rozsądnym przedstawieniom ligi katolickiej, która się tymczasem utworzyła. Co więcej, kiedy Turcy i Bethlen Gabor nadciągali w 80.000 ludzi [5], odmówili nietylko książęta protestanccy, ale i miasta na sejmie w Regensburgu 1613 r. wszelkiej pomocy przeciw Turkom. Tymczasem zabrały Stany generalne silną twierdzę Jülich, opanowały przez to całe biskupstwo kolońskie, a w skutek tego stanęły im całe Niemcy otworem, „i z tego cieszyli się i tryumfo-

[1] Str. 596. [2] Str. 597. [3] Str. 630. [4] Str. 140. [5] Str. 647.

wali protestanccy książęta, jak gdyby znamienitego dokonali czynu“ [1]. „Któż pierwszy wprowadził cudzoziemców do kraju?“ — pytali słusznie katolicy. Holendersey kaznodzieje zreformowali następnie przemocą i srogością miasto Frankfurt nad Menem. Z wojskiem o 32 chorągwiach jazdy i z 4000 piechurów wtargnęli ciż sami Holendrzy do Brunświku, na pomoc Kalwinistom — przez co stali się Holendrzy rzeczywistymi panami Unii. „Holendrzy chełpią się — pisał Kasper Szoppe — że są właściwymi panami i władcami nad Renem i w miastach państwa“, a „ich posłowie zajmują wszędzie najpierwsze stanowisko“. Wprawdzie niektórzy książęta Unii wyrażali co do tego obrotu rzeczy niejakie skrupuły; tych jednak nie słuchano. Tymczasem oglądano się za nowymi związkowymi: podjęto więc rokowania z Bernem i Zurychem. Szczególniej wielką wagę przywiązywano do pozyskania sobie Szwecyi.

Młody król szwedzki, Gustaw Adolf, „który taką nieopisaną chętkę i skłonność czuł do wojny“, zdawał się jednym z najsilniejszych filarów i pomocników „ewangelizmu“. Elektor (Fryderyk V.) prowadził z nim rokowania. Król zarządził w tym celu publiczne modły, „za szczęśliwy obrót sprawy niemieckich współwyznawców“, przyrzekł całkowitą pomoc przy przedsięwzięciu, niemieckich protestantów, nie mógł jednak na razie z powodu wojny z Polską czynnie wystąpić [2]. „Przedsięwzięcie“ to zachwalali teraz kalwiniści i protestanci z ambony, jako miłe Bogu dzieło i zachęcali do niego. Jednem słowem „dzwoniono na alarm“ z kazalnic, poezyą, pamfletami przeciw katolikom, szczególniej Papieżowi i Jezuitom [3], angielskiemi pieniędzmi w Pradze i całych Czechach. Wśród tego stała i Unia halska na pogotowiu uzbrojona, wspierana przez Anglię, Stany generalne i Danię faktycznie, przez Wenecyę i Szwecyę zagrzewana, i moralnie wspomagana, i czekała tylko na sygnał w Pradze, by, skoro jej się nie dało przeszkodzić wyborowi Ferdynanda II., czeską koronę przemocą zeń zedrzeć. „Czekamy tylko na dokładną wiadomość z Pragi“ (pisze Chrystyan z Anhaltu do kanclerza Fryderyka V. z Palatynatu), tj. czekano „wybuchu powstania protestanckich przywódzców w Czechach, z którymi Chrystyan anhaltski zostawał w ustawicznych związkach“. To też upo-

[1] Str. 663. [2] Str. 673. [3] Str. 677—681.

minał Fryderyk V. r. 1617 „żeby stać upornie przy wszystkich rezolucyach Unii, jednomyślnie i jednozgodnie“. W pięć miesięcy później wybuchła rewolucya w Czechach, a wraz z nią nieszczęsna wojna, o której kalwinista Dawid Parens prorokował, że zhołduje sobie Hiszpanię i Italię, spali Rzym, a papieży pozabija[1]. Któż więc dał hasło do wojny?

Jednakże co robili wobec tych wszystkich stosunków i zabiegów katolicy, co cesarz? Rzecz szczególna: mała Bawarya (jak to widzimy już w IV. tomie) pojęła najjaśniej niebezpieczną sytuacyę katolików i już w r. 1585 zachęcała do podobnego związku między katolikami, do jakiego współcześnie Jan Kazimierz między protestantami dążył. Ale jakiż rezultat miały usiłowania Bawaryi? Książe Wilhelm przedstawia to w liście do zgromadzonych w Koblencyi duchownych książąt: „Wobec tych wszystkich związków i zabiegów protestanckich, stany katolickie bezsilne są i niezgodne, a cesarz w pogardzie. Trzeba się przyjrzeć i rozważyć przez jak niebezpieczne i szybkie zabiegi, grożą protestanci wszelkimi sposobami zaburzeniem, co więcej zniesieniem, a w następstwie tego zgnębieniem stanów katolickich, jak tego dowodzą przykłady w Strasburgu, Halberstadt i Minden; nie byłoby wprawdzie na miejscu zawierać formalne przymierze, ale wystarczyłoby umocnić na nowo związek landberski. Niech tedy 3 duchowni książęta elektoralni się przyłączyli, stany katolickie wyrobiły sobie pewne stanowisko. Wprawdzie 3 duchowni panowie przyznali słuszność projektowi Wilhelma, ale paraliżowani trwogą, „nie chcieli się na nie zgodzić“. Z tąż samą ideą wystąpił Wilhelm przed cesarzem Rudolfem II., odpowiedziano mu jednak, że „cesarz nie przystanie żadną miarą na przymierze odporne“. — „Dla czego?“ — Ponieważ między radcami cesarskimi panowała ustawicznie niezgoda“; jeden nienawidził drugiego, niektórzy skłaniali się do przewrotów kościelnych — dobrzy byli tchórzliwi“. To był prawdziwy obraz stosunków na dworze pragskim[2]; do tego przyłączyła się straszna waśń bratnia między Rudolfem II. i Maciejem. Mógł więc Jan Kazimierz słusznie powiedzieć: „O niezgodę samychże katolików rozbiją się ich plany — nie potrzebujemy się ich wcale oba-

[1] Str. 698. [2] Str. 77.

wiać". Ba! sam Wilhelm bawarski stchórzył nareszcie i odstąpił od żądanego zwołania sejmu stanów, „aby nie spowodować zaczepki ze strony protestantów[1]. Tak więc zostali protestanci panami sytuacyi. R. 1606 próbowali 3 duchowni elektorowie przekonać cesarza o potrzebie związku katolickiego, otrzymali jednak odpowiedź, że „to byłoby od rzeczy", gdyż możnaby podrażnić protestantów. Co więcej, nawet u swego brata księcia Maksymiliana bawarskiego nie potrafił elektor Ernest koloński nic wskórać. Maksymilian uznał wprawdzie potrzebę ściślejszego połączenia się stanów katolickich, powiedział jednak, iż (na razie) cesarz nie zgodził się na nie. Wprawdzie jest rzeczą pewną, że protestanci zawarli przymierze, skierowane przeciw katolikom, ale na razie trzeba cicho siedzieć, nie należy ich drażnić[2]. Tymczasem robiła konfederacya między protestantami świetne postępy: zreformowała miasto Donauwoerth i 4 klasztory. Dopiero kiedy dwór wiedeński (Maciej) po dokonanej szczęśliwie rewolucyi w Węgrzech i w Austryi domagał się przez biskupa Klessla od katolików „żeby we wszystkiem ustępowali zwolennikom Unii", wystąpił Maksymilian bawarski energicznie przeciw temu: „Ponieważ — mówił — katolicy są bezsilni, więc trzeba całego duchownego zastrzeżenia *(reservatum eclesiasticum)* zaniechać, a protestantom ustąpić?" Na to nie można się zgodzić. Teraz pracował on z całą gorliwością koło katolickiej Ligi. Zwołał sejm książąt do Frankfurtu 1613 r., na którym uradzono i zgodzono się na następujące punkty: 1) Katolicy są zdecydowani teraz, jak i przedtem, utrzymywać pokój religijny. 2) Na sejmach rozstrzyga w sprawach religii większość głosów. 3) Katolicy nie mogą właścicieli, do r. 1566 (augsburski pokój religijny) uznać za prawych. 4) Powaga cesarza i trybunału sądowego ma być wszędzie uznaną[3]. Śmiały ten krok rozbudził znów między katolikami pewną odwagę i zaufanie: nawiązano stosunki z Hiszpanią i Papieżem, którzy nawet posiłki pieniężne przyrzekli: Naturalnie Liga ta przedstawioną była przez protestantów w najpotworniejszych barwach. „Stany papieskie", powiadano, stoją zbrojno, wspierane przez Francyę, dwór brukselski, Hiszpanię, Polskę, aby przeprowadzić koncylium trydenckie, wytępić religię protestancką i wybrać Ferdy-

[1] Str. 88. [2] Str. 255. [3] Str. 636.

nanda styryjskiego [1]. Wobec tego protestanci niezgodni i bezbronni, rozprawiają, czy kalwiniści mają się połączyć z luteranami — gdy tymczasem katolicy zamierzają z pomocą swych jezuickich kreatur pod płaszczykiem religii wymordować protestantów. Takie kłamstwa puszczano spokojnie w obieg! W rzeczywistości atoli przedstawiała się sprawa Ligi zupełnie inaczej.

Maksymilian bawarski żalił się już 1613 r. „wysoko katolickie zdania głoszą nasi (zwolennicy Ligi,) ale płacić jest dla wielu uciążliwą modlitwą". Szwabi prałaci wymawiali się „zupełnym niedostatkiem". Biskup spirski powiadał „ponieważ inni nie płacą, więc i ja nie płacę". Arcybiskup solnogrodzki buduje nową katedrę — i rzeczywiście atoli potrzebował zbyt wiele na utrzymanie swego dworu. Arcyksiąże Leopold, zarządca Passawy i Strasburgu tłumaczył się brakiem pieniędzy. Inni opaci usprawiedliwiali się, że nie mogą płacić z powodu gościnnych obowiązków swoich klasztorów. Zniechęciło to Maksymiliana tak, że chciał złożyć kierownictwo Ligi, i tylko z trudem udało się gorliwemu biskupowi augsburskiemu Henrykowi powstrzymać go od tego kroku. Ale jeszcze gorsze miały nastać chwile. Wiedeński biskup Klesel wmieszał się do Ligi; nadano jej bez przyzwolenia Maksymiliana w Regensburgu nową ustawę, która Bawaryą „od kierownictwa" całkowicie wykluczyła i przeniosła takowe na Austryą (Macieja). W rzeczywistości jednakowoż trzymał wszystko Klessl w swoich rękach i mógł „sprawami związku" kierować według swego widzimisię [2]. Maksymilian bawarski wystąpił ze związku i utworzył z Bambergiem, Würcburgiem, Augsburgiem, Eichstaedt osobną Ligę, która jednak z Austryacką zostawała w związkach. Nadto wybuchły jeszcze między Maksymilianem bawarskim i arcyksięciem Maksymilianem tyrolskim terrytoryalne niesnaski. Wprawdzie starali się biskupi bambergski i augsburski zapośredniczyć i skłonić Maksymiliana, by został nadal głową związku. „Podnosili jak bolesną jest to rzeczą, że ogniwo, którem duch boży związał katolików między sobą, ma się rozpęknąć, podczas gdy to, którem duch sprzeczności sprzągł akatolików, dotąd mimo wszelkich trudności silnie się trzyma, tak, że ani powaga cesarza, ani opór elektorów i stanów, ani

[1] Str. 674. [2] Str. 684.

bolesne narzekania poddanych (książąt Unii), nie są w stanie go złamać". Ale Maksymilian bawarski oświadczył: że nie chcę być pachołkiem Austryi". Przez wystąpienie jego rozwiązała się Liga prawie zupełnie. Wśród tego pustoszył właśnie oberst Hent (w służbie holenderskiej) w 19 kompanii konnicy i 2000 ułanów biskupstwa kolońskie i paderbornskie [1]. Tak więc jedyne przedmurze, którem katolicy przed Unią mogli się osłonić, runęło prawie zupełnie, gdy tymczasem Unia zawarła przymierze ze Szwecyą, Danią, i Holandyą. Dopiero późniejsze biedy, straszliwe rozpoczęcie się krwawego dramatu w Czechach, przyprowadziło do skutku właściwą mogącą się utrzymać Ligę katolicką między Maksymilianem bawarskim i Ferdynandem II. Cóż jednak robili katolicki cesarz Rudolf a później Maciej? Z boleścią trzeba przyznać, że między oboma braćmi srożyła się nienawiść i zemsta. Cesarz Rudolf był chory i zupełnie bezczynny; rządy zdawał na swych radców, „którzy sprawy pozostawiali dowolnemu biegowi", co najwięcej sankcyonował je słowem; przytem kasa była tak pustą, że często nie podobna było wysłać kuryera i nieraz musiał Fugger ekspedyować pisma cesarskie do Rzymu lub Madrytu [2]. Za Maksymiliana było prawie jeszcze gorzej. Klessl uskarża się: Kasy są próżne, a pożyczyć nie chce nam nikt. Cesarz chce zastawić koszulę; dworzanie pragscy używają za pożywienie krwi wołowej". Toż samo stwierdza poseł brandenburgski [3]. Przy obiorze następcy „w kwestyi piekącej" zostawali arcyksiążęta w niezgodzie. „Waśnią się z sobą w sprawie obioru" — pisze toskański poseł Urbani — każdy „występuje jako pretendent — cesarz ociąga się — nikt nie wie, kiedy wybór nastąpi". Nadto wyłączył on brata swego Macieja od wszelkich spraw państwowych. Życie na dworze pragskim maluje nam bawarski poseł Fürstenheuser: „Cesarz nie pokazuje się nigdy publicznie, nie daje żadnemu posłowi posłuchania, wszystko musi być na piśmie przedstawionem; z pomiędzy radców prowadzi każdy politykę na swoją rękę: każdy robi, co mu się podoba". Potwierdza toż samo nawet cesarski radca Barvitius. „Żyjemy z dnia na dzień: każdy robi co chce, i nie wiemy, jak rychło wszystko do góry nogami się wywróci" [4]. Jeszcze opłakańsze były „rządy poko-

[1] Str. 686. [2] Str. 77. [3] Str. 641. [4] Str. 243.

jowych“ na dworze. „Pokojowi *(kammerdiener)*, alchemiści [1], malarze etc. rządzą krajem, przed nimi korzyć się muszą nawet bracia cesarscy“. Najprzód był pokojowy Hans Popp „źrenicą“ cesarza, następnie niejaki Hieronim Machowsky, otwarty nieprzyjaciel katolików, aż wreszcie ustąpił i ten miejsca byłemu żydowi Filipowi Langowi. Ten przewyższył wszystkich bezczelnością. „Każdy uważał się za szczęśliwego“ — pisał nadworny kapelan Mainarti — „jeśli doznawał względów Langa“. Obcy poseł zapewniał: „Jeśli mam za sobą Langa, to mam cesarza i jego radców, jeśli go nie mam, to nie mam nic“. Nie dziw więc, że książęta dobijali się o względy Langa i zasypywali go podarunkami. On rozdawał najważniejsze urzędy na dworze i w państwie, nawet wojskiem rządził on; za pieniądze wypuszczał uwięzionych na wolność, kasował nawet cesarskie wyroki. „Obok cesarza włada w państwie król żydowski“. Ale chciwość przewyższała jeszcze publiczna jego niemoralność. I ten potwór zostawał przez długie lata w łaskach u cesarza. „Co ja chcę, to musi się stać, choćby wszyscy djabli temu się sprzeciwiali“. Ciążyło następnie na nim podejrzenie, że był trucicielem i że zostawał z powstańcami na Węgrzech i w Siedmiogrodzie w zyskownej korespondencyi [2], a również, że miał stosunki z Unią.

Wobec takich stosunków wyjaśnia nam się po części postępowanie Macieja. Widział się nie tylko zupełnie przez wszystkich pominiętym, lecz nadto podejrzywano go o tajemne związki z rokoszanami węgierskimi.

To też powziął rozpaczliwe postanowienie: połączyć się z nimi i to przez zemstę, jak arcyksiąże Ferdynand do matki swojej pisał: „Jest to rzeczą pewną, że Jego Królewska Mość dużo względem Macieja zawiniła; nie przystoi jednak arcyksięciu wywierać zemsty, tak ciężką odpowiedzialność na niego zwalającej“ [3]. Za pierwszym krokiem poszedł drugi: Maciej oddawszy się zupełnie powstańcom w Węgrzech, Austryi i Szląsku, użyty został przeciw cesarzowi. Porwały go zupełnie fale Unii, szerzącej w krajach zbuntowanych

---

[1] Rudolf oddany był całą duszą alchemii — najulubieńszem jego zajęciem była astrologia.

[2] Str. 243 244. [3] Str. 291.

reformacyą, wobec której naturalnie Maciej musiał milczeć. „Karygodny wysoko urodzony buntownik“, jak go elektor koloński nazywał, doprowadził wreszcie do otwartej wojny ze swoim bratem, wśród błogosławieństw króla francuskiego Henryka IV., wśród głośnych okrzyków radości wszystkich akatolików. Na razie dokazał tylko tyle, że zmusił owego brata do ustąpienia na Morawią, poczem przeniósł się do Austryi, zdradziwszy poprzednio familijny układ domu habsburskiego w sprawie obioru [1]. Ale Maciej chciał jeszcze za jakąkolwiek bądź cenę zdobyć koronę czeską, i r. 1610 jął się znowu oręża. Daremne było pośrednictwo Papieża i Hiszpanii, bo Chrystyan anhaltski usidlił cesarza całkowicie i przedstawił mu, że Maciej i katolicy czyhają na jego życie, co podejrzliwego monarchę tak przeraziło, że nieraz w nocy z łóżka wyskakiwał i z kapitanem straży przybocznej przetrząsał wszystkie zakątki zamku praskiego, a jako jedyną podporę swojego tronu uważał Unią, z którą się przeciw Maciejowi chciał połączyć. Maciej tymczasem przystąpił do Unii i upewniał ją o „swej śmiertelnej nienawiści ku papiestwu i jego zwolennikom“, a równocześnie dowodził katolikom swojego szczero-katolickiego usposobienia [2]. Wśród tego kazał Rudolf oberstowi Ramée wkroczyć z 8.000 ludzi i 4.000 jazdy do górnej Austryi, upewnionym będąc przez astrologów o jej zdobyciu. Ramée, mordując i rabując w Austryi, narobił szkody na 2 miliony reńskich, uchodząc jednak przed Maciejem, zabrał ze sobą 269 wozów łupów. Wobec tego złożył arcyksiąże Leopold pasawski na życzenie cesarza mitrę i pociągnął z wojskiem do Czech, ażeby sobie koronę zdobyć. Sroga walka wywiązała się w Pradze na „Małej Stronie“, którą zajął Leopold; w Starem Mieście wybuchło prócz tego „powstanie husyckie“. Motłoch uzbrojony w piki i widły wpadał do kościoła i klasztorów, zakonnice znieważając, albo z wyszukaną srogością je mordując. Szczególniej czyhano na Jezuitów, i tylko z nadzwyczajnym wysiłkiem udało się Jerzemu Wratysławskiemu i Wacławowi Kinskiemu, przed husytami zasłonić Ojców. Cesarz początkowo aprobował postępowanie Leopolda; skoro jednak zobaczył rabunki i okrucieństwa, kazał na nalegania protestantów

[1] Str. 269—300. [2] Str. 613.

zebrać wojsko przeciw Leopoldowi. Tymczasem zaprosili protestanci Macieja do Pragi[1] a Rudolfa uwięzili w zamku; Maciej odbył 24 marca 1611 uroczysty wjazd do Pragi, został ogłoszony królem, a Rudolf zmuszony do abdykacyi, co też wśród straszliwych przekleństw uczynił[2]. Później ogłosił to zrzeczenie się za nieważne, co więcej wszedł z Unią w formalne układy; ta jednak opuściła go i oświadczyła się za Maciejem „ponieważ ten najlepiej zdawał się odpowiadać jej zamysłom". Rudolf znowu prosił Unią o pomoc, szerzyły się nawet pogłoski, że chce sam przyjąć wiarę protestancką, ale śmierć zabrała go r. 1612 „ku wielkiemu szczęściu państwa".

Wobec tych smutnych stosunków domu habsburskiego, tryumfowała Unia. Duplessis spodziewał się już teraz powszechnej wojny przeciw „bestyi" (Rzymowi); Unia wzrastała z każdym dniem; w Heidelbergu zeszli się posłowie celem obradowania nad najważniejszemi sprawami: Francya, Anglia, Dania przysłały swych reprezentantów. Słusznie obawiali się katolicy wybuchu wielkiej wojny z nadchodzącą wiosną. Zdawało się, że śmierć cesarza odroczyła niebezpieczeństwo wojny, ale na jak długo? „Jeśli się katolickie i wierne cesarzowi luterskie stany nie porwą do wspólnej obrony, pisze vice-kanclerz Broemser do stanów Moguncyi, lada dzień zapłonie podsycana przez zagraniczne mocarstwa pochodnia wojny. A wtedy *finis Germaniae*[3]. Jak należycie Broemser już 1612 r. sytuacyą ocenił, pokazały sygnały alarmowe w Pradze 1618 r.

Obraz ówczesnego politycznego widnokręgu kreśli Janssen ponuremi barwami. Wobec zupełnej niemocy i bezradności katolików, stanęły stany protestanckie gotowe do boju. Niemniej niebezpieczną była praktyczna, a więcej jeszcze literacka działalność protestantów.

Z zaprzysiężonych artykułów Augsburgskiego pokoju religijnego r. 1555 pierwszy opiewał: „Żaden stan nie ma zmuszać swoich poddanych do odstępstwa od wiary, ani na drugi stan o to nalegać". Punkt zaś czwarty: „W posiadaniu zwolenników augsburskiego wyznania ma pozostać to, co dzierżyli do r. 1555, ale odtąd żadnemu stanowi nie wolno grabić drugich". Jak zaś szanowali prote-

---

[1] Str. 615. [2] Str. 617. Str. 623.

stanci te artykuły przez się zaprzysiężone, pokazuje Janssen już w czwartym tomie. Mimo religijnego pokoju niejeden stan został zreformowanym, i reformowanie ciągnęło się dalej, sposób zaś, w jaki się to odbywało, widzieliśmy w Akwizgranie i Kolonii. Przemocą również stłumiono katolicyzm w Julliaku, Bergu, Kliwii i księstwie Neuwied. Cios za ciosem spadał na katolików, nie mieli czasu wytchnąć. Zwykle brzmiał rozkaz: „Albo przyjąć protestantyzm, albo precz z kraju, a to było jeszcze najłagodniejszą karą". Przebiegle i sprytnie postępowano sobie w reformowaniu katolickich biskupstw.

Nakazywano kapitule katedralnej wybrać protestanckiego biskupa, zazwyczaj — jakieś paniątko z książęcego domu. O zatwierdzeniu przez papieża, naturalnie ani mowy być nie mogło, więc nadawano mu tytuł administratora, aby w ten sposób pominąć prawo i cesarza. Tak odrywano od Kościoła jedno biskupstwo po drugiem. Naraz żeni się taki administrator, przedzierzga się w świeckiego księcia i biskupstwo przepada.

Wielkiego zwłaszcza rozgłosu nabył swego czasu administrator arcybiskupstwa Magdeburgskiego, Joachim Fryderyk Brandenburski, któremu się ten środek nad wyraz świetnie powiódł. Ani Pius V., ani cesarz, nic mu nie poradzili. Podobnież radzili sobie kalwińscy książęta z wyznawcami Lutra. Tak postępowano w Palatynacie nadreńskim, w Anhalcie, Lügen, Brandenburgu. Tutaj, odmieniano religię — jak odzież".

To pewna, że zmiana taka nie odbywała się tak gładko. I tak w elektoralnym Palatynacie przyszło między Kalwinami a Lutaranami do zaciekłej wojny [1].

W małem księstewku Lippe, miasto Lemgo tak dzielny stawiło opór kalwińskiemu hrabiemu, że musiał z niczem odstąpić od oblężenia. W Saksonii szczycącej się, „że jest prawdziwą warownią luteranizmu", przeprowadził kalwinizm wszechpotężny kanclerz Krell, mimo ogólnego a zbrojnego oporu ludności. Janowi Kaźmierzowi, swemu serdecznemu przyjacielowi, donosił on: „Z popami niechybnie się uporam, będą musieli tańczyć — jak im zagram". A jednak nie wszystko poszło po jego myśli.

[1] Str. 50—63.

„W Zwickau powstał taki rozruch przeciw kalwińskiemu kaznodziei, że tylko ucieczką mógł się salwować“ [1]. W Eilenburgu omal, że „nie zginął kaznodzieja, obrzucony kamieniami i błotem“. W Dreźnie i Wittembergu przyszło w kościele do „krwawego mordu“. Wonczas to powszechnie śpiewano:

„Erhalt uns Herr bei deinem Wort,
„Und steur' den kalwinischen Mord“.

Po śmierci (elektora) wybuchł w całej sile tłumiony dotąd przez Krella bunt ludności. Jak kalwinizm wśród okrucieństw zaszczepiano, tak go teraz z równą srogością tępiono, a Krell najprzód pojmany, potem przez 10 lat więziony, ku uciesze ludności, został jako męczennik w Dreznie ścięty [2].

Jeszcze okrutniej postępowano przy wytępianiu „papieskiego bałwochwalstwa“. Z „całego hrabstwa“ Arensbergu wypędzono wszystkich księży i zakonników, grabieże i zbezczeszczanie świątyń stanowiły miarę religijnej gorliwości. Przy tem ludność katolicką — przez całe miesiące uciskano, męczono i mordowano.

Obrazobórstwo było na porządku dziennym. „W kościołach i klasztorach gospodarowano po turecku“ — tak, „że wszyscy ewangelicy tego się sromali“. To się działo po klasztorach św. Jadwigi w Strassburgu, Akwisgranie i t. d. Podobnie po wszystkich innych klasztorach, zakładach i miastach, w których koło tego czasu (1580—1618) zawitało „światło czystej ewangelii czyli kalwinizm“. Co musiały od takich reformatorów klasztory żeńskie wycierpieć, — tego pióro chrześcijanina nie wypowie.

A ponieważ te rozpasane namiętności i okrucieństwa były owocem owej bezwstydnej, szatańskiej polemiki, która prawie przez sto lat w Niemczech szalała, to też z całą słusznością upatruje Janssen w tych okropnych zapasach polemicznych drugi główny czynnik, przedwstępnych przygotowań do krwawych wojen. Oto jak to przedstawia Janssen: póki żył Luter, póty władał całą polemiką, ograniczywszy ją przedewszystkiem do dogmatyki. Lecz i z tym szkopułem niebawem się uporano.

Bo i gdzież się ostał dogmat u protestanckich ministrów?

---

[1] Str. 93. [2] Str. 140.

Niezgadzających się prawie na żadne pojęcie zasadnicze, tylko powaga Lutra „wielkiego wybrańca Bożego“ jednoczyła; po jego śmierci atoli okropne zamieszanie wybuchło, tak że nawet jego powagę podeptano i wyszydzono. Z tak wielkim zachodem stworzone wyznanie Augsburgskie siłą faktów coraz to bardziej się rozpadało, a to do tego stopnia, że w istocie nic się nie zostało z owego protestanckiego dogmatu, okrom „srogiej nienawiści ku Papieżowi, Rzymowi i Jezuitom“.

Że wśród takiego rozprężenia nie będzie można nic dokazać wobec ścisłości dogmatów rzymskich, jasno to przewidywali więcej uzdolnieni teologowie protestanccy. Zmienili więc taktykę tj. rzucili się do historyi, i z tego stanowiska zaczepili Rzym. A z jakim skutkiem im się to powiodło, wykazuje Gindely austryacki dziejopis w życiorysie Rudolfa II. „Protestanci pozostali zwycięzcami na polu walki, zwycięzcami na polu literatury: „*oni napisali dzieje 17-go stulecia*“ [1].

Jak się to stało? Robert Barras Anglik napisał „biografię papieży“, zawierającą stek kłamstw. Do tych życiorysów papieży skreślił Luter przedmowę, w której zachęca swoich zwolenników, aby podobnie jak Anglicy, uderzyli na „rzymską wszetecznicę, bezwstydną, Boga znieważającą wszetecznicę szatana“ z punktu historyi i dziejów świata“. Temu wezwaniu Lutra uczynił zadość najpierw Flaccus Illiricus. W jakim duchu napisane jest jego dzieło: „Katalog wyznawców prawdy“ najlepiej pouczą epitety, któremi obdarza papieża i sobór Trydencki. „Czart“ i „szatan“ są to bardzo łaskawe wyrażenia — a obrazy, jakimi się posługuje są tak wstrętne, że ich niepodobna w żaden sposób przytoczyć [2]. Jeden wystarczy: „na soborze przewodził nie Duch św. lecz wszechświęty Duch tj. szatan, — wszyscy papieże, to ogary, szatany, płod djabelski“. W dziele swem stara się Flaccus udowodnić, że od samego początku dał świadectwo czystej prawdzie, która aczkolwiek przez papiestwo, wrogie chrześcijaństwu została zaciemnioną lecz znowu przez Ewangelię odzyskała swój blask. Pierwszym wedle niego świadkiem przeciw papiestwu jest św. Piotr, następnie czterej rzymscy Ojcowie kościoła: dalej św. Bernard, św. Tomasz z Akwinu

[1] Str. 272. [2] Str. 312.

i innych blisko 400". „Piotr nie był ani poprzednikiem, ani założycielem „stolicy zarazy", był on sobie mężem pochodzącym z niskiej warstwy ludu, nader chciwym bogactw i władzy „nieraz łajał zuchwale Zbawiciela, stąd Zbawiciel wytknął mu głupotę i żądzę panowania, nazwał go szatanem i nic z nim więcej nie chciał mówić". Oto wierny obraz papieży, wzięty z historyi św., którzy umieli się wynieść zazwyczaj przez tyranię ponad motłoch, i byli (zresztą) najgłupszymi osłami.

Nie dziw, że tego rodzaju paszkwil chciwie rozchwytano. Wielki wpływ uzyskał ten sam Flaccus przez założenie tak zwanych „Magdeburskich Centuryj"[1], w czem mu dopomagali Jan Wignand i Maciej Judex „obaj dyszący nienawiścią ku rzymskiemu Antychrystowi". Pierwsza Centurya wyszła w r. 1559, ostatnia (13-ta) w r. 1579. Celem ich było: „początek, wzrost i niegodziwe zamysły Antychrysta wykryć", tj. udowodnić na podstawie starodawnych świadectw, „że w początkach kościoła Chrystusowego kwitła nauka ewangelicka, a nie papieska". Już za Klemensa, Justyniana, Ireneusza „djabeł sfałszował naukę o wolnej woli i usprawiedliwieniu". U Ignacego znachodzą się „niewygodne wyrażenia" o mszy. W wieku trzecim upada nauka o dobrych uczynkach i pokucie. „Antychryst" (tj. papież) istnieje już w dziełach Ireneusza, Ignacego — lecz przedewszystkiem w trzeciem stuleciu „poczęło się misteryum złośliwości koncentrować w biskupach rzymskich". Dla tego „antychrysta" działał w Niemczech św. Bonifacy, „apostoł kłamstw". Odtąd też rosła coraz to bardziej „obrzydła bestya rzymska".

„Najstraszniejszym ze wszystkich potworem jest Grzegórz VII., który z pomocą wcielonego djabła wielu papieży pozbawił życia, zanim zasiadł na Stolicy papieskiej". Podobnie przedstawiony Aleksander III. Jego łotrowstwa, występki są wiadome całemu światu, szczególnie przerażająco nakreśloną jest scena, która się miała odbyć w Wenecyi w r. 1177, mianowicie pojednanie się papieża z Fryderykiem: „cesarz przyczołgał się do papieża na kolanach,

---

[1] Patrz 314 uwaga; gdzie wykazuje Flaviusowi, że pokradł manuskrypty Melanchtona i podał je za własną pracę.

ten zaś zuchwale stanął mu nogą na karku“ [1]. Niegodziwy ten czyn Aleksandra, powinniby pomścić cesarze, królowie, książęta, tak polecano Niemcom w Corolarium.

Naturalnie kaznodzieje sadzili się jeszcze na te i tym podobne „historye“ i zdumionemu ludowi głosili je wśród przekleństw i szyderstw etc. Wstrętne i bezwstydne są nazwy i obrazy, któremi się posługują. Ręka się wzdryga kreślić to, co szatan tworzył w rozgorzałych mózgownicach zajadłych predykantów [2].

Profesor Wegele w dziele swojem: *Dzieje humanizmu* (1885) nazywa Centurye dziełem, pełnem krytyki historycznej, krytyki, jakiejśmy dotąd nie mieli. Takie zapatrywanie rozszerzyło się w protestantyzmie i z tego punktu sądzą oni dzieje Kościoła. Niema co mówić, wyborna to krytyka p. profesorze!

(Dok. nast.)

Ks. A. Kraetzig.

---

[1] Str. 319. [2] Str. 320—329.

RADZIWIŁŁOWSKA OŁYKA.

(Dokończenie).

Za czasów X. Stanisława w 1591 r. Ołyka po raz pierwszy przez Kozaków nawiedzoną i obleganą została[1]. Z tegoż roku mamy ciekawy przywilej jego temu miastu nadany, w którym zaleca: „aby „budowano domy porządne i dla podróżnych wygodne, białe z bło„nami szklanemi, kominami murowanemi, wszystkie domy wjezdne, „w rynku jednakim kształtem pobudowane być mają. Każdego go„ścia w dzień lub w nocy chętnie gospodarze do tych domów przyj„mować powinni, a ktoby był o wykroczenie tego prawa obwi„niony, zapłaci kary 10 złp.“ Ponieważ wielu z pijaństwa i nieporządku zubożało, dzieciom przeto wychowania, ani majątku nie zostawili, zabrania więc gruntów i domów przedawać bez wiedzy urzędu, aby ten także wiedział, jacy ludzie obywatelami miasta zostać mają, „żeby ludzie dobrzy to miasto nasze obsiadali“. Zabrania mieszkać w innem miejscu mając dom w Ołyce a nieposłuszny temu ustanowieniu za trzeciem upomnieniem odpada od dziedzictwa na wieczne czasy. Żydom nie wolno w rynku domów stawiać, pieniędzy na zastaw pożyczać pod utratą tychże. Piwa i miodu pod utratą szynkować nie wolno w nocy po wybijanej godzinie w lecie, a w zimie po trzeciej, też grać w karty i kości za co kara. Siedzieć u drzwi kościelnych lub cerkiewnych w czasie mszy wielkiej. Źli ludzie, hultaje, aby ani godziny w mieście nie byli, a gospodarz o przybyciu gościa do domu zaraz urzędowi ma do-

[1] Patrz Cellarius.

nieść. W czasie pożaru w mieście 20 ludzi zaraz iść winno dla pilnowania kościoła i t. d.

Współczesny temu przywilejowi jest jeszcze zapis funduszowy brata księcia Stanisława, owego sławnego pielgrzyma Mikołaja Krzysztofa Sierotki Ordynata Nieświeskiego, na uposażenie ubogich sierot w Ołyce zrobiony.

Rezydując prawie stale w Ołyce książe Stanisław wbrew obyczaju swego domu, nie Litwinkę, lecz Wołynianke pojął za żonę; była nią Marya Myszczanka z Warkowicz na Wołyniu, córka Michała Myszki kasztelana Wołyńskiego, umarła w rok po mężu w 1600 i w Ołyckim kościele z nadgrobkiem pochowana, na rodzinnej spoczęła ziemi. Z kilkorga dzieci, z których synowie zmierali w dziecinnych latach, pozostali przy życiu tylko Mikołaj Krzysztof i Albert Stanisław, ów dobroczyńca Ołyki od którego to imienia nawet to miasto zwykle Albrychtowską Ołyką dotąd jeszcze nazywają. Mikołaj Krzysztof zaledwie skończył nauki i jako starszy ordynacyę Ołycką objąć musiał. Zmarł bezżenny 22 grudnia 1614 roku w kościele Ołyckim przy matce z nadgrobkiem pochowany. Ołyka więc przeszła na dziedzictwo młodszego Albrychta, z którego wspomnieniem i fundacyami co krok spotykamy się w Ołyce, który do sławy i do wzrostu tego miasta, ulubionej swej siedziby tyle się przyczynił.

Bogactwa swe nie na przepych, ale na pobożne fundacye i miłosierne uczynki obracał, wznosił kościoły we wszystkich swych dobrach, dla Ołyki zaś, która ulubioną jego rezydencyą była najwięcej uczynił. W 1635 r. zrestaurował dawniejszy kościołek tutejszy św. Piotra i drugi przez ojca jego Stanisława pod imieniem św. Trójcy wzniesiony rozszerzył i całkiem zrestaurował, wyniósł go na stopień kollegiaty, przy której probostwo infułackie ustanowił i kanonikami obsadził. Ołtarze marmurowe, obrazy, kosztowne srebrne i złote naczynia, których dziś jeszcze szczątki pozostały, wszystkie są jego fundacyą, jego dziełem. Była to ulubiona świątynia jego, najbogatsza w kraju niezawodnie. W czasie bytności swojej w Rzymie od Urbana VIII. otrzymał w darze ciało św. Argentyna i koronę z drogich kamieni ze złotem wyobrażeniem Papieża. To oboje do tutejszego kościoła sprowadził; pierwsze pozostało, drugie poszło tam gdzie wszystkie niemal owe sławne kosztowności Radzi-

wiłłowskie... w świat. Przy tym kościele założył szpital i bank pobożny *(mons pietatis)*, nadto uczynił fundusz dla wyposażenia 12 ubogich panienek. Dokument ten przytaczamy tu w całości:

Fundusz ustanowiony przez ks. Albrychta Stanisława Radziwiłła i małżonkę jego dla wyposażenia dwunastu ubogich panienek. W imię Pańskie, Amen. Ponieważ wszelkie skarby, którekolwiek jeno na świecie są i w najściślejszem schowaniu zawarte, już rdzy, już ogniowi, już kradzieży i innym bez liczby niebezpieczeństwom podlegają, ten je najbezpieczniej chowa, kto według nauki samego Chrystusa swój depozyt w niebie zakłada, bo mu w niem ziemskie niebezpieczeństwa żadnej uczynić szkody nie mogą. Więc jeżeli swe bogactwa i dostatki, na ratunek i wspomaganie ubogich porządnie obracają do nieba bez wątpienia przez ich się ręce przenoszą, a jeśli ten, który żebrakowi proszącemu daje, nic nie traci, daleko większego skarbu spodziewać się ma ów, który obmyśla i opatruje niedostatki tych, którzy żebrać albo nie śmieją, albo nie mogą. Dlatego My Albrycht Stanisław, książe na Ołyce i Nieświeżu, W. Ks. Lit. Piński, Gniewski, Tucholski, Kowieński etc. Starosta i Ja Krystyna z Lubomierza, hrabianka na Wiśniczu, wojewodzianka Krakowska Radziwiłłowa, kanclerzyna W. Ks. Lit., małżonkowie, chcąc mieć z zbioru naszego i pewnych dóbr naszych wspomożenie i posag panienkom ubogim, którym i wstyd panieński żebrać nie pozwala i ubóstwo przyczyną wiela złego bywa, wiecznemi czasy na każdy rok fundować i zapisać, zabiegając wszystkim przypadkom, którym takowe panienki dla ubóstwa podlegać zwykły umyśliliśmy; jako też fundujemy i zapisujemy tym sposobem: Ja Albrycht Stanisław Radziwiłł kanclerz W. Ks. Lit. z majętności mej Jabłońskiej w województwie Wołyńskim a powiecie Łuckim leżącej i wsi do niej przynależących, jako: Kołubnej, Danczymostu, Kaniące, Pieczałówce, Reginówce i miasteczku Kazimierzowa, którą wiecznym prawem kupił u J. O. księcia J. M. pana Aleksandra Adama Sanguszka wojewody Wołyńskiego i Ja Krystyna z Lubomierza Radziwiłłowa, mając na tejże majętności Jabłońskiej zapisanego sobie wiana od J. O. księcia J. M. pana Albrychta Stanisława Radziwiłła, pana małżonka mego 40.000 złotych polskich; połowę tj. 20.000 na tę intencyą pobożną zapisuję wiecznemi czasy i zapisałam; której to

summy 20.000 przez mię na to zapisanych i legowanych potomkowie i sukcessorowie nasi upominać się nie mają i nie będą mogli; a drugą połowicę 20.000 złotych polskich, mnie teraz należącą, pokrewnym moim, którym według prawa należeć będzie, albo komu zapiszę, sukcessorowie księcia J. M. pana małżonka mego, po śmierci mojej oddać powinni będą; fundujemy i zapisujemy 40.000 złp., które to 40.000 złotych, rokiem zawiłym, na każdy rok, na dzień narodzenia św. Jana Chrzciciela, wiecznemi czasy do rąk J. M. księdza proboszcza Ołyckiego i Kapituły oddawać powinni będziemy a po nas ten, kto tę majętność wyżej mianowaną Jabłonnę z przynależnościami po śmierci naszej będzie trzymał i jej zażywał, oddawać ma i powinien będzie bez wszelkich przewłok i zatrudnienia pod zakładem takim, ze 4,000 złotych, których jeżeliby nie oddał, u każdego sądu Grodzkiego i Ziemskiego województwa Wołyńskiego także i u sądu głównego Trybunalskiego, Zadwornego, Assesorskiego i Sejmowego sprawić się i odpowiadać powinien będzie, bez zażywania generaliter wszelkich obron i dobrodziejstw, prawnych i nieprawnych, tyle ileby potrzeba podług prawa ukazowała. A 4.000 złp. od nas fundowane i zapisane tak się obracać mają: Obrać 12 panien: szlacheckiego stanu sześć i onym po 500 złotych, a sześć prostego, tym po 100 złotych posagu dać; J. M. księdzu proboszczowi złotych 100, kapitule złotych 200, którym będzie należało i panny do posagu sposobne obierać i pomienionej sumy u sukcessorów naszych, jeżeliby jej który nie oddał, prawem patrzyć i pozyskiwać i do prawnych się *expens iuxta proportionem* tej percepty przykładać; a ostatnie złotych 100 na obiad pannom, którym zaraz po oddaniu posagu ma być sprawiony, obrócone będzie. Co aby się tem porządniej działo przed oddaniem posagu, które będzie za żywota naszego przypadało, na każdy rok w dzień Nawiedzenia N. Panny Maryi, a po śmierci naszej przy anniwersarzu, który za mnie z małżonką moją odprawiony będzie, trzema miesiącami a po ćwierciu przód roku będzie elekcya tych panien, którym posagi dawać będą; na której elekcyi proboszcz z ośmią prałatów, a dziesiąty pan, który Ołykę będzie trzymał, albo jego substytut zasiadać będą, gdzie jeśliby się *paritas votorum* ukazała, te ksiądz proboszcz, jakoby jedenastą, sentencyą swoją decydować będzie; po elektorach chcemy to mieć w tem sumienie ich obowiązujemy, aby w tem obie-

raniu na samo tylko ubóstwo wzgląd a nie na żadną inną rzecz mieli, i takowe obierali, któreby poczciwych rodziców i poczciwie wychowane były, postrzegając tego, aby żadna dwa razy posagu nie brała, ale żeby na każdy rok innym dawano i tych nie puszczając ani wybierając, któreby jeszcze 15 lat nie miały. Tego dnia kiedy posag brać będą miały, znijdą się rano na Ratusz i stamtąd między dwiema białemi głowami w wieńcach, jako więc do szlubu chodzić zwykły na mszę do kościoła podejdą i tam przed wielkim ołtarzem szlachcianki po prawej stronie, a po lewej stronie prostego stanu, z świecami zapalonemi, klęczeć przez wszystką mszę będą i na niej wyspowiadawszy się przedtem, komunikować tamże za żywota naszego, litaniję o najświętszej Pannie zmówią, po której ksiądz proboszcz i pan albo substytut jego na stołkach zasiadłszy, sam proboszcz z rąk swoich pannom posag w workach zapieczętowanych, przód szlachciankom a potem prostego stanu odda. Po zejściu zaś z tego świata naszym, ta ceremonia przed konduktem odprawować się ma, po której zaraz panny do kaplicy św. Argentyna, gdzie będziem leżeć, odejdą i tam litanię o N. Pannie za kapłanem, osobliwie księdzem kustoszem, w niebytności jego od kapituły na to naznaczonym z kommemoracyą za umarłych zmówią, potem tenże ksiądz, a ponim każda panna, pokropi święconą wodą i rzecze: „daj im P. Boże wiecznie odpocznienie“. Stamtąd do Ratusza tak jako przyszły pójdą i obiad zjadłszy, rozjadą się gdzie ich wola będzie. Posag wziąwszy wolno im za mąż iść, albo do zakonu, albo też w panieństwie żyć. Na elekcyi wszyscy kanonicy być powinni, a jeżeliby który z nich nie był i głosu nie będzie miał i z 200 złotych kapitule przychodzących nie będzie partycypował, chyba, żeby w Ołyce chory był, do którego jednak *ex Capitulo pro danda voce* posłać mają, albo jeżeliby kto w sprawach kapitulnych dokąd jechał to ten nie traci fructum na miejscu *absentiam Canonicorum*, starsi wikaryuszowie, tak wiele jako wielu nie będzie, zasieść i *fructum* brać i wotować będą mogli, tak żeby wszystkich elektorów dziesięć było z panem. Nakoniec prosimy i sumieniem pod znacznem przeklęstwem Bożem na tym świecie a pod zatraceniem dusznem na onym, wszystkich Ich Mościów panów, sukcessorów naszych, którzy tę majętność naszą Jabłońską trzymać będą, obowiązujemy, aby tej naszej pobożnej fundacyi we wszystkiem dosyć czy-

nili i w niczem jej, opacznie tak pobożny uczynek tłumacząc nie uszczerbiali, ale sumę zapisaną na terminie i nie pochybnie wcale oddawali, prosimy i J. M. księdza proboszcza ze wszystką kapitułą aby i oni jako pasterze w czem i sumienie ich obowiązujemy, tego pilnie dostrzegali, jakoby się tej fundacyi naszej wiecznemi czasy od panów sukcessorów naszych dosyć działo i aby wszelkie respecty na stronę uchyliwszy upornych do wszelkiego sądu i prawa według wyżej opisanego sobie na to kosztu pociągali; co wszystko na cześć i chwałę P. Boga Wszechmogącego a zbawienia dusz naszych czyniąc dla lepszej wiary i mocy, rękoma naszemi i rękoma Ich M. panów naszych przyjaciół od nas na to uproszonych ten fundusz nasz i zapis nasz podpisawszy, pieczęciami naszemi zapieczętowaliśmy.

Pisan w Ołyce m. września 1 dnia R. P. 1640.

Albrycht Stanisław Radziwiłł, kanclerz m. p.

Krystyna z Lubomierza Radziwiłłowa, kanclerzyna W. Ks. Lit.

(pięć pieczęci na masie wyciśniętych)

Ustnie proszony pieczętarz: Krzysztof Szymkowicz Szkliński sędzia ziemski Łucki. Andrzej Liniewski, Podsędek Łucki. Proszony ustnie pieczętarz: Marcin Tryzna koadjutor biskupstwa Wileńskiego, referendarz W. Ks. Lit.

Anno 1640 dnia 11 Septembra Coram actis Castrensibus Capitanealibus Luceoriensibus susceptum.

Szczęsny Zbórz Łoiszczewski, podstarości Łucki.

On to ustanowił nabożeństwo do Sakramentu św. co czwartek z publiczną procesyą, po której ubodzy długim szeregiem szli do zamku, a bywało ich niekiedy po 100 i 200; tam ich zasadzano przy kilku stołach, a książe z żoną sam im potrawy i napoje roznosił i hojną jałmużną przy odejściu obdarzał. Jednem słowem był opatrznością ubogich, kościołów i klasztorów. Jedną z najważniejszych fundacyj ks. Albrychta w Ołyce były szkoły, które pozostawały pod zawiadowaniem Infułatów tutejszych, a które za czasów komisyi edukacyjnej zniesione dopiero zostały. Był to rodzaj akademii duchownej, seminaryum dość rozgłośne w swoim czasie [1].

[1] O urządzeniu tych szkół wspomnieliśmy w dziele naszem „Wołyń pod względem statystycznym, historycznym i archeologicznym T. I. Obszerny opis ich znajdujemy w Historyi szkół w Koronie i W. Ks. Lit. Łukaszewicza. Starowolski tak się o nich odzywa „Dux Stanislaus Alb. Radziwill Cancell.

Po trzykroć za życia ks. Albrychta ulubiona jego Ołyka napadom Kozackim ulegała. Po raz pierwszy Kozacy Chmielnickiego spalili ją i zniszczyli w 1648 r. długo wtenczas tu pozostawali; ustąpiwszy dopiero gdy na odgłos obrania Jana Kazimierza królem, Chmielnicki ustąpił z Zamościa i wojska swe z miast Wołyńskich wycofywać zaczął i Ołyka oczyszczoną wówczas została, a ks. Albrycht powróciwszy tutaj do 800 żołnierzy wzmocnił załogę zamkową. W następnym 1649 r. znowu Kozacy wpadli do Ołyki, lecz wysłany na zwiady z obozu pod Sokalem Aleksander Koniecpolski chorąży kor. natrafił na ich tabor i pomyślną z nimi stoczył walkę [1].

Po raz trzeci w 1651 r. znanej bitwy Beresteckiej, Kozacy w liczbie 18.000 zbliżyli się do Ołyki d. 12 czerwca, znacznego od miasta domagając się okupu, co gdy im odmówionem zostało szturmować poczęli, lecz po niepomyślnych usiłowaniach odstępują 15 czerwca, a dowodzący załogą Lasocki porucznik nadwornej milicyi puszcza się za nimi zuchwale w pogoń i do rozsypki zmusza. Obszernie ten szczegół opisuje w pamiętnikach swoich sam ks. Albrycht. Oto dwa przywileje przez ks. Albrychta miastu Ołyce nadane.

W pierwszym z r. 1628 Książe kanclerz między innemi powiada: „Czasu trwog do obrony miejskiej mieszczanie wszyscy mają być gotowi. Naprzód, popis zwyczajny na każde cztery niedziele, aby odprawowali. Dziesiętnik każdy z dziesiątkiem swoim w bramach na straży, gdy burmistrz nakaże, aby bywali i nie mają ztamtąd odchodzić, aż drugi dziesiątek nastąpi pod winą 3 litewskich".

Z tego już widać, jak wcześnie u nas w kraju gotowano się i przeczuwano klęski, które później długim szeregiem na ojczyznę naszą spłynęły.

Drugi przywilej Ks. Albrychta dla Ołyki w 1642 r. wydany, rozciąglejszy od innych i dokładnie współczesną historyę miasta malujący, przytaczamy dosłownie:

Supr. Lit. in eadem satrapia civitatem suam Olykam arce elegantissima atque elegantissima ecclesia Collegiata supellectili aurea celeberrima et Academia bonarum artium illustrem nostra aetate admodum reddidit. Erecto ibidem praeposito Infulato et Mont pietatis. — (Starow. Dant. Edit. polon. 1652 pag. 141).

[1] O tem Grondzki. Historia belli Cosacco-polonici.

„Albrycht Stanisław Radziwiłł książe na Ołyce i Nieświeżu, Kanclerz W. X. L. Piński, Gniewski, Tucholski Starosta, Kowieński, Wieloński, Boysagolski, Rumszycki, Dawgowski, Lipniski etc. Ecconom. Czyniemy wiadomo teraz y na potomny czas wszem wobec y każdemu z osobna komu wiedzieć będzie należało, iż my widząc, które ku ozdobie y pomnożeniu Miasta naszego Ołyki potrzebne rzeczy być mogą, przykładem innych miast, w których porządek wszelaki znajduje się y zachowuje, aby też mieszczanie naszy Ołyccy w takowych postępkach za łaską Bożą *inevementa* brali przy uniżonych ich prośbach y Czołem biciu od Urzędu Mieyskiego opisane im pewne punkta na tym Liście naszym uprzywilejowanym dajemy, pozwalamy y hoynie nadarzamy, chcąc tego, aby wiecznie in integro zachowane były. *Naprzód.* Pragnąc aby Rzplta detrimentum non patiatur a potym Mieszczanie Ołyccy, którzy in recompensam swem ubóstwem Podymne, Pobory uchwalone na Seymach, na Convocatiach, na Seymikach za nieoddaniem z domów szlacheckich, proboszczowskich, Collegiackich, szpitalnych y innych wolnościami się szczycących, sami wypłacają, aby krzywdy nie ponosili, tedy wszelkie podatki uchwalone ze wszystkich trzech miast y gruntów, domów, z włok nemine excepto nie szczycąc się żadnymi libertatiami, mają y powinni będą wszyscy płacić i oddawać sub vadio Limitis Summae Skarbowi Rzptej. *Druga.* Upatrzywszy też y to y dobrze uważywszy, że ztąd znaczny pożytek y dobro obfite pochodzi, gdy Jurisdictia jedna, a nie różne w mieście stanowią się; przeto z takowychże domów szlacheckich, Proboszczowskich, Collegiackich, Szpitalnych, Zamkowych y wszelkich gruntów we wszystkich trzech miastach będących, stosując się w tym do starego przywileju od nas nadanego, wszyscy gospodarze y Podsusiedkowie od kogożkolwiek zapozwani in Civili et Criminali causa, przed Urzędem Mieyskim sprawować się wiecznymi czasy powinni będą, y odpowiadać Salva appellatione. *Trzecia.* Ścisłość ubogich mieszczan widząc, iż Plebey, którzy przy zamku i dworze naszym zostając od Podatków się Powinności mieyskich służbę naszą (jurgielt doroczny z skarbu naszego biorąc) składają: Tedy postanawiamy, że wszyscy takowi z gruntów y domów swoich, wszelakim Mieyskim powinnościom, ciężarom pieniężnym i roboczym mają y powinni będą podlegać nemine excepto salvis exemptis.

Czwarta. Mając przed oczyma, iż słuszna rzecz zawsze bono publico consulere. Tedy providendo pericula y dworu bezpieczeństwa od przygody ognia, zniesienie wszystkich komór drewnianych pod utraceniem owych nakazujemy, pozwalamy jednak na tem miejscu, żeby murowane wystawione były z większem bezpieczeństwem miasta. Ale jednak Żydzi Ołyccy, że benevole odstąpili Punctu onym w Przywileju od nas in Anno Millmo Sexcentesimo Trigmo Septimo die Vgma Prima Julii na komory danego, mają mieć wolne siedzenie y najem między niemi, komory też około Ratusza będące, oprócz wnętrznych, ciż Żydzi naymować powinni per mensem płacąc z każdej komory po Złotych dziesięciu na Rok: A po trzech latach, jeżeliby za wniesieniem pomienionych drewnianych komor na wymurowanie inszych sposób się nie znalazł, tedy mają po staremu Żydzi Ratuszowe Komory w tey summie dziesiątku złotych trzymać y najmować, z osobna przy Murze kościoła Murowanego Ołyckiego Cmentarzowym ku Rynku od Baszty do Baszty; komory murowane wystawić Mieszczanom naszym Ołyckim pozwalamy: z których to komor od miejsca żadnego dochodu y zapłaty Venbli Capto Ołyc. ani też J. M. Xiędzu Proboszczowi, ani kościołowi, ani do skarbu naszego y succesorów naszych y nikomu innemu płacić nie powinni będą czasy wiecznemi, tylko ad Gravium Civile jako będzie należało. *Piąta.* Przekupniowie y wszyscy, tak żydzi jako y Chrześcianie rozmaitymi handlami bawiący się, w Mieście mieszkając a swoich własnych osiadłości ani komor nie mając, od Towarów swoich mają płacić w każdy tydzień dnia wtorkowego po groszu Polskiemu ad Gravium Civile za dozorem pilnym Urzędu mieyskiego. *Szósta.* Jakośmy osobliwym edictem naszym w r. 1628 d. 27 Maja postanowili y wyraźnie obwarowali obronę miasta naszego Ołyckiego, y teraźniejszym Naszym Przywilejem z Utwierdzeniem pierwszego takowąż wolą naszą declarujemy, aby wszyscy obywatele według powinności swoyej do obrony Mieyskiej z orężem z Parkanów, do poprawy fos y Munitiey wałów, gdyby tego potrzeba z naczyniem należytem, stawali w pomoc mieszczanom, a któryby lekce poważał Constitutiey naszych, na nieposłusznych urząd Mieyski poenas exequatur, do której to obrony y Munitiey, Sypiania y poprawowania wałów, Parkanów stawienia, Namiestnik nasz z włości pomocy dawać ma y powinien będzie, ilekroć tego potrzeba ukaże. *Naostatek*

y to do Punctów wyżej opisanych przydajemy: Ponieważ w mieście naszem Ołyce wielki się przez to dzieje nieporządek, że niektórzy mieszczanie Place y domy mianowicie w Rynku bez wiadomości Urzędowej privatnemi Contractami, różnym ludziom Żydom y szlachcie zawodzą, którzy Szynkarzów niesposobnych y nieostrożnych usadzają a przeto naywięcej od ognia niebezpieczeństwo za nieostrożnością szynkarzów nieosiadłych miastu wszystkiemu inveniret. Tedy my zapobiegając temu, takowy edict nasz declarujemy, aby każdy takowy, któryby mimo wiadomość urzędową Dom swój potajemnie komukolwiek zawiódł, zapłacił winy 25 Złotych Polskich, którą winę urząd mieyski na każdym przeciwnym irremissibiliter exekwować powinien. A jeśliby Urząd, takowych niedbalców y nieostrożnych postrzegłszy, onym takowey swywoli zbraniał y od tego ich karaniem według prawa odwodził, a oniby w uporze swym trwali, tedy takowi bez Consensu naszego, żadnego Domów y Placów swych Rynkowych sub nulla conditione przedawać ani zawodzić nie mają aż chyba przez Taxę od Urzędu mieyskiego postanowioną y to Mieszczaninowi osiadłemu, gdyby się y tej Taxie który przeciwić chciał, tedy takowy dom konfiscatiey na Zamek nasz podlegać ma. Co wszystko wiecznie stwierdzając ręką naszą własną podpisawszy Pieczęć naszą wycisnąć i zawiesić rozkazaliśmy. Dan w Zamku Ołyckim R. Pańskiego 1642 Mca Oktobra 23 dnia. Albrycht Stanisław Radziwiłł Xże Kanc. W. X. L.".

Po bezpotomnej śmierci ks. Albrychta ordynacyę Ołycką, wedle ustaw Radziwiłłowskich objął najbliższy krewny zmarłego książe Michał Kazimierz Radziwiłł, syn Ludwika i Tekli Waltowiczówny, ordynat Nieświeski, w którego rękach po raz pierwszy zlały się te dwie kolosalne ordynacye, nie tracąc jednak bynajmniej każda statutem przepisanej swej autonomii. Ze śmiercią jednak dwóch ostatnich ordynatów Ołyckich Albrychta i ojca jego Stanisława, upadła bezpowrotnie świetność Ołyki, następcy ich bowiem zjeżdżali tu tylko od czasu do czasu, stałą zaś rezydencyę miewali w Nieświeżu. Radziwiłłowska natura ciągnęła ich do borów i puszcz litewskich; zresztą Nieśwież który i królów w swych murach widywał był więcej niż pańską, królewską niemal rezydencyą i skromniejszy o wiele zamek Olycki musiał mu ustąpić pierwszeństwa.

Do wzrostu Ołyki nie wiele się przyczynił ks. Michał Kazimierz, a żona jego więcej podobno o to miasto dbała, i częściej tu rezydowała. Znajdujemy jednakże w archiwum Ołyckiem potwierdzenie i aprobatę poprzedzającego Albrychtowskiego przywileju dla miasta z następującym nadpisem:

„Powyższy przywilej na prośby mieszczaństwa Olyckiego, Michał Kazimierz Radziwiłł książe na Ołyce i Nieświeżu, hrabia na Szydłowcu, Mirze i Krożach, podkanclerzy i hetman polny W. Ks. Litewskiego, Lidzki, Przemyślski, Rabsztyński, Ostroski, Człuchowski, Chojniecki, Krzyczewski, Homelski, Propejski, Niżyński, Kamieniecki etc. etc. Starosta (tu zacytowany przywilej Albrychtowski) które to prawo stryja i antecessora naszego, my uważywszy, iż jest bardzo ku dobremu porządkowi pożyteczne, za usilną prośbą mieszczan naszych Ołyckich, wiecznemi czasy stwierdzamy, approbujemy i tym teraźniejszym przywilejem naszym we wszystkich punktach, kondycyach, klausulach i paragrafach, aby w potomne czasy zachowane nienaruszenie było, mieć chcemy. Dan w Zamku Ołyckim d. 20 stycznia roku pańskiego 1672 (podpis mp.).

Co do dziejów Ołyki za czasów księcia Karola Stanisława, tych mamy niewiele. Jakkolwiek jednak księstwo nie mieszkali tu stale, gościli tu jednak na zamku po kilka miesięcy i po roku niekiedy. Kozacy parę razy, a w 1679 r. ogień wiele klęsk przyczynił temu miastu za czasów ks. Karola. Jan III. Sobieski żywo interesował się losem i mieniem siostry swojej Katarzyny, matki ks. Karola, która do samej śmierci jak wiemy zarządzała Ołyką i wszystkiemi dobrami synowskiemi. Mamy w posiadaniu naszem własnoręczny przywilej tego króla dla Ołyki na dwa jarmarki, wydany w 1685 r. Objaśnia on nam stan miasta za czasów ordynacyi ks. Karola, a jako nigdzie niecytowany, zamieszczamy go tu dosłownie [1].

„Jan Trzeci z Bożey łaski król Polski, Wielki Xiąże Litewski, Ruski, Pruski, Mazowiecki, Żmudzki, Inflants., Kiiowski, Wołyński, Podol, Podlaski, Smoleński, Siewiers. y Czerniechowski.

---

[1] Przepisany tu dosłownie z zachowaniem ortografii. Autograf ten z dobrze dochowaną pieczęcią posiadamy w naszym zbiorze.

(*Przypisek autora*)

Wszem w obec y każdemu z osobna komu wiedzieć bendzie należało, wiadomo czyniémy, Panowania naszego osobliwe jest staranie, abyśmy Poddanych naszych pożytki w łasce naszéj królewskiey y protekciey zachowywali y do dalszych coraz dawali sposób y okazyą przez coby nie tylko Państwa nasze, ale y ludzi prywatnych Substancye zapomódc się y podźwignąć mogły, dlatego skłoniliśmy się do podanéj suppliki od Miasta Ołyki y mając wzgląd na podupadły stan dla czasów złych y zabiegów Nieprzyiacielskich przez co Mianowane Miasto, do znacznego przychodzić poczęło ubóstwa, do którego y przeszłoroczny ogień wielką był przyczyną, do podźwignienia y zapomożenia snadnieyszego mizeriey Obywatelów tamecznych z wrodzonéj Clementiey Naszey Królewskiey oprócz zwyczainych z dawnych czasów Jarmarków, które Confirmujemy, Jeden jeszcze przydać na Święto Ś. Marcina, podług Podolskiego y Rzymskiego Kalendarza, a drugi na święto Gromnice nazwane podług Ruskiego y Greckiego Umyśliliśmy. Jakosz teraźnieyszym listem dajemy Stanowiemy y pozwalamy Jarmarki dwa na wzwyż mianowane Święta pozwalając, aby na ten czas wszelkiego stanu Conditiey y Narodu ludziom, kupcom, kramnikom, Rzemieślnikom, Żydom handle odprawować, kupować, przedawać, frymarczyć y wszelkie insze Jarmarczne rzeczy tak do Życia jako y używania ludzkiego potrzebne sprawować, Na który Jarmark wolny przyjazd y odjazd każdemu pozwalamy oprócz jednak tych, którzy nie podług praw naszych Pospolitych sprawują się, y którym z cnotliwemi przestawać nie wolno, które to Jarmarki podczas Targów obwoływać pozwalamy, Na co się dla lepszey Wagi y miary podpisawszy Pieczęć przycisnąć rozkazaliśmy. W Żółkwi dnia VI. Miesiąca Lutego Roku P. MDCLXXXV.“

Joannes Rex.

R.

Panowania naszego XI.

Stanisław Szczuka Regent kor. Podcz. Wy.

Drugim ciekawym szczegółem Ołyki za czasów Księstwa Karolostwa wydarzonym, jest cud tutaj zdarzony w r. 1702, a którego historya wypisana jest na obrazie M. Boskiej Częstochowskiej

w jednym z bocznych ołtarzy w kościele Ołyckim dotąd znajdującym się. Cały ten nadpis dosłownie wypisujemy:

r. 1702.

„J. O. X. Ich Karol i Anna z Sanguszków Radziwiłłowie Kancl. W. W. X. Lit., uchodząc z Ołyki przed incursią kozacką i swemu natenczas nie dowierzając poddaństwu, usilnie chcieli wziąść z tąd z sobą ten obraz dla szczęśliwej w tem niebezpieczeństwie podróży swojej (lubo już mieli między skarbami swemi drogie kleinoty ŚŚ. Kazim. i Józefata relikwie, tudzież obraz cudowny tejże M. Boskiej z kościoła W. OO. Dominikanów Łuckich) lecz gdy w wóz sześciokonny ten obraz sam jeden ułożono i z zamku wywozić miano w południe, konie żadną miarą ruszyć z miejsca nie mogły, przecież po długim biciu koni, wyprowadzono wóz z obrazem na most zamkowy, a gdy na moście powtórnie zacięły się i pójść nie mogły jakoby znarowione, kazała J. O. X. Imć wyprządz, a insze sześć doświadczeńsze założyć, które z mostu zamkowego pomieniony wóz zawieźli na przedmieście Zalasockie i tam wóz zepsowany dalej prowadzą i powtórnie między folwarkami miejskiemi psuje się wóz; noc nastąpiła, sturbowany stangret południową pracą wóz powtórnie zepsowany kieruje do folwarku Turczyńskiego z wolegszy przyprowadza w nocy zkąd nazajutrz do Zamku J. M. X. Koszutski kustosz i J. M. P. Trojanowski Ekonom Ołyccy zanieśli nie czując żadnego ciężaru. J. O. X. Imć bardzo żałosna bez obrazu tego odjechała, a Matka Najśw. zostawszy w Zamku Ołyckim obroniła kościół, Xięstwo Ołyckie i całe Województwo Wołyńskie od Kozaczyzny".

Carolus Radziwiłł Dux in O. N. S. R. P. Imp. Supremus M. D. Lit. Cancelarius.

Rządy księcia Rybeńki nie przyczyniły się do rozwoju i uświetnienia dawnej siedziby Radziwiłłowskiej. Hojne uposażenie kapituły Ołyckiej, oto jedno co dla tego miasta zrobił. Po księciu Karolu Panie Kochanku, następcy jego, nie pozostało także żadnych śladów jego fundacyi, prócz kilku nic nie znaczących prezent, cerkwi i kolegiacie wydanych. Przechowały się tylko dwa listy tego księcia do kapituły tutejszej, pisane w czasach jego krytycznego położenia finansowego i treścią i datą o tem świadczące.

a) „Jaśnie Wielmożni i Wielmożni w Bogu Przewielebni Mnie

Wielce Mciwi Panowie y Dobrodzieje: Zasiągniona naucza mię wiadomość, iż po śmierci J. E. M. C. Xiędza Kozierowskiego przeszłego dziekana W. M. W. M. Panów Testamentem *in pia Legata* zapisana Summa Czterdzieści tysięcy Złotych Polskich w Monecie Złotey zostaje dotąd bez Lokacyi, więc gdy Stan mój teraźnieyszy przymnaża coraz potrzeb, w zupełnej ufności przychylnym Ich sercom niosę usilne prośby, ażebyście W. M. W. M. Panowie wspomnioną Summę pożyczonym sposobem raczyli lokować w Skarbie moim, którey *securitatem* na Dobrach moich *in plenissima Juris forma* umieszczę y obwaruję, punktualnie zaś płacenie prowentu od niej udeterminowanego z arendy moyey Ołyckiej naznaczę. Nie raczcie tedy W. M. W. M. Panowie odmawiać swojey uczynności y przyspieszając zakończenie interesu, wybrać y wysłać jednego *e media Sui*, któryby tu Summę przywiozłszy oddał a Transakcyą odemnie podpisaną odebrał. Żądam tey Ich łaskawości, zostając nieskończenie W. M. W. M. Panów uprzeymie życzliwym y uniżonym sługą Karol Xiąże Radziwiłł Wda Wileński d. 7 Januarii 1771, w Sebeszu".

b) „Wielmożny w Bogu Przewielebny Mci Xięże Kantorze Kollegiaty Ołyckiej Moi Wielce Mci Panie y Dobrodzieju. — Ma zlecenie odemnie JMć Pan Trzciński Starosta Ołycki przy liście *ad Venerabile Capitulum* pisanym żądać w szczególności przyjaznej W. M. Pana pomocy, jako od śp. JMć Kozierowskiego za Exekutora Testamentu naznaczonego, aby Summa Czterdzieści Tysięcy Złotych Polskich *in pia Legata* zostawiona a dotąd bez lokacyi będąca, do Skarbu mego pożyczona została, więc gdybyś W. M. Pan łaskawą dokładnością swoją raczył to sprawić y przyśpieszyć kończenie takowego interesu uniżenie proszę, pragnący być w obowiązkach zupełnej wdzięczności W. M. Pana szczerze życzliwym y uniżonym Sługą. Karol Xiąże Radziwiłł Wda Wil. d. 7 Januar 1771 w Sebeszu".

Sebesz, z którego datował te listy, dawna posiadłość Radziwiłłowska, temuż księciu Karolowi przez rząd rosyjski skonfiskowaną została. Jest to miasto nad jeziorem w dawnem województwie Połockiem położone, miało zamek warowny. Radziwiłłowie linii Nieświeskiej między innymi tytułami pisali się także na Newlu i Sebeszu.

Po śmierci bezpotomnej ks. Karola Panie Kochanku synowiec jego ks. Dominik Radziwiłł, syn Hieronima Podkomorzego W. Lit. i księżniczki de Tourn et Taxis, pozostał jedynym spadkobiercą ogromnej jego fortuny osobistej i dwóch ordynacyi Ołyckiej i Nieświeskiej.

Zaledwie jednak doszedł do pełnoletności i objął te kolosalne dobra, zaczął rozsypywać i trwonić spuściznę po stryju, czem znacznie ją uszczuplił, mnóstwo bowiem dóbr allodjalnych nie wchodzących w skład ordynacyi na Wołyniu położonych, rozsprzedał. W ciągu czterech lat niespełna wypuszczony z kuratelli stryjów, przetrwonił około 100 milionów złp. W dziejach Wołynia przechowuje się dotąd pamięć jego marnotrawstwa i hulaszczego życia. Ożenił się najprzód z Izabellą Mniszchówną, ale wkrótce się z nią rozwiódł i zawarł powtórne związki z krewną swoją Starzyńską, córką generała Morawskiego, która ze swym pierwszym mężem także się rozwiodła.

Zostawił ze Starzyńskiej jedynaczkę córkę ks. Stefanię, która wyszła za mąż za ks. Ludwika Wittgensteina, w posagu wniosła mu ogromne wprawdzie dobra, ale też obciążone ogromnemi długami. Dla ich oczyszczenia również dla oddzielenia dóbr allodyalnych od ordynacyi Ołyckiej i Nieświeskiej, które z prawa spadły na ks. Antoniego Radziwiłła wielkorządcę Poznańskiego, nazuaczono komisyę, która ledwie w r. 1839 zakończyła swe czynności.

Ostatni dokument, zamku i w ogóle całego Księstwa Ołyckiego dotyczący, sporządzony został w roku 1829 z polecenia właściciela X. Antoniego Radziwiłła Wielkorządcy Poznańskiego, przez Rachmistrza miejscowego Mojżesza Orla Oszmiańca. Arsenału już wówczas i śladu nie było, a o samem mieście następującą znajdujemy w nim wzmiankę:

„Miasto Ołyka od przodków familji JO. O. Xiążąt Radziwiłłów wolnością udarowane, a mianowicie od Xięcia Mikołaja Radziwiłła w r. 1564, od Xięcia Stanisława Radziwiłła w r. 1595, a od Xięcia Albrychta Stanisława Radziwiłła w r. 1649. Takowe wszystkie prawa przez królów polskich konfirmowane i przywileje na pargaminie urzędownie są miastu wydane. Na ostatek prawo konstytucyjne *Boni ordinis* w r. 1763, prawa miasta tego z prawami miasta Wilna porównywające, dozwoliło onemu sądzić się Prawem

Magdeburskiem, uwolniwszy mieszkańców jego od wszelkiej dwornej władzy, co i dotychczas jest trwałym. Od czasu ustanowienia w mieście Ołyce prawa z sądów Magdeburskich, został wymurowany na ten cel obamigre Ratusz, kosztem JOO. Xiążąt Ordynatów we środku rynku, kędy i dziś egzystuje, o trzech piątrach z wyniosłą wieżą, przez pożar w r. 1808 nadrujnowaną. Tam w pierwszym Etażu dolnym znajdują się sklepy wewnętrzne i zewnętrzne, na drugim Sala z czterma po bokach pokojami i Skarbiec, na trzecim także Sala, a' na wieży dwa więzienia".

Tadeusz Jerzy Stecki.

MŁODE LATA KSIĘDZA STANISŁAWA CHOŁONIEWSKIEGO.

(Dokończenie).

Bardzo dokładnie z dnia na dzień pisany dzienniczek sześciotygodniowej podróży z Wiednia do Paryża, przekonuje nas, że Stanisław nie mijał się z prawdą, kiedy ze Strassburga uspokajał rodzinę [1]: „Ogólnie mówiąc, nie wiem, czy kto mniej niż ja do„świadczył w tej drodze awantur; podziękować za to Bogu!“ Bawarya przypomniała mu Litwę, „tylko tutaj staranniejsza uprawa, „większa kultura...; mężczyźni rozumniejsi niż w Austryi, kobiety „brzydsze, lud nie tak nabożny, jak austryacki. Monachium wcale „nie zbyt świetnie się przedstawia, ma kilka dość szerokich ulic, „kilka pięknych hoteli, bardzo zły bruk; razem wziąwszy ma pewne „podobieństwo z Warszawą“. Otóż i najciekawszy jeszcze ustęp w całej tej części dziennika; zresztą toczy się monotonnie aż do bram Paryża, jak monotonnie po równych drogach z tą jedną różnicą, że to wśród deszczu, to wśród pogody toczyła się bryczka pocztowa.

W niedzielę, 15 listopada ujrzał się zmęczony podróżny w Paryżu, a zakwaterowawszy się tymczasowo w *L' hôtel de Mars*, odetchnął swobodniej na myśl, że nazajutrz nikt go nie zbudzi do dalszej drogi, bo czy w Paryżu zasmakować zdoła, to mu jeszcze zupełnie nie było jasnem. „Kiedy mądry barbarzyniec Anacharsis, „skreślał nazajutrz po przybyciu pierwsze swe wrażenia [2], datował „po raz pierwszy listy swoje z Aten, miasta najrozumniejszego

[1] Strassburg. 11 listopada 1818 r.

[2] Paryż, 16 listopada 1818.

„i najbardziej ucywilizowanego w owym czasie, to sądzę, że nieco „więcej doświadczał przyjemności, niż ja w tej chwili... Wszystko „mię tu razi; znajduję się niby w położeniu żyda między poga„nami; to mię zniechęca do Paryża, a może mię względem niego „zrobić niesprawiedliwym. Dla tego bliższych szczegółów nie udzielę „ci, aż kiedy wydobędę się choć trochę z pod tego panowania „prawa żydowskiego, które chciałoby wszystkich na swoją manierę „obrzezać".

Ale choć Paryż raczej niemiłe niż przyjemne robił z początku wrażenie, trzeba było nie tracąc czasu korzystać z ziemskich i duchowych bogactw, złożonych w tych nowych Atenach. Nabycie pewnej ogłady i zewnętrznego poloru, przypatrzenie się ludziom i światu, to wszystko co zwie się nieraz „dokończeniem edukacyi", a co wielu z polskiej młodzieży, począwszy już od XVI. wieku, uważało za wyłączny cel wycieczek za granicę, nie mogło przedstawiać Stanisławowi trudności, dzięki rodzinnym stosunkom, dawnym znajomościom i dobrze napchanej kiesce [1]. Na pierwszym zaraz wstępie otwarły się przed nim polskie domy: Jabłonowskich, Potockich, Branickich, gdzie prócz przebywających chwilowo lub stale w Paryżu Polaków: Poniatowskich, Czaplica, Gorajskiego, Mayera, Badeniego, Waleskiego spotkać zawsze można było kogoś z wysokiej angielskiej lub francuskiej arystokracyi, z którą bliższe stosunki utrwalały się znowu, a zawiązywały nowe z rosyjską kolonią w Paryżu, w świetnych salonach pani Gołowinowej.

Pomiędzy przyjaciółmi, przed którymi pani Gołowinowa „zbyt żywemi farbami" odmalować miała Chołoniewskiego, pierwsze miejsce zajmowała słynna p. Swieczin, „siostra [2] księżnej Gagaryno„wej, u której z Grocholskim często w Petersburgu bywaliśmy, „chociaż niezmiernie brzydka, od wszystkich tu lubiona dla rzad„kiej dobroci serca, połączonej z zadziwiającym dowcipem i na„uką"... „Po trzech wizytach [3] poznaliśmy się wybornie. Mądra od „stóp do głowy. Należy do ścisłego grona wszystkich tutejszych

---

[1] Opis pobytu w Paryżu, oparty na z dnia na dzień prowadzonym dzienniczku i listach do rodziny.

[2] Do tegoż, 24 stycznia 1819.

[3] Do *Grocholskich*. 25 lutego 1819.

„wybrańców umysłowych; Chateaubriand, Bonald, Freyssinous, La „Mennais i t. d., do niej się schodzą. Możecie sobie wystawić, ja„kem się wślizgiwał po tych panach do jej saloniku; padłbym był „twarzą na ziemię, gdyby ta kochana filozofka nie należała do tych „umysłów i serc, o których myślał Vauvenargues, mówiąc, że „wszystkie wielkie myśli pochodzą z serca. Jest ka„toliczką, jest dobrą, pobłażliwą, bardzo brzydką". „Uczucie reli„gijne[1] wnika w każdy zakątek jej nadzwyczaj urozmaiconego umy„słu; promień ten słoneczny zatrzymany pryzmatem jej wyobraźni, „rozstrzeliwa się w około w tysiącznych barwach i wszystko przy „swem przejściu upiększa. Analizuje jak Leibnitz, opowiada jak „dziecko, dla którego żaden przedmiot nie stracił ze świeżości i ko„lorytu, uszczęśliwiających wiek illuzyj, i znowu mówi roztropnie, „mądrze, jasno. Wielu się skarżyło, że wpatrzywszy się w jej ro„zum, dojrzeć nie można serca; bezwątpienia piękna to skarga, bo „trzeba posiadać wiele przymiotów serca, aby zrównoważyć tyle „rozumu i dowcipu, i nie dozwolić im nieograniczonej przewagi. „Niedawno temu, gdym się skarżył na cierpki ton, zbyt często pa„nujący w książkach, skądinąd godnych zalecenia pod względem „nauki i stylu, i to zwłaszcza w materyach religijnych, co nie leczy „złego, ale jeszcze je pomnaża, powiedziała mi: „Ani na chwilę „nie wątpię o gorliwości tych ludzi dla dobrej „sprawy. Ale, czy kto kocha prawdziwie, może się „dopuścić podobnych omyłek?" „Dodaj do tego, że po„dobna jak kropla wody do naszej ciotki Baworowskiej, tylko „większe ma oczy, pełniejsze ognia i dowcipu, a pojmiesz, jak mu„szę sobie cenić tę panią".

O ile Chołoniewski cenił sobie panią Swieczin, o tyle wyjątkowo ta kobieta, słynąca z rozumu i czaru, jaki roztaczała w poufnej rozmowie, zajęła się prawdziwie po macierzyńsku interesującym Polakiem, kazała mu bywać u siebie jak najczęściej i raz po raz nowym jakby od niechcenia rzuconym poglądem, dowcipnem a głębokiem słowem, nowe przed okiem jego otwierała horyzonty. Raz, dając główne rysy działalności i charakteru Chateaubrianda i Bonalda, wyraziła się o pierwszym, że całą energię skupił w gło-

[1] Do tychże. 4 marca 1819.

wie, a charakterowi kazał czołgać się za rozumem; o drugim, że z wielu względów jest tylko portretem Chateaubrianda. Kiedyindziej zastanawiała się nad współczesnym i dawniejszym językiem francuskim i żałowała zagubionej jędrności, siły i prostoty Froissarda i Montaigne'a. To znów pytała poprostu: „Co myślisz zrobić ze sobą, jak pokierować życiem“? I w długiej ciepłej rozmowie na ten temat, przyzwyczajała go, aby stąpając po ziemi, wzrok zawsze trzymał wzniesiony do nieba. Stanisław, odwdzięczając się, odczytywał poważnej przyjaciółce wiersze Wernera, które podawały im znowu materyę do niekończących się, zbyt tylko licznemi wizytami przerywanych pogadanek.

Niezbyt pochlebnie przez panią Swieczin charakteryzowanego Chateaubrianda, ujrzał Chołoniewski po raz pierwszy wespół z wielu innemi znakomitościami, przy uroczystości otwarcia parlamentu 12 grudnia 1818. „Pokazano mnie takoż le vicomte de Chateau„briand. Twarz jego nie okazuje więcej nad czterdzieści lat; włosy „ciemne; rysy szlachetne i oczy pełne ognia jakby przytłumio„nego; przytem duma i jakowaś gorycz niemiła, odróżniają od in„nych twarz tego poety i partyzanta“.

Wrażenie odniesione z pierwszego widzenia Chateaubrianda, nie zmieniło się przy następnem. „Szlachetny wicehrabia de „Chateaubriand, pisał Chołoniewski w trzy miesiące później z nie„tajonem odcieniem ironii[1], ma głowę dość odpowiadającą wyobra„żeniu, jakie młode panie powzięły o twórcy *Atali*. Nie lubię „gorzkiego, sardonicznego jego uśmiechu. Z domu prawie nie wy„chodzi. Widziałem go u pani de Duras, lecz z nim nie rozma„wiałem“.

Łatwiej było dostać audyencyę u króla Francuzów, niż u króla poetów; to też Stanisław ani myślał o takim honorze, gdy niespodzianie roztwarł się przed nim na parę godzin gabinet zamknięty na cztery zamki dla całej masy profanów i hufcu wzdychających z cicha literatów, aby choć raz w życiu siąść w tym gabinecie i módz rozpływać się w pochwałach najprzód przed autorem, potem przed całym Paryżem, nad kilku nieznanemi dotąd arkuszami, które dopiero co wypłynęły z pod pióra Chateaubrianda. Ale cze-

[1] Do *Emilii Grocholskiej*. 18 marca 1819. List francuski.

góż nie zrobią kobiety? „Przedwczoraj [1], 27 kwietnia byłem u sta-
„rej księżnej de Talmont. Zastałem młodą Talmont, malarza Du-
„cisa... i kilku innych gości. Prosiłem p. Ducisa, aby mię popro-
„wadził do pracowni słynnego Gerarda i właśnie o tem rozmawia-
„liśmy, kiedy nagle młoda Talmont powstała i, nachyliwszy się do
„ucha teściowej, zaczęła jej coś szeptać. Spostrzegłem natychmiast,
„że chodziło o mnie i nastrajałem się na wszelki wypadek. Elegan-
„teczka stanęła przedemną, popatrzyła w około błąkającym się mi-
„gdałowym wzrokiem i zapytała, czy potrafię dochować sekretu;
„jeśli potrafię, wtedy prosi mię na chwilkę do siebie we środę
„między pierwszą a drugą godziną, a nieomylnie doznam wielkiej
„słodyczy i zadowolenia, słowem nagadała mi więcej niż było po-
„trzeba, aby podrażnić ciekawość takiego brzydala, jak ja. Podzię-
„kowałem jej żywo, ale tak dobrze i tak długo udawałem nieczułość
„i obojętność na to co mię czeka, aż piękna pani straciła cierpli-
„wość i w jasnych, pozytywnych słowach oznajmiła mi, że szla-
„chetny par obiecał odczytać w jej apartamentach tragedyę *Moj-*
„*żesz*, w obecności wszystkich, których sama zaproszeniem zechce
„zaszczycić. Pomyśl, jakem wołał: Ach! przecudnie! jakem
„się zasłaniał moją niegodnością, jakem sypał wszystkiemi frazesami,
„z któremi każdy, niewiedzący jak się znaleść cudzoziemiec, uważa
„za swój obowiązek wyjeżdżać, jeśli nie chce uchodzić za brutala
„i mazgaja w oczach pięknej Francuski, kochającej się w sztukach
„pięknych i literaturze. (Mówiąc w nawiasie, już stąd widzę, jakie
„grymasy stroi przyjaciel G.). Żart na stronę, wróciłem do siebie,
„oczarowany tą szczęśliwą gratką....

„Naturalnie oznaczonego dnia nie kazałem na siebie czekać;
„zdawało mi się nawet, żem przybył za prędko. Ale kiedym w dwóch
„skokach przesadził schody, prowadzące do apartamentów młodej
„pani, zastałem już dosyć gości. Byli to: pani de Choiseul, panowie:
„de Levand, la Rochejaquelin, ksiądz Jagot, wybrani między wybra-
„nymi słynnego przedmieścia. Zebrano się w gabinecie pani, ozdo-
„bionym rysunkami jej ręki. Fortepian na wpół otwarty; wielki
„francuski kominek; skóra tygrysia zamiast dywanu; sofka z jednej
„strony ognia, a z drugiej kilka fotelów w półkole, dużo kwiatów,

[1] Do *Grocholskich*. 29 kwietnia 1819. List francuski.

„a wszystko rozpływające się w półcieniu słodkiego półzmroku, — „oto mniej więcej geografia salonu. Pani salonu w bielutkim perka- „liku zachodzącym aż pod szyję i walczącym z połyskującą czarno- „ścią rozpuszczonych warkoczy; dwie wstążeczki lazurowe, jedna „na szyi, druga w pasie dopełniały zdradzieckiej prostoty tego „stroju. Mężczyzni stali, kobiety siedziały. Podniosły się na przy- „jęcie pani de Beaumont de Montmorency; po niej w parę chwil „wszedł wicehrabia de Chateaubriand. Przyjrzałem mu się dawniej „i to dobrze, w ceremonialnym stroju para, w którym wyglądał „bardzo korzystnie; niebieski frak i siwe brudne spodeńki nie mo- „gły wytrzymać porównania. Pan de Chateaubriand jest mały, źle „zbudowany, trzyma się dobrze. Bardzo piękne czoło, otoczone „w koło kędziorami włosów, raczej czarnych, niż innego koloru; „brwi tej samej barwy; oko, to przenikliwe, pełne ognia; to zwil- „żone, zdradzające spokojną melancholię; to jakby chmurą zaćmione; „wielkie usta, sfabrykowane umyślnie dla wyrażenia gorzkiego, „dowcipnego uśmiechu; twarz wydłużona nieproporcyonalnie do tak „małego ciała, oto mniej więcej zewnętrzna postać p. de Chateau- „brianda... Oburzenie, a zwłaszcza duma jakby wymalowane na „całej tej postaci. P. de Chateaubriand liczy teraz przeszło czter- „dzieści lat. Ma żonę, ale nie ma dzieci. Wyjątkowe powodzenie „w literackich pracach, byłoby mu zapewniło bardziej niż dzisiaj „niezależne stanowisko, gdyby się był mniej poetycznie obchodził „z sakiewką. Rozmawia z wielką prostotą, a choć nie popuszcza „zupełnie wędzidła talentowi, nie afektuje owej pozornej wstrze- „mięźliwości, mającej wskazywać na własną wyższość, a tak przy- „krej dla słabszych.

„Czekając na starą księżnę Talmont i panią de Castellane, bo „na nich ograniczyć się miała liczba słuchaczy, rozmawiano o zmia- „nie ministeryum; Chateaubriand politykował z miną człowieka „zmęczonego i znudzonego, co jeszcze bardziej zasępiło jego obli- „cze. Wreszcie pani de Talmont przybyła, wszyscy zasiedli, ude- „rzyła naznaczona godzina; cukier, szklanka z wodą, niczego nie „brakowało, wyjąwszy pani de Castellane; zrzuciwszy zatem skru- „puły z serca rozpoczęto posiedzenie. P. de Chateaubriand siadł „tyłem do okna, tak aby go wszyscy mogli widzieć, a nikt mu „prosto w oczy nie patrzył, nawet młoda Talmont. Kazał sobie

„przynieść rodzaj pugilaresu, czyli raczej skórzanego worka, który „żywo przypominał mi naszego przyjaciela. Wyciągnął z tego worka „rękopis, mówiąc: W ten mniej więcej sposób nasi „krawcy zawijają swój obstalunek. Zapanowało głębokie „milczenie, przerwane tylko spóźnionem przybyciem pani de Castel- „lane, i nalanie drugiej szklanki wody z cukrem. Pan de Chateau- „briand ma głos dość dźwięczny, a zwłaszcza bardzo jasny. Łatwo „spostrzedz, że brał lekcye deklamacyi i posiada wszystkie jej ta- „jemnice, jak aktor prawdziwy. Bardzo się jednak hamował, nawet „w najbardziej porywających scenach, pragnąc bardzo rozumnie, „aby poecie, nie aktorowi klaskano. Nie myślę wam naturalnie opi- „sywać wykrzykników słuchaczy rodzaju żeńskiego, czułych west- „chnień, oklasków sypanych przez obie matrony, Talmont i Beau- „mont, słodkich wzruszeń obu młodszych... Śmiesznem by też „było chcieć wydawać jakiś sąd o sztuce, którą się raz tylko sły- „szało i to z ust autora; ograniczę się na tem, że jak nam się „wszystkim zdawało, kilka chórów i kilka scen, godne są pod wzglę- „dem stylu, pióra największych mistrzów, choć koniec trochę blado „wygląda".

„Niedawno temu rozmawiałem z panią Swieczin[1], że kogo „zazdrość bardzo silnie atakuje, ten jako heroicznego lekar- „stwa użyć powinien pobytu w Paryżu, a wyzdrowieje, albo pę- „knie z zazdrości. Bo i proszę cię, jakże roztaczać i karmić się „widokiem mizernych swych zalet, kiedy co chwila masz do czy- „nienia z ludźmi, których dzieła lub imię zna cały świat. Twarze „ich nie wbiły mi się jeszcze w pamięć, i dlatego nieraz wychodząc „od pani de Duras, dowiaduję się np., że ten mały, suchy człowie- „czek, któremu z taką pewnością siebie zadawałem pytania, jest „słynnym Cuvierem; ten drugi, z którym bez ceremonii wszczałem „dyskusyę, zwie się Humboldtem, ów tłusty mężczyzna, co raz znu- „dził mię nie mało, bo, stojąc w kole ludzi dowcipnych, nie wymó- „wił ani słowa, jest panem de Fontanes; jakaś stara peruka, bar- „dzo skromnie politykująca, ukrywała Bonalda; słowem te częste „późniejsze odkrycia przekonały mię, że nieświadomość niebezpie- „czeństwa najwięcej dodaje odwagi, bo dorozumiewasz się, jakby mi

[1] Do *Emilii Grocholskiej* 18 marca 1819.

„język oniemiał, gdyby kto pod wszystkie te maski podpisał był „prawdziwe nazwiska. Słynni liberałowie, jak Sismondi, Benjamin „Constant, Say, nie onieśmielają mię, bo nie ceniąc ich zasad, nie „poddaję się czarowi ich talentu".

„Zapoznałem się też[1] z hrabiną de Béarn, z domu Pauliną „Toursel, córką starej pani Toursel, i w towarzystwie jej i p. Go- „łowinowej zwiedziłem Conciergerie... Widziałem pokoik zajmo- „wany kilka miesięcy przez królowę; w pokoiku maleńkie okienko „i najprostsze łóżko, stojące przez całą długość. Mała ta piwniczka „oddzielona jest od strony łóżka parawanem od innego pokoiku, „z którego oficerowie gwardyi mieli prawo, a nawet obowiązek za- „glądać po za parawan do mieszkania królowej. Pokoik ten urzą- „dzony z wielką prostotą; ozdobiono go tylko obrazkami olejnemi, „przedstawiającemi ostatnie chwile króla i królowej. Jeden zwłaszcza „bardzo interesujący: królowa komunikuje w więzieniu, a wespół „z nią dwóch żołnierzy stojących na warcie. Obok była zawsze ka- „pliczka dla więźniów; wyrestaurowano ją również jako kaplicę „expijacyjną. Kiedyśmy wracali galeryami, pokazano nam jamę, „w której zamknięto Madame Elisabeth na kilka godzin poprze- „dzających jej śmierć na rusztowaniu. Światło dochodzi do tej jamy „małym otworem we drzwiach, przeznaczonym dla szyldwacha. „Ponurą tę, wilgotną dziurę zostawiono nietkniętą. Biedna ofiara „była w bardzo podobnem położeniu, jak P. Jezus, zanim go wy- „dano Żydom; ileż łask spłynąć musiało na wielką tę księżnę, mo- „gącą się poszczycić tak szczęśliwem podobieństwem! Jak potężna „też łaska uświęciła niezawodnie królowę, straconą na wielkim „i wspaniałym placu, zawdzięczającym swą nazwę Ludwikowi XV., „a na którym z obu stron oko spoczywa na dwóch królewskich „pałacach: pałacu Bourbon z jednej strony, Tuleryach z drugiej. „Królowę tak uderzył ten widok, iż wstępując na rusztowanie, „zwróciła się ku Tuleryom: *Erudimini reges, qui judicatis ter- „ram!* Wychodząc z Conciergerie obtarliśmy się o jakiegoś czło- „wieka, którego wzrok i krzykliwa dzika wesołość przeniosły nas „na chwilę w czasy teroryzmu. Pani de Béarn stała jeszcze na tem „samem miejscu, na którem była świadkiem wszystkich minionych

[1] Do *Grocholskich.* 2 grudnia 1818.

„okropności, a widząc tego człowieka zamykającego cele z jakąś „piosenką na ustach, zawołała: „Och! tak wszyscy oni wyglądali!“

W niespełna półtora miesiąca po zwiedzeniu więzienia królewskiej rodziny Ludwika XVI., 12 stycznia 1819, stanął Chołoniewski, przyprowadzony przez rosyjskiego ambasadora, w wspaniałych salach Tuleryj, aby innym najbliższym członkom tejże samej rodziny, a na pierwszem miejscu królowi, przedstawić się i przypatrzyć. Wieść o tej prezentacyi, dobiegłszy na Podole, nabrała fantastycznych rozmiarów, jakby wyjętych ze zaklętej bajki: opowiadano sobie długo później o niej z pewnem poszanowaniem, wskazywano z tajemniczą miną na szczęśliwego podróżnika, co królowi francuskiemu kłaniał się w własnych jego apartamentach i z książętami krwi rozmawiał. W rzeczywistości prezentacya na dworze przedstawiała się mniej poetycznie, nie była żadnem odznaczeniem ze strony króla, lecz tylko grzecznością ambasadora rosyjskiego, pragnącego zadowolnić ciekawość młodego Polaka, której jednak, sądząc z lakonicznego opisu w dzienniczku, nie zbyt wiele i nie zbyt pożywnego dostarczyła pokarmu.

„Po kwadrasie czekania kazano nam wejść na pokoje. *Cercle* „i prezentowanie nas królowi siedzącemu w uniformie. Król trochę „niezdrów. Zadaje pytania ambasadorowi. Przysuwają króla na fo„telu; nachylając się mówi: N i e b a r d z o m z d r ó w, a l e j a k o ś „t o p ó j d z i e. *Cercle* u *Madame;* zastajemy ją stojącą przed fo„telem, z Pauliną de Béarn u boku *Cercle* i *Monsieur;* zastajemy „go stojącego przed fotelem; prezentacya. *Cercle* u księcia de Bery; „to samo *Cercle* u księżnej de Bery; młodziutkiej, ale niezgra„bnej“.

Świeże znajomości, poważne rozmowy, przypatrywanie się sprawom i ludziom publicznym, literackiemu i dworskiemu światu, polerowały bezwątpienia umysł; ale Chołoniewski nie myślał się zadowolnić zewnętrzną tą politurą, podrzędnym tylko celem bytności w Paryżu i zabrał się na seryo do nauki. Z początku ciekawość, połechtana tylu skarbami naukowemi złożonemi w Paryżu, pędziła go z jednego muzeum do drugiego, z jednego wykładu na następny, ale wnet zmiarkował się, że w ten sposób męczy się, dużo czasu straci, a niczego się porządnie nie nauczy. „Trzymam się jak mogę,

„żartował w liście do Mikołaja[1], to jest jak Dominikan wileński, „którego Emilka zna, mówił mi z litewska: Plączesz się, pla- „czesz niebożątko, jak możesz. Z tem wszystkiem rozmai- „tość niesłychana objektów w Paryżu w niepotrzebną mnie niespo- „kojność wprawia widzenia i nauczenia się wszystkiego razem; „wada półgłówkom zwyczajna". Uregulował więc czas, a oddawszy wieczory na łup salonom, teatrom, podziwianiu Talmy i Panny Mars, literackim i przyjacielskim wizytom, poranki spędzał w dwóch swoich pokoikach na trzecim piętrze przy piórze i książce, pilnie uczęszczał na wykłady słynniejszych profesorów, lub zbierał mozolnie szczegóły o różnych metodach uczenia dzieci, aby je później w kraju zastosować.

Wykłady nie zupełnie odpowiedziały powziętym oczekiwaniom: „Więcej w nich wystawy próżnej i chęci robienia sobie partyj jak zamiaru naukowego"[2]. Nie zbyt też wiele kładł wagi na prywatne lekcye języka greckiego i muzyki, bo nie tail sobie, że aby czytać Homera i poznać główne zasady generałbasu nie koniecznie było potrzeba do Paryża jeździć; natomiast szczególnie mu przez Mikołaja zlecone studya nad różnemi metodami kształcenia dzieci zajmowały go bardzo żywo i dużo pochłaniały czasu. „Zwiedzam[3] „nowe szkoły Lankastra i szkółki kierowane wedle dawniejszej „modły przez „Braci nauki chrześcijańskiej;" obie metody mają na „celu ułatwić wychowanie ludowi; która lepsza, o to tutaj nieustanne „toczą się walki". „Ponieważ system Lankastra[4], zależący na tem, „aby jedno dziecko drugie uczyło, już się w kraju naszym rozszerza, „bardzo byłoby dobrze, aby i system Braci zaprowadzić jako po- „trzebne *antidotum*. Mam już w tym względzie pewne niejasne „pojęcia".

Jakoż nie tak łatwo było zoryentować się w pierwszej chwili — tem bardziej, że ze sprawy, która zdawałaby się z polityką nie powinna mieć żadnej styczności, zrobiono jak zbyt często we Francyi, kwestyę polityczną: partya konserwatywna głosowała za szko-

---

[1] Do *Grocholskich*. 8 lutego 1819. List polski.
[2] Do *Ojca*. 14 Grudnia 1818.
[3] Do *Ojca*. 14 marca 1819. List francuski.
[4] Do *Grocholskich*. 11 marca 1819. List francuski.

łami „Braci nauki chrześcijańskiej, a zatem partya liberalna poczuwała się do obowiązku układania hymnów na cześć systemu Lankastra. „Wahałem się [1] pro i contra, czyli prześladowania „Lankastra nie mam przypisać temu duchowi stronnictwa, któremu „często najlepsze głowy podlegają. Aby się pozbyć tej niepewności, „tak małe jak wielkie szkoły *de l'enseignement mutuel* męskie i ko„biece odwiedzałem, bawiąc po kilka godzin, od początku aż do „końca klasy w niektórych. Wkrótce i łatwo przekonałem się, jak „niemożna ufać pochwałom zawziętym pp. liberalistów. Prócz „ustawnej komenderówki, stuku i ruchu żołnierskiego, do którego „się dzieci nazwyczajają, a które tak są nieprzyjazne tej spokoj„ności i cichości wewnętrzej, tak zbawiennej dla umysłu dziecinnego, „prócz powierzchownej niezmiernie nauki katechizmu i nieprzystoj„nego zmawiania modlitwy, podczas której dyrektor całą armią „szkolną komenderujący, więcej uważa na postawę zewnętrzną mo„dlących się, jak na ich rzetelną pobożność; pominąwszy, iż za„trudniony ustawicznie tym mechanizmem, nie może sam dać naj„lepszego przykładu i sam zgiąwszy kolano mówić modlitwę, lecz „przeciwnie przysłuchuje się jej tylko, jak kapral mustrze swojego „plutonu; pominąwszy, mówię, to wszystko, nigdy nie zgodzę się „na metodę, która w dzieciach nieograniczoną miłość własną rozwija... „Wiem, że emulacya wszędzie potrzebna, lecz w miarę i zawsze „przytłumiona powagą dorosłych nauczycieli; w tych zaś szkółkach, „najmniejszy pędrak, co ślabizuje, ma prawo być mistrzem swoich „towarzyszy... Im więcej w górę idzie, tem się więcej nadyma. „W posuwaniu zaś na wyższe lub niższe miejsce nieraz się przy„patrzyłem, jak często każdy z tych dzieci-nauczycielów „małe niesprawiedliwości popełnia, jak przytem ma ton rozkazujący, „hardy, nieprzyjazny. Zarobek więc na koszcie nie może „wynagrodzić złych nałogów: niesforności i dumy, które dzieci tak „łatwo nabywają. Zarobek na czasie żaden bo tak w szkół„kach dawnych *des Frères de la Doctrine* (w których to, co do„brego w nowych szkółkach, bez tych wad znajduje się), wciągu „trzech lat kończą klasy, tak jak i w tych nowych. Może zbyt „długo nad tą materyą zatrzymałem się... Wiedziałem, że w War-

[1] Do *Ojca*. 26 kwietnia 1819. List polski.

„szawie, gdzie wszystko małpują, co pewna partya tutejsza prze-
„myśla lub wychwala, i te nowe szkoły już wprowadzono. Wiem
„przytem, że niektórzy w najlepszej wierze popierali te nowe sy-
„stema. Lecz kiedy idzie o tak ważną rzecz, jak wychowanie po-
„spólstwa w kraju naszym tak ubogim w religię, ślepo przystać na
„projekt dla tego, że ktoś może powiedzieć: *Magister dixit*, — to mo-
„jemu przekonaniu sprzeciwia się tembardziej, iżem się tu już prze-
„konał, iż ci mistrzowie opinii tutejszej, *in quorum verba*
„*jurare* pospolicie u nas jest zwyczajem, ci mędrcy bogaci w dzieła,
„które na świat wydali, w słowa brzmiące, myśli bujne, wyrazy
„wytworne, katechizmu nie umieją, a co gorzej, jeszcze nim gar-
„dzą".

Przyszłość okazała, że Chołoniewski, nie dając się zentuzyazmować dla modnych szkół Lankastra, miał słuszność, skoro moda przeminęła, ucichł sztucznie wywołany rozgłos i wrócono w Paryżu i w Warszawie na bardziej utarte drogi. Z równą trzeźwością przypatrywał się młody podróżny obu politycznym stronnictwom: konserwatywnemu i liberalnemu, ciągnącym Francyę we wręcz przeciwne kierunki, a widok ten pouczał go znowu tylko i ostrzegał, jak namiętność oślepia najbystrzejsze nawet umysły, oślepia w jednej mierze na niedostatki „własnego sklepu" i na zalety przeciwnego. Czytając organa obu stronnictw *Conservateur'a* i *Minerwę*, nie mógł czasem pojąć, czemu ci ludzie, zgadzający się zresztą w tylu punktach, toczą ze sobą tak zażartą wojnę, jakby *Conservateur* był organem absolutycznego Ludwika XIV., a *Minerwa* organem Robespierre'a? Głośno, przed nikim nie śmiał się zwierzyć z tych swoich wątpliwości i poglądów; po cichu tylko pytał sam siebie, gdzie prawdy szukać w tym chaosie przeciwnych twierdzeń i wzajemnych oskarżeń[1]. „Gdzie jesteś prawdo? rzekłem z niecierpliwo-
„ścią. Nie śmiem cię szukać w Faubourg Saint-Germain, ani w par-
„tyi przeciwnej liberalistów, ani w gazetach, ani w żurnalach, ani
„u starych, ani u młodych, ani nawet u dzieci, — tak wszystko
„tchnie duchem partyi". To mu tylko było jasnem i w tem żadnej nie miał wątpliwości, że te trwałe wzajemne niesnaski, objawiające się na zewnątrz burzliwemi scenami w parlamencie, do których

[1] Do *Ojca* 8 marca 1819. List polski.

wówczas nie był jeszcze ogół przyzwyczajony, nie rokują Francyi świetnej przyszłości. „Długo Francya piła kielich goryczy, lecz jak „widzę nie wypiła go do dna“ [1].

Wyjeżdżając z domu postanowił sobie Chołoniewski korzystać z pobytu w Paryżu dla przypatrzenia się światu, nabrania zewnętrznej ogłady i pobieżnego przynajmniej rzutu oka na pewne objawy wyższego naukowego życia, ale spełniając ten program we wszystkich kierunkach, nie zapomniał na najważniejszą jego część: na staranie się o bliższe, głębsze poznanie a zatem i ukochanie wiary i życia z wiary. Uczęszczając pilnie na kazania najbardziej wówczas cenionych kaznodziei Macarthego i Gourdona do kościoła św. Ludwika, na adwentowe kazania X. Fayeta, do kaplicy królewskiej na wieczorne nauki X. Clausela, a do Saint-Sulpice na konferencye Freyssinousa — przekonywał się coraz bardziej, że nigdy powiedzieć sobie nie można: znam wszystkie skarby, wszystkie piękności, jakie w sobie ukrywa chrześcijanizm; lecz przeciwnie każdego dnia zdawało mu się, że w świetle tej lub owej prawdy, jaśniej malującej mu się przed oczyma, odkrył nowe światy, że teraz dopiero zaczyna rozumieć wiarę. Najbardziej może podobały mu się *verba veritatis* „wymownie i odważnie przez Macarthego w Nôtre „Dame głoszone“ [2]; najmniej trafiały do smaku, wchodzące właśnie w modę konferencye, które zwalczając błędne zasady w imię rozumu moralną kołującą drogą prowadzić miały słuchacza do wiary, a choć przyznawał, że w smutnych ówczesnych okolicznościach i tym środkiem gardzić nie należało, to oko jego przyzwyczajone od dziecka do patrzenia prosto w słońce nadprzyrodzonej wiary, niechętnie błąkało się w tem sztucznem półzmroku.

Obowiązek [3], nakazujący siłą rzeczy ludziom utalentowanym rozprawiać się na seryo na ambonie, przed audytoryum złożonem z tysiąca słuchaczy, z niedorzeczną i trywialną dyalektyką Woltera i jego wspólników, jest najsilniejszą krytyką stanu, filozofii w tym kraju. Sam Freyssinous nie innego był zdania, lecz jak zwierzył się Chołoniewskiemu, z którym zaprzyjaźniwszy się, w długich roz-

[1] Do *Ojca*. 4 marca 1819.
[2] Do *Grocholskich* 26 maja 1819. List polski.
[3] Do *Grocholskich* 12 lutego 1819. List francuski.

mowach snuł dalej temata, nieraz ledwie kilku słowami dotknięte na konferencyach, musiał przedewszystkiem starać się o znalezienie jakiejkolwiek dostępnej, choć złej i niewygodnej drogi „do umy- „słów spaczonych sofizmatami i do serc obojętnością złodowaciałych".

Obok Freyssinousa wystąpił niedawno właśnie na arenę do walki przeciw obojętności w kwestyach, odnoszących się do religii, inny bardzo jeszcze młody, a przecież głośny już rycerz, władający jak mieczem językiem Bossueta i Pascala, patetyczny, zdaniem swych wielbicieli jak pierwszy, a logiczny jak drugi, ksiądz de la Mennais. Pierwszy tom *L' Essai sur l'indifférence en matière de religion* liczył już pięć wydań i znajdował się w ręku wszystkich. Chołoniewski przeczytawszy go „z wielką przyjemnością" zapragnął poznać się z autorem. „Zobaczyłem [1] kawałeczek człowieczka, su- „chego, wycieńczonego pracą i czuwaniem; rozmawiał o wszystkiem „poprostu i skromnie; z pogadanki tej niktby nie poznał, jakie to „ciosy z pod jego pióra się sypią". Przy jednej z następnych wizyt, zapuścił się la Mennais w długą dyskusyę, o sposobach przywrócenia religii i Kościoła we Francyi do dawnego znaczenia i świetności; zresztą spotykamy jeszcze tylko parę razy w dzienniczku suchą wzmiankę: „Byłem u Mennais'go". Wyraźniejszego wpływu słynny filozof na Chołoniewskim nie wywarł, a sądząc z zapisków i korespondencyi młody Polak o wiele więcej cenił sobie wielu innych mniej głośnych kapłanów, jak np. księży Bineta lub Treverna, nie mówiąc już o Freyssinous'ie, niż genialnego autora, ale który w przyszłości przynajmniej wbrew twierdzeniu, że pierwsze wrażenie zazwyczaj nie myli, nie miał wcale złożyć dowodów „prostoty i skromności".

W czasie rekolekcyj odprawianych w Wiedniu zapisał sobie Chołoniewski [2] następną bardzo prawdziwą i praktyczną uwagę: „Cóż po rozumie, co po naukach, jeśli pokora i czystość serca nie „sprowadzą ich z nieba, jako podarunek od Boga? Próżność, duma „i chęć czczej chwały, pracują około nabycia prawd, które do serca „przywalonego namiętnościami, jeśli nie są przez rozum odrzucone „nigdy wstępu nie znajdą. Jak nikczemna ta istota, która się chełpi

[1] Do *Cecylii Chołoniewskiej*. 25 marca 1819.

[2] Zapiski z rekolekcyi odprawionych od dnia 1—4 listopada 1818. Po polsku.

„z poznania tych prawd, które jej własne czynności potępiają!". Aby na zarzuty te nie zasłużyć, aby iść za światłem wskazanem w modlitwie, nie dość było czytać książki, wspaniale traktujące o wzniosłości chrześcijanizmu, i przysłuchiwać się kazaniom, wykazującym piękność cnót chrześcijańskich, ale trzeba było przedewszystkiem praktycznie cnót tych się nauczyć. Szczęściem znalazł dobrego, rozumnego spowiednika, a poddawszy się zupełnie pod jego kierunek, szybko postępować zaczął na wytkniętej drodze, dzięki zwłaszcza co tygodniowej spowiedzi i regularnie towarzyszącym jej tego dnia paru rozmyślaniom. Jednym z pierwszych wprost już praktycznych i bezpośrednich owoców tych rozmyślań, było wstąpienie do Towarzystwa św. Wincentego à Paulo, a zapał i poświęcenie, z jakiem nowy członek krzątał się po szpitalach i nędznych mieszkaniach żebraków, jednał powaśnione małżeństwa i starał się o kawałek chleba dla błąkających się po Paryżu sabaudzkich dzieciaków, rozmawiał o Bogu ze „swymi przyjaciółmi po więzieniach", zadawały mimowoli kłam zbyt niekorzystnemu o sobie samym mniemaniu.

Przy pobożnych tych wycieczkach wydarzały się czasami sceny, w sobie niewielkiego znaczenia, ale które żywo zapisały się w pamięci młodzieńca i odkrywały przed nim świat tak niedaleki a przecież z wielu względów tak różny od błyszczących salonów w Faubourg Saint-Germain. Jakiś chory, nawrócony z protestantyzmu Alzaczczyk, prosił o rozwiązanie dręczących go szkrupułów; to znów nieszczęśliwy umierający w szpitalu Polak, który stracił wiarę może w czasie wypraw napoleońskich, odpowiedział na wezwanie do modlitwy, bolesnym do głębi serca przejmującym uśmiechem; odnalazłszy opuszczoną Polkę, biedną wdowę, kryjącą się ze swą nędzą na dalekiem przedmieściu, trzeba ją było wesprzeć i polecić ją litościwej opiece innych możniejszych Polek; lub wreszcie cierpliwie słuchać należało lamentów żony smutnie słynnego *Simona*, kobiety niewinnej, jak ręczyły sąsiadki, a wyratowanej z nędzy przez rodzinę królewską. Słodka pociecha, jakiej doświadczał po każdym nowym dobrym uczynku, po każdej rozumnie udzielonej moralnej czy materyalnej jałmużnie, była obfitą nadgrodą za podjęte zachody i choć bardzo jeszcze niewyraźnie, to coraz częściej nasuwała się

myśl: a czemużbym całego życia nie miał oddać na służbę Bożą, na pocieszanie mych bliźnich i prowadzenie ich do nieba?

Myśl ta była jakby pierwszym zawiązkiem odpowiedzi na pytanie, które dręczyło już oddawna duszę Chołoniewskiego, stało się jednym z głównych powodów podróży do Francyi i najprzód w Wiedniu, później bardziej jeszcze w Paryżu, wystąpiło z całą siłą i jasnością: Czego Bóg odemnie chce? jakie me powołanie? jaką mam drogą iść do Boga? „Widzisz mnie Panie, modlił się w czasie re„kolekcyj wiedeńskich [1], niedawno zwróconego na drogę służebni„ków Twoich, po długim czasie obłąkania, opieszałości i życia „bezbożnego. Z bojaźnią sądów i sprawiedliwości Twojej, ale z bo„jaźnią niewolniczą bez prawdziwej miłości, postępuję opieszałem „i ciężkiem sercem tą drogą zbawienną. Bez prawdziwego powoła„nia, bez celu stałego w działaniach doczesnych, z trwogą i nie„pewnością w umyśle postępuję". „Módl się za mnie, prosił siostry [2], „przybywszy zaledwie do Paryża, bo wiesz, jak w dobrem jeszcze „jestem nie utwierdzony, jak na każdym kroku lękać się muszę". „Spytasz skąd te walki — odsłaniał dalej tajniki swej duszy w liście do szwagra [3] — czemu mi wszystko idzie jak z kamienia? — Odpowiem „ci: daj mnie pobudki do stałego przedsięwzięcia w teraźniejszem „mojem położeniu; daj — o co codziennie Boga proszę — powołanie, „a wonczas z radością wszelkie ofiary poniosę. Dotąd ile razy po„trzeba poświęcenia się w jakibądź sposób, gwałtownie daje mi się „ten brak uczuć; projekta pracowania dla jakichści oddalonych ce„lów niedorzeczne mi się wydają, a jeśli mi każe rozum odrzucać „takowe myśli, to się obawiam z drugiej strony, czy głosu sumie„nia nie odrzucam. Wszystko to są wybiegi i wykrętarstwa głowy, „nie zajętej prawdziwie i jedynie tylko potrzebnemi rzeczami dla „dobra własnego. Zadawniona to u mnie choroba; niedziwcie się „więc dzieci moje, a znoście mnie i módlcie się za mnie. Rozpie„ściliście mnie waszem sercem i na świat wypchnęliście. Nie daj „Boże wam doznać, co to jest być w mieście jak Paryż bez przy„jaciela, z którym by można o Zbawicielu naszym, Chrystusie „Panu pomówić".

[1] Zapiski rekolekcyj od 1—4 listopada 1818.
[2] Do *Cecylii Chołoniewskiej* 22 listopada 1818. List polski.
[3] Do *Grocholskich* 9 Grudnia 1818. List polski.

Po bliższem rozpatrzeniu się przekonał się Stanisław, że i w Paryżu znaleść można takich przyjaciół, że i tutaj „istnieją wielkie „cnoty, cnoty słodkie i skromne, cnoty wszelkiego rodzaju, i że cnoty „te kryją się nieraz tam, gdzie zdawałoby się, że najtrudniej je „odnaleść, między ludźmi żyjącymi po elegancku, po światowemu“ [1]. Przebiwszy raz cienką salonową powłokę, ukrywającą te cnoty przed oczami obojętnych znajomych, można było i z tymi przyjaciółmi długo i gorąco pomówić o Chrystusie Panu, a niektórym jak np. pani Świeczyn zwierzyć się nawet z pięknemi, choć w niedość jeszcze ścisłe ramy ujętemi, zamiarami na przyszłość [2]. Zupełnie już wprost i szczerze wylał Chołoniewski całą swą duszę, skreślił obraz wszystkich swych wątpliwości przed spowiednikiem księdzem Borderies, odbył generalną spowiedź, „która mogłaby posłużyć za tekst, do „pięknej bardzo energicznej homilii“ i zapytał o radę. Spowiednik odpowiedział roztropnie, że jeśli nie czuje szczególnego powołania do stanu duchownego, to wtedy nie potrzebuje długo a bezużytecznie biedzić się z myślami, ale idąc drogą wskazaną przez naturę, a zatem przez Boga, naprzód niech się postara o dobrą żonę a potem dopiero, jeśli obowiązki ojca rodziny zostawią mu nieco wolnego czasu, będzie można zastanowić się jak najlepiej go użyć. Wyborna rada i w teoryi Chołoniewski najzupełniej na nią się zgadzał, ale czy głos Boży wzywa go do stanu duchownego, czy owa raz po raz a każdą razą silniej występująca chęć, rozszerzenia w około chwały Bożej, nie jest właśnie oznaką, że Bóg inne ma jakieś względem niego zamiary: oto praktyczne pytania na które spowiednik odrazu odpowiedzieć nie chciał i nie mógł, a które dnia niemal każdego stając przed duszą młodzieńca, coraz natarczywiej domagały się odpowiedzi.

I kto wie, w którą stronę już teraz stanowczo skierowałyby się kroki Chołoniewskiego, gdyby bardzo smutne wieści z Janowa, otrzymane w chwili najgorętszej walki i pracy nad sobą, nie zwróciły nagle w inną stronę jego myśli i nie zmusiły go do co najrychlejszego wyjazdu z Paryża. Od kilku już miesięcy każdy niemal list przynosił nowe szczegóły o słabości ojca spowodowanej

[1] Do *Grocholskich* 24 marca 1819.
[2] Do *Grocholskich* 19 maja 1819.

a przynajmniej przyśpieszonej boleścią, jaką napełniły go wiadomości o krótkiej lecz bardzo ciężkiej chorobie córki Cecylii; pod koniec maja listy zwiastować poczęły tak zatrważające nowiny, że Stanisław zaniechawszy planu zwiedzenia w powrocie Szwajcaryi, wybrał się jak mógł najspieszniej do domu, prosząc Boga, aby mógł jeszcze przynajmniej ojca zobaczyć przy życiu i ostatnie chwile mu osłodzić. Dziesięć dni trwała męcząca fizycznie i moralnie, bo w ciągłej niepewności o stanie ojca, jazda do Wiednia; tu dopiero Chołoniewski odetchnął swobodniej, kiedy Rozalia Rzewuska wręczyła mu uspokajające listy z Janowa. Dalszy pośpiech w drodze byłby zupełnie zbytecznym; czemuż więc, ulegając życzeniom samego ojca i prośbom przyjaciół, nie kończyć w Wiedniu „edukacyi" przerwanej w Paryżu?

Dawni i nowi, ale wszyscy dobrze znajomi: O. Hofbauer, Kossakowski, Krasicki, Giżycki, Wąsowicz, Podoski otoczyli kołem podróżnika. W salonach hetmanowej Rzewuskiej, która, jak w długie lata później z wdzięcznością wyrażał się Chołoniewski [1], „żywiła dla mnie uczucie rodzonej matki", poznał Fryderyka Schlegla, a długa dwugodzinna pogadanka o Niemcach i Francyi, tolerancyi religijnej i filozofii, zacieśniła odrazu między nimi węzły jeśli jeszcze nie przyjaźni, to już czegoś więcej, niż prostej salonowej znajomości. Raz zrobioną znajomość podsycała odtąd i zwolna zmieniała w przyjaźń częsta korespondencya, bo dążący do tego samego celu, jak pisał Schlegel w parę lat później do Chołoniewskiego [2], nigdy w życiu tem, tak szybko mijającem tracić się nie powinni z oka, lecz łączyć się, o ile to możliwem. Z Wernerem, dla którego Chołoniewski umyślnie do Gracu pojechał schodziły po dawnemu długie godziny na niekończących się rozmowach i dysputach. Werner, Chołoniewski i wspólny ich przyjaciel Kohlmann, malarz i poeta zarazem, pędzili przez dni kilka życie prawdziwie poetyczne: Werner przez długie godziny pracował nad jakąś balladą, Kohlmann noc całą ją przepisywał, a później kiedy już Werner z Chołoniewskim odmówili wspólnie różaniec, odczytywano i poddawano nowy utwór wszechstronnej krytyce. Przy jednem z takich literackich posiedzeń

[1] Do *Rozalii Rzewuskiej*. Janów 9 czerwca 1844.
[2] Wiedeń. 2 czerwca 1823. List francuski.

wspomniano o Włoszech, królestwie poezyi i sztuki; Włochy były tak blisko, jakże oprzeć się pokusie i nie zawadzić przynajmniej o miedzę rozkosznego kraju, którego kto nie widział, niczego nie widział? Trzej poeci zdecydowali się szybko: siódmego lipca byli już na drodze do Wenecyi; stąd Werner i Chołoniewski wpadli na parę godzin do Padwy, a zaczerpnąwszy balsamicznego włoskiego powietrza, rzuciwszy okiem raz jeszcze na laguny, a nagadawszy się do syta o religii i Byronie, księżach i romantycyzmie, stanęli w ostatnich dniach lipca w Meriatrost z powrotem z tej prawdziwie romantycznej wycieczki [1].

Całą noc z 30 na 31 lipca przepędził Werner najprzód na rozmowie, potem na tworzeniu poetycznego „pożegnania i pamiątki dla ukochanego brata Stanisława i wszystkich jemu i mnie drogich".

„Cel, dla którego Chrystus nas połączył
„Trzymać nas będzie złączonych na wieki
„Czy błyskawica, czy nam słońce świeci
„Wiemy, że Boga jednego to dzieci...
„Wiemy, że w niebo prowadzą katusze
„Że ból jest węzłem, co połącza dusze,
„Że tym podarkiem na krzyżu zrodzonym
„Bóg wszystkich swoich obdarza wybranych". Amen [2].

Pamięć na chrześcijańskie te prawdy, tak zawsze i dla każdego pożyteczna, dla Chołoniewskiego w tej chwili szczególną miała wartość. Po chwilowem polepszeniu, choroba miecznika zaczęła na nowo przybierać zatrważającą postać, a kiedy Stanisław puściwszy się bez zwłoki w dalszą pospieszną podróż, przybył w połowie sierpnia do Janowa, zastał ojca w łóżku, bardzo osłabionego, a z miny doktorów wyczytał, że rozsądnej nadziei robić sobie nie może [3]. Sam chory przeczuwał również bliski swój koniec, choć łudził się, że będzie mógł być jeszcze na weselu syna Jędrzeja z panną Elżbietą

[1] Dziennik z podróży do Gracu, Triestu, Wenecyi, Padwy. Po francusku.

[2] Cały wiersz, którego koniec w polskiem tłumaczeniu podaliśmy składa się z pięciu sześciowierszowych i jednej jedynastu wierszowej zwrotki. W papierach X. Chołoniewskiego znajduje się oryginalny tekst tego wiersza, tudzież kilka innych utworów poetycznych Wernera przez niegoż dla przyjaciela własnoręcznie przepisanych.

[3] Następne szczegóły wedle dzienniczka zatytułowanego: „Papy stan zdrowia dzień po dniu od czasu przybycia mojego".

Giżycką, które odkładane z miesiąca na miesiąc, ostatecznie stanowczo we wrześniu w domu rodziców panny młodej miało się odbyć. Na Stanisława przypadł niemiły obowiązek wyperswadowania ojcu tego zamiaru; coraz większa niemoc uczyniła go do wykonania niepodobnym. Sama więc tylko Emilia ze łzą w oku towarzyszyła bratu na wesele; Stanisław został przy ojcu, a rozmawiając o „Naśladowaniu Chrystusa“ Tomasza a Kempis i Fenelonie, czytając na głos ewangelią, razporaz przez siebie i przez innych przypominał, czy nie czas by było z Bogiem się przez spowiedź pojednać i przyjąć ostatnie Sakramenta, które przecież nigdy nikomu nie zaszkodziły. Miecznik w zasadzie bynajmniej się temu nie sprzeciwiał; sam z największą przyjemnością czytał „Naśladowanie Chrystusa“, mszy św., odprawianej w pokoju chciał zawsze koniecznie słuchać na klęczkach, choć raz o mało nie omdlał z osłabienia; ze spowiedzią tylko zwłóczył z dnia na dzień, łudząc się, że jutro, pojutrze lub za kilka tygodni mniej może będzie zmęczony, lepiej się przygotować potrafi.

Wreszcie w wilię Narodzenia Matki Boskiej „mimo że zrana „odkładał był do jutra, wyspowiadał się jak najpiękniej. Wielka „radość; chciał przyjąć komunię jutro rano na Narodzenie Najśw. „Panny... Później siedząc koło łóżka gadałem o weselu Jędrzeja, „o intercyzie szczęśliwie spisanej, o przybyciu Grocholskiego etc. „Domawiałem sobie cicho modlitwy. Słuch ma tak dobry, iż spy„tał mię, co mówię. Odpowiedziałem mu prawdę...

„We wtorek, 9 września[1], słabnąć zaczął widocznie. Wyje„chałem do Pikowa na spotkanie nowo zaślubionych, aby przyśpie„szyć ich przyjazd. Przed południem zajechali. Trudno wyrazić ra„dość ojca, wciąż rozmawiał z Elizą. Namówiliśmy go do kilku „toastów, aby go tak skłonić do pokrzepienia się starem winem. „O szóstej wieczorem sam pierwszy poprosił o Ostatnie Pomaza„nie... Akt ten odbył się natychmiast w obecności całej rodziny „i wszystkich sług; nigdy jeszcze ojciec tak pięknym mi się nie „wydał; z cicha spokojnie i poważnie się modlił. Cała ceremonia „wyglądała raczej na wstęp do jakiejś wielkiej uroczystości, niż na

[1] Do *Cecylii Chołoniewskiej* 27 września. 1819. List franc. — Dziennik urywa się z dniem 8 września.

„przygotowanie na śmierć... Nazajutrz rano kazał sobie przynieść „kulczyki przeznaczone dla synowej i sam je jej wręczył.. W nocy, „z czwartku na piątek, w dzień św. Tekli, patronki dobrej śmierci, „zasnął ukochany nasz ojciec snem sprawiedliwych, bez konwulsyj, „bez ciężkich boleści, z Chrystusem przed oczami, z Chrystusem „w ręku... Droga jest w oczach Boga śmierć sprawiedliwego. Zaprosiliśmy biskupa na pogrzeb. Przez dwanaście „dni była ekspozycya ciała, po 50 mszy co dzień; w poniedziałek „22-go eksportacya. Obywatelstwa bardzo wiele, do 2000 ludzi „pospólstwa; prócz innych kazań miał mowę piękną poczciwy To„maszewski. We wtorek cały dzień w kościele nabożeństwo; Jezuita „piękne miał kazanie. We środę po długiem nabożeństwie i bardzo „pięknem kazaniu ks. Maciejeskiego i egzorcie biskupa, złożyliśmy „ojca nieboszczyka w grobie familijnym, obok matki nieboszczki".

Śmierć ojca, wespół z wielką boleścią serca sprowadziła cały zastęp kłopotów, interesów, familijnych narad i działów; były to miesiące dla Stanisława nad wyraz przykre, a w niektórych otuchy dodawał sobie raz po raz w listach wracającym okrzykiem: „Cześć Jezusowi!" Wreszcie rozjechał się „sanhedryn familijny", rodzeństwo uregulowało majątkowe stosunki z przykładną zgodą, a Stanisław na własną rękę objął zarząd Janowa. Ale prowadzenie spraw majątkowych i gospodarstwo, mimo, iż starał się w nie wżyć i przywodził sobie na pamięć wielkie zadanie obywatela wiejskiego, nie wystarczało mu i nie odpowiadało wrodzonym zdolnościom i skłonnościom. I znowu w rozmowie z samym sobą wśród licznych samotnych podróży, w długich ustnych pogadankach z Grocholskimi, w korespondencyi z siostrą zakonnicą i przyjacielem Wernerem, pojawiać się poczęło pytanie, zagłuszone chwilowo nawałem boleści i pracy: „Jak życiem pokierować, aby nie przeszło marnie lecz obróciło się na pożytek ludzi i kraju, na służbę Bożą; czego wódz niebieski odemnie się domaga, pod jaką chorągwią w wojsku swojem stać, w jakim kierunku iść mi każe?

Pytania te, oddawna niepokojące Stanisława, nasunęły mu się z podwójną energią, kiedy w pierwszych dniach sierpnia 1820, wybrał się do Wilna, do siostry Cecylii, która zdążywszy wreszcie do dawno upragnionego kresu, miała się w dzień Wniebowzięcia N. Panny, przez uroczystą profesyę na wieki Bogu poświęcić. Widok

Maryi, Cecylii po ludzku nawet mówiąc przekonywał, że służba Boża nie tak ciężka, jakby się to z daleka patrzącym wydawać mogło. „Cesię naszę[1] zastałem w jak najpiękniejszem zdrowiu du„szy i ciała. Na tak wielką i dziwnie piękną odmianę, jaką w prze„ciągu dwóch tych lat zastałem, nie wiedziałbym, co i jak ci po„wiedzieć, jeśliby mnie psalmista nie dopomógł. Z nim więc nieu„stannie powtarzać będę, — co już przed rokiem dobrze potrafiłeś „ocenić, — że to jest dzieło Pańskie i że jest dziwnem „w oczach naszych". „Nigdy jeszcze nie była tak silną[2] i nie „wyglądała tak dobrze, jak teraz. Twarz szlachetna, wymowna; „oko czarujące; rozmawia wolno, ale z większą siłą niż dawniej... „Przewidywałem to zawsze i nieraz powtarzałem, że Cesia stwo„rzona do latania tam, gdzie zwykli poczciwi śmiertelnicy z tru„dnością się wleką". „Jest szczęśliwa[3], zadowolona i w harmonii „z sobą samą i ze wszystkiemi innemi; a pokój ten jest owocem „prawdziwej miłości. Dusza jej przedstawia przecudny obraz dla „wszystkich, dla których tak jak dla nas żadnych nie ma tajemnic. „Na mnie wywarła wrażenie, jakie wywiera na wyobrażenie mieszkańca „stref zimnych i ponurych, rzut oka na rozkoszne łąki i lasy, na „wspaniałą naturę, roztaczającą się pod wiecznie uśmiechniętem „niebem, a które po raz pierwszy daje wyobrażenie o obrazach „i barwach w niczem nie podobnych do jedynie mu dotychczas „znanych[4] ponurych, przyćmionych kolorów własnego swego kraju. „*O! il bel paëse*"!..

W uroczystość Wniebowzięcia N. Panny, w obecności biskupa i tysięcy do głębi wzruszonych tłumów, odbyła się profesya Cecylii, „spokojnej i pogodnej, pięknej ciałem, przecudnej duszą". Stanisław wśród ogólnego wzruszenia i płaczu pożegnał siostrę od stóp ołtarza w imieniu całej rodziny[5].

---

[1] Do *Mik. Grocholskiego*. Ryga 24 sierpnia 1820. List polski.

[2] Do *Grocholskich*. Wilno 12 sierpnia 1820. List francuski.

[3] Do tychże. Wilno 9 września 1820.

[4] Do *Grocholskich*. Wilno 16 sierpnia 1820.

[5] *Pożegnanie siostry Maryi Cecylii Chołoniewskiej* zostającej w nowicyacie zakonu Nawiedzenia Maryi Panny w Wilnie, przez zastępującego miejsce familii brata młodszego Stanisława w dzień Profesyi tejże siostry przypadającej na uroczystość Wniebowzięcia N. Maryi Panny w Wilnie dnia 15 sierpnia 1820. Rękopism. str. 11.

...„Świadkiem będąc od lat kilku, twych siostro kochana za-
„miarów pobożnych, które cię przy pomocy Boskiej do upragnio-
„nego doprowadziły celu, do poświęcenia się na zawsze miłej służbie
„Jezusa Chrystusa, z rozrzewnieniem serca dzielę radość i wesele
„serca twojego, bo mi Bóg miłosierny dozwolił, abym się przypa-
„trywał drogom Jego Pańskim, któremi cię łaska Jego do przy-
„bytku najwyższej miłości wiodła, drogom pełnym miłosierdzia,
„łagodności i niebieskiej ponęty, na które ludzie sami podobnych
„sobie nie są zdolni naprowadzić... We wszystkich wypadkach ży-
„cia naszego Opatrzność Boża łagodnie jaśnieje nad nami, lecz
„wszechmocność Jego nigdzie w większej okazałości i mocy nie
„stawi nam się przed oczy, jak w powołaniu człowieka do wyrze-
„czenia się samego siebie, do dobrowolnego i zupełnego poświęce-
„nia się Bogu... Któż zwalczy duszę, w swem obłąkaniu godniej-
„szą jeszcze miłosierdzia Twojego Panie? Ty jeden, o Boże i Stwórco!
„Czego świat cały, rozkosze i ciernie jego, okropne losu igrzyska,
„ów nawet do dna wypróżniony kielich goryczy, zgotowany pośród
„burz i namiętności serca; czego ludzie najświętsi nie zdołali, Ty je-
„den dokonasz"!..

Kto znał bliżej tajemnice serca Stanisława, ten słuchając tych słów powiedzieć sobie musiał, że mowca mimowoli zapewne, ale raczej do siebie, niż do siostry przemawia, zasyła modlitwy przed tron Boży raczej za sobą, niż za nią. Istotnie, jeśli aż dotąd wahał się jeszcze niepewny, to w tej chwili uderzony niezamąconem szczęściem siostry, pod wpływem jej rozmów, ale najbardziej, jak silnie był o tem przekonany, pod wpływem jej modlitw, dojrzało w jego sercu postanowienie, które przed dwoma latami, również w Wilnie pod temi samemi wpływami kiełkować zaczęło: „wyrzeczenia się samego siebie, dobrowolnego i zupełnego poświęcenia się Bogu". Jeśli dotąd może piękne, urocze sny wykołysane w wyobraźni brał za rzeczywistość; poetyczne marzenia za dobrą, wartość mającą monetę; to teraz patrząc na siostrę, dojrzeć i powiedzieć sobie musiał, że powołanie do służby Bożej nie zależy na marzeniach, lecz domaga się męskich czynów, że jak i życie i chrześcijanizm, choć opromieniony blaskiem poezyi nie jest poezyą, tak oszukałby się, ktoby pod wpływem poetycznego natchnienia przybrał się w sutannę kapłańską lub welon zakonnicy. Powołanie do

służby Bożej nie może być ani dziełem wyobraźni, ani wynikiem ludzkiego, przez sam rozum podyktowanego rachunku; wchodzą tu w grę inne wyższe z nieba rodem czynniki, które uszlachetniwszy wyobraźnię, oświeciwszy rozum i zapaliwszy wolę, wskazują rozumowi w dziwnie pięknych, choć prawdziwych kolorach cel, do którego ma dążyć, a wolę prowadzą za rękę do tego celu, tj. do obrania sobie w szczególny sposób interesów Bożych za interes własny, do poświęcenia życia i wszystkich sił tym Bożym interesom. Stanisław otwartą miał duszę na przyjęcie tego światła Bożego, tej łaski powołania, jak ją zowią ascetyczni pisarze; bez trudności więc niebieski ten promień sprowadzony modlitwami i przykładem siostry i wiernych przyjaciół znalazł drogę do jego serca, a dnia każdego przybierając na sile, wnet rozprószyć miał zupełnie dotychczasowy pomrok. „Widzisz więc[1] *Filiola mea*, cieszył się „i dziękował siostrze, że dobrym jest dla nas Pan, *quoniam bonum „Dominum habemus.* Winienem Mu za Twoją przyczyną tę łaskę, „iż zupełnie już jasno widzę, do jakiego celu mam zdążać, a ufam, „że mi wskaże i odpowiednie środki... Zima mija zwolna, ale „czuję, że mija; obym tylko najprędzej mógł powiedzieć: *Hiems „transiit!* minęła bezpowrotnie! Módl się za mnie!".

Bóg woła mię do wyłącznej swej służby, to było teraz dla Stanisława niewątpliwym pewnikiem; pragnienie wyłącznego poświęcenia się Bogu gwiazdą przewodnią, której ani na chwilę z oczu nie spuszczał. I szedł choć z mozołem i przeszkodami za gwiazdą, błyszczącą coraz jaśniejszem światłem, czując i wiedząc, że byle z drogi nie zbaczał, dojdzie do Chrystusa i będzie mógł Mu złożyć hołd powinny z całego swego życia, z wszystkich marzeń, chęci i prac. Innego ideału ani pragnienia odtąd już nie miał, bo odtąd, a można to powiedzieć bez obawy przesady, wszystkie ideały i pragnienia płynęły z tego jednego źródła oświeconego słonecznym promieniem miłości Bożej i do niego wracały.

Ks. Jan Badeni.

[1] Do *Cecylii Chołoniewskiej*. Janów 25 września 1820.

ŹRÓDŁA HISTORYCZNE WSCHODU

ODNOŚNIE DO PISMA ŚWIĘTEGO [1].

II. Asyryologia.

1. Obecny stan Mezopotamii.

Pustynie stepowe przepasujące stary świat od Atlantyku po morze Żółte, przerwane są w dwóch miejscach: Nilem w Afryce, Eufratem i Tygrem w Azyi; Nil stanowi granicę piaszczystych wklęsłości Sahary i Libii, od Tygru poczynają się stepowe wyżyny Azyi środkowej. Dolina Nilu, dorzecza Tygru i Eufratu wraz z ich dopływami są to jedyne oazy wśród tego olbrzymiego pasa, a w tych oazach właśnie powstały najstarsze i najbardziej ucywilizowane społeczeństwa ludzkie. Mówiliśmy już o Egipcie, kolej teraz przychodzi na ludy, które się usadowiły między Eufratem i Tygrem.

Eufrat i Tygr [2] biorą początek w górach Armenii, w niewielkiej od siebie odległości. Eufrat zbacza ku zachodowi, Tygr ku wschodowi; po opłynięciu bazaltowych gór Karadża-dach, zwracają swe kierunki ku południowi, zbliżając się do siebie. Począwszy od 34° szer. geog. płyną równolegle, a przed dojściem do zatoki Perskiej, łączą się w jedno koryto.

Wielki płat ziemi ograniczony temi rzekami nosi nazwę grecką *Mezopotamii* (Międzyrzecze); dawni Semici nazywali ją *Naharaim*,

[1] Ob. *Przeg. Pow.*, t. XIII., 1887, str. 153 i następ., str. 352 i następ.

[2] Eufrat po asyr. Purrat, po hebr. Phrat; Tygr. po asyr. Diklat, po hebr. Hiddekel.

Egipcyanie *Aram Neharain*, Turcy *Dżezirech*, w Piśmie św. nosi miano *Sennaar*. Kraj ten ze względów orograficznych, klimatycznych i historycznych należy podzielić na dwie części: północną i południową. Linia idealna idąca od miasta Hit nad Eufratem do Samary nad Tygrem uważaną jest ogólnie za linię graniczną, choć możeby należało ją posunąć nieco ku południowi, a mur uzbrojony wieżycami, zwany *Murem medyjskim*, który miał niegdyś 12 do 15 metrów wysokości, a którego szczątki są jeszcze dziś widoczne, stanowiłby sztuczną granicę części północnej od południowej.

Ziemie północne, o ile są zraszane rzekami i strumieniami, pokrywają się bujną roślinnością. Istnieją tam całe lasy drzew oliwnych, pomarańczowych, figowych, migdałowych; lecz poza tem, ogromne obszary pozbawione wilgoci, z wyjątkiem krótkiej wiosny, stanowią wyschły step. Nadto, kraj ten położony w pobliżu gór, usiany jest ich odnóżami, pagórki i wzgórza przerywają monotonność pustyni. Całkiem inaczej wygląda część południowa. Żadne wzgórze nie urozmaica tam widoku, jak tylko oko dojrzyć może step i step, nieuprawny i w znacznej części pokryty bagnami. Grunta południowej Mezopotamii z natury swojej są nader żyzne. Cała ta ogromna równina naniesioną była namułem Tygru i Eufratu w czasach geologicznych, lecz nawet za czasów już historycznych, każda z tych rzek wpadała bezpośrednio do zatoki Perskiej; dzisiejsza Basora i cała ta delta mezopotamska, mająca 150 kil. długości, wśród której, w wspólnym korycie Szat-el-Arab, dążą one dziś do morza, potrzebowała tylko trzydzieści wieków do swego utworzenia[1].

Do urodzajności gruntu, oprócz żyzności, potrzebny jest nadto inny czynnik, mianowicie stosowna ilość wilgoci. W Mezopotamii deszcze przechodzą rzadko, lecz ponieważ grunt jest płaski, a rzeki,

---

[1] Loftus w *Chaldaea and Susiana* (p. 282) pisze: „Since the commencement of our era there has been an increasement at the extraordinary rate of a mile in about seventy years, (na milę geogr. potrzebaby było 330 lat), which far exceedes the growth of any existing delta. This rapid increase is accounted for by the deposit of the river mud in the confined basin of the gulf, where, instead of being washed away by currents, as in a open ocean, it is driven back by the returning tide, and formed into a gently shelving bank, perceptible at a considerable distance from the embouchure of the rivers". Obacz również *Quarterly Journ. of the Geogr. Soc.*, sierpień, 1855.

nawet w czasie letniej posuchy, toczą dostateczną ilość wody [1], stosownie urządzone kanały nawadniające, brak ten mogły zastąpić. Dawni mieszkańcy byli zapobiegliwi: w czasach bardzo odległych, podobnie jak w Egipcie, kopano tu sztuczne kanały; ślady po nich pozostałe w podziw wprowadzają podróżników. Główne kanały miały 20 a często 80 m. szerokości, od nich szły mniejsze w różnych kierunkach, a wszystkie, albo prawie wszystkie były murowane. Grunta użyzniane wylewami rzek i zraszane sztucznem nawadnianiem były bajecznie urodzajne. Herodot obliczał zwyczajne zbiory na 200 ziarn z jednego, czasami plon przynosił nawet 300; kłos jęczmienia i pszenicy miewał cztery palce szerokości [2]. Można mieć wyobrażenie o płodności tych gruntów, skoro w początkach jeszcze zaboru arabskiego, za Omara, wpływała z podatku rolnego do skarbu państwa ogromna na ówczas suma 85 milionów franków rocznie. Żyzność ziemi nie wyczerpała się dotąd, lecz się zmniejszyła jej wydajność: kanały, które były źródłami płodności, zaniedbane oddawna, stały się źródłami bagnisk, siejącemi zarazę i śmierć; w olbrzymich sitowiach przebywają całe stada jeleni, bawołów, antylop, za któremi uganiają się lwy i szakale. Z gruntami położonymi nieco wyżej obchodzą się po barbarzyńsku: gnuśny Arab poskrobawszy zakrzywionym drągiem powierzchnię ziemi, rzuca garść jęczmienia, a po kilku miesiącach zbiera z każdego ziarna trzydzieści do czterdziestu kłosów [3].

Jeżeli jaki kraj może być nazwany „mlekiem i miodem płynący", to niezawodnie Mezopotamia, stąd nic dziwnego, że podania wszystkich niemal ludów [4] tam upatrują siedlisko „Raju rozkoszy, który zaszczepił P. Bóg od początku... i wywiódł z ziemi wszelkie drzewo piękne ku widzeniu i ku jedzeniu smaczne"... Z tego kraju naturaliści wyprowadzają pochodzenie bydląt domowych: wołu,

---

[1] W Szat-el-Arab przepływa średnio na sekundę 6696 metr. sześc.

[2] *Historia.* I., 193.

[3] Baillie Fraser, *Travels in Mesopotamia.*

[4] Que l'on interroge les traditions mysthiques de la Chine et de l'Inde comme les plus lointains récits de la vielle Europe ou des tribus africains: c'est vers le pays de Ninive et de Babylone que se rencontrent tous les souvenirs; c'est là que convergent tous les regards et que tous les témoignages humains placent l' ombilic du monde entier. *Hist. anc. de l' Orient,* p. Babelon, t. IV. p. 39.

konia, owcy, kozy, wielbłąda wieprza i psa [1]; tutaj dziko rosną drzewa sadowe: grusza, jabłoń, śliwa, winorośl, drzewo oliwne, migdałowe i inne; z tych właśnie okolic rozpowszechniać się mogły jarzyny a szczególnie zboża, owies, jęczmień, pszenica [2]. E. Reclus [3] streszczając mniemania uczonych badaczy mówi: „Archeolodzy i egzegeci stawiają różne hipotezy co do miejscowości w jakiej się znajdował ogród rozkoszy, zapisany w księgach żydowskich, lecz czyż nie należałoby go widzieć w tym pasie zakreślonym dwoma wielkiemi rzekami i kanałami je łączącemi? W napisach klinowych granice Babilonii zatoczone są zawsze czterema łożyskami rzek: Tygrem, Eufratem, Surapi, Ukni, temi samemi zapewne o jakich wspomina księga Rodzaju. Nazwa Edenu czyli *Gan-Edenu* byłaby tedy identyczną z *Gan-Duni*, jaką czasami kronikarze babilońscy dawali swemu krajowi, zostającemu pod opieką bożka Duni albo Dunia“ [4].

Pod względem cywilizacyi i kultury umysłowej dzisiejsza Mezopotamia nie podobną jest również do opisów, jakie zostawili nam o niej pisarze klasyczni i starsi nierównie od nich kronikarze miejscowi. Kilka miast większych, Mosul, Bagdad, Basora, kilkanaście pomniejszych, nie bardzo liczne grupy nędznych lepianek są jedynemi siedzibami ludu osiadłego w kraju, który co do rozległości większy jest od Austryi, a co do płodności kilkadziesiątkroć obfitszym. Niniwa, Babilon, Ur, Uruk, Harran... Seleucya, Ktezyfon... i tyle innych, które liczyły mieszkańców na krocie tysięcy, a może i miliony, znikły z powierzchni ziemi. Liczne zgliszcza i rumowiska, zwane z arabska *tell*, w północnej części kraju, a szczególniej w południowej, gdzie je liczą na setki i tysiące, a każde z nich było niegdyś siedliskiem większego skupienia ludności i ogniskiem wyższej kultury — są dziś tylko wymownymi dowodami znikomości rzeczy ludzkich. Znikły też i potężne ludy, które je budowały i obec-

---

[1] G. de Mortillet, *La préhistorique.*

[2] A. de Candolle, *Géogr. botanique raisonnée.*

[3] *Nouv. Géogr. Univ.*, t. IX., p. 381.

[4] Pytanie gdzie było siedlisko raju zadawali sobie uczeni wszystkich wieków; w ostatnich czasach skoro asyryologia przyniosła nowe materyały, Sir H. Rawlinson, Detitzsch i inni na nowo podjęli tę kwestyą. Rzecz dotąd nie jest rozstrzygniętą, jednakże przybyło nam pod tym względem wiele nabytków pewnych i ciekawych; pomówimy o tem, da P. Bóg, osobno.

nie wśród miejscowej ludności badawcze oko etnologa odnajduje tylko szczątki typów prastarych mieszkańców lub założycieli tych grodów.

Wszystkie prawie ludy, które tu panowały lub tędy przechodziły, a panowało i przechodziło ich tyle, zostawiły tu swych osadników. Ludy języków aryjskich, semickich, chamickich i turańskich, Grecy, Persi, Ormianie, Asyrowie, Arabi, Izraelici, Chananejczycy, Medowie, Scytowie, i Turcy mają tu swych przedstawicieli, którzy albo zachowali swe właściwości rasowe i językowe, a stąd znani są pod swemi pierwotnemi nazwami, albo też pomieszali się z innymi, wytworzyli nowe rasy i nowe nazwy przybrali.

Turcy, jakkolwiek panowie kraju, nie są tu liczni: zajmują wyższe godności urzędnicze, trudnią się handlem, głównie zaś stanowią załogi wojskowe.

Rdzenną ludność przedstawiają dawni zaborcy, Arabi czyli Beduini, dlatego, jakkolwiek językiem państwowym jest język turecki, język arabski jest w powszechnem użyciu, i Baszowie w tych dwu językach wydają ogłoszenia i rozporządzenia. Beduini żyją osiedleni po miastach i wioskach, lecz w znacznej części prowadzą życie koczownicze pod namiotami, i jak za czasów patryarchalnych, przenoszą się z miejsca na miejsce ze stadami wielbłądów, bawołów i owiec. Arabi koczujący podzieleni są na plemiona, i podlegają Szeikom, których godność bywa zwykle dziedziczną. Wielkość plemienia bywa rozmaita: wiele z nich nie liczy więcej nad kilkaset namiotów, lecz są inne, których liczba jest bardzo poważna. Plemię Szamar liczyło 28 000, plemię Anazeh 30 000 namiotów; w XVII-ym w. wybiły się z pod panowania tureckiego i podzieliły się całym krajem między górami syryjskiemi i perskiemi. Rozterki między Szeikami wywołały wojny wewnętrzne, z których skorzystali Turcy i obalili ich rządy. Plemiona arabskie płacą dań Sułtanowi, lecz ta wypłata połączona jest z wielu trudnościami. Nierzadko się zdarza, iż Beduini miasto wypłaty haraczu napadają na osiadłych mieszkańców wiosek i miast, palą, łupią, a przed pogonią uchodzą w bezdrożne stepy na swych dzielnych koniach i szybkich wielbłądach. Karawany kupieckie i pieniężne przesyłki rządowe są zawsze konwojowane oddziałem dobrze uzbrojonym, a pomimo tego ulegają one nieraz napadom i złupieniu. Jest rzeczą

prawdopodobną, iż część ludności dawniejszej, która uszła zagłady miecza, a nie zdołała się schronić w góry Kurdystanu, przyjęła język, obyczaje i wiarę krzewicieli Islamu: w okolicach Hilleh, na gruzach Babilonu, żyje dotąd pokolenie, które się zowie *Babili*, i wywodzi ród swój od starych mieszkańców tego grodu.

Górne dorzecza Tygru i Eufratu zamieszkują ludy różnego pochodzenia, języka, wyznania, Kurdzi, Jezydzi, Chaldejczycy, Nestoryanie.

Ludy jakieś, pochodzenia przeważnie aryjskiego, zmieszały się z Turanami i Semitami, i wytworzyły w ciągu wieków odrębne, liczne (2 miliony) plemię, które nosi nazwę Kurdów. Język ich jest mięszaniną różnych języków: pięć, co najmniej, liczy on gwar odmiennych, a różnica między niemi taka, iż Kurd z Cylicyi nie rozumie Kurda z Kopet-dach; w piśmie używają znaków arabsko-perskich. Kurdzi, w znacznej części wyznają mahometanizm, lecz dzielą się na dwa wrogie obozy: sunitów i szyitów; istnieje nadto między Kurdami wiele innych sekt, w których pomieszane są różne pojęcia i wyznania, poganizm, mahometanizm i jakiś chrześcijanizm. W Armenii wyznają Kurdzi stary mazdeizm z różnymi nowymi dodatkami; nad środkowym Eufratem są znaczne osady, znane pod nazwą *Kizil-basz* albo *Terach Sonderan* (gasiciele światła), których wyznawcy oddają się różnym wstrętnym i ohydnym obrzędom [1]. Kurdzi odznaczają się duchem wojowniczym, a raczej rozbójniczym: skupiają się oni w bandy, napadają na okolicznych nieprzygotowanych mieszkańców, palą i wycinają wszystko w pień, co nie uważają za stosowne uprowadzić do swych łotrowskich jaskiń. Do Europy dochodzi tylko od czasu do czasu odgłos ich okrucieństw: Sułtan turecki i Szach perski, którym wrzekomo podlegają, nie kwapią się z ogłaszaniem podobnych wiadomości, gdyż nie chcą się przyznać do swej niemocy w poskromieniu rozbójników.

Nieliczny lud, około 200 000 dusz, zamieszkujący wzgórza i góry północnej Mezopotamii, z wielu względów zasługuje na bliższe poznanie: Jezydzi zajmują siedziby Asyrów, stąd zwyczaje ich i podania mogą wyświecić niejeden szczegół, odnoszący się do

[1] Ob. Millingen, *Wild Life among Koords*. A. Vambery. *Allgem. Zeit.* 27 grud. 1877.

dziejów państwa asyryjskiego, nadto wyznanie ich i obrzędy rzucają wiele światła na spaczenie pojęć religijnych. Jezydzi mieszkają przeważnie około Mosulu, lecz posiadają nadto wiele osad rozrzuconych w Zachodniej Azyi, mianowicie w Armenii, Syryi, Północnym Kurdystanie, nawet nad Bosforem. W górach Syndżar (Singara) do r. 1838 żyli niezależnie pod swym dziedzicznym Szeikiem, obecnie jakkolwiek każda miejscowość, jaką zamieszkują, ma swego wybieralnego lub dziedzicznego Szeika, jednakże zależnym on jest i podległym baszy tureckiemu, urzędującemu w odnośnym paszaliku. Władza duchowna Jezydów spoczywa w rękach osobnego i dla wszystkich wspólnego Szeika duchownego, z całym zastępem Kawałów (kapłanów) i Fakirów, którzy stanowią kastę; urząd kapłański przechodzi dziedzicznie nie tylko na synów ale i na córki. Nieznany jest pierwiastek etniczny Jezydów: według ich podań, mieli tu przybyć z południowej Mezopotamii; nazwa Jezydów, jaką im dają, ma również początek nieznany. Jeden z pierwszych Kalifów arabskich zwał się wprawdzie Jezyd, lecz nie jest prawdopodobnem, aby od niego sekta wzięła początek. Sir H. Rawlinson wynalazł w Chadiab (greckiej Adiabene) nazwę miejscowości, mającą podobne brzmienie, Theophanes [1] zaś wspomina o siedzibach Jezydów nad małym Zabem. Jezydzi są znani pod nazwą *Czcicieli szatana*: wszystkie ludy obok których mieszkają, do jakiegokolwiek należą wyznania, Chrześcijanie, Żydzi, Mahometanie tak ich nazywają i z tego powodu największą wzgardę im okazują. Etnologowie europejscy usiłowali różnemi czasy dojść ile jest prawdy w tem oskarżeniu, a jakkolwiek nie zdołali odkryć wszystkich tajemniczych obrzędów, potwierdzają całkowicie mniemania tuziemców [2]. Na zewnątrz Jezydzi zachowują formy obrzędów mahometańskich, żydowskich i chrześcijańskich. Praktykują obrzezanie, jakiś rodzaj chrztu, zachowują ścisłe posty, nie jadają wieprzowiny, częste robią ablucye, w uroczystych modłach używają języka arabskiego, którego nie rozumieją, napisami z koranu przyozdabiają swe świątynie, żegnają się znakiem krzyża i t. d. Uznają Istotę najwyższą, lecz czci jej nie oddają

[1] Καὶ ἠπλίκευσεν εἰς τοὺς οἴκους τοῦ Ἰεσδέμ. *Chronographia.* p. 492, wyd. Bon.

[2] O Jezydach pisali: M. Wagner, Von Hammer-Purgstall, C. Ritter, F. Forbes, A. Grant, Taylor, Rich, Layard, Réclus i inni.

natomiast oddają cześć „złemu duchowi“, choć nigdy do tego wprost się nie przyznają. Nie ukrywają jednak, iż w wielkiem mają poszanowaniu *Melek Taous* [1], (król paw) albo *Melek el Kout* (potężny anioł). Przyznają, że szatan był wodzem wojska niebieskiego, a z powodu podniesionego buntu przeciw Istocie najwyższej skazany jest obecnie na karę, lecz jest on zawsze potężnym i powróci kiedyś do swej pierwotnej godności. Należy go tedy nie tylko szanować, lecz nawet mu się zasługiwać, mówią oni, albowiem może obecnie wiele złego wyrządzić ludziom, a później będzie mógł im się odwdzięczyć. Jezydzi nie wymawiają nigdy nazwy arabskiej szatana, *Szejtan*, a nawet gdyby kto poważył się w ich obecności wymówić ten wyraz, wówczas każdy Jezyd winien go zabić, a następnie i sobie życie odebrać. Layard, który przez długi czas używał Jezydów do odgrzebywania z gruzów Niniwy i był w zażyłości z ich Szeikiem duchownym, przytacza wiele ciekawych szczegółów [2]. Tenże asyryolog jakkolwiek posiadał wielkie zaufanie u Jezydów i uczestniczył w dorocznej uroczystości jaką oni obchodzą przy grobie słynnego swego szeika Adi w Lalesz, na północ od Mosulu, nie był jednak przypuszczony do niektórych obrzędów, nie mógł mianowicie wymódz

---

[1] Melek, Molek, Moloch — nazywali Chananejczycy swe bóstwo.

[2] „The Yezidis recognise one Supreme Being; but, as far as I could learn, they do not offer up any direct prayer or sacrifice to Him. Sheikh Nasr endeavoured to evade my questions on this subject... The name of the Evil spirit is, however, never mentioned; and any allusion to it by others so vexes and irritates them, that it is said they have put to death persons who have wantonly outraged their fellings by its use“... Opowiada następujące zdarzenie, które on sam mimowolnie wywołał. Podczas obchodu w Lalesz jeden z chłopców, aby się lepiej przypatrzyć wdrapał się na drzewo i zawisł na cienkiej gałęzi, która groziła złamaniem „As I louked up I saw the impending danger, and made an effort, by an appeal to the Chief, to avert it. „If that young Sheit“... I exclaimed, about to use an epithet, generally given in the East to such adventurous youths; I checked myself immediatly; but it was already too late; half the dreaded word had escaped. The effect was instantaneous; a look of horror seized those who were near enough to overhear me; it was quickly communicated to those beyond. The pleasant smile, which usually played upon the fine features of the young Bey, gave way to a serious and angry expression. I lamented thad I had thus unwillingly wounded the feelings of my hosts, and was at a loss to know how I could make atonement for my indiscrection — doubting whether un apology to the Evil principle or to the chief was expected“. *Nineveh and its remains* v. I. 2 edit., p. 297, 288.

aby mu okazali swe „święte księgi“, i był wykluczony od tajemniczego obrzędu, w którym Melek Taous okazywany był kapłanom [1].

Pod nazwą Chaldejczyków znani są dzisiejsi mieszkańcy Mezopotamii, którzy w pierwszych zaraz wiekach przyjęli religię chrześcijańską, a za czasów Nestoryusza odpadli od Kościoła, i z tego powodu nazywani byli również Nestoryanami. W XVI-ym w. część Chaldejczyków, zachowując swój obrządek, połączyła się z Rzymem i zostaje obecnie pod zwierzchnictwem *Patryarchy Babilońskiego*; inni trwający w nestoryanizmie podlegają Patryarsze zwanemu *Katolikos*. Jedni i drudzy zowią się sami *Chaldai*, używają w liturgii języka aramejsko-syryjskiego, a często nawet i w mowie potocznej. Rodowód ich nie jest znany. Niektórzy uznają w nich resztki dziesięciu pokoleń żydowskich, uprowadzonych przez Sargona do Asyryi; inni mniemają, że to potomkowie dawnych Chaldejczyków, którzy niegdyś wyrobili i przez długie wieki utrzymali kulturę południowej Mezopotamii na wysokim stopniu podniosłości. Ostatnie przypuszczenie jest prawdopodobniejsze. W pierwszych wiekach chrześcijaństwa, kiedy Rzym zalewany był dzikiemi hordami barbarzyńców, w Zachodniej Azyi kwitnęła cywilizacya: Nestoryanie przyswoili sobie kulturę grecką i zachowali ją nawet pod zaborcami mahometańskimi. W Seleucyi, Nizybis (Antiochia Mygdonia), Urhai (Edessa) istniały szkoły wyższe, uniwersytety chaldejsko-greckie. Na dworze Kalifów, Nestoryanie zajmowali wysokie urzędy i uprawiali nauki: oni tłumaczyli dzieła uczonych Greków na język arabski, oni byli nauczycielami Arabów, im to zawdzięcza cywilizacya arabska rozgłos i świetność, tak iż można twierdzić, że cała cywilizacya arabska była w istocie i jedynie chaldejską. Wpływ Chaldejczyków rozprzestrzenił się po wyżynach Azyi środkowej, zakładali oni ogniska chrześcijańsko-cywilizacyjne w Persyi, Turkestanie, Mongolii i Chinach, nie pominęli też i Indyj. Po roz-

[1] Some ceremony took place before I joined the assembly at the tomb, at which no stranger can be present, nor could I learn its nature from the Cawals. Sheikh Nasr gave me to understand that their holy symbol, the Melek Taous, was then exhibited to the priests, and he declared that, as far as he was concerned, he had no objection to my witnessing the whole of their rites; but that many of the Sheikhs were averse to it, and he dit not wish to create any ill feeling in the tribe. *Loc. cit.* p. 294, 295.

biciu Kalifatu przez Mongołów, Chaldejczycy utrzymali jeszcze swój wpływ w Bagdadzie i swe stanowisko cywilizacyjne, Tamerlan dopiero położył kres ich potędze, wytępił ich w swem ogromnem państwie, ocaleli jedynie w niedostępnych górach Kurdystanu. Skoro niestało Chaldejczyków, przestała istnieć i cywilizacya arabska. Obecnie Chaldejczycy tak prawowierni jak i odszczepieni liczą około 200 000 dusz i skupieni są około Mosulu i Bagdadu.

Żydzi, którzy niegdyś stanowili tu potężne osady liczbą i wpływem, których jeszcze w XII-ym w. w samem mieście Hilleh liczono do 20 000, obecnie małą tylko ilość mają swych przedstawicieli. Nadto zamieszkują Mezopotamię szczątki różnych innych plemion i sekt, jako to: Jakobici czyli monofizyci, chrześcijanie Baptyści albo Sabejczycy, sekta żydowska więcej aniżeli chrześcijańska, Wahabi'owie arabscy, perscy Babi'owie, Persi i Indowie szyici, Sabelianie czyli czciciele gwiazd, i inni.

Tak się przedstawia wraz ze swymi mieszkańcami kraj, który niegdyś ważną rolę odgrywał w dziejach ludzkich. Asyrowie i Babilonowie byli nietylko panami Zachodniej Azyi, lecz i sam potężny Egipt im hołdował; od najdawniejszych czasów skupili się oni w społeczeństwa, rozbudzili działalność umysłową i dali początek kulturze, która stała już wysoko wówczas, kiedy gołębica wiła dopiero gniazdo na świętym dębie Dodony, kiedy wilczyca karmiła niemowlęta żelaznego plemienia. O dziejach jednak tych ludów niedokładne posiadaliśmy wiadomości. Potomkowie Abrahama poświęcili wprawdzie, w księgach świętych, wiele kart swym dawnym współplemiennikom i srogim gnębicielom zarazem; Grecy, spadkobiercy Asura i Nabuchodonozora, przekazali nam nieco z ich historyi, lecz pierwsi podawali tylko oderwane wyjątki, opowiadania zaś drugich były niedostateczne, nie pewne, z drugiej i trzeciej pochodzące ręki. Herodot zostawił podobno historyę Asyryi, lecz nie doszła ona do potomności, co mówi o nich w jedynem swem dziele, jakie posiadamy, są to cenne tylko okruchy. Ktezyasz żyjący na dworze Artakserksesa-Mnemona (400 r. przed Chr.) pisał *Historyę Persyi*, wyjątki z niej doszły nas w dziełach innych pisarzy; jakkolwiek mógł posiadać dobre materyały, krytyka zarzuca mu stronniczość. Późniejsi pisarze, Dyodor Sycylijski, Helladyusz, Mar Abas Katina i inni pozostawili niedokładne wzmianki, najczęściej czer-

pane z innych autorów. Posiadamy jednak pisarza z III-go w. przed Chr., który pisał historyę Asyryi, a materyały czerpał na miejscu, z kronik przechowanych w bibliotekach. Berozos, kapłan chaldejski napisał *Chaldaica* czyli *Babilonica*, około r. 280 przed Chr.; dzieło jego zaginęło, wyjątki tylko podane są w Euzebjuszu, Syncellu i Józefie Flawiuszu. Takie były do niedawna nasze jedyne źródła odnoszące się do dziejów zachodniej Azyi; o ich zaś wartości w ten sposób wyraża się asyryolog francuski V. Place[1]: „Z wyjątkiem danych biblijnych, które są współczesne państwu asyryjskiemu, w historykach starożytnych panuje o niem albo milczenie niewytłumaczalne, albo też rzadkie i niedokładne wzmianki... Wszystko co przywodzą o Asyryi niema należytego ciągu, chronologia pozbawiona jest krytyki, kilka zaledwie dat i kilka imion królów przyjąć tylko można. Mówią oni wprawdzie o murach olbrzymich, jakie opasywały stolice, o niezmiernej liczbie obronnych baszt, wspominają przepyszne pałace, mnogie płaskorzeźby i malowidła, jakiemi były przyozdobione, lecz z tego wszystkiego nie można było wyrobić sobie pojęcia o rzeczywistości... To samo można powiedzieć o zwyczajach, obyczajach, sztukach, naukach a nawet o typie tego starego ludu". Co więcej, źródła te były mętne i bajeczne. Opowiadały one o Ninusie, Semiramidzie i Sardanapalu, o starożytności cywilizacyi liczącej setki wieków, i o innych podobnych wypadkach i przejściach, które niewydawały się prawdopodobne, o których starzy pisarze rzymscy powątpiewali, a jednakże w braku innych, choć z zastrzeżeniem opowiadano je i ich uczono.

Historya Asyryi i Babilonu była nie tylko mało znaną, ale z biegiem czasu ślady nawet tych ludów i ich olbrzymich stolic zatracone zostały. Do niedawna domyśliwano się mniej więcej gdzie leżał wielki Babilon, lecz nic nadto; żadne sterczące gruzy nie dawały pojęcia o jego wspaniałych pomnikach, których resztki podziwiał Herodot i Ktezyasz. A jednakże Aleksander W. rozumiał, że Babilon jest kluczem Wschodu, starał się go podźwignąć i przywieść do dawnej świetności i potęgi; napróżno — śmierć go w nim zaskoczyła. Z jakich powodów następca jego Seleukus Nikator wolał założyć o 50 kilom. wyżej nad Tygrem stolicę, która nosiła jego

[1] *Ninive et Assyrie* t. I., p. 3.

nazwę, niewiadomo, lecz i ta Seleucya niedługo trwała. Ktezyfon zbudowany przez Partów na lewym brzegu Tygru upadł również, kalifowie zastąpili go Kufą, a później Bagdadem. Babilon nie miał już powstać. Ogromny obszar 576 kil. kwadr., jaki on zajmował, z wyjątkiem miasta Hilleh i kilku mniejszych osad — w których bujna roślinność, ocieniona laskami palmowemi i orzeźwiona strumieniami, pozostawiła jakby na okaz swego dawnego przepychu — cały ten obszar przedstawia widok ponury, przykry; zabobonny Arab z trwogą w sercu omija szybko te miejscowości. Step bezleśny, jak tylko oko dojrzeć może, pokryty jest bajorami, w których przy zwrotnikowem słońcu rozkładają się organizmy roślinne i zwierzęce [1]. Te źródła śmiertelnych wyziewów, które czasem dochodzą do takich rozmiarów iż miano morza otrzymały: *Morze Nedżef*, spotęgowane są gromadzeniem trupów, jakie Szyici z odległych stron, z Bombaju nawet, tu sprowadzają aby je pogrzebać obok grobu Ali'ego w Nedżef i Kerbeli. Okolice Babilonu są siedliskiem wszystkich zaraźliwych chorób. „Badania uczonych lekarzy, mówi Réclus [2], wykazały, że morowe powietrze przychodzące z Kurdystanu, ma zawsze swe ognisko w Babilonie". To spustoszenie i zupełne zniknięcie z powierzchni ziemi wielkiego i potężnego miasta rzeczą jest zdumiewającą, lecz to samo zdumienie było przewidziane i przepowiedziane: *Każdy idący przez Babilon zdumieje się i świstać (sibilabit) będzie nad wszystkiemi plagami jego* [3]. Samo spustosze-

---

[1] La plaine, jadis habitée par une population très dense, couverte de ces forêts de dattiers et de ces moissons qú Hérodote admirait si fort, s'est changée en un désert aride où l'inondation annuelle laisse des étangs dont les limites indécises et variables se cachent dans l'épais fourrés de tamarix et de joncs, de cyperus et de roseaux gigantesques. Partout ailleurs que sur le bord de ces marais, l'aspect du pays est presque aussi morne que celui des déserts de sable qui bornent à l'ouest la Chaldée et l'Assyrie. Ici le sol, couvert d'un chaume brûlé et comme calciné, est d'un ton fauve; là il est formé d'une poussière grise que le moindre vent soulève par tourbillons; dans le voisinage des sites anciennement habités, fait de briques pulvérisées ou cassées en menus morceaux il en a pris le ton rougeâtre.

G. Perrot. *Les fouilles de Chaldée.* Rev. des Deux-mondes, Octobre, 1882, p. 538.

[2] Nouv. Géog. Univ., t. IX., p. 458. Ob. również L. Arnaud, *Rapport officiel sur la peste en Mesopotamie.*

[3] Jerem. L., 13.

nie miasta zapowiedziane było dwa wieki przedtem. Potomek Dawidowy, wielki prorok Izajasz głosi jego upadek: *Zatracę imię Babilonu, i szczątek, i płód i naród, mówi Pan... Nie będą w nim mieszkać aż do końca i nie osadzą go aż do narodu i narodu, ani tam nie rozbije namiotów Arab, ani tam pasterze odpoczywać będą... A uczynię ją dzierżawą jeża i kałużami wód...*[1]. Za czasów Nabuchodonozora, kiedy olbrzymia stolica jego, kilkanaście razy większa od największych dzisiejszych stolic Europy, pełna była bogactw i przepychu, której pałace, świątynie, ogrody wiszące zaliczano do cudów świata, której mury ochronne dochodziły do 100 kilometrów długości, a bronione były przez wojowników, którzy byli podbili zachodnią Azyę i Egipt, w tym czasie dał się słyszeć głos Proroka Bożego ludowi wybranemu, uprowadzonemu do niewoli. Jeremiasz zapowiada nie tylko upadek Babilonu, jego zupełną zagładę, lecz nadto wzrokiem natchnionego wieszcza widzi stan jego dzisiejszy[2]. *To mówi Pan: oto ja wzbudzę na Babilon i na obywatele jego... I poślę do Babilonu przewiewacze, i rozwieją go a splądrują ziemie jego... Wzięt jest Babilon, zawstydzon jest Bel, zwyciężon jest Merodach, zawstydziły się ryciny jego, zwyciężone są bałwany jego... Ocuci się przeciw Babilonowi myśl Pańska, aby położył ziemię Babilońską pustą i niemieszkalną... Wystąpiło morze na Babilon, pokryt jest mnóstwem wałów jego...*[3]. *Stały się miasta zdumieniem, ziemią niemieszkalną i pustą, ziemią w której nikt nie mieszka, ani chodzi przez nią syn człowieczy... I będzie Babilon mogiłami*[4], *mieszkaniem smoków*[5]*... i mur*

---

[1] Izaj. XIII., 20.; XIV., 22, 23.

[2] Jerem. L., 2; LI., 1, 2, 29, 37, 39, 40, 42, 43, 44, 61, 62, 63, 64.

[3] „Wody wezbranego Eufratu wychodzą z łożyska, zalewają całe miejscowości i tworzą ogromne bagna, które istnieją dziś począwszy od zachodnich rumowisk Babilonu aż po odnogę Perską; błotnisty namuł wydziela z siebie wyziewy zatruwające powietrze“... G. Perrot, *Histoire de l'Art*, t. II., p. 12.

[4] „Żadna miejscowość Azyi Zachodniej nie posiada tylu zgliszcz co Mezopotamia; wielkie przestrzenie ziemi są pokryte szczątkami gliny wypalanej. *Tell* czyli kurhany liczą się tu na setki i tysiące, gruzy wieżyc, bezkształtne rumowiska, przypominają grody wielkie i ludne niegdyś, a których same nazwy są nam dziś nieznane“. E. Réclus, *Nouv. Géogr. Univ.*, t. IX., p. 382.

[5] „Wzgórza rumowisk (babilońskich) wskazujące położenie głównych

babiloński upadnie...[1]. *Nie będą w nim mieszkać dalej aż na wieki, ani będzie zbudowan aż do pokolenia i pokolenia. Jako wywrócił Sodomę i Gomorę i bliskie jej, mówi Pan, nie będzie tam mąż mieszkał...* Wielki mąż Izraelski kończy swą przepowiednię temi słowy: *I rzekł Jeremiasz do Sarajasza: Gdy przybędziesz do Babilonu, a ujrzysz i przeczytasz wszystkie te słowa, rzeczesz: Panie, tyś mówił przeciw miejscu temu że je masz wytracić, aby nie było ktoby w nim mieszkał od człowieka aż do bydlęcia, i żeby było pustkami wiecznemi. A gdy skończysz czytanie tej księgi, przywiążesz do niej kamień i rzucisz ją w pośród Eufratesa, i rzeczesz: Tak zatopion będzie Babilon, a nie powstanie od utrapienia, które ja nań przywiodę i rozwali się.* I ziściło się wszystko, aż do najdrobniejszych szczegółów.

Kiedy kolos ten zginął pod mieczem perskim, państwo Asura dawno już przestało było istnieć. Ślady mordów i pożogi długie czasy przypominały jeszcze ludom Zachodniej Azyi okrutne jego jarzmo, nie znalazł się jednak żaden historyk, któryby napisał dokładną datę jego upadku[2]. Lecz zato posiadamy drogocenne zapiski zostawione w księgach świętych. P. Bóg szczególną opieką otaczał lud wybrany i prowadził go do zamierzonego przez Siebie celu. Czasu sprawiedliwości używał Pan „rózgi żelaznej“[3] innych ludów do karania przestępstw dzieci swoich, czasu zaś miłosierdzia rózgę tę łamał. Królestwo Izraelskie uprowadzone już było do niewoli, królestwo Judzkie jęczało pod uciskiem Asyrów za grzechy swe, za grzechy Manasesa, który „czynił złe przed oczyma Pańskiemi“, lecz Pan chciał podnieść ducha wiernych; wysyła zatem z ramienia swego

---

gmachów, pałaców, ogrodów wiszących, Piramidy Bel'a i Wieżycy Języków służą (dziś) za schroniska dzikiemu zwierzowi pustyń mezopotamskich“. E. Babelon, *Hist. anc. de l'Orient*, t. IV., p. 441.

[1] Dzisiejsi badacze nie odszukali jeszcze całkowicie dawnych murów Babilonu, których szczątki oglądał jeszcze Herodot. Mur zewnętrzny opatrzony 250 bastyonami miał mieć wysokości 95 m., szerokości 25 m., długość jego wynosiła 54 800 metrów (480 stad.); sto bram brązowych doń wiodło. Mur ten został rozwalony na rozkaz Daryusza. G. Smith odnalazł mury wewnętrzne miasta środkowego, czyli królewskiego (City), miały one 13 000 m. długości.

[2] Dzisiejsi historycy nie zgadzają się z sobą co do daty: jedni podają upadek Niniwy na rok 625 przed Chr. inni na rok 606.

[3] *Reges eos in virga ferrea* Ps. II. 9. W wielu miejscach Pisma św. podobne się napotyka wyrażenie.

wieszcza z obietnicą: *A teraz złamię laskę* (virga) *jego* (Asura) *z grzbietu twego i związki twoje potargam* [1]. Posłannictwo nie ogranicza się na tem, prorok Nahum zapowiada upadek Asyryi [2]. A dzieje się to za panowania Asurbanipala, którego państwo rozciągało się od morza Czarnego po zatokę Perską, od Kaspijskiego po Śródziemne; za czasów najpotężniejszego króla Asyryi, zwycięzcy Arabów, Elamitów, Chaldejczyków, ludów Zachodniej Azyi, Syryi, pogromcy Teb egipskich. Barbarzyńskie zniszczenie tego potężnego grodu napełniło bojaźnią wszystkie ludy azyatyckie, lecz tenże wypadek daje prorokowi pohop i dowód, iż i najpotężniejsi upaść jeszcze mogą. *Izaliś lepsze*, woła on, *od Teb* [3] *ludnych, które mieszkają na rzekach? wody około nich, których bogactwo morze, a wody mury ich. Murzyńska ziemia mocą ich, i Egipt, a nie masz końca, Afryka i Libianie byli na pomoc twoją. Lecz i one w zaprowadzeniu w niewolą zawiedzione są; dzieci ich postrącane są na początku wszech dróg, a o szlachcice ich miotali los, a wszyscy przedni panowie ich okowani są w pętach* [4]. Cała księga Nahuma poświęcona jest opisowi upadku Niniwy. Wśród „proroków mniejszych“ Nahum odznacza się świetnością formy i stylu, całość przepowiedni jego stanowi przepyszny poemat [5]. Opisuje gniew Boży na grzeszników, wysławia Jego miłosierdzie i przechodzi do Niniwy; wypomina jej pychę i okrucieństwa i ogłasza jej wyrok P. Boga. Niniwa będzie zagładzona; w swem wieszczem widzeniu przedstawia prorok ostatnią walkę oblężną, zniszczenie miasta i mieszkańców

---

[1] Nahum I., 13.

[2] Egzegeci odnoszą proroctwo Nahuma do roku 660 przed Chr.

[3] W hebrajskim tekście stoi *No-Amon*, św. Hieronim przetłumaczył według swego nauczyciela, *Aleksandria*: „Hebreus, qui me in Scripturis erudivit ita legi posse asseruit“, tak też mamy w Wulgacie, dzisiejsi egzegeci słusznie tłumaczą No-Amon przez Teby. Ob. *Com. in Minor. Proph.* auct. J. Knabenbauer S. J., v. II., pp. 39, 40, 41.

[4] Nahum, III., 8, 9, 10.

[5] Ex omnibus minoribus prophetis nemo videtur aequare sublimitatem, ardorem, et audaces spiritus Nahumi. Adde quod eius vaticinium integrum ac iustum est poema; exordium magnificum est et plane augustum; apparatus ad excidium Ninivae eiusque excidii descriptio et amplificatio ardentissimis coloribus exprimitur et admirabilem habet evidentiam et pondus. Lowth, *De sacra poesi Hebraeorum*, pr. 21, p. 246, ed. Rosenmüller. Ob. rów. P. Knabenbauer, loc. cit., pp. 3, 4, 5, 6.

ogniem i mieczem. *Biada! miasto krwawe*, woła on[1], *wszystko kłamstwa szarpaniny pełne, nie odejdzie z ciebie łup. Głos biczą i głos pędu koła i konia rżącego, i poczwórnego woza wskok bieżącego, i jezdnego wsiadającego, i miecza błyskającego, i oszczepu lśniącego, i mnóstwa pobitego, i upadku ciężkiego*[2]: *i niemasz końca trupów i legą na ciałach swoich... Bramy rzek są otworzone, a zbór do ziemie rozwalony, Niniwa jako sadzawka wód wody jego*[3]... *Podpalą aż do dymu poczwórne twoje, a lwięta twoje pożrze miecz, i wykorzenią z ziemi łup twój, i niebędzie więcej słyszeć głosu posłów twoich... Tam cię pożrze ogień*[4] *zginiesz mieczem...* A wyrok ten był nieodwołalny, nie tak jak za czasów Jonasza, dla tego dodaje wyraźnie Nahum: *To mówi Pan, choćby doskonałymi byli i tak więcej było, tak też będą postrzyżeni i przeminie.* W kilkanaście lat potem inny mąż Boży, Sofoniasz przypomina zapowiedziane zniszczenie Niniwy. *I wyciągnie rękę swą na północy, a zatraci Assura, i obróci śliczną*[5] *w pustynię, i w bezdrożną i jako pustynię*[6].

---

[1] Nahum, I, 12; II, 6, 8, 13; III, 1, 3, 15.

[2] Rzeźby znalezione w wykopaliskach asyryjskich stwierdzają wiarogodność szczegółów, o samym zaś opisie mówi św. Hieronim: „Tam pulchra autem iuxta hebraicum et picturae similis ad proelium se praeparantis exercitus descriptio est, ut omnis meus sermo sit vilior".

[3] Wiemy dziś z napisów asyryjskich, że Tygr często zalewał miasto i czasami same nawet pałace królewskie podmulał. Czytamy w napisie Sennacheryba, tłum. Talbot'a (Records of the Past, vol. I, p. 25). The river Tibitti had ruined the brickwork of it (pałac), when it ravaged the quays of the central city... for a long time this river had undermined the front of the palace. In the high water of it floods it had made great rents in the foundations and had washed away the *timin* (walec napisowy)... That small palace I pulled down... The low platform I raised higher aud paved it firmly with stones of great size covered with bitumen.

[4] Pisarze dawniejsi i nowożytne badania stwierdzają szczegóły. G. Rawlinson (Herodotus, vol. I., pag. 501) pisze: „Wykopaliska w Niniwie pouczają nas, iż głównym czynnikiem w zburzeniu miasta był ogień. Znajdują tam przepalone marmury, stosy węgla i drzewa zwęglonego, olbrzymie posągi popękane skutkiem gorąca, słowem dowody ogromnego pożaru przepowiedzianego przez Nahuma".

[5] Wulgata ma *ponet speciosam*, w tekście hebrajskim stoi *ponat Niniven.*

[6] W hebr. tekście mamy: *in solitudinem, siccam ut desertum*, co egzegeci tłumaczą (P. Knabenbauer) i. e. regio non solum erit vastata et derelicta,

I będą legać w pośrodku jej stada, wszystkie zwierzęta narodów; i bąk i jeż, na progach ich będą mieszkać, głos śpiewającego w oknie, kruk na próżniku, bo zwątlę moc jego. Toć jest miasto sławne, mieszkające w bezpieczeństwie, które mówiło w sercu swojem: Jam jest, a prócz mnie niemasz więcej innego, jako się stało pustynią, legowisko bestyj? każdy który przechodzi przez nią ksykać (sibilabit) będzie i machać ręką swoją[1]. Wszystko to spełniło się co do joty. Niniwa i Babilon po dopełnieniu miary nieprawości swoich, upadły, nietylko ku wielkiej radości współczesnych ludów, lecz nawet dziś, po 25 wiekach, historycy zniewoleni są wyznać iż upadek ich był sprawiedliwą karą. „Upadła, mówi Lenormant[2], i dźwignąć się nigdy nie miała ta cywilizacya asyryjsko-babilońska, która potęgę swą i wielkość liczyła na wieki, lecz której nie można uwielbiać z powodu okrutnego ucisku, jakim cały Wschód gnębiła. Któż mógłby żałować jej sztuk, nauk i przepychu legendowego, nie zawoławszy zarazem: Wreszcie mordy i łupiestwa dziesięciowiekowe skończyły się! Długa była przewłóczność, lecz jakaż straszna kara!“ Zginęły grody i ludy, nie stało ich śladu, sama nawet pamięć miejscowości na której były zbudowane zaginęła: dotyczy to szczególniej Niniwy. Gdzie leżał wielki gród asyryjski, stolica Sennacheryba, miasto do którego wysłany był prorok Jonasz, z którego wyruszył Holofernes, gdzie przebywał Tobiasz — nic a nic niewiedziano. Nie wspomina o Niniwie Ksenofont, który ze swym dziesięcio-tysięcznym zastępem blisko jej zgliszcz przechodził, nie wiedział o niej Aleksander W., który w pobliżu odniósł stanowcze zwycięstwo nad Daryuszem (pod Arbelą), cesarz Klaudyusz założył w pobliżu kolonię rzymską *Colonia Niniva Claudiopolis*, lecz żaden Rzymianin nie domyślał się nawet, że była zbudowaną na gruzach

---

sed sterilis, arida, cuivis cultui inepta. Tak też przedstawia się ona dzisiaj. „Cała Mezopotamia północna, pisze G. Perrot (Hist. de l'art, c. II. p. 13), jest bezpłodnym stepem... Podróżny przebiegający ten kraj doznaje przykrego wrażenia na widok tej przyrody zdziczałej, jakoby upadłej, która zdaje się utraciła swą żywotność, chociaż, według tradycyj biblijnych, była kolebką rodu ludzkiego“.

[1] Sofoniasz II., 13, 14, 15.

[2] Hist. anc. de l'Orient, t. IV., p. 439.

dawnej asyryjskiej stolicy. Do ostatnich czasów nie wiedziano nic o jej położeniu. Kiedy Botta wydawał swe monumentalne dzieło (1846—1850) o odkryciach asyryjskich, dał mu tytuł *Monuments de Ninive*, sądził bowiem, iż napotkał na jej zgliszcza; tymczasem przekonano się później, iż nie była to całkiem Niniwa: następne dopiero badania doprowadziły do rzeczywistego jej odkrycia. (C. d. n.)

X. W. Zaborski.

WYSTAWA SZTUKI KOŚCIELNEJ W WIEDNIU.

W dniu 19 marca b. r. otwartą została w Muzeum autryackiem na Stubenring w Wiedniu wystawa której urzędowe miano brzmi *Ausstellung kirchlicher Kunstgegenstände.* Zbyt mało u nas o niej dotychczas mówiono i pisano. Znam osoby, i wykształcone, które w ciągu tych kilku miesięcy były w Wiedniu — bo któż z prawowitych Galicyan na wiosnę przez Wiedeń się nie przesunie — a przecie tej wystawy nie odwiedziły. Ponieważ trwać ona będzie do końca sierpnia, przeto może to przypomnienie posłuży jeszcze do zwrócenia na nią uwagi niejednego, co ją widzieć będzie miał sposobność. W każdym zaś razie przerwie milczenie które w tym wypadku byłoby niedodarowania.

Nieraz dają się słyszeć głosy wystawom przeciwne i nieraz zaprzeczyć się nie da, że powątpiewanie o ich pożyteczności jest uzasadnione. Pokolenie nasze przesycone już wystawami, które zwykle służyć mają tylko za pozór do ściągnienia przyjezdnych, a podniesienia słabnących dochodów właścicieli hotelów, restauracyj i fiakrów. Dla właściwych zaś celów rolnictwa, handlu, przemysłu, pozostają bez praktycznej doniosłości, a przynajmniej o doniosłości nie odpowiadającej poniesionym wydatkom i trudom. Dziś handel coraz bardziej obchodzi się bez jarmarków, a nie potrzeba zjazdów i wystaw aby się ludzie interesowani dowiadywali o wynalazkach, ulepszeniach, postępie.

Jest jednak rodzaj wystaw jeszcze i dziś w wysokim stopniu wydających rezultat praktyczny, przez to właśnie, że są czysto idealnej natury: wystawy sztuki i przemysłu artystycznego. Nic w rzeczach smaku tak nie kształci jak patrzenie. Można teoryą piękna

znać doskonale, a obojętnie przechodzić mimo najpiękniejszego przedmiotu. Zmysł piękna potrzebuje wyrobienia. Oko niewprawne nie dostrzega wielu rzeczy, niezdolne jest chwytać niektórych wrażeń; całe szeregi, całe działy wrażeń zupełnie dlań nie istnieją; patrzy a nie widzi. Jakże często ludzie, zkądinąd nawet światli, nie mogą niczego pięknego dopatrzeć się w rzeczy, która znawcę zachwytem napełnia! Jak często znawcy miani są za dziwaków! Dotyka to zwłaszcza archeologów, bo przeciętnie cywilizowanego człowieka dzisiejszej epoki najbardziej uderza, najpiękniejszem dlań jest to co nowe, świeże, świecące, czyste, co wyszło prosto z igły, a najczęściej prosto z fabryki. Produkt prawdziwie artystyczny, jeśli jest trochę przyterany, nie ma dlań najmniejszego powabu — harmonizująca barwy patyna czasu, nad którą unosi się smakosz estetyczny, dla niego jest po prostu brudem, oznaką starzyzny, dostateczną do skazania na zagładę pięknego budynku, rzeźby, obrazu, sprzętu, tkaniny i t. d. Tak modernizują się nasze miasta, domy, mieszkania, kościoły, zakrystye i skarbce kościelne, i... stają się coraz bardziej banalne.

Żyjemy bowiem w epoce fabryk i szablonu. Aż do końca przeszłego prawie stulecia większa część przedmiotów użytku nawet codziennego była wyrobem ręcznym, nosiła więc cechę indywidualną, stąd wyroby też i rzemieślnicze, suknie, naczynia, meble, świeczniki, szkła, okucia drzwi i szaf, klucze i t. p., choć najskromniejsze, miały w sobie pierwiastek do pewnego stopnia artystyczny. Nagły postęp techniki, wynalazki na polu przemysłu, wyrugowały rękodzieło i maszynie panowanie dały. A lubo do dziś dnia niejedna rzecz ręką rzemieślnika musi być wykonaną, wpływ szablonu już i na tych odbił się przedmiotach, bo wszystko musi się do mody panującej stosować, a zwyciężyła banalność wyrobów maszynowych i smak zepsuła.

Podobnie w dawnem wojsku każdy „towarzysz“ po swojemu był ubrany i uzbrojony, każdy przedstawiał całość, osobnika, mówił za siebie i po swojemu — dziś 20.000 żołnierzy jak jeden człowiek wygląda. Ma to swoje dobre strony — ale świat robi się pospolity i nudny, otoczenie człowieka powszednieje.

Natura ludzka jednak bez piękna obejść się długo nie może. Wśród epoki powszedniości odzywają się nawoływania do indywi-

dualizmu i artyzmu; w przemyśle samym, daje się czuć potrzeba upięknienia przedmiotów nawet czysto praktycznego użytku, pracują nad tem ludzie wytworniejszego wykształcenia, a ruch ten będący w swej pełni na zachodzie, do nas też zwolna się zbliża pod hasłem przemysłu artystycznego.

Jeżeli czemu, to reformie przemysłu artystycznego, wystawy oddać mogą wielką przysługę. Przez długoletnie panowanie fabrycznego szablonu, nie tylko zatracił się zmysł piękna w rzeczach użytku praktycznego, ale przerwana została nić tradycyi, jak je wyrabiać aby odpowiadały warunkom piękna. Trzeba się na nowo tego uczyć, trzeba dowodzić, badać, porównywać, trzeba patrzeć, bardzo dużo patrzeć. Tej potrzebie mogą zaradzić w znacznej części zbiory publiczne, muzea, których też dość pozakładano w większych miastach. Atoli z istoty rzeczy najmniej dla zbiorów takich przystępnym jest ten dział przemysłu, w którym piękno najdobitniej może się wyrazić: dział przedmiotów kościelnych. Po wszystkie czasy człowiek w przedmioty do kultu służące starał się wlać jak tylko mógł najwięcej piękna; nie żałował kosztownego materyału, i wszelakiej ozdoby, a w świątyni lub kościele nietylko dzieła sztuki w wyższem znaczeniu przybierały wzniosłość najszczytniejszą lecz i przedmioty powszedniejszego użytku, sprzęty, naczynia, szaty, dekoracyjne tkaniny, wszystko dostrajało się do powagi, wdzięku, idealizmu, formy, której napróżno gdzieindziej szukać. Dla ludzi wiary nigdy dość piękne nie mogą być rzeczy służące do tak wysokiego celu jak służba Boża. Natchnienie najgłębsze łączy się tu z chęcią dania Bogu, co się ma najlepszego; a w średnich wiekach i w początkach odrodzenia schodzi się gorąca i szczera religijność z nader wykształconem poczuciem formy i stylu.

O ile płody dawnego przemysłu artystycznego świeckie stosunkowo łatwo dadzą się gromadzić w muzeach, o tyle kościelne, jako po dziś dzień używane, tylko wyjątkowo tam się dostają. W zakrystyach zaś i skarbcach nie każdemu są dostępne i nie zbyt wygodnie studyować się dają. W ułatwieniu przystępu do nich szerszej publiczności i udogodnieniu ich badania szukać trzeba korzyści wystaw kościelnych archeologicznych, które otwierają bogate źródło wzniosłych natchnień i wzorów dla przemysłu artystycznego, a rozwijając poczucie stylu, i szerząc dobry smak, przyczyniają się do

podniesienia poziomu przemysłu artystycznego w ogóle, w szczególności do zwrócenia uwagi dzisiejszego pokolenie na najwłaściwsze kierunki sztuki kościelnej.

Obecna wystawa kościelna wiedeńska różni się wielce i zasadniczo od większej części zwykłych wystaw. Gdy tamte bywają wynikiem przypadkowego nagromadzenia przedmiotów, jakie się zebrać dały — ona jest wyrazem ściśle naukowego programu, owocem długoletniej naukowej pracy nad poznaniem artystycznego inwentarza kościołów krajów austryackich. Nie zbyt wielka, uderza ona nie ilością, ale doborem okazów i systemem w ułożeniu. Każdy przedmiot już z góry miał oznaczone miejsce, jakie zajmie w szeregu pokrewnych sobie i wśród całości. Nie dlatego jest, że się komuś przysłać go podobało, tylko dlatego, że jako ważny i charakterystyczny został naprzód upatrzonym przez organizatorów wystawy. Zasługa to kierownictwa, które objął zarząd Muzeum austryackiego, ale powiedzieć trzeba, że i najuczeńsi inicyatorowie nie zdołaliby takiej stworzyć wystawy, gdyby nie instytucya konserwatorów zabytków sztuki i nie 35 lat działalności komisyi centralnej archeologicznej i nie te tomy jej wydawnictw z opisami i rysunkami skarbów artystycznych z przeszłości zachowanych w Austryi wyższej i niższej, Morawie, Szląsku, Czechach, Tyrolu, Styryi, Karyntyi, Dalmacyi i t. d.

Na podstawie tych materyałów przygotowawczych oparto plan i system wystawy kościelnej, która tak dla braku miejsca, względów praktycznych i finansowych, jak bardziej jeszcze z powodów zasadniczych ograniczoną została do przedmiotów przemysłu artystycznego, oraz do dzieł sztuki tylko mniejszych, łatwych do przewiezienia. Udano się do księży, biskupów, kapituł, zakonów, proboszczów, instytucyj i kroporacyj, prosząc je o udzielenie pewnych z góry oznaczonych przedmiotów, przyczem uwzględniano głównie okazy rzadkie, typowe, wybitną cechę mające, mogące służyć za wzór, lub dostarczyć materyału do nowych pomysłów.

Cel wystawy nie był bowiem jedynie teoretyczny. Urządzającym ją nie chodziło tylko zaspokojenie zwykłej ciekawości, lub sprawienie przyjemności lubownikowi dzieł sztuki, czy zbieraczowi choćby najuczeńszemu. Miała ona wszystkim, którzy się temi rzeczami zajmują służyć ku pouczeniu, stanowić zachętę, podać wzory,

otworzyć oczy ludzi na piękno, szlachetność i powagę w sztuce, rozbudzić uśpiony zmysł do tego w naszem pokoleniu.

Uzyskane poparcie władz, protekcya najbardziej wpływowych osobistości, otwarcie dla celów wystawy zbiorów cesarskich i członków domu cesarskiego, ułatwienia przyznane ze strony zarządów kolejowych, i rękojmia bezpieczeństwa, jaką dla wystawców przedstawiało miejsce wystawy i urzędowa firma jej kierownictwa: wszystko zeszło się, aby ułatwić urzeczywistnienie zamiaru.

Otworzyły się podwoje zbiorów prywatnych i publicznych, prysły zamki skarbców kościelnych, ze wszystkich stron monarchii (prócz Galicyi) — zgromadzono wybór najpiękniejszych okazów. Nie poprzestano na zabytkach przeszłości. Ze względu na pożytek, przeciwstawiono im wyroby przemysłu artystycznego kościelnego czasów obecnych, aby każden mógł porównywać, wybierać i sąd sobie wydać sam.

W pośród danych granic dokonano podziału na grupy, o których niżej wspomnę; w każdej grupie starano się zachować porządek chronologiczny. A lubo miejsce i rodzaj szaf i gablot nie dozwolił trzymać się tej zasady systematycznie, to przecież przedmioty jednego rodzaju zawsze tak gromadzono i zestawiano, aby ułatwić ich szukanie i porównywanie.

Do tego wydawano zawczasu katalog bardzo umiejętnie ułożony, dokładny i szczegółowy, drukowany ozdobnie i okazale, mnóstwem illustracyi przedmiotów wystawy urozmaicony, i zawierający tę dla uczonych nieobojętną nowość, że przy ważniejszych przedmiotach podano też wskazówki co do ich literatury naukowej, tak że można z pomocą katalogu odszukać po publikacyach fachowych opisy, rysunki i naukowe o nich rozprawy. Ten szczegół nadaje katalogowi wartość głębszą i nie chwilową tylko, tak jak końcowy alfabetyczny indeks miejscowości, zkąd przedmioty wystawione pochodzą, czyni z niego rodzaj przewodnika artystycznego i archeologicznego po Austryi, repertoryum, na długie lata służyć mogące.

Przejdźmy do szczegółów.

Gdy przekroczymy progi ślicznego jako budynek muzeum austryackiego, i znajdziemy się w głównej środkowej sali, a raczej *atrium*, czyli oszklonym dziedzińcu, który jest jedną z rzeczy piękniejszych, jeżeli nie najpiękniejszych, nowszego Wiednia, jednym

z promieni w aureoli architekta Ferstla, zwróćmy nasze kroki zaraz na lewo, do długiej bocznej sali, oznaczonej rzymską siódemką nad drzwiami. Sala ta przeznaczona głównie na rękopisy i druki, mieści jednak obok tego wiele przedmiotów innych, dzieł sztuki większych, drobnych wyrobów, tkanin. Wśród tych ostatnich, warto z uszanowaniem przypatrzeć się wielkim oponom z grubego płótna, okrywającym ściany sali zaraz przy wejściu. Znalezione w Egipcie pochodzą one jeszcze z pierwszych wieków chrześcijaństwa i pośród ozdób haftowanych, czy tkanych wełnami kolorowemi, razem z głowami świętych Pańskich mieszczą motywa sztuki staroegipskiej; jest tych kawałków czyli brytów bardzo dużo, jedne z nich mogły służyć jako makaty, inne może są częściami szat kościelnych; oczywiście mocno poniszczone i podarte, dość jeszcze są zachowane, aby nas widok ich przenosił w świat pokrewny freskom katakumbowym. Są to świadki pierwszych kroków rodzącej się sztuki chrześcijańskiej.

Tuż obok nich wielką przestrzeń długiej ściany na przeciw okien zajęły inne dekoracyjne tkaniny mocno poniszczone i naddarte z czasów bardzo późnych sztuki chrześcijańskiej, bo z XVII. wieku, dla krakowianina szczególnie miłe, bo w jednej chwili przywodzące przed oczy nasz kościół Maryacki, z tak różnorodnemi a tak nam sympatycznemi bogactwami jego. Oto cztery wielkie obrazy na płótnie, wyglądające jakby drzeworyty lekko różowo i zielonawo kolorowane, a przedstawiające ustanowienie sakramentów pokuty, małżeństwa, bierzmowania i wieczerzę Pańską. Takie same wieszane bywają w naszej farze krakowskiej w czasach uroczystszych, ku ozdobie prezbiteryum ponad stallami. Tylko że nasze stanowią komplet 7 sakramentów i bez porównania lepiej zachowane, całe. Piękne te kompozycye uderzające powagą i rysunkiem, jak wiadomo, robione są według Poussina. Co do ich techniki, znawcy wiedeńscy nie umieli jej sobie wytłumaczyć i jest ona istotnie zagadkową. Ma cechę wyrobu drukarskiego, jakby ryciny widzianej przez szkło powiększające. Ale jak sobie wytłumaczyć wykonanie drzeworytu o powierzchni kilkudziesiąt metrów kwadratowych? A jednak potwierdza to śmiałe przypuszczenie podpis na zachowanych doskonale szlakach z motywów roślinnych, których w egzemplarzach wiedeńskich zupełnie bra-

kuje. Obok oznaczenia sakramentu każdego, wydrukowano: *Petrus Wouters excudit Antverpiae.*

Rząd gablot przy ścianie pod temi tkaninami, cztery wielkie gabloty w środku sali i kilka mniejszych pod oknami, zawiera księgi kościelne i nabożne, pisane lub drukowane — wszystko iluminowane. Parę gablot wreszcie — wzory oprawy ksiąg kościelnych. Wdawać się w szczegółowy opis nagromadzonych tam piękności malarstwa miniaturowego i rytownictwa, osobliwości sztuki kaligraficznej, ksylografii i introligatorstwa średniowiecznego lub renesansowego, tutaj niepodobna — tembardziej, że wymagałoby to mozolnych studyów z bliska, utrudnionych umieszczeniem książek pod zamknięciem. Dość powiedzieć, że zebrano najpiękniejsze okazy, jakie Wiedeń kraje austryackie w tym rodzaju posiadają; że zbiory fideikomisowe domu cesarskiego dostarczyły tam prawdziwych klejnotów rękopiśmiennych, między którymi rozkosz miłośnika stanowią kodeksy pergaminowe burgundzkie najpyszniejszemi malowaniami przyozdobione, będące niegdyś własnością takiego mecenasa sztuki jakim był Karol Śmiały, po którym niesłychane skarby artystyczne przeszły na dom Austryacki; albo we Włoszech wykonana, miniaturowana *en camaïeu* w XVI. wieku książka do nabożeństwa cesarza Karola V. Najwspanialszych i najosobliwszych okazów dostarczyły tu: słynna Albertina, zbiory prywatne znaczniejszych książęcych rodzin, biblioteki uniwersyteckie, kapituły katedralne i opactwa klasztorne. Z tych dwóch ostatnich źródeł uzyskano najstarsze ozdobne rękopisy, bo odnoszone do XI., X., IX. a nawet VIII. wieku. Wcale pokaźnym jest szereg tych poważnych staruszków, ewangeliarzy, psałterzy, sakramentaryów, brewiarzy, ceremoniałów, biblij, mszałów, antyfonarzy, książek do nabożeństwa, pasyonałów, żywotów świętych, horaryów czyli godzinek, które częstokroć dla panujących były robione, i które o ile można chronologicznie ułożone stopniowo zbliżają nas do końca średniowiecza, stawiając nam przed oczy typy najrozmaitszych czasów, krajów i szkół. Z czasów przejściowych XV. i XVI. wieku wspaniałej kolekcyi z niesłychanem znawstwem zebranej dostarczył p. C. Trau z Wiednia, którego kilkadziesiąt kodeksów byłoby ozdobą najbogatszego zbioru publicznego.

Ten sam zbieracz świetnie także otwiera szereg najdawniejszych druków, całą seryą wydań ksylograficznych biblii *pauperum*

z obrazkami kolorowanemi i innych podobnie wydanych książek z trzeciej ćwierci XV. wieku, więc samych największych rzadkości bibliograficznych. Obok zbioru jego nie powstydzą się sąsiedztwa stare druki ze zbiorów arcyksięcia Albrechta, czyli wspomnionej już Albertiny, z biblioteki prywatnej cesarza, i publicznej cesarskiej, między którymi są nietylko osobliwości i białe kruki, ale dzieła sztuki: jak drzeworyty norymberskie Wolgemutha, Albrechta Dürera; wiedeńskie Lienharda Becka, frankfurckie Wirgila Solis, J. S. Behama, wittenberskie Łukasza Cranacha, augsburskie Manassera i Kiliana, dalej francuskie, kolońskie i niderlandzkie druki na pergaminie z XV. i XVI. w. z rycinami najbardziej cenionych drzeworytników, po większej części znów do tego samego p. Trau należące.

Zbiór opraw książkowych niemniejszy przedstawia interes. Nie ma ich zbyt wiele, ale systematycznie zestawione, uwidoczniają stopniowe przemiany smaku i stylu od wieku X. począwszy, kiedy to sadzono się aby w oprawie ksiąg kościelnych złączyć piękność formy z bogactwem materyału, i składały się na nią kość słoniowa, kruszce często i szlachetne, drogie kamienie, emalia, a robotę dzielili między siebie rzeźbiarz i złotnik. Można sobie było tego pozwolić wówczas, bo książek było mało. Wiek XV. i XVI., rozpowszechniając je przez wynalazek druku, wprowadza oprawę tańszą z deski obciągniętej wyciskaną skórą, przy większym tylko formacie kutą bronzowemi narożnikami lub guzami. Dziś już nieraz płócienna oprawa zbyt jest kosztowną. Książek moc przesuwa się przez ręce, ale między niemi wielka liczba nawet papierowej okładki nie warta.

Wszelkiego rodzaju, typu i materyału oprawy są tu przedstawione. Mszał jeden z początku XVII. wieku wśród pięknie wyciskanej i złoconej skóry ma wyciętych na obu okładkach po pięć pól, wchodzących kształtem swym w stylowo pomyślaną ornamentacyę, a w każdem z tych pól miniaturę, pięknie na pergaminowym jakby w passepartout włożonym płatku, wymalowaną scenę z życia św. Bernarda z Clairvaux. Skromna zresztą oprawa jednej biblii z XV. w. będącej, przechowanej w bibliotece cesarskiej, o formacie dość dużym, zwraca uwagę swoim nadzwyczaj pięknego rysunku i pomysłu wyciskaniem na ciemnej skórze. W środku anioł ślicznych kształtów trzyma herby trzech norymberskich rodów patry-

cyuszowskich. Dokoła brzegów obiega gotycki splot roślinny, a na tylnej okładce w takiemże samem obramieniu lew i jeleń widzieć się dają. Jedna biblia z XVI. wieku, przysłana z biblioteki uniwersyteckiej w Pradze, ma na środku okładki z ciemnej skóry, wśród dość ładnych ornamentów wytłoczony czcionkami drukarskiemi cały ustęp z I. rozdziału księgi Jozue.... po polsku. Katalog mówi tylko, że biblia to polska; karty tytułowej nie widziałem.

Nad temi oprawami zawieszono ponad witrynami 18 akwarell ze scenami Męki Pańskiej, o jednostajnym formacie. Niesłychanie świetne co do kolorytu, uderzają prawdą charakterystyki, bogactwem strojów, przyborów narzędzi i architektury, peizażem przy złej perspektywie niepozbawionym prawdy w pojęciu wegetacyi, jakąś siłą życia i ruchem. Widzi się na nich najdokładniej proceder torturowy dawnych czasów uwydatniony plastycznie i z pewnym brutalnym, ale interesującym realizmem. Ma to być dzieło malarstwa tyrolskiego z XVI. wieku — na końcowej scenie monogram złożony z liter H i F (lub E), w połowie ramą zakryty.

Dalsze cztery gabloty pośrodku sali mieszczą wielką ilość drobnych sprzętów służących do ozdoby ołtarza: lichtarzy, krzyżów, relikwiarzy, z porcelany, drzewa, kości słoniowej, rzeźb i płaskorzeźb z alabastru, marmuru, wosku. Przy ścianie dzielącej od sali następnej umieszczono kilka ołtarzy szafiastych lub części ich rzeźbionych lub malowanych. Z tych drugich, nader zajmujące są skrzydła tryptyku z XV. wieku Redemptorystów przy kościele Maria am Gestade w Wiedniu. Malowanie na podkładzie płóciennym *à tempera* wykonane przedstawiają: na jednem zwiastowanie z ciekawą architekturą, widokami miast na peizażu ostatniego planu, a całym aparatem najstaranniej odtworzonych sprzętów zapełniających mieszkanie Bogarodzicy; malarz tam przedstawił nam meble, a na nich poustawiane: kubek, kielich, czarkę, książki, flaszki, pudełka i t. d. naturalnie najwierniej takie jakich w jego czasach używano. Na drugiem skrzydle niestety mocno przebudowanem widzimy koronacyę M. Boskiej, a więc znów niebo z całą orkiestrą anielską z instrumentami muzycznemi w rękach, zastępy chórzystów, jeden z aniołów przygrywa im na organach. Zajmująca to karta dziejów kultury ówczesnej, mająca prócz tego wyższą artystyczną wartość. Niedaleko stąd w rogu sali stoi oparty o ścianę

świecznik na drążku do noszenia na procesyach. Jest to wyrób drewniany snycerski z r. 1500 z gotyckiemi motywami złocony i częściowo polichromowany, przypominający nieco dwa prześliczne lichtarze, późno gotyckie znajdujące się u nas w kościele parafialnym w Bieczu. Zakończenie u góry stanowi aniołek klęczący na płaszczyźnie podtrzymywanej kapitelem i trzymający w ręku mały lichtarz do umocowania świecy.

Lecz przejdźmy do sali następnej. Jest to przestrzeń ogromna, zajmująca całą szerokość muzeum, z trzech stron oknami oświetlona i oznaczona rzymską VII nade drzwiami. Tu w 20 gablotach i szafach bardzo znacznych rozmiarów na wszystkie strony oszklonych nagromadzono największe skarby wystawy. Przechodzimy obok gabloty narożnej z nagromadzonymi najrozmaitszymi relikwiarzami, ołtarzykami, figurkami z metalu i terrakotty, zostawiamy z boku wielką szafę z kollekcyą krzyżów ołtarzowych, bo nęci nas mniejsza gablotka, raczej stół nakryty dużym kloszem szklanym. Przedmioty tu umieszczone dziwnie wytwornie i bogato wyglądają, lecz stylem należą już do przekwitłego odrodzenia, raczej do wczesnego barokka. Jest to zbiór szafeczek, ołtarzyków, relikwiarzy i innych sprzęcików do ozdoby ołtarza służących. Wszystkie w jednym rodzaju mają za tło i zrąb drzewo hebanowe, o częściach z perłowej macicy lub kości słoniowej, przybrane srebrnemi ornamentami, o efekcie w wielu miejscach podniesionym przez dodanie całych części przepysznych, do ubrania używanych klejnotów, złożonych z pereł wśród misternej oprawy z metalu i emalii. Kształty szlachetne architektoniczne całości, kontrast kolorów, bogactwo materyału i wykwintność motywów z najlepszego renesansu wziętych, składają się na wrażenie uroku nieporównanego. Jest to własność cesarskiej kaplicy pałacowej (Hofburgkapelle) i pochodzi z czasu około 1600 roku.

Tuż obok większa dla znawcy ponęta. Gablota już po otwarciu wystawy przybyła, mieści najciekawszą część skarbca katedralnego w Zarze w Dalmacyi. Same to relikwiarze o najrozmaitszych kształtach, ale wszystko romańskie, w srebrze kute. Jeden z nich, skrzynka o ornamentacyi ślicznej, płasko wybijanej z liści winnych, ma wśród niej plakietki z figurami świętych, wykonanemi jakąś zagadkową techniką, łączącą niello czarne z emalią zieloną i czerwoną.

Inny relikwiarz z cierniem z korony Zbawiciela, jest w kształcie monstrancyi i ma podstawę, złożoną z czterech smoków romańskich zwracających głowy na zewnątrz a ogonami splątanemi podtrzymujących wyższe części, widocznie z późniejszej będące epoki.

Najbliższa gablota niewielka niemniej też przyciąga oko. Są to same stare emalie. Obok kilku limuzyńskich najwięcej uwagę widza zwracają dwie pary lichtarzy miedzianych, kilka plakietek, relikwiarzy i małych tryptyków bronzowych o kształtach bardzo wytwornych, polichromii nader żywej, przeważnie w tonie niebieskim trzymanej. Są to przedmioty staroruskie lub bizantyńskie, należące prawie wszystkie do hr. Edmunda Zichy w Wiedniu, któremu pozazdrościć można takiego wyboru.

Wielka szafa dalej od okna odsunięta interesuje nie tyle materyalnem bogactwem przedmiotów i świetnością, co rozmaitością form do starszych epok średniowiecza należących. U góry szereg naczyń na wodę bronzowych, zwanych aquamanile, których same kształty ze świata zwierzęcego zaczerpnięte — zwykle są to lewki czasem w grupie np. z Samsonem rozdzierającym paszczę, przez którą woda z ich wydrążonego wnętrza się wylewa — świadczą, że z pojęciami stylu romańskiego są one w najściślejszym związku. Poniżej ustawione kadzielnice, wszelkich wielkości, kształtów i materyałów, stawiają nam przed oczy proces przemian stylowych i wzrastającej wykwintności: od prostej kuli dziurkowanej, żelaznej lub spiżowej — do ślicznego naczynia ze srebra o motywach architektonicznych, zaczerpniętych z gotycyzmu bogatego i rozwiniętego, choć jeszcze nie przekwitłego. Trudno pomyśleć misterniejszy wyrób złotniczy, jak ta kadzielnica pochodząca z opactwa w Seitenstetten, znana zresztą, opisywana i fotografowana — a warto przypomnieć, że blisko Krakowa w kościele paraf. w Zielonkach znajduje się bardzo podobna — może tylko nieco skromniejsza. Na kondygnacyi wreszcie najniższej stoją między wielu innemi przedmiotami metalowemi lichtarze spiżowe romańskie, z których zwłaszcza jeden Towarzystwa historycznego w Celowcu (Klagenfurt) należy do najwytworniejszych w swoim rodzaju i powinienby istotnie na wzór być brany. Obok nich emaliowane kaganki, lampy starochrześcijańskie z postaci potwornej chimery ukształtowane, słynny kielich Tassila z VIII. pochodzący wieku, z opactwa w Kremsmünster,

tak samo, jak znana z reprodukcyi rotula, czyli relikwiarz w kształcie krążka, bronzowy, o nóżce tylko emaliowanej. Dalej nader ciekawa kollekcya sprzętów ołtarzowych, części ubioru biskupiego, sandały, manipularze, krzyż, kadzielnica, pastorał — wszystko z blachy mosiężnej na sposób wschodni wyrabianej. Jestto garnitur pontyfikalny staro-abisyński z muzeum oryentalnego wiedeńskiego.

Tuż przy tych przedmiotach, a raczej na nich, postawiono stołek składany, o nogach krzyżujących się w kształcie litery X. Jest on drewniany, czerwono malowany i złocony. Nogi u góry zakończone głowami lwiemi z kości słoniowej, u dołu bronzowemi łapami gniotącemi małe ludzkie i zwierzęce postacie. Drzewo w wielu miejscach wykładane tafelkami kościanemi płaskorzeźbionemi. W czterech miejscach miniaturowe sceny wymalowane na złotem tle: męczeństwo św. Amandusa, Samson walczący ze lwem, biczowanie Chrystusa i oddawanie dygnitarzowi kościelnemu stołka składanego. Faldistoryum to, czyli przenośny stołek używany w średnich wiekach w ceremoniale monarszym i biskupim, nadesłany z klasztoru żeńskiego zwanego am Nonnberg w Salcburgu, należy do najciekawszych sprzętów w swoim rodzaju. Znany w nauce i fachowo opisywany, pochodzi on w swoim dzisiejszym kształcie z XIII. wieku, ale prawdopodobnie już wtedy złożony został z dużo starszych części i według dawniejszego wzoru.

Jednem z najbardziej pouczających zestawień, jest zbiór pastorałów w szafie płaskiej, długiej, pod ścianą mieszczącą drzwi do sal sąsiednich. Na tle ciemno czerwonego aksamitu doskonale występuje tam kilkanaście najwspanialszych i najbardziej charakterystycznych okazów, ułożonych chronologicznie począwszy od wieku może X. do naszych czasów. Można tu studyować stopniowy rozwój kształtów pastorału, począwszy od zakrzywionej lub kółkiem zakończonej laski z kości słoniowej, drzewa, nawet szkła, której tylko znak krzyża lub wyrzeźbione symboliczne zwierzęta nadają kościelne piętno, przez laskę już suciej, i snycerską robotą przyozdobioną, coraz bardziej się strzępiącą i bogato polichromowaną, aż do zbytkownego wyrobu z kruszców drogich, na którego ornamentacyę wysadziła się cała siła fantazyi późno-gotyckiej; w szesnastym wieku forma znów staje się trzeźwiejszą i skromniejszą, tylko linie i ozdoby szlachetnieją pod powiewem klasycyzmu. Niebawem i ten

wyradza się w przesadną i bezcelową wybujałość stylizowanej wegetacyi, zwojów, skrętów, muszli, wysadzanych całemi gronami drogich kamieni. Ustępuje zupełnie symbolika, a panuje przepych nie znający reguł smaku, ani miary rozsądku. Dopiero po nowym powiewie zimnego nieco klasycyzmu z czasów cesarstwa, w naszych czasach zaczyna się objawiać zwrot do tradycyi średniowiecznych, bądź co bądź najbardziej duchem prawdziwej religijności przesiąkniętych. Najstarszymi i najoryginalniejszymi pastorałami poszczycić się mogą opactwa austryackie i styryjskie Admont, Göttweig, Nonnberg, Klosterneuburg, Zwettl; bardzo pięknych i typowych późniejszych z XIV., XV. i XVI. w. dostarczyły katedry w Zara, Wiedniu, Zagrzebiu, opactwa Raigern i Nonnberg.

Wszystkie te piękności wyrobu złotniczego nie mogą jednak iść w porównanie z ogromnym zbiorem sprzętów ołtarzowych, naczyń kościelnych i mszalnych, zawartym w pięciu wielkich szafach w drugiej połowie tej samej sali ustawionych i ze wszystkich stron oszklonych. Rozdzielono je na cztery główne działy, w każdym pewien chronologiczny porządek zachowując. Bliżej okien i środka sali wpada materyalnem bogactwem swem w oczy zbiór małych gotyckich srebrnych ołtarzyków domowych przyozdobionych w klejnoty najdrogocenniejsze i emalię; kilka z nich nadto mieści obrazy będące znakomitemi dziełami malarstwa. Razem z niemi umieszczono dwie korony, służące do ukoronowania posągów świętych cudownych, formalnie kapiące od pereł, kamieni i klejnotów wszelkiego rodzaju, a prócz tego będące arcydziełami złotnictwa renesansowego. Są one dziś obie własnością Muzeum austryackiego, i pochodzą z fundacyj arcyksiążąt austryackich. Obok nich mniej bogate ale warte uwagi dla swego osobliwego kształtu dwie puszki na Hostye św. w kształcie gołąbka — z miedzi okrytej emalią. Są to wielkie rzadkości, t. zw. kolumby, lub ciboria używane w chrześcijaństwie od 4-go wieku i zwykle zawieszane ponad mensą ołtarza tak aby ich ręką dosięgnąć można — albo też nad chrzcielnicą, co było w związku ze zwyczajem udzielania komunii św. nowochrzczeńcom zaraz po chrzcie. Około XII. wieku wychodzi z użycia ten sposób zawieszania cyboryum, i kolumba też znika zupełnie; a niniejsze dwa okazy zapewne z końcowej tej epoki pochodzą.

Dalsza szafa po stronie okien mieści zbiór najstarszych kielichów i puszek na komunikanty; między pierwszemi widzimy kilka

okazów naczynia, używanego w średnich wiekach do udzielania komunii św. pod dwoma postaciami. Są to kielichy ogromne, bardzo szeroko rozwarte, dwoma uchami zazwyczaj opatrzone i sporą ilość wina pomieścić mogące. Trzymali je dyakoni, a komunikowanie wiernych odbywało się zapomocą małej rurki do ssania, także uchem opatrzonej. Króluje między niemi kielich romański z XII. w. pochodzący z opactwa Wilten w Tyrolu około 0·16 m. szeroki, stosunkowo niski, srebrny, ozdobiony częścią kutemi ornamentami, częścią scenami figuralnemi rytowanemi i niellowanemi, o przepysznej kompozycyi i bogactwie motywów znakomitem. Puszki na komunikanty późniejsze, z epoki gotycyzmu, są przedstawione w najrozmaitszych typach, o kształcie kuli, krążka spłaszczonego, wieżyczki obronnej; pokrewne im naczynia na oleje św., z przeznaczenia swego wymagające kilku przedziałów, dały sposobność do rozwinięcia tej architektury wojennej. Jest kilka takich puszek w kształcie twierdzy o trzech wieżyczkach ze szkarpami, pinaklami, blankami i dachem piramidą zakończonym. Jedna, łącząca naczynia na oleje św. z puszką na komunikanty, przybrała postać kościołka o budowie dośrodkowej, kopułą zamkniętej, a okolonej trzema kapliczkami także w kształcie rotundy.

Z dwóch szaf wielkich, podłużnych, dalej od okien stojących, jedna mieści krzyże, relikwiarze, pacyfikały — druga kielichy z epoki późnego gotycyzmu odrodzenia i barokka. Szafa ogromna wreszcie podłużna na samym końcu sali zbiór monstrancyj i kielichów różnych epok i kształtów, od bardzo skromnych romańskich począwszy, aż do przeładowanych motywami architektonicznemi późno gotyckich, i przeładowanych kosztownościami wszelkiego rodzaju barokkowych. Bez przenośni, pióro wypada z ręki na myśl opisywania szczegółowego nagromadzonych tu wspaniałości. Wymagałoby to obszernego studyum, o tyle zbytecznego, że prawie wszystkie te przedmioty opisane już są w publikacyi „Mittheilungen“ Centralnej Komisyi archeologicznej wiedeńskiej, rocznik 1873 z okazyi wystawy powszechnej, na której się znajdowały.

Nie wspomniałem dotąd o szatach kościelnych. Te porozmieszczano w kilku miejscach. Najstarsze znajdują się w najbliższem sąsiedztwie powyżej wspomnianych monstrancyj, w dwóch szafach o ścianę opartych. Niewiele chyba kościołów może się poszczycić

takimi antykami jak dwa ornaty z XII. wieku, kształtu najstarszego dzwonkowego, z otworem tylko na głowę, z których jeden pochodzący z opactwa St. Paul w Karyntyi ma na płótnie wyszyte jedwabiami figury z Pisma św. w medalionach ornamentacyjnych, a drugi cały jedwabny czerwony ma deseń złożony z czarnych orłów i należy do katedry w Brixen. Dwa drugie ornaty takiejże formy pierwotnej są jedwabną tkaniną z przedstawieniami Męki Pańskiej i życia Świętych, o małej liczbie jakby symbolizujących figur, ujętemi w deseń i medaliony. Dostarczyły ich opactwa w Melk i St. Paul, a oba pochodzą z XIII. wieku. Obok nich leżą współczesne przybory pontyfikalne biskupie, a dalej cały jeszcze szereg ornatów i kap z XIII. wieku, oraz kilka relikwiarzy w kształcie skrzyneczek z średniowiecznej tkaniny jedwabnej, haftami okrytej.

Zachowanie tych starożytności w stanie zupełnie jeszcze dobrym chlubnie świadczy o staranności właścicieli. I u nas dość było takich ornatów; ale zwyczajem do dziś dnia praktykowanym, przerabiano je co kilkadziesiąt lat, przemieniano, przykrawano i adaptowano do widzimisię każdego nowego pokolenia, aż z nich strzępy zostały, które w końcu wyrzucono. Wszak już aparat kościelny z XV. wieku należy w Polsce do największych rzadkości, a i w naszych czasach dość się ich naniszczyło i zatraciło. Prawda i to, że nie wszystkie niszczyliśmy sami.

Ornaty gotyckie i renesansowe zajmują kilka szaf bliżej środka tejże samej sali. Słowami opisać się nie da przepychu jedwabnych i złotych haftów wypukłych, najmisterniejszej roboty, o jakiej tylko t. zw. ornat Kmity na Wawelu z męczeństwem św. Stanisława dać może wyobrażenie. Dalej całe szeregi aksamitnych w deseń granatowy wyciskany lub złotem tkany, najrozmaitsze typy przedstawienia Męki Pańskiej, późniejsze ornamenta arabeskowe i groteskowe, ciężko złotem haftowane, potem coraz mniej szlachetne ale bogate wyrabiania i tkaniny; lamy, brokaty, gipiury, koronki złote i srebrne, ornaty barwne materyalne, pokryte koronką białą, całe rzędy infuł, sandałów, gremiały i wela; wreszcie antependya i chorągwie, wszystko to składa się na całość dającą doskonały obraz rozwoju tej gałęzi przemysłu artystycznego, tudzież olbrzymiego bogactwa austryackich kościołów.

Ale nie łatwo dotknąć choćby z lekka wszystkiego, co wzmianki

warte w tej wielkiej sali. Prócz relikwiarzy romańskich i gotyckich w kształcie głów z bronzu, srebra i drzewa, łańcuchów kanoniczych i biskupich, tac, nalewek, ampułek, zastaw ołtarzowych, cyboryów późniejszego kształtu, i różnych malowideł i rzeźb, które to wszystkie przedmioty poumieszczane częścią w gablocie zajmującej sam środek sali, częścią przy ścianach dzielących okna, wypada wspomnieć jeszcze o kilku typowych i bardzo pięknych świecznikach, czyli pająkach pozawieszanych u powały, a zwrócić uwagę na przepyszne witraże kolorowe, zajmujące wszystkie prawie wielkie okna, których ta sala posiada znaczną liczbę. Są to okazy malarstwa na szkle z XIV., XV. i XVI. wieku, najrozmaitszych i najbardziej charakterystycznych typów, o figuralnych przedstawieniach, nadesłane z kilku prywatnych zbiorów a w przeważnej części z opactwa kanoników regularnych św. Augustyna w Herzogenburg, w ten rodzaj ozdób jak widać szczególnie bogatego.

Dział ornatów, o którym wyżej była mowa, tutaj nie kończy się; przechodzi on do następującej sali oznaczonej rzymską ósemką nad drzwiami i oświetlonej z góry, gdzie obok dalszego ciągu złotogłowiów i haftów widzimy cały szereg ornatów, dalmatyk, stuł, manipularzy i kap skórzanych. Najwięcej ich z Czech: prócz tego z Karyntyi, Krainy, Morawy, Styryi. Wszystkie pochodzą z XVII. wieku i mają ten sam rodzaj barokkowych wytłaczanych ornamentów, pozłacanych, posrebrzanych i kolorowych, co przypomina nasze dawne kurdybany używane na ściany i na meble. Jedne są całe jednostajnym deseniem pokryte, drugie mają inną kolumnę środkową a inne boki. U trzecich wreszcie przy zatrzymaniu tego samego wzoru, kolumna od boków różni się odwrotnem zastosowaniem barw do tła i rysunku. Zamiast galonu jest zwykle tym samym sposobem wyciskany brzeg złoty. Nie wiadomo mi, czy w kraju naszym znajdują się gdzie podobne ornaty skórzane. Na starych portretach zdają się być czasem przedstawione.

W środkowem wspomnionem już atrium, przez które przechodzimy do schodów prowadzących na górę, ustawiono kilka tryptyków snycerskich z XV. wieku, może dwa czy trzy, jakby na próbę tylko, i na pokazanie, że stojące obok nich ołtarzyki gotyckie nowe wcale nieszczególnie wypadły.

Dalszy ciąg wystawy jest na I. piętrze. Tu pod arkadami

atrium otaczającemi resztę zabytków starej sztuki bościelnej i przemysłu artystycznego, które na dole się nie pomieściły. Więc już w mniej dobrym ładzie faldistorya, pulpity i ławki, niekiedy bardzo ciekawe i piękną snycerską robotą wykonane; jeden pulpit gotycki przypominający takiż sprzęt płasko rznięty przechowany w zakrystyi kościoła farnego w Bieczu; dalej płaskorzeźby z tryptyków, figury drewniane, okazy restauracyi nowoczesnej; wreszcie tkaniny, a między niemi kilka garniturów szat pontyfikalnych z XVIII. w. pochodzących z Linzu, z klasztoru *bei den Schotten* w Wiedniu, i z Kremsmünster, odznacza się wielkiem bogactwem i okazałością.

Obok nich kilka takichże monarszych darów z XIX. już w. i kobierzec z przedstawieniem Ukrzyżowania zdaleka jak obraz wyglądający, o dziwnym blasku barw i doskonałem zlaniu się tonów. Jestto w sposób *tapisserie* drobniutkim ściegiem i jedwabiem wykonana robota ręczna jakiejś pani z Monachium, zamówiona podobno przez króla Ludwika lecz z powodu śmierci jego nie odebrana. Owoc mozolnej pracy kilku lat, i mający istotnie artystyczną wartość.

Dwie ogromne sale boczne przeznaczono wreszcie na wystawę produktów nowoczesnych. Więc znów zbiór aparatów, ołtarzy, obrazów, naczyń kościelnych, witraży kolorowych i t. d. Kilkanaście firm jest tu przedstawionych, i trzeba przyznać, że pod względem zwłaszcza wyrobów złotniczych i szklarskich sztuka kościelna w Austryi na dobrą weszła drogę, a niekiedy znakomite osiągnęła wyniki.

Gdy się to widzi, żal zbiera myśląc o naszym kraju, gdzie takie jeszcze jest pod tym względem zacofanie, zacofanie nawet u tych, którzy mogliby się przyczynić do podniesienia przemysłu i sztuki krajowej — a dobrowolnie w przeciwnym działają kierunku. Bogaci nieraz, sprawiając coś do kościołów, za święty sobie mają obowiązek sprowadzać wszystko z zagranicy. Księża pozwalają dla braku poparcia upadać Towarzystwu św. Łukasza dla sztuki kościelnej przed kilku laty w Krakowie zawiązanemu — natomiast po dziennikach — jak to zbyt często ze smutkiem widzimy — zalecają różne firmy obce, i to jeszcze nie zawsze najlepsze, jak gdyby już w kraju nic nie było i nic zrobić nie można. Zapominają, że jest Kraków, gdzie znajdują się i malarze kościelni, i snycerze, i znakomici restauratorowie obrazów, ołtarzy, i doskonałe zakłady naprawy starych tkanin, haftów złotych, gobelinów nawet, że ożywiony

ruch restauracyjny tego miasta wytworzył i dobrych kamieniarzy i stolarzy i szklarza, który odnowieniem wielkich okien kolorowych w kościele N. P. Maryi świetny egzamin swego uzdolnienia złożył.

Wszystko to powstało w ostatnich latach, i to staraniem, rzec można, kilku ludzi duchownych i świeckich, którzy postanowili wszystko krajowemi dokonywać siłami i sami je sobie nawet ukształcili. Podnieść to warto jako zasługę wobec społeczności krajowej.

Wszakże niedosyć wynaleść i stworzyć siły; trzeba im jeszcze dać odpowiednie zajęcie. Sam Kraków na to wystarczyć nie może. Utrzymałyby się one na swojej wysokości, a raczej doskonaliłyby się i postępowałyby odpowiednio do wymagań czasu tylko wtedy, gdyby je zatrudniała i prowincya, która dziś albo obchodzi się bez sztuki i przemysłu artystycznego, albo jeżeli już na takie zamówienie się zdobędzie, to najczęściej sprowadza wszystko z obczyzny.

Aby ten stan zmienić, nieodzowne są wystawy podobne do wiedeńskiej, które zachęciłyby przemysłowców i artystów do wytężania sił w tym kierunku, zwróciłyby na nich oczy publiczności, a działem swoim archeologicznym jedną i drugich ogromnie by wykształciły, wyrabiając smak i pomnażając potrzeby idealne, artystyczne. Skarżymy się na wysokie ceny u nas, krzyczymy na niedokładność i nieakuratność naszych majstrów. Zapewne, że wiele oni sobie sami winni; ale trzeba zważyć, że gdyby więcej mieli roboty, nabraliby więcej ochoty i wprawy, że gdyby większa była konkurencya, już samo współzawodnictwo musiałoby wyrobić zniżenie cen, a podniesienie ducha akuratności.

Na wystawie wiedeńskiej z pomiędzy wszystkich krajów koronnych, Galicya jedna błyszczy nieobecnością; boć kilka okazów bizantyńskiej emalii z Narodnego domu, kilka wyrobów snycerskich ruskich z muzeum przemysłowego we Lwowie, i jedna śliczna zresztą figurka Madonny z kolorowo glazurowanej terrakoty z XV. wieku, należąca do p. Piotra Dobrzańskiego a pochodząca z kościoła św. Marcina w Tarnowie, stanowić tylko mogą wyjątek co regułę stwierdza. Tę abstencyę bardzo za złe nam poczytują urządzający wystawę — musi ona boleć każdego, kto ma trochę ambicyi narodowej a wie, jak wiele rzeczy pięknych kraj nasz byłby mógł postawić godnie obok nagromadzonych tam skarbów.

Mniejsza o to, czy były lub nie były słuszne powody wstrzymania się od udziału. Mnie się zdaje, że z korzyścią kraju to nie jest. Lecz byłby jeszcze sposób powetowania straty, urządzając taką wystawę sztuki kościelnej krajową. Wystawy archeologiczne z lat 1858, 1872, 1883 i 1884 w Krakowie a 1885 we Lwowie miały dział kościelny, ale tylko dodatkowo, ubocznie; najkompletniejsza z nich pierwsza tak już jest odległą, że nie pamięta jej pokolenie młodsze.

Wystawa sztuki kościelnej obecnie byłaby na czasie, a tem mogłaby być aktualniejszą, że zabytkom przeszłości możnaby już dziś przeciwstawić niejedną zdobycz teraźniejszości. Może tegoroczna Wystawa krajowa w Krakowie choć w części tej potrzebie odpowie. Oprócz przemysłu artystycznego i działu sztuki ma być tu grupa osobna: sztuka kościelna z cechą przeważnie archeologiczną. Byłoby nader pożądanem, aby Zarządy Kościołów katedralnych, parafialnych i klasztornych jak najliczniej do niej przystąpić zechciały. Wyjść to tylko może na korzyść dobrego smaku i wpłynąć na podniesienie sztuki kościelnej dzisiejszej, oraz przemysłu artystycznego w zastosowaniu jego do potrzeb Kościoła.

Stanisław Tomkowicz.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Krzysztof Warszewicki 1543—1603 i jego dzieła. Monografia historyczno-literacka, przez *Teodora Wierzbowskiego*. Warszawa 1887 r. 8°, str. 406.

Wiek XVI., jaśniejący w dziejach naszych polityczną wielkością i potęgą państwa, jest zarazem szczytem rozkwitającej szybko ówczesnej literatury. Ruch w piśmiennictwie wzmaga się i rośnie pod każdym względem i dochodzi do niebywałych dotąd rozmiarów tak co do szerokości jak i głębokości. Powstaje cały zastęp ludzi z wybitnym talentem, wielkich bądź jasnością i bystrością swych nowych poglądów, bądź siłą przekonań, — w poezyi i w nauce, na każdem polu, w każdej gałęzi ówczesnej wiedzy ludzkiej: postacie potężne, nie ustępujące w niczem pierwszorzędnym przodownikom powszechno-europejskiej oświaty. Za nimi ciągną liczni naśladowcy, zbierający okruchy po swych poprzednikach, rozwałkujący ich myśli i nicujący ich poglądy, ludzie bez twórczej oryginalnej siły umysłu, bez tej potęgi ducha, która sama z siebie buduje nowy świat myśli, ludzie z wyłącznie percepcyjnym talentem, wydający z siebie to tylko, co przyjęli do siebie od innych. Są to publicyści, mający mniej więcej podobieństwo do obecnych popularyzatorów i żurnalistów, pisarze okolicznościowi tworzący z okazyi i dla okazyi, pisarze chwili zapożyczający w danym razie myśli od swych poprzedników, a często nawet i formę. Jednym z takich jest autor, którego żywot i działalność obejmuje książka wyżej wymie-

niona, a który po raz pierwszy znalazł w niej sumienne i wyczerpujące przedstawienie swej wielostronnej czynności literackiej.

Krzysztof Warszewicki pochodził ze starej mazowieckiej szlachty, która w owym wieku reform i nowatorstw religijnych słynęła ze swej niewzruszonej wiary i stałego przywiązania do kościoła katolickiego: Mazowsze nie miało „ani jednego heretyka", jak opowiada sam Warszewicki w jednem swem dziełku. Ta właściwa cecha wyznaniowa tej prowincyi była niewątpliwie w pierwszym rzędzie przyczyną, że Krzysztof przebywszy pierwsze lata swego życia pod wpływem bliższego i dalszego otoczenia zachował o sobie aż do śmierci głęboką, niczem niezachwianą wiarę. Wychowanie jego było zresztą dosyć zaniedbane: zamiast do szkół oddał ojciec jego, kasztelan warszawski, młodziutkie chłopię na dwór króla czeskiego Ferdynanda I., gdzie przyjętym został do roju paziów. Jako jedenastoletni chłopiec wysłany w r. 1554 z posłami króla do Londynu na uroczystość małżeństwa Filipa II. z Maryą angielską, olśniony został potęgą i wielkością domu austryackiego, i to wychowanie obecne zrodziło w nim ową drugą wybitną cechę przekonań, podziw i sympatyę dla dynastyi Habsburgów. Powróciwszy w tymże roku do kraju, udał się na wiosnę roku 1556 do Niemiec, wysłany przez ojca na naukę i zapisał się w Lipsku, a nieco później w Wittemberdze na uniwersytet; pobyt na obu uniwersytetach trwał jednak zaledwie kilka miesięcy. Prawdopodobnie ojciec obawiając się, aby młodociany umysł syna nie uległ wpływowi różnowierców, kazał mu je opuścić i z luterskich Niemiec udać się na południe do Włoch. Tu bawił Krzysztof w Bolonii dwa lata przeszło, a opuściwszy ją r. 1559 zwiedził jeszcze główniejsze miasta włoskie, a następnie przez Wenecyę i Wiedeń, gdzie jakiś czas przepędził, powracał do Polski. Podczas synodu warszawskiego r. 1561, na którym Orzechowski składał wyznanie wiary, znajdował się już w Warszawie.

Pierwsze jego wystąpienie polityczne przypada na rok 1564, kiedy wybrany posłem ziemi czerskiej na sejm parczowski, pomimo lat 21 otrzymał zlecenie żegnania króla w imieniu posłów przy zamknięciu sejmu. Następnych lat kilka przebył na dworze biskupa poznańskiego Adama Konarskiego, prawdopodobnie w charakterze sekretarza i odbywał z nim podróże, między innymi dwukrotną do Włoch. Na pierwszej elekcyi po śmierci Zygmunta Augusta począł

Warszewicki odgrywać ważniejszą rolę, był on jednym z głównych agitatorów za Walezym, i jednym z najdzielniejszych obrońców katolicyzmu, przeciw któremu w izbie poselskiej przygotowywała się zawzięta kampania; jego to mowie piorunującej na warszawską konfederacyą i dysydentów, wypowiedzianej wobec króla, senatu i posłów, przypisać należy, że król konfederacyi tej nie potwierdził. Sprawa była uratowaną, ale gniew przeciwników zwrócił się na inicyatora. Po ucieczce Henryka bronił on, jako jeden z generalnych mowców francuskiego stronnictwa praw jego do tronu, jeździł nawet w imieniu tego stronnictwa do Francyi, ażeby zapewnić Walezego o wiernem i stałem przywiązaniu jego partyi i uprzedzić go, nim przybyło poselstwo polskie z przedłożeniem ostatecznego terminu. Gdy jednak Henryk nie wracał, gdy na konwokacyi warszawskiej postanowiono zwołać już nowy sejm elekcyjny, gdy nawet nuncyusz, główny poplecznik króla francuskiego, opuścił jego sprawę i przeszedł na stronę cesarza Maksymiliana II. w myśl wskazówek, danych mu z Rzymu, a za nim porzucili Walezego i inni jego stronnicy, przedewszystkiem prymas Jakób Uchański, wówczas i Warszewicki rzucił dawnego boga i stanowczo złączył się z partyą rakuską, której stał się gorliwym agitatorem między drobną mazowiecką szlachtą. Wprawdzie czynił on to nietylko z przekonania, lecz i dla „honorowego wsparcia“, którego się ciągle domagał; usługi swe polecał i wykonywał warunkowo, żądając w zamian za nie jakiego dobrego starostwa i tylko na przedstawienie innych ograniczył swe żądania do referendarstwa koronnego i rocznej pensyi 3000 złp., z której później nieco spuścił jeszcze tysiączkę. Obietnice te z jednej, a oczekiwania z drugiej strony nie miały jednak przyjść do skutku; prócz kilku znaczniejszych zaliczek i remuneracyi, które Warszewicki od austryackich ajentów otrzymał, reszta przyrzeczeń zawiodła, a zawiodła z tego powodu, że kontrkandydat cesarza, Stefan Batory i partya jego energiczniej wzięli się do rzeczy i Batory, przybywszy szybko do Polski, koronował się 1 maja 1576 r. i wziął ślub z Anną Jagiellonką. Odtąd przeciwne stronnictwo upada, wszyscy znaczniejsi cezaryani przechodzą do partyi Stefana. Ale nie Warszewicki: na namowy batoryanów odpowiada, że „nie chce siedzieć na dwóch stołkach i sprzedawać służb swoich“; opuszcza on Polskę. Udał się nasamprzód do Wrocławia,

ażeby u kamery szląskiej podjąć drugą połowę swej pensyi, następnie pospieszył do Ratysbony, powołany przez cesarza. Tam witał go mową chwalącą jego stałość i konsekwencyę i zachęcającą do energicznego trwania w staraniach o koronę polską, tam napisał ów memoryał: *De rebus in Polonia gestis in regem eligendo*, jako odpowiedź na mowę posłów polskich, odpowiedź mającą dowieść, że wybór Maksymiliana był jedynie prawny i możliwy, że elekcya Batorego najmniejszej nie ma za sobą prawomocy i uzasadnienia. W przybocznej radzie cesarskiej zajmował teraz Warszewicki jedno z głównych miejsc w sprawach tyczących tronu polskiego; ale w radach swych przekroczył on granicę godziwej i dozwolonej sumieniem walki partyjnej, a dopuścił się czynu spokrewnionego wprost ze zdradą kraju. W memoryałach przedłożonych cesarzowi: *Instructio ad Sac. Cesar. Regiamque Pol. Electam Mtem*, oraz *Rationes et argumenta pro regno Poloniae recuperando* nie wahał się ten człowiek radzić Maksymilianowi napadu na Polskę, wkroczenia trzema kolumnami w granice Rzpltej i zbrojnego zawładnięcia należnym mu, według jego argumentacyi, tronem. Rady jego mogły były niewątpliwie wydać krwawy owoc dla Polski, gdyby nie nagła śmierć cesarza, która stronnictwo jego do reszty rozbiła; adherenci jego wracali jeden za drugim do kraju. Warszewicki kręcił się jeszcze na dworze Rudolfa II., w nadziei, że wytarguje jeszcze cokolwiek za swe usługi dla Habsburgów, widząc jednak obojętność i niechęć, począł przemyśliwać nad powrotem do Polski. Wstawienie się nuncyusza przejednało dlań Batorego. Warszewicki jednak „miał giętkie sumienie“, z Rakuszanami nie zrywa, przeciwnie dopomina się u Rudolfa wypłacenia mu zaległej pensyi, a biorąc ten żołd obcy, drukuje *Paradoxa*, z listem dedykacyjnym do Stefana Batorego, w którym wita go jako zwycięscę z pod Połocka, podnosi go jako bohatera i wzór królów *tu es mihi gloriosior et admirabilior* i t. d. Celem jego było zjednać sobie łaskę króla i to mu się w zupełności udało.

Podczas wojny z Iwanem Groźnym 1580 r. znajdował się Warszewicki już w świcie królewskiej; wkrótce zostaje sekretarzem i dworzaninem królewskim, drukuje rozmaite dzieła z pochlebnemi dedykacyami Batoremu, za co otrzymuje od tegoż różne sumy w nagrodę, a podczas oblężenia Pskowa wyznacza mu król rocznej

pensyi 1000 złp. Po skończonej wojnie, kiedy Possewin układa w Zapolu pokój z wysłannikami Moskwy, Krzysztof Warszewicki jedzie w poselstwie do Szwecyi w sprawie najazdu na Estonię i Inflanty, przyczem żywił Possewin, główny motor tych dyplomatycznych rokowań, nadzieję, że on jako gorliwy syn kościoła zdoła także uzyskać cokolwiek dla katolicyzmu, nad którym od dwu przeszło lat pracował tam brat jego Jezuita Stanisław. Ani to ani drugie poselstwo nie odniosło jednak skutku. Powróciwszy oddaje się Warszewicki głównie pracom literackim, wydaje dzieło teologiczne o życiu Jezusa Chrystusa, wkrótce po niem trzy mowy, już przedtem napisane *pro Christi fide et Petri sede*, które mowy zwróciły na siebie i na autora ich powszechną uwagę i uznane zostały przez nuncyusza, jako znakomity objaw zwyciężającego katolicyzmu w walce z dysydentami. Następnie ułożył inwentarz przywilei królestwa, a zachęcony temi badaniami do historycznej pracy, ułożył żywot Jana Tarnowskiego i synchronistyczne tablice dziejów powszechnych. Koszty druku tych prac opłacił częściowo Batory z swej nadwornej kasy. Za tyle doznanych łask napisał Warszewicki pod pierwszem wrażeniem wieści o śmierci królewskiej pochwalną mowę na cześć zmarłego, chcąc, jak mówił, tym sposobem „złożyć dowód stałości swoim królom i panom".

Podczas następnego bezkrólewia Warszewicki, początkowo neutralny, przystaje do partyi przeciwników Zamojskiego i oskarżycieli zmarłego króla; stronnictwo Zborowskich, stronnictwo pragnące bądź co bądź przeprowadzić wybór rakuskiego kandydata, znalazło w nim gorliwego agitatora. Odezwała się w nim dawna sympatya do austryackiego domu, wszczepiona przez wychowanie w młodego chłopca i długie z tym domem stosunki, zbudziła się w nim nadzieja zrobienia teraz karyery i fortuny, co go dotychczas omijało. Służył on więc zabiegom austryackim wiernie, agitował między mazowiecką szlachtą gorliwie za Rakuszaninem, słowem i pismem, czego dowodem pamflet „Rozmowa Polaka z Czechem", ale przytem nie zapominał on o sobie. Nagabywał on posłów cesarskich lamentami na niewypłacanie pensyi i żądaniami pieniędzy w takim stopniu i z taką natrętnością, że ci sobie rady dać nie mogli i domagali się od cesarza najszybszego zaspokojenia jego pretensyi. Podpisał on akt elekcyi Maksymiliana i towarzyszył jemu po wtar-

gnięciu do Polski aż do klęski pod Byczyną. Przegrana tu oddała arcyksięcia jeńcem w ręce szczęśliwego Zygmunta III., Warszewicki zaś należał do szczupłej garstki stronników jego, którzy zdołali umknąć. Do Polski nie miał co wracać. Przebywa on teraz pięć lat prawie w Pradze, żyjąc jedynie z pensyi cesarskiej, której nadto nie wypłacano mu regularnie. W obawie że i ta zawiedzie, począł rozmyślać nad powrotem do Polski i rzeczywiście przy protekcyi nuncyusza Hannibala z Kapuy uzyskał przebaczenie Zygmunta III., a później za wstawieniem się Malaspiny i samego papieża nawet wyznaczenie upragnionej pensyi 1000 złp. Nadto nie miał się jednak niczego więcej spodziewać; widząc więc że dalsza karyera zamknięta dlań stanowczo, nie mając żadnych na przyszłość widoków, postanowił stan świecki porzucić i uzyskawszy w r. 1598 od biskupa krak. Radziwiłła kanonią krakowską, został duchownym. Zajmował się teraz wyłącznie prawie pracami naukowemi, czy to z dziedziny teologii, czy historyi lub polityki, odbył podróż do Włoch, a powróciwszy zajmował się gorliwie sprawami kapitulnemi. Niedługo było mu jednak danem żyć na nowem stanowisku, umarł około 10 września 1603 r. mając lat 60, a umarł w takiem ubóstwie, że kapituła była zmuszoną wyasygnować na pogrzeb 100 złp. na rachunek ruchomości, składających się głównie z ksiąg i rękopisów, które też sprzedane rozeszły się po świecie.

Jak widzimy, Warszewicki nie odegrał wcale świetnej roli w świecie politycznym, nie dobił się znaczenia i zaszczytów; był gorliwym agitatorem jeśli mu płacono i dla widoków materyalnych zmieniał swe przekonania i przerzucał się z obozu do obozu. Nie był to charakter z jednego odlewu stojący stale i niewzruszenie przy swych ideałach politycznych, nie ma w nim równowagi i konsekwencyi; w życiu jego widzimy ciągłą chwiejność i ciągłe odstępstwo od swych poprzednich zapatrywań, widzimy, jak tego autor w szczegółowym rozbiorze dzieł dowodzi, wieczną niezgodę słów z czynami. Był on zdolny służyć jednym, a równocześnie kłaniać się obcym bogom, nie było to rzadkością u niego płaszczyć się przed tym, którego niedawno był zawziętym wrogiem, rzucać kalumnie i obelgi na tego, którego wielbił niedawno. W teoryi sądził on jednak surowo ludzi, postępujących w ten sposób jak on. I tej właśnie dziwnej niekonsekwencyi w jego życiu, przypisuje

autor słusznie uderzającą okoliczność, że Warszewicki, pomimo, że był synem kasztelana warszawskiego, a więc członkiem jednego z najznakomitszych rodów senatorskich Mazowsza, pomimo, że w bardzo młodym wieku rozpoczął karyerę jako poseł sejmowy, nie doprowadził do niczego, nie uzyskał żadnych godności świeckich, tak że zrezygnowawszy wreszcie z wszelkich nadziei, jako wiekowy człowiek poświęcił się kapłaństwu. Poznano się na nim i stracono doń zaufanie. A dodać należy, że specyalnie Zygmunt III. nieprzejednanym był dla swych przeciwników; miał on według pamiętników Alberta Radziwiłła pugilares, w którym zapisywał nazwiska wszystkich stronników Maksymiliana; pamiętał on długo urazę Maksymilianistom i nigdy całkowicie im nie przebaczał. Że Warszewicki nie stanowił wyjątku, dowodem, iż mimo protekcyi takich osobistości jak papież i nuncyusz zdołał uzyskać tak mało, tak że mając lat 55 widział zamkniętą dla siebie wszelką karyerę nie stanąwszy nawet na pierwszym jej szczeblu. Czy jednak surowy i w ogóle sprawiedliwy sąd autora o Krzysztofie nie dałby się choć w drobnej cząstce złagodzić duchem i pojęciami czasu, według których nie widziano wiele zdrożnego w tem, co właśnie w Warszewickim nam się nie podoba: ta łatwość zmiany swych przekonań politycznych. W liście swym do Warszewickiego Stan. Miński woj. łęcz. właśnie wychwala go ogromnie, jako męża,' *qui tot Imperatoribus, tot regibus, tot principibus, servierit et charissimus fuerit*, chwali więc w nim to, w czem my pochwały wcale nie widzimy; z drugiej strony muszę jednak zwrócić uwagę, że list ten datowany *7 Calendas Decembris* (25/11) 1594 r. figuruje na końcu dzieła *de legato* jako odpowiedź na list dedykacyjny na początku dzieła datowany *Calendis Decembris* (1/12) 1595 r.; jakżeż to możebne, czyż miałaby autentyczność jego być podejrzaną?

Za daleko jednak idzie autor zarzucając Warszewickiemu nieszczerość i nieprawdziwość jego przekonań religijnych, brak czystej i głębokiej wiary dla wiary samej. To bowiem co na str. 336 podnosi, że był on gorliwym katolikiem, dlatego, „że takie a nie inne pojęcia wszczepiono w jego umysł za młodu", jest niczem, przecież tylu innych było wychowanych także w tych pojęciach, a zmienili je; to zaś, co dalej mówi, że Warszewicki występował w obronie katolicyzmu tylko „wówczas, kiedy czuł, że go

popierają inni silniejsi i dla tego właśnie, żeby sobie zyskać ich względy i protekcyą", że był on obrońcą Kościoła „dla własnej karyery" a nie „na zasadzie przekonania", jest nie tylko w ogóle niesłusznem, ale stoi w sprzeczności z tem, co autor mówi o wierze jego na str. 57 i 125: „Warszewicki był zawsze bardzo prawowiernym, zawsze głosił katolickie zasady, stale bronił katolickiego kościoła i jego interesów, gorliwie i z pożytkiem służył nuncyuszom i polityce kuryi, narażając się nieraz na niepopularność, napaści i nawet niebezpieczeństwo życia". Możnaż w obec tego wątpić o jego rzeczywiście głębokich przekonaniach religijnych? Wszystkiego można się w jego życiu dopatrzeć, ale nigdy nieszczerości i niestałości wiary. Scena ze zjazdu warszawskiego 1574 r., którą autor głównie podnosi przeciw niemu, kiedy on, gwałtownem wystąpieniem posłów przyparty do muru, zagrożony karami, publicznie wypierał się swego postępowania na poprzednim sejmie elekcyjnym, świadczy tylko o słabości jego charakteru, któremu brak było dostatecznej energii do wytrwania na swem stanowisku, tem bardziej, że była ona wynikiem zupełnie innych spraw, rzucających co prawda cień na jego poprzednie życie. W każdym razie najbardziej stałym i najbardziej konsekwentnym był on w rzeczach religii i katolicyzm może go śmiało uważać za jednego z najdzielniejszych szermierzy swoich słowem i piórem w w. 16.

Drugą charakterystyczną cechą Warszewickiego były jego sympatye habsburskie. I tu autor również zbyt ostro osądza jego, odmawiając tym sympatyom wszelkiej szczerości i prawdziwej podstawy, a robiąc je wynikiem wyłącznie niskich, materyalnych pobudek; według autora „był on austryackim stronnikiem nie z przekonania, ale ze względu na osobistą korzyść" (str. 337). Ludzi sądzić winniśmy nie według naszych sympatyj lub antypatyj, lecz według moralnej wartości ich charakteru w całości i poszczególnych jego rysach. Nie myślę pochwalać słabości Warszewickiego dla Rakuszan, ale nie myślę również, aby źródłem jej była tylko jedynie chęć zysku. Nie oddawał on prawda usług swoich za darmo, nie popierał ich aspiracyi zupełnie bezinteresownie, bo straciwszy majątek ojcowski musiał oglądać się za dochodami, któreby żyć pozwoliły, ale sympatye te jego miały niewątpliwie głębsze korze-

nie, które przed laty dłuższy pobyt na dworze Habsburgów zapuścił w chłopięcym umyśle. Ponad ciągłą chwiejność i zmienność swych zapatrywań politycznych był Warszewicki austrofilem z rzeczywistego przekonania, bez względu na osoby, dla idei samej. W r. 1587 pisze Szymon Geuga że „on jest oddany zupełnie domowi Rakuskiemu“ (Listy Annib. z Kapuy 78). W r. 1595, wydając czternaście mów tureckich, mimo dedykacyi Zygmuntowi III., królowi swemu, „nie wygłosił na cześć jego bytu pochwał, jakich udzielił szczodrze i kilkakrotnie habsburskiej dynastyi i rozmaitym jej członkom, żyjącym i umarłym“. Pochwały te do tego były stopnia posunięte, że jak sam autor powiada: „byłyby one na swojem miejscu, jeżeliby Warszewicki był austryackim lub hiszpańskim poddanym“ (str. 201). A przecież nie stał on obecnie w żadnych już bezpośrednich stosunkach z Austryą, pogodził się już z Zygmuntem, nie otwierały się żadne widoki zmiany politycznej w Polsce na korzyść Rakuszan, jakichże więc nagród miał on się od nich spodziewać teraz, gdy rzucił już czynną rolę ich agitatora. W r. 1598 pisze mowę na śmierć Anny austryaczki żony Zygmunta III. i dedykuje ją arcyksiężniczce Maryi *Dominae et Patronae suae*, a przecież w owym czasie zrezygnował już zupełnie ze wszystkiego. To też jeżeli w politycznych jego przekonaniach tak trudno o konsekwencyę, a tak łatwo o zmianę i sprzeczność, sympatye rakuskie stanowią wybitny rys jego działalności w życiu i piśmie, aż do końca.

Nie działalność polityczna stanowi jednak główną wartość Warszewickiego, lecz czynność jego literacka. Nie należał on wprawdzie do owych olbrzymów ducha, które w 16 w. wyrosły nagle ponad ziemię i do dziś stoją jak granitowe posągi wielkiej przeszłości, nie był on twórczym w pomysłach i oryginalnym w poglądach i planach, ale w literaturze swego czasu zajmuje on niepoślednie miejsce jako pisarz, stojący wprawdzie pod wpływem obecnej chwili i piszący dla chwilowych celów, ale pisarz szerokiego zakresu, wielkiej erudycyi, ważny nie tyle dla jakości, ile dla ilości, i różnorodności swych dzieł. Jestto publicysta popularyzujący idee swych poprzedników, nie wzbogacając ich prawie niczem, człowiek dość miernego talentu pisarskiego, obszarem jednak, liczbą prac swych istny Starowolski 16 w. Jeżeli uwzględnimy, że zachowało się po nim 57 mniejszych i większych prac (oprócz 9 zaginionych),

które częstokroć wydając kilkakrotnie przerabiał, że prace te należą do rozmaitych działów literatury i wykazują częstokroć ogromną wiedzę i niezwykłe oczytanie, będziemy mieli choć słabe pojęcie o nadzwyczajnej jego pracowitości. Z dzieł jego mamy teologicznych 6, politycznych 4, historycznych 9, mów i panegiryków 29, pamfletów 5, przekładów i wydań 4.

Za daleko by nas zaprowadziło, gdybyśmy obszerny i szczegółowy rozbiór każdego z tych dzieł z osobna (str. 135—330) choć kilku rysami starali się streścić, podniesiemy tylko niektóre, dające wyobrażenie o wartości pisarskiej Warszewickiego. Z dzieł teologicznych *Dialogus de morte* napisane w r. 1580 podczas wojny moskiewskiej i dedykowane Batoremu, zawiera w formie dyalogu między Gotfrydem (za którym kryje się autor) i Balduinem, rozumowania nad śmiercią, która im wówczas groziła, a powstało pod wpływem literatury rzymskiej, w szczególności dzieł Seneki; nie zawiera ono niczego nowego, co do treści, formie zaś brak artyzmu. Nie lepszem jest inne dzieło teologiczno-filozoficznej treści *De cognitione sui ipsius* napisane 1600 r.; brak dostatecznej znajomości filozofii starożytnej, brak zmysłu krytycznego, oraz daru ścisłego i systematycznego wykładu swoich myśli i wiadomości, robią to dzieło niejasnem, pogmatwanem i niezgrabnem; zadziwia w niem tylko ogromna znajomość wiedzy literacko-kościelnej: pisma św., oraz dzieł ojców kościoła, począwszy od św. Augustyna, aż do Tomasza z Akwinu.

Nie równie wyżej stoją jego dzieła polityczne, ale i one nie są tego rodzaju, ażeby zapewnić Warszewickiemu nieśmiertelność. *Paradoxa* przerabiane kilka razy omawiają w sześciu rozprawach konieczność wojny tureckiej, szkodliwość zbytniej wolności, przewagę systemu monarchicznego nad innymi, życie dworskie i zbytnią ambicyę, nie przynoszą jednak nadto, co już poprzednicy wypowiedzieli: Orzechowski, Modrzewski, Kochanowski, żadnej nowej myśli. Turcyki stanowią czternaście mów, czternaście dlatego, że Cyceron napisał czternaście filipik, filipiki zaś były wzorem Warszewickiemu, jak sam w dedykacyi wyznaje. W czternastu mowach rozwałkowywać długo i szeroko, to co już w Paradoxach powiedział, co dawniej o wiele lepiej z większym ogniem wygłosił

Orzechowski, nie może stanowić zalety dzieła, przeciwnie robi je ociężałem, suchem i niezmiernie nudnem.

Jednem z najlepszych dzieł Warszewickiego jest jego: *De legato legationeque liber;* jest to rodzaj podręcznika dla dyplomatów i posłów na obcych dworach, nie specyalnie polskich posłów, lecz w ogóle; charakter tego dzieła jest więcej kosmopolityczny. Oparte jest ono na osobistej obserwacyi, wzięte jest z praktyki i dlatego nadzwyczaj zajmujące i ciekawe, że stanowi ono jedyny w swoim rodzaju obraz zwyczajów, postępowania, przyjmowania posłów i dyplomatów w 16 w. Jestto może najoryginalniejsze dzieło Warszewickiego, a ważne nietylko dla nas, lecz i dla ogólno europejskiej literatury, bo było ono w ogóle pierwszem w swoim rodzaju i wyprzedziło prawie o sto lat dzieło Wiqueforta *L'ambassadeur* będące wyczerpującym teoretycznym wykładem dyplomatycznej sztuki. Wadą dzieła *De legato* jest brak wszelkiego systemu i porządku w układzie, ciągłe powtarzania się, mięszanina rzeczy, przeskakiwania z jednych do drugich, i wracania napowrót i t. p. W dziele *De optimo statu libertatis* naśladował Warszewicki, (jak tego autor dowodzi przeciw twierdzeniu Tarnowskiego o naśladownictwie Orzechowskiego i Kochanowskiego) dzieła Tomasza Morusa i Pawła Paruty. Praca ta nie przynosi jednak zupełnie nic nowego, żadnej nowej myśli, wszystko co się odnosi do Polski wypowiedzieli już dawno Modrzewski, Rej, Goślicki, Skarga, Kochanowski i inni. Jest ona względnie nie złą, pod względem literackim jedną z lepszych prac Warszewickiego, ale jako powierzchowna niezbyt umiejętna kompilacya myśli i projektów różnych pisarzów, nie dająca żadnych oryginalnych poglądów, nie ma rzeczywistej wartości.

O historycznych pracach Warszewickiego widzieliśmy dotychczas bardzo mało, a to dlatego, że były one w części w rękopisie dotychczas, a wydane zostały dopiero przez autora w *Christophori Varsevicii Opuscula inedita*, powtóre, że wydania ich bardzo rzadkie i mało dostępne. Autor jest pierwszym, który nam daje w długim rozdziale (222—280) krytyczny rozbiór i ocenę jego dzieł historycznych. Dziełko *De origine seu derivatione generis et nominis poloni dialogus* wyszło poraz pierwszy w Wilnie 1580 r.; wydania tego autor nie odnalazł, że jednak istniało dowodem prócz tego, co autor przytacza, list bisk. kuj. Rozrażewskiego do dziekana wrocław-

skiego (Gerstmana) z Wilna 1580: *Mitto autem D. Vae Dialogum de origine generis et nominis Poloniae a D. Varsevicio Regis aulico conscriptum, quem non ingratum D. Vae futurum mihi persuadeo.* (Rękop. bibl. Ossol. 156 p. 53)[1]. Korzystał wprawdzie Warszewicki z rozmaitych kronikarzy i historyków, którzy się tą kwestyą zajmowali, lecz brak mu było dostatecznej krytyki i metody, których wiek jego jeszcze nie miał, to też dzieło jego, jakkolwiek zręczne w układzie, jest pełne najdziwaczniejszych bredni i niekonsekwencyi, które same się zbijają nielogicznem powiązaniem.

Drugie dzieło *Inventarium litterarum publicarum Regni Poloniae* spoczywa dotąd w rękopisie w archiwum III. Wydziału rządzącego senatu w Petersburgu. Autor nie miał tego dzieła w ręku i dlatego nie podaje jego rozbioru, zadawalniając się kilku uwagami danemi z zastrzeżeniem za Ptaszyckim, który dostarczył autorowi opisu tego dzieła. Według niego inwentarz Warszewickiego jest nieudolną kompilacyą inwentarza ułożonego przez Kromera: czy tak jest okaże kiedyś bliższe porównanie. Ponieważ kopię inwentarza Kromerowskiego posiada bibl. Ossol. (Mss. Nr. 134), opis i treść inwentarza Warszewickiego podaje zaś autor na stronie 231., przeto ograniczę się tylko na podaniu ogólnem różnic co do dat zawartych dokumentów:

Inv. Warsz.	Inv. Krom.
Ungarica 1350—1496	1350—1540
Boemia 1395—1495	1395—1515
Dacia, Svecia, Norvegia 1419—1510	1419—1505
Germania 1403—1536	1341—1537
Pomerania 1343—1526	1343—1549
Polonia 1278—1545	1252—1545
Lithuania 1367—1508	1333—1508
Prussia pro Cruciferis 1222—1263	1222—1468

[1] Z czteru listów Rozrażewskiego, które Kętrzyńskiego katalog ręk. bibl. Ossol. I. str. 255 podaje jako pisane do Krzysztofa Warszewickiego, pisane są do brata jego Stanisława jezuity, trzy (z wyjątkiem jednego z Krakowa 3/12 1578 r.) Adres *in Suecia* oraz napisy *Reverende Pater* w latach 1578—9 winny były wydawcę przestrzedz.

Inv. W. niema Institutio ordinis	Papales pro Cruciferis Inv. K. niema
Masovia 1329—1530	1329—1537
Oświęcim i Zator 1292—1507	1292—1521
Transalp. sive Bessar. 1391 i 1396	1389—1411
Dalszych 4 dokumentów od str. 66a—74a	niema Inv. K.

Prócz właśnie tych czteru ostatnich Inv. Inv. W. zawiera mniej niż Inv. K.

Jednem z najważniejszych dzieł Warszewickiego jest jego *Rerum polonicarum libri tres,* opowiadające wypadki od śmierci Zygmunta Augusta aż do sejmu elekcyjnego 1573 ; wydał je autor po raz pierwszy w *Opuscula inedita* (1883) z rękopisu wiedeńskiego, poprawianego przez samego Warszewickiego [1]. Jest ono niedokończone: księga trzecia urywa się w środku zdania; mamy jeszcze tylko *Rerum pol. liber XIII.* wydany poraz pierwszy przez Ciampego bezimiennie, a przypisane błędnie Brutusowi, jak utrzymuje autor, oświadczający się, według wszelkiego prawdopodobieństwa zupełnie słusznie, za autorstwem Warszewickiego. Wprawdzie kwestya ta nie jest jeszcze zupełnie zdecydowaną i to co autor przywodzi na poparcie, nie jest jeszcze całkiem przekonywujące, twierdzenie jego ma jednak wiele za sobą, a upewnia się w niem tem więcej po przeczytaniu krótkiego wywodu *Nachera* w rozprawie: *Bitwa pod Byczyną* (Przewod. nauk. i lit. 1883 p. 440—1) opartego na pięciu punktach popierających autorstwo Warszewickiego, czego jednak autor nie zna. Czy Warszewicki pisał jeszcze księgi 4—12, których niema, to rzecz zupełnie jeszcze nie jasna i potem, jak au-

[1] Obronić muszę autora przed niesłusznym zarzutem, jaki go spotkał ze strony P. B. (Ateneum 1887, I. 106—137.) potępiającego zupełnie wydawnictwo „Dzieł niewydanych“ ze względu na rzekomy brak metody i krytyki wydawniczej, głównie zaś dla braku porównań i podawania waryantów z kilku rękopisów, specyalnie zaś co do historyi na nieznajomość i niezużycie jej rękopisu znajdującego się w bibl. Ossol. Tymczasem autor-wydawca korzystał prawie bez wyjątku z autografów, oryginałów powstałych pod okiem Warsz., a więc „czyszczący ogień kollacyi rękopiśmiennej“ co najmniej niepotrzebny, albo z współczesnych wiarogodnych kopii. Co zaś do rękop. Ossol. historyi, to autor zna go, jak widać z obecnego dzieła, nie uwzględnił go jednak całkiem słusznie, bo jest on kopią z 19 w. rękopisu wiedeńskiego.

tor dość pobieżnie kwestyę tą roztrząsa, nie podobna zgodzić się stanowczo z jego twierdzeniem, że ich nie pisał. Jakkolwiek historyi Warszewickiego nie jedno można zarzucić, szczególnie co do układu i stylu, zajmuje ono jako źródło historyczne naocznego świadka wysokie miejsce, nawet przed odpowiednimi ustępami z dzieł Orzelskiego i Heidensteina. Jeszcze doniosłość i wartość ma księga 13, przewyższająca o wiele dzieła Solikowskiego i Heidensteina. W jednem i drugiem dziele są rzeczy, których na darmo szukaćby u innych, są wprawdzie i błędy, oba dzieła są jednak dowodem, że Warszewicki mógł był zająć jedno z pierwszych miejsc jako pisarz historyczny, gdyby był cały ten okres obrobił.

Do ważniejszych dzieł historycznych należą jego *Caesarum regum... vitarum parallelarum libri duo* napisane pod koniec życia i drukowane w Krakowie 1603 r. Są to biografie traktowane w porównawczy sposób; najciekawsze z nich są dwie, pierwszego i ostatniego Jagiellona. Obszerny życiorys Jagiełły nie jest oryginalną pracą, lecz raczej parafrazą Kromera, biografia Zygmunta Augusta jest jednak niewątpliwie najlepszą częścią całego dzieła; oparta na źródłach rękopiśmiennych, na opowiadaniu naocznych świadków, a wreszcie własnej obserwacyi, zawiera ona mnóstwo ważnych i ciekawych szczegółów do jego panowania. Biografia ta należy do najlepszych dzieł Warszewickiego dla swej prawdy i bezstronności i przewyższa pod tym względem, według zdania autora nawet dzieje Górnickiego. Właśnie jednak te względy były przyczyną, że je zakazano, pozornie dla tego, że niesprawiedliwie ocenić miał Zygmunta Augusta, w rzeczywistości jednak dla wystąpienia jego przeciw stosunkom, które miały analogią za Zygmunta III. Stanisław Grochowski wystąpił nawet z poematem „August Jagiełło wzbudzony“ napisanym przeciwko „parallelom, na co pierwszy zwrócił uwagę nie Bartoszewicz, jak Autor mylnie podaje (29), lecz Wiszniewski w 7 tomie (p. 145) swej Hist lit. pols.

Mowy i panegiryki Warszewickiego, których cały długi szereg się zachował (oprócz zaginionych) są najlepszym dowodem, że on nie opuścił żadnej ważniejszej sposobności, ażeby wypalić mówkę, lub wygłosić hymn pochwalny, czy to z powodu uroczystości jakiejś, wjazdu lub śmierci jakiejś znakomitej osoby, że to był głównie publicysta obecnej chwili. Wzorem jego był zawsze Cyceron, starał

się on zawsze o równą jemu wytworność i piękność formy, o błyszczący styl i ogładę języka, brak jednak prawdziwego talentu zastępował zwykle manierą, stąd zamiast rzeczywistego zapału i wymowy, znajdujemy w jego mowach, „sztuczne ożywienie i suchy, szumnobrzmiący tylko retoryzm".

O pamfletach mówiliśmy już po części wyżej, tu dodamy tylko, że są wyłącznie politycznej natury, pisane na rzecz domu austryackiego.

Oto ogólne pobieżnie naszkicowane zarysy dzieła, będącego pierwszą wyczerpującą monografią życia i dzieł Krzysztofa Warszewickiego, a zarazem pierwszą u nas monografią historyczno-literacką, pojętą i przeprowadzoną w tak szerokim zakresie, z wyczerpnięciem wszelkiego gdziekolwiek dostępnego materyału, z pogłębieniem wszystkich gdziekolwiek odnalezionych dzieł. Prawda, że autor był w tym wyjątkowo szczęśliwem położeniu, że mógł przez pięć lat bawić za granicą i robić poszukiwania we wszystkich archiwach i bibliotekach zagranicznych, gdzie według wskazówek z życia Krzysztofa zaczerpniętych mógł się spodziewać ważniejszych odkryć i poszukiwania nie zawiodły. Przed laty czterech dał nam tom niewydanych dzieł i korespondencyi Warszewickiego, obecnie wystąpił z dziełem zużytkowującem ten, jak również dawniejszy, oraz nowy w dodatkach do obecnego dzieła pomieszczony materyał. Rozpoczyna przeglądem dotychczasowej literatury nad Warsz. (do str. 34), podając w sumiennem zestawieniu chronologicznem, co każdy z pisarzów dotąd zrobił w tym przedmiocie; dla kompletu podaję jeszcze dwa dzieła, których autor nie wymienia: Mecherzyńskiego Histor. lit. pols. wyd. 2 1877, str. 111., 115—6, 124—5 170, nie przynoszącą wprawdzie nadto, co podaje w Hist. wymowy w Polsce nic nowego i Rycharskiego Literatura polska krak. 1868 t. I. str. 43, 152, 202—3, 239, 291. O dwóch dziełach Warszewickiego *Rer. pol. libri III.* i *Rationes et argumenta pro regno Pol. recup.* wiedział już dawniej Przezdziecki (Listy Annib. z Kapuy 168). Wreszcie, jak wyżej mówiłem, nie zna autor rozprawki Nachera. Część biograficzną (41—131) kreśli autor na podstawie bogatego materyału źródłowego, jakiego przedtem nikt razem nie posiadał; część ta oparta przeważnie na dokumentach nie pozostawia pod względem metodycznym nic do życzenia bo zbudowana wyłącznie na źró-

dłach z pierwszej ręki. Za szeroko może i zbyt drobiazgowo opowiada autor o rodzinie Warszewickich o przodkach bojąc się uronić najmniejszy szczególik, który mu się udało odnaleść; notuje wszystko co znajdzie; dla życia Krzysztofa i poznania jego to co najmniej nie jest niezbędnem, a teorya dziedziczenia też nic na tem nie zyska, bo mając tylko suche daty o przodkach, nie będziemy z nich nic wnioskować o potomku. Nie wiem również na co nam wiedzieć jak wieś Warszewice dzisiaj wygląda, ile ma morgów, dymów, mieszkańców, to nam zupełnie na nic się nie przyda, tem bardziej, że autor przypuszcza tylko, iż Krzysztof w niej się urodził. Tak samo nie może autor sobie darować, ażeby na str. 51—4 nie podać całego szeregu nowych szczegółów do Stanisława brata jego, które cenne wprawdzie, ale tu nie na miejscu, psują układ i wymierność. Natomiast chętnie byśmy widzieli, gdyby autor zdecydował się raz stanowczo co do imienia matki Krzysztofa; na str. 50—1 zwie ją bowiem dwa razy Heleną, a trzy razy Elżbietą, — jakież było właściwe jej imię?

Rozbiór dzieł przeprowadzony z drobiazgową ścisłością i sumiennością, z trzeźwą, bezstronną krytyką zajmuje największą część obecnego dzieła. Autor jest pierwszym i jedynym dotychczas, który miał sposobność poddać takiemu rozbiorowi wszystkie dzieła Warszewickiego; a poddaje on temu rozbiorowi nie tylko dzieła, ale i pojedyncze dzieł tych wydania (jak n. p. Paradoksa), które porównuje z sobą z dosłowną skrupulatnością i wykazuje różnice, bądź co do stylu, bądź odmiany charakteru wydania. Część ta krytyczna wzniesiona z olbrzymim nakładem pracy, z wielkim zasobem erudycyi i korzystnie świadczącym o autorze metodycznem przygotowaniu i krytycznem uzdolnieniu jest najlepszą częścią obecnej monografii. Na zakończenie reasumując wszystko powiedziane podaje autor treściwą charakterystykę Warszewickiego, jako człowieka i pisarza, słuszną w ogólności z małemi wyjątkami, któreśmy już wykazali powyżej.

Dodatków na końcu tej książki jest pięć: 1. O łacińskim języku i stylu Warszewickiego; jest to dość obszerne studyum (str. 349—368) podające w drobiazgowem nadzwyczaj wyliczeniu wszelkie właściwości stylowe i językowe, błędy gramatyczne i t. p. studyum bardzo sumienne, którego wynikiem, że Warszewicki nie

władał wcale poprawnie językiem łacińskim, że jednak styl jego jest o wiele lepszy od języka. Możeby po przeczytaniu tego p. B. z Ateneum cofnął część zarzutów, jakie czyni autorowi co do niedbałego wydania tekstu. 2. dodatek zawiera nowe dokumenty do życia Krzysztofa. 3. Uzupełnienie do bibliografii jego dzieł. 4. Wykaz dzieł Warszewickiego przez niego samego ułożony. 5. Wreszcie szczegóły o Warszewickim z r. 1576. Nareszcie jest i dokładny spis osób i miejscowości, ułatwiający bardzo szczegółowe poszukiwanie w dziele.

Jeszcze dwa drobiazgi: na str. 45, 49, 66, cytuje autor kilkakrotnie „Akty *ziemi i grodu* warszawskiego"; co to za akty? czyżby warszawskie nie miały oddzielnych ksiąg ziemskich i grodzkich, jak wszystkie inne ziemie? Święty zaś, którego autor na str. 268 zwie Janem z Gielnowa, zwał się Władysławem (z zakonu Minorytów).

F. Bostel.

Poczet rodów w W. Ks. Litewskiem w XV. i XVI. wieku, ułożył i wydał *Adam Boniecki*. Warszawa r. 1887.

Prace heraldyczne nie wchodziły zwykle w zakres przedmiotów, poruszanych w rubryce sprawozdawczo-bibliograficznej *Przeglądu*, czynimy tu jednakże wyjątek dla wydawnictwa p. Bonieckiego, stanowiącego cenny materyał w piśmiennictwie naukowem naszego kraju. Już sama forma zewnętrzna i sukienka bogata, w jaką przyodział autor tę nową swoją publikacyę, zwrócić zdolna uwagę nienawykłej do tego publiczności naszego kraju, a i wydawcy i firmie drukarskiej zaszczyt przynosi. Przypatrzmyż się wewnętrznej zawartości tej wspaniałej publikacyi i przewodniej myśli jaka w wydaniu jej kierowała autorem.

Zdawałoby się, że oprócz ściśle naukowego zadania p. Bonieckiego w celu obznajmienia nas z historycznem stanowiskiem niektórych rodzin naszego kraju, bądź wygasłych zupełnie, bądź tych, które koleją losów utraciły już swoje stanowisko historyczne i przeszły niemal w zapomnienie, autorowi chodziło jeszcze o pohamowanie uzurpowanych pretensyi tych rodzin, które opierając się na bajecznych wywodach niektórych heraldyków-panegirystów naszych z XVIII. i znacznej części obecnego stulecia, tworzyły o przeszłości swojej i domniemanych swych przodków, najniedorzeczniejsze częstokroć i fantastyczne urojenia i domysły. Dość przebiedz całe szeregi dzieł heraldycznych ubiegłego stulecia w rodzaju niezapomnianego Wielądka, nie wyjmując nawet o wiele poważniejszego już autora *Korony* księdza Niesieckiego, aby powziąść wyobrażenie o chaosie, jaki wyrodzić się musiał w umysłach niezbyt często krytycznych a do uniesień skłonnych, naszego społeczeństwa szlacheckiego. Stąd jedni dobadywali się znakomitych swych przodków na gruzach wiekopomnej Hellady, inni odgadywali ich wśród Scypionów afrykańskich, co najskromniejsi widzieli ich w patryarchalnem gnieździe rodzimych swych Piastów.

Słowem powstała istna wieża Babel pod tym względem w umysłach starszego pokolenia naszego, a podniecali ją, podtrzymywali inni już, w licznym szeregu zwarci genealogowie współcześni, w rodzaju A. Kosińskiego i *tutti quanti*, zamiast nauki, siejący brednie, niby zdrowe ziarno, wśród społeczeństwa naszego.

W takiej to fazie urojeń i hallucynacyi — zjawia się nam jak *Deus ex machina* książka p. Bonieckiego, który z parnassu sprowadza nas odrazu w krainę rzeczywistości, podając nam poprostu treściwy wypis Sumaryusza kilkunastu tomów tak zwanej *Metryki litewskiej*, urzędowej księgi do której wpisywane były wszelkie mowy i tranzakcye mieszkańców ziemian W. Ks. Litewskiego i wchodzących w jego obręby do czasów Unii, kilku ościennych prowincyi ruskich, jak Wołynia, Podola i ziem ukraińskich.

Spotkali się na tem samem polu i u tego samego źródła, nasz autor z krytyczniejszym od niego o wiele J. Wolffem, autorem kilku wielce cennych prac heraldycznych w ostatnich czasach. Tego ostatniego jednakże, spis senatorów W. Ks. *Lit.* o wiele krytyczniejszym się okazał. Pragnąc rozszerzyć i uzupełnić pracę swą, p. Boniecki powołuje się tu i owdzie i na inne źródła oprócz *Metryki*, uzupełnia niemi heraldyczne swe dane, zagląda do wydawnictw kijowskiej komisyi archeologicznej, do monografii niedawno zmarłego hr. Kazimierza Stadnickiego, a i nam samym czyni niekiedy zaszczyt powołaniem się na rozproszone po niektórych pismach naszych genealogiczne wywody. Wszystko to jednak wobec ważności podjętego zadania, wobec siły niezaprzeczonej autora, okazuje się niedostatecznem i czegoś więcej po nim oczekiwać byśmy mogli. To też *Rodowody* te, jako poważne źródło tylko, dla pracowników na tem polu, wskazać nam się godzi. Nie chcielibyśmy także kłaść na kark stronniczości autora, pominięcie przez niego całego szeregu rodzin, w *Metryce* poszczególnionych jednakże, a które znajdujemy i w tylko co wymienionym *Spisie senatorów* Wolffa, jak również przeciągnięcie wiadomości o innych żyjących jeszcze rodzinach, dużo poza wiek XVI., chociaż zakres ten sam w tytule swej pracy naznaczył. Otóż cegiełka to dopiero, cenny niezaprzeczenie materyał dla piszących w tej materyi, a wierzyć chcemy i dla przyszłych badań samego autora, jak niemniej hamulec dla urojeń z dziejową prawdą, tak bardzo w rozbracie pozostających. Ozdobą zresztą książki p. Bonieckiego jest sam wstęp do niej, krytycznie pouczający czytającego o niektórych szczegółach w ścisłym stosunku z przeszłością naszą pod względem heraldyki pozostających, o szczegółach mało znanych, lub wątpliwie dotąd kommentowanych. Wszystko to złożyło się na całość wielce poważną, na materyał źródłowy, z którym odtąd pracującym na tej niwie liczyć się wypadnie, a tem cenniejszy, bo nieskazitelny, jak brylant najczystszej wody.

Tadeusz Jerzy Stecki.

Matka bolesna wzór dla cierpiących, wolne tłumaczenie dzieła *O. Fabra Oratoryanina* pod tytułem „U stóp Krzyża“, przez *O. Prokopa* Kapucyna. Warszawa 1887.

Cichy a niestrudzony pustelnik zakroczymski co kilka miesięcy nowem obdarza nas podarkiem, wydając dziełka albo oryginalne pisane albo przyswajając naszej ubogiej literaturze ascetycznej znakomitsze utwory innych krajów.

Na początku tego roku wydał tłumaczenie dzieła O. Fabera pod tytułem „U stóp Krzyża“. Dzieła O. Fabera odznaczające się głęboką nauką teologiczną pełne treści i ascetycznego nastroju rozeszły się w licznych tłumaczeniach i wydaniach, po całym świecie, a to najlepszy dowód ich wartości. Tłumacz nazwał pracę swą wolnym przekładem, raz że zwroty i sposób wyrażanie w języku angielskim nie dadzą się żywcem oddać w polszczyznie, a powtóre że pominął wiele rzeczy mistycznych i trudnych do zrozumienia, żeby tylko książkę uczynić przystępną dla najszerszego koła czytelników. Przekład pięknym i jędrnym językiem dokonany. W przedmowie wykazuje O. Prokop potrzebę nauki o cierpieniu, które nierozłączne w tem życiu, w tajemnicy krzyża wzmacnia, poświęca i uszczęśliwia na wieczność człowieka.

Z.

Dom kapitulny zwany dawniej św. Stanisława biskupa, przy ulicy kanoniczej w Krakowie. Monografia historyczna według aktów kapituły katedralnej krakowskiej, napisał *Ludwik Zarewicz* członek kom. hist. Akad. Umiej. Z trzema illustracyami w Krakowie 1887.

W prześlicznem wydaniu ukazała się ta monografia jednego ze starożytnych domów krakowskich. Papier gruby, welinowy, druk w niej elegancki, illustracye starannie wykonane. Szczupła zaś liczba egzemplarzy, bo ich zaledwie 50 wybito, czynią ją od pierwszej chwili rzadkością.

Stare domy krakowskie to sędziwe świadki naszej przeszłości, łączą z sobą historyę nieraz głośnych osób i znaczniejszych wypadków a obok tego mieszczą w sobie pełno zabytków, pamiątek i podań, warto więc o nich wspomnieć. Zmarły przed kilku laty Dr. Konstanty Hoszowski, zamierzał wydać historyę wszystkich domów należących do kapituły, ale zmarł wydawszy kilka tylko monografii. O ile nam wiadomo miłośnicy starożytności zbierają obecnie materyał do historyi ważniejszych domów w Krakowie.

P. Zarewicz na aktach archiwum kapitulnego oparty skreślił monografię kamienicy zwanej domem św. Stanisława. O ile z nazwy sądzićby można, to dom ten miałby być mieszkaniem św. biskupa, z czasów kiedy był jeszcze kanonikiem krakowskim. Tymczasem tak nie jest. Długosz w *Liber Beneficiorum* podaje rok jej fundacyi na 1370 a więc w trzy wieki po śmierci św. Stanisława. Nazwa ta powstała dopiero w XVI. wieku, ale skąd i dlaczego, akty nie wspominają. Opisawszy dzieje tej kamienicy, daje autor krótkie biografie jej posiadaczy począwszy od 1504 aż po dziś dzień tj. od Tomickiego a kończąc na baronie Schindlerze. Ostatnia to biografia najdłuższa i najpochlebniejsza robi wrażenie pracy tendencyjnie podjętej.

X.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Histoire d'une grande dame du XVIII. siècle, par *L. Perey*; la princesse Hélène de Ligne. Paris. Calmann-Lévy éditeur 1887.

Histoire d'une grande dame du XVIII. siècle, to pamiętnik z przeszłego wieku: lekki, wesoły, balowy; a zarazem pamiętnik dziwnie smutny i pouczający, kiedy się pomyśli, że ci wszyscy strojni panowie i panie bawili się nad brzegiem przepaści, która raz po raz zaglądała im w oczy, ale na którą zwrócić uwagi nie chcieli i nie mieli czasu. Król francuski miał niezadługo zginąć na rusztowaniu; król polski postradać koronę i udać się do Petersburga; tymczasem w francuskim i „polskim" Paryżu równy szał uciech, niemoralnego upojenia, niezdrowej wesołości. Społeczeństwa, które w takich chwilach i tak się bawiły, ciężką przechodziły chorobę; a jak się bawiło ówczesne francusko-polskie społeczeństwo, na to znajdujemy odpowiedź w książce p. Pereya, z którą zapoznać się trzeba, choć a raczej właśnie dlatego, że pod lekką i zajmującą formą, kryje się w niej spory zasób bardzo gorzkich prawd i nauk. Praca ta tworzy tom jeden ale obszerny, pociągający oko ozdobnością wydania, a smak poprawnością stylu. Już to Francuzi mają osobliwy talent traktowania w sposób zajmujący choćby najnudniejszych rzeczy — cóż dopiero gdy jak tutaj autor ma do pomocy dowcip jednego z najsprytniejszych ludzi w świecie i sposobność przesunięcia przed wzrokiem czytelnika całej galeryi najsławniejszych osobistości z końca przeszłego stulecia.

Życiorys wielkiej damy XVIII. w. dla tego jeszcze, nie mówiąc już o formie i mimowoli płynącej moralnej nauce, szczególny ma dla nas interes, iż bohaterką książki jest księżna de Ligne, późniejsza pani Wincentowa Potocka, z domu księżniczka Massalska — a zatem Polka. Wychowana w Paryżu, przez pierwsze małżeństwo rzucona w wir najwyższego i najwykwintniejszego zachodniego świata, skąd nagle widzimy ją ze wzburzonem sercem wracającą do nieznanej sobie ojczyzny. Niestety, nie jest to jedna z tych matron staropolskich w nawpół klasztornym stroju z kluczami u pasa, jakiemi legenda czyni wszystkie nasze prababki. Do wyrobienia poważnej cnoty potrzeba naprzód opieki matczynej, potrzeba rodzin-

nego gniazda i ojczystego powietrza, a tego wszystkiego na samym wstępie życia zabrakło Helenie Massalskiej. Urodzona w r. 1763 z hetmana Lit. i Radziwiłłówny, została wraz z bratem Ksawerym sierotą niemal w kolebce. Stryj i opiekun jej Ignacy Massalski, biskup wileński, zmuszony po rozbiciu konfederacyi Barskiej uchodzić z kraju, zabrał ze sobą oboje dzieci i powiózł wprost do Paryża, gdzie pani Geoffrin, choć przyjaciółka Stanisława Augusta, nie wahała się przyjąć wygnańców.

„Ksiądz Biskup Wileński, pisze ona 17 listopada 1771 r. do króla, jest obecnie w Paryżu i zamierza tu dość długo zabawić. Przywiózł mi dwoje dzieci: synowca i synowicę, błagając, abym się niemi zajęła. Dziewczynkę oddałam do klasztoru, chłopca zaś do konwiktu". W następnym liście dodaje: „Błagam W. K. M. o napisanie kilku słów łaskawych do Biskupa Wileńskiego, jestto dziecko, ale dziecko dobre, do W. K. M. przywiązane. Zaręczam, iż odkąd tu jest, nie uczynił jednego nagannego kroku. Jest on jedynym Polakiem, którego widuję, a boi się mnie jak ognia. Zakazałam mu z którymkolwiek z obecnych tu Polaków mówić o polskich sprawach i pewna jestem, że będzie posłusznym".

Ten ton protekcyonalny, co najmniej dziwny pod piórem kobiety mówiącej o dygnitarzu kościelnym, daje najlepszą miarę chwiejnego charakteru Biskupa i stopnia szacunku, jaki wzbudzał we współczesnych. Po całorocznym pobycie w Paryżu, powrócił on do kraju z teką pełną planów i politycznych recept ku zbawieniu Polski, nad której losem pilnie naradzał się z J. J. Rousseau i filozofami tegoż samego gatunku. Dzieci brata zostawił w Paryżu; dla Ksawerego znalazł był za poradą Margrabiego Mirabeau (ojca sławnego trybuna) ochmistrza w osobie niejakiego pana Delorme, inspektora wód i lasów, człowieka dobrego tonu i umysłu wykształconego wprawdzie, ale zarazem zupełnie skrzywionego nowemi teoryami ekonomistów. Wybór był nieszczęśliwy. Delorme, biorący rocznie 30.000 franków dla siebie, drugiego guwernera i służby, całe lato jeździł po kraju w celach agronomicznych, włócząc za sobą wychowanka; w zimie zaś zaniedbywał go zupełnie, spuszczając się na guwernera, który z chłopcem obchodził się brutalnie i sam najczęściej zostawiał pod nadzorem rozpustnego lokaja. Nie dziw, iż gdy w 1778 r. książe biskup zażądał powrotu synowca do Polski,

Delorme odwiózł mu czternastoletnie dziecko z rozstrojonym umysłem, chorowite i przedwcześnie zepsute... Piękne to wychowanie kosztowało razem 230.000 franków!

Los księżniczki Heleny był szczęściem odmienny. Liczyła lat ośm w chwili, gdy stryj i pani Geoffrin odwieźli ją do najwykwintniejszego naówczas pensyonatu Cysteryanek, w Abbaye aux Bois. Zakład ten, fundowany pierwotnie w pobliżu miasta Noyon, został w r. 1664 przeniesionym do Paryża, gdzie w krótkim czasie pozyskał wzięcie w najbardziej arystokratycznych sferach. Wszystkie wychowanki należały do pierwszych rodzin Francyi, również jak i zakonnice, których znaczna część wstępowała bez prawdziwego powołania, zmuszona przez rodziców chcących majątek familijny przy nazwisku zachować. Życie też w takim klasztorze, aczkolwiek pobożne, cnotliwe i czynne, nie miało surowej ścisłości dzisiejszych zakonów. Samo otoczenie zewnętrzne wspaniałe było i piękne, rozmiary gmachów ogromne, pokoje ksieni ozdobne w złoto, gobeliny i freski. Cały zakład podzielony był na części zwane obedyencyami, przy których pewna liczba zakonnic pełniła służbę, wprawiając zarazem starsze panienki do zajęć gospodarskich i domowych; jedne np. wyznaczone były do kuchni, inne do apteki, do zakrystyi, do biblioteki, do furty i t. d. co wszystko nie przeszkadzało kształceniu się w muzyce, rysunku, tańcu, a poniekąd i w poważniejszych naukach. Dowodem jak wysokie miejsce w wychowaniu ówczesnem zajmowały tak zwane „talenta salonowe“ jest fakt, iż przy corocznym egzaminie nagroda za taniec równała się nagrodzie za naukę historyi. Lekcye udzielane były przez najlepszych metrów paryskich, zakonnicom zaś pozostawał nadzór, wykształcenie praktyczne i trudniejszy od wszystkiego kierunek moralny. Zadanie było tem cięższe, iż wpływ ich nie był wyłącznym: panienki często wracały do rodziny, do świata, brały udział w balach, niby dziecinnych, i w przedstawieniach teatralnych na salonowych scenach; niekiedy nawet były już zamężne i po ślubie edukacyę kończyły...

Księżna Massalska zostawiła nam żywy i barwny obraz tego małego, klasztornego świata. Pamiętnik jej, zaczęty w 10-tym roku życia i prowadzony niemal do ślubu, zajmuje połowę książki pana Perey. Dziecinna szczerość, prostota, wesołość i dowcip nadają wiele uroku tym wspomnieniom dziewczęcym. Helenka opowiada

nasamprzód o swoim przyjeździe do klasztoru i nieśmiałości z powodu niedokładnej znajomości francuskiego języka: „Starsze panienki „przychodziły mi się przyglądać i słyszałam jak mówiły: Biedactwo! „nie umie po francusku! niech nam co powie po polsku — dowiemy „się co to za język. Ale ja, wiedząc że się będą ze mnie śmiały, nie „chciałam ust otworzyć. Mówiono jeszcze, żem bardzo wątła, że „przybywam z bardzo dalekiego kraju, z Polski, i dodawano: „Jak- „żeż to zabawnie być Polką!“. Potem panna de Montmorrency wzięła „mnie na kolana i spytała czy chcę, aby była moją mamą, na co „dałam znak, że chcę, bo nie chciałam mówić nic, aż tak potrafię „mówić jak wszyscy“.

Oczywiście ten silny zamiar nie dotrwał ani do wieczora i wnet księżniczka, przybrana w czarny mundurek z niebieskiemi wstążkami, zajęła miejsce w niższej klasie zakładu. Wkrótce osądzono, iż zdrowie jej wymaga szczególnych starań, a że biskup wileński zgodził się był naprzód na wszystkie wydatki, dano jej osobny apartament, w którym zamieszkała z boną, panną służącą, i służebną dziewczyną. Podobny wyjątek nie był zda się rzadkim w klasztorze, gdyż Helenka pisze, iż sąsiednie pokoje zajmowała najdroższa jej przyjaciółka panna de Choiseul.

Ksienią naówczas była Marya-Magdalena de Chabrillan, następująca po pani Richelieu siostrze sławnego marszałka. Najważniejszą jednak osobistością klasztoru, zwłaszcza dla uczennic, była tak zwana *grande maitresse générale*, pani de Rochechouart (córka księcia de Montemart), osoba wielkiego rozumu i cnoty, pełniąca z chrześcijańską odwagą obowiązki stanu, do którego nie powołał jej Bóg ale wola rodziny. W Abbaye aux Bois odbywały się często obłóczyny spokojnie, bez łez ni radości, o jednym tylko wypadku opowiada księżniczka szczegóły, świadczące przynajmniej, iż się ani księży ani przełożone zakonów o te przymusowe śluby winić nie godzi.

„Od dwóch lat zostawała w nowicyacie panna de Bastignac, „licząca naówczas lat 20. Zdawała się pogrążona w strasznym smutku, „była ustawicznie chora i cały czas prawie spędzała w infirmeryi. „Już była przywdziała habit, po dwa kroć wyznaczono dzień na pro- „fesyą, lecz za każdym razem z powodu zasłabnięcia jej ceremonię „odłożyć musiano. W ogóle mniemano, iż po niewoli do klasztoru

„wstępuje. Napróżno jednak spowiednik jej Dom Thémines nalegał, „aby śluby odroczyć na czas nieograniczony; napróżno przełożona „po kilka razy odsyłały ją do rodziny, chcąc zmusić by powróciła „do świata... W końcu oznaczono znów dzień na professyą... „Dnia tego cała rodzina Hautefort, blisko z panną de Bastignac spo- „krewniona, zapełniła kościół; panna de Guignes niosła jej świecę, „a hrabia Hautefort służył za drużbę. Początek ceremonii odbył się „dobrze; po kazaniu, podczas którego panna de Bastignac trzymała „się dzielnie, hr. Hautefort podał jej rękę i zaprowadził do bram „klauzury, które za nią zawarły się z trzaskiem. Uważaliśmy, iż „widocznie pobladła; idąc do kraty chóru wydawała się nawpół „żywa — mówiono wciąż, że jest chora, ale nam zdało się jakoby „więcej na duszy, niż na ciele cierpiała... Podczas składania ślu- „bów była ledwie przytomna, mdlejącą odprowadzono do zakrystyi. „Wieczorem leżała w gorączce, musiano ją wziąść do infirmeryi, gdzie „znów przepędziła kilka tygodni, poczem została nadzorczynią refek- „tarza. Zdrowie jej jednak nie powróciło nigdy. Jest obecnie „w ciągłym stanie osłabienia i melancholii, nad czem wszyscy „w klasztorze boleją; wszyscy też starają się wedle możności uprzy- „jemnić jej życie". Zaprawdę, ani Bóg, ani Kościół takich ofiar nie żąda. Kto raz widział prawdziwe powołanie zakonne ten pozna, jaka przepaść istnieje między zrzeczeniem się wszystkiego dla jednej najwyższej miłości, a tem zdeptaniem serca ludzkiego dla doczesnych względów.

Z małżeństwem córek szło jeszcze gorzej: w klasztorze przynajmniej reguła broniła professyi przed pewnym wiekiem — tu wiązano życie w latach dziecinnych. Oto opis małżeństwa panny de Bourbonne, nie weselszy od ślubów panny de Bastignac: „Pewnego „dnia panna de Bourbonne powróciła od rodziców bardzo smutna, „poszła do pani Rochechouart i długo u niej bawiła. W dwa dni „później przyszła, prowadzona przez obie panny de Chatillon swoje „przyjaciółki, oznajmić nam swoje zaręczyny z hrabią d'Avaux, „synem margrabiego de Mesme. Otoczyliśmy ją i obsypały pyta- „niami. Miała wówczas zaledwie lat 12 (!), za tydzień miała odbyć „pierwszą komunię, za drugi tydzień wziąść ślub a potem do kla- „sztoru powrócić. Była tak strapiona, żeśmy w końcu zapytały, czy „się jej narzeczony nie podoba? na co wyznała szczerze, że jest

„bardzo brzydki i bardzo stary i że nazajutrz ma przyjść ją odwie-„dzić. Przyszłyśmy zatem prosić panią ksienię, aby nam otwarto „pokoje Orlańskie[1], skąd przez okno mogłyśmy się przypatrzyć „przyszłemu mężowi naszej koleżanki. Nazajutrz popołudniu, pan „d'Avaux się stawił i wydał nam się, czem był w istocie, to jest — paskudnym. Skoro panna de Bourbonne wyszła z rozmow-„nicy, wszyscy się jęli nad nią litować: „Boże mój! jakiż ten twój „mąż brzydki! Gdybym była tobą, nigdybym za niego nie poszła! „O! biednaś ty biedna!". A ona mówiła: „Pójdę za niego, bo papa „każe, ale go nigdy kochać nie będę, to pewno!... I w istocie „w dwa tygodnie później, kilka dni po pierwszej komunii, małżeń-„stwo zostało zawartem w kaplicy pałacu d'Havré. Panna młoda „wróciła do klasztoru, obładowana klejnotami i prezentami i nieco „rozbawiona tytułem „pani d'Avaux" jaki jej odtąd dawano... Za „to wstręt jej do męża z każdym dniem wzrastał — raz nawet udała „że ma zwichniętą nogę, aby nie wyjść do rozmownicy". Oczywiście podobne małżeństwo skończyło się jak najgorzej, tak dla duszy jak i dla szczęścia biednej dziewczyny.

Po takich dwóch przykładach dziwić się nie można, że miłość rodzinna stawała się niemal tylko wspomnieniem minionych czasów, i że oziębłość wkradała się w mury klasztorne. Prócz oziębłości jednak istniał w Abbaye-aux-Bois inny zaród złego, z którym napróżno walczyła władza duchowna — Jansenizm. W ostatnich latach rządów ksieni de Richelieu zakonnice wyznawały tak głośno przeciwne Kościołowi zasady, iż klasztor obłożono interdyktem. Później upór ich pozornie zmiękł: interdykt zdjęto a w r. 1779 arcybiskup de Beaumont, wielki wróg Jansenizmu, raczył sam przybyć dla udzielenia bierzmowania panienkom. Wówczas również miała być bierzmowaną Helenka, z jej dziennika więc czerpiemy co następuje:

„W dzień Zielonych Świątek po nabożeństwie i bierzmowaniu „ksiądz arcybiskup przyszedł do klasztoru, gdzie ksieni z pastora-„łem w ręku a za nią wszystkie zakonnice przyjmowały go u bramy.

---

[1] L' Appartement d' Orléans tj. dawne mieszkanie Ludwiki Adelaidy de Chartres córki Regenta (Filipa de Orléans), która była przez czas pewien ksienią w Abbaye aux Bois.

„Jest w zwyczaju, iż zakonnice jedna po drugiej przychodzą całować pierścień biskupi — wiele z nich jednak uczynić tego nie chciało. Arcybiskup, zwiedziwszy dom cały, przeszedł do biblioteki klasztoru; jest ona bardzo piękna, składa się z trzech sal i zawiera 30.000 tomów, między któremi są i bardzo ciekawe manuskrypta. Słyszałam, że w domu znajdują się dzieła Janseniusa w pierwotnem wydaniu, ale je ukrywają starannie... Przechodząc po stronie, w której są książki filozofów, jak Arnaud, Nicole, Pascal i innych ojców z Port-Royal, ksiądz arcybiskup powiedział: „Ot co wiele głów przewróciło i jeszcze nie jedną zawróci!“. Dalej zauważył kilka pułek pustych w miejscu przeznaczonem dla ojców Kościoła; siostra pani de Rochechouart, pierwsza bibliotekarka odrzekła, iż te książki kilka zakonnic czyta obecnie; na co arcybiskup powiedział: „Teraz już nie dziwię się, że moi wikaryusze wolą mieć do czynienia z profesorami Sorbonny, niż z paniami z Abbaye aux Bois“. Po chwili, śmiejąc się zapytał, gdzie zazwyczaj chowano Janseniusa i marzenia ojca Quesnel? Bibliotekarka odparła, że dzieła te nie stoją w katalogu a zapytana czy ich nigdy w domu nie widziała, dodała, że od kilku lat tak często je nagabywano o tego Janseniusa, że gdyby go nawet nie miały w klasztorze, byłyby musiały o dzieła te się postarać, gdyż nie godzi się o kimś źle mówić bez przekonania się, i że zresztą jedynie konieczność dawania odpowiedzi na owe indagacye mogła je zmusić do czytania tak niemiłych książek. Arcybiskup nie pytał dalej, ale dwa dni później posłał swych wikaryuszów, którzy wszystkie dzieła teologiczne napowrót do szaf ściągnęli i zamknęli pod pieczęcią biskupią. Wtedy zakonnice oświadczyły, iż w domu swoim nie uznają żadnej władzy krom swego przełożonego Opata z Clairveaux. I w istocie zawezwały natychmiast pomocy Opata, który wysłał do arcybiskupa dwóch wizytatorów z zastrzeżeniem swych praw do wyłącznej jurysdykcyi nad całym zakładem. Ksiądz arcybiskup, nie chcąc aby sprawa przeszła pod dyskussyę Parlamentu, rozkazał odjąć pieczęcie. Wtedy wizytatorowie zwołali kapitułę zakonu; nie wiem już co tam zaszło — to jedno było widocznem, iż obie strony rozeszły się w zadowoleniu i zgodzie.

Pani de Rochechouart trzymała się zdala od tych wszystkich zatargów. Prawdopodobnie, gdyby ona była ksienią została, byłby

zakon do dawnej prawowierności powrócił; ale niestety, umarła młodo — w rok przed wyjściem z klasztoru ks. Massalskiej. Dla tej ostatniej było to prawdziwem nieszczęściem, traciła bowiem jedyną osobę, mającą na nią wpływ zbawienny a silny. Odtąd też dziewczę dobre, ale lekkie i płoche puściło się na samowolę swej wyobraźni i serca. Z śmiercią pani de Rochechouart kończy się przez p. Perey podany pamiętnik Heleny. Jeszcze była w klasztorze, a już o majątku jej mówiono wiele po świecie, mówiono i o piękności, którą poznano na balach dziecinnych. Poczęli się zjawiać pretendenci: pierwszym był książe d'Elbeuf z panującego rodu książąt Lotaryńskich, pan wielkiego imienia, lecz chudej fortuny; drugim książe Fryderyk Salm-Kyburg, młodzieniec używający najgorszej sławy, ale który pomimo tego umiał się był wkraść w łaski Heleny. Żaden z tych jednak nie miał dopiąć celu. Ciotka księcia d'Elbeuf, księżna de Ligne Luxembourg widząc, iż nic dlań nie wskóra, jęła próbować szczęścia dla innego siostrzeńca księcia Karola de Ligne.

Dom książąt de Ligne, choć nie mógł się równać z Lotaryńskimi książęty, zajmował przecież tak we Flandryi jak w Austryi i Francyi nader wysokie stanowisko. Ojciec młodego konkurenta, słynny z dowcipu książe Karol-Józef de Ligne, był ulubieńcem na wersalskim i wiedeńskim dworze. Dziwnem jest, że tak promienna natura rozwinęła się w cieniu i chłodzie. Straciwszy matkę w kolebce, wychowanym był z wielką surowością przez ojca, który go nie kochał, a o postępy jego i pomyślność dbał tak mało, iż na wiadomość o nominacyi syna na pułkownika pod rozkazami jego stojących dragonów napisał doń w te słowa: „Dość mi było nieszczęścia mieć WPana za syna, aby potrzebować się jeszcze tem martwić, że muszę mieć cię za pułkownika!“ Na co syn odpowiedział: „Monseigneur, nie jestem winien ani jednemu ani dru„giemu, a za ostatnie nieszczęście sam Cesarz przed W. X. M. od„powie“.

Książe Karol-Józef ożenił się w r. 1755 z księżniczką Lichtenstein, którą szanował więcej niż kochał, a nawet pono bał się jej potrosze, całą swą miłość zachowując dla dzieci, zwłaszcza dla starszego syna Karola. O urodzeniu jego dowiedział się podczas wojny przeciw Prusakom, pod Miśnią: „Mam syna! — pisał wzru-

szony — o jakżeż go będę kochał! chciałbym już do niego napisać...“ Przyszły narzeczony Heleny był dzieckiem jeszcze, gdy go ojciec trzymając za rękę powiódł do pierwszego boju, mówiąc: „Prawda Karolku, że byłoby ślicznie, gdybyśmy tak razem jaką rankę ponieśli?“ A chłopiec śmiał się, unosił i robił swoje uwagi.

W r. 1777 podczas gdy ojciec i syn zajęci byli kampanią bawarską, w Paryżu przyjaciele ich stawiali baterye dla zdobycia ręki pięknej dziedziczki. Sprawa szła zrazu trudno, gdyż Helena miała główkę nabitą księciem Salm. W końcu jednak zwalczono jej opór: ks. biskup Wileński przyjechał, obaj panowie de Ligne wrócili z wojny, poczem wesele odbyło się z wystawnością, godną ówczesnych zwyczajów i fortun. Helena liczyła lat piętnaście. Klejnoty któremi ją okryto, królewskie przyjęcie we wspaniałym zamku Bel-Oeil a potem następujące bez przerwy zabawy i widowiska olśniły dziecinną a próżną główkę. Z rodziny, która jej tak gorąco pragnęła, nie pokochała na seryo nikogo: mąż piękny był, miły, rozumny, dzielny, lecz jak dla niej nieco zbyt w zajęciach poważny. Matka jego stokroć jeszcze poważniejsza, mająca do zniesienia i przebaczania wiele, obarczona administracyą wielkiego majątku ustawicznem płaceniem długów męża i dostarczaniem środków na tak wystawne życie, w młodej synowej wzbudzała uczucie niekoniecznie przyjazne. Najwięcej sympatyi zyskał teść i niedziw — skoro za nim cała Europa szalała — ale starszy książę nie zawsze był w domu, zaprzątnięty to służbą wojskową, to odwiedzinami w Wersalu lub Wiedniu. Helena wkrótce znudziła się w Bel-Oeil, gdzie się zawsze gościem być czuła; po długich a usilnych naleganiach wymogła wreszcie na rodzicach i mężu zakupno pałacu w Paryżu i pozwolenie na przepędzanie tam zimy.

Sam teść przedstawił ją w Wersalu, gdzie urok jej natychmiast pozyskał hołdy całego dworu, podczas gdy mąż jej, przyćmiony postacią ojca i obcy w towarzystwie francuskiem, zostawał nieco na boku. Inaczej za to miało się dziać w Wiedniu. Rodzina de Ligne zmuszona 1787 r. z powodu powstania Flandryi opuścić Bel-Oeil schroniła się do stolicy Austryi. Tym razem już Helena powiozła z sobą kilkomiesięczną dziecinę. Przyjście jej na świat (1786) rozradowało starszego księcia i zbliżyło nieco do siebie serca młodych małżonków — niestety, na bardzo krótko. W Wiedniu znów księżna

czuła się obcą, podczas gdy mąż jej na każdym kroku witał dawnych przyjaciół i dawne odnawiał stosunki. Trapiona zazdrością, mniejsza o to, słuszną czy nie słuszną, Helena pod pozorem uregulowania spraw majątkowych, wyjechała w jesieni 1788 do Warszawy, gdzie trafiła właśnie na samo rozpoczęcie sejmu.

Stolica była przepełniona, zabawy świetne, dwór Stanisława Augusta jaśniał wszystkiemi urokami piękności, dowcipu i sztuki, a wszyscy w tym błyszczącym świecie przyjmowali ją z otwartemi rękami, jakoby ptaszę wędrowne, powracające do ojczystego gniazda. Tak przeszła zima; lato Helena spędziła w Werkach, pięknej rezydencyi stryja na Litwie, poczem znów w jesieni do Warszawy zjechała. O powrocie do Wiednia mowy nie było — stara księżna tylko udzielała wiadomości o zdrowiu dziecięcia...

Równocześnie prawie z Heleną przybył do Warszawy WPodkomorzy K. Wincenty Potocki, syn Stanisława Wojewody Kijowskiego. Był to już człowiek 30-to kilko letni, wykwintny i ujmujący w obejściu, prawdziwa natura dyplomaty, tak przynajmniej opisuje go Perey. Ożeniony 1° Voto z siostrzenicą króla Urszulą Zamoyską[1], rozwiedziony po kilku latach bezdzietnego małżeństwa, połączył się był powtórnie z Anną Mycielską, którą obecnie zostawił był na wsi słabą po urodzeniu drugiego syna. Księżna de Ligne spotykała pana Wincentego w domu państwa Janów i Sewerynów Potockich i wkrótce zauważono że się między nimi niezwykła zawiązała przyjaźń. Tu rozpoczyna się w życiu Heleny epizod zbyt przykry, aby się nad nim rozwodzić... Po raz pierwszy w życiu zakochana nie pomyślała nawet o poskromieniu uczucia; w czasach w których rozwody były na porządku dziennym, zamiar związku z p. Wincentym wydał jej się zupełnie legalnym. Biedna, kochająca męża Anna Potocka walczyła dzielnie o swoje szczęście domowe, ze swojej strony rodzina de Ligne przyjęła z oburzeniem propozycyę rozwodu. List starej księżny w tej sprawie do synowej pisany daje miarę godności jej a zarazem i niesłychanej dobroci; pragnęła jeszcze wspomnieniem dziecka rozbudzić serce Heleny — nie pomna iż tam, gdzie zapanuje namiętność nie ma już miejsca dla prawdziwej miłości...

Śmierć tymczasem jęła pracować nad ułatwieniem pragnio-

[1] Urszula Zamoyska wyszła powtórnie za Mniszcha.

nego związku. 13 września 1792 r. w bitwie pod Croix-aux-Bois kula francuska zwaliła na miejscu księcia Karola de Ligne — męża Heleny; w kilka dni później zmarł w Niemirowie młodszy synek pana Wincentego, a matka we łzach tonąca zgodziła się na rozwód byle jej starszego oddano. Trzecim z rzędu był brat Heleny, Ksawery Massalski, po którym odziedziczony majątek miał nowożeńcom mienie przysporzyć...

W trzy miesiące po śmierci księcia Karola — a na tyleż przed nadejściem dyspensy z Rzymu odbył się o północy w kaplicy OO. Bernardynów w pobliżu Werków ślub księżny de Ligne z Wincentym Potockim. Zbliżając się do ciemnych stopni ołtarza Helena pono zadrżała, gdyż zdało jej się, że to trzy trumny, po których jej stąpać przychodzi... Ta chwila trwogi jednak minęła szybko. Po ślubie państwo młodzi wrócili do Werków, skąd po dłuższym pobycie na Litwie udali się do Niemirowa.

Na tem kończy się opowiadanie p. Perey. Wiadomem jest, iż syn Wincentego Potockiego Franciszek, zaślubił później córkę swojej macochy Sydonię de Ligne, którą po kilku latach z Flandryi Helenie oddano. Czy sama Helena znalazła w nowym związku marzone szczęście? nie wiemy. Panią Annę z Mycielskich Potocką wielu jeszcze pamięta: umarła w późnej starości, otoczona ogólną czcią i poważaniem.

Oto w krótkości treść życiorysu, która w książce Lucyana Perey ginie wśród anegdot, opisów i dowcipnych słówek. Korespondencya obu książąt de Ligne zwłaszcza ciekawa i do czytania miła — aż ciepło robi się na duszy, widząc tak poczciwą miłość w tych sercach żołnierzy. Jeśli relacye podróży ich do Berlina, Petersburga i Chersonu, charakterystyka Fryderyka W., cesarza Józefa i Katarzyny, obraz wiedeńskiego dworu i listy pisane z kampanii tureckiej mają służyć za przyprawę do głównej treści, przyznać trzeba, iż ta przyprawa stanowi główną dzieła zaletę. Zdaniem niektórych, autor objawił znajomość polskich stosunków zadziwiającą pod piórem cudzoziemca; dziś, wdzięczni jesteśmy za każde słowo wymówione o nas bez żółci lub lekceważenia, a jednak smutne te czasy tak jeszcze nas bliskie, iż każde obcej ręki dotknięcie mimowoli nas razi. Przykro nam czytać, iż wówczas jeszcze biskup Massalski łudził księcia de Ligne nadzieją pozyskania polskiej ko-

rony i że w tym celu namówił go do starania się o indygenat, który mu został przyznany po tragiczno-komicznej scenie sejmowej bardzo dowcipnie opisanej przez księcia. W ogóle też Polacy, tak Massalscy jak i Potocki, w całem opowiadaniu ujemną grają rolę, o której autor przecież wyraża się — jak na cudzoziemca — nader oględnie. Trudno za to o mniej sympatyczną postać niż Józef II., jak go nam przedstawiają listy księcia de Ligne równie jak i tekst książki. Starszy książe mawiał o nim i o jego niewykonalnych mrzonkach, iż „przez całe życie wyglądał jak człowiek, któremu się na kichanie zbiera, a kichnąć ani rusz". Józef II. jak wiadomo chętnie przebywał w towarzystwie kobiet; uczęszczał zwłaszcza do Belwederu, gdzie u księżny Kinsky zgromadzało się dobrane kółko. Tu zrzucał wszelką etykietę i pozwalał w rozmowie na swobodę, która często przekraczała szranki uszanowania. „Nie można „sobie wystawić, pisze książe de Ligne, co te panie nieraz przed„demną Cesarzowi mówiły. Raz np. jedna, wspominając o złodzieju „którego Cesarz kazał był dnia tego powiesić dodała: „Jakże „W. C. M. mogłeś go skazać, sam wprzódy okradłszy Polskę?" Było to zaraz po pierwszym rozbiorze. „Moje panie! — odrzekł ce„sarz — matka moja, która posiada wasze zaufanie, i która równie „często jak wy chodzi do kościoła, wybornie się z tym faktem „zgodziła. Co do mnie jestem tylko jej pierwszym poddanym". — Niepodobna jest przytoczyć wszystkich anegdot i lekkich a sprytnych zwrotów myśli, zawartych w listach księcia de Ligne; sława jego pod tym względem jest ustaloną — wszak jeszcze jako 80-letni starzec świecił dowcipem.

Z ust poważnych słyszeliśmy na książkę pana Perey rzucony wyrok, iż jestto dzieło płytkie, bez większej wartości... Zarzut słuszny, jeśli kto życiorys ładnej kobiety traktuje jako studyum historyczne; ale patrząc nań z innego punktu nabiera się też nieco odmiennego zdania. Jestto wprawną ręką rzucony szkic obyczajów najwyższych sfer XVIII. wieku, błyszczący i lekki jako ludzie, których maluje, a, dzięki swej niemal powieściowej formie, przystępny i dla tych, którzy zazwyczaj niezbyt ochoczo biorą się do poważnych historycznych studyów. W pamięci starszych wzbudzi ta książka niejedno wspomnienie; młodszych pocieszy może — choć słaba to pociecha — że dawniej pod wielu względami gorzej by-

wało jeszcze niż dzisiaj. Nasi przodkowie z ubiegłego wieku żyli w weselszej atmosferze; my żyjemy w smutniejszej, ale zdrowszej podobno.

T. W.

Vie du cardinal de Bonnechose, archevêque de Rouen par *Mgr. Besson* evêque de *Nimes* et *d'Alais*, 2 vol. in 12. de X. 516 et 680 p. avec portrait et lettre manuscrite du cardinal. Paris, Retaux. Bray, 1887.

Urodzony na samym wstępie tego wieku, zmarły przed paru laty kardynał Henryk de Bonnechose, przypatrzył się, owszem brał osobisty i żywy udział w tylu ważnych dla Kościoła we Francyi wypadkach, że życie jego jest nietylko już zajmującą monografią jednego człowieka, ale niemal wyczerpującym obrazem raczej smutnych, niż wesołych dni, które przechodził Kościół we Francyi, równie za Ludwika Filipa, jak później za Napoleona, jak w ostatnich czasach za Thiersa i Grévego. Wychowanie otrzymał Henryk de Bonnechose najgorsze, jakie można pomyśleć. Matka protestantka, ojciec przez długie lata zagorzały sceptyk, próbowali na synu skuteczności teoryi Rousseau'a i do lat osiemnastu nie wspomnieli mu ani słowem o religii, o wierze, o chrześcijaństwie. Pomimo tego, Henryk rzadkim zbiegiem okoliczności wiódł życie moralne, tak że kiedy wreszcie, dzięki kardynałowi de Rohan, światło Boże do umysłu jego zaczęło się przedzierać, żadna niska namiętność jego promieniom nie zatorowała drogi. W chwili nawrócenia Henryk był adwokatem generalnym w Besançon; wymowa, wrodzone talenta, chęć do nauki rokowały mu nie tylko piękną, ale świetną przyszłość. Ale Bonnechose, zostawszy chrześcijaninem, zapragnął być apostołem: wyrzekł się karyery i w r. 1833 został kapłanem.

Ciężkie próby czekały młodego lewitę na samym wstępie. Najserdeczniejszy jego przyjaciel i mistrz Bautain, nie trzymając się ubitej ścieżki, rozgraniczającej dziedzinę wiary od dziedziny rozumu, zeszedł na manowce, a zgrzeszywszy „zbytkiem wiary", jak wyraził się Grzegorz XVI., musiał cofać zbyt śmiało postawione wnioski. Uczniowie Bautain'a, a między niemi Bonnechose, poszli śladami nauczyciela i poddali się przykładnie wyrokowi Stolicy, choć, rzecz prosta, akt ten posłuszeństwa, przemazując jednym zamachem pracę wielu lat i zdobyte nią poglądy i zasady, musiał ich niemało kosztować i właśnie dlatego jednał im tem więcej przed Bogiem zasługi, przed rozumnymi ludźmi szacunku. W r. 1845 ksiądz de Bonnechose otrzymał od rządu francuskiego niewdzięczną misyę w Rzymie, wymierzoną właściwie przeciw Jezuitom, a której gorliwy kapłan podjął się sądząc, że potrafi w ten sposób odwrócić większe nieszczęścia od Kościoła we Francyi. Misya nie zupełnie się powiodła ale natomiast ściągnęła na księdza de Bonnechose wiele ciężkich a nieusprawiedliwionych zarzutów, które wzmacniając charakter, przyzwyczajały go do cięższych jeszcze krzyżów.

W przeddzień rewolucyi 1848 r. został ksiądz de Bonnechose biskupem w Carcassonne. Tak tu, jak później w Evreux pierwszem jego staraniem było zaprowadzić jedność liturgiczną z kościołem rzymskim, walczyć ze złą prasą, domagać się od rządu energicznej obrony najświętszych katolickich interesów.

Bonnechose mógł i miał prawo śmiało odzywać się do rządu cesarskiego, bo był jednym z jego najgorętszych, może nawet za nadto gorącym stronnikiem i obrońcą. Po kilkakroć w kwestyi władzy doczesnej i konkordatu wypowiedział Napoleonowi słowa prawdy, domagał się zmian radykalnych; lecz za każdą razą odejść musiał z paru nieokreślonemi i niezisczonemi później obietnicami. Raz tylko blask kardynalskiej purpury zbyt go olśnił, bo dziękując za nią Napoleonowi nie zachował należytej miary i godności. Brak ten taktu naprawił energicznym protestem przeciw konwencyi z 15 września 1864. „Rumienię się, rzekł do ambasadora francuskiego przy dworze papieskim: de Sartiges, za nasz rząd, za stanowisko w jakiem nas stawia, i za żadną cenę solidaryzować się z nim nie mogę". Na soborze Watykańskim postać kardynała w pięknem stanęła świetle: działał i mówił wedle własnego przekonania i dobrze zrozumianych interesów katolickich, nie wedle instrukcyi nadchodzących z Paryża. Thiers i Mac-Mahon umieli uczcić wysokie zalety kardynała, a chociaż tenże nie taił się wcale z sympatyami dla Bonapartych, używali jego rady i bodaj czy stosunkowo więcej jej nie słuchali, niż cesarz-karbonaryusz. Ostatnia epoka prześladowcza, zainaugurowana przez wnioski Ferry'ego o zniesieniu wolności wychowania, zastały kardynała nie tak na placu boju, jak raczej mozolnej pracy, aby ile się da, z wymierzonych ciosów odwrócić. Prezydent, ministrowie, senatorowie, przyjmowali kardynała z szacunkiem, zapewniali o dobrej swej woli, ale zapewnienia te rodziły bardzo tylko drobne i niedojrzałe owoce. Ksiądz Bonnechose pił z gorzkiego kielicha osobistych upokorzeń, ale nie uchylał się od nich, zadowolniony jeśli za tę cenę, choć drobne jakieś, przemijające utargował ustępstwo. Nadzieje lepszej przyszłości pokładał w ostatnich latach na hr. Paryża, nie tając sobie, że lepsza ta przyszłość dla Francyi, kto wie czy nie coraz dalej w ciemność się zasuwa, czy nie dzieli nas od niej całe morze cierpień i krwi.

Kardynał de Bonnechose jak widać z powyższego streszczenia, jest typem odmiennym od największej części głośnych i znanych biskupów i kapłanów francuskich w bieżącem stuleciu. Innemi drogami dążył do tego samego celu; nie dziw, że na nowych nieznanych jeszcze drogach mogła mu się czasem noga poślizgnąć. W każdym razie, kto zechce dokładnie poznać różnorodne prądy jakie we Francyi, a zwłaszcza między duchowieństwem francuskiem płynęły i płyną postaci tej nie w każdej chwili życia równie sympatycznej, ale zawsze nad inne górującej, pominąć nie może.

B.

Letters and Papers, Foriegn and Domestic of the Reign of Henry VIII., arranged and catalogued by *James Gaudner*. Longmans and Co.

Wspomnienie o tej nader ważnej publikacyi, obejmującej wszystkie dokumenty odnoszące się do panowania Henryka VIII., znalazło się już w naszym *Przeglądzie*. Corocznie wydawca, po dwunasto miesięcznem szperaniu w archiwach państwowych, w muzeum bretońskim, w różnych Anglii zakątkach i zbiorach, udarza nowym tomem miłośników i badaczy historyi. Obecnie już dziewiąty tom z kolei się pojawia: nie jest on ani tak krwawym, ani tak działającym na nerwy czytelnika jak poprzedni, ale natomiast nie mniej straszny i bolesny. Po sądowem zamordowaniu kardynała Fischera i kanclerza Tomasza

Morusa, po rzezi niewinnych Kartuzów, nastała chwilowa przerwa w wyrokach śmierci i ucisku. A jednak nie znać nigdzie stanowczego oporu w narodzie, złamanym przez samowładnego Henryka. Straszny ten człowiek teraz dopiero wychyla się w całej swej ohydzie, a jednocześnie uwydatnia się i jego niesłychana dyplomatyczna zręczność w stosunku do innych państw, oraz równe ze samowładzą i powodzenie w dyplomatycznej dziedzinie. Sprawy zagraniczne zupełnie sam niemal na własną prowadzi rękę, wszystkich okłamuje, każdego usidlić zdoła, zawsze swe widoki przeprowadzić umie i celów swych dosięgnąć potrafi, ukryte sprężyny wypadków na jaw wychodzą, po raz pierwszy światło dzienne oglądających dokumentów. Taki człowiek jak Henryk VIII. mniemał że w najgłębszej działa nocy, że nikt nigdy nie dostrzeże ani wykryje tajonej myśli jego i celu, a tutaj po latach wielu wszystkie jego powikłane sztuczki się wyjaśniają i ani jedna tajemnica w pomroku nie zostaje.

Henryk VIII. wszystko tedy zmiażdżył i zgniótł wokoło, zdawało się iż powinien był być zadowolnionym ze skuteczności swego absolutnego postępowania. Tymczasem świeżo ogłoszone dokumenty dowodzą, iż nigdy nie doznał tyle utrapienia z niepokoju wewnętrzego, jak w pierwszych sześciu miesiącach po zabiciu Fischera i Morusa, po ogłoszeniu supremacyi swej nad kościołem w Anglii. Później zaprawił się w bunt i zbrodnię, teraz jeszcze nie zabił w sobie całkowicie sumienia. A do tego tkwiła w nim śmiertelna obawa co do następstw swego kroku, w obec Rzymu i Papieża. A nuż go Namiestnik Chrystusowy nie tylko wyklnie, lecz jeszcze złoży z tronu, jak tego bywały przykłady? Henryk otwarcie wyzywał Papieża, w duszy zaś drżał przed nim i długo nie pozbył się trwogi. Protestanccy krytycy niniejszego wydawnictwa nadmieniają tu, iż gdyby w miejsce Pawła III, na stolicy Piotrowej zasiadł był już wtedy młodszy pełen energii Paweł IV., sprawy religijne w Anglii bodaj byłyby całkiem różny obrót wzięły.

Tom IX. papierów Henrykowych dostarcza głównie ciekawych wiadomości co do bezpośrednich skutków ogłoszenia aktu supremacyjnego w Anglii. Dotąd każdy spór w rzeczach duchownych, każda sprawa kościelna ostatecznie w Rzymie bywała rozstrzyganą i oskarżone strony ufały zupełnie tej najwyższej instancyi. Teraz samowola królewska wszystko nieodwołalnie rozstrzygać chciała i musiała. Klasztory i opactwa znaczniejsze, od wieków bezpośrednio podlegały władzy papieskiej. Teraz nagle przeszły pod władzę króla, który naznaczył im podłych służalców swych za wizytatorów, używających wszelkich środków, byle klasztory te o zagładę przyprawić. Zapewne, w owych smutnych czasach i w klasztorach tu i owdzie trafiać się musiały przykłady rozluźnienia reguły lub ostudzenia ducha. Lecz nawet po kilku wiekach, nie trudno dostrzedz fałszu świadectw, wznoszonych najczęściej przez pospolitych złoczyńców, wypędzonych ze zgromadzenia niegodnych mnichów, rabusiów liczących na udział w grabieży, przeniewierców którzy nadużyli powierzonych sobie funduszów i t. p. Nawet protestanci ze wstrętem odwracają oczy od tych niby prawnych kroków, które uwydatniają tylko więcej łotrostwo wizytatorów i donosicieli. Takie też zrywanie zasłony z początków dzieła mniemanej reformacyi więcej od jakichbądź argumentów może na umysły oddziałać i zwrócić Anglię ku prawdzie, której niegdyś z taką szkodą swoją odbiegła.

Mówiąc o zasądzonych na śmierć katolikach, użyliśmy w tem sprawozdaniu wyrazów r z e ź lub m o r d e r s t w o. Ale w tem idziemy tylko za przy-

jętą już dziś terminologią angielskich historyków, oznaczających stale ówczesne kakatomby katolików wymownem mianem *judicial murders*, lub *hideons butchery*. Wyrazy te, piętnujące tak dosadnie religijny ucisk, najlepiej dowodzą jak się pojęcia i zapatrywania dziś zmieniły, złagodziły i zwróciły ku sprawiedliwszemu ocenieniu i zrozumieniu przeszłości.

M.

Cursus Scripturae Sacrae. F. de Hummelauer Commentarius in I. et II. libros Regum. Parisiis 1886.

We wstępie zastanawia się autor nad kwestyą, kto i na podstawie jakich źródeł mógł napisać księgi Samuela (I. i II. król). Badanie tej kwestyi o tyle jest donioślejszem, że dotychczas zupełnie się nią nie zajmowano. O. Hummelauer zbija przypuszczenie Wellhausena i Reussa, a jakkolwiek niepodobnem mu jest własnego zapatrywania z matematyczną ścisłością udowodnić, to jednakowoż wykazuje, jako bardzo prawdopodobne, że tak autorowie Paralipom. I. jak i ksiąg Samuela z jednych i tych samych czerpali źródeł tj. z roczników Dawida. Z biegiem czasu do obydwóch tych dzieł wkradły się pewne zmiany, dlatego trzeba je wzajemnie ze sobą porównać i dopiero odpowiednio tekst poprawić. W wielu miejscach podjął się O. Hummelauer tego zadania i to z najlepszem powodzeniem. Wychodząc z ogólnie przyjętego w starożytności zdania, że księgi Samuela zostały zredagowane przez proroków Samuela, Gada i Natana, stara się autor udowodnić że ks. I. rozdź. 1—7 pisał sam Samuel, rozdź. 8—16: historyę Saula: Samuel albo Gad, rozdz. 17—31, historyę ucieczki Dawida Gad, ks. II. rozdz. 1—20, historyę króla Dawida, Natan na podstawie roczników tegoż króla i,—że ostatni z tych autorów wszystko w jednę złączył całość, aby takowa służyła za modlę do wychowania młodego Salomona. Ks. II. rozdz. 20—24 są po prostu sześciu fragmentarycznemi dodatkami. Krytyka tekstu w odpowiedniej utrzymana mierze, tak co do Wulgaty, jak i pierwotnego hebrajskiego tekstu. W ks. I. rozdz. 13 l. miejsce z Wulgaty, syn jednego roku był Saul, tłomaczy autor w ten sposób, że autor chciał przytoczyć lata wieku i panowania Saula. Jeżeli Saulowi w rozdz 13, 21 liczą lat 40 (Joseph i August) to z nich przypada prawdopodobnie lat osiemnaście na czas panowania Samuela, dwadzieścia i dwa lata na czas po jego śmierci. Porównać z tem należy ks. II. rozdz. 2, 10, która się powołuje na ks. I. rozdz. 14, 49.

Bardzo pouczające i gruntowne są wywody autora o sprawdzeniu się proroctwa Elizeusza; ślicznem wytłumaczenie śpiewu Anny, dobrze rozebrane przyczyny zrzucenia z tronu Saula, którego historya w głównych zarysach jest tu przedstawioną. Również wina, jakiej się Dawid przy obliczeniu ludności dopuścił, gruntownie wyjaśniona, podobnie jak i obietnica Boża ks. II. rozdz. 7, 16 i 17 w zastosowaniu do Jezusa Chrystusa. Co autor mówi o przyzywaniu zmarłych przez Saula, ze stanowiska historycznego, dostatecznie jest opracowane i pozwala nam zarazem wnioskować, że O. Hummelauerowi mniej podoba się zdanie, jakoby Samuel rzeczywiście z dopuszczenia Bożego Saulowi się ukazał.

Wielka szkoda, że strona formalna, zwłaszcza bardziej bijące w oczy rozdzielenie krytyki tekstu od właściwego komentarza, pozostawia nieco do życzenia. Być może, że spełnienie w tym względzie życzeń niektórych kryty-

ków np. Bickella zbyt byłoby trudnem; sądzę jednak, że pewne przynajmniej zmiany w tym kierunku dałyby się bez trudności w następnych tomach przeprowadzić.

X. A. Arndt.

Z pism peryodycznych.

La Civiltà Cattolica.

(Od lipca 1886 — maja 1887).

Wprawdzie od pierwszej chwili założenia *Civiltà* uważała za swe zadanie, nie tylko przyczyniać się do budowy wspaniałego gmachu wiedzy na wierze opartej, lecz zarazem z mieczem i pochodnią w ręku, odpierać ataki wrogów, wyświetlać zagadnienia, jakby naumyślnie przez sektę i fałszywy liberalizm zostawione w ciemności, lub niebezpieczniejszym od niej półzmroku; ale w ostatnich kilkunastu miesiącach, ta druga część jej zadania, z natury cisnących się wypadków, i z nową siłą na jaw występujących kwestyj pierwsze i główne zająć musiała miejsce. „Antyklerykalna“ walka, burdy wyprawiane przeciw zakonnicom i zakonnikom, wysuwająca się naprzód kwestya rzymska, dostarczyły aż nazbyt obfitego materyału w tym kierunku. Nagle, jak na dane hasło, podniosła się na całej linii ogromna wrzawa przeciw papiestwu, klerykałom i klasztorom; wrzawa widocznie sztuczna, przez rząd włoski skrycie podobno protegowana, a w każdym razie widziana z nietajoną przyjemnością. Jak to sobie wytłumaczyć, pyta *Civiltà* w zasadniczym artykule *O dzisiejszej wojnie przeciw papiestwu*, jak pojąć dziwną ową tolerancyę, dającą rządowi włoskiemu czerwoną, wprost rewolucyjną barwę, a której, choćby ze względu na sojusz z Austryą i Niemcami, nie powinienby tak na widok publiczny wystawiać. Wszystkie inne państwa starają się goić wewnętrzne rany, godzić waśnie, wynikające ze sprzecznych interesów różnych prowincyj, odmiennych przekonań; jeden rząd włoski postawił sobie jakby za zadanie coraz bardziej jątrzyć ranę i tak już nad wyraz niebezpieczną, kto wie czy całemu organizmowi nie grożącą rozkładem. Jakże więc rozwiązać tę zagadkę? D' Israeli, zastanawiając się kie-

dyś nad wieloma tego rodzaju zagadkowemi pytaniami, wskazał jako na jedynie możliwą odpowiedź na „tajemną potęgę“, znaną pod nazwą wolnomularstwa; jak kiedy indziej tak i teraz, tylko tą razą gwałtowniej i brutalniej, sekta wystąpiła do walki z Kościołem,

Lecz dlaczego właśnie w tej chwili szeregi wolnomularskie z nową zaciekłością ruszyły przeciw papiestwu, pyta autor artykułu: *O jednej niezbędnej rzeczy dla Włoch.* Bo w tej właśnie chwili dogmat ukuty przez rewolucyę: „Rzym ma należeć do Włoch, a nie do całego świata; ma być stolicą Włoch, nie katolicyzmu“ ze wszech stron, przez dawnych przyjaciół i nieprzyjaciół został zaatakowany, jedna po drugiej z kruchych podstaw, na których próbowano go utwierdzić, z trzaskiem się łamie. Rzym jest niezbędny dla Włoch. mówią rewolucyoniści; niezbędnym jest, aby Papieżowi wrócono wolność działania, odpowiadają katolicy całego świata: wolność, która jak świadczy historya dziesięciu wieków, największe korzyści samymże Włochom przynosi; nie trudno zrozumieć, która z tych dwóch konieczności wyższego jest znaczenia i prawdziwą koniecznością, a nie „koniecznością nienawiści“, jak przed dwudziestu kilku laty wyraził się Massimo d'Azeglio o przeniesieniu stolicy włoskiej do Rzymu. Niedawno wydana książeczka przez wielkiego przyjaciela Włoch Eugeniusza Rendu: *Rzym stolicą i Rzymianie,* wyznaje bez ogródki, że zabór Rzymu był i jest nienadgrodzonym błędem, rakiem toczącym Włochy, a na potwierdzenie tego sądu przywodzi bardzo ciekawy niewydany dotąd dokument, pochodzący z pod pióra głośnego liberała, margrabiego Gino Capponi. Rozbiór tego dokumentu stanowi treść osobnej rozprawy: *Zabór Rzymu osądzony przez Gino Capponi.* Gdybyż przynajmniej to dzieło niesprawiedliwości przyniosło owoce obiecane przez wolnomularzy: dobrobyt i prawdziwą wolność; ale zamiast tych owoców, mamy tylko: *Illuzye wolności.* Deklamujący o szczęściu zjednoczonych Włoch, niech pójdą między lud i przysłuchają się jego rozmowom a posłyszą gorzkie narzekania, że dziś z głodu umieramy, bośmy się odłączyli od Chrystusa i Kościoła; że szumnie dziś głoszona wolność redukuje się do wolności pójścia do więzienia lub wolnej śmierci z niedostatku. Drugim towarzyszem wrzekomej owej wolności jest wciąż rosnąca niemoralność. Oreste Bruni, niepodejrzany pewnie o niechęć dla rewolucyi, sam wyznaje, że na palcach zliczyć można dnie,

w którychby dzienniki nie donosiły o nowych zbrodniach: a zważyć należy, że zbrodnie te i nieszczęścia nie płyną z nadużycia wprowadzonej przez sektę wolności, ale z samejże jej istoty, bo sekta wszechwładnie panująca rozumie i wprowadza wolność tylko dla złego, kiedy dla dobrego wciąż nowe kuje kajdany.

Ostatnie to zdanie dobitnie i praktycznie stwierdza parę artykułów poświęconych *Ostracyzmowi przeciw Jezuitom* i *Dzisiejszym oskarżeniom przeciw Jezuitom.* Liberalni mówcy, liberalne dzienniki, liberalni urzędnicy domagają się z natarczywością, aby Jezuitom nie tylko żadnej wolności nie zostawiać, lecz owszem wprost i wręcz wyjąć ich zpod wszelkiego prawa. Dlaczego, na jakiejże podstawie domagacie się użycia tak energicznych środków? Zazwyczaj pytanie to zostaje bez odpowiedzi: wypędzić, kiedy już zabić Jezuitów nie wypada, bo są Jezuitami. We Florencyi chciano podać gruntowniejszą przyczynę, i odwołano się na jakieś dawne prawo toskańskie, które, jak pokazało się później, nigdy nie istniało; gdzieindziej oparto się znów na śmiesznych garybaldzkich dekretach, wedle których, dobrze poszukawszy, możnaby prawdopodobnie i króla Humberta z rodziną, ministrami, senatem i znaczną częścią posłów z Włoch wypędzić. Ale w czemże Jezuici zawinili, boć przyzwoitość wymaga, aby nawet taki dziennikarz, który, jak rzeczą jest publicznie wiadomą, otrzymał 5000 lirów za gardłowanie przeciw Jezuitom, na jakiejkolwiek, choćby najsłabszej podstawie, oparł swe zarzuty. Otóż były minister Villa z oburzeniem oznajmia światu, że Jezuici nie wahają się spełniać rozkazów swych przełożonych, choćby im ci nakazali dopuścić się jakiegoś grzechu śmiertelnego, a twierdzenia tego dowodzi poważnie z osławionego pamfletu Giobertiego i dekretu parlamentu paryskiego z r. 1762. Malenotti, redaktor pewnego pornograficznego dziennika, odwołuje się z emfazą przeciw „Lojolitom“, na świadectwo wszystkich „papieży, królów i ludów“, a mimo całej śmieszności tego rodzaju argumentów są ludzie, którzy im wierzą. Parę to tylko przykładów, ale i one wykazują dostatecznie, jak trudnem jest zadanie katolickiej prasy, która zbijać musi z kolei niestworzone baśnie, wylęgłe w głowie jej przeciwników. Wypędzić Jezuitów, pisały niektóre dzienniki, bo są apostołami kłamstwa; a jakże nazwać tych, którzy szerzą

o Jezuitach tak w oczy bijące fałsze, sprzeciwiające się równie historyi jak i prostemu zdrowemu rozsądkowi?

„Nie walczymy przeciw katolikom, ale przeciw klerykałom:“ zdanie to utarte i powtarzające się raz po raz w masońskich i to nie tylko włoskich dziennikach. Artykuł: *Klerykalizm wedle definicyi Bonghiego,* zwraca uwagę, opierając się na odczycie głośnego tego liberała, na bardzo zdradzieckie nadużycie tego słowa, nadużycie, któremu raz tamę wypadałoby położyć. Kto jest klerykałem? — pyta Bonghi. Ten, kto jest katolikiem konsekwentnym i bez zastrzeżeń, kto wiedząc, kim jest Papież, wszystkie jego orzeczenia z równą czcią przyjmuje. Maska zrzucona i za to Bonghiemu każdy prawdziwy katolik szczerze wdzięcznym być musi; jeśli każdy, kto umie katechizm i chce go chować, zwie się klerykałem w żydowskiej i liberalnej prasie, w takim razie do nazwy tej wszyscy katolicy chętnie się przyznajemy, jak przyznajemy się do krzyża i nazwiska chrześcijan, które w ustach pogan również brzmiało i dziś jeszcze w Azyi i Afryce brzmi jako hańbiące przezwisko. Niech tylko wszyscy „klerykali“ staną w zwartych szeregach, a sekta nie będzie mogła święcić tak łatwych jak dotychczas tryumfów. Z początkami i planem takiej „klerykalnej“, czy raczej mówiąc chrześcijańskim, a nie sekciarskim językiem, takiej „katolickiej“ krucyaty, wymierzonej wprost przeciw wolnomularstwu, zaznajamia nas dłuższa rozprawa *O lidze antymasońskiej.* Liga ta, zrodzona pod wpływem encykliki *Humanum genus,* liczy dziś tysiące członków, a jak widać najlepiej z wymierzonego przeciw niej piorunującego okólnika Wielkiego Wschodu Włoskiego, większe ma znaczenie i bardziej paraliżuje działalność lóż, niż się tego w pierwszej chwili nawet spodziewać było można.

Obok tych, w ogóle krótkich, potrzebą chwili wywołanych polemicznych artykułów, znajdujemy w ostatnich kilkunastu zeszytach pisma *Civiltà Cattolica,* szereg na dłuższe rozmiary pomyślanych, bardzo gruntownych, choć zawsze aktualnych rozpraw. Długa rozprawa, *O powadze Syllabusa,* spowodowana została licznemi listami i prośbami, wystosowanemi do Redakcyi, aby, wobec różnych sprzecznych zdań pojawiających się w tym względzie, wyłożyła, jakiego rodzaju dokumentem jest *Syllabus,* jaką mu papież nadał powagę, czy wolno katolikowi, jeśli nie wprost występować, to zbyt

subtelnie i liberalnie tłumaczyć niektóre jego ustępy?... Równie ważną i praktyczną jest rozprawa *O Konkordatach,* wyjaśniająca znaczenie, istotę i skutki tych umów, z natury swej tak bardzo różnych od wszelkich innych umów i przymierzy. Materyę tę poruszył kiedyś dawniej w *Civiltà* znany filozof O. Liberatore; dziś podobnie jak przerwany dla braku miejsca jeszcze w r. 1860 traktat *O Ekonomii politycznej,* podejmuje ją Redakcya na nowo w odmiennej formie, z zastosowaniem do pytań, stojących w tej chwili na porządku dziennym. O. Brunengo, prowadząc dalej swe studya nad Pismem św., oparte na najnowszych odkryciach egipskich, babilońskich i assyryjskich, usiłuje rozstrzygnąć niełatwe do rozwiązania pytanie: kim był, kiedy panował, w jakim czasie i okolicznościach napadł na ziemię żydowską *Nabuchodonosor z księgi Judytty;* a ubocznie niejako, dla lepszego wyjaśnienia rzeczy, skreśla bardzo zajmujący, na współczesnych dokumentach oparty, obraz ówczesnego Wschodu i głośnych jego stolic: wielkiej Niniwy, wspaniałej Ekbatany, świętej Jerozolimy.

Z ubiegłych tych wieków, z Egiptu, Assyryi i Medyi przenosi nas szereg rozpraw *O hipnotyzmie* w samo centrum nowej nie cywilizacyi lecz kultury, między gromady wieszczek i wieszczów, rodzonych zdawałoby się braci dawnych assyryjskich wieszczów i czarowników Faraona. Przed oczami, jakby w magicznej latarni, jakby w śnie gorączkowym, przesuwają się dziwne obrazy, które mimowoli przypominają Łysą Górę i Noc Walpurgi; tylko, że przedstawienia hipnotyczne odbywają się na teatralnych deskach, przy gazowem lub elektrycznem oświeceniu, wśród oklasków rozentuzyazmowanych widzów. Czy to proste oszukaństwo, czy działanie nieznanych dotąd sił natury, czy nowa, świetna era panowania złego ducha na ziemi? Wszystkie te trzy elementa, wedle autora, w grę wchodzą; niektóre zjawiska można z pewnością wytłumaczyć naturalnie, lecz wszystkie razem wzięte wskazują, rzekłbyś namacalnie, na jakąś wyższą potęgę. Jaka to potęga? Zapewne, że nie dobra, nie pochodząca od Anioła światłości, bo w takim razie hipnotyzm nie wiódłby prostą drogą do niemoralności i kroczącej za nią ślad w ślad bezbożności. Jeśli nadużycie wina lub opium dla tego jest niemoralnem, bo rozum i wolność zabiera; to cóż powiedzieć o hipnotyzmie stawiającym człowieka w zupełnej, ślepej za-

leżności od kogoś drugiego, w którego ręku hipnotyzowany staje się „żyjącym mechanizmem“? Sami doktorzy świadczą, że częste poddawanie się hipnotyzowaniu, osłabia wolę, czyni ją skłonniejszą do rozpusty, a zwłaszcza dla kobiet i młodzieży stać się może nad wyraz dla zdrowia szkodliwem i poprowadzić w krótkim czasie do szpitala lub domu obłąkanych. Na końcu rozwija autor chrześcijańską teoryę o wpływie, zostawionym szatanowi na świat i ludzi, a rozróżniając różne stopnie zjawisk hipnotycznych, wyjaśnia praktycznie, które zbyt widocznie są niemoralne i bezbożne, aby chrześcijaninowi wolno było do nich ręki przyłożyć. Czy autor w stawianiu tych granic i w częstem przypuszczaniu interwencyi złego ducha nie przekracza może miary — nie chcemy o tem obecnie sądzić. Kiedyindziej zapewne *Przegląd* obszerniej tę kwestyę rozbierze.

Ściśle historycznych lub literackich prac napotykamy w ostatnich miesiącach, stosunkowo bardzo niewiele. Główniejsze są: *Skarb, biblioteka i archiwum Papieży w wieku XIV.; Myśl katolicka snująca się w współczesnej historyi włoskiej; O dzisiejszych nadużyciach teatru włoskiego,* choć ostatnią tę pracę, wymierzoną przeciw projektowi wskrzeszenia na scenie cynicznych komedyj z XVI. wieku, zaliczyćby może raczej należało do artykułów polemicznych. W ogóle *Civiltà,* w pierwszej swej głównej części, jest raczej pismem filozoficznem w bardzo szerokiem znaczeniu tego wyrazu, niż literackiem; w drugiej za to części, dział krytyczny i bibliograficzny wiele zajmuje miejsca; oryginalne obszerne korespondencye, z Anglii, Szwajcaryi, Francyi, Prus i Rosyi, bardzo podobno licznych i pilnych we Włoszech znajdują czytelników. W marcowych zeszytach rozpoczęła się nowa powieść: *Wolnomularz i wolnomularka;* jeśli powieść ta potrafi obudzić choć w części zajęcie, jakie przed laty obudziły głośne na tle dziejów i intryg wolnomularskich osnute powieści O. Brescianiego, to w tym roku i tak już potężne zastępy czytelników i prenumeratorów *Civilty* z pewnością znacznie się jeszcze powiększą.

Ks. Jan Badeni.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Allokucya papieska. — Wrażenie, wywołane allokucyą za granicą i we Włoszech. — Interpellacye w parlamencie włoskim. — Artykuł w *Osservatore Romano.*

Od pewnego już czasu widocznem było, że kwestya świeckiego panowania papieża, choć nigdy nie pogrzebana, z nową siłą odżyła i na nowe weszła tory. Te same gazety, ci sami ludzie — którzy dotychczas ledwie raz lub dwa w rok z lekceważeniem raczyli wspomnieć o „pretensyach Papiestwa“ na które niema potrzeby uważać — nagle, czy kierując się otrzymanemi z góry rozkazami, czy przekonawszy się, że złą obrali sobie taktykę, zalali Włochy i Europę całym potopem broszur, artykułów, mów i coraz różnorodniejszych projektów, jak przeprowadzić zgodę między Watykanem a Kwirynałem, jak, korzystając z mądrości „wielkiego Papieża“, zasklepić ranę, z którą nigdy Włochy należycie się nie rozwiną, a która w przyszłości staćby się łatwo mogła przyczyną ich zguby. W pierwszej linii wystąpił, jako „apostoł pojednania“, dawny garybaldczyk Fazzari; listy jego, wskazujące na konieczność zawarcia zgody z Papiestwem, znalazły niesłychany oddźwięk, a idea ta z dnia na dzień, w coraz szerszych kołach nowe robiła postępy. Ale co myśli sam Papież, jakie są jego minimalne żądania, na jakich warunkach gotówby był zawrzeć pokój z urzędowemi Włochami? Różne i bardzo sprzeczne w tym względzie dochodziły wieści: dzienniki papieskie

zupełnie jasnej odpowiedzi dać nie mogły i nie miały prawa; dopiero, gdy prąd pojednawczy coraz silniej w całych Włoszech wzmagać się zaczął a umysły były odpowiednio przygotowane, odchylił sam Ojciec św. jeden róg zasłony w słynnej Allokucyi z 23 maja, wygłoszonej z okazyi nominacyi dwóch nowych kardynałów: Pallottiego i Bausy.

Allokucya ta, przez wszystkie dzienniki powtórzona a wymowniejsza tem co przemilcza, niż tem, nad czem wyraźnie się zatrzymuje, stanowi epokę w kwestyi rzymskiej, choć bez wątpienia małą zaledwie cząstkę planów i zamiarów papieskich odsłania. Wspomniawszy o zawarciu względnego przynajmniej pokoju kościelnego z Prusami i rokowaniach, toczących się z księciem Hesko-Darmstadzkim, zwrócił się Papież do reszty chrześcijańskiego świata, do wszystkich krajów i narodów, węzłami miłości ze Stolicą Apostolską złączonych, a w szczególności do Włoch:

„Myśli nasze wybiegają daleko poza granice Niemiec. Wszędzie, gdziekolwiek uznawaną jest władza rzymskiego Papieża, sięga pieczołowitość, praca i czujność nasza; wszystkich wiarą katolicką ze sobą złączonych, bez żadnej różnicy krajów i ludów, jednakową, jak to jest naszym obowiązkiem, obejmujemy miłością. Miłość ta pobudza nas do podejmowania starań o polepszenie losu wszystkich katolików, a nie tych tylko wyłącznie, o których poprzednio wspomnieliśmy: prośmyż gorąco Boga, aby rozpoczętym już krokom raczył pobłogosławić i zapewnić im pożądane skutki.

Wszystkim narodom pragnęlibyśmy pokój zapewnić; dałby Bóg, aby gorące te nasze pragnienia i starania wyszły, jak sobie tego życzymy, na korzyść Włoch, dla których szczególną miłość sama natura nam nakazuje, a które Bóg tak ścisłemi węzłami złączył z Papiestwem. Z naszej strony, jak nieraz już powiedzieliśmy, oddawna bardzo gorąco pragniemy, aby trwały spokój zapanować mógł w sercach i umysłach wszystkich Włochów i aby raz wreszcie zakończył się nieszczęsny spór z rzymskim Papieżem, nie narażając jednak w niczem na ujmę sprawiedliwości i godności Stolicy Apostolskiej, zgwałconych obecnie nie przez lud, lecz raczej przez spiski sekciarskie. Drogę do pokoju utorować może tylko taki stan rzeczy, w którym rzymski Papież nie byłby żadnej władzy podległym, lecz miałby sobie zapewnioną, jak tego prawo i sprawiedliwość domagają się, zupełną i prawdziwą wolność. Każdy, kto zdrowo na rzeczy patrzy, przyznać musi, że taki stan rzeczy nie tylko nie przyniósłby żadnej szkody państwu włoskiemu, lecz że przeciwnie nie małoby się przyczynił do wzmocnienia jego bezpieczeństwa i potęgi".

Ledwie przebrzmiały słowa papieskie a już, po całym świecie rozgłoszone, wywołały tysiące w ogóle bardzo pochlebnych komentarzy. Jasnem było, że allokucya jest stanowczym przełomem w kwe-

styi rzymskiej; niemniej było pewnem, że Papież wiedział, jakie wrażenie jego słowa nie tylko w Rzymie, lecz w całym świecie wywołają i że mieć musiał ważne przyczyny, dla których właśnie teraz z słowami temi się odezwał; zdawało się oczywistem, że Papież, nie zrzekając się żadnego ze swych praw, zapraszał jednak Włochy do pewnego przynajmniej *modus vivendi*, który z czasem, przy obopólnej dobrej woli, doprowadziłby mógł do zrównania przepaści, rozdzielającej urzędowe „zjednoczone“ Włochy od Włoch katolickich. Tak w głównych zarysach zrozumiano, zwłaszcza poza granicą Włoch, treść i cel allokucyi; przyjęto ją i to wcale nie tylko w katolickich kołach, jako krok niezmiernej doniosłości, nadzwyczaj mądrze i politycznie obmyślany. Protestancka prasa niemiecka i liberalna austryacka z rzadką zgodą przyznały, że Papież ma słuszność, domagając się zmiany w swem położeniu i że żądaniom tym należy zadośćuczynić. „Wątpić można — pisała *Gazeta Kolońska* — czy Papież ujrzy kiedyś wszystkie swe życzenia urzeczywistnionemi; ale, bądź co bądź, nie ma dziś nikogo, któryby przyznać nie musiał, że obecne położenie Papieża jest nie do zniesienia“. *Post* i *Nord-Deutsche Allgemeine Zeitung* podały allokucyę bez komentarzy; natomiast *Reichsbote* widzi już w przyszłości wznoszącą się bez żadnej zapory potęgę Rzymu i drży z przerażenia na myśl, co stanie się z biednym protestantyzmem. *Fremdenblatt*, *Tagblatt*, *Korespondencya Polityczna*, monachijska *Allgemeine Zeitung* przewidują pewny tryumf papiestwa, uznają konieczność zmienienia dotychczasowych stosunków, zabezpieczenia Ojcu św. rzeczywistej, a nie malowanej niezależności. Lecz w jaki sposób możnaby zapewnić Papieżowi tę niezależność? Czy wystarczy uznać monarsze jego prawa nad dzielnicą Leonińską z pasem ziemi aż do morza; czy Papież przyjmie, a Włochy zgodzą się odstąpić „Watykan z ogródkiem“, jak z przekąsem wyraziły się niektóre gazety; czy wreszcie może Papież zadowolniłby się gotów prawami gwarancyjnemi, byleby one stosownie były zmienione, a zagwarantowane zostały nie przez Włochy, lecz przez kilka potężnych mocarstw europejskich? Dzienniki niemieckie, obiektywnie zastanawiające się nad temi pytaniami, wyrażając przekonanie, że każda z tych kombinacyj, choć zapewne nikogoby zupełnie nie zadowolniła, zawsze je-

dnak korzystniejszą by była dla obu stron: i dla Watykanu i dla kwirynału, niż dzisiejszy nieznośny, wręcz nienaturalny stan rzeczy.

Podobny ton z nieco tylko wyraźniejszym odcieniem sceptycyzmu panuje w prasie francuskiej. Jeżeli Włochy potrafią zrozumieć własny swój interes, pisze *La Patrie*, wtedy zamiast przeciwnika, mieć będą w Papieżu gorliwego sprzymierzeńca, a takim sprzymierzeńcem nikt rozumny gardzić nie powinien. Fakt ten radykalnie zmieniłby mógł stanowisko Włoch w Europie; ale czy rząd włoski potrafi skorzystać z nadarzającej się po raz pierwszy, a może i ostatni sposobności? W każdym razie, dodaje *le Temps*, a na słowa jego godzą się mniej, lub bardziej wyraźnie wszystkie konserwatywne dzienniki, rzecz cała w takiej jeszcze dziś pozostaje ciemności, iż oko profana, choćby najsilniejszą fantazyą uzbrojone, czarnych tych chmur przebić nie zdoła. Jedno jest pewnem, że Ojciec św. chce pokoju, ale pokoju zapewniającego mu zupełną niezależność. Oryginalnie wygląda, że dzienniki czysto republikańskie, zwłaszcza urzędowe starają się, jak najmniej mówić o mowie papieskiej, jakby obawiając się, że — jak z wielkiem prawdopodobieństwem domyśla się *La Patrie* — allokucya nie tylko na Włochy ale, z naturalnego następstwa wypadków, wywrzeć musi w najbliższym czasie wielki wpływ i na Francyę i na jej kościelną, a raczej mówiąc dokładniej wrogą Kościołowi, politykę.

Najsilniejsze wrażenie i dyametralnie przeciwne sobie sądy wywołała allokucya we Włoszech. Dzienniki rządowe i umiarkowanie liberalne przyjęły słowa papieskie z uznaniem, możnaby nawet powiedzieć z pewnego rodzaju, choć nieco wstydliwie objawiającą się, wdzięcznością. Liberalna *Opinione* przyznaje wręcz, że największa część Włochów życzy sobie zgody ze Stolicą św. i zapewnia wszystkich dzierżących w ręku ster rządów, iż dobrze się ojczyźnie zasłużą, jeżeli, idąc za wezwaniem papieskiem, przyczynią się do trwałej, rozumnej a szczerej zgody, między dwoma potęgami królującemi w Rzymie: świecką i duchowną. Na zapatrywania te godzi się najzupełniej *Popolo Romano*, organ prezydenta ministrów, Depretisa: „Nasi mężowie stanu muszą się poważnie zastanowić nad „oświadczeniem mądrego Papieża; dłużej nie wolno nam zwlekać „się z wszechstronnem zbadaniem trudnego tego problematu". Szkoda tylko, ubolewa *Riforma*, a raczej przez *Riformę* mini-

ster spraw wewnętrznych, Crispi, że Papież jaśniej nie określił praktycznych warunków zgody, ażebyśmy wiedzieli jasno, czego mamy się trzymać: co możemy dać, a czego musimy odmówić. Papież, odpowiada z naciskiem i po kilkakrotnie *Moniteur de Rome*, zrobił pierwszy krok, okazując gotowość do zawarcia pokoju, ale godność jego nie dozwalała mu zapuszczać się w szczegóły, które uledz mogą duskusyi — teraz na was kolej: powiedzcie, w jaki sposób chcecie choć w części naprawić popełnioną niesprawiedliwość; podajcie wasze warunki a, jeśli to będą warunki możliwe i rozumne, z naszej strony na trudności nie napotkacie. Lecz powtarzamy, niechże to będą warunki możliwe i rozumne. Kto, jak Bonghi w artykule umieszczonym w *Nuova Antologia*, wychwalając w niebogłosy pojednawczość i roztropność Papieża, stawia jednocześnie jako niewzruszoną zasadę, że Włochom nie wolno oddać Ojcu św. ani jednego cala ziemi, i że samo nawet „domaganie się czegoś podobnego nie ma sensu"; kto sądzi, że Papież zadowolnić się powinien prawami gwarancyjnemi uchwalonemi przez izbę włoską, a które nazajutrz taż sama izba może dowoli znieść, lub zmienić: ten, choć na ustach jak Bonghi ma zgodę, w rzeczywistości jest od niej bardzo daleki. „Ale, kończy *Moniteur*, Bonghi nie usuwa „się przynajmniej od rokowań, chce pokoju z Papiestwem, pokoju „równie korzystnego dla państwa, jak i dla Kościoła. Już i to „wskazuje na dobre usposobienie. Pragnie wyjść ze *statu quo*, a je„śli nie znalazł jeszcze odpowiedniej bramy, to przynajmniej do „poszukiwania jej się zabiera... Pierwsze to uderzenie motyką, ale „nie ostatnie"...

Tego właśnie obawia się lewica włoska. *Diritto*, *Tribuna*, a tembardziej organa wprost rewolucyjne, nie chcą nawet słyszeć o jakiejkolwiek zgodzie, która zdaniem ich dla Włoch najzupełniej jest niepotrzebną, a sprowadziłby tylko mogła okropną tyranię „klerykalnej kliki". Zresztą, pisze *Diritto*, jeśli Papież rzeczywiście, a nie pozornie tylko chce pokoju, niech podda się wszystkim istniejącym prawom państwowym, niech się zobowiąże, że przeciw żadnemu przyszłemu prawu włoskiemu protestować nie będzie, a w takim razie pokój sam z siebie przyjść musi do skutku. Głośny radykał Jan Bovio wystąpił w *Tribunie* nie tak obłudnie, a raczej śmiesznie, lecz za to bez porównania gwałtowniej:

„Zapytajmy, kto i jakie zyski ma wyciągnąć z tego pojednania? — Przecież nie Włochy. Papież odgrywa z początku bardzo wspaniałomyślną i pojednawczą rolę, ale ostatecznie pożre nas, wedle dawnej kościelnej tradycyi, z ciałem i duszą. Zachce mu się szkół; potem wśliźnie się do rad miejskich i spraw państwowych; wszędzie i w każdej rzeczy da się uczuć wpływ, który wywierać może Papież roztropny i przezorny, znajdujący się w kraju niedbającym o własne swe interesa, obrabowanym ze społecznego swego posłannictwa, doprowadzonym przez obłudę aż do tchórzostwa. ... Wojna afrykańska, czy jakabądź inna klęska mniej byłaby zgubna, niż to pojednanie. Nieszczęśliwa wojna obudzić może drzemiące poczucie patryotyczne, podczas gdy ksiądz zabija!... Między Włochami a papiestwem leży taka głęboka przepaść, iż pojednanie to, które w pobożnej intencyi benedyktyńskiego mnicha jest sobie po prostu literacką naiwnością, byłoby ze strony rządu włoskiego formalną zdradą. Włochy nie znają kwestyi rzymskiej ..... rząd, zastanawiający się nad nią, ściągnąłby na siebie i to najsłuszniej wszystkie możliwe podejrzenia".

Bovio nie zadowolnił się artykułem w dzienniku, lecz nadto wytoczył jeszcze sprawę przed parlamentem, zapytując rząd, czy wzmagające się wciąż pogłoski o pojednaniu z Papieżem opierają się na rzeczywistej jakiejś podstawie i zastrzegając energicznie dla parlamentu prawo ostatecznej decyzyi w tej kwestyi. „Pojednanie „to, mówił Bovio, nie przyniosłoby pożytku ani katolikom, ani li„berałom. Przykładając pierwsi do tego rękę, dalibyśmy dowód „słabości; słuchając rad udzielonych z zagranicy, wykroczylibyśmy „przeciw godności narodowej. Walka dla obu stron korzystniejszą „jest od pokoju, bo walka pobudza do ciągłego postępu; pojedna„nie sprowadziłoby zastój i nieruchomość. Pojednanie byłoby przy„mierzem między Kościołem a państwem, ufundowanem na wza„jemnej mierności. Niechaj ksiądz pojedna się raczej z religią, a my „z sumieniem narodowem, ową religią, opierającą się na kulcie „wzniosłego ideału, bez którego Włochy nie miałyby celu istnienia".

Powiedziano już nieraz, że interpelacye są na to, aby ministrowie mieli sposobność wypowiedzieć parę frazesów, które, jak wyrocznie delfickie, nikogo do niczego nie obowiązują, a każdego, byle trochę dobrej woli nie brakło, mogą uspokoić i pocieszyć. Zanardelli i Crispi mieli prawdopodobnie to orzeczenie w pamięci, kiedy pocieszali zaniepokojonych radykałów, że ministeryum zawsze stawać będzie wiernie w obronie praw i że Włochy mają jednego tylko naczelnika: króla. Zresztą Crispi widocznie od przypadku zostawił sobie otwartą furtkę w następującem zdaniu: „Dociekać nie „myślę, co się dzieje w Watykanie, w którym przebywa Papież nie

„będący z pewnością człowiekiem zwyczajnym. Czas sprowadza „i sprowadzić może zbliżenia, które jednak nigdy szkodliwemi stać „się nie mogą prawu narodowemu“. Gdyby sam Fazzari należał w tej chwili do ministeryum, pytanie, czy powiedziałby coś więcej; pomimo tego Bovio oświadczył, że odpowiedź ministeryalna najzupełniej go zadowolniła. „P. Bovio, czyni dowcipne spostrzeżenie *Fan-* „*fulla*, nie zbyt trudno zadowolnić. P. Bovio zażądał od ministrów „jasnego t a k, lub n i e; ministrowie oświadczyli że, rozmyślając „o t a k i n i e, mieli dwa wręcz przeciwne sobie zdania, i dlatego „na nic się zdecydować nie mogli, poczem p. Bovio podziękował „im za jasność i precyzyę“. Nawet *Tribuna*, pomimo że zaprasza swych czytelników do odśpiewania solennego *Te Deum*, przyznaje jednak, iż odpowiedź ministrów zawiera pewne umyślnie w cieniu zostawione punkty. Deputowany Toscanelli poruszył raz jeszcze tę kwestyę w nowej interpelacyi, a Depretis odpowiedział mu, że nic nowego przydać nie może, bo zgadza się najzupełniej z poglądami swych kolegów: Crispiego i Zanardellego. Z jakimi poglądami? pytają wszyscy, ale wszyscy pytają zarazem, czy choćby nawet ministrowie bez żadnych zastrzeżeń i sprzeczności odepchnęli od siebie wszelką myśl o traktatach z Watykanem, jakie praktyczne znaczenie miałoby to zapewnienie i czy nie potwierdzałoby może tylko pogłoski, że król Humbert osobiście rokowaniami z Papieżem kieruje lub chce kierować? „Bardzo musi być naiwnym, pisze roz- „sądnie *Corriere di Roma*, kto sądzi, że jeśli włoscy ministrowie „lub ktokolwiekbądź inny zabrałby się do przeprowadzenia rzeczy „tak ważnej, a tak zmieniającej wszystkie uczucia i pojęcia, ten „gotówby był zwierzać się pierwszemu lepszemu deputowanemu ze „sposobu, w jaki myśli swe zamiary do skutku przyprowadzić“.

Większem niebezpieczeństwem dla dzieła pojednania od wszystkich tego rodzaju interpelacyj było fałszywe zrozumienie, a raczej dobrowolne przekręcanie słów i zamiarów papieskich. Leon XIII. wyciągnął rękę do zgody, a więc wywnioskowała pewna część liberalnej prasy, Leon XIII. zrzeka się wszystkich swych praw, dotychczas tak usilnie bronionych, gotów przyjąć prawa gwarancyjne, gotów zgodzić się z dotychczasową swą pozycyą. Przeciw takiemu dowolnemu i wprost fałszywemu tłumaczeniu słów papieskich wystąpił *Osservatore Romano* w artykule, który, zwłaszcza w streszcze-

niach telegraficznych, robił wrażenie, jakoby Papież cofał się z zajętego dopiero co stanowiska, podczas gdy w rzeczywistości artykuł ten silniej tylko akcentował stanowisko, zajęte od pierwszej chwili przez katolicką prasę. Papież, pisał *Osservatore*, pragnie i bardzo gorąco pragnie zgody z Włochami, a dzisiejsze położenie Stolicy św. tembardziej go smuci, że zgodzie tej stoi na przeszkodzie. Spełnijcie niezbędne warunki, aby Ojciec mógł pobłogosławić Włochom, a pobłogosławi im z niewymowną radością serca. Takie jest znaczenie Allokucyi; kto podsuwa jej jakieś inne znaczenie, kto mniema, że Papież zrzeka się swych praw, dlatego, że mówi o nich spokojnie i w żadne szczegóły nie wchodzi, ten myli się i mocno się myli!

Odpowiedzi ministrów włoskich, artykuł umieszczony w *Osservatore Romano*, świadczą bez wątpienia, że dzieło pojednania napotyka na niemałe trudności; ale same z siebie przynajmniej nie dowodzą jeszcze bynajmniej, że nie toczą się i nie będą się toczyć w tym względzie poufne rokowania, które w dalszej lub bliższej przyszłości przyprowadzić mogą to dzieło do skutku. Czy kwestya rzymska, jak głoszą niektórzy, stać się ma niezadługo przedmiotem obrad europejskiego kongresu; czy nowy ambasador niemiecki na dworze włoskim: *von Solms*, osobisty przyjaciel kardynała Rampolla, ma sobie szczególnie poleconą misyę starania się o pojednanie Kwirynału z Watykanem; czy Papież żywi nadzieję, że dzień uroczystego jego jubileuszu będzie zarazem dniem zawarcia pokoju z krajem, który, dla własnego swego dobra, nigdy tego pokoju z papiestwem nie powinien był naruszyć? — są to pytania ważne, żywo bardzo i z bardzo różnych stanowisk rozbierane, na które jednak, w tej chwili, każda odpowiedź byłaby co najmniej przedwczesną.

Ks. Jan Badeni.

Listy z nad Bałtyku.

Wojna niszczy dzieła sztuki w Inflantach. — Sztuka drugiej połowy XVII. w. pozbywa się dawnych pięknych cech. — Wyjątki. — Grobowiec Pontusa, epitafia Bogusława Rozena, Kaspra Tyzenhauza — odżycie sztuki w rękodziełach. Wojna trzydziestoletnia wielu rzemieślników-artystów zapędza na Inflanty z Zachodu. — Srebra *en repoussé*. „Baroko". — „Rokoko". — Skoszlawienie gustu: małże jako zdobiny. Styl klasyczny, sentymentalny, napoleoński. — Interregnum. — Styl nowszego odrodzenia.

Ale kiedy w swym zwycięskim pochodzie przez Francyą, Flandryą, Niderlandy i Niemcy zbliżała się „sztuka odrodzenia" do granic inflanckich, zastała ona na wybrzeżach Bałtyku zupełnie innych gości. Iwan Groźny zajęty był tutaj pilnie druzgotaniem wszystkiego za pomocą swoich dzikich hord t. zw. „opryczników". Następnie ścierały się tu ze sobą bezustannie regularne wojska polskie i szwedzkie, aż nakoniec, przy końcu pierwszej ćwierci XVII. stulecia, król Gustaw Adolf zdołał wojnie szczęśliwszy dla Szwecyi nadać kierunek, a po zdobyciu Rygi w r. 1621 usadowił się stopniowo niemal w całych Inflantach, tak iż w r. 1629 skończyły się faktycznie rządy polskie w większej części kraju, lubo dopiero na mocy traktatu Oliwskiego (1660 r.) ustąpienie głównej części Inflant na rzecz Szwecyi wyraźnie ze strony polskiej nastąpiło. Nic więc dziwnego, że nie znachodzimy w miastach nadbałtyckich wspaniałych gmachów z epoki renesansu, i że w budowach lat następnych dają się obecnie dostrzedz zaledwie słabe wskazówki owego niegdyś tak potężnego kierunku w sztuce.

Bo też po tylu niewymownych klęskach, dokonanych tu ogniem i mieczem, każdy był rad jeśli tylko miał własny przytułek a budynek swój jako tako zdołał utrzymać, naprawiwszy w nim najbardziej dolegliwe uszkodzenia.

Przy wznoszeniu nowych domów mieszczańskich trzymano się kształtów tradycyjnych, z tą jedynie różnicą, że ze świetności dawnych gotyckich facyat nic tu już nie pozostało, jak wysoki ostry szczyt i tympan stopniowo coraz bardziej ogałacany. U odrzwi, u węgarów i w nadedrzwiach głównych facyat owej epoki, zdarza się czasem napotkać tu i owdzie nieco ornamentyki z nader skrom-

nych zdobin złożonej, na których zwykle występują już to moralne sentencye, już to rok i data wzniesienia gmachu. Nagość innych części budowy pokrywa narzutka i tynk. Z następnych stuleci nie mamy do przytoczenia ani jednego takiego gmachu publicznego lub prywatnego, któryby na wyróżnienie istotnie zasługiwał.

Atoli gdzie tylko zaszła potrzeba przebudowania lub wzniesienia nowego gmachu, bądź kościelnego, bądź też świeckiego, tam, zwłaszcza przy schyłku XVII. oraz na początku XVIII. stulecia, okazywało się dosadnie, że tak ostroluk jako i styl odrodzenia już najzupełniej straciły dawną władzę nad budownictwem nadbałtyckiem, a także, że w wybuchającej w owym właśnie czasie walce zażartej pomiędzy ciężkiemi, napuszystemi kształtami późniejszego „Baroko“ i żartobliwie nadstawiającemi się kokietującemi formami stylu „Rokoko“ zwyciężała przeważnie pewna bezstylowa mięszanina, łącząca w sobie tu nad Bałtykiem — w sposób iście niedorzeczny — najmniej ponętne strony obu wspomnianych stylów.

O malarstwie rodzimem w owym czasie artystycznego upadku mowy już zgoła być nie mogło. Takiemuż przeznaczeniu uległa niebawem i plastyka tutejsza.

Do pierwszej połowy XVII. wieku oko nadbałtyckiego wędrowca pociesza jeszcze tu i owdzie prawdziwie artystycznie wykonany pomnik grobowy, lub epitafium, że tylko wspomnę o grobowcu w tumie rewelskim tegoż Poncyusza czy *Pontusa* de la Gardie, którego żelazna ręka ciężyła na Litwie w czasie wojny króla Jana Kazimierza z Karolem Gustawem, przypomnianej obecnie szerszemu kołu czytelników w pięknej 6 tomowej powieści *Potop*, — albo o epitafium Bogusława Rozena w kościele św. Mikołaja w Rewlu i o epitafium rotmistrza wojsk polskich Kaspra Tyzenhauza w odwiecznym tumie ryskim, noszącym na sobie wszystkie cechy stylu odrodzenia z wieku XVI. lubo w wieku XVII. wykonane zostały. Odtąd zaś rzekłbyś, iż w krajach nadbałtyckich rzeźbiarstwu już najzupełniej dano za wygranę.

Czytającemu słowa powyższe zdawaćby się mogło, jakoby sztuka już ostatecznie odwróciła się od krajów nadbałtyckich. Atoli tak nie jest wcale. Ona, która w budownictwie, plastyce i malarstwie była tu przeważnie „sztuką kościelną“, straciła wraz ze zlutrzeniem kraju swoje dotychczasowe zastosowanie, nie znalazłszy

wszakże nowego pola działalności, z powodu ciężkich czasów tylą nieszczęściami na raz przygniecionego tutejszego społeczeństwa. W ten sposób, z najwyższego szczebla strącona, już tylko w kunszcie rzemieślniczym znajdowała schronienie. Sprzęty wszelkiego rodzaju, na których kształty wywarł wpływ dzielny ów nowo-obudzony kierunek sztuki, wynajdywały sobie jeszcze drogę do krajów nadbałtyckich. To też na tych oddalonych wybrzeżach nie brakło ani wzorów najnowszych, ani zręczności do ciągłego doskonalenia się we wszystkich gałęziach kunsztu rzemieślniczego, jak tego nam dowiodła dosadnie wystawa historyczna uorganizowana w Rydze w roku 1883 przez Towarzystwo historyczno-archeologiczne krajów nadbałtyckich. Dowiodła nam także ta pierwsza tutejsza wystawa historyczna, że w wieku XVII. w obrębie miast nadbałtyckich nie krępowano niczem dotychczasowych swobód cechowych, gdyż cechy, jako towarzystwa ułatwiające wzrost i rozkrzewienie rękodzieł, handlu, a przez to i pomnożenie bogactwa krajowego, bezwarunkowo zasługiwały, aby całemi siłami były podtrzymywane. Pozostała w nich istotnie dawna działalność i moc, każdy cech mógł się swobodnie rozwijać w zakresie swego rzemiosła, a z dawnej ciężkiej szkoły po długich latach terminu wychodzili niezwykle doskonali majstrowie, umiejący połączyć w sposób mistrzowski dawną fundamentalność wyrobów z nowemi kształtami sztuki.

Na rozwój przemysłu artystycznego i rzemiósł nad Bałtykiem wpłynęła bezsprzecznie i ta okoliczność, że kiedy król szwedzki Gustaw Adolf przywrócił tu dawno upragniony pokój, wybuchła w Niemczech wojna trzydziestoletnia, której klęski przeniosły licznych werkmistrzów i majstrów zagranicznych aż na oddalone wybrzeża Bałtyku, jak tego niezaprzeczone mamy dowody.

O ile korzystnie musiał wpłynąć fakt powyższy na rozwój rzemiosł wszelkiego zawodu w tych okolicach kresowych, o tem, jak mniemam, nie potrzebuję się rozwodzić.

W ten też tylko sposób da się wytłumaczyć fakt, że pomiędzy zabytkami z zakresu rękodzieł i rzemiosł, których wytworne kształty oraz wykonanie artystyczne najbardziej tu zastanawiają znawców, większa część pochodzi z wieku XVII.

Że z zabytków nadbałtyckich tego rodzaju można i obecnie złożyć zbiór nader imponujący, tego już przed trzema laty dowiodła

wystawa historyczna w Rydze, która w roku 1883 na czas jakiś zgromadziła w jedną całość zabytki przeszłości najrozmaitsze, rozprószone już to po ciemnych zakrystyach dawnych świątyń tutejszych, już to po muzeach, bibliotekach, archiwach, zbiorach stanowiących, bądź własność wyłączną licznych Towarzystw, bądź też własność prywatną.

Były tam pomiędzy innemi wystawione istne arcydzieła z zakresu wszelkich rzemiosł, a nawet emalii miniaturowej rzadkiej piękności, były srebra znakomicie wykonane *en repoussé* i t. p. Niektóre z tych prastarych wyrobów sztuki złotniczej stanowią obecnie piękną kartę w historyi sztuk pięknych, gdyż je uwiecznił wydany przepysznie katalog tej pierwszej w kraju Wystawy historycznej, podając ich wierne podobizny w udatnych fototypiach, stanowiących obecnie ozdobę wielu bibliotek publicznych, tak krajowych, jako i zagranicznych. Zastawy stołu srebrne, z których jedna, wykonana w roku 1507, mająca przeszło 70 centymetrów wysokości przedstawia św. Jerzego w postaci stojącej, walczącego ze smokiem skrzydlatym, nie więcej zachwycała znawców jak druga, oddająca z niemałym artyzmem bohaterską postawę Gustawa Adolfa na wspinającym się, dzielnym rumaku oraz tak zwany „puhar przyjaźni“ *(Amicitia-Pokal)* z roku 1654, tudzież olbrzymie misy artystycznie ze srebra cyzelowane a następnie wyzłocone, zwłaszcza ta, która w udatnej płaskorzeźbie wraz z czworokonnym zaprzęgiem przedstawia Faëtona w chwili, gdy go gniewny Jowisz razi piorunem. Brzegi tego wspaniałego naczynia z XVII. wieku tworzy 14 medalionów, na których wykonano *en repoussé* tyleż herbów dawnych patrycyuszów miasta Rygi.

Z żalem wyrażali się znawcy, że w owej pierwszej nadbałtyckiej wystawie historycznej ograniczono się przeważnie do jednego tylko nadbałtyckiego miasta. Znajdują się bowiem w korporacyi „Rewelskich Czarnogłowców“ *(Revaler Schwarzhäupter)*, w skarbcu magistratu rewelskiego i w rękach wielu osób prywatnych w obrębie Inflant, Kurlandyi i Estonii, wspaniałe srebra, które skarbcowi „Szwarzhäupterów“ ryskich w niczem nie ustępują, a chociaż przez rękodzielników miejscowych są wykonane, stanowićby mogły ozdobę najbogatszych muzeów cywilizowanego Zachodu.

Otwarta w Mitawie w czerwcu b. r. wystawa historyczna kur-

landzka nagromadziła niemniej wspaniałe okazy przemysłu artystycznego z epoki odrodzenia. Odznaczają się tam zwłaszcza przepyszne srebra *en repoussé*, których część znaczna wykonaną jest w krajach nadbałtyckich. Nie mniej celowali w wyrobach ze swego zakresu i ówcześni uczeni stolarze nadbałtyccy, wykonywający roboty iście artystyczne, najczęściej szafy, sepety i sepeciki, których część znaczna ukrywa się dotąd w posiadaniu prywatnem, występując obecnie już tylko na wystawach historycznych tak krajowych jako i zagranicznych. To też napróżnobyśmy je odszukiwali w nielicznych muzeach nadbałtyckich.

Rzeźby rzadkiej piękności w stylu odrodzenia znajdujemy w Rewlu w kościele św. Mikołaja, a mianowicie pod chórem organowym, tudzież na okładzinach ścian ze stalami średniowiecznego stowarzyszenia rewelskich *Szwarzhäupterów*. Późniejszą i nierównie mniej wykwintną robotę, w której już nieco przebija styl „Baroko", mamy przed sobą w Rydze w olbrzymich stalach stowarzyszenia ryskich *Szwarzhäupterów* w kościele św. Piotra, a zaś prawdziwie po mistrzowsku rzeźbionym jest wspomniany już w liście poprzednim słynny fryz wspaniałej sali ratuszowej w Rewlu, oraz niektóre boazerye w kilku ocalałych dotąd dawnych domach mieszczańskich prastarej Narwy.

Z dawnych tutejszych zakładów garncarskich wychodziły doskonałe kafle bądź zielone, bądź brunatne, ozdobione wspaniałą ornamentyką wydatną. Cena ich nadzwyczaj się podniosła, odkąd przed laty kilkunastu do największych osobliwości nadbałtyckich zaliczone zostały.

Wszelako dobrym tradycyom najdłużej pozostali wiernymi liczni mosiężnicy tutejsi. Dowodzą tego pająki po starodawnych kościołach nadbałtyckich, a także owych sześć pająków mosiężnych, zdobiących sklepienia we wspomnianej w liście naszym poprzednim dolnej starogotyckiej dwunawowej sali „wielkiej izby kupieckiej" w Rydze, lubo nie da się zaprzeczyć, że pochodzą one z czasu, w którym rękodzielnictwo nadbałtyckie już poczęło upadać.

O słynnym gotyckim pająku, z którym w r. 1883 zapoznała nas wystawa historyczna ryska, mówiliśmy na innem miejscu.

Na naszczytkach i chorągiewkach wielu gmachów publicznych i prywatnych dowiedli tu już wcześnie kowale do grubej roboty

jak elegancko i z jak niezrównanym wdziękiem umiano niegdyś nad Baltykiem urabiać tak niegiętki materyał jak żelazo, a zaś jak doskonałymi tu niegdyś byli rzemieślnicy, robiący roboty skórzane i siodlarskie, wykazuje nam dosadnie tuzin olbrzymich krzeseł z XVII. stulecia, zdobiących „salę konferencyi“ gmachu inflanckiego rycerstwa w Rydze *(das livländische Ritterhaus)*, a obitych przepysznym kurdybanem miejscowego wyrobu. Gdy niemal dwieście lat po pierwotnem wykonaniu tych krzeseł zaszła potrzeba uzupełnienia ich liczby, musiano aż w Paryżu szukać mistrza, któryby był w stanie naśladować one udatnie.

Jednym słowem, sprzęty domowe społeczeństwa nad Baltykiem z każdego względu nie pozostawiały nic do życzenia, a objaśnić to należy tą chyba okolicznością, iż dobry kierunek sztuki, który, jak powszechnie wiadomo, na tych oddalonych wybrzeżach stosunkowo później zyskał sobie prawo obywatelstwa, nierównie też dłużej zdołał się utrzymać tak w przemyśle artystycznym jako i w rzemiosłach tutejszych.

To też kiedy nieco skoszlawiony styl „Baroko“ już w pierwszej połowie XVII. stulecia ogarnął był większą część Zachodu, a zwłaszcza Francyą i Niemcy, — kraje nadbaltyckie najzupełniej od niego były wolne, aż do końca wspomnianego wieku. Na niektórych gałęziach tutejszego kunsztu rzemieślniczego zaledwie się odzwierciedlił niekorzystny wpływ jego, na innych zaś braknie tu całkowicie znanej powszechnie przesady tego bądź co bądź częstokroć i w wyrobach rzemieślniczych nader skoszlawionego stylu. Wszelako ma się rozumieć, że na budowlach ówczesnych dają się i tu nad Baltykiem napotkać owe dziwnie powyginane linie, nabrzmiałe zdobiny, dziwacznie wykrzywione kształty, dowolnie powycinane przyczółki i tympany. Mamy sposobność widzieć je i dotąd tu i owdzie, zwłaszcza u głównych facyat budowli ówczesnych w których bez względu na warunki konstrukcyjne starano się otworzyć miejsce dla urojonych zdobin różnego rodzaju, jako to: ciężkie naturalistycznie pojmowane girlandy, sztucznie wywołane perspektywne złudzenia i t. p. Lubo szczegóły tego stylu z osobna uważane są częstokroć zajmującymi dla oka, w ogóle jednak, czyli w całości budowy, ta dowolność zmieniania linii prostych i kształtów stylu odrodzenia niczem się nigdy nie dała usprawiedliwić.

Zanim wszakże to całkowite zwyrodnienie stylu zdołało się rozwinąć w całej pełni tu nad Baltykiem i przejść aż do rękodzieł i rzemiósł, straszna wojna północna przerwała tu rozwój jego dalszy, a gdy po tych powtórnych wielkich klęskach krajowych rzemiosła tutejsze trochę swobodniej zaczęły oddychać, — przeszła już była właściwa epoka owego nieco dziwacznego stylu, który już wszędzie mniej więcej wychodził z zużycia, a gust nowy — tak zwane „Rokoko“ zaczynał go stopniowo zastępować.

Był to zaiste pierwszy kierunek w sztuce, który zrzekłszy się całkowicie wszelkiego przeobrażenia kształtów budowli, szukał powodzenia, działając już tylko za pomocą tak zwanego „stylu dekoracyjnego“, zajętego wyłącznie upięknieniem jakiej części lub całości budowli; przez dodanie im zdobin odpowiednich.

I ten kierunek sztuki, zarówno jak styl „barokiem“ zwany, należy do epoki upadku renesansu; gdy ten ostatni już poprzednio wyrodził się w styl ciężki „barokiem“ zwany, styl „rokoko“ doszedł do stopnia niedorzeczności, przez niestosowne i przeciwne mechanicznemu ustrojowi budowli, zmiany i dodatki dekoracyjne bez wszelkiej proporcyi.

Tem łatwiej przyszło stylowi „rokoko“ odnieść zwycięstwo pomysłami częstokroć iście dziwacznemi, że poprzedzający go styl baroko już był stopniowo przysposobił umysły nietylko do nieprawidłowości, ale i do ekscentryczności stylowych. To też rokoko, zrzekłszy się całkowicie każdego innego znaczenia, jak tylko czysto dekoracyjnego, zrzucił z siebie wszelkie więzy prawideł architektonicznych, z których, jak powszechnie wiadomo, styl barokiem zwany nigdy się przecież całkowicie nie był wyzwolił.

Tem zuchwalszą i tem szaleńszą zdołała zostać owa igraszka, jaką wraz z wchodzącymi w użycie kształtami małżyc wprowadzono bezkarnie i tu nad Baltykiem. Do skorup małżych przyłączono niebawem niezliczone girlandy i rogi obfitości, a następnie jako godła ówczesnych czasów pasterskich dodano do nich całe chmury amorków i geniuszów najrozmaitszego autoramentu.

Mógł wszakże ów uprzejmie igrający styl dworu Ludwika XV. czyli tak zwany *style Pompadour* rozwijać się w całej swej pełni już chyba tylko w domach możnych, a takich z powodu słynnej

redukcyi szwedzkiej[1] już bardzo niewiele w tym kraju pozostało. Był więc styl ten dziecięciem czasu, a z powodu „redukcyi“ w ówczesnych Inflantach szwedzkich i Estonii w żaden sposób nie mógł się on ustalić. To też napotykamy go tylko w kilku pałacykach wiejskich możniejszych panów ówczesnej Kurlandyi i Inflant polskich, a także w kilku kościołach tamże na Łotwie katolickiej. Nadto dodać należy, iż panowanie tego istnego kaprysu sztuki było w ogóle bardzo niedługotrwałe. Znikła jego chwilowa potęga wraz z całym owym płochym światkiem, którego był on żywym wyrazem, gdyż jeszcze w ciągu ostatniej ćwierci wieku XVIII. tak na Zachodzie jako i tu nad Baltykiem zapanował w sztuce kierunek nowy, powracający po części do sztuki starożytnych a mieniący siebie „klasycznym“.

Była to naprzód jakaś osobliwsza mięszanina stylu „rokoko“ ze starożytną prostokątnością, stojącą zaiste w polarnem przeciwieństwie z owym stylem „małżycowym“, o skorupach małżych używanych we wnękach (niszach) lub jako zdobiny (ornamentacye) sklepień ćwierćkulistych i t. p. Następnie zaś styl rzekomo czysty starożytny zabierał się do powszechnego zapanowania w sztuce. Ale jak wszędzie tak i tu nad Baltykiem nie pojęto należycie jego istoty. Dowodzi tego najlepiej ówczesna dziwaczna ornamentyka, przepełniona urnami, fragmentami kolumn, ciężkiemi sztywnemi girlandami, medalionami o popiersiach rzeźbionych *en camée*, lakrymatoryami, płaczkami rzymskiemi i t. p. rzekłbyś styl cmętarny!

Tak zwany styl napoleoński (po francusku *style Napoléon*, po niemiecku *Imperialstil)* o kształtach zarówno sztywnych jak ogołoconych, był bodaj ostatecznym wynikiem tego mniemanego panowania klasyczności starożytnej a koniecznym skutkiem bezmyślnego niewolniczego naśladownictwa.

Odwaga do dalszych poszukiwań zdawała się nakoniec być

---

[1] Redukcyą szwedzką nazywają badacze przeszłości nadbałtyckiej postanowienie rządu szwedzkiego, które miało na celu przyłączenie do skarbu państwowego wszystkich dóbr prywatnych, nabytych rzekomo drogą nielegalną. To też uległy bezwzględnej anneksyi chciwego rządu szwedzkiego dobra odwieczne tych wszystkich szlachciców, którzy niezdołali przedstawić pergaminów hermistrzów inflancko-krzyżackich, w których ich prawa dziedziczne dokładnie były określone.

złamaną, pomysłów nowych nie szukano już nigdzie. W krajach nadbałtyckich nastąpiło teraz *interregnum* najzupełniejszej że tak powiem b e z s t y l o w o ś c i. Gdzie tylko w rzemiosłach tutejszych i przemyśle artystycznym w ciągu pierwszej ćwierci bieżącego stulecia okazało się usiłowanie niezadawalniania się samą tylko praktyczną stroną wyrobu, — co, mówiąc nawiasem, przy tak niesłychanym upadku dobrego smaku wychodziłoby już chyba na lepsze, tam powstawała najczęściej jakaś osobliwsza mięszanina, na którą się składały reminiscencye stylów baroko, rokoko oraz niezręczne naśladowanie pseudo-klasycyzmu tak zwanego stylu napoleońskiego.

Tymczasem coraz to widoczniejsze rozprzężenie się cechów tutejszych uniemożebniało trzymanie się stałych prawideł, przekazanych werkmistrzom przez dzielne dawne tradycye, a zaś odkąd stanęła tu nad Bałtykiem cała przepaść pomiędzy rzemiosłem a sztuką, powrót do lepszych kształtów został w tym kraju nad wszelki wyraz utrudniony.

Obecnie nauka odrodzenia odżywa na nowo na kresach bałtyckich, a z nią, jak w czasach renesansu, obudzają się do nowego życia odwieczne prawidła prawdziwie klasycznego piękna i dla tego możemy tu z pewną ufnością wyglądać dalszego rozwoju tego najnowszego kierunku w sztuce. Wyznać bowiem należy, że głębokie i poważne studya umożebniły ten powrót do renesansu, a obecnie dostrzedz się daje coraz wyraźniej, iż teraźniejsza sztuka odrodzenia nie wypłynęła wcale ze ślepej wiary w dawne powagi, ale raczej z jasnego rozpoznania odwiecznych prawideł rządzących stale w zakresie prawdziwego piękna.

W tym przypadku nie powinien nas wcale zrażać lub w obłęd wprowadzać fakt niezaprzeczony, że tu nad Bałtykiem obecnie znaczna część produkcyi składa się właściwie z reprodukcyi. Dzisiaj chodzi przedewszystkiem o to, ażeby dobre wzory jak najbardziej rozpowszechnić, uczynić je własnością ogółu i dowieść faktycznie, że dawną technikę klasyczną zdołano tutaj znowu tak dalece sobie przyswoić, iż nawet na tych oddalonych kresach już wielu pracowników jest w stanie tworzyć samodzielnie, a odpowiednio do prawideł piękna przez ten nowy kierunek sztuki jasno wskazanych.

To też całe szeregi poważnych facyat renesansowych powstają

obecnie już i nad Baltykiem, gdzie jeszcze przed kilku dziesiątkami lat o żadnym stylu i mowy nawet być nie mogło, a nie należy wątpić, że w kraju, w którym szkoły rzemieślnicze i techniczne tak wyższe jako i niższe coraz bardziej się rozwijają, z czasem wywalczą sobie malarstwo i rzeźbiarstwo toż samo samodzielne stanowisko, jakie sztuka renesansu tym gałęziom sztuk pięknych stanowczo wskazuje. Że zaś sztuka odrodzenia i na rzemiosła nadbałtyckie zbawienny wpływ wywierać poczęła, tego już przed trzema laty dowiodła dosadnie pierwsza baltycka wystawa przemysłowa, na której obok wielu pięknych okazów tegoczesnego przemysłu artystycznego mieliśmy sposobność oglądać cały szereg modelów komnat w stylu renesansowym, po części z wielką umiejętnością urządzonych.

Gustaw Manteuffel.

Z Berlina.

Sprawy kościelno-polityczne i polskie. — Z obozu socyalistów i anarchistów.

Lepszy wróbel w ręku niż dziesięć gołębi na dachu. Z tego to stanowiska zapatrują się tu po części na zakończenie dotychczasowej walki kościelno-politycznej w Prusach. A choć niektórzy przeciwnego byli zdania, osobistą jednak opinię swoją podporządkowali pod wyraźną wolę Ojca św. Stronnictwo środkowe w Izbie poselskiej głosowało solidarnie za znaną nowelą.

Przeprowadzenie noweli w sejmie nie zapewnia jednakowoż, zdaniem rządu pruskiego, pokoju kościelnego. Jak ks. Bismark całą winę i odpowiedzialność za wybuch walki zwala na centrum, tak też usiłowania rządu zdążają nieustannie do obalenia tego stronnictwa; Ojciec św. zaś koniecznie pragnie zachowania frakcyi szczerze katolickiej, któraby stała ciągle na straży interesów Kościoła w kraju przeważnie protestanckim. Nie dziw, że dzienniki rządowe usiłują osłabić wszystko, cokolwiek Ojciec św. kiedy powiedział na pochwałę centrum, lub wprost przekręcają słowa jego, jakoby nie do Windthorsta i zwolenników jego odnosiły się, lecz do niektórych

katolików w pruskiej izbie panów. Trudno dziś odnośne artykuły rzymskiej prasy uważać za czcze komplementy, dzisiaj nie ulega chyba już wątpliwości, że wyborcy na Szląsku, nad Renem i w Westfalii zupełnie w myśl Leona XIII. działają, gdy obstają przy centrum. Rzecz ta nabierze może w krótkim czasie doniosłości praktycznej.

W nadreńskiej części prowincyi monasterskiej poparli niektórzy księża kandydatów stronnictwa środkowego przeciwko katolickim kandydatom rządowym. Z tego powodu zaniósł rząd zażalenie na owych księży, grożąc równocześnie, że nie pozwoli im uczyć religii w szkole, i że im odbierze dozór szkolny. Rząd twierdzi, że agitowali ci księża nawet z kazalnicy, czemu jednak dzienniki katolickie stanowczo przeczą. Obecnie zażądał biskup monasterski deklaracyi ze strony księży, czy i w jaki sposób agitowali. Sprawie tej poświęca cała prasa uwagę swoją, a zwłaszcza dzienniki liberalnej opozycyi. Dzienniki katolickie obstają przytem, że powinno być wolno księżom zająć opozycyjne stanowisko. „Germania“ wykazuje liczbami, jak często w ciągu ostatnich lat dwudziestu zmieniały się prądy rządowe, i zapytuje, czy koniecznie duchowieństwo ma być zmuszonem zmieniać tak często zapatrywania polityczne, w miarę, jaki wiatr zawieje z Berlina. Na to oczywiście rządowa prasa nic nie odpowiedziała.

Mimo przyjaznych stosunków, jakie oficyalnie zawiązano między władzą świecką a duchowną, zachodzą jednakowoż rozporządzenia ministeryalne jak w rodzaju surowego zakazu wydanego do władz szkolnych, aby nie ważyły udzielać się odpowiedzi na jakiekolwiek zapytania władzy duchownej: władza szkolna powinna w każdym wypadku zapytać rządu o zdanie.

Wiadomo czytelnikom, jak niechętnem okiem rząd patrzał i patrzy na księży, zatrudnionych skutkiem walki kościelno-politycznej po dziennikach katolickich. Po niemieckich dyecezyach wycofali biskupi już wszystkich prawie księży z tego pola działalności i dali im zatrudnienie w dusz pasterstwie. Notoryczną też jest rzeczą, że osobistości rządowe niecierpliwią się, że mianowicie dwóch księży z Poznańskiego jeszcze pracuje w prasie, a to nawet w Berlinie samym.

W protestanckich dziennikach ustała wprawdzie polemika prze-

ciwko ks. Bismarkowi z powodu ostatniej noweli kościelno politycznej, ale na zgromadzeniach publicznych i za kulisami trwa jeszcze dość silna opozycya ortodoksów. Lipski organ *(Grenzboten)* podnosi z naciskiem, jak to w ciągu walki wzmogły się wpływy tak zwanej partyi jezuickiej, która zagarnęła prawie wyłącznie całą prasę katolicką i podbiła sobie w części nie tylko kapituły, lecz także biskupów. Tej to partyi chciał Bismark niejako kark skręcić za pomocą Leona XIII. — jak twierdzi *Grenzboten* — i dlatego winni mu wybaczyć wszyscy przeciwnicy Jezuitów. Dalej powtarza organ ten inne już znane twierdzenia kanclerza, mianowicie, że walka kościelno-polityczna nie miała bynajmniej kończyć tysiącletnich sporów między państwem a kościołem, lecz raczej ubezwładnić centrum.

Wiadomo dawno, że przedewszystkiem pastorzy protestanccy zieją nienawiścią przeciwko kościołowi katolickiemu, chociaż go wcale nie znają. W tych dniach toczył się ciekawy pod tym względem proces w Elberfeldzie w prowincyi nadreńskiej. Wydał tam broszurę antykatolicką kaznodzieja Thümmel. Sąd skazał go na trzy tygodnie więzienia, a chociaż uparty pastor o ułaskawienie prosić nie chciał, kazał minister sprawiedliwości wypuścić go z więzienia. Zawzięty przeciwnik katolicyzmu ogłosił czemprędzej drugą broszurę daleko gorszą, pod tytułem: „Prawnicy nadreńscy i księża rzymscy“. Okropne tam bluźnierstwa przeciwko dogmatom naszym, i obelgi miotane na prawników nadreńskich, tak dalece, że prokuratorya kazała paszkwil skonfiskować. Autor stanął w tych dniach przed sądem, a zapewne tym razem nie rozkaże go minister Friedberg wypuścić na wolność wbrew jego woli. Prawnicy nadreńscy byli na autora nie mało oburzeni, a w Elberfeldzie żaden adwokat nie podjął się obrony podsądnego i musiał on aż z Berlina sprowadzić dwóch adwokatów.

Podobną nienawiścią antikatolicką odznaczył się jeden z tutejszych superintendentów na publicznem zgromadzeniu przy założeniu tutejszej filii tak zwanego związku ewangelickiego. Zdaje się nawet, że ten pastor pochodzi z rodziny słowiańskiej, bo się nazywa Przygode. Otóż błagał on słuchaczy, by nie dopuszczali, żeby w Berlinie rozpanoszyli się wikaryusze apostolscy, nuncyusze i podobne „subjekty“. Nie słychać zaś, żeby prokuratorya myślała wytoczyć mu proces o tę obrazę „urządzeń“ kościoła katolickiego.

Minister Putkamer zaręczał w izbie poselskiej, że rząd pruski ludność polską obsypuje dobrodziejstwami. Nie wiem, czy minister do nich także zalicza ustawę o podziale powiatów w Poznańskiem i w Prusach Zachodnich, którą przedstawiał jako ostatni kamień w budowie ustawodawstwa antypolskiego. Ustawie tej rząd przypisuje znaczenie polityczne: chodziło o pomnożenie agentów germanizacyjnych w osobach naczelników powiatowych. Jakkolwiek ustawa i pod administracyjnym i pod ekonomicznym względem do żywego dotyka interesów powiatów rozczłonkowanych, nie zapytał się rząd nawet Niemców interesowanych o opinią, w jaki sposób należałoby podzielić powiaty. Postępowanie całe zrobiło przykre wrażenie także w Niemcach w sejmie zasiadających.

Przy rozprawach nad wspomnianym projektem wygłosił minister Putkamer mowę przeciwko Polakom. Nowego w niej nie było nic, nie obyło się także bez cytat z jakiejś broszurki, której tu nikt nie zna, a której nawet w królewskiej bibliotece nie można było odszukać. Jestto „Nowa Sybila“, wydana przez poznańskiego literata p. Chociszewskiego. Pisemko to zawiera podobno jakieś przepowiednie polityczne i grube wycieczki przeciwko Niemcom. Z przemówienia ministra można było sądzić, że czytelnie ludowe także tę broszurkę rozpowszechniały; tymczasem biblioteczki nigdy jej nie zawierały. Chodziło więc tylko o prywatne przedsiębiorstwo p. Chociszewskiego. „Nową Sybilę“ miał ktoś nadesłać do biblioteczki pań, które zawiązały w Chełmnie towarzystwo dla wspierania biednych, lecz nikt jej tam nie czytał i nikomu do czytania nie dawał. Towarzystwo to odbywa posiedzenia swoje w domu Sióstr Miłosierdzia, a Siostry żadnego związku z biblioteką nie mają. Mimo to musiały one ponieść pewne nieprzyjemności a władza duchowna osobno jeszcze zbada tę sprawę, chociaż książeczka inkryminowana, na którą już minister Gossler żalił się, dawno została spaloną.

Twierdzenie ministra Putkamera, że agitacya polska nie tylko rozpościera się coraz bardziej w Prusach zachodnich lecz także sięga już do wschodnich powiatów Pomeranii, wywołało wielkie zdziwienie tu i na Pomeranii. Zajmujące zaś stamtąd nadeszły szczegóły o rzekomo polskiej agitacyi. W mieście Bytowie zamyślali Niemcy, których patryotyzm pruski wcale nie jest wątpliwy, założyć stowarzyszenie rolnicze, w przekonaniu, że może ono wywrzeć

wpływ pomyślny na stosunki ekonomiczne. Otóż w jakiemś pisemku niemieckiem zjawiła się korespondencya, zawierająca denuncyacyę, wymierzoną przeciw mniemanej polskiej propagandzie, a z Berlina zarządzono nadzór nad nowem towarzystwem, kierowanem głównie przez miejscowego plebana, Niemca, któremu się nawet nie śni popieranie agitacyi polskiej, zwłaszcza że dosyć ma pracy, aby z upadku dźwignąć parafię, przez długie czasy opuszczoną i zaniedbaną. A jednak musi być agitacya polska na Pomeranii, bo w okręgu, gdzie wybranym został naczelny redaktor *Kreuz-Ztg.* oddano podobno 80 głosów jakiemuś Polakowi!

W izbie poselskiej druga jeszcze sprawa polska była przedmiotem rozpraw. Chodziło o prośbę kilkunastu ojców rodzin z Poznania, aby dzieci ich w języku polskim uczyły się religii. Ostatecznie odrzucono skromną tę prośbę i uznawano, że dzieci są polskie, ale ponieważ przodkowie niektórych byli podobno Niemcami, przeto rząd uważa sobie za obowiązek przywrócić im niemiecką narodowość. Stanowisko Polaków uwydatnili w tej sprawie ks. kanonik Neubauer z Pelplina, sędzia Motty i historyk Kazimierz Jarochowski. Centrum poparło Polaków.

Wspomniałem w dawniejszych sprawozdaniach kilkakrotnie o propagandzie socyalistów wśród tutejszych rzemieślników i robotników polskich. Mała jest garstka osób obałamuconych, na których kapłan wpływu już niema, i którzy stronią od towarzystw polskich. Ludzie ci są po prostu narzędziami Niemców socyalistów, i z nimi też najwięcej obcują, jakkolwiek utrzymują także związki z socyalistami polskimi za granicą, mianowicie w Szwajcaryi. Z takiego też powodu dostało się dwóch socyalistów Polaków na rok do więzienia. Brali oni udział w rozpowszechnieniu pism zakazanych a byli tyle niesumienni i nieostrożni, że jako świadkowie w pewnym procesie pod przysięgą zeznali, iż nie wiedzieli nic o składzie pism zakazanych. Dowiedziono im, że musieli o tem wiedzieć, i za krzywoprzysięstwo zostali skazani. Jako świadek wystąpił przeciwko nim inny Polak, dawniej także podobno socyalista, który w ostatniej chwili cofnął się przed krzywoprzysięstwem. Drugim świadkiem był tajny agent policyi, który pod bluzą robotnika fabrycznego pozyskał sobie zaufanie socyalistów Polaków! Z powodu tego procesu popisali reporterzy Niemcy niestworzone rzeczy o stosunkach jednego

z tutejszych towarzystw polskich do socyalistów, twierdząc, że komisarz policyjny złożył w procesie zeznania tej treści. Przewodniczący zaczepionego stowarzyszenia zaprotestował publicznie przeciwko tym twierdzeniom, powołując się na to, że policya z uznaniem wyraziła się o działalności tegoż towarzystwa. Skutkiem tego protestu zawezwała policya przewodniczącego i przekonała go, że komisarz policyjny nie oskarżał bynajmniej towarzystwa o zbrodnicze knowania. Sprawozdawcy Niemcy zmyślili wszystko, ale mimo wyjaśnienia rzeczy, gazety nie sprostowały pierwszych doniesień swoich.

Od socyalistów do anarchistów krok niewielki. Jest rzeczą notoryczną że dotychczas Niemcy dostarczają największej liczby anarchistów, i obecnie jeszcze toczy się śledztwo przeciw osobistościom w najwyższym stopniu niebezpiecznym o udział w zbrodniach dawniej już zasądzonych. Udało się bowiem policyi schwycić kilku anarchistów, o udziale których w niedoszłym zamachu na cesarza Wilchelma i kilku książąt niemieckich z okazyi odsłonięcia pomnika Germanii na Niederwaldzie i w zamordowaniu radcy policyjnego Rumpfa w Frankfurcie nad Menem dowiedziano się dopiero później.

Z powodu śledztwa tego niech mi wolno będzie wspomnieć tu o broszurze, wyszłej w Berlinie, o najgłośniejszych anarchistach niemieckich. Dowiedziałem się, że prawie wszystkie szczegóły tego pisma są prawdziwe; pochodzą one bowiem z ust pewnego towarzysza sztuki drukarskiej, który porzucił stronnictwo socyalistyczne. Szczegóły te zestawił następnie pewien dziennikarz, który niby z Londynu pisywał o swoich odkryciach do *Kölnische Ztg.*

Autor twierdzi że, z wyjątkiem Most'a, poznał osobiście wszystkich naczelników tego ruchu niebezpiecznego, i że zebrał prawie bez wyjątku wszystkie nawet rzadkie druki anarchiczne. Ojcami anarchizmu są: Bakunin, Viktor Dave i Reinsdorf. Ostatni został na śmierć skazany i stracony za udział w niedoszłym zamachu na Niederwaldzie pod Rüdesheimem. Ciekawy jest dowód, że Dave i Reinsdorf byli nauczycielami, a nie uczniami Mosta; dotychczas bowiem sądzono powszechnie, iż rzecz się ma przeciwnie.

W roku 1880 zwołali socyaliści niemieccy kongres do Szwajcaryi. Zjazd tajny miał się odbyć w mieście Korsdrach. Kiedy zaś inicyatorzy dowiedzieli się, że i Most przybywa jako przedstawiciel

kilku miast saskich, zmienili cały plan; zjazd odbył się bez Mosta na zamku Wyden. Bawiąc przez pewien czas w Szwajcaryi, poznał Most przywódców tamtejszego ruchu rewolucyjnego, mianowicie Reinsdorfa, z którym następnie utrzymywał żywą korespondencyę. Pod wpływem tego człowieka zmienił się Most we wściekłego zwolennika zasad anarchicznych. Nie mało wpłynął na to także Dave z Paryża, uwięziony już dawniej w Berlinie. Most przewyższał anarchistów wymową i zdolnościami, a namiętność jego granic nie znała. Most i Reinsdorf pochodzą ze stanu rzemieślniczego: obaj są w tem podobni do siebie, że będąc gwałtownymi w słowie, okazywali się tchórzami w chwili niebezpieczeństwa. O Moście przypominam, że policya amerykańska musiała go z pod łóżka wyciągnąć, gdzie się ukrył przed aresztowaniem. Reinsdorf spoglądał z pewną pogardą na Mosta, jak tego dowodzą zeznania jego, uczynione kiedyś wobec sędziego Hedczego, a jednak przewyższa go Most rzutkością. Reinsdorf nie potrafił nawet być redaktorem dziennika, gdy Most w Niemczech, w Anglii i w Ameryce pod tym względem rozwijał namiętną czynność. Reinsdorf urządzał zamachy na własną rękę, Most występował systematycznie, jako nauczyciel w tym względzie.

Dave jest, zdaniem autora broszury wspomnianej, duszą angielskich klubów anarchicznych, Jan Neve jego prawą ręką. Ostatni nic prawie nie mówił, ale ciągle działał; chwilowo trzymają go w Lipsku pod kluczem: zdradził go podobno austryacki anarchista Penkert. Neve podobno rzadko pokazywał się po klubach anarchistycznych w Londynie, nikt prawie nie znał jego miejsca pobytu; dlatego tak trudno było schwycić go i oddać w ręce policyi niemieckiej. Co chwila zmieniał on nazwisko swoje. Podług autora naszego Neve nazywał się „Piotra Warchałowskiego“ (sic!), widać, że język polski autorowi wcale a wcale nie jest znany. Neve był podobno czynnym, przynajmniej jako wspólnik, przy pięciu morderstwach. Anarchiści podziwiali jego bezinteresowność. Neve w dzień trudnił się stolarstwem, a wieczorem i w niedzielę pracował bezpłatnie w ekspedycyi tygodnika Mosta *Freiheit*.

Ciekawe szczegóły podaje autor o zamordowaniu Rumpfa, który odkrył zamach na Niederwaldzie i w ogóle czynnym i groźnym był przeciwnikiem socyalistów. Otóż szewc z prowincyi brandenburskiej, skazany i stracony, miał być tylko jedną z podrzędniejszych figur,

uczestniczących w zabójstwie Rumpfa, które tak ogromne wrażenie zrobiło w Niemczech. Morderców miało być trzech. Dwóch uszło rąk policyi. Autor opowiada szczegółowo o pięciu anarchistach, z nazwiska wymienionych, którzy w Londynie postanowili pomścić się na radcy Rumpfie za stracenie Reinsdorfa. Czterech ofiarowało się z gotowością zabić Rumpfa, jeden z Niemiec, trzech z zagranicy. Niemiec ów postarał się o wyekspedyowanie trzech morderców. Lieske, jako niepodejrzany jeszcze wówczas, musiał wyśledzić najlepszą sposobność dokonania zbrodni. Autor zaznacza ze zeznań, poczynionych następnie w procesie, liczne szczegóły, które dowodzą współudziału innych osób w zabójstwie. Lieske został, jak wiadomo, przypadkiem schwytany niedaleko Frankfurtu, gdy usiłował umknąć za granicę. Ucieczka nie udała się, jedynie dla tego, że nie miał żadnych funduszów, a zdaje się, że nie doszły go pieniądze dlań przeznaczone: Dave domyśla się, że te pieniądze zatrzymał sobie pewien zwolennik anarchista. Jeden ze wspólników Lieske'go zdołał ujść do Włoch przez Szwajcaryę, drugiego trzymają we więzieniu lipskiem.

Autor nasz mówi z wielkiem uznaniem o nieustraszonej energii policyi niemieckiej, która zabójstwem Rumpfa nie dała się zbić z toru, lecz bez względu na bezpieczeństwo własnej osoby pracowała nad tem, aby dalej ścigać i do odpowiedzialności pociągnąć anarchistów. Przypominam, że parlament niemiecki po zabójstwie Rumpfa uchwalił osobną ustawę, na mocy której agenci policyi, czyli raczej rodziny ich, znaczne otrzymywać mają wsparcie w razie, gdy agentów czynnych w podobnych sprawach spotka cios śmiertelny. Ku końcowi zaznacza autor, że *Freiheit* z dnia 25 grudnia r. z. z wielkiem zadowoleniem zapisuje fakt, iż socyaliści niemieccy z pewną namiętnością przechodzą do szeregów anarchizmu, gdyż rewolucyi socyalnej doczekać się nie mogą; niecierpliwość ta objawiła się podobno nawet w koszarach. Mimo to istnieje pewna nienawiść między socyalistami, każącymi jeszcze czekać z rewolucyą, a anarchistami, niebawiącymi się podobnym oportunizmem.

Dotychczas, jak już wspomniałem, dostarczają Niemcy, największej liczby anarchistów, ale autor broszury wspominanej już zapewnia, że w krótkim czasie w Anglii i Francyi powstaną wścieklejsi jeszcze zapaleńcy. W Paryżu samym jest około 20 klubów

anarchistycznych, a w innych częściach Francyi także ich nie brak. Autor pragnie, aby robotnicy socyalistyczni w Niemczech upamiętali się na widok rozwoju anarchistycznego, ale wymaga przedewszystkiem od rządów, aby bezwzględnie wyplenili anarchizm. Mianowicie do Anglii zwraca się z przedstawieniem, że nie godzi się zasadniczym wrogom obecnego ustroju społecznego dawać przytułku.

X.

Uroczystość otwarcia nowego gmachu uniwersyteckiego w Krakowie.

Wszechnica Jagiellońska jest dzisiaj bezwątpienia głównem ogniskiem, około którego skupia się polska młodzież, kształcąc się i przygotowując do późniejszej służby obywatelskiej. Coraz większy napływ tej młodzieży, spragnionej wiedzy, wywołał potrzebę wzniesienia nowego kolegium, gdyż dawniejsze okazały się za szczupłe, aby pomieścić setki słuchaczów. Wspaniała uroczystość otwarcia nowego gmachu odbyła się dnia 14 czerwca r. b.

Obchód rozpoczął się o 10 zrana mszą w kościele św. Anny, przy obecności pobożnego tłumu, który słał do Boga gorące modły i prośby o dalsze łaskawe opiekowanie się polską *Alma Matre*. Następnie poważny pochód udał się do nowej świątyni nauki, którą J. E. Najprzew. ks. biskup Dunajewski poświęcił.

Główna aula uniwersytecka, pięknie ozdobiona portretami królów, dawnych rektorów, portretem cesarza i obrazem Matejki „Kopernik“ nie mogła pomieścić licznych uczestników uroczystości, choć aula była zapełniona po brzegi. Na podwyższeniu zajęły miejsce prawie wszystkie znakomitości naszej prowincyi. Jego Magnificencya Rektor W. St. Tarnowski w purpurze wyglądał, rzec można, na dostojnego władcę światła i wiedzy, otoczonego poważnym dworem. Obok niego zasiedli: J. E. ministrowie Gautsch i Dunajewski, J. E. biskup Dunajewski i Krasiński, J. E. namiestnik kraju, Zaleski, Marszałek Sejmu, J. Tarnowski, Rektor uniwersytetu lwowskiego, Pilat i wielu innych. Pierwszy głos zabrał głos

ks. biskup krakowski i w pięknej mowie wyraził radość, że Bóg dozwolił dokonać dzieła, zakończył życzeniem zwróconem do profesorów i młodzieży, aby na pożytek Kościoła, nauki i społeczeństwa rozwijała się w tym nowym przybytku pracy, gdy umilkł, prawicę wniósł nad głowami zebranych na znak błogosławieństwa. Po nim przemówił minister Gautsch, wręczając Rektorowi uniwersytetu dyplom erekcyjny, temi słowami:

„Z radosnem uczuciem, imieniem naczelnej władzy naukowej oddaję dziś na pożytek publiczny nowy gmach c. k. uniwersytetu Jagiellońskiego. W chwili tej, tak pomyślnej dla rozwoju wszechnicy krakowskiej, radbym przypomnieć owe słowa Kazimierza W., który przed V. wiekami jasno określił cel i znaczenie tej szkoły głównej: „...*Sitque ibi scientiarum praevalentium margarita, ut viros producat consilii maturitate conspicuos, virtutum ornatibus redimitos ac diversarum facultatum eruditos; fiatque ibi fons doctrinarum irriguus de cuius plenitudine hauriant universi liberalibus cupientes imbui documentis*“. Zaiste spełniły się nadzieje i życzenia królewskiego założyciela. W zmiennych swych kolejach dzieje waszego Uniwersytetu wskazują szereg znakomitych nauczycieli, uczniów pełnych zapału i szlachetnych krzewicieli umiejętności! Tak przedewszystkiem w owym okresie złotym XV. stulecia, gdy kwitnęły w nim teologia, matematyka i astronomia. Wtedy to zajaśnieli żywem światłem dwaj mężowie: orędownik Uniwersytetu, św. Jan Kanty i Mikołaj Kopernik. Czas zaś w którym żyjemy, epoką rządów najmiłościwiej panującego nam Monarchy, możnaby śmiało nazwać okresem odrodzenia i nowego rozkwitu wszechnicy. Z zadowoleniem spoglądamy na piękny rozwój, którym się cieszy Uniwersytet od lat kilkudziesięciu. Tak więc z otuchą możemy wyrazić przekonanie, że do pełnej chwały przeszłości i teraźniejszości tyle rachującej nawiąże się i pomyślna przyszłość, w której Uniwersytet coraz skuteczniej zdążać będzie do spełnienia szczytnego zadania swojego, ku pożytkowi kraju, ku zbawieniu młodego pokolenia, Tronowi wreszcie i Monarchii, pod których skrzydłami opiekuńczemi wszechnica wskrzeszoną została, — ku czci i podzięce!

Wyrazy te, płynące z szczerej życzliwości, zostały przyjęte przez słuchających oznakami żywego zadowolenia i wdzięczności.

Ministrowi oświaty odpowiedział po niemiecku rektor hr. Tar-

nowski, dziękując mu za jego życzenia powodzenia Uniwersytetowi, po czem przemówił po polsku, wracając się polskiej publiczności:

„Poza naszą *Universitas Litterarum* jest dopiero *civitas*, do której nauka przygotowuje i wprowadza, i o tej przedewszystkiem myśleć i pamiętać mamy, pamiętać, że ona nie jest, ale powinna być *Civitas Dei*, społecznością wedle Bożej myśli i woli, a nasze życie na to ma być poświęcone, żeby się taką stawała. Ale właśnie, jeżeli tego chcemy, to w tych murach nauką tylko i przez nią społeczności służyć będziemy, bo inaczej nie wykształcą się tu „ludzie w naukach biegli", a tem mniej „dojrzałością rady znakomici".

„Nie wykształcą się też na obywateli i sług społeczności wedle myśli Bożej, gdybyśmy nauczyciele i uczniowie do zdobycia prawd naukowych dążąc, o tem zapominać mieli, że są Boskie prawdy i prawa nad nami. Kiedy się Uniwersytet ten zakładał, nikt przed tem nie przestrzegał, bo nikt nie przypuszczał potrzeby — nikt nie pojmował, iżby między wiarą a nauką mogła być sprzeczność, i szkoła jak Kościół, nauka jak modlitwa była innym tylko, ale zgodnym tonem w hymnie Bożej chwały. Przyszły rychło czasy inne, i powtórzyły się znowu: dziś jak w wieku XVI. „w przeczenia dreszczach drży świat chrześcijański"[1]. W tych sprzecznościach i rozdarciach, jaka jest nasza powinność i droga postępowania? Znowu wskazówka w naszej przeszłości. Kąkol zmieszany z dobrem ziarnem w posiewie humanizmu widzieli nasi poprzednicy, i przewidzieli, że chwasty zejść mogą. Ale chybili, kiedy w tem przewidzeniu trafnem od zasiewu się bronili. Kąkolowi nie przeszkodzili puścić się na naszej roli, a pozbawili się plonu pszenicy. To, choć niedługie osłabienie, w jakieśmy popadli w końcu XV. wieku; to drugie, dłuższe i gorsze w końcu XVI. wieku, kiedy z wielkiej obawy, żeby złych pierwiastków w siebie nie naciągnąć, Uniwersytet odpychał wszystko, co nowe i co obce i w sobie się zasklepiał, niech nam stanie za naukę, że nie unika się złego przeczeniem, ani zamykaniem oczów czy drzwi, że prawdę brać trzeba nawet kiedy jest w zmieszaniu z fałszem podana, a rozumu i nauki trzeba mieć tyle, żeby rozpoznać i dowieść co fałsz, a co prawda.

[1] Szujski.

„Do tych doświadczeń przeszłości dodajmy obowiązki względem niej, wierność i cześć wszystkiemu, co w niej było dobrem; nie dość rozrzewniać się nad poświęceniem Jadwigi i zwycięstwem Jagiełły, ale pamięć, jakich uczuć, jakich przekonań, jakiego związku z Bogiem drogą dochodzi się do zwycięstwa nad sobą, do zwycięstwa nad drugimi, i do takich wzniosłych i świętych tryumfów, jak chrzest i przyłączenie Litwy, w tych uczuciach się łączyć i dochować jej wiarę, dla teraźniejszości mieć miłość (cierpliwą i wyrozumiałą, jeśli tego potrzeba), i wreszcie robić w imię Boże, co do każdego należy; oto sposoby, nie żeby dorównać świetnym chwilom przeszłości i na poczekaniu drugiego Kopernika wychować, ale żeby być najświetniejszych chwil przeszłości może nie bliskim, ale nie niegodnym, i żeby się ziściło, co przy otwarciu naszego starego pierwszego budynku mówił nasz rektor Stanisław ze Skarbmierza: „Oto w małym domu mądrość jest zamknięta. Pojrzyj na Polskę, a patrz na to miejsce, gdzie jest roztropność, sprawiedliwość, umiarkowanie, gdzie cnota, bojaźń Boga i miłość bliźniego, gdzie prawo, gdzie rozum, gdzie zbiegowisko ludzi biegłych w naukach, gdzie zbawienie, gdzie życie, gdzie bezpieczeństwo, gdzie zaszczyt — tego wszystkiego nauczyć się można w tym domu, który jest tronem Bożym. Dobre dzieło rozpoczęte, dali Bóg, weźmie swoje dokonanie. Co niech sprawić raczy sam Pan nasz Jezus Chrystus, jako kamień węgielny domu“...

Dostojny rektor zakończył piękną i podniosłą mowę okrzykiem na cześć Najjaśniejszego Pana. Okrzyk ten wszystkie piersi z zapałem trzykrotnie powtórzyły, a orkiestra zagrała hymn austryacki. Przystąpiono do odczytania i do podpisania aktu otwarcia kolegium. Chór akademicki zaintonował wtedy pieśń p. Ludwika Germana, do której muzykę dorobił p. Wł. Żeleński. Następnie delegacya akademików wręczyła rektorowi księgę pamiątkową, poświęconą J. E. ministrowi Dunajewskiemu. J. E. serdecznemi słowami podziękował za ten dowód uznania jego zasług, położonych około dobra Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Nastąpiło potem ogłoszenie nazwisk osób mianowanych doktorami honorowymi.

Przemawiał potem prezydent miasta Krakowa, Szlachtowski, i wniósł okrzyk: *Alma Mater Jagiellonicia vivat, floreat, crescatque.*

Imieniem Towarzystwa technicznego przemówił p. Głowacki, wręczając rektorowi Uniwersytetu Jagiellońskiego mandat z popiersiem ś. p. Księżarskiego, budowniczego nowego kolegium.

Rektor hr. Tarnowski podziękował mowcom i zamknął posiedzenie oświadczeniem że „gmach nowy został otwarty". Chór akademicki zabrzmiał wtedy polonezem Moniuszki z opery „Hrabiny".

Popołudniu odprawiła się wspaniała uczta uniwersytecka w sali Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń, do której zasiadło około 140 osób.

Pierszy toast na cześć Najaśniejszego Pana wniósł rektor hr. Tarnowski. Biesiadnicy odpowiedzieli trzykrotnem: „Niech żyje!" przy odgłosie hymnu austryackiego, zagranego przez muzykę 13 pułku. Prof. Zoll wzniósł zdrowie J. E. ministra Gautsch'a, na które tenże z zapałem odpowiedział toastem na cześć Uniwersytetu Jagiellońskiego. Prof. Rydel zwrócił się ze swoim kielichem do J. E. ministra Dunajewskiego, prof. Smolka do ks. biskupa krakowskiego. Dr. Kasparek wzniósł toast na cześć władz wojskowych, autonomicznych, reprezentacyj ludowych i armii. Prof. dr. Wróblewski uczcił tego dnia mianowanych doktorów honorowych. Zdrowie uczącej się młodzieży w wyższych zakładach naukowych, pił prof. dr. Kasznica ze Lwowa. Długi szereg toastów zamknął ks. biskup Dunajewski tradycyjnem: „Kochajmy się".

Wieczorem w sali Towarzystwa Strzeleckiego zebrało się kilkaset młodzieży, która przybywających profesorów witała salwami, muzyką i radosnemi a hucznemi okrzykami, dowodzącemi, że ów szczęśliwy dzień ścieśnił jeszcze bardziej więzy serdeczności, łączące młódź akademicką z jej starszyzną.

Zabawa pod przewodnictwem rektora hr. Tarnowskiego, który ją zagaił serdeczną przemową do młodych uczestników, przeciągnęła się po północy, ożywiona nieudaną wesołością.

Minął wreszcie dzień radosny, lecz pozostawi długo po sobie wspomnienie drogie sercom polskim, którym nie mało dodał otuchy na przyszłość. Zbudził bowiem nadzieję i przekonanie, że z tego nowego gmachu *Almae Matris* w tak szczęśliwych okolicznościach otwartego, wyjdą niezadługo mężowie dzielni głową i sercem, którzy ojczyznę naszą opromienią światłem co nie zgaśnie.

M. K. M.

ŚW. ALFONS MARYA LIGUORI DOKTOR KOŚCIOŁA

W STULETNIĄ ROCZNICĘ JEGO ŚMIERCI.

Sto lat dobiega, jak 1 sierpnia w ubogiem miasteczku włoskiem Pagani de Nocera w klasztorze Redemptorystów, zakończył życie biskup-zakonnik Alfons Liguori. Tłumy pobożnych cisnące się zewsząd do zwłok jego, natarczywe prośby o udzielenie jakiejś pamiątki po zmarłym, choćby skrawka jego sukni, lud pocierający swe koronki, szkaplerze i obrazki o jego ciało, ciągłe pielgrzymki do jego grobu, modlitwy i prośby które doń zanoszono — wszystko to było hołdem, jaki składano świątobliwości jego życia, było miarą uznania jego heroicznych cnót, było wreszcie dowodem jak wielce liczono na przyczynę jego u Boga.

Ale ta cicha śmierć zamknęła żywot nietylko świętego człowieka, ale i wielkiego szermierza w Kościele, który niemal wiek cały — bo 90 lat żyjąc, pracą go swoją i pismami zapełnił, i nietylko wycisnął na nim piętno swego ducha, ale na całe przyszłe pokolenia wywarł wpływ potężny a zbawienny. Obok uznania współczesnych należał mu się hołd większy, szerszy i nieprzemijający. Powiedziane bowiem jest. *A którzy uczeni będą, świecić będą jako światłość utwierdzenia, a którzy ku sprawiedliwości wprawują wielu, jako gwiazdy na wieki wieczne* [1]. To też niedługo miał czekać Alfons na odbiór czci od całego Kościoła. We dwadzieścia lat po jego śmierci ogłasza Namiestnik Chrystusowy Pius VII. [2] heroiczność jego cnót — a w r. 1815 pozwala przystąpić do jego

[1] Daniel XII. 3. [2] 7 maja 1807 r.

kanonizacyi. „Jak drogocenny kamień, odzywa się Ojciec św. w tym „dekrecie, zajaśniał Alfons pogardą świata, nauczaniem błądzących, „założeniem Zgromadzenia Najśw. Odkupiciela i cnotami apostol„skiemi“. Słuszna tedy, by go cały Kościół uczcił, „aby wszyscy „żyjący poznali, że czasy wprawdzie i wieki ulegają zmianie, ale „Kościół Chrystusowy nigdy się nie zmienia, nie traci na sile, że „duch naszych praojców nie ginie, ani nie upada, że oblubienica „Chrystusowa nigdy się nie starzeje, ale w pośrodku zmian i zepsu„cia świata rozkwita ciągłą i apostolską świeżością i pięknością“. A w breve [1], przez które zalicza go w grono błogosławionych, podnosi szczególnie Ojciec św. niezmordowaną usilność, z jaką się święty nasz zastawiał o chwałę Bożą i zbawienie bliźnich. „Szcze„gólny czciciel Najśw. Sakramentu i gorzkiej męki Zbawiciela wy„biegł naprzeciw występkom, jak strzała puszczona ręką olbrzyma „i rzucał się pędzon zapałem to w tę to w ową stronę, w obronie „czci Bożej i zbawienia bliźnich. I by nie ustać w przedsięwzięciu, „związał się ślubem, by nie stracić chwili czasu“.

A wyliczywszy liczne zasługi kończy Papież: „Choć sterany „wiekiem i pracami a obłożną niemocą zdjęty, zawsze jednak będąc „świeżego i silnego ducha, nie ustał o boskich rzeczach nauczać „i pisać, aż jako starzec 90 letni rozstał się z tym światem“. I kiedy przystąpiono do otwarcia grobu i oglądania zwłok, odłączono trzy palce od prawej ręki i posłano je do Rzymu na wyraźny rozkaz Papieża. „Poślijcie do Rzymu te trzy palce, które tak świetnie broniły chwały Bożej, Najśw. Panny i religii“. Grzegorz XVI., ogłaszając jego kanonizacyę [2] w bulli *Sanctitas et doctrina*, uwielbia św. Alfonsa jako pasterza, który jest odwzorem boskiego Pasterza Kościoła a to „zarówno przez świętość życia jak „i doskonałość nauki“.

Cnota i świętobliwość żywota Alfonsa w tych dekretach Kościoła znalazła należne uznanie — ale nauce i pracom należało się coś więcej — czuł to cały Kościół i w roku 1867 cały niemal episkopat katolicki, obok znakomitych mężów, podał prośbę do Piusa IX. żądając, by Alfonsa postawił w szeregu owych wielkich świateł i kolumn Kościoła obok Augustynów, Chryzostomów i Bernardów,

[1] 6 września 1816 r. [2] 8 maj 1839 r.

jako pogromcę fałszów i herezyj, jako sól ziemi i światłość świata. Przychylając się do tej prośby, po dokładnem a ścisłem zbadaniu jego nauki, które trzy lat trwało, ogłosił go Pius IX. doktorem świętego Kościoła[1], podnosząc w szczególności to, że przez swoje moralno-teologiczne dzieła pokonał ciemności, niewiarą Jansenizmu szerzone, że wyjaśnił i bronił z całą stanowczością nauki o Niepokalanem Poczęciu Boga Rodzicy i nieomylności magisterium Rzymskiego Papieża, a wreszcie że przez swoje ascetyczne dzieła pełne niebiańskiego namaszczenia, pobożność i wiarę podniósł i utrwalił.

Niepodobno w jednym, a choćby i w kilku artykułach, dać wierny obraz życia i czynów Alfonsa św., w którymby dokładnie skreśloną była jego świątobliwość i bogactwo cnót, odmalowaną cała jego działalność, jako biskupa, zakonodawcy i pisarza. Oto się nie kusimy. Jedno w nim podnieść chcemy, tj. stanowisko jego, jako pisarza katolickiego. Ale i tu niełatwe zadanie. Zaletą jego dzieł, jak to zaznacza breve Piusa IX., jest niezwykła siła, rozmaitość i namaszczenie. Na tę niezwykłą siłę składa się obok prostoty głębokość i gruntowność. Wszędzie i zawsze występuje Alfons jako gruntowny teolog. O każdym przedmiocie, który traktuje, podaje to co jest najpiękniejszego i najbardziej porywającego o nim w księgach Starego i Nowego Testamentu i Ojcach Kościoła. A choć rzecz traktuje w sposób naukowy, nie masz u niego tej nadętości uczonych, co nieraz budzi podziw dla autora, ale zarazem i zaciemnia zrozumienie rzeczy. Nieprzyjaciel wszelkiej przesady, zawsze jasno i zrozumiale się wyraża, stąd pisma jego nie potrzebują żadnych zastrzeżeń ani komentarzy. I kiedy niemal wszyscy pisarze mistycznej teologii są niezrozumiali dla ogółu, to Alfons zarówno przystępny dla wykształconych jak i dla prostaczków.

A przytem cóż to za mnogość tych pism i dzieł Alfonsa. Zbiorowe wydanie wynosi czterdzieści kilka tomów. A jakaż rozmaitość przedmiotów, o których pisał. Są dzieła dogmatyczne, filozoficzne, moralne i ascetyczne. Prowadził długą polemikę z Jansenistami, występował przeciw Febronianom, broniąc praw Stolicy św. i dogmatu nieomylności Rzymskiego Papieża, pisał przeciwko Helweciu-

[1] 11 marca 1871 r.

szowi, materyalistom i wszystkim nowatorom XVIII-go wieku. W pismach swych wykłada najwyższe tajemnice wiary. Cały szereg dzieł i rozpraw moralnych obejmuje wszystkie prawa życia chrześcijańskiego i możliwe wypadki kazuistyki. Dziełka Alfonsa ascetyczne do wszystkich stanów, potrzeb ludzkich i stopni życia doskonałego są zastosowane.

A we wszystkich czuć nastrój wyższy, Boży. Alfons nie pisze sucho i zimno, ale słowo jego, choć martwe przekonywa, zagrzewa, porywa. Nauczając czytelnika umie go zająć przedmiotem, przemawia do jego rozumu, oświeca go, ale zarazem i na serce działa. Uczucia, które go napełniały w ekstazach przed krucyfiksem, Najśw. Sakramentem i obrazem N. Panny, płyną z pod jego pióra z tym samym zapałem, łatwością i pełnią. Nietylko pokazuje drogę, ale czytelnika za rękę prowadzi po drodze uświętobliwienia. Widać w nim, jak powiada Rohrbacher, zawsze apostolskiego misyonarza, który aż do 90 roku życia potajemnie i otwarcie, na kazalnicy i w konfesyonale, na misyach i ćwiczeniach duchownych, w ludnych miastach jak i ustronnych chatkach niestrudzenie nad zbawieniem bliźnich pracuje, dzień i noc rozważając czego Bóg i Kościół się domagają od pasterza.

Najpiękniejszą atoli kartę jego życia tworzy walka z Jansenistami. Wyparcie rygoryzmu z teologii moralnej, i wskazanie zasad rozumnych, a w duchu Bożym, wszystkim kierownikom sumień ludzkich, jest bezsprzecznie największą zasługą Alfonsa. Takiego męża wymagało ówczesne położenie Kościoła. W osiemnastym wieku ustały wprawdzie, krwawe walki, które wstrząsały Europą w XVI. i XVII. stuleciu, ale duch protestantyzmu, który je wywołał, pokutował w katolickiem społeczeństwie, dawał znaki życia, odradzał się na nowo. Nic w tem nowego nie było, bo zawsze tak bywało w Kościele św., że ilekroć wyroki Stolicy świętej lub Soboru pogromiły jakąś herezyę i jej wyznawców, zwolenników wykluczyły z Kościoła, duch fałszu na razie chował zawstydzoną głowę, ale nie dawał za wygranę, i nie ustępował, ale po jakimś czasie wskrzeszał tę samą herezyę pod złagodzoną ale subtelniejszą formą, póki go nowe wyroki nie napiętnowały, jako ducha ciemności. Potępiony błąd i nauka Pelagiusza przez Stolicę św. wraca w Kościele zmodyfikowana jako Semipelagianizm. Wyklęty na efeskiem koncilium

Nestoryanizm odżył na nowo pod postacią monotelizmu i adoptionizmu. Tak było i w osiemnastym wieku. Protestantyzm porażony i wyrzucony został z Kościoła ze swymi adherentami przez Sobór Trydencki, ale duch jego miał jeszcze długo pozostać i niepokoić Kościół, wprawdzie nie otwarcie, ale skrycie. Owszem nigdy może pod tak uludną i ponętną nie wystąpił postacią duch fałszu jak wówczas.

Tą kameolonową postacią protestantyzmu w XVIII. wieku był właśnie Jansenizm, czyli nauka, którą biskup z Ypern Korneliusz Janseniusz osnuł na pismach św. Augustyna. Powodem do tego była nienawiść ku Jezuitom, którzy mu odmówili przyjęcia do zakonu. Przystał do zwolenników Bajusa, z których jeden Jakób Jansen, wyzyskując jego żal ku zakonowi, podniecił bardziej jego niechęć, przedstawiając mu Jezuitów jako wrogów nauki św. Augustyna o łasce i dlatego radził mu, że najlepiej pomści się na nich, gdy poświęciwszy się zbadaniu tejże nauki, wznowi ją w Kościele. Owocem dwudziestoletnich badań było dzieło *Augustinus sive doctrina S. Augustini.* System swój Janseniusz na tych głównie oparł zasadach: sprawiedliwość jest dziełem łaski, która ze strony Boga jest tak wolnym darem, że nie jest udziałem ani wszystkich ludzi ani każdego czasu, a przytem do tego stopnia wysłużyć jej sobie nie można, że nawet krew Chrystusowa nie mogła nam jej wyjednać. Kiedy łaską daną zostanie człowiekowi, która go pobudza do zbawiennego czynu, człowiek nie jest w stanie jej odrzucić i działa pod jej wpływem nie zmuszony wprawdzie, ale zawsze przynaglony oną słodyczą duchowną, która z niej płynie przygłuszając wszelką ziemską uciechę. Łaską wsparty człowiek pełni przykazania Boże, bez niej niezdolen nic dobrego uczynić i są chwile, w których i dla sprawiedliwego niemożliwem jest wykonanie przykazań Bożych. Łaska zawsze działa z nieprzepartą siłą i zawsze wychodzi zwycięsko. Wyrażenie, że Bóg chce, aby wszyscy byli zbawieni, rozumie się nie o wszystkich jednostkach, ale o wszystkich społecznościach, o zbiorowych masach żydów, pogan, niewolników, wolnych, dorosłych, dzieci i t. p., ze wszystkich tych klas niektórzy będą zbawieni, a mianowicie przeznaczeni, tylko za tych Chrystus umarł.

Co do Kościoła, ten jest wprawdzie najwyższą powagą dla

Janseniusza, jego sakramenty źródłami łask, ale w dziedzinie moralności wymaga on większej surowości i ścisłości, ogranicza przyjmowanie komunii św., a wreszcie każe odmawiać rozgrzeszenia każdemu, co czyni pokutę z bojaźni kar piekielnych. Pozornie Jansenizm domagał się naprawy obyczajów, wskrzeszał i promowował pierwotną świętość życia w Kościele, ale w gruncie rzeczy krył fałsz tylko i obłudę. Wobec takiego pojęcia łaski i stosunku jej do woli człowieka, gdzież wolność i poczytalność czynów ludzkich? Słodycz duchowa płynąca z łaski lub przeciwna jej zmysłowa rozkosz, to dwa motory, którym wola oprzeć się nie jest w stanie, i tylko przewaga jednego lub drugiego czynnika decyduje i skłania człowieka do czynu moralnego lub występnego. Czemże się różni takie pojęcie wolności od nauki Lutra: *De servo arbitrio*. Grunt w obu ten sam, tylko frazesy inne. Jansenizm w tej mierze nie był jak tylko echem wiernem protestantyzmu.

I w istocie pod przewodnictwem St. Cyrana i Antoniego Arnaulda najbardziej Janseniuszowi oddanych uczniów, wytworzyła się u nich największa obłuda, która rozpoczęła się we Francyi a z czasem poczęła ogarniać sąsiednie kraje Hollandyę i Belgię. Wyroki Kościoła nie wiele pomagały, Jansenizm obchodził je przez sztuczne dystynkcye i usuwał się z pod jego władzy. A choć zewnętrznie postępował, jakby mu zależało coś na związku z Kościołem, to w rzeczy samej uważał Stolicę św. za zupełnie niekompetentną w kwestyach dogmatycznych.

Pod tą kłamliwą a zwodniczą maską świętości, Jansenizm nie tylko obałamucił wiele rodzin katolickich, ale zaraził wielką część duchowieństwa francuskiego nawet z najwyższej kościelnej hierarchii i przedarł się nawet do teologii tak dogmatycznej, jak i moralnej do tego stopnia, że surowość jansenistowska stała się zwyczajem, prawem, „modą“, jak to nieraz św. Alfons w swych pismach uważa.

W teologii moralnej najniebezpieczniejszą była ta zaraza. Ta bowiem surowość jansenistowska grała rolę gorliwca o chwałę Bożą, przedstawiała się jako środek prowadzący najpewniej do doskonałości i zbawienia dusz. Na dwa wrogie obozy podzielili się moraliści. Z jednej strony rygoryzm lub trochę umiarkowańsi probabiliorzyści o różnych odcieniach. Ci przesiąknięci Jansenizmem, stali przeważnie za prawem, nawet w przypadku wątpliwym, czy ist-

nieje i czy obowiązuje człowieka; utrudniali przystępowanie do św. sakramentów; nie udzielali rozgrzeszenia tylko po długiej i ciężkiej pokucie, i wprowadzali do religii naszej zimny i sztywny formalizm protestantyzmem tchnący. Z drugiej strony stali probabiliści, których zasadą było łagodniejsze postępowanie i w razie wątpliwem istnienia prawa obrona wolności człowieka, jeśli tylko znajdą się racye po temu. Ale i w tym obozie nie brakło różności zdań i przekonań i stopniowania graniczącego z laxyzmem.

Nie myślimy tu rozbierać pojedyńczych zasad obu stron. Rzeczy to subtelne, nie przystępne dla ogółu, należące do wykładów uniwersyteckich, a bodaj czy dla wszystkich teologów dosyć jasne. Ale mimo to, cała ta kwestya była najwyższej doniosłości i niezmiernego wpływu na uobyczajenie ludzi. Chodziło tu o kierownictwo dusz, których rygoryzm mógł zniechęcić do praktyk religijnych i odstręczyć zupełnie od życia duchownego. Ale niemniejsze niebezpieczeństwo groziło, ze zbytniej pobłażliwości i wytyczenia nadto obszernych granic wolności, obawa była słuszna, że nastąpi rozluźnienie sumień i sprowadzi z czasem zupełną samowolę i rozpasanie obyczajów.

Na jednej i drugiej stronie nie brakło ludzi dobrej wiary, co z całem przekonaniem o słuszności swej sprawy bronili swych zasad. Ale przy polemice, mieszała się jak zwykle i namiętność u wielu, która jednych i drugich zaślepiała i nie dozwalała ocenić nieraz słusznych zarzutów strony przeciwnej. Oto co pisze św. Alfons w tej mierze: „Ci przeciwnicy probabilistów sądzą, że zasta„wiają się o chwałę Bożą i nie chcą tego spostrzedz, że bronią swo„ich zdań i swojej powagi i o to walcząc pomiatają probabilistami, „jakby nikt nie mógł być świętym, kto się ich surowości nie ima „i nie dręczy dusz aż do rozpaczy, albo przynajmniej do umęcze„nia“ [1]. Walka na pióra nie wolniała, ale stawała coraz bardziej zaciętą — a tymczasem ginęły dusze krwią Chrystusową odkupione!

Wśród tego ścierania się dwóch przeciwnych prądów, w tej niepewności rozlicznych zdań, opinij i zasad, od umiarkowanych aż do najskrajniejszych, występuje Alfons na arenę bojową, jako mąż

---

[1] P. Karl Dilgskronn Leben des h. Al. Liguori. Regensburg 1887 II. Band. S. 180.

opatrznościowy. Bóg, który swą obecność przyrzekł Kościołowi, ale który zarazem ludźmi przez ludzi kieruje, obrał go sobie za narzędzie do pouczenia świata. Rolą Alfonsowi od Boga przeznaczoną było usunąć wątpliwości, rozjaśnić kwestye zawiłe, i wskazać wszystkim drogę pewną. Alfons zrozumiał swoje posłannictwo i dokonał go w zupełności. Sam Alfons nie w uczuciu pychy, która mu była obcą, ale poczuciu spełnionego zadania wyrzekł w starości: „Wszystkie książki, którem powinien był napisać, pokończyłem [1]". Przez te dzieła swoje stał się on, jak mówi dekret jego wyniesienia na doktorat Kościoła „pochodnią na świeczniku postawioną. „Onto bowiem przez uczone dzieła, a zwłaszcza przez traktaty teologiczno-moralne rozproszył i odegnał ciemności błędów przez niedowiarków i jansenistów szerzone. Nadto wyjaśnił on ciemne „i rozwiązał wątpliwe kwestye, gdyż wśród zawiłych kwestyj tak „rygorystycznych jak i wolniejszych teologów p e w n ą u t o r o w a ł „d r o g ę, którą mogą bez szwanku postępować kierownicy duchowni wyznawców Chrystusowych [2]". Rola i zasługa Alfonsa w teologii moralnej jest podobna jak św. Tomasza w dogmatycznej. Nieomylny w swych wyrokach Kościół przyznaje jego nauce, że jej bezpiecznie zaufać można, że jego system to *tuta via*, którą kroczyć można *inoffenso pede!*

Zadanie jakie miał Alfons do spełnienia, wymagało wielkiej świątobliwości, roztropności i rozumu bystrego. Wstępując w szranki, chcąc bój opanować i zwycięsko go zakończyć, trzeba było zrozumieć taktykę przeciwników, dostrzedz ich słabych stron, stanowczo i wytrwale działać. Jego umysł nie był średniej miary, któremuby mogło zaimponować lada nazwisko głośniejsze, lub dowód subtelnie przeprowadzony. Umiał się on wznieść ponad poziom namiętności, sympatyj, względów ludzkich, sądów, zapatrywań i opinij cudzych. Kwestye, które miał rozstrzygnąć, wchodziły w zakres praw, pierwotny jego zawód jako akwokata, znajomość jurydyki, której się z całą miłością oddawał z młodu, miały mu ułatwić to zadanie. Ale zanim dla siebie i dla innych utorował pewną drogę, musiał

---

[1] Vie de S. Alphonse de Liguori par le P. Henri Saintrain pag. 272.
[2] Decretum urbis et orbis d. 11 Mart. 1871 r.

sam wiele walk wnętrznych przejść, mnogie lata pracy naukowej i rozważaniu poświęcić.

Ciekawy to zewszech miar ten proces, jaki się w duszy jego toczył, zanim się przechylił do probabilizmu. Autorem pierwszego dzieła teologicznego, jakie się do jego rąk dostało, był Franciszek Genet zwolennik surowości. Alfons przestyudowawszy je, przez czas dłuższy, jak sam wyznał, podzielał te zapatrywania. Ale dalsze rozczytywanie się w dziełach przeciwnej strony, argumenty jasne, jakiemi się posługiwali, znacznie większa liczba przeciwników, a nadewszystko praktyka misyjna, zachwiały go w przekonaniach. Walka w duszy Alfonsa powstała. Delikatne jego sumienie, najżywsze pragnienie, by w najmniejszej rzeczy woli Bożej nie gwałcono, skłaniały go raczej do surowszego obozu, którego szkodliwość atoli coraz mu była widoczniejsza, z drugiej strony wybryki w obozie probabilistów, laxyzm u nich się pojawiający, zniechęcały go do probabilizmu, w którym coraz jaśniej poznawał, że jedynie prawdę znaleźć można.

Alfons nie działał dorywczo, ale porównywał oba systemy, ważył dowody, zastanawiał się przedewszystkiem nad ich zastosowaniem i doniosłością w ratowaniu dusz. Jedno i drugie stronnictwo miało w swem łonie powagi naukowe, wydawało dzieła, rozprawy. Alfons mimo nawału prac misyjnych wszystko to czytał, egzaminował, i zaczął się skłaniać do probabilizmu. Przełom w duszy Alfonsa dokonał się, a jakkolwiek zdecydował się, wątpliwości nie ustały i stanowisko, jakie zajął, napawało go wnętrzną trwogą. Tu się najlepiej uwidocznia opatrznościowe posłannictwo Alfonsa. Stanowisko moralisty potrzebuje pewnej szerokości umysłu, wolności ducha i zrozumienia natury ludzkiej w jej obecnym stanie upadku, gdyż nie wszystko da się ścisłą dyalektyką z etycznych prawideł wyprowadzić i udowodnić, jako nakazane kodeksem naturalnym lub pozytywnym. Obok tego postępowanie Boga względem ludzi acz sprawiedliwe, to jednak litości pełne i nader przewłoczne. Chrystus Pan chciał, by w Kościele Jego kwitł ten sam duch łagodności i miłości cierpliwej nawet dla upadłych, którego on dawał wzór najświetniejszy przez całe swe życie, aż do ostatniego tchu swego na krzyżu.

Temu wręcz przeciwny był rygoryzm i pokrewne mu kierunki zwiące się tutioryzmem i probabilioryzmem, słowem cała „moda“

jansenistowska. Pogromcą ich a łagodności apostołem miał być Alfons. Ale, aby nie przypuszczano kiedyś, że nauka ta była u niego wypływem przestronnego sumienia, dopuścił Pan Bóg, że właśnie ten sam Alfons z natury pochopnym był do surowości, sam przez czas dłuższy należał do przeciwnego obozu, względem siebie był mężem najwyższej abnegacyi i nader pokutniczego życia i tylko wśród walki wnętrznej skłaniał się do probabilizmu.

Najlepiej stan jego duszy odkryła choroba, w którą popadł w r. 1756 w Nocerze. Było to około Wielkanocy, w tydzień wielki niemoc wzmogła się do tyla, że śmiercią grozić poczęła, do której się Alfons spokojnie i ochotnie gotował. „O jak pięknie, powtarzał „do braci swych, umierać we wielkim tygodniu. Niczego się nie „lękam, jedno mnie tylko zatrważa, żem poszedł za probabilizmem". I niepokój jego na tę myśl wzrastał coraz bardziej, tak, że się raz poraz odzywał: „Umierałbym z największą bojaźnią z powodu pro- „babilizmu". Ale to była ostatnia pokusa, dopust Boży, chwilowe zaciemnienie wielkiego umysłu. Pocieszony i uspokojony od spowiednika, powróciwszy do zdrowia nie cofnął się z raz obranego stanowiska. Jasność sprawy, siła argumentów, przekonały go, że surowość dobra dla siebie, a łagodność dla innych.

Kiedy wydawał pierwsze swoje dzieło moralne, które osnuł na książce Busenbauma T. J., widocznie już wtedy odstąpił od pierwotnych przekonań. Druga jego „Rozprawa scholastyczno-mo- „ralna dla umiarkowanego użytku opinii probabilistycznej w starciu „się z probabiliorystyczną" była już rękawicą rzuconą dawnemu obozowi, a następne stanowczą obroną łagodniejszego postępowania. Korzyść, jaką odniósł z wnętrznej walki, była ta, że się nie rzucił bezwzględnie w objęcia probabilizmu, ale zaczął budować „swój system", który za daleko idącemu probabilizmowi przeciwstawiał.

Zrazu wprawdzie nauka jego głównie była zwróconą przeciw rygoryzmowi, o ile jednak w początkach zmiany swoich przekonań łagodne postępowanie surowemu przeciwstawiał, o tyle później łącząc jedno z drugiem, ujął w swym systemie tak łagodność, że widną w niej była dbałość o chwałę Bożą, obok wyrozumiałości roztropnej a koniecznej dla słabości ludzkiej. Była to pośrednia droga, jego system — *tuta via!*

Jak zaś w zdaniach swoich nie kierował się i nie wiązał względami przyjaźni, szacunku najlepiej pokazał stosunek z Jezuitami. Nadeń nie miało Towarzystwo Jezusowe serdeczniejszego zwolennika i wielbiciela. Losy zakonu tego obchodziły go nadewszystko. Kiedy mu doniósł O. Matteis o wypędzeniu Jezuitów z Portugalii, odpisał mu Alfons: „W ciągłym smutku zostaję z powodu wiado„mości, jakiem otrzymał z Portugalii. Niektórzy bardzo się cieszyli „z tego co się stało, alem ja nie inaczej przyjął wieść o tym cio„sie, jak gdyby on w moje Zgromadzenie ugodził". Bystrem okiem dojrzał, że prześladowanie, które się podniosło przeciw Towarzystwu, miało na oku głównie porażkę Kościoła. „Janseniści, „odezwał się jednego razu, i wszyscy nowatorzy chcą Jezuitów ze „świata wypędzić, aby Kościół obronnego taranu pozbawić. Bo jak „braknie Jezuitów, nie łatwo się ktoś znajdzie, coby ich fałszom „czoło stawiał. Jezuici mają śmiałe pióra i poczytują sobie za „zaszczyt pokonanie takich wrogów. Jak Jezuici upadną, wtedy po„padnie Papież i Kościół we większe jeszcze kłopoty". Wiele podobnych świadectw z jego listów możnaby przytoczyć, które pokazywały, jak przywiązanym, pełnym uwielbienia był dla Towarzystwa. A jednak przyjaźń ta bynajmniej nie wpływała na jego zdania naukowe. Z listu jego, który pisał do Remondiniego w roku 1761 najlepiej się to pokazuje: „Co się tyczy niektórych zasad, o któ„rych mi piszesz, wiedz, że niektórzy probabiliści uważają mnie za „rygorystę, ponieważ w istocie nie wszystkie ich zapatrywania „pochwalam, i niektóre opinie jezuickiej szkoły odrzuciłem".

Stanowcze wystąpienie Alfonsa, który zyskał sobie już imię i powagę w świecie, nie mogło się obejść bez napaści. Alfons był na to przygotowany. „Kto o moralności pisze, mówi w liście do „Remondiniego, choćby usiłował jak najbardziej znaleść średnią „drogę, musi mieć przeciwników". Wiedział, że się posypią pociski, może nie przeczuwał, że będą tak ostre, w każdym razie nie miał ustąpić, bo czuł, że prawda po jego stronie. Niedługo czekał na zaczepkę.

Po ukazaniu się niebawem jego większego dzieła moralnego, jakiś zwolennik jansenistowski pod przybranem nazwiskiem *Lamindo Pritanio redivivo* wystąpił przeciw dziełu Alfonsa, ganiąc obrane stanowisko. Przeciwnik tak był przekonany o swej słuszności, że

w gniewie swym nie uważał na granice przyzwoitości, ale odezwał się do Alfonsa. „Na mocy prawa, jakie posiadasz będąc przełożo-„nym, absolutnie i na zawsze rozkaż swoim, by tę twoją teologię „wyrzucili ze serca, z rąk a nawet ze swej celi“.

Z większą daleko gwałtownością uderzył nań, kiedy Alfons był już biskupem, znakomity i uczony teolog O. Wincenty Patucci dominikanin. Przedmiotem zaczepki była rozprawa z 1762 r., w której Alfons broni zasad łagodności przeciw rygoryzmowi, z należnem jednak ograniczeniem probabilizmu. W liście, który wedle wyznania samego Alfonsa był „mieszaniną pochwał, rad, napomnień, wyrzutów i gróźb“ objawia Patucci najprzód swoje zdziwienie, jak się może pogodzić tak świątobliwe życie, jakie biskup św. Agaty prowadzi, z tak zgubną nauką, wzywa go, by szedł za zdrową nauką Ewangelii i Ojców Kościoła, a porzucił probabilizm. Dowodzi mu, że zasady probabiliorystów są pewniejsze, lepiej udowodnione, przyjęte ogólnie od biskupów, spowiedników i uczonych. Wmawia w końcu w niego, że on nie z przekonania, ale tylko z przychylności dla jezuitów idzie za probabilizmem, ale niech się namyśli, że kiedyś za swój system probabilistyczny zda surowy rachunek w godzinę śmierci.

Ze zwykłą pokorą ale i stanowczością odpisał Alfons, nawiązując do zdziwienia, jakie budziło w Pattuccim życie świątobliwe z niezdrową nauką: „Ja, odpowiada, czuję, że się przeciwnie dzieje. „Mam to przekonanie, że życie moje nie jest ani dobre, ani przy-„kładne, ale pełne grzechów. Przeciwnie zaś co do swego systemu „twierdzę, że mój system probalistyczny zupełnie jest dobry i pewny“. A zbijając poszczególnie zarzuty Patuccego, kończy odpowiedzią na groźby: że jego system, zdaje mu się „tak prawdziwy, że nie ma „się czego lękać z tego powodu na sądzie Bożym, że owszem miałby „daleko więcej przyczyn lękać się potępienia, gdyby wbrew swemu „sumieniu przyjął system współczesnych probabiliorystów [1]“.

Ledwo się w druku ukazała odpowiedź Alfonsa, aż w trop za nią Patucci wydał rozprawę p. t. *La causa del probabilismo*... w której z taką zaciekłością przeciw świętemu wystąpił, że użył w końcu

[1] Risposta apologetica ad una lettera d' un religioso, circa l' uso dell' opinione egualmente probabile.

wyrazów, które w najwyższym stopniu uwłaczały powadze tak wysoko szanowanego biskupa. „Zadziwia, wyrzekł Alfons, kto sposób „pisania tego zakonnika rozważy, jak on raz szydzi, to znowu pou„cza, to lży, a odpowiada zawsze z powagą mistrza a pogardą „przeciwnika. Mój Boże, cóż to za sposób pisania, jeśli się prze„ciwnika stara pokonać przez szyderstwo i zniewagi!“. Na odpowiedź spokojną a gruntowną Alfonsa nie pozostał dłużnym Pattucci, a kiedy Alfons nową odpowiedź gotował, zwolennicy Patuccego niebo i ziemię poruszali, żeby książka Alfonsa nie uzyskała królewskiego placetum. „Do czegośmy doszli, skarżył się Alfons w liś„cie do swego nakładcy, że mi nie dadzą się nawet bronić. O. Pa„tucci może przeciw mnie pisać, może obrzucać zniewagami, a ja „nie mam swoich zasad bronić“.

Lecz nie tylko przeciwnicy Alfonsa powstawali przeciw niemu, ale nawet przyjaźni mu. I tak w liście do jednego z przyjaciół w Neapolu pisze Alfons o O. Calderera oratoryaninie, z którym w wielkiej przyjaźni zostawał: „Opowiem ci coś pociesznego. Słyszałem, „że mój O. Calderera opłakuje mnie w Neapolu jako zgubionego, „że nie trzymam się surowych zasad. Biedny stary, lamentuje „O. Calderera, będzie potępiony za swój system. Prawda biedny „jestem dla swoich grzechów, ale dla swego systemu z pewnością „nie będę potępiony, bo go uważam za pewny i w swojej dyecezyi „odmawiam juryzdykcyi każdemu kapłanowi, co się rygoryzmem kie„ruje, który uważam za bezwzględnie fałszywy i za przeciwny zba„wieniu biednych dusz“ [1]. Że nie był to upór płynący z przeświadczenia o swoich zdolnościach, albo wstręt przed rzekomem upokorzeniem z wyznania swego błędu, najlepiej przekonywa *Elenchus 99 quaestionum reformatarum*, który jeszcze w r. 1748 dołączył do swego dziełka *Prattica del Confessore*. Było to odwołanie i sprostowanie wielu zdań, które utrzymywał w pierwszem wydaniu swej teologii. Przyjaciołom jego nie podobało się to bardzo, wyrzucali mu to zanadto szczere wyznanie, mówiąc że mógł to w sposób nie tak w oczy bijący uczynić, że mu to ujmie wziętości i powagi. Na te i tym podobne uwagi, „niech sobie o mnie mówią, co się komu po„doba, mawiał Alfons, przecież nie szukam swojej chwały, ale zba-

[1] Dilgskronn Leben des h. A. Liguori II. B. S. 180.

„wienia dusz i chwały Bożej“. W głośnym sporze z Patuccim, który się przez cztery lata ciągnął, na ostatnią jego replikę nie dał odpowiedzi, „całą, pisze do Remondiniego, przyczytałem, ale to „czcza tylko gadanina. Biedny Pattuci, jak mi donoszą, czuje się „pokonanym i dlatego, nie mając zniskąd ratunku, czepia się fraze- „sów. Moje dzieło, o ile mi się zdaje, odbiera uznanie od uczo- „nych. Zresztą mnie na niczem nie zależy, ale jedynie i wyłącznie „na tem, aby prawda na jaw wyszła“.

Do tej duszy Bogu jedynie i dobru bliźnich oddanej, inna pobudka nie miała przystępu, jak tylko to czynić i tego nauczać, co cześć Bożą pomnożyć, a ludzi lepiej poratować może. Zrozumiał, że Chrystus Pan pragnie, by Kościół szedł Jego torem i nie nakładał jarzma praw tam, gdzie go Bóg nie nałożył. „Jakto, pyta „w jednym z listów Alfons, czyż nauka Chrystusowa żąda, aby „wszyscy ludzie byli obowiązani trzymać się zdań ściśle moralnie „pewniejszych. Gdzie i w jakiej ewangelii uczył tego Chrystus. „Jakiż to obłęd do dziś dnia wielu usidlił? Przystępując do partyi „rygorystów, sądzą, że okazują gorliwość o chwałę Bożą, ale nie „pamiętają, że jak Bóg z jednej strony chce, aby nakazane rzeczy „były jak najdokładniej spełnione, tak przeciwnie nie chce i zaka- „zuje, aby do rzeczy nie ujętych ściśle prawem, pod grzechem lu- „dzi zobowiązywano“.

W tem to przeświadczeniu o słuszności swej sprawy stał Alfons na stanowisku probabilistycznem. Cieszyły go pochwały, jakie odbierał od uczonych. I tak z radością donosił swemu nakładcy: „Jezuici publicznie pochwalili moje dzieło“. Cenił zwłaszcza zdanie O. Zaccarii T. J. jako uczonego teologa, któremu manuskrypty do druku przeznaczone kazał posyłać do przeczytania, chciwie dopytując Remondiniego, jakie ma zdanie O. Zaccaria, a kiedy tenże wyraził mu listownie swoje zadowolenie, wyznaje się Alfons uszczęśliwionym i zaszczyconym jego listem. Więcej jeszcze sprawiały mu pociechy uznania jego dziełom udzielane po kilkakroć przez papieży. Ale ta radość, jaką z powodu podobnych pochwał okazywał, nie płynęła z próżności, ale cieszyła go o tyle, o ile czuł się przez to bardziej zapewnionym, że istotnie prawdę odnalazł.

Zdrowa a jasna nauka Alfonsa, wytrwała obrona łagodniejszego systemu, odniosły wreszcie pożądany skutek. Jeszcze za życia

doczekał się dziewięciu wydań swej teologii moralnej. Z radością patrzał święty na tryumf prawdy nad długo rozpanoszonym fałszem. „W Neapolu, pisze w jednym z swych listów Alfons, żadne dzieło „moralne nie ma takiego pokupu jak moje, choć *nullus propheta „est acceptus in sua patria*“. Po innych krajach, jak mu donoszono, zarówno brała górę jego nauka nad modą jansenistowską.

W sam czas zakończyła się walka. Nastawały złe czasy dla Kościoła. Posiew Voltaire'a, D'Alemberta, Diderota i innych encyklopedystów wschodził w Europie bujnym plonem, a celem jego było: wyrugowanie Boga z powierzchni ziemi, otrząśnienie społeczeństwa z krępujących go więzów wszelkiej zwierzchności, wyzwolenie człowieka zpod odwiecznych praw etycznych, jednem słowem skruszenie tronów i ołtarzy. Trzeba było *unitis viribus* zwrócić ostrze nauki, i całą gorliwość przeciw nowej hydrze godzącej na podwaliny Kościoła i społeczeństwa.

X. Zdzisław Bartkiewicz.

TAJNE TOWARZYSTWA WŁOSKIE

W PIERWSZEJ POŁOWIE XIX. WIEKU.

(Dokończenie).

Ruchy karbonaryuszów w r. 1817. — Ostrzeżenie kardynała Consalviego. — Rewolucye w r. 1820 i 1821. — Rozkład karbonaryzmu włoskiego. — Józef Mazzini. — Różnica między karbonaryzmem a związkiem *Giovine Italia*. — Organizacya i dążności ostatniego związku. — Ruchy przezeń wywołane. — Młoda Europa. — Stowarzyszenie Musoliniego. — *Unità italiana*. — Stan umysłów we Włoszech.

Wszystkie te sekty pracowały nad przygotowaniem rewolucyi. Już w r. 1817, kiedy państwo kościelne trapiła drożyzna, a Pius VII. ciężko chorował, karbonaryusze, porozumiawszy się z komitetem Gwelfów w Bolonii, postanowili wywołać powstanie, na którego czele mieli stanąć hr. Cezar Gallo d'Arpino, w. mistrz wenty w Macerata, i Pepis, kupiec z Ankony; atoli po wyzdrowieniu papieża sami naczelnicy went wstrzymali wybuch, podczas gdy żandarmi papiescy zdusili niewczesną ruchawkę w Macerata (24 lipca 1817 r.). Pięciu z pośród uwięzionych skazał trybunał rzymski na śmierć, ale Pius VII. złagodził ten wyrok. Wówczas to, po ogłoszeniu aktów procesu[1], ostrzegł baczny kardynał Consalvi księcia Metternicha przed grożącem niebezpieczeństwem.

„Żywioły składające towarzystwa tajne — tak pisał w liście z 4 stycznia 1818 r. — a mianowicie te, kióre tworzą jądro karbonaryzmu, są jeszcze w rozprószeniu i nie dobrze ukształtowane,

---

[1] Wydrukowano je w r. 1818 p. t. *Ristretto del processo informativo.*

jakoby *in ovo;* żyjemy jednak w czasach tak sprzyjających spiskom i tak przeciwnych poczuciu obowiązków, że najprostsza okoliczność może łatwo sprowadzić straszną agregacyę tych luźnych związków. Wasza Książęca Mość raczył mi oświadczyć w ostatnim swoim liście, że może zanadto niepokoję się pewnemi wstrząśnieniami, które po burzy tak gwałtownej są nieuniknione. Oby moje przeczucie było czczem urojeniem; co do mnie, nie mogę łudzić się długo tak okrutnemi nadziejami. O ile dowiaduję się zewsząd i sam czytam w księdze przyszłości, jestem tego przekonania, — a książę przyzna mi później słuszność — że rewolucya zmieniła swój pochód i swoją taktykę. Przestanie ona już uderzać z bronią w ręku na trony i ołtarze, a zadowolni się raczej podminowaniem tychże za pomocą nieustannych potwarzy, — będzie siać nienawiść i nieufność między rządzącymi i rządzonymi, — zohydzi jednych, żaląc się nad drugimi. Poczem pewnego dnia monarchie, co wieki przetrwały, opuszczone przez swoich obrońców, staną się pastwą garstki intrygantów, pochodzących z motłochu, na których pierw nikt nawet nie wejrzał...

Włosi mają niejako wrodzoną potrzebę konspirowania, nie należy tedy pozwolić na rozwój tej złej skłonności, inaczej w niedługim czasie będą książęta zmuszeni uciec się do surowych środków. Wtenczas krew lub więzienie wzniesie między nimi i poddanym mur rozdwojenia, a tak podążymy do przepaści, której dziś przy okruszynie roztropności możnaby z łatwością uniknąć“ [1].

Słowa Consalviego były proroctwem. Już przed r. 1820 karbonaryusze tak wzrośli w siłę, że król Ferdynand I. nie widział innego środka, jak przy pomocy ministra policyi, księcia Canosa, przeciwstawić im związek „kotlarzy“ *(Calderari),* do którego weszły resztki sanfedystów, by jak twierdzi Reuchlin, na pierwsze hasło wyprawić karbonaryuszom noc św. Bartłomieja. Wkrótce jednak minister Canosa na żądanie posłów austryackiego i rosyjskiego otrzymał dymisyę, a związek kotlarzy upadł. Natomiast karbonaryusze, na wieść o wybuchu rewolucyi w Hiszpanii, postanowili zmusić króla do zaprowadzenia konstytucyi hiszpańskiej z r. 1812. „Batalion święty“ w Noli, z porucznikiem Morellim i księdzem

[1] Crétineau-Joly *L'église.* etc. T. II. p. 68—70.

Minichinim na czele, podniósł pierwszy chorągiew buntu; a kiedy jen. Wilhelm Pepe, który był właśnie wprowadził do karbonaryzmu karność wojskową, z dwoma pułkami przeszedł na stronę rokoszan, zwycięstwo tychże było zapewnione. Jakoż nietylko książęta krwi musieli ukazać się ludowi w szarfach karbonarskich, ale sam król zaprzysiągł 13 lipca 1820 r. konstytucyę, a 1 października otworzył parlament, który nowy statut wypracował. Natomiast nie powiodły się ruchawki w Benewencie (5 lipca) i w Sycylii (14 lipca).

Wśród tych wypadków karbonaryzm w całym kraju przerażająco się szerzył, tak, że historyk neapolitański Coletta naliczył członków 642.000, a La Farina w swojej *Storia d' Italia* więcej niż 800.000[1]. Lękając się nowej burzy, zwołał ks. Metternich kongres monarchów najprzód do Opawy, a następnie do Lublany (stycznia 1821 r.), gdzie w obecności króla neapolitańskiego Ferdynanda I., zapadła uchwała, że wojsko austryackie, a w razie potrzeby także i rosyjskie, wkroczy do Neapolu w celu przywrócenia porządku. Rzeczywiście jen. Frimont przeszedł Po, a pobiwszy jen. Pepe pod Rieto (7 marca 1821 r.), zajął Neapol (23 marca), gdzie surowa nastąpiła reakcya.

Ruchy neapolitańskie oddziałały na Piemont, podminowany również przez towarzystwa tajne. Sam ks. Karol Albert, z bocznej linii Carignan, domniemany następca tronu, wpisał się do wenty i konspirował przeciw Austryi, za co spiskowi chcieli go postawić na czele, jako przyszłego króla „wyższych Włoch". Ale Karol Albert w chwili stanowczej wyjawił wszystko królowi Wiktorowi Emanuelowi I., w skutek czego karbonaryusze postanowili czekać. Mimo to w Aleksandryi, gdzie wielu było sprzysiężonych, utworzono prowizoryczną juntę, proklamowano konstytucyę hiszpańską i wezwano naród do broni, „w imię królestwa włoskiego". Podobne sceny powtórzyły się w Turynie (17 mar.), czem zastraszony król abdykował na rzecz brata swego Karola Feliksa. Nowy rozruch w Turynie zmusił Karola Alberta, jako tymczasowego regenta, do przyjęcia konstytucyi hiszpańskiej; wnet jednak wojska królewskie i austryackie, pobiwszy rokoszan pod Nowarą (8 kwiet.), zajęły Turyn i Aleksandryę, co położyło koniec rewolucyi. Wielu karbo-

[1] Nawet kobiety, pod nazwą „ogrodniczek", tworzyły osobne wenty.

naryuszów, z hr. Santarosa jako przewódzcą, wyemigrowało za granicę[1], w Lombardyi zaś czterdziestu patryotów, między nimi znany Silvio Pellico, dostało się do więzień.

Do pokonania karbonaryuszów przyczynił się głównie ks. Metternich, jużto wysłaniem siły zbrojnej, jużto swoim memoryałem, podanym w r. 1822 Aleksandrowi I., który przedtem wielce ulegał wpływom masoneryi. Oto jak w nim charakteryzuje karbonaryzm: „Instytucya ta, utworzona pośród narodu mało jeszcze ucywilizowanego ale za to namiętnego, ma też cechę narodową; mianowicie Włoch z południowej części półwyspu jest prędkim w pomysłach i z równą łatwością takowe wykonywa. Cel jasno wypowiedziany w stopniach wyższych tego towarzystwa, środki proste i dalekie od przesady wolnomularstwa, rządy istotnie zastrzeżone naczelnikom, pewna liczba stopni w celu rozdzielenia jednostek na klasy, sztylet dla ukarania nieposłusznych, niedyskretnych lub wrogów — oto karbonaryzm, z pomiędzy wszystkich sekt najwięcej, jak się zdaje, zbliżony do doskonałości pod względem organizacyi praktycznej“ [2]. Za podmuchem kanclerza austryackiego wszyscy książęta włoscy, osobliwie zaś król neapolitański, wystąpili energicznie przeciw karbonaryuszom, podczas gdy Pius VII. w bulli *Ecclesiam a Jesu Christo* z 18 września 1821 r. rzucił na nich duchowne gromy i wzbronił pod klątwą należenia do ich związku [3].

Klęski poniesione nie zniechęciły jednak karbonaryuszów, lubo spowodowały zmianę taktyki. Przedewszystkiem, po rozwiązaniu wielu went neapolitańskich, obrano państwo kościelne za podstawę działania i wymierzono najsilniejszy atak na Rzym, gdzie znany już Nubius miał główną kwaterę. „Zwracajcie baczne oko na to, co się dzieje w Rzymie“, — tak polecał komitet kierujący w odezwie z 20 października 1821 r. „Zohydzajcie księży wszelkimi środkami;

[1] Sam Karol Albert, chcąc się zrehabilitować, walczył w wojsku francuskiem pod Trocadero (1823) przeciw rewolucyonistom hiszpańskim, i dopiero w r. 1824 wrócił do Turynu.

[2] Czyt. Deschamps *Les sociétés secrètes et la société*. T. III. p. 111 sq. Ks. Metternich uważał wysoką wentę za kontynuacyę illuminizmu, „tego pierwszego stowarzyszenia radykalnego“. (*Mémoires* T. V. p. 368).

[3] Karbonaryusze rozgłosili, że bulle, potępiające masonów, ich się nie tyczą, a po wydaniu bulli „Ecclesiam“, poczęli twierdzić, że Pius VII. uległ naciskowi ze strony Austryi.

dokonajcie tego w centrum katolicyzmu, co my, pojedyńczo lub zbiorowo, czynimy na skrzydłach". Krom tego, na zebraniu wysokiej wenty w mieście Kapua, postanowiono porozumieć się z Wielkim Firmamentem (W. Wschodem) francuskim, a to w tym celu, aby rozszerzyć karbonaryzm we Francyi i zcentralizować władzę nad całym związkiem w ręku jednego komitetu *(Comité-directeur)*, któryby rezydował w Paryżu. W. Firmament przyjął karbonaryuszów do swego związku, poczem członkowie słynnej loży *Amis de la verité* otrzymali polecenie poprawienia statutów karbonaryzmu włoskiego, to jest, oczyszczenia ich z godeł chrześcijańskich. W krótkim czasie, bo już w r. 1821, liczyła „Charbonnerie" francuska wiele went, zależących od wysokiej wenty *(Haute Vente)* w Paryżu; a w tymże samym roku utworzył się tamże komitet pod nazwą: *Alliance cosmopolite*, mający urządzać rewolucye po całej Europie, do którego weszli: Lafayette, Benjamin Constant, jen. Lamarque, Manguin, Dupont dę l'Eure, Franciszek Saffi, Galiano, Mina, Ciro Menotti, Filip Buonarotti, Klaud. Linati, Piotr Mirri i t. p. [1].

Co do dalszych planów, podzielił się karbonaryzm włoski na dwa stronnictwa. Jedno chciało za pomocą gwałtownych środków zniszczyć wszelką religię, obalić trony i przez zaprowadzenie republiki uniwersalnej utorować drogę socyalizmowi. Drugie kusiło się okiełznąć niesforny radykalizm, narzucić mu wędzidło rządów konstytucyjnych i okuć przez nie Kościół w kajdany, a przez powolną demoralizacyę zabić ducha chrześcijańskiego. Do tego dążyła wysoka wenta włoska, złożona przeważnie z arystokratów, i w tej myśli wydała słynną instrukcyę z r. 1819. Ostrożność zaleciła również odezwa z 20 października 1821. „W walce z nieprzyjacielem — oto jeden jej ustęp — nie możemy naśladować ojców naszych z r. 1793. Nas gniotą prawa, a więcej jeszcze obyczaje, ale z czasem może dojdziemy do celu, którego ojcowie nasi chybili. Brali się oni zbyt nagle do wszystkiego, i dlatego przegrali sprawę"... Lecz ta właśnie polityka wysokiej wenty, jak niemniej zbytnia jej dbałość o swe bezpieczeństwo, wywołała konflikt ze stronnictwem ruchu i sprowadziła rozkład pośród karbonaryzmu; a chociaż wspo-

[1] Por. *Ratazzi et son temps.* Documents inédits. Paris 1881. T. I. p. 46, 71.

mniani wyż koryfeusze, Nubius, Piccolo Tigre, Gaëtano i t. p. nie przestali działać, to zato ubyło wielu i to najgorętszych szeregowców, by zapełnić inny hufiec — t. z. *Giovine Italia* (Młode Włochy). Twórcą tegoż był Józef Mazzini, urodzony w Genui 28 czerwca 1808 r., zmarły w Pizie 10 marca 1872 r. Już w szkołach odznaczał on się świetnym talentem, ale zdradzał przytem dzikość charakteru, połączoną z egoizmem serca i pogardą zasad religijnych. Później jako adwokat zasłynął obroną politycznych winowajców przed kratkami, a demokracyi po dziennikach. Twarz jego blada i wyrazista, oko żywe i badawcze, umysł przenikliwy i skłonny do mistycyzmu, wymowa porywająca i fantastyczna, patryotyzm ognisty, wreszcie wiara fanatyczna w swoją misyę, — wszystko to wywierało jakiś urok tajemniczy, iż go słuchano jakby jakiego wieszcza, a nazywano „prorokiem idei“, albo drugim Mahometem.

Wpisany wcześnie do karbonaryuszów przez Rajmunda Doria, założył wentę w Liwornie, i wraz z demagogiem toskańskim Guerazzim propagował ideę republiki demokratyczno-socyalnej w czasopiśmie *Indicatore livornese*. W r. 1830 musiał uciekać przed pogonią policyi i więzieniem do Marsylii, gdzie przy pomocy Ruffiniego, Ausiglio i La Cecilia począł wydawać dziennik p. t. *Giovine Italia*[1]. W r. 1831 wezwał króla sardyńskiego Karola Alberta, by jako dawny karbonaryusz stanął na czele ruchu włoskiego gwoli wypędzenia cudzoziemców; a kiedy to pismo pozostało bez skutku, utworzył w pierwszych miesiącach następnego roku tajny związek *Giovine Italia*, mający iść innymi torami, aniżeli karbonaryzm.

Rzeczywiście, różnica między jednem a drugiem stowarzyszeniem była znaczna. Pod względem religijnym cechą karbonaryzmu był materyalizm w duchu Voltaire'a, natomiast Giovine Italia miała wyznawać religię swego mistrza, to jest, panteizm z pokostem protestanckim. Wprawdzie Mazzini wspomina często w swoich pismach o Bogu i Chrystusie; atoli Bóg jego jest utworem panteistycznym, „Bogiem wcielającym się w ludzkość“[2], Chrystus zaś jego jest

---

[1] Później wydawał następujące dzienniki: *Precursore* (1837), *Apostolato popolare* (w Londynie 1842), *Italia del popolo* (w Medyolanie 1848).

[2] Mazzini chciał zreformować zbyt zacofane stowarzyszenie karbonaryuszów, ale wysoka wenta nie przyjęła go do swego grona (1837).

tylko filozofem i demokratą. W istocie, mimo ulubionego hasła *Dio e popolo*, był Mazzini ateuszem i nieubłaganym wrogiem religii katolickiej, którą w swem dziele *Italia* nazywa nieprzyjaciółką wolności i postępu, godną jedynie zagłady.

Pod względem politycznym, karbonaryzm liczył wiele na książąt i dążył przedewszystkiem do uzyskania konstytucyi, podczas gdy związek *Giovine Italia* wypowiedział walkę monarchom, a zwróciwszy się do ludu, postanowił jako ideał republikę demokratyczną.

Wyłuszcza to sam statut, napisany przez Mazziniego: „Stowarzyszenie jest ustanowione dla zupełnego zniszczenia wszystkich rządów półwyspu i utworzenia jednego państwa włoskiego z formą republikańską (art. 1). Ze względu na złe skutki rządu absolutnego, i gorsze jeszcze następstwa monarchij konstytucyjnych, winniśmy wszystkie nasze usiłowania skierować do ustanowienia jednej i niepodzielnej republiki“ (art. 2).

Co do organizacyi [1], na czele związku stał komitet centralny *(congrega centrale)*, którego zadaniem było wybierać komitety prowincyonalne na każdą prowincyę *(congrega provinciale)*, wydawać im hasła, przesyłać instrukcye i układać plany ogólne. Komitety prowincyonalne mianowały dla pojedyńczych miast t. zw. kierowników *(ordinatore)*, a przy pomocy tychże wybierały pośród najgorliwszych członków t. zw. krzewicieli *(federati propagatori)*, którzy przyjmowali do sekty adeptów *(federati semplici)* i przedkładali co miesiąc kierownikowi wykaz prac swoich. Krzewiciele mieli znowu pośród członków swoich poufników, a tak przeprowadzoną była najściślejsza centralizacya. Każdy członek *(affratellato)* przybierał sobie jakieś imię wojenne i miał obowiązek postarania się o karabin i 50 nabojów, jeżeli zaś nie był w stanie, zaopatrywał go w broń komitet prowincyonalny. Wszyscy płacili przy wpisie pewną kwotę, której część szła do komitetu centralnego [2], a jako „żołnie-

---

[1] Mazzini wziął wiele z tajnych Towarzystw *Società dei Guelfi* i *Congregazione Cattolica Apostolica Romana*, a odrzucił symboliczne obrzędy karbonaryuszów.

[2] Gaspare de Luise twierdzi, że pieniądze zebrane w r. 1863 dla Polaków obrócił Mazzini na rzecz komitetu centralnego, czyli dla siebie (*La Framassoneria e la Giovine Italia. Roma 1866, p. 279*).

rze niepodległości włoskiej", składali przedtem przysięgę, że całkowicie i na zawsze poświęcą swe siły ukonstytuowaniu Włoch w jeden naród niezależny, wolny, republikański, — że trzymać się będą instrukcyj, wydanych w duchu *Giovine Italia*, — że pomagać będą braciom radą i czynem, a zachowają tajemnicę nienaruszoną. Nieposłuszeństwo lub zdradę karano surowo, bo tak przepisywał statut: „Wszyscy członkowie, którzyby odmówili posłuszeństwa rozkazom stowarzyszenia lub odkryli jego tajemnice, będą bez miłosierdzia zasztyletowani. Taka sama kara czeka zdrajców (art. 30). Trybunał tajny wyda wyrok i naznaczy jednego lub dwóch członków do wykonania tegoż bez zwłoki (art. 31). Członek, nie chcący spełnić wyroku, uważany będzie za krzywoprzysiężcę i jako taki natychmiast zabity (art. 32). Gdyby ofiara, skazana na śmierć, zdołała umknąć, będzie ścigana bez wytchnienia i na każdem miejscu, a winowajca będzie ugodzony ręką niewidzialną, choćby się schronił na łono swej matki, albo do przybytku Chrystusa (art. 33). Każdy trybunał tajny będzie kompetentny do sądzenia winnych adeptów i skazywania na śmierć tych wszystkich, na których rzuci swą klątwę" (art. 34).

A nie były to czcze pogróżki, jak się można przekonać z następującego faktu. Czterech wychodźców włoskich, a członków związku, nazwiskiem Emiliani, Scuriatti, Lazzoneschi i Andriani, oświadczyło się przeciw użyciu sztyletu dla sprawy narodowej. Natychmiast zebrał się w Marsylii trybunał tajny, z Mazzinim jako prezydentem i La Cecilia jako sekretarzem na czele, i skazał dwóch (Emilianiego i Scuriattiego) na śmierć, dwóch zaś na rózgi, a po powrocie do kraju na galery. Kilka dni potem Emiliani, idąc ulicą miasta Rhodez, został przez sześciu ziomków napadnięty i ciężko poraniony; udało mu się jednak ocalić życie, podczas gdy sprawców pochwycono i więzieniem ukarano. Emiliani, lubo jeszcze schorzały, był sam w izbie sądowej, a po wydaniu wyroku wstąpił do pobliskiej kawiarni; lecz zaledwie usiadł, aliści zbliża się doń w milczeniu Włoch Gaviali i topi w nim sztylet, poczem obala także jego żonę i Lazzoneschiego, który mu towarzyszył [1].

---

[1] Lucien de la Hodde *Histoire des sociétés secrètes*. Por. Ed. Łubieński *Guerres et révol. d'Ital.* p. 41.

Teroryzmem, wymową i pismami potrafił Mazzini zwerbować niemało młodzieży, bo starszych ponad 40 lat nie przyjmował; gdy jednak przyszło do czynu, okazał się nieudolnym. Już w r. 1833 odkryto sprzysiężenie w Sardynii, w skutek czego z pośród 67 uwięzionych poszło dwunastu na rusztowanie [1]. W roku następnym powziął Mazzini szaloną myśl wywołania rewolucyi w Sabaudyi; jakoż jen. Ramorino, ten sam co w r. 1831 dowodził korpusem w Polsce, na czele garstki Włochów, Francuzów i emigrantów polskich przeszedł granicę, zdążając do Annecy (2 lutego 1834 r.); kiedy jednak oddział wojska zaszedł mu drogę, a lud się nie ruszył, musiał uciekać z niesławą. Równoczesny napad na miasto Chambéry i sparaliżowane powstanie w Genui pomnożyły liczbę więźniów i wygnańców; jednym z tychże był Józef Garibaldi, kapitan marynarki królewskiej i członek sekty pod imieniem „Borel“ [2]. Nie zraziło to Mazziniego, trzymającego się tej zasady, że im więcej ofiar, tem pewniejsza nadzieja wygranej; owszem, 15 kwietnia 1834 r. założył w Bernie związek p. t. „Młoda Europa“ *(Giovine Europa)*, mający potrójną gałąź, to jest, „Młode Niemcy“, „Młodą Polskę“ i „Młodą Szwajcaryę“ [3]. Pomagali mu w tej sprawie Louis Blanc, Ledru-Rollin i inni pionierowie rewolucyi, z których dwaj, Nast i Stromayer, zginęli wkrótce na rozkaz mistrza [4].

Główną uwagę zwrócił Mazzini na państwo kościelne, i już w r. 1837, gdy cholera grasowała w Rzymie, chciał tamże przez Angelo Brunetti'ego wywołać zaburzenie, ale policya uniemożebniła takowe [5]. Opuszczenie Ankony przez Francuzów w r. 1838 i polityczne zawikłania w r. 1840 dodały odwagi spiskowym, a emisaryusze ich przelatywali kraj, zapowiadając bliską walkę. W r. 1843 i 1844 Mazzini, bogaty w pomysły, ukuł z Mikołajem Fabrizim

---

[1] Do wygnanych z kraju należał wówczas X. Winc. Gioberti.

[2] Umknął do Ameryki południowej.

[3] „Młoda Germania“ rzuciła nasiona, które zeszły w r. 1848; „Młoda Szwajcarya“, pod nazwą „Związku w Grütli“ przygotowała walkę przeciw katolikom w r. 1847 (Por. Deschamps l. c T. II, p. 272).

[4] Na rozkaz Mazziniego sprzysiężeni Volonteri i Borel, a później Ant. Gallenga mieli zgładzić Karola Alberta; ale zamachy te nie udały się, a dwaj pierwsi zostali straceni w Turynie.

[5] Por. *La rivoluzione romana.* L. I. Cap. 3.

i hr. Józefem Ricciardim aż cztery plany, w celu wywołania rewolucyi w całych Włoszech pod wodzą jenerała Pepe; ale skończyło się na nieznacznych zaburzeniach, wszczętych przez lekarza Muratori i oficera Ribotti w Romanii, które wojsko papieskie z łatwością zdusiło. Nie udały się również ruchy braci Bandiera w Kalabryi (1844), ani Józefa Galetti, Piotra Beltrami i Piotra Renzi w Bolonii i Rimini. (1845) [1]. Kardynał Spinola wystąpił surowo przeciw rokoszanom, lubo nie karał ich gardłem, jak to miało miejsce w Neapolu i Piemoncie. Niektórzy, a między nimi Karol Farini, otrzymali paszport, innym dopomógł do ucieczki na ziemię francuską zbyt słaby rząd toskański. Wówczas to wydany został słynny „manifest z Rimini“, dosyć umiarkowany co do formy, ale wrogi Stolicy św. co do treści, bo powołując się na memorandum z r. 1831, przedstawia w jaskrawem świetle prawdziwe lub urojone niedostatki rządów papieskich. Manifest ten, dzieło Fariniego, znalazł w Anglii i Francyi, zwłaszcza w organie Guizota *(Débats)*, wiarę i poklask [2].

Zbrojne ruchawki dlatego nie odnosiły skutku, że były źle obmyślane i że nie miały poparcia u warstw niższych; lud bowiem był przywiązany do religii i papieża, czego dowiódł jawnie podczas wycieczki Grzegorza XVI. do Loretu, Anagni i Terraciny (1843). Otóż sekty tajemne postanowiły rozszerzyć sieć swoją, iżby nią objąć także klasy niższe. Mianowicie pracowało w tym kierunku stowarzyszenie, zaszczepione na pniu „Młodej Italii“ przez Benedykta Musoliniego, neapolitańczyka, którego ostatecznym celem było wypędzić nietylko Austryaków i papieża z Włoch, ale także Francuzów z Korsyki, Anglików z Malty, i utworzyć jedną wielką republikę militarną. Naczelnikiem tegoż był dyktator, rezydujący w Rzymie; pod nim dziesięciu konsulów rządziło dziesięciu okręgami włoskimi; każdej prowincyi przewodził pułkownik, każdemu

---

[1] Galetti, w porozumieniu się z Montecchim w Rzymie, Melenghinim, Guerazzim i Montanellim w Toskanie, wezwał do wymordowania urzędników i do rokoszu, mając za hasło: „Wolność, porządek, jedność;“ ale ujęty przez władzę papieską, dostał się do więzienia, skąd go 17 lipca 1846 wydobył Pius IX., by go później wynieść do godności ministra i doświadczyć z jego strony haniebnej zdrady.

[2] Hergenröther *Der Kirchenstaat* i t. d.

municypium kapitan, a każdy z tych oficerów miał przy boku kwestora albo skarbnika, także oficera. Dyktator i konsulowie wysyłali tak zwanych „apostołów“, czyli komisarzy, dla urządzania spraw sekty. Posłuszeństwo było ślepe; przysięgę składano dotykając się trupiej głowy albo puginału. Wtajemniczeni, dla których wydano *catechismo della setta,* mieli uczyć się robić bronią i zbierać nowych członków, ale w największym sekrecie, iż jeden nie znał nazwiska drugiego. Członkowie dzielili się na dwa stopnie, z których niższy nosił nazwę *Figliuoli della Giovine Italia* (Synowie Młodych Włoch = F. D. G. I.), a wyższy *Padri della Missione Suprema* (Ojcowie misyi najwyższej = P. D. M. S.). Synowie M. W. byli to żołnierze, mający chorągiew czarną z białą trupią głową i z napisem: *Unità, libertà, indipendenza.* Rekrutowali się oni z klas niższych i tworzyli bandy powstańcze. Ojcowie m. n. należeli do klasy ludzi wykształconych i wpływowych, jak n. p. adwokaci, profesorowie, urzędnicy; oni to podkopywali rządy i tajemnie kierowali ruchem, poczem występowali na scenę jako rząd rewolucyjny [1].

Innem stowarzyszeniem, które wyszło z *Giovine Italia,* była t. z. *Unità italiana,* mająca również za zadanie „wyswobodzenie Włoch zpod tyranii książąt i panowania obcego“. Obejmowała ona: kółka czyli zjednoczenia gminne, liczące co najwięcej 40 członków, dalej kółka powiatowe, kółka prowincyonalne, kółka generalne, wreszcie wielką radę. Każde kółko miało zarząd, składający się z prezydenta, z rady i z kwestora; między członkami zaś taka była hierarchia, że pierwszy stopień tworzyli członkowie zjednoczeni *(uniti),* drugi członkowie jednoczący *(unitari),* to jest, prezydenci i radcy kółek, trzeci członkowie wielkiej rady, i ci tylko znali ostateczne cele towarzystwa. Obowiązkiem wszystkich było ślepe posłuszeństwo i bezwzględne milczenie [2]. Krom tego istniały związki pomniejsze, jak n. p. *Figli di Bruto* i t. z. *Bucatori,* którzy długiemi igłami mordowali skazane na śmierć ofiary. Siedzibą jednych i drugich było Liworno.

[1] Luigi Settembrini. *Ricordanze della mia vita.* T. I. VIII.

[2] Jules Gondon. *La terreur dans le royaume de Naples.* — Łubieński, *Guerres* etc., p. 36 sq. Przy pomocy tychże sekt mógł Piemont wywołać rewolucyę w r. 1859 i 1860.

Do rozbudzenia zapału dla sprawy narodowej, służyły jużto kongresy naukowe, odbywane od r. 1839 z inicyatywy arcyrewolucyonisty Karola Lucyana Bonaparte księcia Canino [1], jużto pisma patryotyczne, nietylko takich radykałów, jak Mazzini, Ricciardi, Guerazzi, Foscolo i t. p., ale także umiarkowanych, jak n. p. X. Winc. Giobertego *(Del primato morale e civile degli Italiani.* 1843), Cezara hr. Balbo *(Speranze d' Italia 1843)*, Massimo d' Azeglio *(Proposta d'un programma per l'opinione nazionale italiana)* i t. p. Ponieważ katolicyzm był główną zaporą rewolucyi, przeto nietylko stowarzyszenia tajne zohydzały Kościół i religię, ale nadto towarzystwo biblijne londyńskie i nowo-yorskie *Philoitalian-society*, rozrzucały po Włoszech mnóstwo biblij protestanckich i odezw podburzających; słowem, niewiara i demoralizacya toczyły się pełnem korytem do kraju, podczas gdy tamy ochronne były, niestety, zbyt słabe.

Duchowieństwo tak czujne w wieku reformacyi, ostygło w gorliwości i zaniedbało się w naukach; do tego garstkę niebacznych złowiły sekty, bo wszakże sam spowiednik Ferdynanda II., mons. Cocle, arcybiskup z Patras, należał był do karbonaryuszów [2]. Szlachta w znacznej części popadła w gnuśność, a mieszkając po miastach, traciła na życie hulaszcze pieniądze, jakie lud biedny i ciemny składał za drobne dzierzawy [3]. Siewcy idei przewrotu mieli wśród niej łatwe zadanie, jak niemniej wśród profesorów i adwokatów, marzących ciągle o zjednoczeniu Włoch i nienawidzących rządu papieskiego, przedewszystkiem za to, że wyższe urzędy powierzał tylko duchownym. Wreszcie niżsi urzędnicy ulegali zbyt łatwo pokusie złota, wojsko zaś podszeptom spiskowych. Nic więc dziwnego, że

---

[1] Pierwszy kongres odbył się r. 1839 w Pizie, drugi r. 1840 w Turynie, trzeci r. 1841 we Florencyi, czwarty r. 1842 w Padwie, piąty r. 1843 w Lucce, szósty r. 1844 w Medyolanie, siódmy r. 1845 w Neapolu, ósmy r. 1846 w Genui, dziewiąty r. 1847 w Wenecyi, a tu już odkryto maskę, bo ks. Canino, żegnając się z uczestnikami zjazdu, wyrzekł: „Odprawiliśmy nowennę, a na drugi rok uroczystość". (Mencacci *Memorie documentate.* Vol. I. p. I. 24).

[2] Deschamps l. c. T. III. p. 161. W Rzymie samym kilku prałatów, jak n. p. Foscoli, Calcagnini, Monticelli, stało się zgorszeniem dla ludu.

[3] Jestto smutnym objawem, że we Włoszech niema niezależnego i zamożnego stanu włościańskiego, ni szlachty wiejskiej, wskutek czego rej wodzi mieszczaństwo i patrycyat, mieszkający po miastach.

złe żywioły brały górę i skupiały się do bliskich zapasów. Wyznał to z demoniczną radością, acz nie bez pewnej obawy, znany nam już karbonaryusz Gaëtano. „W przeciągu kilku lat — tak pisze on w liście do Nubiusa (23 stycznia 1844 roku)[1] — zrobiliśmy znaczny postęp co do naszej sprawy; rozprzężenie społeczne panuje wszędzie, na północy jak na południu, w sercach szlachty, jak w umysłach księży. Wszystko zniżyło się do poziomu, jaki chcemy nadać rodzajowi ludzkiemu... Są namiętności nienasycalne, jakich się nie domyślałem, — są żądze nieznane i nienawiści dzikie, wrzące naokoło nas i pod nami... W wielu rzeczach posunęliśmy się zanadto daleko do kresu. Odebraliśmy ludowi wszystkie bogi nieba i ziemi, jakim składał hołdy. Wyrwaliśmy z jego serca wiarę religijną, przekonania monarchiczne, uczciwość, cnoty rodzinne, a teraz słysząc dochodzący zdala głuchy jego ryk, drżemy z trwogi, bo ten potwór może nas pożreć[2]... Podobnie pisze żyd Piccolo Tigre do Nubiusa (5 stycznia 1846 r.): „Podróż po Europie, jaką właśnie ukończyłem, była równie szczęśliwą, jak pełną owoców, a nadzieje nasze ziściły się. Teraz nic nam nie pozostaje, jak przyłożyć rękę do rozwiązania komedyi. Wszędzie znalazłem umysły nader skłonne do egzaltacyi; wszyscy czują, że świat stary trzeszczy i że dla królów wybiła ostatnia godzina“[3]... Rok 1848 dowiódł, że nie były to czcze przechwałki.

Ks. Dr. Józef Pelczar.

---

[1] Czyt. Deschamps. l. c. T. II, p. 275 sq.

[2] W tym samym liście zapowiada Gaëtano, że może przyjdzie dzień, kiedy Mazzini stanie na Kapitolu jako tryumfator. Rzeczywiście w r. 1849 karbonaryzm upadł, podczas gdy mazzinizm i Giovine Italia odniosły chwilowy tryumf.

[3] W tymże liście nazywa Piccolo Tigre Nubiusa Dawidem, który ma pokonać „Goliata papieskiego“, i zapowiada podróż do Bolonii, by przygotować Legacye do bliskiej rewolucyi. (Por. Deschamps l. c.)

ARTYSTA CHRZEŚCIJAŃSKI

FRYDERYK OVERBECK.

Nawiązując pojedyńcze wizerunki w pewną jednolitą całość ciąg uzupełniający się wzajemnie, *Przegląd* nasz od lat kilku próbuje wskazywać swym czytelnikom wijącą się w różnych kierunkach myśl Bożą, ideały chrześcijańskie, urzeczywistniające się w najrozmaitszych życia powołaniach i zawodach, słowem postacie mężne i dzielne, które na drogach życia, spółczesnym i potomnym służyć powinny za słupy wytyczne, promieniejące cnotą, zasługą i przykładem, a stanowiące same przez się żywy komentarz do nauki ewangelicznej. Ostatni taki wizerunek przedstawił nam chrześcijańskiego męża stanu, rządzącego wedle praw i przykazań Bożych krajem, którego został sternikiem. Czytelnicy nasi z pewnością nie zapomnieli pociągającego obrazu życia i działalności don Gabryela Garcia Moreno, prezydenta Rzpltej Ekwatoru[1]. Ale nietylko rządząc ludźmi można ich podnosić i wieść do Boga po chrześcijańskich życia torach: są i inne środki kierowania wolą ludzką, przemawiania do serc, zdobywania dusz, uszlachetnienia duchów.

Piękno zawsze wiedzie do prawdy, do dobrego i lepszego, a sztuka, w prawdziwem zrozumieniu swego posłannictwa, stanowi jedną z najsilniejszych dźwigni unoszących ku wyżynom. Niestety! za chłodnych i szarych dni naszych, zatracono niemal powszechnie i poczucie prawdziwego piękna, i zrozumienie jego misyi na ziemi. Niema już bodaj prometeuszów, którzyby dla ożywienia swych two-

[1] *Przegląd powszechny.* Kwiecień 1886.

rów, do nieba po iskrę nieśmiertelną się wdzierali. Dzisiejsi artyści coraz się bardziej oddalają od pobożnego typu owych włoskich mistrzów, którzy wiarą przenikali niebiosa, modlitwą uchylali zasłony odwiecznego piękna, i w zachwycie miłości, na klęczkach odtwarzali święte postacie. Sztuka im była kapłaństwem, nie rzemiosłem, zakonem, nie zabawą, powołaniem, nie karyerą. Wiek nasz ostudzony i wyziębiony, nie zna już świętych zapałów, które ongi całe uskrzydlały pokolenia. Atoli znajdą się zawsze i za dni naszych serca wybrane, w których jak w przybytku i relikwiarzu, przechowuje się iskra Boża, wybucha płomieniem tem piękniejszym niemal i światlejszym, — że wyjątkowo przedzierającym szary pomrok epoki. I oto pragniemy z obszernego dzieła i wyczerpującej biografii Fryderyka Overbecka, wysnuć dla czytelników naszych wizerunek artysty chrześcijańskiego, zabłąkanego w niechrześcijański okres sztuki, wysnuwającej się dziś ze skrzydeł wiary i podniosłych ideałów, aby staczać się po pochyłościach realizmu i niewiary. *Habent sua fata libelli*, a nawet i drobniejsze prace miewają swoją historyę. Pod koniec minionego roku, wyczytawszy w angielskich i niemieckich czasopismach wiadomość, iż kilkoletnia praca p. Małgorzaty Howitt, oparta na papierach i korrespondencyi Frydryka Overbecka, odnowiciela malarstwa chrześcijańskiego w bieżącem stuleciu ukończoną nareszcie została, i ma się ukazać jednocześnie w angielskim oryginale i niemieckim przekładzie, udaliśmy się do londyńskich księgarni, z żądaniem szybkiego nadesłania pierwowzoru angielskiego. Tymczasem nadeszła zawodna odpowiedź, iż z powodów od autorki niezawisłych, wydanie niemieckie wyprzedziło ukazanie się angielskiego, i że dłuższa zwłoka nastąpić może w wydrukowaniu tego ostatniego. W zbytniej bodaj śmiałości, a w myśli opracowania przedmiotu dla *Przeglądu*, zgłosiliśmy się naówczas wprost do autorki, miss Margaret Howitt, znanej rodakom naszym zimującym w Meranie, przedstawiając jej nasz zamiar, a pytając zarazem o losy jej obszernego dzieła. Odpowiedź przeszła oczekiwania, przynosząc obietnicę udzielenia nam angielskiego rękopisu. Oto w jakich słowach miss Howitt tłómaczyła zniewalające ją do tej uczynności pobudki: „Przywiązanie moje i głębokie współczucie dla waszego szlachetnego i nieszczęśliwego kraju, połączone z gorącą miłością dla katolickiej wiary — duchowego skarbu, którego

zdobycie zawdzięczam mej pracy nad Overbeckiem — wszystko to razem wzięte, zobowiązuje mnie do przychylnej odpowiedzi, na tak rzewne odwołanie się do mnie".

Niniejsza tedy praca znalazła odrazu wszelkie zachęty i ułatwienia, a z odpowiedzi p. Howitt zaczerpnęła i bodźca. Jeśli zbadanie życia Overbecka, pełnią światła prawdy oblała duszę młodej angielki, odbicie nakreślonego przez nią wizerunku, echo jej obszernej pracy, może podobną rodzajnością będzie ubłogosławionem! Z tą nadzieją i z tą otuchą rozpoczynamy streszczenie olbrzymiej zaiste biografii, która w niemieckiem wydaniu wypełniła dwa duże tomy noszące tytuł przydłuższy: *Friedrich Overbeck. Sein Leben und Schaffen.* Nach seinen Briefen und anderen Documenten geschildert von Margaret Howitt. Herausgegeben von Franz Binder. Freiburg in Breisgau 1886.

Nowoczesna naukowość próbuje w coraz węższe ramy zacieśnić nadprzyrodzony rozwój ducha ludzkiego, wszystko po swojemu tłómacząc dotykalnemi i doczesnemi czynnikami, atawizmem, wpływem warunków bytu, okoliczności i otoczenia. Data i miejsce urodzenia Frydryka Overbecka zaprzeczają owej teoryi: naśladownik brata Angelico di Fiesole, odnowiciel sztuki chrześcijańskiej, apostoł piękna, urodził się w r. 1789, na parę dni przed wzięciem Bastylii, w kupieckiem mieście hanzeatyckiem północnych Niemiec, Lubece. Odgłosy krwawej francuskiej rewolucyi, wrzawa wojenna, ustawiczne przeciąganie armii sprzymierzonych, oto wrażenia, jakie chłopczyna odebrał w kolebce, i jakie przez całą niemal młodość splatać się dlań miały z zabawami i zajęciami dziecięcego wieku. Handlowa stolica żadną poezyą, żadnymi ideałami nie rozmarzała swych mieszkańców. Słowem, ani epoka, ani miejscowość, wpłynąć nie mogły na ukształtowanie ducha, mającego odnaleść zagubione szlaki chrześcijańskiej sztuki.

Czego atoli brakło na zewnątrz, odnaleść mógł przy własnem ognisku. Szczęśliwy, komu danem wzrastać wśród licznej i miłującej się rodziny! nie tylko serdeczne stąd płynie ukrzepienie i pożytek, lecz i wielorakie korzyści wspólnego życia, pracy i nadziei. Zauważano słusznie, iż prawie wszyscy wielcy święci i wielcy ludzie z licznych pochodzili rodzin, wśród licznego wzrośli rodzeństwa. I w tem jeszcze znaczeniu przejawia się błogosławieństwo Boże do

mnogiego przywiązane potomstwa. Frydryk Overbeck trzech miał braci i trzy siostry. Światły ojciec i bogobojna matka rządzili tym małym światkiem, dbając przedewszystkiem o chrześcijańskie podstawy wychowania, a następnie i o odpowiednią młodemu wiekowi swobodę i wesołość. Nic nie zaciemniało pogody cichego domowego przybytku Overbecków, ani troski publiczne, ani echa walących się tronów i grożących przełomów. Senator Overbeck, acz piastował najwyższe w rodzinnem mieście godności, bo był z kolei burmistrzem Lubeki, prezesem sądu, posłem do Napoleona i t. p., rozumiał dobrze, iż tyle szczęścia w życiu, ile go się zaznało w rodzicielskim domu. Promieniejące stamtąd ciepłe wspomnienia wystarczają, aby ozłocić mroczące się później coraz więcej życie. Śliczny się stąd wywiązał obraz rodzinnego gniazda Overbecków, z tą konieczną przymieszką poezyi, sztuki i podniosłych ideałów, bez których, dla dusz pewnej miary, niema szczęścia, nawet w dzieciństwie. Senator Overbeck, lecz z powołania prawnik, kochał się w klasycznej starożytności, lubował w greckiej i rzymskiej spuściznie słowa i myśli, a jeśli z jednej strony dbał o wysokie humanistyczne wykształcenie synów, to z drugiej hołdował sam muzom, bądź w przekładach udatnych, bądź w oryginalnych piosnkach, które dzieci jego z osobnem nuciły upodobaniem. Od poezyi do muzyki blisko. Otóż cały dom Overbecków, z wyjątkiem matki, która sama jedna nie uczestnicząc w rodzinnych koncertach, przysłuchiwała im się z najżywszem wzruszeniem, na wskróś był muzykalnym. Frydryk po ojcu odziedziczył głos dźwięczny i rzewny, grał z uczuciem na klawikordzie, a i na wiolonczelli i na gitarze potrafił towarzyszyć domowym koncertowym próbom. Uprawiano równie i kościelną i świecką muzykę, porywano się i na kwarteta i na kwinteta nawet. Nie przesadzimy twierdząc, iż muzyka w rodzinnem życiu stanowi jeden z najściślejszych łączników, że wraz z głosami, zlewającemi się w jedność zgodnego chóru, i serca wzajemnie się dostrajają, dusze lepiej do siebie przystają, głębiej się rozumieją, a zwłaszcza kochają goręcej. Kochano się też serdecznie w kółku rodzinnem późniejszego malarza: bracia siostrom za najbliższych służyli przyjaciół, siostry nie sprzeniewierzały się swemu domowemu posłannictwu w stosunku do braci, wywierając na nich cichy, łagodny, uszlachetniający wpływ niewieści.

Mały Frydryk czuł się tedy szczęśliwym i swobodnym pod okiem rodziców. Atoli już się w nim raz po raz odzywało przyrodzone artystyczne marzycielstwo. Tu zaś dziwny, zaiste opatrznościowy rys z dziecinnych lat jego przywieść należy. Ilekroć napadały go podobne nieokreślone tęsknoty za czemś lepszem, wyższem, piękniejszem, biegł do ustronnej katolickiej kapliczki, i tam godzinami w niemym zachwycie pozostawał przed obrazem Najświętszej Panny, ślubując sobie w sercu, iż gdy wyrośnie, spróbuje podobny wymalować. Rzecz dziwna; w takich chwilach nie nęciły go starożytne świątynie Lubeki, nie śpieszył do Tumu, słynącego arcydziełem Hansa Memlinga, którego wpływu krytycy dopatrywali się w późniejszym chrześcijańskim malarzu. Pamiętać nadto trzeba, iż przemagającem w Lubece wyznaniem był luteranizm. Rodzice Fryderyka nie mieli żadnego pojęcia o katolickiej prawdzie, żadnych z katolikami, bardzo wówczas uciśnionymi, stosunków. Jakim sposobem owa kapliczka istniała? jakim cudem synek dygnitarza miejskiego dowiedział się o niej i potrafił do niej trafić? Drugie pytanie pozostałoby bez odpowiedzi, gdyby nie wiara w drogi Boże, wiodąca nieraz od kolebki ku jednemu celowi. Na pierwsze, otrzymujemy pełne rzewnego znaczenia wyjaśnienie. Lubeka jedynem jest miastem północy, gdzie się katolickie nabożeństwo nigdy nie przerwało. Gdy reformacya zagarnęła piękne świątynie katolickie, służba Boża odprawiała się prywatnie w domach francuskiego i austryackiego konsula. Dwaj Jezuici stale w Lubece przebywali. Pod koniec XVII. wieku, zanieśli prośbę do protestanckiego księcia biskupa z Eutin, o upoważnienie ich do odprawiania nabożeństwa w katedralnym wikaryacie, co im po wielu targach przyznano, za opłatą mniej więcej 29 marek, pod warunkiem, że kaplica w środku domu urządzoną będzie, że kazalnica ustawioną zostanie ku dziedzińcowi, tak aby żadne słowo z ulicy usłyszanem być nie mogło. Przez 180 lat to ustronne miejsce służyło tedy za parafię rozprószonym w tych stronach katolikom. Dopiero w r. 1873 zakupiono nowy grunt pod kościołek katolicki, a dziwnem zrządzeniem Opatrzności, grunt ten niegdyś do Overbecków należał. Obraz który może wzniecił w chłopcu pierwszą pobożną iskrę genialnego natchnienia, przedstawiał Betleemską szopkę, a w niej przenajświętszą rodzinę, Maryę z dzieciątkiem, obok których stał św. Józef. Arty-

stycznej wartości podobno nie było tam wiele, ale chrześcijańskiego uczucia, udzielającego się widzowi, bardzo dużo. Owe godziny skupienia małego Fryderyka bodaj czy nie zamieniały się w modlitwę, i to modlitwę do tej Matki przedziwnej, która mu wyprosiła zarazem i zrozumienie piękna, i zrozumienie prawdy...

Folgując wrodzonej skłonności, chłopczyk do innych nauk przyłączył wkrótce i lekcye rysunku. Charakterystycznym zaiste rysem epoki jest pierwszy utwór dziecięcego ołówka. Próbą tą była... armata, jak przystało owym gromonośnym czasom. Prawda, że nauczycielem rysunku był wysłużony artylerzysta. Do klasycznych studyów przyłączyły się ćwiczenia w językach nowoczesnych, mianowicie francuskim, potrzebniejszym jak kiedykolwiek i upowszechnionym powtarzającemi się inwazyami wojsk francuskich. Że zaś czasy były ciężkie, stosunki materyalne smutne, bieda ogólna, wybór wczesny zawodu stawał się i obowiązkiem, i koniecznością. Kilkunastoletni Fryderyk, badany o własne powołanie, odparł bez wahania, że chce być malarzem. Ojciec zrazu niechętnie przyjął to oświadczenie. Lękał się mierności w sztuce, jeśliby geniuszu zabrakło, a wiedział, że sztuka nie zawsze chleb powszedni zapewnia; wszak, patrzał sam z bliska na złamane nadzieje i zwichnięte talenta. Gdy jednak syn trwał przy swojem i nie chciał od zamiaru odstąpić, pozwolono mu uczęszczać do pracowni malarza Perona w Lubece.

Była to chwila niepomyślna dla sztuki w Niemczech: zacofany rodzaj, zwany *Kopfthum*, przeważnie panował, dzierżąc berło mody i maniery oddalającej coraz bardziej malarzy od prawdy i przyrody, prowadzącej na manowce konwencyonalnej pospolitości. Podczas gdy artyści krępowali się ciasnemi formułkami, gust amatorów i gminu ograniczał się na portretach familijnych. W tem też kierunku zaczął pracować nasz Overbeck, gdy szczęściem nowy do Lubeki przybysz, nowe, szersze przed nim otworzył światy. Był nim młody Kestner, syn wsławionej miłością Goethego, Charlotty Buff; późniejszy autor rzymskich studyów, *Römische Studien*, który w cichy hanzeatycki zakątek wniósł pęk włoskich promieni, nietylko odbitych w własnych opowiadaniach, lecz i w rysunkach starych mistrzów jak: Giotto, Masanio, Simone Memnie. Wrażenie stąd odebrane, wstrząsnęły młodym Overbeckiem, i rozczarowały go co

do metody dotychczasowego mistrza. Zapragnął i on skrzydeł wiodących ku wyższym horyzontom wiedzy i sztuki, zatęsknił do samychże ognisk piękna. Ojciec wyrozumiał tę duchową potrzebę syna, mimo rosnących materyalnych trudności: a były one wielkie, zniewalając do oszczędności we wszystkich naraz kierunkach. Niedostatek jaskrawości w kolorycie Overbecka, który pozostał do końca słabszą stroną jego wielkiego talentu, znawcy przypisują nawyknieniom młodości, gdy nawet na wydatek olejnych farb przychodziło się oglądać, i skąpo ich wypadało używać. Mimo jednak kosztów, których się obawiał, senator Overbeck rychło pomyślał o ułatwieniu synowi dalszego artystycznego wykształcenia. „Chciałbym posłać cię do Wiednia, abyś tam przeszedł szkołę sztuki, potem do Paryża, niby na akademię sztuki, a w końcu do Włoch, które za dłuższym pobytem drugą ojczyzną ci się staną". Wciąż ostrzegał syna przed pospolitą miernością, którą zwał grzechem głównym sztukmistrza. W jego pojęciu szlachetnem, prawdziwy artysta winien w sobie zespalać doskonałą techniczną biegłość, klasyczne wykształcenie, nareszcie najwyższą doskonałość charakteru. Marzył o tem, aby w synu doczekać jakoby idealnego połączenia Rafaela i Winkelmanna w jednej osobie. „Byle serce artysty było świątynią i przybytkiem, toć w niem same święte i Boże postacie snuć się będą, a nawet coś niebiańskiego przeświecać nie przestanie i w świeckich jego tworach. Boć szczytem sztuki użycie pędzla ku udoskonaleniu, uszlachetnieniu ludzkości, tak aby każdy pogląd nowszy dzieła wyższego geniuszu, lepszym od nich odchodził".

Ojciec pojmujący w tak doniosły sposób zadania sztuki, najlepszym mógł być kierownikiem dla syna rozpoczynającego zawód artystyczny. W r. 1806 siedmnastoletni młodzian opuścił tedy miasto rodzinne, a nie przeczuwał, że je opuszcza na zawsze; chyba rozdarcie serca przy pożegnaniu zwiastowało niepowrotne rozłączenie. Tyle pewnego, iż żegnającego świat w ostatnią godzinę mniej kosztowała śmierć sama, aniżeli ów wyjazd z domu rodzicielskiego. I przyjaciele składali mu wyrazy żalu i tęsknoty. Tylko że w miejsce nieznanych naonczas fotografij, żegnający się w sztambuchu cząstkę swej duszy zostawiali, ślad myśli, kwiat uczucia, trwalsze od fotografii pamiątki. Ojciec przy pożegnaniu zalecał synowi, aby pozostał Overbeckiem z krwi i kości, nie odstępując nigdy od dzie-

dzicznej prawości i poczciwości przywiązanej do nazwiska. Podobne zobowiązania rodzinne stanowią prawdziwe palladium dla serc młodzieńczych, usnute nie z dumy, lecz szacunku dla uczciwego nazwiska i dobrej sławy ojców i dziadów. Z tą tarczą, z puklerzem zdrowych zasad i zbroją czci dla pięknych ideałów, spokojnie puścili rodzice młodego Overbecka w wir świata dalekiego.

Jak zaś był dalekim, uwydatnia to podróż młodzieńca do Wiednia. Co przygód, co trudności, co kosztów i zachodów! Z Ratyzbony np. do Wiednia, na przestrzeni dziś w kilkanaście godzin koleją przebywanej, jechało się Dunajem, niby dahabią po Nilu, całych dni osiem. Za przybyciem do stolicy Austryi, młody Overbeck odrazu doznał pewnego uczucia oszołomienia: wszystko tu tchnęło spotęgowanem życiem, warem, ogniem, blaskiem i świetnością. Poważna i pomroczna Lubeka nie przygotowała chłopca na wszystkie ponęty, pokusy, ułudy, które na samym wstępie do Wiednia chwytają i olśniewają. Niegdyś, w domu rodzicielskim, Frydryk wraz z starszym bratem zaprzysięgali sobie, iż wyrosną na dobrych ludzi, nie przynoszących wstydu uczciwym rodzicom. Teraz, po pierwszym dniu pobytu w stolicy, znużony i zdumiony młodzian, wieczorem klęknął błagając Boga o pomoc i obronę w tem ognisku lekkomyślności i zepsucia.

Cesarska akademia sztuk pięknych w Wiedniu zewsząd ściągała wówczas uczniów i zażywała pierwszorzędnego rozgłosu. Na czele jej stał malarz historyczny Füger, pokrewny kierunkiem z mistrzem ówczesnej sztuki francuskiej, David'em. Dyrektor akademii zbadawszy próby talentu Overbeck'a zawyrokował, iż mu należy od początku elementarza wznowić studya, i wadliwości rysunku się pozbyć! Ciężko było nagiąć się do surowych wymagań Füger'a; Overbeck bez targu się im poddał, pilnością i pracą jednając sobie życzliwość mistrzów i zdobywając sobie dokładne podstawy sztuki. Cały oddany pracy, żył ustronnie i samotnie, w towarzystwie Biblii, Homera i kilku wybranych kolegów. Homer niejedną osładzał mu godzinę chorobliwego niemal *Heimweh*. Ojciec, stary filolog, radował się tem upodobaniem synowskiem. — „Jakże się cieszę“, odzywał się niebawem listownie, „iż nie zaniedbujesz Homera. Dopierożto w późniejszym wieku rozkoszować w nim będziesz“. Ale burzliwe czasy i studentom nie przebaczały. W razie wojskowego

poboru, nawet obcy poddani musieli stanąć w szeregach; groźba ta i obawa wciąż wisiała nad głowami uczniów akademii sztuk pięknych, zwłaszcza ilekroć wojownicze usposobienie Napoleona nowe wywoływało spory. Był to rok Jeny; z rodzinnej Lubeki słano Frydrykowi opisy wojny i pożogi, gdy po pruskiej przegranej, uciekające niedobitki szwedzkich sprzymierzeńców, a następnie i pułków Blüchera, nie oparły się aż w Hanzeatyckiej stolicy, skąd ich Francuzi niebawem wyparli, strasznych dopuszczając się gwałtów. Nikt życia nie był pewnym. „Cudem opatrzności", donoszono Frydrykowi, „dom nasz oszczędzonym został. Ojciec przebywał w ratuszu, myśmy się podczas bombardowania schronili do piwnicy. Bitwa na ulicach miasta trwała przez dwie godziny, zwycięstwem Francuzów zakończona. Wszyscy nasi krewni i przyjaciele do szczętu zrabowani. Najbogatsi mieszczanie Lubeki dziś żebrakami, a nasz dom nietknięty. Nie jednego tak złupiono, że nie ma w co się odziać, nam ani śpilki nie wzięto. Wielu pobito i poturbowano, nam włos z głowy nie spadł. To niech ci będzie dowodem, jak nas opieka Boża osłoniła, i jak na kolanach dziękować Bogu winniśmy za cudowne zachowanie od wszego złego".

Wieści wojenne płynące z domu zniewalały młodego studenta do coraz skromniejszego życia i większej oszczędności. Zmieniał też ustawicznie mieszkania, szukając coraz to tańszej izdebki. W końcu usadowił się gdzieś aż na Maria-Hilf, bacząc pilnie na wydatki, aby nie ciężyć rodzicom, wśród coraz trudniejszych warunków.

Niebawem bolesny przełom jął się w jego duszy dokonywać. Zimne formułki akademickie, nietylko nie wystarczały mu, lecz nadto studziły jego zapały i wyziębiały samo nawet zamiłowanie dla sztuki. Rozwijała się już w nim indywidualność talentu i kierunku: czuł, iż mu nie wystarczy poklask chwili, przeczuwał bodaj przyszłe swe posłannictwo, które miało w sztukę wlać nowe życie, serca podnieść i dusze ludzkie nastroić ku lepszemu.

W onej chwili moralnego wstrząśnienia poznał się z znacznie starszym od siebie malarzem, uczniem David'a, Eberhardem von Wächter. On to pierwszy wlał w duszę młodego Overbeck'a tęsknotę do Rzymu, miasta, które dla każdego czciciela piękna świętem być winno. Wächter na wzór mistrza swego David'a, rozmiłowany był w starożytności, lecz ją zupełnie inaczej niż on pojmo-

wał. Długi pobyt w Rzymie „jedynem miejscu na świecie, gdzie można spokojnie i szczęśliwie pracować“, ukształtował duszę i talent Wächtera. Został tam katolikiem, ożenił się z Rzymianką, żywioł włoski przemagał w jego domu, rozmowy snuły się o arcydziełach starych mistrzów. Tam też Overbeck zaczął się ćwiczyć w włoskim języku i coraz częściej wzrok obracać ku stolicy chrześcijańskiego świata.

Tymczasem ojciec posłujący do Napoleona, próbował go ściągnąć do Paryża, wzrastającego rabunkiem na stolicę sztuki wszechświata. — „Choć serce się na śmierć krwawi, patrząc na te łupiestwa“, pisze senator Overbeck do syna, „to jednak z kosmopolitycznego punktu widzenia nadarza się sposobność jedyna, aby naraz wszystkie arcydzieła w jednem miejscu poznać i widokiem ich duszę napoić“. Ześrodkowanie w Paryżu najpiękniejszych tworów sztuki, zobowiązywało poniekąd do pielgrzymki ku stolicy Francyi wszystkich miłośników piękna. Mimo wezwania ojca, mimo tylu ponęt, Overbeck prosił, aby mu było wolno przedłużyć pobyt swój w Wiedniu, raczej ku Włochom zwracając w myśli swe kroki. Zaniepokojony tą odmową ojciec, tem pilniej badał syna, ażali czuje w sobie dostatek talentu, aby wytrwać w obranym zawodzie; pytał, jaki kierunek sztuki najlepiej odpowiada jego skłonnościom? Listy Overbecka z tej epoki pozwalają wglądnąć w tajniki jego duszy i zmierzyć ówczesne jego pojęcia o sztuce. Spowiada się ojcu z myśli, z pragnień i dążności swoich. Opisuje np. wieczorną z przyjacielem rozmowę o i d e a l e. Towarzysz przedstawia swój własny ideał, piękny, uroczy lecz ziemski, jasnowłosego dziewczęcia, o jakie w Niemczech nie trudno. Ideał Overbecka całkiem różny, jakiejś niejasnej, uduchownionej, rzekłbyś nadprzyrodzonej istoty, którą nietylko kochać, lecz i do której modlić się trzeba. Wyznaje dalej ojcu, iż świecka historya nie tyle go pociąga, ile biblijne sceny i opowiadania. „Biblię zawsze nad inne przekładałem księgi, zwłaszcza odkąd myśleć i zastanawiać się nauczyłem. Pierwszy obraz, na którego układ się zdobyłem, był chrzest w Jordanie“. Dodaje, iż nie wszystkie ustępy historyi świętej zarówno nęcą jego talent. Nad szersze sceny z mnogiemi uczestnikami, przekłada pojedyńcze postacie, w których można skupić więcej wyrazu i myśli, jaką np. jest postać Joba. Roztropny ojciec wciąż napo-

mina syna, aby nie próbował lotu, dopóki skrzydeł nie poczuje. Syn odpowiada, iż nie zbywa mu na dobrej woli, iż chce wzlatywać coraz dalej i wyżej. Atoli wciąż narzeka na więzy i pęta metody akademickiej. „Niewolnicze akademickie studya do niczego „nie prowadzą. Ćwiczenia w dokładnem oddawaniu fałdów, szkie„letu, perspektywy, nie stworzą malarza. Jednego braknie wszyst„kim nowym obrazom: duszy, serca, uczucia! Gdzież owych niedo„ścigłych szukać świateł? W przyrodzie i w czystem sercu. Młody „malarz winien przedewszystkiem strzedz uczuć swoich, nie dopu„ścić ani myśli nieczystej do serca, ani brudnego słowa do ust „swoich. Jak się przeciw temu obwarować? za pomocą religii i ksiąg „świętych. Kto czyste serce napełni pobożnemi uczuciami, wnet „usłyszy głos wewnętrzny: Teraz już możesz coś z siebie wydać, „teraz nic zbyt niedościgłem dla ciebie nie będzie!... Trochę to „sprzeczne może z twoją ojcze zasadą, iż wszystkiego systematycznie „uczyć się trzeba. Co do siebie sądzę, iż systematyczność kształci „zręcznych i wprawnych, lecz tylko zimnych malarzy. Prawnik „może systematycznie uczyć się prawa, teolog systematycznie histo„ryi kościoła, ale przecież poety nikt systematycznie nie ukształci. „Tak samo rzecz się ma z malarzem. Porównajmy tylko dzieła „Rafaela z akademickiemi produkcyami. Nie jestże to przeciwsta„wienie ciepła do zimna? co u tego z serca, u tych z głowy pły„nie. Drogi ojcze, tyleś mi już dobrodziejstw wyświadczył, uwieńcz „je najwyższem, dozwól iść za sercem, nie każ bitą postępować „drogą, ja tym chłodnym gościńcem chodzić nie potrafię!".

Mimo tych wyznań nie myśli Overbeck opuszczać szkoły, pragnie tylko usamowolnić się pod niektóremi względami. I tak np. stanowczo oświadcza się przeciw studyowaniu anatomii i trupów lub nagich kobiecych modeli. „Choćbym nawet dla tego nieco gorzej miał rysować, wolę to, aniżeli stracić uczucia stanowiące najdroższy skarb artysty".

Ojciec ustąpił synowi i nie wzywał go więcej do Paryża, gdzie Overbeck przez całe życie nigdy postać nie miał. Dla rozwoju jego talentu, bodaj czy nie lepiej się stało, iż nie dostał się pod bezpośredni wpływ mistrzów cesarskiej epoki, o teatralnym i sztucznym nastroju. Nagromadzone arcydzieła, niby zwykłe łupy wojenne, pozostawały w nieładzie. Zanim potrafiono wszystkie te skarby upo-

rządkować, fortuna zmienne od Napoleona odwróciła oblicze, i przyszła kolej na zwrot uwiezionych kosztowności. Tak tedy Overbeck poznał dopiero Apollina Belwederskiego, obraz Przemienienia i inne arcydzieła za ich powrotem do Miasta Wiecznego, w odpowiedniem artystycznem otoczeniu, z którem od wieków się zrosły.

W obecnej chwili, w której ponownie w duszach i rzekłbyś w samemże powietrzu drgają odgłosy zbliżających się przełomów, podziemne odzywają się grzmoty, a raz po raz groźne błyskawice przedzierają gromadzące się chmury, rozumiemy lepiej stan dusz w początkach bieżącego wieku, gdy wszystko naraz waliło się lub groziło upadkiem: „kto przynajmniej domowe posiada szczęście“, pisał senator Overbeck, ten niech Bogu dziękuje. Wszystko dziś zmiecione i zniszczone, niema już ani patryotyzmu, ani kosmopolityzmu, ani niczego zgoła. Żona, dzieci, garstka przyjaciół, oto jedyny świat, poza którym wszystko ciemnością, tylko zagadką, wrzawą; nie mam tu oczywiście na myśli przyrody, wiecznie jednakiej, kojącej i ożywiającej zarazem“.

Ilekroć teraźniejszość się zaciemnia, tyle razy szlachetniejsze umysły cofają się w przeszłość, szukając w niej balsamu i kordyału na bieżące troski. Ten to prąd wywołał w Niemczech zbudzenie się romantycznej szkoły. Heroldem nowego kierunku był przedewszystkiem Fryderyk Schlegel, zaczem się koło niego zgromadziło nie mało prawdziwych talentów, pod hasłami chrześcijańsko-narodowych pojęć i zasad. Overbeck pod wielu względami uległ wpływom nowej szkoły, zwrót do starej sztuki niemieckiej nie pozostawił go obojętnym, powieści rycersko-artystyczne żywo go zajmowały, a nawet lutnia raz poraz zadźwięczała na nótę przemagającego romantyzmu. To wszystko jednak co było sztucznem i niejasnem w pojęciach nie jednego koryfeusza nowej szkoły, szukającego w chrześcijaństwie wyłącznie i jedynie estetycznych wrażeń, a w działaniu i piękności Kościoła upatrującego tylko poetyczną symbolikę, raziło jego z gruntu pobożną duszę, tak samo jak zboczenia rozkiełznanej fantazyi raziły jego ścisłą moralność, przyrodzoną rozwagę i powagę. Przyjmował tedy z romantyzmem to tylko, co było zbudzeniem chrześcijańsko narodowego ducha, odrzucał zaś wszelkie szały i obłąkania nowej szkoły.

Zwrót ku minionym czasom i średniowiecznej spuściznie, dawał się odczuć na każdym kroku. Pamięć związków artystycznych we Włoszech wpłynęła na zawiązanie się w szczupłem kole najbliższych znajomych Overbecka Bractwa św. Łukasza. Już w r. 1808 postanowiła garstka przyjaciół co tydzień zbierać się razem, aby wspólnie zdawać sobie sprawę z zajęć i robót swoich, przyjaznej udzielając sobie nawzajem zachęty lub krytyki. Wybrane to grono czuło jak mało, poza techniką, korzystać mogą z zimnych lekcyi profesorów, którzy świetność kolorytu i wierność stylowi czasu, uważali za szczyt maestryi, nie troszcząc się bynajmniej ani o prawdę ani o przyrodę. Czuli też upadek sztuki, marzyli o podniesieniu jej i pchnięciu na nowe tory. Po roku wspólnych schadzek i przechadzek, postanowili ścieśnić przyjaźń węzłem braterstwa, obrać św. Łukasza patronem nowego związku i wykolejoną sztukę znów na drogę prawdy zawrócić, wyswabadzając ją z pęt maniery akademickiej. Obrazek św. Łukasza w starym stylu służyć miał za godło braci związkowych. Uradzono każdą robotę pod sąd wspólny poddawać. Dowodem uznania i odznaczenia miało być przylepienie rzeczonego obrazku na odwrotnej stronie każdego osądzonego za dobry rysunku czy obrazu. Towarzystwo składało się zrazu z sześciu tylko członków: każdy z nich obrał osobne godło, niekiedy rzewnie dalszem życiem sprawdzone. Malarz Sutter, który miał później zaniewidzieć, przyswoił sobie oko, inny na przedwczesną śmierć skazany, obrał trupią głowę, Overbeck wziął za godło palmę, z dewizą: Szukajcie naprzód królestwa Bożego i sprawiedliwości Jego, a reszta wam będzie przydaną.

Braterstwo ożywiło wieczorne zebrania przyjaciół. Nie same tylko utwory ołówka czy pędzla poddawali pod sąd wzajemny: stawiano kwestye, opracowywano zagadnienia, pisano nieraz całe rozprawy o kwestyach dotyczących sztuki. Mimo zapałów reformatorskich, bracia św. Łukasza nie zerwali z akademią ani profesorami, uczęszczali po dawnemu na kursa, unikali zatargów i rozdziału z mistrzami. Owszem, świadectwo wydane w r. 1809 Overbeckowi, przez dyrektora Kauner'a i znanego w Polsce Lampi'ego, najchwalebniej się o jego pilności wyraża. Bracia związkowi pracowitem i porządnem życiem zdobywali sobie powszechne uznanie, a utwierdzali się wzajemnie w przekonaniu, że tylko czy-

ste serce i sumienie może dosięgnąć ideału piękna i zrozumieć prawdę.

Mordercza bitwa pod Wagram, huk armat, dochodzący przelęknionych mieszkańców stolicy, przerwały te pokojowe zajęcia. Nastąpiły dni parne, ciężkie, niepewne. Po kapitulacyi, Overbeck z najbliższym przyjacielem Pforr'em, widział w Schönbrunn paradę wojskową zwycięzców, podziwiał prostotę i majestat nowego Cezara. Akademia sztuk pięknych została zamkniętą, najprzód dla niepokojów wojennych, później z niedostatku opałowego drzewa; Overbeck już do niej nie powrócił, a mimo słusznych krytyk, wspominał jednak z wdzięcznością w późniejszem życiu okres swych wiedeńskich studyów, którym zawdzięczał pewność ręki i dokładność rysunku.

Nie straconym był też czas pobytu w Wiedniu. Prócz naukowych ćwiczeń, prócz wędrówek po Belwederze, gdzie ukochanym obrazem braci św. Łukasza była św. Justyna Moreta, znalazła się jeszcze sposobność i pora na różne rysunki i obrazki, posyłane rodzinie lub przyjaciołom. Własny portret Overbeck'a uradował w Lubece sędziwą matkę. Anioł budzący św. Józefa z rozkazem uprowadzenia matki z dziecięciem do Egiptu, koił ból siostry zamężnej, przy opróżnionej kolebce pierworodnego dziecka. Atoli głównym plonem tej epoki był pierwszy obraz na większą skalę rozpoczęty, Wskrzeszenie Łazarza. Overbeck zamknął w tych ramach część swego życia i duszy, nazywał też chętnie to dzieło pierworodnem dzieckiem swego geniuszu, wyswabadzającego się z konwencyonalnej rutyny. Obraz tchnął tak pobożną i głęboką myślą, iż znawcy nie chcieli wierzyć, aby był utworem młodzieńca, i odnosili go do pięknej epoki włoskiej sztuki. Każda rozpoczęta lub dokonana robota w opisie czy rzeczywistości szła do Lubeki, wywoływała krytyki lub zachęty rodziny, mianowicie światłego ojca, który to podziwiał, to ganił. Dłuższe rozłączenie nie rozluźniało bynajmniej węzła serdecznego, pewnej tkliwej nawet zależności. Dla przypodobania się matce, narzekającej na niewyraźne pismo syna, Frydryk wyrobił sobie jasną i czytelną rękę. Jeśli nigdy nie pofolgował skłonności do artystycznego nieładu, jeśli przez całe życie przestrzegał porządku niemal pedantycznego wokoło siebie, a prowadził ściśle rachunki dochodów swoich i rozchodów, wszystko to

zawdzięczał matce, jej radom i rozkazom, a raczej bardziej jeszcze własnemu prawdziwie synowskiemu posłuszeństwu.

Wybiła nareszcie upragniona godzina wyjazdu do Włoch. Overbeck w towarzystwie trzech przyjaciół, trzech Łukaszowych braci, puścił się w długą pielgrzymkę na Bruck, Pordenone, Tryest. W Tryeście ujrzał morze, inne jak w Lubece, a jednak witane z jakiemś swojskiem uczuciem przez syna starożytnej Hanzy. Widok Wenecyi i dalsza podróż w kraju, który natura i sztuka na wyścigi uposażyły, wprawiał młodych podróżnych w upojenie; jadąc wolnym *Vetturinem*, nie tracili żadnego z roztaczających się przed nimi wdzięków, o każdym w dzienniczku choć słowem wspomnieli. Zbaczają z pobożnem uznaniem do Urbino, ale wciąż śpieszą ku Rzymowi, a pierwsze wrażenie i wzruszenie, gdy na płaszczyźnie kampanii zoczyli w oddali Miasto Wieczne, upamiętnia się na resztę życia niewygasłem wspomnieniem. 10 czerwca 1810 wjechał Overbeck do Miasta Wiecznego, stolicy Kościoła i sztuki.

Ciężkie to były chwile dla Rzymu. Papież był wygnańcem, skarby muzeów wywiezione, we wszystkiem raziło ogołocenie i niezwykłe warunki epoki. Atoli podróżni, olśnieni Rzymem, nie dostrzegli zmian i braków, odczuli tylko szczytne wrażenie witające u wstępu każdego przybysza.

Zrazu zamieszkali w *Villa Malta*, letniem mieszkaniu dawnych rycerzy maltańskich, na miejscu niegdyś przez ogrody Lukullusa zajmowane. „Z okien moich widzę Panteon, kolumnę Trajana, dalej na wzgórzach wieniec ogrodów i willi. Nasi przyjaciele zamieszkali na piętrze, patrzą na kościół św. Piotra, zamek św. Anioła, Watykan, Kapitol, pagórki Tiwoli i Frascati“.

Pielgrzymi nie odrazu zabrali się do oglądania miasta Wiecznego, odpoczywając nieco po dłuższej podróży, aby z świeżym umysłem przystąpić do podziwiania tylu skarbów. Nastąpiły zachwyty bez końca i miary. Po pierwszem oglądaniu Stanzów i Syxtyny, pisze Overbeck do przyjaciela: „kto tego nie widział, nie wie do czego sztuka dojść może! znasz ryciny, ale najlepszy drzeworyt niczem wobec podobnych obrazów. Patrząc na nie, wpada się w zachwyt podobny temu, który porywał męczennika Stefana, na widok otwartych niebiosów i stojącego po prawicy Bożej Zbawiciela, pełnego łaski i prawdy“. Dalsze listy młodego ma-

larza są jednym przeciągłym hymnem podziwu i radości, jednem Alleluja długobrzmiącem! Szczęście to podwaja się jeszcze, gdy garstka Łukaszowych braci przenosi się do opustoszałego napoleońskiemi dekretami klasztorku św. Izydora. Overbeck, zanim nawet został katolikiem, wszelkie miał poczucia i zrozumienia katolickiego życia. Zdarzają się nieraz i wśród innowierców podobne z urodzenia i przyrodzenia katolickie dusze... Już w Wiedniu, pisał o czystości intencyi tak, jakby mistyk i teolog katolicki mógł pisać. Następnie tęsknił za życiem zakonnem, marzył o zamieszkaniu w jakim ustronnym klasztorku: teraz się jego marzenia spełnić miały. Overbeck zwany był kapelanem, Pforr, ulubiony jego przyjaciel, mistrzem Łukaszowej kolonii, rządzącej się bratniej miłości regułą. Klasztor św. Izydora pełen był właściwej franciszkańskim budowom poezyi. Składał się z dwóch kwadratowych dziedzińców z bocznemi krużgankami i środkową studzienką. Z platformy wzrok obejmował Rzym cały, dalej Kampanię i Monte Cavo. Studenci nasi za bajecznie tanią cenę trzech skudów miesięcznie, cały niemal posiedli klasztorek; każdy z nich zamieszkał w jednej z cel zakonnych, gromadzili się zaś w salach konwentu: „Śliczne tu pędzimy życie w pobożnej zgodzie, jak na bractwo zakonne przystoi“, pisze Overbeck do Suttera. „Ale skoro mi Bóg tyle użycza szczęścia, poczytuję sobie za obowiązek, wyciągać, ile się tylko da, korzyści z mego pobytu w Rzymie. ...Zajmuję się też wiele klasycznymi autorami. W Rzymie oczywiście czytanie Horacego, Cycerona, itp. zdwojone sprawia wrażenie, muszę niemal uważać na siebie, aby nadto znów nie poświęcać im czasu... A jednak duch klasyczny wionący z tych ksiąg, dobry tylko wpływ może na artyście wywrzeć. Czytanie lepszych poetów fantazyę wzbogaca, od mowców człowiek uczy się poznawać ducha narodu, filozoficzne dzieła podnoszą ku rzeczom nadprzyrodzonym i wyższym. Mnie się zaś wydaje, iż prawdziwy sztukmistrz obyć się nie może, ani bez filozofii, ani też bez poezyi. Tu zaś jeszcze chcąc rozkoszować w szczątkach starożytnej Romy, wypada spoufalić się i z historyą. W tym celu rozczytuję się w Liwiuszu. Gdy następnie iść mi wypadnie przez *Campo Vaccino*, między świątynie i łuki, stary świat przedemną wstaje wraz z swemi olbrzymiemi postaciami, i człowiek zapomina o maleńkiej teraźniejszości!“

Młodzi reformatorowie trzymali się na uboczu, nie wiele wdając się z niemiecką, zawsze dość liczną kolonią. Z osobną życzliwością powitał ich Thorwaldsen, stojący wówczas u szczytu sławy swej i twórczości, podobnie jak i malarz Schick, któremu Schlegel przyznawał palmę pierwszeństwa w ówczesnej sztuce. Atoli, choć w ustronnem i pracowitem życiu, bracia św. Łukasza niebawem zaczęli sobie werbować nowe zaciągi. Pierwszy, który na ich hasła się zgodził, był Włoch, Giovanni Colombo, katolik gorący, miłośnik wszystkiego co piękne i szlachetne, młodzieniec pełen wiary, cnoty i talentu. Na dyplomie przyjmującym go w szeregi Łukaszowych braci Overbeck położył dewizę: *Amicus fidelis protector fortis: qui autem invenit illum, invenit thesaurum.* Następnie przyłączył się do ich grona Jan Veit, pasierb Schlegla, którego matka, sławna Dorotea Schlegel, należała do bogato uzdolnionej rodziny Mendelsohnów.

Oglądanie cudów Miasta Wiecznego nie przeszkadzało właściwie obranemu zawodowi pracy, to na wielką, to na małą skalę rozpoczętej, a zawsze wyłącznie trzymającej się śladów Pisma św. Obok obrazów większych rozmiarów, już wtedy Overbeck marzył, aby odpowiedzieć na wezwanie Pestalozzi'ego wykonaniem obrazków szkolnych, mających dziatwę obznajamiać dotykalnie z żywotem Chrystusa Pana. Dorywcze zrazu rysunki urosnąć miały później w poważną robotę, a dziesięcioletnia praca złożyła się w mistrzowskie wykonanie czterdziestu rysunków ewangelicznych. Ale był to u Overbeck'a owoc starszego wieku, podobnie jak i u innego Łukaszowego spółbrata, Schnorr'a, który w 68 roku życia dokonał illustracyi ksiąg świętych.

Kilkakrotnie już wspomnieliśmy, iż hasłem artystycznej gromadki była przedewszystkiem wyższość natury i prawdy nad konwencyonalną metodą, wyższość natchnienia nad akademiczną techniką, wyższość nauki czerpanej z arcydzieł dawnych i z obcowania z przyrodą, nad ślęczenie i kopiowanie zimnych modeli. Ale nadewszystko stawiali oni za zasadę, iż najlepszym użytkiem talentu, najpiękniejszem zadaniem sztuki, jest na jej skrzydłach ku niebu się wznosić. (C. d. n.)

M.

DZWONY

JAKO PRZEDMIOT SZTUKI KOŚCIELNEJ.

Właśnie upłynęło w październiku r. z. sześć lat, kiedy świat muzykalny wiedeński w niezwykły sposób został zainteresowany i objawił swoje zdziwienie w recenzyach dziennikarskich o przedmiocie, który dotąd żadnego melomana nie zwracał uwagi.

Na wystawie przemysłowej niższo-austryackiej w Wiedniu 1880 r. ustawił nadworny ludwisarz z Wiener-Neustadt, Piotr Hilzer, na wiązaniu belkowem osobno w tym celu sporządzonem, 22 dzwonów o łącznej wadze 4.000 kilogramów, z których największy ważył 15 cetnarów. Na pierwszy rzut oka nikt się temu nie dziwił, że przemysłowiec, znany już z wystawy 1873 r., i teraz swój przedmiot, jak tylu innych, tam umieścił. Dopiero gdy Najj. Pan przybył na otwarcie wystawy i zbliżył się do oddziału „Metallindustrie“, usłyszano prześliczną melodyą hymnu ludowego w pełnych akordach na dzwonach odegraną, a właściwie wydzwonioną. Jak tylko pierwsze brzmienia dźwięcznych akordów cesarz usłyszał, stanął w miejscu, słuchając uważnie, aż cała melodya przebrzmiała. Potem zwróciwszy się do swego otoczenia rzekł: „pomysł odegrania hymnu ludowego na dzwonach jest w najwyższym stopniu oryginalny i to mnie rzeczywiście zdziwiło“. *(Die Idee durch das Glockengeläute die Volkshymne zu spielen ist höchst originell, und überraschte mich wirklich). (Vaterland 3 Octobr. 1880).*

Te zaszczytne, a tyle znaczące słowa monarchy dały odlewarni dzwonów Piotra Hilzera nie tylko zupełne uznanie, ale samą sztukę

ludwisarską podniosły do prawdziwego artyzmu. W niemieckich pismach: *Vaterlandzie, Fliegende Blätter für katholische Kirchenmusik*, organie stowarzyszenia św. Cecylii i innych, pojawiły się artykuły oddające p. Hilzerowi ogromne pochwały. Komitet Wystawy udzielił mu złoty medal. W świecie muzykalnym zrobił się niezwykły ruch, jakby wynaleziono nowy jakiś instrument wielkich rozmiarów, tak dziwnie ucho afektujący. Dotąd słyszano gdzie niegdzie o pojedyńczych dzwonach w strojnym dobranych akordzie; teraz zaś przekonano się, że całe utwory muzyczne mogą być na dzwonach odegrane. Cały przyrząd mechaniczny nie tyle skomplikowany, ile ciekawy: walcowe traktury, jak w organach, łączą sprężyny idące do pojedyńczych dzwonów, z których każdy ma swój właściwy ton. Od traktur ściągnięto druty do małej szafki, w której na zewnątrz umieszczono przyrząd klawiaturowy i połączono je z klawiszami. Pociśniony klawisz szarpnie sprężynę idącą do dzwonu, a ta uderza młoteczkiem o jego krawędź. Dobrane muzykalnie klawisze wydzwaniają akord, akordy harmonią. Ale nie to zadziwia, jako prosty mechanizm, lecz ta wielka doskonałość-dokładność do jakiej doprowadzono sztukę ludwisarską, że dzwony kościelne swoją czystością tonów wprawiają w podziw największych znawców muzyki. I rzeczywiście. Odlewarnia dzwonów Piotra Hilzera, założona jeszcze przez ojca jego Ignacego w r. 1838 w Wiener-Neustadt, trzyma dziś pierwszeństwo i ona jedna pomiędzy innemi wyszczególnia się. Firma ta dostarczyła różnym krajom monarchii Austro-Węgierskiej i innym poza jej granicami 4151 dzwonów, a z tych samej Galicyi 96. Tak znaczna liczba dowodzi, że dzwony Hilzerowskie odznaczają się nie tylko dobrocią kruszcu, z którego są lane, ale także czystością głosu i trwałością.

Dla kapłanów, którzy dzwony dla swoich kościołów dość często sprawiają, a nawet i dla szerszej publiczności, przywykłej do ich używania w kościele, nie będzie może rzeczą obojętną poznać, na czem właściwie dobroć dzwonów polega. Już ten sam wzgląd, że sprawiający dzwony do kościołów ponoszą znaczne koszta; a z drugiej strony — gdy doświadczenie zbyt często poucza, że się napotyka dzwony nowe, wielkie i o głębokich tonach, które co do dźwięku raczej podobne są do żelaznych kotłów, niż do dzwonów, a to dlatego, że dla odpowiednich tonów są za lekkie, — dosta-

tecznie wskazuje potrzebę bliższego zapoznania się z tym ważnym przedmiotem. A cóż dopiero, gdy na dzwony kościelne zapatrujemy się nie z samej tylko materyalnej, ale — co właściwa — z duchowej strony, jako na przedmiot, który — jak mówi Ks. J. Gaume, „z natury swojej jest religijnym“. Wszak głos dzwonu, to jawne hasło zwoływania wiernych na to, co najświętszego pod niebem, to jest, na słuchanie słowa Bożego, na nabożeństwo, do udziału w naszych najśw. tajemnicach wiary naszej! To „trąba wojującego kościoła“, mówi Sobór Koloński. Głos dzwonów, to wołanie świętych, których imiona noszą — przy chrzcie dlatego im nadane, aby niejako usty patronów naszych wołały i upominały nas do należnej służby Bożej. Dzwony w kościele odzywają się też we wszystkich ważniejszych okolicznościach życia ludzkiego — „niosą do duszy naprzemian to radość, to smutek, to nadzieję, to religijną obawę“. (Zasady i całość wiary kat. Gaume t. VII. str. 49. 52). I właśnie dlatego godzą się z uczuciami serca ludzkiego, że są złączone z Kościołem, że pomagają do zewnętrznego kultu, jaki odbierać powinien Bóg prawdziwy od ludu swego.

Wiek postępu i wynalazków nie poprzestaje już dzisiaj na dawnych rzeczach, ale się zastanawia nad ich skutecznością, ciągle bada, ulepsza i poprawia je, aby celowi snadniej odpowiadały. I całkiem słusznie. Tylko odwieczne prawdy Boże żadnej odmianie, ani poprawce nie ulegają. Dzieła zaś ludzkie jako czasowe i niedoskonałe mogą się zmieniać i poprawiać. To też i odlewarnie dzwonów zrobiły wielkie postępy i udoskonaliły się ogromnie od czasu wynalezienia dzwonów przez św. Paulina, biskupa z Noli, w Kampanii, na początku V. wieku.

Ponieważ dla przeważnej części publiczności sztuka lania dzwonów i jej stopniowe udoskonalenie w średniej i nowszej epoce jest najmniej znanym przedmiotem, przeto wypada dać choć ogólnikowe prawidła, według których dzwony i dobroć ich oceniać mamy.

Najczęściej spotykamy się z twierdzeniem, że dzwony mają tem piękniejszy i donioślejszy głos[1], im więcej zawierają w sobie

[1] Wyrazu głos, zamiast: dźwięk używam często, stosując się do

szlachetnych i drogich kruszców srebra, a nawet złota! Atoli mniemanie to jest błędne i nie ma żadnej racyonalnej podstawy. Srebro pogorsza tylko głos i rzeczywiście w starych dzwonach nie ma srebra, a tem mniej złota, chociaż wierni często te kruszce celem nadania im donośniejszego głosu ofiarowali. Trafiało się i jeszcze trafić się może, że ktoś w dobrej wierze wrzuci jakąś sztukę srebra, lub złoty pierścionek do kotła, w którym się topi kruszec na dzwony; ale ta kropla obcego kruszcu ginie w całej masie, i jeżeli dzwon ma piękny, donośny głos, to nie zawdzięcza go bynajmniej tej przymieszce. Gdyby zaś srebra lub złota aż w takiej ilości do masy dzwonów domieszano, aby ta domieszka aż na głos dzwonu oddziałać mogła, natenczas taki dzwon nietylko nie zyskałby na czystości głosu, ale byłby nawet zepsuty. I to jest faktem udowodnionym. Srebro czyste jest bardzo miękkie i łatwo się zużywa; przeto w celu użycia go na monety i naczynia miesza się z miedzią, przezco powiększa się jego twardość. Sztuki też srebrne wydają tem czystszy dźwięk, im więcej zawierają miedzi. Miedź zaś czysta sama z siebie ma dźwięk donośny, o czem najlepiej wiedzą sąsiadujący z kotlarzami. Miedź tedy w dzwonach to fundament. Ale że miedź sama źle się topi, bo tworzy mnóstwo baniek napełnionych powietrzem, a naczynie z czystej miedzi ma mnóstwo dziureczek, co w dzwonach byłoby wielkim błędem, przeto cyna zaradza temu niedostatkowi, wypełnia wszystkie próżnie w miedzi i czyni ją topniejszą. Miedź znana w najdawniejszej starożytności. Grecy i Rzymianie otrzymywali bronz przez stopienie około 90% miedzi, a 10% cyny. Paweł św. (Kor. XII. 1. I.) wspomina też o miedzi brzęczącej, do której przyrównuje człowieka bez miłości. W zasadzie tedy leją się dzwony z miedzi w połączeniu z cyną w takim stosunku, że na 78% miedzi, daje się 22% cyny. I to jest najlepszy stosunek. W praktyce jednak domieszka cyny zmienia się według gatunku i dobroci miedzi i dochodzi aż do 40%. W starych dobrych dzwonach trafia się na 3 części miedzi, więcej niż jedna część cyny. Normalny metal na dzwony topi się łatwo,

---

sposobu mówienia ogółu, z muzyką nieobeznanego i tej dystynkcyi nie robiącego. Muzykalni odróżnią wszędzie łatwo te dwa pojęcia.

jest cienko płynny, kruchy i trudny (twardy) do piłowania. Gatunkowa ciężkość powinna wynosić 8·8; jeżeli mniejsza, to dzwon zły.

Dotychczas poznaliśmy dopiero materyał dzwonów. A teraz wypada obznajomić się z techniczną stroną, czyli poznać to, co w każdym dzwonie jest najważniejsze, a to jest właśnie forma i należyty stosunek w rozmiarach dzwonu, czyli jego szerokości dolnej i górnej, jakoteż wysokości i grubości ścian. Forma i rozmiar wpływają najwięcej na głos i czynią dzwon mniej lub więcej celowi odpowiednim. Cel zaś dzwonu jest, aby wydawał piękny i donośny głos.

Największą średnicę ma dzwon u dołu, najmniejszą u góry; najgrubsza ściana jego jest na dolnej obręczy, w którą serce uderza. Odtąd zmniejsza się grubość ku górze aż do połowy wysokości dzwonu, zaś od połowy aż do górnego pierścienia wynosi tylko $^1/_3$ grubości dolnego pierścienia. Najlepsza proporcya wysokości dzwonu do jego największej średnicy u wylotu jest wtedy, jeżeli ta ostatnia jest o $^1/_5$ dłuższa od wysokości. Tak n. p. jeżeli wysokość dzwonu (mierząc stroną zewnętrzną ukośnie od dolnej krawędzi do górnej obręczy tam, gdzie się zaczyna dno, czyli czapka dzwonu), wynosi 60 centymetr., to normalna średnica dolna powinna wynosić 75 centymetrów. Rzadziej znajdujemy wysokość równą dolnej średnicy. Stosunek zaś średnicy wielkiej do małej, czyli tej, którą stanowi dno dzwonu, powinien być taki, jak 2 : 1, czyli: szerokość dolna ma być dwa razy większa od górnej. I taką też proporcyę znajdujemy przy wszystkich prawidłowo ulanych starych i pięknych dzwonach. Nie jestto bez przyczyny, jak później zobaczymy. Waga serca nie może też być dowolna; ma ona wynosić mniej więcej 40-tą część wagi całego dzwonu bez głowy. Ponieważ serce zawieszone jest w uchu wewnątrz dzwonu, a zatem punkt zawieszenia jego leży niżej, niż dzwonu; przeto dzwon i serce stanowią dwa wahadła o nierównej długości, które też z nierówną szybkością się poruszają tak, że gdy dzwon w powolnym ruchu połowę łuku zakreśli, serce tymczasem już w jego pierścień uderza, co przy równym punkcie zawieszenia nigdyby nie nastąpiło.

Aby poznać, o ile doskonały rozmiar dzwonów wpływa w ogóle na ich głos, wypada pierwej rozróżnić wartość tonu liczebną i jakościową. Przez liczebną wartość tonu *(quantitas toni)* ro-

zumimy to, jaki ton w skali muzycznej dzwon wydaje, tj. czy się stroi w c, d, dis,... lub inny — i do której oktawy należy. Jakościowa wartość tonu *(qualitas toni)* dotyczy tylko samego dźwięku i jego piękności. Jako głos ludzki nie jest u wszystkich jednaki, bo u jednego człowieka jest silny, dźwięczny, przyjemny, u drugiego słaby, chrapliwy, szorstki; tak i ton dzwonu może być pełny, doniosły, równy, zlewny i dla ucha miły, albo też słaby, ostry, głuchy, wrzaskliwy. I te przymioty nazywamy jakościową wartością tonu.

Głęboki, albo nizki ton dzwonu nie zależy ani od jego wysokości, ani od wagi kruszcu, ale jedynie od jego szerokości dolnej, tj. od długości dolnej średnicy; atoli wysokość dzwonu i waga metalu wywierają istotny wpływ na wydobycie przyjemnego, okrągłego tonu i długi pogłos. Dla łatwiejszego zrozumienia wyobraźmy sobie cały dzwon poprzecinany prostopadle do jego osi na pojedyńcze pierścienie, z których każdy przy rozmaitej długości średnicy, rozmaity też ton wydaje, a między temi najsilniejszy i najgłębszy będzie ton pierścienia u wylotu dzwonu, w który bezpośrednio serce uderza. Ton zatem dzwonu nie jest pojedyńczym, ale mieszaniną różnych tonów. A ponieważ średnice pojedyńczych pierścieni od dołu do góry dzwonu coraz się zmniejszają, przeto też i drgania stają się coraz szybsze. Gdy zaś stosunek średnicy dolnej do górnej jest jak 2:1, czyli średnica górnego pierścienia u czapki dzwonu jest o połowę mniejsza, niż średnica pierścienia dolnego, przeto drgania pojedyńczych kręgów będą tam dwa razy szybsze, i dlatego górny pierścień oddaje wyższą oktawę głównego tonu dolnego pierścienia. Im dokładniej powyższy stosunek obydwóch szerokości dolnej i górnej przy laniu dzwonu jest zachowany, tem czystszy i okrąglejszy ton będzie dzwon wydawał.

Dzwony o formie podłużnej, a wązkiem rozwarciu, czyli o średnicy krótszej, niż dwie średnice górne, choćby były z najlepszego materyału ulane, będą miały ton głuchy, niepewny, nieuchwytny, tj. że ucho ludzkie się męczy, zanim go stanowczo pochwyci i oznaczy jego wartość, bo się dzieli właśnie wskutek złego stosunku jednej średnicy do drugiej.

Forma tedy i dobry rozmiar to niejako dusza całego dzwonu, bo od tego zależy wszystko. Jedni Chińczycy stanowią tu wyjątek,

bo leją dzwony o formie długiej, kiszkowatej, które u dołu mało co, albo nic nie są rozszerzone; zaś u góry są przewiercone przez dno, co ma głos powiększać.

Nakoniec jeszcze jeden warunek, który, przy najlepszej formie i użyciu najlepszego metalu, wywiera wielki wpływ na trwałość i czysty, zlewny głos dzwonu, a tym jest: dobre wymieszanie kruszcu i zastósowanie odpowiednego stopnia gorąca przy topieniu. Wiele jest nieudolnych ludwisarzy, którzy przy topieniu metalu za mały stopień gorąca używają, a tem samem ani go należycie nie przetopią, ani wymieszać nie mogą. I to jest przyczyną, że dzwony z kruszcu źle wytopionego i o słabym stopniu gorąca odlane, choćby zresztą stosunek mieszaniny był dobry i materyał najlepszy, mają głos głuchy, a pogłos słaby. Także uderzenie ostrem, lub płaskiem sercem oddziaływa wiele na czystość głosu, choć tonu nie zmienia tj. jego liczebnej wartości, bo zawsze g, zostanie g, — ale zmienia jego jakościową wartość, bo mu odbiera ten miły dla ucha dźwięk i okrągłość, a czyni go rażącym, ostrym lub chrapliwym. Przeto też dorobienie serca do dzwonu, w razie zepsucia, nie powinno być powierzone lada kowalowi, niemającemu pojęcia o technicznych rozmiarach ciężkości dzwonu, a tem mniej o zasadach muzyki. Zewnętrzna ornamentyka dzwonu niema żadnego wpływu na jego głos. Mniejsza o to, czy człowiek brzydki, łysy, zyzowaty, byle był dobry pod względem moralnym i użytecznym członkiem ludzkości, to już cel swój osiągnął. Są dzwony bez żadnej ornamentyki, a przecież pięknie dzwonią. Głos wszystko płaci, bo to cel dzwonu. Dzwon pęknięty traci głos i nie łatwo daje się zalać mieszaniną kruszcu, a nigdy bez uszczerbku głosu; lepiej w takim razie, jeśli pęknięcie nie wielkie, wypiłować rys, aby się płaszczyzny pęknięte z sobą nie stykały.

Od r. 1852 weszły w użycie dzwony stalowe. Są one trochę tańsze, dosyć trwałe, ale głos mają ostry, więcej syczący, niż dźwięczny, coś z rodzaju złego salicynału i nie mają pogłosu. Na wystawie wiedeńskiej 1873 roku był dzwon stalowy o wadze 50—60 cetnarów. Głos miał suchy i słaby w porównaniu do dzwonów bronzowych o tej samej wadze, a pogłos trwał tylko $^1/_2$ minuty, kiedy pogłos bronzowego dzwonu trwał 3 minuty. Dzwony stalowe mają jeszcze te niedostatki, że pęknięte nie tak łatwo dają

się przelać i przelanie znacznie więcej kosztuje, niż bronzowych. Aby zaś nadać dzwonowi stalowemu ton równy bronzowemu, musi mieć daleko większą wagę, czyli, że o wiele więcej potrzeba stali niż bronzu, na jeden i ten sam ton. Okruchy stalowego dzwonu mają wartość 5 złr. za cetnar, gdy bronzowe płacą 82 ct. za 1 kilogram, bo się dają zużytkować na nowe dzwony.

Jak każdy przemysł fabryczny, tak też i sztuka odlewania dzwonów, doskonaliła się stopniowo i z biegiem czasu. Pierwotne dzwony nie były wielkie, nie miały ani tej trwałości, ani doniosłości głosu. Nie były także równocześnie wszędzie zaprowadzone. W zachodnim Kościele weszły najpierwej w użycie z rozporządzenia papieża Sabiniana (604 r.). W Kościele wschodnim znacznie później, bo dopiero około r. 870, kiedy grecki cesarz Bazyli otrzymał od weneckiego doży Orso I. dwanaście dzwonów bronzowych w podarunku. Dla tych to dzwonów zbudowano osobną wieżę przy kościele św. Zofii. Najwyżej stanęła sztuka odlewania dzwonów z końcem XV. i początkiem XVI. wieku. Z tej epoki pochodzą najpiękniejsze dzwony. Najsławniejszy z tego czasu ludwisarz Bartłomiej Kneck, Flamandczyk, ulał pierwsze dzwony harmonijne. Atoli konstrukcya ich co do formy była jeszcze wadliwa. Dopiero ludwisarz *Vanoccio* z początkiem XVI., a *Mersenne* z początkiem XVII. stulecia, ulepszyli konstrukcyę dzwonów. Z końcem XVII. stulecia ustanowił już Amsterdamczyk *Piotr Emony* pewne prawidła, według których ulane dzwony oddawały zupełny akord z prymy, tercyi, kwinty i oktawy. Zyskał przez to wielkie uznanie wszystkich współczesnych, ale robił ze swoich proporcyi tajemnicę, którą dopiero przed śmiercią powierzył ludwisarzowi *Abrahamowi de Graaf*. Od tego zaś przeszła ona do wiadomości słynnej rodziny ludwisarskiej *Petit i Edelbrock*.

Ponieważ mam zamiar zaznajomić czytelników ze stosunkiem wagi i rozmiarów do tonów dzwonowych, przeto winienem wyjaśnić tę przez Emony'ego długo ukrywaną tajemnicę, a która i po dziśdzień nietylko dla ogółu, (co zresztą nie dziwi), ale nawet dla mniej zdolnych ludwisarzy jest zagadką. Prócz znanej bowiem zaszczytnie — na początku już wspomnianej firmy Piotra Hilzera, niełatwo znaleźć ludwisarza, któryby się chciał podjąć, ulać dzwony harmonijne w tym, lub owym akordzie z góry oznaczonym. W naj-

nowszym czasie mieliśmy tego dowody[1]. Ludwisarz powinien nietylko być fachowym rzemieślnikiem, choćby nawet z pewną nabytą praktyką w swym zawodzie; ale musi być gruntownie obeznany z akustyką, muzyką i jej zasadami, aby je umiejętnie do dzwonów zastosować umiał. Bez tej znajomości nie uleje żaden dzwonów harmonijnych, chyba przypadkowo dzwon z dzwonem się zgodzi. Gruntowna zaś znajomość muzyki, jakoteż stosunków, rozmiarów i wagi do pewnych zamierzonych tonów, wyklucza wszelką przypadkowość harmonii w dzwonach, która właśnie dlatego nigdy dokładną by nie była, że jest przypadkową.

Liczne próby i doświadczenia przekonały, że przez drganie każdego dźwięczącego ciała n. p. naciągniętej struny, powstający dźwięk w tym właśnie stosunku jest głębszy, lub wyższy, w którym te drgania wolniej lub prędzej po sobie następują. Jeżeli napięta po obydwóch swych końcach, na próżkach, lub podstawkach spoczywająca struna, w jednej sekundzie robi 50 drgań i wydaje ton głębokiego c, to połowa tejże struny, gdy ją trzecim prożkiem na środku przedzielimy, zrobi w jednej sekundzie 100 drgań i wyda wyższą oktawę, czyli wkreślone c. Dzieląc zaś wrzekomą strunę na trzy równe części, otrzymamy duodecymę i t. d. Oktawa zatem będzie się miała do toniki, czyli tonu podstawnego (prymy) jak 2 : 1; duodecyama, czyli oktawa kwinty do prymy, a więc kwinta do toniki jak 3 : 2 i t. d. Te w cyfrach wyrażone stosunki nazywają się stosunkami tonów.

Przeprowadziwszy ściśle ten rachunek skonstatowano, że podpisując pod tony, które wydaje trąba, lub klarnet (bez pomocy klap), szereg liczb porządkiem do góry, tenże najdokładniej odpowiada liczbie drgań monochordu i jego podziałów, a mianowicie:

C,	c,	g,	c̄,	ē,	ḡ,	b̄,	c̿,	d̿,	e̿,	f̿,	g̿,	a̿,	b̿,	h̿,	c̿	itd.
1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	

[1] W Przemyślu przelewał pewien ludwisarz średni dzwon do katedry łac. dwa razy, i nietylko że o harmonii z wielkim dzwonem mowy być nie mogło, ale poprostu go zepsuł. Dano go potem przelać P. Hilzerowi. A jak harmonizuje z wielkim — będzie poniżej w monografii tych dzwonów.

OO. Jezuici ze Starejwsi zaproponowali także pewnemu ludwisarzowi, aby im do zrestaurowanego po spaleniu kościoła ulał 3 dzwony w akordzie f, ale się nie podjął. Udali się także do Hilzera i cel osiągnęli.

Z tego wypada stosunek oktawy do prymy jak 2:1; kwinty jak 3:2; małej kwarty jak 4:3; wielkiej tercyi jak 5:4; małej tercyi jak 6:5; wielkiej seksty jak 5:3; małej seksty jak 8:5; wielkiego całego tonu jak 9:8; i t. d. Podobnie ma się rzecz z dzwonami, jeżeli się je uważa jako instrument muzyczny. Struna na klawikordzie wydaje stały ton, a wszystkie struny różnią się swoją długością i grubością stosownie do wymogów tonu i tworzą razem instrument. Tak podobnie i dzwon wydaje pewny stały ton, a pewien zbiór dzwonów o różnej wadze i długości średnic stanowi niejako instrument muzyczny. Doświadczenie zaś poucza, że dzwon mający wagi 250—300 kilogr., a średnicy 0·75—0·82 metrów, wydaje mniej więcej (uwzględniając rozmaitość kruszcu, *caeteris paribus)* ton dwa razy kreślonego c̿. Opierając się na tem przypuszczeniu, a pomijając wpływ, jaki na ton wywiera rodzaj kruszcu, jego wymieszanie etc, — można dla każdego innego tonu wielkość dzwonu obliczyć, skoro się należycie uwzględni stosunek liczb, wyrażających drgania tonów jednej oktawy. Ponieważ zaś dźwięczące drgania dzwonu w tym samym stosunku się pomnażają, w jakim średnica jego się zmniejsza, tedy rzecz jasna, że ton, który w porównaniu z innym dwa lub trzy razy szybszych drgań wymaga, aby mógł istnieć, potrzebuje również dzwonu o dwa lub trzy razy krótszej średnicy. Powyższy szereg cyfr wykazuje tony przez ilość drgań monochordu w jednej sekundzie, przeniesiony na jednę oktawę dzwonów, tj. od c do c̿, gdzie liczba drgań w jednej sekundzie i waga tonikę dającego dzwonu przyjęta za jednostkę = 1, uwidocznia następujący szemat według Schafhäutla:

Ton dzwonu	Liczby drgań	Waga dzwonu
c	1·000	1·000
d	1·125	0·702
e	1·250	0·512
f	1·333	0·422
g	1·500	0·296
a	1·667	0·216
h	1·875	0·152
c	2·000	0·125

Jeżeli znana jest średnica jakiegoś dzwonu tonikę dającego, to otrzymamy średnicę dzwonu o tonie wyższym, z góry oznaczonym, gdy pierwszą podzielimy przez liczbę drgań żądanego tonu. Podwoiwszy zaś średnicę jakiegoś dzwonu, otrzymamy średnicę równobrzmiącego tonu niższej oktawy.

Po tem wyjaśnieniu będzie już łatwiej zrozumieć, na jakich prawidłach opierali dawni zdolni ludwisarze swoje wymiary wagi i średnic dzwonowych odpowiednio do pojedyńczych stałych tonów. Dzieła obszernie i gruntownie o tej materyi traktujące[1] wykluczają wszelką przypadkowość w harmonii dzwonów, a podają natomiast stałe zasady, których ludwisarze w praktycznem zastósowaniu trzymać się mają, uwzględniając rozmaitą mieszaninę i rodzaj kruszcu na dzwon użytego. Tych zasad trzyma się także ludwisarz z Wiener-Neustadt, Piotr Hilzer, którego tabelę tu dołączam dla trzech oktaw, w jakich zwykłe dzwony się mieszczą, tj. wydają tony temi oktawami objęte. Że szematy jego są ugruntowane, dowodzą w praktyce wszystkie dzwony harmonijnie przez niego ulane, a szczególnie sześć dzwonów w kościele wotywnym w Wiedniu, których prześliczną harmonię znawcy ocenili i wszyscy podziwiają. Że zaś zmiana metalu, stopień gorąca przy topieniu, grubość dolnego pierścienia i t. p. powodują także zmianę tych stosunków wagi i średnicy do pewnych tonów, to nie ulega wątpliwości. Widzimy to w konstrukcyi niektórych dawnych dzwonów, których waga i rozmiary znacznie się różnią z tabelą Hilzerowską. Nie obala to jednak stałej zasady, jaką on w praktyce stosuje.

Te trzy oktawy obejmujące skalę zwykłych dzwonów, nazywają się w muzyce: 1⁰ Małą basową oktawą, 2⁰ Średnią, czyli wkreśloną i 3⁰ Oktawą wyższą. Stósownie do tego podziału umieszczam i nuty dla każdej z tych oktaw.

---

[1] Glockenkunde. Dr. Henryk Otte. Lipsk — drukiem Fr. O. Weigla.

Mała basowa oktawa:
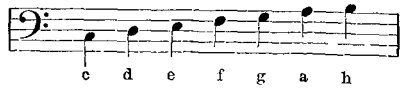
Waga w kilogramach	14.400	12.000	11.600	9.440	8.000	6.700	5.990	4.560	4.000	3.300	2.700	2.200
Średnica w metrach	3 met.	2·80	2·70	2·56	2·40	2·26	2·20	2·00	1·92	1·76	1·67	1·57
Tony	c	cis	d	dis	e	f	fis	g	gis	a	b	h

Średnia, czyli wkreślona oktawa:
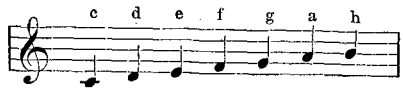
Waga w kilogramach	1.800	1.550	1.450	1.180	1.000	840	660	570	500	410	340	260
Średnica w metrach	1·48	1·40	1·35	1·30	1·20	1·13	1·06	0·99	0·96	0·89	0·84	0·78
Tony	c	cis	d	dis	e	f	fis	g	gis	a	b	h

Wyższa oktawa:
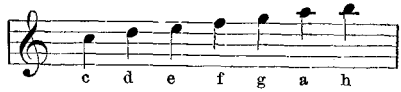
Waga w kilogramach	240	200	180	150	120	115	95	80	65	50	45	40
Średnica w metrach	0·75	0·70	0·68	0·64	0·60	0·57	0·53	0 50	0·48	0·45	0·42	0·40
Tony	c	cis	d	dis	e	f	fis	g	gis	a	b	h

Do której z tych trzech oktaw dzwon jaki należy, decyduje ton wydobyty bezpośrednio uderzeniem serca, a nie jego pogłos, który zwykle przy prawidłowo ulanych dzwonach, o całą oktawę jest głębszy i potęguje harmonię strojnych dzwonów. Pod tym względem mylą się zwykle ci, którzy każdy cokolwiek większy dzwon zaliczają Bóg wie, do jak głębokiej oktawy, sądząc albo z jego pogłosu, albo najczęściej z niczem nieusprawiedliwionego domysłu. Tymczasem w całej Galicyi niema dzwonu, któryby głębokością tonu należał do wielkiej basowej, a tem mniej do kontra-oktawy. Ledwie kilka dzwonów naszych mieści się w przytocznej powyżej

małej oktawie basowej, a między temi trzyma pierwszeństwo — jako największy w wadze i najgłębszy w tonie — królewski dzwon na Wawelu, Zygmunt. Trudno sobie wyobrazić jaką wagę, rozmiar i głębokość tonu dzwon mieć musi, aby należał do wielkiej basowej oktawy, albo nawet do najgłębszej, którą zowiemy: kontra-oktawą. Takich dzwonów statystyka nie wiele wykazuje.

Aby dać jakie takie o tem pojęcie, wyliczam tu niektóre z nich. Największe dzwony w całym świecie posiada bezprzecznie Rosya. Pierwszeństwo trzyma dzwon w Moskwie: *Car-Kołokoł* (król dzwonów). Ogromny ten kolos waży 201.916 kilogr. czyli 3.605$^1/_2$ cetnarów; ma 18 metrów obwodu, 5·8 metr. wysokości. Dzwon ten nie używa się, ale od r. 1836 stoi na granitowej podstawie przy wieży na Kremlu. Prawdopodobnie przy spadnięciu wyszczerbił się a ta szczerba jest tak wielka, że najwyższy człowiek, przez nią wejdzie, a nawet twierdzą niektórzy, że konny jeździec bez przeszkody przejedzie. Obok niego leży 5 metrów długie serce, o którem mówią, że było do niego za krótkie, co jest nawet prawdopodobne, zważywszy na ogromną wysokość dzwonu. Po pożarze Moskwy (w r. 1812) ulano 1819 r. drugi dzwon imieniem: *Iwan wielki* (Bolszoj), ważący 1000 cetnarów. Dopiero za temi dwoma idzie *Dzwon cesarski* (Kaiserglocke), ulany w r. 1875 w Prusach z dział francuskich. Wisi w katedrze kolońskiej; waga jego wynosi 26.250 kilogr. czyli 433 cetnarów, średnica 3·42 metr. wysokość 3.25 metr. Dzwon ten trzy razy przelewano, zanim się udał. Dzwon ten należy do wielkiej oktawy basowej i daje ton d, ale podobno ton ma nieczysty, trochę głuchy, co prawdopodobnie stąd pochodzi, że jest stosunkowo do ogromnych dymenzyi za cienki (lekki), gdyż w pierścieniu uderzenia ma 29 centymetrów, a wyżej tylko 8. centymetr., co oczywiście jest za mało. Po tych następują dzwony w *Ołomuńcu* (w katedrze) w wadze 358 centnarów; w *Wiedniu* na wieży św. Szczepana 354 centnar.; w *Paryżu* 340 centnar., w kościele św. Jakuba w *Kompostelli* 300 centnar.; także tej samej wielkości i wagi (300 centnar.,) w *Medyolańskim* tumie. Na szczycie Watykanu w *Rzymie* jest dzwon, który kazał ulać papież Pius VI. w r. 1786 o wadze 280 centnarów, z odlanemi prześlicznie w koło 12 Apostołami. *W Erfurcie* dzwon z końca XV. wieku (1497)., o wadze 276 centnarów, mający 15 łokci obwodu, a 5 łokci wysokości. Na-

reszcie przychodzi nasz prześliczny *Zygmunt* Wawelski i prawie z nim równy: *Wielki Tomasz* w Oxfordzie, największy ze wszystkich dzwonów w Angli.

Co do sztuki ludwisarskiej, to chociaż w dawnej Polsce kwitnęły wszystkie rzemiosła, przecież zaledwie kilka nazwisk uzdolnionych fachowo ludwisarzy Polaków wykazuje statystyka. Tej może przyczynie przypisać należy, że gdzie tylko napotykamy dziś piękne dzwony, to z małemi wyjątkami, wszystkie są dziełem obcokrajowców, najczęściej Niemców lub Włochów. A chociaż w kraju naszym znajduje się dosyć pojedyńczych, pięknych dzwonów, to przecież najmniej spotykamy dzwonów strojnych, harmonijnych. Pod tym względem stoi najwyżej Holandya, a po części i Włochy. W Holandyi już w r. 1645 ulał Lotaryńczyk Hemony, najsławniejszy ze wszystkich ludwisarzy, 26 dzwonów razem harmoniujących, o łącznej wadze dzisiejszej 2.000 kilogramów. W naszym kraju znajdujemy z epoki już udoskonalonej konstrukcyi dzwonów tylko jedne dzwony harmonijne, a to dzwony w *Krośnie*. Ze względu na prześliczny strój i doniosły głos, trzymają dzwony krośnieńskie pierwszeństwo w całej Polsce. Opisywał ich piękność mistrzowskiem piórem ś. p. Ks. Antoniewicz i pierwszy on dał ich poznać szerszemu ogółowi. Za nim poszli inni, choć mniej kompetentni, których raczej historya ich powstania, niż piękna harmonia zajmowała. Fabuły o przypadkowych skarbach złota, przysłanego w beczkach zamiast wina z Węgier, a które stanowić miały fundusz na te dzwony, są tylko wynikiem fantazyi nielicznych pseudohistoryków. Zagadkowa postać ich fundatora *Roberta Porcyusza*, bogatego kupca krośnieńskiego, a jak tradycya niesie: banity szkockiego, dostarczyła wątku na tle romantyczno-expiacyjnem różnym ludziom, którzy ze źródeł współczesnych nie mogli, albo nie umieli zaczerpnąć prawdy. Nie wdając się w rzeczy do mego przedmiotu nie należące, zaznaczam tylko, że dzwony krośnieńskie, jak świadczą napisy na nich odlane, sprawił własnym kosztem wspomniany Robert Porcyusz.

Dzwonów tych jest trzy: *Urban*, *Jan i Marya*. Zewnętrzna ornamentyka w stylu odrodzenia, wcale niebogata. Formą o tyle różnią się od innych pięknych dzwonów, że wysokość każdego z nich, równa się wielkiej średnicy i że stosunkowo do tonów, ja-

kie wydają, większą mają wagę, niż nowsze dzwony o tych samych tonach.

Urban ma średnicy 1·53 metr. i takaż wysokość; dolny obwód wynosi 4·90 metr. Na górnej obręczy nosi napis, który jest zarazem tytułem pięknej Kazimirzowskiej fary krośnieńskiej: *Sancta Trinitas Deus, miserere nobis. A. D. 1639.* Na dolnym pierścieniu znajdują się nazwiska dwóch ludwisarzy: *Dei auxilio Stephanus Meutel & Georgi Olivier me fecerunt.* Dalej zaś: *Robertus Portius Scotus, civis Crosnensis sumptu proprio restauravit.* U góry herb Porcyusza: trzy gwiazdy, książka i miecz. Dzwon ten wydaje ton c w średniej oktawie.

Jan o średnicy i wysokości 1·20 metr. w obwodziz 3·90 metr. ma u góry napis: *Qui passus es pro nobis, Jesu Christe, miserere nobis. A. D. 1639.* Poniżej litery S*R. Ton jego e.

Marya o średnicy i wysokości 94 centymetr. obwodu 3·5 metr. ma napis: *Sub Tuum praesidium confugimus, Sancta Dei Genitrix. A. D. 1639,* i znowu nazwisko i pochodzenie fundatora Porcyusza. Dzwoni w g.

Pierwotnie było na farnej wieży cztery dzwony, jak się dowiadujemy z inwentarza kościelnego, sporządzonego 1653 r., z rozkazu biskupa Jana Jelity Zamoyskiego, gdzie czytamy: *Quae quidem campanae, post deflagrationem civitatis totius una-cum Ecclesia Crosnensi conflagratae anno 1638, sumptu famati Roberti Portii, civis & mercatoris Crosnensis, restauratae anno 1639, et ab Illimo Resmo Joanne Zamoyski, Episcopo Premisliensi Anno 1650 benedictae.* Z tej notatki widzimy, że sławny Robert Porcyusz był człowiekiem bardzo zamożnym, skoro już w rok po pożarze zrestaurował dzwony i spaloną farę, której tylko prześliczne presbyteryum gotyckie zostało, zaś dzisiejsza główna i boczne nawy wraz z lekkiemi sklepieniami w stylu odrodzenia, są już dziełem Porcyusza. Dzwony te stroją się w najdźwięczniejszym akordzie *C dur.* Tony ich pryma, tercya i kwinta (c, e, g,) okrągłe, pełne, o równym kolorycie dźwięku dziwnie zachwycają ucho nawet mniej muzykalne. Każdego dzwonu ton płynie jak strumień oliwy równo, dźwięcznie, czysto, a wszystkie zlewają się w potężną harmonię i zdaje się, że się słyszy więcej, niż trzy dzwony, bo każdy z nich oprócz właściwego tonu, wydobytego uderzeniem serca, jęczy o całą

oktawę niższą. Kto tych dzwonów nie słyszał, nie może mieć wyobrażenia o ich piękności. Wprawdzie nie każdy ma ucho muzykalne ale mimo to niema takiego, któryby nie doznał dziwnego uczucia na pierwszy odgłos dzwonów krośnieńskich. Ale prawdziwa rozkosz słyszeć te dzwony z oddalenia, gdzie się już nie słyszy pojedyńczych uderzeń serc, tylko samą harmonią, jakby w powietrzu płynącą. Gdym przed 20 tu laty pierwszy raz przyjeżdżał do Krosna, usłyszałem w oddaleniu 6 ciu kilometrów harmonijne głosy, które za każdym powiewem wiatru z większą siłą w ucho wpadały i zdawało mi się, że słyszę muzykę wojskową z dala grającą. Kazałem stanąć woźnicy celem dokładniejszego zrozumienia, coby to było. Na moję uwagę, że gdzieś muzyka gra, której silniejsze tempa do uszu dolatują, odpowiedział mój woźnica: To dzwony w Krośnie tak dzwonią. Gdyby takie dzwony były gdzie w Niemczech, nie można wątpić, że opiewaliby ich piękność wszyscy poeci, a każde dziecko umiałoby na pamięć piosnki o nich, jak nasze dzieci śpiewają krakowiaki. U nas mało kto wie o krośnieńskich dzwonach, a jeszcze mniej takich, którzyby się na ich wartości poznali. (C. d. n.)

Ks. Jan Balwierczak.

ŹRÓDŁA HISTORYCZNE WSCHODU

ODNOŚNIE DO PISMA ŚWIĘTEGO.

II. Asyryologia.

(Ciąg dalszy [1]).

2. Poszukiwania i odkrycia w Mezopotamii.

Kolebka rodu ludzkiego, ognisko pierwszych możnych społeczeństw i prastarej kultury, wielka Niniwa i wspaniały Babilon przed półwiekiem dopiero doczekały się poszukiwań archeologicznych. Oprócz niebezpieczeństw podróży, trudności innego rodzaju przedstawiały te kraje. Wszystkie stare cywilizacye, w każdej części świata pozostawiły po sobie wybitne, widoczne ślady: piramidy, portyki, kolumnady, w Egipcie, w klasycznych ziemiach Helenów i Rzymian, w Indyach, nawet w dziewiczych lasach amerykańskich sterczały po nad ziemią, zwracały uwagę podróżnych, zachęcały do poszukiwań; w pobliskiej nawet małej Azyi, Syryi i Persyi, Palmira, Balbek, Persepolis świadczyły o swej dawnej wielkości. W Mezopotamii rzecz się ma całkiem inaczej. Nic tu nie przemawia do oka, żadne gruzy nie przypominają, iż tu wznosiły się niegdyś mnogie, olbrzymie grody; kurhany jakieś, nikłą pokryte roślinnością, orjentują tylko zbłąkanego Araba wśród bajorów i stepów. Dumni władcy tego świata: Sargonowie i Nabuchodonozorzy za życia obracali w gruzy podbite miasta, olbrzymiemi mogiłami pobitych nieprzyjaciół zaznaczali swe zwycięskie pochody, lecz gdy sami legli

[1] Ob. zesz. lipcowy. r. b.

w mogile, w mogile również skryło się to wszystko co stanowiło ich chwałę, co było przedmiotem i celem ich zabiegów: pałace ich i świątynie, zamki i grody runęły i pokryły się ziemią. Mezopotamia jest krainą mogił — w mogiłach należało szukać i tam znaleziono ślady jej przeszłości.

Zapomniana Niniwa pierwsza doczekała się gruntownych badań. W r. 1811 Rich, angielski rezydent Kompanii Wschodnio-Indyjskiej w Bagdadzie zwiedzając Hilleh i Mosul nagromadził różne zabytki starożytne, w tych miejscowościach nazbierane, i przesłał je do Londynu. Jakkolwiek zabytki te były mało znaczne, albowiem wszystkie razem zajmowały zaledwie 3 stopy kwadratowe, podały one myśl J. Mohlowi, sekretarzowi paryskiego Towarzystwa Azyatyckiego, do zwrócenia uwagi konsula francuskiego Botta, wyjeżdżającego właśnie (1842) do Mosulu, na poszukiwania archeologiczne w tamtych stronach. Po przybyciu na miejsce, Botta zajął się rozpatrywaniem miejscowości: po drugiej stronie Tygru, we wsi Kujundżik, naprzeciw Mosulu, napotkał ślady rumowisk i w nich wynalazł kilka cennych pamiątek. Ten szczęśliwy początek był dlań zachętą do dalszych poszukiwań: zaczął rozkopywać kurhany, lecz pomimo dość znacznych nakładów, nie osiągnął prawie żadnych skutków. Zniechęcony Botta miał już zawiesić wszelkie badania, gdy jeden z robotników zapewnił go, iż nieco na północ (14 kilom.), we wsi Chorsabad znajdują się znaczne rumowiska, w których nierzadko wygrzebują różne czerepy i posągi. Botta udał się na wskazane miejsce, a skoro pierwsze próby rozkopywania powiodły się, porzucił Kujundżik, i po otrzymaniu od rządu francuskiego zasiłków pieniężnych, rozpoczął w Chorsabad systematyczne poszukiwania. Powodzenie było najzupełniejsze, przechodziło nawet wszelkie oczekiwania: dokopał się nie tylko do starych murów, lecz odgrzebał całe pałace, zwalone wprawdzie częściowo, lecz stały jeszcze całe ściany okryte rzeźbami i napisami, stały jeszcze na miejscu olbrzymie posągi, które ozdabiały wejścia, a wśród gruzów inne jeszcze posągi, statuy, stele i pomniki, któremi się dziś szczyci muzeum paryskie w Luwrze. Botta sądził, iż odkrył Niniwę, lecz jak się później okazało, było to tylko jej przedmieście, a raczej pałac króla Sargona.

Odkrycie to wielki rozgłos miało w Europie. Niebawem (1845)

Anglik Layard, poparty opieką i pieniędzmi Sir Stratford'a Canning'a, rozpoczął poszukiwania (1845—1847) w innej miejscowości, mianowicie w Nimrud, na południe od Mosulu. Zmysł jego archeologiczny nie został zawiedziony, wzgórza Nimrudu okazały się zgliszczami starego grodu Kalah i wyłoniły z siebie zwaliska pałaców, świątyń i wielką liczbę pomników asyryjskich. Kolosy, jakie tu odgrzebano, wprowadzały w podziw robotników i z dalekich stron ściągały całe pokolenia Arabów do ich oglądania[1]. Podziw ten podzielała i Europa, skoro Layard przesłał do Londynu okazałe pamiątki sztuki asyryjskiej, dyrektorowie „British Muzeum" przeznaczyli znaczne zasiłki na dalsze badania. Odtąd poszukiwania (1849—1851) na większą skalę zostały prowadzone, pomimo niezwykłych trudności, jakie klimat, fanatyczni Muzułmanie i łupieżcy Beduini na każdym stawiali kroku. Odważny Anglik zajął się rozkopywaniem kurhanów w Kalah-Szergat, na prawym brzegu Tygru, i opuszczonych przez Botta rozwalin w Kujundżik: wszędzie napotkano rumowiska znacznych gmachów, wielką liczbę płaskorzeźb i pomników, a wszystko opatrzone napisami. W swoim czasie przekonano się, że pierwsza miejscowość była dawnym grodem asyryjskim El-Assur, druga zaś starą stolicą Asyryi, zagrzebaną i zapomnianą od 25 wieków, rzeczywistą Niniwą. Odkrycie to wzniecilo zapał uczonej Europy, a szczególniej Anglii: utworzyły

---

[1] On the morning following these discoveries, I rode to the encampment of Sheikh Abd-ur-rahman, and was returning to the mound, when I saw two Arabs of his tribe urging their mares to the top of their speed. On approaching me they stopped. „Hasten, O Bey", exlaimed one of them — „hasten to the diggers, for they have found Nimrod himself. Wallah, it is wonderful, but it is true! we have seen him with our eyes. There is no God but God"; and both joining in this pious exclamation, they galloped off, without further words, in the direction of their tents... Whilst I was superintending the removal of the earth, which still clung to the sculpture, and giving directions for the continuation of the work, a noise of horsemen was heard, and presently Abd-ur-rahman, followed by half his tribe, appeared on the edge of the trench. As soon as the two Arabs had reached the tents, and published the wonders they had seen, every one mounted his mare and rode to the mound to satisfy himself of the truth of these inconceisable reports. When they beheld the head they all cried together, „There is no God but God, and Mahommed is his Prophet!" *Nineveh and its remains.* H. Layard, 1849, vol. I., p. 65.

się tam specyalne Stowarzyszenia[1] w celu dalszych poszukiwań, grube posypały się datki, znakomici archeolodzy tłumnie podążyli do Mezopotamii. Sir Henry Rawlinson, W. K. Loftus, Hormuzd Rassam, Jerzy Smith, pułkownik Jones i inni rozpoczęli tam swą niezmordowaną działalność, ze świetnem powodzeniem; rząd francuski wysłał również ze swej strony Wiktora Place'a do dalszych poszukiwań w Chorsabadzie. Wytrwałość i złoto Europejczyków wydobyły zagrzebane od kilkudziesięciu wieków budowle asyryjskie i szczątki zamarłej cywilizacyi. Co tylko dało się przewieźć, przewieziono, głównie do stolicy Anglii, i umieszczono w ogromnych salach British Muzeum, tak, że dziś aby poznać Asyryę, studyować jej język, dzieje i zwyczaje ludu, należy jechać do Londynu[2]; mała stosunkowo część dostała się muzeum paryskiemu w Luwrze.

Badania uczonych archeologów zapoznały nas ze sztuką asyryjską, szczególniej zaś, dzięki systematycznym poszukiwaniom Botta'y i W. Place'a[3], mamy dziś dokładne wyobrażenie o architekturze asyryjskiej. W Chorsabad pałac budowany był przez Sargona między 705 a 722 r. przed Chryst. i zajmował przestrzeń dziesięciu hektarów. Budynek wzniesiony był z cegły, częścią suszonej na słońcu, częścią wypalanej; mury zewnętrzne miały niezwykłe rozmiary: 31 m. wysokości, a 24 m. grubości; ilość użytego tu materyału obliczają na blisko półtora miliona metrów sześciennych, zatem co do miąższości pałac ten odpowiadał największej pirami-

---

[1] Assyrian Excavation Found. Society Biblical Archeology.

[2] Fryderyk Delitzsch w *Chaldäische Genesis*, Leipzig, 1876, str. 364, tak opisuje asyryjskie pomniki w British Muzeum: „Zwiedzający przyjęci u wejścia przez byków olbrzymich rozmiarów, o brodatej głowie ludzkiej, przechodzą sale, których mury, od góry do dołu, pokryte są płaskorzeźbami wysokiej artystycznej wartości. Przedstawiają one szturmy fortec, bitwy, gromady jeńców, łowy na lwy, wspaniałe pałace asyryjskie... Dalej spotykamy obeliski i posągi królów nieznanych dawniej nazwisk, szafy oszklone napełnione cegłami i walcami napisowemi, trumny, broń, urny, ozdoby... nadewszystko zaś, a to jest warte więcej aniżeli wszystkie te pomniki, sto wielkich skrzyń, napełnionych biblioteką Asurbanipala". Te zbiory powiększone zostały znacznie od lat dziesięciu, przybyła mianowicie drogocenna biblioteka babilońska, znaleziona przez Rassama.

[3] Botta. *Les monuments de Ninive.* Paris. 5 vol. in fol. Victor Place. *Ninive et l'Assyrie*, Paris, 3 vol. in fol.

dzie egipskiej. Mury na zewnątrz wykładane były cegłami wypalonemi, często polewanemi, izby na wewnątrz ozdobiano alabastrowymi płaskorzeźbami. Płaskorzeźby pałacu w Chorsabad miały 1996 metrów na długość, prawie dwa kilometry, powierzchnia ich wynosiła 6000 metrów kwadr.; przedstawiały one różne zdarzenia z dziejów i obyczajów asyryjskich: bitwy, łowy, kult religijny — ryte w alabastrze, uderzają naturalnością i życiem [1]. Liczne napisy objaśniały znaczenia tych obrazów. Jeżeli nadto dodamy, że wszystkie wejścia przybrane były w olbrzymie posągi, statuy, obeliski i stele, mury ozdobione wyrobami snycerskiemi z cedru i kości słoniowej, bogato wykładane drogimi kruszcami i kamieniami — łatwo pojąć, że podanie o przepychu azyatyckich panujących zachowało się aż do dzisiejszych czasów [2]. Taki był pałac Sargona w Chor-

---

[1] Asurbanipal kazał wyryć w pałacu swoim zdobycie Suzy. Obraz ten jeden z największych, należy do arcydzieł sztuki asyryjskiej, przytaczamy krótki wyciąg o nim z Babelona (Loc. cit. t. IV., p. 364). ... Alors, tandis que l'Eulaeus roule encore au pied des murailles les cadavres des derniers défenseurs de l'indépendance nationale, le peuple de la capitale, affolé de terreur et espérant fléchir à force d'avilissement un vainqueur irrité, sort en foule, hommes, femmes et enfants, avec des harpes, des flûtes et des tambourins, et salue de ses chants et de ses danses le nouveau chef installé par les étrangers. Pendant ce temps, et à quelques pas de la scène de fête, les chefs de l'armée vaincue expient, dans les tortures, le crime d'avoir osé défendre leur roi et leur pays; l'un est écorché vivant, les autres ont les oreilles coupées, les yeux crevés, la barbe et les ongles arrachés. Ces compositions aux figures très nombreuses, traitées avec une extrême finesse, n'ont pas plus de perspective que les tableaux historiques égyptiens; mais on ne saurait se lasser d'y admirer la vie et le mouvement, qui régnent dans tous les groupes, la vérité des types, l'heureuse naïveté des attitudes.

[2] Les batiments, dont elle (palac Sargona) se compose, se répartissent sur deux terrasses de même hauteur disposées en forme de T. L'une et l'autre sont des rectangles; la plus grande des deux, celle qui est comprise dans l'alignement des murs de la ville, mesure 60 916 metr. car.; l'autre, qui fait saillie sur la campagne, en a 35 550. C'est donc en tout une surface de près de dix hectares qui est occupée par les constructions du palais et par les cours qui les séparent ou les esplanades qui les environnent et le chemin de ronde qui les borde. Les chiffres, que nons venons de citer, ont permis d'évaluer la masse d'argile qu'il a fallu apporter pour élever ces monticules en total de 1 350 524 mètres cubes. C'est un chiffre qui effraye l'imagination, surtout quand on songe, que tout ce travail a du être fait à l'aide de simples hottes, que les ouvriers remplissaient de terre, chargeaient sur leurs épaules et venaient vider à l'endroit qu'on leur avait désigné... Le propylée

sabadzie; każdy zaś król asyryjski, dla uwiecznienia swej pamięci budował nowy pałac, a przynajmniej przebudowywał dawne: w tym razie zwracano wewnątrz muru stare napisy, gładzono stronę odwrotną, obecnie zewnętrzną i na niej umieszczano napisy króla odnowiciela. Layard odsłonił w Kalah kilka pałaców królewskich; niektóre z nich były daleko większe od pałacu chorsabadzkiego; pochodziły one widocznie z różnych epok, lecz po odczytaniu napisów, można było czas ich dokładnie oznaczyć. G. Smith [1] tak opisuje te zwaliska: „Salmanasar I. wybudował to miasto w r. 1300, lecz w skutek rozruchów wewnętrznych uległo ono zniszczeniu. Asurnacirpal postanowił odbudować Kalah i użył w tym celu licznych jeńców wojennych, których też tu i osiedlił. Pałace północno-zachodnie i świątynie położone w pobliżu wieży, były dziełem tego króla, z tych właśnie budowli pochodzi największa część pomników, które się znajdują w British Muzeum. Salmanasar II. wystawił pałac w środku miasta i założył fundamenta do pałacu południowo-wschodniego. Wulnirari III., wnuk jego, wzniósł piętra tego pałacu, wystawił również świątynię Nebo. Teglat-Phalasar przebudował pałac środkowy. Sargon odnowił pałac północno-zachodni. Na koniec, ostatni król asyryjski Asurabilili, odnowił świątynię Nebo, przed samym upadkiem państwa".

Gruzy zalegające Kujundżik zasługują na szczególniejszą wzmiankę, tu bowiem leżała dawna stolica Asyryi Niniwa, i tutaj odnaleziono drogocenne źródła historyczne. Za pierwszą swą bytnością Layard dokopał się w Kujundżiku do pałacu wystawionego przez Sennacherib'a (704—680), w ciągu zaś drugiej swej wyprawy (1849—1851) odkrył tu prawdziwy skarb. Odgrzebując zasypany

---

devait former un des plus beaux ensembles, qu'ait créés l'architecture assyrienne; on n'y comptait pas moins de dix taureaux de grandeur inégale, et les uns parallèles, les autres perpendiculaires à la directions du mur; il y en avait six à la porte du milieu, qui était sans doute reservée au roi et à sa suite: une paire de colosses moins énormes décorait chacune des portes latérales, par lesquelles passait, sous la surveillance des gardes, le flot sans cesse renouvellé des visiteurs, des soldats et des gens de service. C'était une conception vraiment grandiose que celle de cette facade, portée sur un haut soubassement et reliée à la ville par les lignes ascendantes d'un large et double escalier. G. Perrot, *Hist. de l'art*, vol. II., pp. 427, 444.

[1] *Assyrian Discoveries*, str. 71, 73.

pałac, napotkał w dwu jego izbach grube warstwy (50 centym.) cegieł napisowych, niektóre z nich były całe, wiele jednak było połupanych. Cegły te miały różne rozmiary: największe z nich miały 9 cali angielskich długości, a 6 szerokości, najmniejsze zaledwie cal średnicy, lecz wszystkie bez wyjątku były pokryte napisami. Według wszelkiego prawdopodobieństwa zbiory te były umieszczone na wyższych piętrach pałacu, a przy pogorzeli tutaj się zapadły. Layard polecił zebrać skrzętnie wszystkie te cegły, ułożyć je starannie w skrzynie i odesłać do Anglii. W Londynie dopiero zrozumiano ważność odkrycia, cegły te były rzeczywistą biblioteką spisaną za czasów Asurbanipala. Najznakomitsi archeologowie angielscy podążyli do Niniwy. Sir Rawlinson, K. Loftus, Hormuzd Rassam wydobyli tu z gruzów inne jeszcze budowle, mianowicie pałac Asarhadona i syna jego Asurbanipala, i zbogacili Muzeum londyńskie pomnikami sztuki asyryjskiej, która za tych królów znajdowała się w najwyższym rozwoju. Nadto, skoro mozolne zestawianie kawałków potłuczonej cegły napisowej i ich odczytanie doprowadziło do pewności, że biblioteka Asurbanipala zawiera nadzwyczaj ważne, ciekawe i wielkiej doniosłości historycznej materyały — wysłany został do Niniwy jeden z najbieglejszych asyryologów, Jerzy Smith, w celu specyalnym wyszukiwania dalszych szczątków tejże biblioteki. J. Smith wywiązał się bardzo szczęśliwie ze swego zadania, odszukał i wyzbierał jeszcze kilka skrzyń tych drogocennych pomników piśmiennych.

Główniejsze miejscowości Mezopotamii północnej zostały odszukane i jako tako zbadane: znanem już jest dziś miasto, które Asur wybudował [1], któremu Jonasz groził gniewem Bożym, jeśli się nie upamięta i nie nawróci. W skład tego miasta, zwanego, tak w księdze Rodzaju jak i w księdze Jonasza: *Haec est civitas magna*, wchodziły cztery miejscowości: Niniwa właściwa, Rehoboth Ir, Chale i Resen, które odpowiadają dzisiejszym Kujundżik, Chorsabad, Nimrud i Selamije albo Keremles [2]. Według poszukiwań pułkownika

[1] De terra illa egressus est Assur, et aedificavit Niniven et plateas civitatis (Rehoboth Ir) et Chale. Resen quoque inter Niniven et Chale; *haec est civitas magna*. (Genes, X., 11, 12).

[2] **Ninefe**, נִינְוֵה (LXX: Νινευή), grch. ἡ Νῖνος. Der älteste, nichtsemi-

Jones'a te miejscowości mają obwodu 90 mil angielskich, co właśnie odpowiada długości „trzech dni drogi“ według Pi-

---

tische Name der Stadt ist *Ni-na-a* V. R. 23, 6 a. b. wie die Stadt auch in assyrischen Texten vielsach geschrieben wird: *alu Ni-na-a* Asurn. III. 92. I. R 7 Nr. E, 9. F, 13. Asarh. IV. 50. III. R 48 Nr. 5, 19, auch *Ni-na-a ki* V. R 10, 51 (hier wie auch sonst mit dem Zusatz *alu ṣîru narâm Ištar* „die hohe Stadt, der Liebling Istars“). Die Bed. des Namens erklärt sich, was den zweiten Teil, *na-a*, betrifft, durch K. 4629, wo *Ni-ná-a ki* mit jenem Zeichen *ná* geschrieben ist, welches „sich niederlegen, sich lagern, ruhen“ (assyr. *rabâṣu)* bedeutet: der zweite Teil bed. „Niederlassung, Ruheort, Wohnsitz“. Der erste Teil, *ni*, muss noch unerklärt bleiben; seitdem sich jetzt nachweisen lässt, dass *ni* in der Bed. „Gott“ nicht *ni*, sondern *i (ja-u)*, gesprochen wurde, gebe ich meine frühere zuversichtliche Deutung des Namens als „Gottesruhe“ auf; es scheint das nämliche *ni* vorzuliegen wie in dem babyl. Stadtnamen *Ni-tuk ki*. Die neben *Ni-na-a* sich findende Form *Ninua* — *alu Ni-nu-a* z. B. Asurn. I. 93. 101. III. 91. C b Obv. 28. Rev. 9, und beachte *alu Ni-nu-u* III. R 48 Nr. 3, 8 — erklärt sich dadurch, dass im Nichtsemitischen (und zwar im sumerischen Dialekt) *nu* und *na* in beiderlei Vokalaussprache vorkommt (zu *nu* vgl. II. R 48, 62 e). Das gewöhnliche Ideogramm für die Stadt Ninewe — *(alu) Ninâ ki* passim, z. B. Sanh. III. 39. Asarh. I. 5. Sanh. Raff. 61, hier mit dem Zusatz: *maḫâzi ṣîru alu narâm Ištar* — setzt sich zusammen aus *êš* „Haus, Wohnung“ und *g'a* „Fisch“; eine Tochter des Gottes Ea, des Gottes der Wassertiefe, wird mit eben diesem Ideogramm geschrieben, IV. R 1, 38 b.

Rehobôth Ir, רְחֹבֹת עִיר, schon durch seinen Namen „weite Plätze oder Märkte der Stadt“ als Vorstadt Nineves, der Hauptstadt (עִיר), charakterisiert. Auch die Assyrer kennen dieses Wort רְחֹבָה in der Bed. „Vorstadt“, und zwar lautet die assyrische Wortform *rêbitu;* eine *rêbit Ninâ* wird aber ausdrücklich bezeugt: in die *rêbit Ninâ ki* zieht Asarhaddon bei seiner Rückkehr nach Nineve zuerst ein, Asarh. I. 53. Es lässt sich ferner auch genau bestimmen, auf welcher Seite von Ninewe wir diese ihre Vorstadt zu suchen haben, dies auf Grund der Stelle Sarg. 34, derzufolge Magganûba, die spätere Sargonstadt, heutzutage Dorf Khorsabad *(Ḫorsâbâd)*, am Fusse des Berges Musri oberhalb *rê-bit alu Ni-na-a* lag — die Vorstadt dehnte sich hiernach auf der Nord- und Nordostseite von Nineve aus.

Kelach, כֶּלַח, assyr. *Kal-ḫu* Lay. 45, 34. I. R 27 Nr. 2, 1. Asurn. III. 132, *Kal-ḫi* I. R 27 Nr. 2, 27. Sams. I. 23. I. R 35 Nr. 2, 7. 10. Tig. jun. Rev. 68, *Kal-ḫa* I. R 8 Nr. 3, 6, *Kál-ḫa (kál:* Zeichen *kak)* II. R 53, 6 d. III. R 49 Nr. 4, 55, *Kál-ḫi* III. R 49 Nr. 2, 8, *Kál-laḫ (laḫ:* doppeltes *du)* III. R 2 Nr. V., *Ka-laḫ (laḫ:* Zeichen *sukal)* III. R 2 Nr. XX.; vgl. auch den männlichen Personennamen *Kal-ḫa-a-a* II. R 63, 18 d. Südstadt von Nineve, um 1300 v. Chr. von Salmanassar I. erbaut, von Asurnaṣirpal neu gegründet und zur Residenz erhoben. Die Stadt lag in dem spitzen Winkel zwischen Tigris und oberem Zâb und wird jetzt bezeichnet durch die Trümmerhügel von Nimrûd.

Resen, רֶסֶן, gemäss Gen. 10, 12 „zwischen Nineve und Kelach“, da-

sma św.[1]; pałac w Chorsabad był wprawdzie późniejszy od Jonasza, lecz za czasów jego Chorsabad, według Delitzsch'a, liczył się jako przedmieście Niniwy. Tym sposobem upada zarzut jaki podnieśli racyonaliści, że, według pomników, Niniwa nie była ani tak obszerną, ani tak ludną, jak podaje Jonasz.

Był czas pomyśleć o Babilonie. Miasto zdobyte przez Cyrusa, zwiedzane i opisywane przez Herodota, zaznaczone śmiercią Aleksandra W. było w pamięci wszystkich, a jakkolwiek znikło z powierzchni ziemi, miejscowe podania wskazywały rzadkim podróżnikom ślad jego wspaniałych niegdyś świątyń i pałaców. Wierzono na słowo, nic bowiem dla oka nie przemawiało za temi podaniami: wielkie kurhany, nagie, lub gdzie niegdzie mchem porosłe, rzadko kawał sterczącego muru, ot co pozostało ze słynnego grodu. Nikt nie starał się dochodzić co zawierają te sztuczne pagórki, nikt nie przedsiębrał gruntownych badań — badania te były nawet wówczas niemożliwe. Fanatyczni Turcy i łupiezcy Arabi nie pozwalali swobodnie podróżować Europejczykom, a o rozkopywaniach ani mowy być nie mogło. Do roku 1849 kilku zaledwie podróżników z narażeniem życia pobieżnie rzuciło wzrokiem na zwaliska, i o ich istnieniu zawiadomili Europę. W tym czasie okoliczności się zmieniły, z jednej strony Turcya zgnębiona wojną rosyjską, potrzebowała szukać opieki w Europie, a stąd musiała okazać się skłonną do jej wymagań; z drugiej, odkrycia w Persepolis i Mosulu pobudziły

---

rum nicht mit der oben S. 188 erwähnten Stadt *Rêš-êni* zu verwechseln, in welcher vielmehr das an einem östlichen Quellarm des Chóser noch heutzutage vorhandene *Râs el-'Ain* etwas nördlich von Khorsabad zu sehen sein wird (vgl. über diesen Ort auch Georg Goffmann, l. c., S. 183 f.). Ortschaften dieses Namens giebt es in den semitischen Ländern Hunderte und mag es auch bei Nineve mehrere gegeben haben. Ménant hält Resen für das heutige Dorf *Selâmîje*. Ist Resen dem grch. Λάρισσα gleichzusetzen, einer alten Stadt am Tigris einige Meilen nördlich vom Lykos (Xen., Anab. III., 4, 7), so „hätten wir in jener Form eine Hellenisierung des einheimischen Namens" (Nöldeke). (Dr. Fr. Delitzsch, *Wo lag das Paradies*, Leipzig, 1881, str. 260, 261).

[1] The remains at Khorsabad, Koyunjik, Nimrud and Keremles marked the four corners of this vast quadrangle, which contained an area of 216 square miles — about ten times that of London. G. Rawlinson, *The five great Monarchie*, 2 edit., I. p. 248. Ob. rów. Niebuhr, *Assur und Babel*. p. 274, 277.

uczonych archeologów do poszukiwań nawet z narażeniem zdrowia. W. K. Loftus pierwszy rozpoczął naukowe badania w południowej Mezopotamii, Layard, Sir Rawlinson, Taylor, Rassam, poszli w jego ślady; z francuskich uczonych zasługują na zaszczytne wspomnienie Oppert i de Sarzec.

Zanim przystąpimy do opisu odkryć w południowej Mezopotamii, musimy zwrócić uwagę że budowle w całym tym kraju wznoszone były z cegieł. Pismo św. zaznaczyło tę charakterystyczną cechę budowli w ziemi Sennaar[1], obecne badania stwierdziły ją i wskazały zarazem przyczynę. Południowa Mezopotamia nie posiada kamieniołomów, powstała z naniesionego przez rzeki namułu rzecznego, grunt ma wszędzie gliniasty, doskonały materyał na cegłę. Wyrabiano tedy cegły, suszono je na słońcu, czasami wypalano: z tego materyału wznoszono budowle. Skoro gmach skutkiem pożogi lub zaniedbania uległ zniszczeniu, upadały piętra, mury sklejały się rozmokniętą gliną i tworzyły pagórek, który od naturalnego różnił się tem na zewnątrz, iż napotykano w nim czerepy i odłamy wypalonej cegły. Stąd wszystkie zwaliska dawnych gmachów w Mezopotamii przedstawiają się jako proste, ale zarazem olbrzymie kurhany lub mogiły. Takich mogił w południowej Mezopotamii liczą bardzo wiele, niektóre tylko z nich zostały dotąd zbadane. Zaczęto od Babilonu, z wieku mu i godności to pierwszeństwo się należało.

Miasto dzisiejsze Hilleh albo Hillah, nad Eufratem, leży mniej więcej w środku olbrzymiego kwadratu, mającego 576 kil. kwad. powierzchni, na którym niegdyś wznosił się gród Nabuchodonozora. Cała ta przestrzeń po obu brzegach rzeki przedstawia się jako step bezleśny, pokryty w znacznej części bajorami i wystającymi gdzie niegdzie kurhanami. W obrębie dawnych potrójnych murów, które otaczały Babilon napotyka się pięć większych zwalisk: Babil, Kasr, Amran, Dżumdżuma i Birs-Nimrud; każde z nich ma swe cechy właściwe i oddzielne historyczne znaczenie.

Zwaliska Babil'u wysunięte są najbardziej na północ, w pobliżu murów zewnętrznych. Obecne gruzy mają 40 m. wysokości, południowa zaś ściana budynku, najlepiej zachowana wynosi jeszcze

---

[1] Pódźcie naczyńmy cegieł i wypalmy ją ogniem. I mieli cegłę miasto kamienia, a ił klejowaty (bitumen, asfalt) miasto wapna. Ks. Rodz. XI., 3.

180 m. na długość. Miejscowość ta nie była dostatecznie zbadaną, cegły tam znalezione noszą wycisk Nabuchodonozora, innego dokumentu tam nie odszukano. Większa część asyryologów utrzymuje, że to są gruzy świątyni, która w napisach klinowych nosi nazwę *Bit-Saggatu*. Jest rzeczą prawdopodobną, że gruzy te są dawną świątynią Belus'a, której opis zostawił Herodot, albo grobem Belus'a wzmiankowanym przez Dyodora. Według pisarzy greckich była to piramida mająca 550 stóp wysokości, czyli 180 m., wyższa zatem od piramidy egipskiej Kufu (Cheops'a), która miała tylko 150 m. W tej świątyni miały się znajdować ogromne bogactwa. „Dyodor Sycylijski, pisze Fr. Lenormant [1], opisuje tak szczegółowo posągi bożków, które się znajdowały w świątyni Bit-Saggatu, iż należy wnosić, że je czerpał z dokumentów urzędowych. Posągi te wraz z ołtarzami i innymi przyborami, złupione przez Kserksesa, stanowiły ogromną masę złota, wynoszącą 5 850 talentów, czyli 143 539 kilogr. na wagę, wartość ich zatem była 430 677 000 franków". Aleksander W. przerobił świątynię na fortecę; po jego śmierci została opuszczoną, a materyały budowlane zostały w znacznej części użyte do budowy Seleucyi i Ktezyfonu.

Nieco na południe od Babilu, na lewym brzegu Eufratu, wznoszą się zwaliska, które Arabi zowią „El Kasr" (zamek). Poszukiwania za skarbami w ciągu kilkunastu wieków, zamieniły te gruzy na małą Szwajcaryę, jak się wyraził Oppert, złożoną z dolin i pagórków; tych ostatnich liczą do 300. Rassam przy dokładniejszem badaniu w r. 1879 odnalazł tu szczątki dawnego budynku; pokruszone ozdoby z marmuru i polewanych cegieł podawały myśl o jego przeznaczeniu, napisy zaś stwierdziły, że był to pałac Nabuchodonozora, który on wystawił w ciągu dni piętnastu, a o którym wspomina Józef Flawiusz idąc za Berozusem [2].

Dalej ku południowi napotyka się pagórek, o podstawie tra-

---

[1] *La divination chez les Chaldéens*, p. 192.

[2] Oprócz cegieł z wyciskiem Nabuchodonozora, znaleziono tu również płyty kamienne z napisem: „Wielki pałac Nabuchodonozora, króla Babilonu, który cześć bogów Nebo i Marduka, swych władców powiększa". W napisie znajdującym się obecnie w British Muzeum stoi wyraźnie: *ina XV yumi sibirsa asaklil*, co znaczy: „w piętnastu dniach dokonałem wspaniałego dzieła". Ob. Fr. Kaulen. *Assyrien und Babylonien*, str. 79.

pezoidalnej; boki jego mają 300 i 500 m. dług., szczyt wznosi się na 30 m.; Arabi zowią tę miejscowość „Tell-Amran". Znajduje się tu wiele grobowców z różnych czasów, wszystkie prawie od dawna były przetrząsane. Oppert uważa te wzgórza za zwaliska ogrodów wiszących, inni asyryologowie umieszczają je w Babilu.

W pobliżu, na lewym brzegu Eufratu, znajduje się kurhan zwany „Dżumdżuma". J. Smith zakupił był od Arabów w r. 1875 w Bagdadzie, sporą ilość tabliczek glinianych z napisami, były to stare księgi handlowe i pochodziły z Dżumdżumy. W r. 1879 Rassam przedsięwziął systematyczne rozkopywanie kurhanu, i wiele setek podobnych tabliczek odnalazł; wszystkich tabliczek napisowych z Dżumdżumy jest dziś blisko 3.000 i znajdują się w British Muzeum. Tenże sam asyryolog znalazł tu pierwsze dokumenta historyczne chaldejskie, pochodzące z czasów Nabuchodonozora, Cyrusa i Aleksandra W.

Największym i najważniejszym pomnikiem babilońskim są zwaliska znajdujące się na prawym brzegu Eufratu, o 12 kilom. na południowym Zachodzie od Hilleh, znane pod nazwą „Birs Nimrud". Wzgórze to ma kształt głowy cukru, szczyt jego wznosi się na 46 m. nad poziomem, przy podstawie ma obwodu 700 m.; połupane cegły i sterczące odłamy muru, zeszklonego od ognia wskazują, iż dzisiejsze zgliszcza były niegdyś ogromnym gmachem. Sir H. Rawlinson wynalazł w fundamentach walce napisowe, które obznajmiają nas z dziejami tej budowli. Nabuchodonozor opowiada w nich, iż w odległych czasach król jakiś zbudował tu wieżę, mającą „czterdzieści miar ziemi", lecz jej niedokończył, „wielki bóg Marduk natchnął mnie do jej odbudowania" nienaruszając jej podstaw rozpoczął budowę na dawnych fundamentach, nie żałował „srebra, złota, kruszców, kamieni drogich i drzewa cedrowego". Wieżę tę nazywa „świątynią Siedmiu świateł ziemi, Zigurat Bab-Ilu, Zigurat Barsippa". Herodot podziwiał własnemi oczyma wspaniałość tej świątyni i zostawił jej opis. „Podstawą jej, pisze on, jest kwadrat mający dwa stadia długości boku. W środku znajduje się wieża kwadratowa również, której bok równa się jednemu stadium. Na tej wieży stoi druga, a na drugiej trzecia i tak dalej, wież wszystkich jest osiem". Dziś wieże te nie istnieją, a przynajmniej nie dają się rozpoznać, jednakże według zdania badaczy, dwie tylko

górne wieże rozsypały się w gruzy, inne są zasypane, i będzie można je kiedyś odgrzebać. Ze zwaliskami w Birs-Nimrud łączą się podania odnoszące tę budowę do najdawniejszych wspomnień historycznych: wieża, którą tu jakiś poprzednik Nabuchodonozora budował a nie dokończył, ma być biblijną „Wieżą Babel".

Dawni pisarze: Polihistor i Abyden przytaczają to podanie[1], Żydzi babilońscy stwierdzali je w swym Talmudzie, Benjamin z Tudeli zwiedzający Babilon w XII-tym w. wspomina, że mieszkańcy tutejsi uznają w zwaliskach Bor-sippy dawną „Wieżę Języków". Sama nazwa Babilonu zdaje się utwierdzać to mniemanie. Chaldejczycy nazywali to miasto „Bab-Ilu", „brama Boga", lecz w spokrewnionym języku hebrajskim mogło się nazywać „Bilbal", albo „Bilbul", od wyrazu „balal", który znaczy „pomieszanie" *(confusio)*. Rabini używają wyrazu „bilbul" w tem znaczeniu[2]. „Nazwa mistyczna Babilonu i obrazowe przedstawienie wyrazu Borsippa, pisze Lenormant[3], są stanowczym dowodem, że podanie to było narodowe i starożytne. Nazwa Babilonu składa się z trzech znaków głosowych: *din, tir, ki*, pierwszy znaczy ‚korzeń', drugi ‚język', trzeci ‚miasto', Babilon zatem wyraża ‚miasto korzeni językowych'". Nazwa zaś Borsippy składa się z Bar-Sip, co znaczy „wieża Języków"[4]. Te wszystkie wywody, jakkolwiek bardzo poważne, nie są jednakże jeszcze dosyć przekonywującemi, należy czekać na dalsze odkrycia.

Oprócz samego Babilonu inne niektóre miejscowości południowej Mezopotamii były dokładniej badane, na pierwszorzędną wzmiakę zasługuje mianowicie Warka i Mugeir.

Lewy brzeg Eufratu począwszy od Hilleh, zalega ku połud-

---

[1] Euzebiusz podaje w *Chron. Arm.* (Migne, *Patrol. graec.*, t. XIX, col. 116) następujący wyjątek z Polihistor'a: „Sybylla ait omnes homines, una lingua utentes, turrim illam celsissimam extruxisse ut in coelum conscenderent; Deum vero fortissimum, vento afflato, turrim dejecisse, peculiaremque singulis sermonem tribuisse, ideoque et urbem Babylonem esse appellatam".

Abydenus zaś mówi (loc. cit. Migne: „Tunc a diis confusio varia et dissona linguarum in eos, qui una lingua utebantur, immissa est".

[2] Buxtorf, *Lexicon chaldaicum et talmudicum*, col. 309.

[3] *Essai de commentaire de Berose*, p. 349. *Essai sur un document mathématique chaldéen* (notes, p. 12).

[4] Oppert, *Études assyriennes, Journal asiatique* 1857, t. X. p. 220.

niowi szeroki i długi (30 mil) pas bagnisty, dostępny tylko w niektórych porach roku; w tym właśnie pasie leży Warka badana przez Loftusa. Asyryolog angielski tak opisuje wrażenie jakie nań widok Warki wywołał. „Większe jest tu zniszczenie, pisze Loftus [1], większe pustki, aniżeli w Babelu. Jak oko zasięgnie dokoła, niema tu żadnych oznak życia, żaden strumień nie orzeźwia tych ziem, żadna palma nie zieleni się na gruzach. Nigdy orzeł nie unosi się nad smętną pustynią, żaden ptak, żaden owad nie przerywa tu grobowej ciszy; same nawet hyeny i szakale zdają się unikać tej miejscowości. Fałdziste porosty rozsiadłe na powierzchni gruzów szczycą się tu niezaprzeczonem przez nikogo władztwem. Wiele już widziałem obrazów zniszczenia, ale widok Warki przechodzi wszystkie. Wznoszą się tu wysokie nasypy z gliny czerepów i miału, lecz wszelki ślad jakiegokolwiek kształtu ginie wśród bezładnie rozrzuconych cegieł i rumowiska; mur gdzie niegdzie sterczący wywiera jeszcze głębsze wrażenie zniszczenia tu dokonanego. Sama nawet nazwa miejscowości poszła w zapomnienie u okolicznych mieszkańców, i ledwie coś w ich pamięci pozostało. Niniwa, Babilon, Suza mają swoje podania, jedna stara, święta Warka została zapomnianą! Stanąwszy na najwyższem wzgórzu, zwanem Buwarjeh podróżny drętwieje ze zdumienia na widok starożytnych zwalisk i niezmiernej masy rumowiska. Nieregularne koło, którego średnica wynosi prawie godzinę drogi, jest oznaczone przez resztki wału ziemnego, który w niektórych miejscach do 12 m. wysokości się wznosi. Ta rozległa wyżyna otoczona wałowemi wzniesieniami, spieczonemi żarem słonecznym a poprzerzynana wypłukanemi parowami, ciągnie się od północy ku południowi. Wąwóz od 6 do 15 m. głębokości dzieli tę wyżynę na dwie nierówne części, na nich się znajdują najważniejsze resztki zabudowań Warki. Na zachodniej krawędzi części północnej widać rozległe rumowisko z cegieł wśród sterczących jeszcze murów; mogła to być świątynia, albo groby królewskie. Porostami pokryta powierzchnia wskazuje, iż wiele lat już upłynęło od czasu, kiedy ręka ludzka wznosiła te budowle. Pagórki niższe, nieregularne, odłączone od wyżyny, składają się przeważnie z czarnych żużli i dają do myślenia, iż budynki zniszczone

[1] *Travels*, pp. 199 i nast.

były pożarem. W pobliżu wałów wznosi się stożkowy kurhan, prawdopodobnie była to niegdyś strażnica. Jak daleko rozciągało się stare miasto nie wiadomo, lecz o parę godzin drogi od wałów spotykają się mury i rumowiska, świadczące o rozległych przedmieściach. Arabi uważają Warkę za schronisko złych duchów, we dnie nawet stronią od niej, a za żadne w świecie pieniądze nie przepędziliby tu nocy".

Głęboki parów dzieli Warkę na dwie części: Buwarieh i Wuswas. Buwarieh ma kształt stożka, lecz właściwie jest to wieża kwadratowa, której bok przy podstawie ma 65 m. długości, jej zaś wierzchołek wznosi się na 34 m. nad powierzchnią. Wieża była budowana z cegieł suszonych na słońcu, rozmiarów bardzo różnych, spajane zaś były asfaltem. Znalezione napisy odnoszą się do króla z Ur, nazwiskiem „Urea", a zatem do 30 go w. przed Chr. Zwaliska w Wuswas są prostokątne, mają one 500 m. dług., 210 m. szerok., wznoszą się na 16 m. Dawny budynek podzielony był dziedzińcami na kilka części; każda z nich stanowiła osobną całość, wzniesiony był dość wysoko nad poziomem, szerokie schody doń prowadziły. Cegły tych rumowisk oznaczone są jakimś trójkątnym znakiem, gdzieniegdzie napotkano napisy całkiem nieczytelne.

Tak materyał jak i sposób budowania poddają myśl, iż ten budynek sięga odległej starożytności. Asyryologowie godzą się już dziś, że Warka jest miastem Nemroda, biblijnym *Erech*, Ορεχ według LXX. tłumaczy, greckiem Ορχόη; po chaldejsku wymawiało się prawdopodobnie *Uruk*.

Poszukiwania Loftus'a i Taylor'a wykazały, że Erech było wielką nekropolą chaldejską. Z wyjątkiem małej przestrzeni zajmowanej przez budynki, ogromna wyżyna obwiedziona wałem, dalszy nawet step po za obwarowaniem, były zbiorem grobowców; przez jakie 25 wieków składano tam ciała zmarłych z Chaldei, a może i z Asyryi. „Pokłady trumien, pisze Loftus[1], tak są liczne, iż zwiedzający niedowierza własnym oczom. Z wyjątkiem trójkątnej przestrzeni, którą zajmują zwaliska budynków, cała wyżyna aż do murów i pustynia za nimi położona, jest przepełniona grobami. Niema zapewne na świecie podobnej miejscowości, grobowce nawet

[1] Loc. cit.

Teb egipskich razem wzięte nie mogą iść w porównanie z cmentarzyskiem Warki. Od czasu swego założenia przez Urucha aż do Partów włącznie, Warka była świętem miejscem, w którem grzebano umarłych, była ona *campo santo*".

Chaldejczycy równie jak Egipcyanie usiłowali zachować ciała zmarłych od zepsucia, lecz klimat Chaldei nie nadawał się tak dobrze jak klimat Egiptu do długiego przechowywania zwłok — robili jednak co mogli. Owijali ciało płótnem maczanem w asfalcie i składali je do sarkofagu glinianego; sarkofagi umieszczano na wzgórzach, starannie drenowanych, i dzisiaj po tylu wiekach znajdują szkielety doskonale zachowane, lecz za dotknięciem w proch się rozsypują — mumje mogły tylko istnieć w suchych piaskach libijskiego Egiptu.

Warka nie była jedynym cmentarzyskiem w Chaldei: na prawym brzegu Eufratu, o 10 mil na południe od Warki, znaleziono miejscowość zwaną Mugeir, która niegdyś była również nekropolą chaldejską. Wzgórza Mugeir'u otoczone są bagnami, dostać się można do nich na łodziach, i to nie w każdej porze roku, a zawsze z narażeniem zdrowia z powodu zaraźliwych wyziewów. Taylor badał tę miejscowość.

Przestrzeń wynużona z bagnisk zajmuje 65 hektarów i składa się z kurhanów owalnych, wśród których wznoszą się zwaliska czworograniaste starego budynku. Mury są z cegieł, częścią suszonych na słońcu, częścią wypalanych, spajane były asfaltem w dolnem piętrze, w wyższem zaś zaprawą z gliny i piasku. W pobliżu odkopano resztki dobrze zachowane domu mieszkalnego, podłogi były wyłożone płytami ceglanemi. Przy rozkopywaniu kurhanów okazało się iż one były rzeczywistemi mogiłami. Sposób grzebania umarłych zasługuje na uwagę. Na glinianej płycie rozciągnięta jest rogoża z sitowia napuszczona asfaltem, kościotrup spoczywa na boku, zwyczajnie lewym, głowa na cegle suszonej, nogi razem ściągnięte. Prawe ramię wysunięte jest na rogożę, ręka przytrzymuje misę bronzową, do której nachylone są palce lewej ręki. Walce kamienne, czasami kruszcowe umieszczone są między piszczelami nóg i pod pachami, często walec z bronzu lub kamienia meteorycznego, opatrzony napisami, przywiązany jest u przeguba ręki. Obok bronzowego naczynia leży laska bambusowa, albo chrząstka ryby zwa-

nej piłą, dalej u nóg kilka miseczek glinianych z ościami rybiemi, kośćmi kur, ziarnkami palm, wreście dzbanek gliniany z kubkiem do picia. Kościotrupy niewiast miały złote pierścienie, naramienniki i różne ozdoby z agatu, nie rzadko znajdowały się muszle pełne pierścieni. Sarkofagi ustawione były na sztucznie wzniesionych, drenowanych wzgórzach. Grobowce pokrywały nie tylko całą wyżynę Mugeir, lecz rozciągały się poza nią w promieniu dotąd nieznanym.

Taylor znalazł w Mugeir'ze wiele cegieł i walców napisowych [1]; z ich odczytania doszli asyryologowie iż miejscowość ta jest starożytnym grodem, *Ur Chaldejskiem*, kolebką Abrahama. Dokumenta wynalezione w Ur rzucają światło na ostatnie chwile Babilonu i stwierdzają opowiadanie zawarte w księgach Daniela.

Pomimo trudności i zabójczego klimatu, skutkiem którego W. Loftus i J. Smith życiem przypłacili swą gorliwość naukową, nie ustawały badania w Chaldei; asyryologowie zbadali cały szereg prastarych grodów: Kuta, Nippur (Niffer), Senkerach (Larsam), Sippara (biblijne Sepharvaim). W r. 1879 Rassam rozkopując kur-

[1] I mentioned before that, at each corner of the second story, there was a breach in the wall, as if somme kind of entrance had formerly existed. I began excavating the S. W. corner, dearing away large masses of rubbish formed of the remains of burnt mingled with sun dried bricks. I worked along, at a depth of 10 feet and a breadth of 6 without finding any thing. I then returned, and worked a few feet north along the brick casing of the western wall; here, 6 feet below the surface. I found a perfect inscribed cylinder. This relic was in the solid masonry; it had been placed in a niche formed by the omission of one of the bricks in the layer, and was found standing on one end. I excavated somme little distance further without any success and then relinquished this corner for the N. W. one. Here, also, I found a second cylinder similar to the one above mentioned, but at 12 feet from the surface. At this corner I sank a shaft 21 feet deep by 12 broad. The sundried bricks, composing this solid mass within, were here of an amazing thickness; their size was 16 inches square and 7 inches thick... Having thus found two cylinders in the solide masonry in two corners I naturally concluded the same objects would be found in the two corners still remaining. I sank a shaft in each and found two other cylinders precisely in the same position and in the same kind of structure, one at 6 and the other at 2 feet from the surface. This is easily accounted for, when looking at the irregular surface of the ruin, which at the S. E. corner and S. side generally, has been subject to greater ravages from rain than the other sides, owing to the great depression of the surface towards these points. Taylor, *Jour. of the R. A. S.* vol. XV., part. II., pp. 263—264.

han *Tell Abu Habu*, na południe od Bagdadu, dostał się do fundamentów wielkiego budynku. Izby były długie, wąskie, i otaczały obszerny dziedziniec; jedna z izb większych rozmiarów widocznie była świątynią, pozostały jeszcze ślady ołtarza. Po przebiciu posadzki asfaltowej napotkano tu kamienie pamiątkowe przy fundamentach; napisy na nich umieszczone wykazały przeznaczenie tego budynku, czas jego wzniesienia i nazwę miejscowości. Lecz tu jeszcze nie koniec. W pobliżu tejże świątyni dokopano się jakiegoś sklepionego budynku, a w nim znaleziono wielką ilość (50000) tabliczek napisowych, starannie ułożonych. Była to biblioteka chaldejska. To odkrycie było nieocenionym skarbem dla asyryologów, słusznie spodziewano się że odczytanie jej nie tylko potwierdzi wiadomości zamieszczone w bibliotece Niniwejskiej Asurbanipala, lecz nadto uzupełni jej braki. Ponieważ tabliczki napisowe z Abu Habu były wyrabiane z gliny i suszone tylko na słońcu, przeto aby je przewieść bez uszkodzenia do Londynu, Rassam kazał je przepalić w ogniu i po starannem umieszczeniu w skrzyniach wysłał je do British Muzeum. W kilka lat potem (1882 r.) tenże sam asyryolog przesłał jeszcze do Londynu kilkaset różnych dokumentów, które był nabył od Arabów z Bagdadu; ci bowiem ostatni dowiedziawszy się że Anglicy płacą funtami za tabliczki napisowe, na swoją już rękę robili poszukiwania. Nie obeszło się też bez nadużyć: znaleźli się zręczni fałszerze, którzy podrobione przez siebie tabliczki sprzedawali za stare dokumenta.

W r. 1876 de Sarzec, konsul francuski w Bassorah rozpoczął na swój koszt poszukiwania w południowej Chaldei, a skoro udało się mu odkryć w Tello dość znaczne zwaliska, rząd francuski przyszedł mu w pomoc zasiłkiem pieniężnym; rozkopywania wówczas zaczęły się na większe rozmiary i w ciągu lat kilku nagromadzono pokaźną ilość zabytków odnoszących się do najdawniejszych czasów kultury chaldejskiej. Zbiory de Sarzec'a znajdują się dziś w Luwrze; uczeni asyryologowie pracują nad ich uporządkowaniem i odczytaniem. (C. d. n.)

X. W. Zaborski.

JANSSEN I HISTORYA REFORMACYI.

(Tom V. od r. 1580—1618).

(Dokończenie).

Na niemniejszą uwagę jak poprzednie zasługuje dzieło „Ul“ Fischarta, od protestantów nazwane, „ze wszechmiar prawdziwą, chrześcijańską, a przytem wesołą książką dla ludu“, które atoli przepełnione jest najszkaradniejszemi grubiaństwami i kłamstwami. „Ul“ kościoła katolickiego nie jest właściwie dziełem Fischarta, lecz Filipa Marnika, niderlandzkiego kalwina — a zostało tylko przez Fischarta na język niemiecki przełożone i wieloma dodatkami opatrzone. W prawdziwie szatański sposób wyraża się tu bohater rewolucyjny, Marnik, o Przenajświętszym Sakramencie Ołtarza, przedrwiwa najświętsze ceremonie mszy św. bezbożnie i po prostacku. Lecz nie tylko obrzędy i świętości Kościoła, ale i wieczerza pańska jest dla niego prawdziwym „kafarnaizmem“ [1]. Następnie obrzuca plugawem szyderstwem obrzędy Chrztu Świętego [2]. Katolicy są według niego szczerymi poganami, bo modlą się do świętych, jak poganie do bożków. Krzyż nazywa bluźnierczo „krową dzwonników“, ostatnie olejem świętym namaszczenie i wszystkie obrzędy obryzguje podobnym kałem. Słusznie nazwano tę książkę płodem piekielnym. A jednak była ona skwapliwie rozchwytywaną i czytaną [3]. Niemniej wrogo rzucił się Fischart na Jezuitów: „Że Jezuici powstali nie przez Boga, ale przez

---

[1] Str. 336. [2] Str. 337. [3] Str. 339.

djabła", było według Konrada Schluesselinga dogmatem protestanckim. Dla tego są oni tylko wcielonymi djabłami, znamienitymi djabłami z dziewiątego rozdziału apokalipsy. Kto tym djabłom wierzy, ten jest pozbawiony rozumu, kto ich nie ma w nienawiści, ten Boga nie kocha, kto się broń Boże, z nimi zadaje, podpada wiekuistemu potępieniu" [1]. Że Ojcowie są zdrajcami i prześladowcami Chrystusa, to rzecz całkiem jasna, że są lisami, bezecnymi, nędznymi, szczwanymi łajdakami, to rzecz znana. „To szelmy, Żydy, Turki, pogany" — głosi Łukasz Osiander z ambony.

Wielkie wrażenie zrobiła historya powstania Towarzystwa napisana wierszem Fischarta, gdzie nawet najświętsze rzeczy brutalnie błotem obrzucono. „Kapelusz jezuicki w 1140 wierszach". Paszkwil ten przedstawia, jak djabeł w celu rozszerzenia swojego państwa stworzył jednorożny kaptur. Następnie stworzył dwurożną infułę biskupią — wiersze nad wszelką miarę brudne... Po trzecie stworzył djabeł trójrożną tyarę papieską; ta zawiera w sobie mściwość, zazdrość, lubieżność, truciznę, bunt, zdradę, przeklinanie zwierzchności, sodomią, czarnoksięstwo. Wreszcie zwołuje djabeł całe piekło, żeby stworzyć kapelusz jezuicki. „Weźcie, mówi szatan, cztery razy więcej trucizny, niż dotąd — smoły z Sodomy i Gomory, dużo djabłów, praktyk krwawych, okropności, podżeganie do mordu, grzechu, zdrady — i zróbcie z tego kapelusz dla tych, którzy dziewięć nazw noszą — dziećmi szatana niech się zowią! Wreszcie poświęca go djabeł i udziela mu siły czarodziejskiej [2]. I tę nędzną robotę nazywa Vilmer w historyi literatury „arcydziełem!". Nawet „uczeni teologowie" poszli w ślad Fischarta. Jezuitów nazywano z kazalnicy: „potworami, dziwolągami, kacerzami, ateistami etc. Prócz tych pięknych tytułów przypisywano im straszne zbrodnie np. że w Monachium kastrowali chłopców i t. p., również że namówili tamże biednego jakiegoś człowieka, by udał umarłego — że następnie Jezuita wskrzesił go, ale ten w istocie umarł — że w Augsburgu kilku przy rozpuście ubito — i wiele innych straszliwych zarzucano im zbrodni. Naturalnie kazała zwierzchność, nawet protestancka, dochodzić

[1] Str. 506. [2] Str. 508 i n.

tych mniemanych zbrodni, i pokazało się, że wszystko było kłamstwem — Ojcowie dostali jak najlepsze świadectwo. Rozumie się, że kaznodzieje protestanccy pokrywali to milczeniem i kłamali dalej [1]. Jak grzyby po deszczu pleniły się „historye Jezuickie“ kute na wzór Fischarta — rzeczy pełne najplugawszych obrazków i tytułów. Niektórych Ojców, szczególniej atoli błogosł. O. Kanisiusza, O. Greteriusa, przedstawiano w postaci olbrzymich djabłów. W przeciwpolemice posunęło się kilku Ojców, np. O. Vetter, za daleko, tj. odpłacali miarką za miarkę. Ojciec Kanisiusz skarcił ich jednak z tego powodu surowo. Pokazuje to Janssen zupełnie bezstronnie [2].

Obok tych skrytych zbrodni, które na Jezuitów wymyślano, głoszono jako pewnik, że Jezuici mieszali się do wszelkich spraw politycznych. „Kłamią i zmyślają na Jezuitów“, pisze O. Scherer w r. 1586, „co tylko da się wymyśleć; wszystko złe, jakie się na świecie dzieje, zrobili Jezuici“. Z większym humorem wyraża się O. Rozefino: „Jesteśmy, według zdania kacerzy, przyczyną wszelkich wojen, mamy w swoich rękach królów i książąt, i co chcemy, to się stać musi, a jednak wzbraniają nam nasze konstytucye mieszać się do spraw świeckich, co też w praktyce wykonywanem bywa; za przykład niech posłuży książe Wilhelm bawarski, który O. Grzegorza z Walencyi, rektora w Monachium, chciał wciągnąć w sprawy swojego państwa, na co jednak jenerał O. Aquaviva nie pozwolił“ [3]. Pomimo to kłamano dalej: „że Jezuici mają na sumieniu rzeź nocy św. Bartłomieja, śmierć króla portugalskiego Sebastyana, niemniej śmierć syna króla hiszpańskiego (Don Carlosa)“. „W sztuce mordowania są Jezuici o wiele większymi mistrzami, niż papieże“. „Papieże namordowali w 30 latach 900.000 ludzi, a Jezuici w samych Indyach 2 miliony. Czegoż możemy spodziewać się dla Niemiec od tych okrutników?“ „Ach! w kolegiach swoich mają Jezuici ukryte miny, żołnierzy, broń, z pomocą których zniszczą lada dzień miasto! woła kaznodzieja Wolfius — precz więc z nimi z Niemiec, wybijcie ich do nogi!“ [4]. „I te szczwane lisy, które w wielkie święta krew ludzką piją, jak wiemy z ust wiarogodnych, ci służalcy szatana, mordercy, ta zatracona sekta jezuicka, to krwiożercze plemię, wzrosło już (1597) na tysiące“ woła inny predykant [5]. O, straszna to rzecz!

---

[1] Str. 513. [2] Str. 521. [3] Str. 530. [4] Str. 533. [5] Str. 533.

czyż można choćby kilka godzin życia szczęśliwie spędzić, nikt wiedzieć nie może, w jakiej postaci ci jezuiccy siepacze przez sługi, kupców, kramarzy, handlarzy, rzeźników, piekarzy, i w przeróżnych postaciach dybią na życie nas nieszczęsnych, udręczonych chrześcian, woła jedno ulotne pismo“ [1]. Stąd to stał się strach przed Jezuitami między pospolitym ludem, główną plagą owych czasów.

Do zacieklejszych wycieczek przeciw Jezuitom była powodem książka O. Mariany „o wychowaniu króla“. Jak najsubtelniej wykazuje ks. prałat Janssen [2], że tak Luter, jak i Melanchton wyraźnie i otwarcie do mordowania „tyranów“ wzywali. „Niema żadnej przyjemniejszej ofiary dla Boga, jak zabity tyran“ [3]. Równie jasno i wyraźnie wyraża się w tym względzie Zwingli i Kalwin, podobnie inni kalwiniści i protestanci. Kiedy więc O. Mariana z podobnem odezwał się zdaniem, które jednak cały zakon natychmiast publicznie potępił, rzucili się luteranie i kalwiniści zażarcie na dziełko i poczęli w skarykaturowanych i przesadnych rysach przedstawiać tę naukę, i z muchy zrobili słonia. Zamilczano naturalnie o tem, że cały Zakon odrzucił tę naukę na generalnem zebraniu w Rzymie, a głoszono całemu światu, że „Jezuici każą wszystkich tyranów mordować, a ponieważ wszyscy książęta wyznania ewangielickiego są tyranami, należy ich przeto wymordować“. Przeciw temu wystąpili wszyscy niemieccy Jezuici, ale mimo to kłamano najspokojniej dalej, nie pomnąc, że to właśnie ci „ojcowie czystego ewangielizmu“ byli mistrzami królobójczej nauki.

Nowego materyału do obelg i klątw na papieża i Jezuitów dostarczyło poprawienie kalendarza przez Grzegorza XIII. Że kalendarz juliański wymagał sprostowania, było rzeczą powszechnie wiadomą; ponieważ jednak pierwsza myśl pochodziła od papieża, „była dziełem czarta“ [4]. Niemal wszędzie poprawę przyjęto, nawet w Brandenburgii. W jej obronie wystąpili bardzo gorąco protestanccy astronomowie: Tycho Brahe i Keppler, ale protestanccy teologowie, szczególniej w południowych Niemczech, burzyli się przeciw niej. Najprzód starali się nowy ten kalendarz „ośmieszyć“, powiadając, że jest „dziwolągiem“, „dziecinnym“,

[1] Str. 530. [2] Str. 537—43. [3] Str. 537. [4] Str. 344.

„głupim“. Skoro im się to jednak nie udało, zaczęli krzyczeć, że „jest zaburzeniem i złamaniem religijnego pokoju“, że zmierza „do sprowadzenia krwawych zatargów pomiędzy Niemcami“. „Od babilońskiej wszetecznicy nic nie przyjmiemy“ [1], wołali nawet, rozognieni w swej ślepej nienawiści uczeni panowie na tübingskim uniwersytecie i zawezwali zbrojnej pomocy księcia Würtemberskiego, przeciw.... kalendarzowi. Kwestya kalendarza nie tylko przewróciła głowy tym uczonym panom, ale nawet cały materyalny porządek rzeczy.

„Przy zjawieniu się jego działy się straszne cuda na niebie, jako ostrzegające znaki dla „dobrych chrześcijan“ tj. protestantów. Przez 10 dni widziano straszliwe komety, w Wiedniu strąciła burza orła z wieży, jak również krzyż z kościoła jezuickiego. W Saksonii zmieniła się woda w stawie w krew, a trwało to przez 6 dni. W Morthingen (w Lotaryngii) działy się jeszcze ciekawsze rzeczy: księżyc przybrał rysy niewieście i krzyczał ustawicznie ku ziemi: „Biada, biada!“ W Vogtlandzie zstąpił nawet księżyc na ziemię w postaci wilka i ostrzegał ewangelików przed kalendarzem antychrystów. Co więcej, wielu wieśniaków słyszało, jak zawołał: „Biada, biada, krew, krew, Papież i Jezuici!“. Tak opowiada r. 1583 pobożny Lambert Floridus Pleninger [2]. Pokazują się ryby z głowami papieskimi, rodzą się dzieci z 2, 3 lub więcej głowami — niektóre rodzą się ze złotym zębem, niektóre w pluderkach, kołnierzach i t. p. i proroczą; często znów pokazuje się djabeł — zwyczajnie w postaci Jezuity i podobnych lisów [3]. Przytem gniewali się ci pobożni ludzie nadzwyczajnie, że nie wszyscy chcieli wierzyć w te wszystkie „straszliwe rzeczy, znaki ogniste“, dlatego też zebrał w r. 1589 jeden „prostaczek a sługa Chrystusa“ kalendarz, Papieża i Jezuitów do kupy i posłał ich razem do piekła.

Lepiej postąpił sobie w tej mierze profesor matematyki Michał Maestlin. Przekonał on elektora Ludwika z palatynatu, że twórcy kalendarza są heretykami: „Wszak pewną jest rzeczą, że dzień ostateczny lada chwila zapadnie, a Papież i Jezuici swoim wiecznym kalendarzem *(Kalendarium perpetuum)* przeczą temu; również wypierają się Chrystusa i św. Piotra [4].

---

[1] Str. 348. [2] Str. 349 i n. [3] Str. 358. [4] 2 vers. 3. Str. 352.

Gdy Rudolf II. zaczął ten kalendarz w swoim kraju wprowadzać, posypały się z kazalnic protestanckich gwałtowne krzyki i łajania. „Papież i djabeł to jedno, kto ich więc słucha, ten winien wiekuistego potępienia“. Tak oświadczyło uroczyście z kazalnicy 7 austryackich predykantów. „Nowy kalendarz jest wytworem papieża i Jezuitów“, krzyczał inny predykant, „którzy w ten sposób chcą Niemcy wprzęgnąć w swoje jarzmo. Nowa ta astronomia jest również jak to, co Kopernik głosi, w sprzeczności z pismem św. — i została już przez Lutra potępioną“. A więc: *Luter locutus, causa finita!* „Antychryst i Jezuici“ — mówi tenże sam dalej „chcą się przez rozum, płód szatański i kalendarz między nas wślizgnąć“. Co więcej, przedstawiano biednemu chłopkowi, że z kalendarzem wdziera się do kraju niewiara. „Chrystus nie ma w nowym kalendarzu miejsca na narodzenie swoje i śmierć, nie masz już sądu ostatecznego! Nawet zwierzęta nie zgadzają się na nowy kalendarz: tak bocian lata tylko według pór starego kalendarza i t. d.“ [1]. Nawet „wojna babska“ wszczęła się przeciw Jezuitom i papieżowi z powodu, że „ukradli 10 dni“. W Augsburgu i w Rydze przyszło z powodu kalendarza do rewolucyi w kościołach i na ulicach [2]. Barbarzyńską, prostacką, straszną była ta cała polemika. Ta namiętna polemika miała jeszcze inny cel, chodziło nietylko o rozgoryczenie, lecz także o zupełny rozbrat między katolikami i protestantami w rzeczach polityki. Ku temu zmierzał szczególniej kalwinizm z Heidelbergu, mianowicie, by staro-luteranów i stany wierne cesarzowi skłonić do przystąpienia do Unii. Generalny synod w Hessen wydał następujący ukaz do luteranów. „Ponieważ jest rzeczą stwierdzoną, że zwolennicy papiestwa są zaprzańcami, bałwochwalcami, sługami antychrysta, jesteśmy więc, według apostoła Pawła, zobowiązani unikać wspólnictwa z nimi w rzeczach nawet zewnętrznych: a więc ani nie jeść z nimi, ani nie pić, ani ich na drodze nie pozdrawiać! Synod kaselski w r. 1593 nakazał „absolutnie zdala się od nich trzymać“ [3]. Nawet pytanie „czy wobec katolików utrzymanie pokoju religijnego ma jeszcze moc obowiązującą“ — z ambon omawiali gęsto predykanci. Z początku udawali, że katolicy uczą, że zaprzy-

[1] Str. 354. [2] Str. 355. [3] Str. 453 cały rozdział.

siężonego pokoju nie potrzeba protestantom dotrzymywać, w rzeczywistości atoli mieli wielką ochotę dowieść, że takowy już więcej protestantów nie obowiązuje [1]. Gdy chodziło o Rzym i Jezuitów, wtenczas wszyscy akatolicy szli ręka w rękę, i jeden starał się drugiego w nienawiści przewyższyć. W innych razach atoli tj. kiedy nie chodziło o Rzym i Jezuitów, srożyła się między nimi taż sama polemika, szczególniej między kalwinami i luteranami. Najlepiej piętnuje tę polemikę między nimi Kasper Penker: „pałają nienawiścią jeden ku drugiemu, a przez to rozlewają jad tej nienawiści pośród tłumu“ [2], tak też rzeczywiście było. Nowe wydanie biblii luterskiej, zaopatrzone glosami kalwińskimi, nazwano „arcydjabelskiem łajdactwem“.

W nowym katechizmie, który Jan Kazimierz przemocą wprowadzał, nazywano znowu luteranów „djabłami, kacerzami, potępieńcami“. Penker oświadcza dalej: „że prorok Ezechiel zesłał na niego objawienie, przez które się przekonał, że luterska formuła konkordialna nie zgadza się z wyznaniem augsburskiem, gdyż nawet Luter w nauce o komunii był papistą“ [3]. Natomiast wyrażali się luteranie o kalwinach że są „sługami i dziećmi szatana“. Luteranie nazywają ich ubiquistami, kafarnaitami, nestorianami, półpapistami, egzorcystami, krzykaczami, psami, osłami, którzy drogą pamięć Lutra hańbią [4]. W niezliczonej ilości pokazały się szydercze pisma i karykatury na „morderców dusz, jadowitych Kalwinów“. Na jednym obrazie wystawiony był Kalwin, poza nim djabeł z piórem i atramentem, a u spodu napis: „Dowcipny pisarz belzebuba“. „Kalwini nie są chrześcijanami, tylko chrzczonymi Żydami, Turkami, bałwanowatymi, ohydnymi, kłamliwymi djabłami“ [5]...., tak mówiono wszędzie.

Nie kończyło się jednak na próżnych przezwiskach: często przychodziło do najstraszniejszych bitek między obiema sektami. Szczególniej nawoływali do walki sascy pastorowie po upadku Krella. „Ponieważ przeklęty, potępiony kalwinizm jak rak coraz dalej zaczyna szerzyć spustoszenie, trzeba tedy jad kalwiński wyplenić“. — „Papiści, kalwini, poganie, żydzi powinni być wytępieni“, ryczeli predykanci z ambon. Było to rzeczą zupeł-

[1] Str. 415—30. [2] Str. 60. [3] Str. 69. [4] Str. 73. [5] Str. 94.

nie naturalną, że sascy chłopi usłuchali tych pobożnych napomnień, i istotnie teorya została w czyn wprowadzoną: wszystkich kalwinów wypędzono z kraju, a na pamiątkę tych śmiałych, bohaterskich czynów, obchodzono corocznie w 18 niedzielę po zielonych świątkach przy odgłosie trąb i bębnów dziękczynną uroczystość [1]. Jak luteranie z kalwinami w Saksonii, tak postępowali kalwiniści z luteranami w całym Palatynacie i Anhalcie. Też same przezwiska, przeklinania, też same gwałty, co i w Saksonii. Śliczne epitety jak: psi syn, hycel, djabeł, opilec i t. p. nie wyczerpują ani w najdrobniejszej części tego obfitego słownika [2]. Szczególniej str. 135 pełna brudnych bluźnierstw „przeciw kalwińskiemu bogu“ i przeciw „luterskiemu bogu“. Również str. 464 i nast., gdzie sposób wyrażania się jeszcze więcej ohydnym się staje tak, że miejsc tych niepodobna czytać bez wstrętu i odrazy.

Że wobec takich klątw moralność ludu upadała, nie można się dziwić. Sprawozdanie wizytacyjne z r. 1596 mówi też wyraźnie: „Bardzo mało jest takich, którzy Ojcze nasz dobrze umieją odmówić, artykuły wiary bywają jak najgorzej wyliczane: „umęczony został poncki Piłat“, „duch św. urodził się“, „umęczona została Marya dziewica“ i t. p. Przeważna część ludu nie zna ani nauki o chrzcie, ani o komunii. Na pytanie: kto jest Chrystus? wielu nie umie ani słowa odpowiedzieć, lub prawi niestworzone rzeczy. Bardzo wielu predykantów nie ma biblii, spędzają cały dzień w szynku, kasy są tak dalece wypróżnione, że kaznodzieje chcąc sobie przysporzyć dochodów, trudnią się jeszcze pobocznemi zajęciami: jeden jest szewcem, drugi krawcem, balwierzem lub tkaczem, niektórzy chodzą jako muzykanci po szynkowniach, komunię dają pod 8 rozmaitemi postaciami. O chodzeniu do kościoła ani mowy [3]. „Natomiast“, powiada inne sprawozdanie wizytacyjne, „krzewi się zawiść, nienawiść, barbarzyństwo, opilstwo, nieczystość i t. d. wszędzie między chłopstwem“.

Ale odwróćmy się od tych smutnych obrazów ku weselszym. Wśród tego przeklinania się i zabaw akatolików, spełniał Kościół niezachwianie dalej szczytne zadanie przeciw reformacyi. Duszą tych prawdziwych dążności reformacyjnych był, według orzeczenia współ-

[1] Str. 103. [2] Str. 133. [3] Str. 134.

czesnych [1], Piotr Kanisiusz. Lekarz Paweł Freher powiada, że „Towarzystwo Jezusowe, podniesione jego wiedzą, przykładem, tworami jego ducha, stało się jedną z najpiękniejszych ozdób duchowieństwa. „Z pobożności i zacności podobien był pierwszym ojcom chrześcijańskiej starożytności". Podobnie wyraża się wiceprezydent protestanckiego konsystorza w Gotta, Salomon Cypryan.

Musiał też za to wiele wycierpieć od predykantów, którzy rzucali się na niego jak wściekli. Pomimo to pracował mąż ten nieprzerwanie na kazalnicy, w konfesyonale i t. d. Prawdziwym wzorem bystrych, psychicznych spostrzeżeń jest pamiętnik o stosunkach religijnych w Niemczech, który z rozkazu Grzegorza XIII. do Rzymu posłał [2]. I stąd też, jak jednozgodnie przyznają, został on doradcą papieża w sprawach niemieckich, i Grzegórz kierował się poważnemi jego radami [3]. Pod kierownictwem tego znamienitego przewodnika doczekali się Jezuici nowej ery. Zasady i dzieła błogosławionego i innych Ojców charakteryzuje najtrafniej berliński profesor Paulsen. „Działalność i czynność zakonu ma w sobie coś ze spokojnego, ale ustawicznego działania sił przyrody; bez namiętności i zgiełku, bez wzburzeń i wysiłków, postępuje krok za krokiem naprzód, nie cofając się nigdy, ani na jotę w tył. Pewność i rozwaga znamionują jego ruch". Takiem było działanie zakonu wobec przekleństw i złorzeczeń akatolików. Powstawały kolegia za kolegiami: do założonych już w r. 1575 [4], przyłączyły się kolegium w Akwizgranie, Koblencyi, Molsheim, Erfurcie, Paderbornie, Monasterze, Emmerich, Hagenau, Wormacyi, Aschafenburgu, Neus, Setletstadt prócz wielu rezydencyi [5]. Niemniej znaczną była liczba kolegiów w górnych Niemczech np. Lucernie, Augsburgu, Fryburgu, Regensburgu, Ellwagenie, Altöllnigu, Konstancyi, Bambergu, Eichstaedt, Neuburgu nad Dunajem, prócz 8 rezydencyj i nowicyatu w Landsbergu. Liczba uczniów po kolegiach wynosiła przeciętnie 500 do 600. Największe w Kolonii miało przeszło 1000, również w Würcburgu przeszło 1000, wiele 800, zwyczajnie 500—600, najmniejsze 300. Szczególną gorliwość rozwinęli Jezuici w zakładaniu seminaryów dla ubogich studentów np. w Monachium, Insbruku,

[1] Str. 138. [2] Str. 180. [3] Str. 184. [4] Janssen tom IV. str. 436—440. [5] Str. 188.

Hali, Gracu, Würcburgu, Pradze etc. Mimo wszelkich przekleństw ze strony kaznodziejów, oddawali protestanci, nawet Kalwini, dzieci swoje Jezuitom na wychowanie. Ale staranność ich nie ograniczała się tylko na wiedzy i cnotliwem życiu podczas studyów kolegialnych, lecz rozciągała się także na całe życie. Ku temu zmierzały założone w Kolonii a następnie we wszystkich kolegiach zaprowadzone bractwa Maryi pod rozmaitemi nazwami, które potem po ukończeniu nauk nastręczały pojedyńczym osobom w życiu publicznem sposobność do szerzenia tych samych idej pod rozmaitemi postaciami. Do tego zdążały bractwa dla mężczyzn, adwokatów, uczonych i t. d., niemal dla każdej klasy społeczeństwa [1]. Szczególnie znamienitą szkołą wychowawczą, z której wyszli tędzy niemieccy uczeni, było kolegium rzymskie, które dla protestantów było prawdziwie solą w oku i które przeklinali nie mniej jak samychże Ojców [2]. W rozrzewniający sposób przyznają publicznie nawet protestanckie władze ofiarność Jezuitów i ich uczniów w czasie zarazy i morowego powietrza np. w Trewirze, Kolonii, Augsburgu, Szwabii, Würtembergii, Austryi i t. d., gdzie wielu padło ofiarą miłości bliźniego [3]. Tylko zawzięta nienawiść niektórych kaznodziejów dowodziła, że się to nie dzieje z pobudek prawdziwej miłości, tylko „żeby się wkraść, wślizgnąć, pozyskać sobie protestantów dla bałwochwalczej religii“ [4]. Nie sami Jezuici pracowali tu w pocie czoła i zbierali błogosławione owoce swych trudów — bo i starsze zakony ubiegały się szlachetnie o pierwszeństwo: trzymali tu prym Dominikanie i Franciszkanie, którzy w początkach reformacyi byli prawie jedynymi katolickimi bojownikami i trwali w tymże samym duchu wiedzy i cnoty. Koło reformy klasztorów w Bawaryi i Frankonii zyskał sobie szczególne zasługi Dominikanin Ninguarda, jako legat papieski. W roku 1581 opaci i przełożeni Benedyktynów, Premonstratenzów, Augustyanów i Cystersów postanowili założyć w Ingolstadzie stowarzyszenie celem podniesienia wiedzy i karności. Szczególniej odznaczyli się Benedyktyni przez swoje szkoły. Między Augustyanami odznaczył się O. Mikołaj Ellenbog, (pedagog), między Benedyktynami O. Floryan Pressler, lingwista i botanik, następnie opat Kasper Müller, opat Marcin Meister.

[1] Str. 190. [2] Str. 195. [3] Str. 197 i nast. [4] Str. 198.

Benedyktyni uczyli na wszechnicy solnogrodzkiej. Einsiedeln wydało dzielnych opatów i uczonych, również St. Gallen. Tak podniósł się znowu we wszystkich klasztorach bawarskich, austryackich, szwajcarskich duch wiedzy, miłości bliźniego i pobożności [1]. Kartuzów zepsucie reformacyi nie dotknęło wcale. Najpiękniej kwitnęli Kartuzi w Kolonii, których szczególniej O. Kanisiusz wysławia. Zakon Franciszkanów na nowo użyźniony, miał szczególniej w Niederlandach „znaczną liczbę bojowników za wiarę i męczenników". Z wielkim skutkiem piastowali publiczne katedry i odprawiali misye ludowe. Wspaniałej pochwały udziela całemu zakonowi św. Franciszka dr. Ludwik von Gennep: „oby się niewierni działaniem zakonu przekonali, jak fałszywym jest ich sąd". Są oni biedni, pokorni i pełni miłości względem współbliźnich, jak Chrystus Pan ich wzór [2].

Niemniej, pracowitą była nowa gałąź zakonu franciszkańskiego tj. Kapucyni. Zakon ten wniósł się bardzo, rozszerzał się niezmiernie szybko i pracował bez znużenia w konfesyonale, na kazalnicy, w szpitalach i dawał zdumionemu światu „dziwny przykład pokuty, który owładnął znowu lud i kler świecki" [3]. Przy tem pobożnem działaniu wszystkich zakonów, nie dziw, że pracę tę przy błogosławieństwie Bożem wieńczył zbawienny skutek. Przypatrzmy się choć cokolwiek, owocom ich prac. W. Jülich-Klewe katolicyzm się utwierdził, póki wielkiej części z tych klasztorów nie zniosła zaborcza Brandenburgia. Nawet po zajęciu przez Brandenburgią utrzymał się katolicyzm w pojedynczych częściach, mimo wszelkich gwałtów, do dziś dnia [4]. W całem elektoracie kolońskim bliskim był upadek Gebharda. Paderborn, Münster, dzięki działalności Jezuitów, powrócił do starej wiary. Stąd powstała bajka, że Jezuici mają „pazury i koźle nogi" [5], czemu powszechnie uwierzono. W dolnych Niemczech działał osobliwie książę-biskup wirceburski, Juliusz Echter Mespelsbrunn, wychowaniec Germanicum. Z pomocą Jezuitów nawrócił on całe biskupstwo do dawnej wiary. Niezmordowaną jego działalność scharakteryzował jeden z jego współczesnych w następujących słowach: „Wiedziony gorącą miłością powierzonych sobie wiernych z biskupią gorli-

[1] Str. 200. [2] Str. 203. [3] Str. 205. [4] Str. 206. [5] Str. 213.

wością obiega on swoją owczarnię, naraża zdrowie i życie na niebezpieczeństwo, pociesza, uczy i zachęca“ [1]. Nawet protestanci, lubo go nienawidzili dla jego gorliwości, podziwiali go i chwalić musieli. Po 5 latach takiej jego działalności było tylko jeszcze kilku innowierców, jak czytamy o tem u Sanhia, w historyi Towarzystwa. W jednym roku nawróciło się przeszło 60.000 ludzi.

W biskupstwie Bamberskiem przedstawiała się sprawa katolicka nader smutno. Kapituła wybrała w r. 1599 protestanta Filipa. Gebosallel, który członkom swej kapituły pozwolił się żenić i który oddał się całkowicie kalwinistom. Ku wielkiej radości heretyków był obecnym przy chrzcie dziecka swego pierwszego dziekana, a dzień ten spędzono na rozpuście, jedzeniu i piciu [2]. Przytem był wyraźnym i otwartym wrogiem Jezuitów. Dopiero po jego śmierci 1609 r. zaczęto pracę misyjną, uwieńczoną najświetniejszym rezultatem. Tak też działo się w Salzburgu za rządów Wolfa Dietricha, który Jezuitów zwał „djabelskim skocznym konikiem“. Później dopiero udało się Jezuitom i Benedyktynom nawrócić Solnogród. W Austryi robił kościół katolicki, gdzie już prawie zbliżał się do upadku — tak znakomite postępy pod egidą szlachetnego arcyksięcia Ferdynanda II., że owa dzielnica, jak również Kraina, Karyntya i Styrya znowu stały się bez mała iście katolickimi krajami [3]. Tak torowała sobie coraz to więcej drogę — prawda z pomocą nowych i dawnych dźwigających się z upadku zakonów, co więcej, wielu protestantów słusznie twierdziło: że, jeśli rzeczy tak dalej pójdą, to całe Niemcy wrócą pod jarzmo „rzymskiego antychrysta“ wspartego pocztem swoich „djabląt“ i innem „tałałajstwem“. Zapewne, gdyby owe nienawistne, nieszczęsne walki nie stawiły zapory! Ogromnego wrażenia, znaczenia, rozgłosu nabrał powrót do katolicyzmu znakomitych osób. Pierwszym, który sprzeniewierzył się luteranizmowi, był profesor teologii w Królewcu, niejaki Fryderyk Staphylus. Jemu to nie dość jasnym zdawał się ów protestancki zakaz książkowy, „aby nikt się nie ważył pod karą wiecznego potępienia, czytać książki papieskiej“ [4]. A więc czytał i uznał „że nauka o jedynej konfesyi jest błędną, że nie

[1] Str. 217. [2] Str. 323. [3] Str. 336. [4] Str. 358.

ma w protestantyzmie, z przyczyny tak licznych sekt i frakcyj — ani jednej jednolitej zasady, i obwieścił też to protestantom w jednem polemicznem piśmie. Na tem wyszedł najgorzej Luter: „Występki wniknęły u protestantów nietylko między osobistości — lecz nawet w samą naukę. Oto Luter naucza: że żona za życia męża — może wejść w związki małżeńskie, w pewnych przypadkach, z bratem mężowskim. Piękna siejba — a jaki plon? Z tego wypływa — jak to obecnie u luteranów jest w zwyczaju, że mąż posiada żonę brata swego, a więc jeden mężczyzna może mieć wiele żon, — a jedna kobieta wielu mężów. A Luter pisze też się na to zdanie? Luter głosi: jeśli żona jest oporną, to niechaj zastąpi ją inna; — a co? jakie drzewo, taki klin [1].

„Wielką trwogę wzbudziło owe odstępstwo i wszczęła się polemika między protestantami; przekleństwa za przekleństwami i najohydniejsze wyrazy ścigały Staphylusa owego „bluźniercę, krzywoprzysięzcę, psa piekielnego“ [2]. A przecież nie zdołano go pokonać. Tak samo toczyła się sprawa z konwertytą Jakóbem Rate, synem pewnego superintendenta. Przypisywano mu najbezecniejsze zbrodnie [3]. Już nie tak cierpliwie znosił pozyskany dla Kościoła Jan Nas, odpłacał protestantom pięknem za nadobne, szczególniej napadając na „ojca wszystkich bluźniących i przeklinających kaznodziejów“ — to jest na Lutra zwłaszcza w sporze z kaznodzieją Ritterem [4].

Największe wrażenie i rozgoryczenie sprawiło wyrzeczenie się protestantyzmu przez Jakóba margr. badeńskiego i Pistoryusza, najznamienitszego pisarza swego czasu. Jakób, mąż celujący wykształceniem między swymi rówieśnikami i wstrzemięźliwością w życiu, bywał często trapiony nasuwającymi się mu wątpliwościami, azali ta augsburgska wiara jest „jedynie uszczęśliwiającą religią“, a stąd to ulegał owym czarnym myślom, że — jak to pisał do superintendentów swego kraju — tyle sekt namnożyło się w luteranizmie, że Luter i sam i w pismach swych — zupełnie nie duchowym — lecz zmysłowym jest człowiekiem [5].

---

[1] Str. 359. [2] Str. 361. [3] Str. 362. [4] Str. 373. [5] Str. 380.

Na przekonanie margrabiego w sprawie Kościoła, niepośledni wpływ wywierał jego doradca nadworny Pistorius, syn pewnego superintendenta z Niddy w Hessyi, — mąż „wielce biegły w teologii, w prawoznawstwie i medycynie“, — który też po długim obłędzie przeszedł na katolicyzm. On to, gdy gruntownie trzy razy przestudyował dzieła Lutra, — pisał, że jasno widzi, iż Luter nie był prawdziwym reformatorem, lecz tylko gwałcicielem jedności religijnej [1]. Rozumie się, że powrót do Kościoła tak znakomitego męża wzniecił srogi gniew u predykantów: smok, Judasz, arcykacerz, arcy-łotr etc., to jeszcze delikatne przydomki, któremi go uczcili. Dla uchylenia wątpliwości, zarządził margrabia Jakób dysputę religijną w Badenie, w której wzięli udział: z jednej strony Jezuita Teodor Busaeus i Pistorius, z protestanckiej zaś Jakób Andraee i Jakób Heerbrand. Z tej rozmowy odszedł Jakób Andree „z nosem na kwintę“, jak natrząsając się zeń, mówi kalwin Dawid Pareus, i był nadto jako kłamca napiętnowany. Lecz i tak dysertacya ta nie zdołała rozwiać wątpliwości margrabiego.

Z lepszym skutkiem wypadło drugie colloquium w Emmendingen [2], gdyż w parę tygodni potem, margrabia powrócił uroczyście na łono kościoła katolickiego. Między książętami — wywołał ten krok zdumienie i niechęć, stąd też ujrzał się margr. Jakób zniewolonym — ogłosić publicznie pobudki rewokacyi, do których poczynił Pistorius cięte dopiski. Jako pierwszy powód podaje: że nauka kościoła katolickiego jest całkiem różną od tej, którą wyznają rozszalali predykanci, — przyczem przytacza i treść prawdziwej nauki. Powtóre, że protestantyzmowi zbywa na jedności, czego dowodzi niesłychanie wielka liczba sekt. Za trzeci powód rewokacyi podaje, że choćby katolicyzm i był w błędzie, to przecież nie można sobie wyobrazić, aby Bóg powołał do odrodzenia kościoła takich ludzi, jak Luter, który jest w swych pismach „nad miarę rozwiązłym, występnym, bezczelnym kłamcą, nadętym i plugawym“ [3]. W celu udowodnienia tego przytacza Pistorius cytaty z dzieł Lu-

[1] Str. 381. [2] Str. 383. [3] Str. 390.

tra, co wywołało zażartą polemikę między Pistoryuszem a Osyandrem. Jako czwarty — odrębność, różnice i chwiejność, a stąd rozpadanie się w sobie konfesyi augsburgskiej. A wreszcie wykazuje, że „katolicki kościół jest jedynie prawdziwym“. Szlachetny margrabia usiłował również swój kraj nawrócić do kościoła, — lecz umarł wkrótce, a po jego zgonie zabrał się znowu margrabia Franciszek Fryderyk do gwałtownego tępienia kościoła katolickiego: zniszczono testament szlachetnego konwertyty, a nawet zhańbiono jego zwłoki. Wszyscy katolicy a z nimi i Pistoryusz zostali z kraju wygnani.

Na to oświadczenie księcia z uwagami Pistoryusza rzucili się z hałasem i wrzawą predykanci, a na ich czele wittemberski nadworny kaznodzieja Łukasz Osyander — bo nie o małą rzecz chodziło: o grubo nadszarpaną cześć „Lutra, wybrańca Bożego“. Lecz o dziwo! żaden z zagniewanych szermierzy nie mógł jakoś Pistoryuszowi udowodnić, ani nieznajomości pism Lutra, ani fałszywego ich cytowania. Nie mogąc podołać argumentom, udano się do znanych przekleństw i złorzeczeń na Pistoryusza i wyczerpano cały arsenał epitetów godnych ust z jakich wychodziły.

Pistoryusz niezwłocznie odpowiedział i w nowem piśmie „Anatomia Lutra“, dosadniej jeszcze wystawił nicość nauki i przewrotność jej mistrza. Całą siłą jego argumentacyi było wykazanie, że „wszyscy reformatorowie byli złymi ludźmi“ [1]. Wskutek tej polemiki — pogłębiła się przepaść między katolikami a lutaranami, jak również między nimi a kalwinami. W ogóle mówiąc, jak już nadmieniliśmy, prowadzono polemikę ze strony katolików ogłędnie i przyzwoicie, rzadkie wyjątki stanowili w tej mierze niektórzy zapaleni konwertyci i Jezuita Konrad Vetter, którzy jednak nie otrzymali aprobaty od Stolicy Piotrowej. Inaczej postępowali predykanci: uważali oni za swój najświętszy obowiązek i za dowód prawdziwego luteranizmu — staczać polemikę publicznie i gwałtownie. „Do djabła z tymi — pisze pewien predykant [2] — którzy chcą pokoju z pogańskiem papiestwem, — czyż to nie są sztuczki je-

[1] Str. 399. [2] Str. 408.

zuickie?“, albo co Luter wyrzekł: „są tacy nędznicy, którzy podobno nie chcą lżyć papieża, — i owszem trzeba to bałwochwalców pogańskie plemię słowem i pismem, w książkach, broszurach i obrazach lżyć, bezcześcić, wyśmiewać, tępić i dawnym zwyczajem osławiać“.

Że stąd wzmagało się obustronne rozgoryczenie, rozumie się samo przez się. Zestawmy te dwa główne czynniki tj. owe wzbudzające zgrozę zapasy polemiczne i stojącą w pełnem uzbrojeniu Unią — to zrozumiemy owe ogólne przeświadczenie w Niemczech: „stoimy w przededniu wielkiej wojny“.

Jakież zdanie wyrzeczemy o niniejszym V-tym tomie? Poprzedzające 4 prace Ks. Prałata kazały się tego spodziewać, czego w V-tym tomie dokonał: zwycięstwo historyka jest stanowcze. Nie masz sporu o to, gdzie i po czyjej stronie spoczywa wina owych nieszczęsnych walk.

Dzieło Janssena stanowi epokę w dziejach historyografii. Odtąd poważniejszy dziejopis, — mówimy tu o tych, co uznają, że kryteryum moralne ma i mieć musi jakąś wagę w sądach historycznych. Odtąd taki dziejopis nie wystąpi lekko przeciw Kościołowi — bo Janssen wykazał nicość zamachów nieopartych na źródłach i ich krytyce. Odtąd stylistom i doktrynerom w rodzaju „wielkiego Renana“ nie tak już łatwo będzie zyskiwać sławę „wielkich uczonych“.

Zdumiewająca obfitość materyału dziejowego, na którym opiera się arcydzieło Janssena, krytyka przedmiotowa, ostrożność w sądach posunięta do ostatnich granic — olbrzymie studya archiwalne, a przytem głęboka znajomość serc i zmysłów ludzkich — oto legitymacya do uczoności, wobec której i katoliccy i protestanccy uczeni zgodnie wysokie naznaczają miejsce dziełu, o którem była mowa.

Ks. A. Kraetzig.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Monumenta Musices Sacrae in Polonia. Poszyt II-gi, wydany z zasiłkiem krakowskiej Akademii Umiejętności, przez *Ks. Dra Józefa Surzyńskiego*. Poznań, drukiem Jarosława Leitgebra.

Pismo nasze, które przed dwoma blisko laty, najgoręcej poparło sprawę koniecznej reformy muzyki kościelnej, oraz zobowiązującego powrotu do liturgicznej jedności gregoryańskiego śpiewu, skwapliwie chwyta każde tętno owego pożądanego prądu, który, chwała Bogu, rozszerzać się zaczyna na dobre w całym kraju, wypierając z przybytków i świątyń naszych obce, świeckie, niegodne naleciałości, dziedzictwo XVIII. wieku, smutnej epoki niewiary i zepsucia, nie samych tylko obyczajów, lecz i dobrego smaku, i poczucia piękna. Światło i ciepło wiary snadź koniecznym warunkiem zrozumienia i odźwierciedlenia szlachetnych ideałów. Gdy tego płomienia zabraknie, gdy ta iskra święta zagaśnie, wnet obniża się poziom duchowy, pojęcia sztuki się wykrzywiają, a siły polotne ku wyżynom niepowrotnie wątleją. Wiele dziś budujemy na znaczącym się powszechnie prądzie zwrotnym ku wiekuistym arcydziełom i nieśmiertelnym pomnikom najlepszego natchnienia, powtarzając sobie stale, iż drogi Boże bywają rozmaite, zaczem gdy niegdyś prawda wiodła do piękna, dziś piękno może odprowadzić napowrót do prawdy... W każdym razie, objawem to budzącego się moralnego zdrowia i estetycznego sumienia, że dziś jałowa strawa nie wystarcza, nie zadawalnia ludzi, że łakną oni pożywniejszego, szlachetniejszego pokarmu.

Wśród obecnych ciężkich warunków i okoliczności, gdy w biednym Poznaniu wszelki głos polski odrazu zgłuszonym bywa, jakaś tajemnicza pociecha i nadzieja płynie z faktu, iż jak ongi pieśń Wojciechowa, tak i dziś pieśń święta, pieśń wierna, pieśń piękna, stamtąd głównie tryska i śpiewną falą ogarnia dalsze Piastowskie i Jagiellońskie dzierżawy. Katolicka jedność śpiewu, przy grobach pierwszych królów chrześcijańskich, utwierdza się promieniejącemi na okół usiłowaniami. Chociaż dopiero lat kilka upływa od rozpoczętej w tej dziedzinie reformy, słusznie twierdzić można, iż stosunkowo bardzo wiele się zrobiło, że postęp wszędzie już widocznym, w archikatedrze zaś Poznańskiej wspaniałym. Jeśli po wiejskich kościołkach wielkopolskich, śpiewniki ks. Surzyńskiego zrektyfikowały mnóstwo zboczeń, wznowiły wielką ilość pięknych pieśni przodków naszych, wskazały właściwe Bożej chwale tory, i usuwając niewieście głosy, upowszechniły i w najuboższych parafiach chóry chłopięce, nie doskonałe zapewne, ale miłe i odpowiadające powadze śpiewu liturgicznego i katolickiego nabożeństwa, to w metropolii Poznańskiej osobiste mozoły, poparte dobrą chęcią i pięknemi głosami uczęstników chóru archikatedralnego, zaiste prawdziwych dokazały już cudów. Przewyższający nas pod względem muzykalności Niemcy, wysoko cenią wykonanie arcydzieł dawnych mistrzów w głównej poznańskiej świątyni i podziwiają wspaniałe utwory, które mimo niesłychanej ich trudności, rozbrzmiewają się z taką przedziwną miarą, zgodą i harmonią pod sklepieniami starej katedry. Dzieła najpierwszych mistrzów włoskich jak Palestriny, Orlando di Lasso, Vittorii, Francesco Soriano i t. d., z kolei usłyszeć też można, a rodzima spuścizna polskich pomników kościelnej muzyki, nowe przed nami odsłania skarby, nową przejmuje nas chlubą. Żaden tedy dźwięk nie zabraknął pięknej, świetnej przeszłości naszej, skoro i ta, milcząca dotąd, jak mniemano, struna muzyczna drgała cudownemi tony w złotym Zygmuntowskim wieku, przeciągłym odgłosem sięgając i późniejszych czasów. To skrzętne wydobywanie zabytków własnej naszej muzyki kościelnej, wielką zaiste jest zasługą ks. Surzyńskiego. Z kolei dziś witać nam przychodzi drugi poszyt Monumentów, równie pięknie i starannie u p. Jarosława Leitgebra drukowany jak poprzedni. Wszystkie niemal czasopisma fachowe zagraniczne oddały hołd przynależny pierwszemu

poszytowi, a mianowicie zamieszczonemu w nim: *Adoramus te Christe* Mikołaja Zieleńskiego. W tym rodaku naszym, uznano duchowe powinowactwo z Wiktorią, Orlandem i innymi najpierwszymi katolickiemi kompozytorami. O nim samym, jakże mało wiemy! wprawdzie należy do czterech najcelniejszych muzyków polskich wymienionych przez Starowolskiego, ale prócz tego, że był organistą i dyrygentem kapeli na dworze ks. prymasa Baranowskiego około r. 1600, żadnych pozytywnych danych o jego życiu i losach nie posiadamy, natomiast zachowany w bibliotece ks. Czartoryskich bodaj unikat p. t. *Communiones totius anni*, o jego twórczości i płodności najświetniejsze daje wyobrażenie. W niniejszym drugim z rzędu poszycie *Monumentów* z pośród ośmiu ogłoszonych utworów, cztery są Zieleńskiego, a mianowicie motet na Boże Narodzenie, pełne skupienia przy wesołym nastroju; komunia na uroczystość św. Trójcy, którą wydawca zalicza do rzędu najdoskonalszych dzieł kościelnej muzyki, a która porywa duszę tęsknotą za niebem; dalej motet na święto Znalezienia Krzyża św.; i nareszcie perła niniejszego zeszytu, motet pięciogłosowy: *In monte Oliveti*, który co niedziela w tym roku bywał wykonywanym na pasyi w archikatedrze poznańskiej, za każdym razem krusząc serca słuchaczy żywem przedstawieniem smutku Zbawiciela w oliwnym Ogrójcu, a w końcu i silnem, hartownem poddaniem się woli Bożej, wionącem z słów i dźwięków ostatnich...

Sekwencya o Matce Boskiej: *Virgini Mariae laudes*, ojca muzyki kościelnej w Polsce, Sebestyana Felsztyńskiego, zaczerpnięta z ksiąg Roratystów przechowanych w archiwum Wawelskiem, ma przedewszystkiem archeologiczne znaczenie i archaiczną też doniosłość. Piękny motet Wacława Szamotulskiego wypisanym został z dzieła wydanego w Norymberdze pod datą 1564 r. i tytułem: *Thesaurus musicus*, które się znajduje w bibliotece królewskiej, w Berlinie. Nareszcie dwa utwory dopełniające niniejszy zeszyt odnieść wypada do ostatniego kompozytora ściśle kościelnego w Polsce, ks. Grzegorza Gorczyckiego, zmarłego w 1734 r., coby dowodziło, iż czystość tradycyi i smaku dłużej się przechowała w Polsce aniżeli w innych krajach, gdzie wiek XVIII. zaraz od początku swego zerwał z pięknemi wzorami i kierunkiem poprzednich stuleci. Nazwany w grobowym napisie perłą kleru krakowskiego, a spoczy-

wający na Wawelu ks. Gorczycki, liczne w tamecznem archiwum zostawił ślady swej działalności z epoki, w której sprawował urząd dyrektora katedralnego chóru. Do tej pory, zamieszczony w niniejszym poszycie motet: *Sepulto Domino*, w dniu wielko piątkowym stale bywa powtarzanym w Wawelskiej świątyni, ku wielkiemu zbudowaniu wiernych. Z mszy ks. Gorczyckiego wyjęte *Offertorium* p. t. *Ave Maria*, najpierwsze tu zajmuje miejsce, i zdumiewa teoretycznem wykształceniem autora, oraz swobodą z jaką używa najzawilszych form kontrapunktycznych, i z którą prowadzi pojedyńcze głosy.

Jak tedy widzimy, nowy zeszyt Monumentów muzyki kościelnej w Polsce zaleca się prawdziwem bogactwem, a nie wyczerpuje skarbnicy i spuścizny dawnych wieków, skoro już otrzymujemy zapowiedź dalszych i równie cennych publikacyj. Przedsmak ich daje nam ostatni numer szacownego czasopisma wychodzącego w Poznaniu p. t. *Muzyka kościelna*, gdzie w artykule traktującym o budowie tejże muzyki, przytoczone są wzory przedziwnej i właściwej jej prostoty. Otóż znajdujemy tam na trzeciem miejscu, po urywkach z Gorczyckiego i Viadany, prześliczny ustęp z *Mszy wielkanocnej* Marcina Leopolity (XVI. w.). Jest więc nadzieja, że zapasy szanownego wydawcy nie rychło się wyczerpną.

Skoro już zwróciliśmy się do peryodycznie ukazującego się w Poznaniu pod redakcyą ks. Surzyńskiego czasopisma, wspomnijmy jeszcze zamieszczone w niem wyborne wskazówki do nauki śpiewu, które, podzielone na lekcye, niezmiernie pomocnemi być mogą ludziom dobrej woli, trudniącym się ukształceniem parafialnego chóru.

Wszystko dziś dąży do rozstroju, do rozbicia jedności. Niech każdy w swojem kółku usiłuje nawiązać zerwane nici spójni z Kościołem, z przeszłością, a da Bóg, lepsze dni zaświtają.

M.

Obrazy z życia kilku ostatnich pokoleń w Polsce, przez *Juliusza Falkowskiego*. Tom V., r. 1887.

Tom niniejszy, a piąty z rzędu ciekawej publikacyi p. Falkowskiego, nie zmniejsza bynajmniej zajęcia z jakiem czytaliśmy poprzednie. Autor *Obrazów* podtrzymuje uwagę czytelnika wciąż na jednym diapazonie, potęguje ją bodaj, bo też i treść przedmiotów tym tomem objętych, już sama tę gorączkę podniecać się zdaje. Cztery lata dziejów 1812—1815, objętych tym tomem,

czyż nie są właściwie okresem trwogi, podnieconych nadziei, to znowu rozwianych marzeń, zwątpienia i illuzyi u ludów Europy? Przymyka do nich trwożnie, garnie się z nadzieją, garstka polskich rozbitków, ocalonych po ostatnim pogromie. W zaślepionym szeregiem powodzeń kolosie Zachodu, widzi ona swą gwiazdę, poleca mu swe losy, a on się uśmiecha cynicznie, budzi nadzieje, wprzęga do tryumfalnego swego rydwanu, wodzi od morza do morza, aż nareszcie, gdy sam złamany, w swej dumie upokorzony, spostrzega chylącą się swą gwiazdę, grunt pod własną usuwający się stopą — wówczas dla widoków samolubnej swej polityki poświęca tulącą się do niego garstkę polskich rozbitków. Autor *Obrazów* pozbierał skrzętnie rozprószone materyały ściągające się do odyssei wielkiego mocarza, rozprószone w wydatniejszych dziejopisach jego epoki: jak Thiers, Segur i Pradt, powiązał je skrzętnie ze wspominkami całej plejady naszych rodaków, dzielących do ostatka losy wielkiego cesarza, i dał nam barwny, drgający dramatycznemi epizodami, obraz pierwszych lat bieżącego stulecia, burz i pogromów kołyszących polityczną nawą tej epoki w Europie. A więc obok francuskich źródeł, po większej części mało nam przyjaznych, znajdujemy w dziele p. Falkowskiego liczne ustępy z domowych wspomnień i rękopiśmiennych notat: Antoniego Ostrowskiego, Koźmiana, Józefa Krasińskiego, adjutanta Zajączka, nareszcie pułkownika Szumlańskiego, długo przy boku Ks. Józefa Poniatowskiego pozostającego. Każdy z nich był naocznym świadkiem, aktorem w rozgrywających się wypadkach, każdy odczuwał je po swojemu, uniesiony prądem fanatycznym dla Napoleona. Wydawca po upływie przeszło półwiekowym, a tem samem ze skalpelem otrzeźwionego już dziejopisa, hamuje zapały swych ziomków, podaje dziejową tych wypadków kronikę. Tę ostatnią i w ogóle malunek książki, podnosi niemało cytowana przez autora *Obrazów* cała wiązanka listów p. Nakwaskiej, żony ówczesnego prezydenta Warszawy, kreślonych poufnie do przyjaciółki na wsi. Jedna to z wydatniejszych niewiast w tej epoce, trochę mądrocha, nic jej oka nie uchodzi, jako dobra Polka ma swój horoskop polityczny, trafniejszy może, gdy kreśli obraz ludzi ówczesnych i życia towarzyskiego ówczesnej Warszawy i Krakowa, niż kiedy się zapuszcza we wnioski i kombinaty polityczne. To też tych listów pragnęlibyśmy więcej, przez coby wzrósł pamiętnikowy charakter książki.

Co do ogólnego układu książki, przyznajemy otwarcie, że przy ogromie nagromadzonego w niej materyału, zwłaszcza w kwestyach wojskowości dotyczących, za którym podążyć trudno, radzibyśmy widzieć więcej spokojnie, rozwiniętą pamiętnikową jej stronę. Systematyczny bieg wypadków politycznych, z błyskawiczną szybkością, wówczas rozwijających się, nuży już trochę czytelnika, ochłonąć mu prawie, skupić, zoryentować się w nich nie daje, niewieścia więc gawęda obrazowania p. Nakwaskiej są tu jakby rozkosznym etapem w nużącej podróży. Wielkie, bohaterskie prawie postacie nasze z tej epoki, jak generał Kniaziewicz, a nawet książe Józef, właściwie mówiąc, nie doczekały się dotąd swych biografów. Znamy ich raczej z siodła, w kurzu bitw, bohaterską krwią obryzganych, gdy życie ich domowe, stosunki rodzinne, pozostają dotąd jakby za zasłoną, otóż dla tych, którzyby kiedykolwiek podjęli się tego zadania, książka p. Falkowskiego, cennym niezawodnie służyć będzie materyałem. W rzeczach ściśle wojskowości dotyczących, przyszły historyograf dopatrzy w niej może niedokładności i usterki, których podnosić nie jest naszem zada-

niem, zresztą jeśli się nie mylimy, dla takich nie jest przeznaczoną wcale, natomiast jako pokarm zdrowy polecamy ją śmiało dla użytku rodzin naszych, z dziejami ojczystemi oznajmić się pragnących.

Tadeusz Jerzy Stecki.

Wiersze ulotne, przez *M.* z Pleszowic. Kraków, u Wł. Anczyca. 1887.

Im rzadszy dziś powiew poezyi, tem rzewniejszem uczuciem witać ją przychodzi, zwłaszcza gdy ku nam płynie tak wiośnianem ciepłem i serdecznem tchnieniem! Książeczka mała, wierszyki drobne, ale struny młodej lutni drgają tak wielką miłością, tak rodzimą prostotą, że niezwykłe na czytelnika sprawiają wrażenie. Niema tu ani pessymizmu, ani pozy przygodnej początkującym wieszczom. Snadź z serca tryskały mu pieśni, pod naciskiem idących klęsk, lub wpływem potocznych zdarzeń. Pewna nierówność miary i wartości zebranych w jeden tomik wierszy pozwala wnioskować, iż plon to lat kilku, dojrzalszy w późniejszych tworach, hartowniejszy spotęgowanem uczuciem od pierwszych niemal dziecinnych piosnek. Taki postęp stałą rękojmią talentu, który snadź się rozwija, nie zasklepia i coraz to lepszem ziarnem, wonniejszym kwiatem darzyć nas zdoła. Jeśli zaś niniejszy snopek uderza brakiem jednolitości nastroju i polotu, szlachetnej ku temu szukać nam przyczyny: chodziło o złożenie książeczki, której sprzedaż przyczyniłaby grosza bankowi ratunkowemu w Poznańskiem. Zaczem autorka nie poskąpiła daniny, i bez zwrotu na siebie, hojną ręką złożyła co miała gotowego... Z taką to prostotą wydane i oddane na cel poczciwy, jakby w nieświadomości zawartych tu pereł uczucia i natchnienia! Ale już pierwsza karta niesie nam motto świadczące o wartości nastroju:

W wierze sił twych trwaj —
Co nie ugniesz — złam —
Lecz się złamać daj,
Nim się ugniesz sam!

Następuje szereg *juweniliów*, mniej uderzających, choć i wśród nich o ładną myśl i ładną formę nie trudno. Wszakże diapazon się wciąż podnosi, aby przy końcu wybuchnąć z Tyrteuszową bodaj siłą ostatnim wierszem zamkniętym ognistą zwrotką:

Dziś nie pora drwić i szydzić,
Sądzić długo i rozwlekle,
Dzisiaj trzeba kochać wściekle
I śmiertelnie nienawidzić!!!

Gdybyśmy mieli wybierać w tej wonnej równiance, oddalibyśmy palmę pierwszeństwa nad wyraz rzewnej odezwie: „Do mego syna“ zaczynającej się od słów:

Każdy człowiek, moje dziecię,
Z chwilą gdy na świat przychodzi,
Ma dwie matki na tym świecie,
Których słuchać mu się godzi.

Jedna, udziela mu życia,
Lecz to życie, krwi ostatek,

Czyny, myśli, serca bicia,
Winien oddać drugiej z matek....

Pięknym także bardzo, sąsiadujący z tamtym i również macierzystem natchniony uczuciem, wiersz do B....., zwłaszcza w pierwszych strofach z niewysłowionym płynących ogniem. Pod względem poetyczności, natchnienia i formy, może najlepiej wypadł wierszyk zatytułowany *Dwa życia* z wracającem rytmicznie wspomnieniem *Rólki i Reni*. Gdyby nawet autorka nie była płci swojej zdradziła, wydałaby ją niezawodnie ta czuła, niewieścia wrażliwość na odgłosy i obrazy dnia pogody czy słoty, wewnętrznego i zewnętrznego świata. Spotkanie przelotne, zetknięcie przypadkowe, wieść żałobna, książka, wędrówka, znaczą się tu wdzięcznem echem. W Tatrach zapewne urosła owa ballada o św. Kindze, tak potoczystym wyśpiewana rymem, iż stąd budzi się życzenie, aby w jej ślad powstać mógł cały szereg nowych „Śpiewów historycznych“ i legend dziejowych dla kształcenia pamięci — i serca rosnącej dziatwy polskiej. Wiersz zatytułowany: *Szkoda*, najwidoczniej portretem być musi:

Szkoda człowieka o jasnym rozumie,
Który śród kraju ogólnej niedoli,
Marnie dni pędzi i gubi się w tłumie,
Nie z braku męstwa — lecz woli.
. . . . . .

Do lepszych utworów tego zbiorku doliczyć jeszcze wypada *Trzy niewole*. Wiersz na jubileusz Kochanowskiego, drukowany już w *Przeglądzie polskim*. Albo jeszcze i tę rzewną *Prośbę*, która przypomina teorban Zaleskiego...

Zabłąkały się wśród tej równianki rodzinnych chabrów i kłosów zagraniczne dźwięki z Musset'a. Dźwięki to nam obce, przykre, rozpaczne; chwała Bogu! darmoby szukać Rolli wśród chrześcijańskiej młodzieży polskiej, która mimo obcych naleciałości, dotąd przesiąknięta wyższą tradycyą, nasycona mlekiem wiary, nie zna podobnego beznadziejnego zwątpienia. Musset też w tem pokłosiu szczero-polskiej pszenicy wygląda jak kąkol, jak przybłęda. Trudno jednak nie przyznać, iż w wiernej i pięknej ukazuje się nam szacie, iż polski *traduttore* żadną miarą na miano *traditore* nie zasługuje. Oba fragmenta wybornie, skrawo i świetnie przetłumaczonemi zostały, co nie przeszkadza, iż milsze nam dźwięki rodzinne tej miłej lutni, która nie darmo dziedzictwem na trzecie już pokolenie przechodzi. „Stara bandura“ dziadka w ręku wnuczki na inną może nastrojona nutę, smutną jak dzień dzisiejszy, ale tradycya miłości kraju i rzeczy ojczystych jednaka, bo tryskająca z serca szlachetnego i gorącego, z ogniska domowego, gdzie o iskry zapału nie trudno.

M.

Silva rerum. Ze starych wspomnień, przez *Aleksandra Wybranowskiego*. Lwów. Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta 1887. Str. 108.

Tytuł: *Silva rerum* najzupełniej treści odpowiada, z tego przynajmniej względu, że jak w dawnych, tak i w tej *Silva*, zawiódłby się, ktoby szukał jakiegoś ładu, czegoś coby choć zdaleka przypominało na pewien, choćby w szerokiem tego słowa znaczeniu, pojęty organiczny porządek. Jedynem ogni-

wem, łączącem jakkolwiekbądź w jednę całość te wspomnienia jest, iż obracają się one głównie w drugiej połowie minionego, i pierwszej połowie bieżącego stulecia; na to dość zresztą obszerne tło czasu rzuca autor, wtedy i w to miejsce, które mu się pod pędzel nawinie, to jakąś postać zakonnego kwestarza, uczonego kapłana, poważnej matrony, zamaszystego szlachcica z szablą i kielichem, to jakąś mniej lub bardziej ciekawą anegdotkę, to wreszcie często nie najmniej jeszcze zajmujące wyciągi z dworskich rejestrów, rachunków i kontraktów. Bliżsi, znający ludzi i miejsca, które autor opisuje, odczytują zapewne „Wspomnienia“ z pewną przyjemnością, dla szerszych kół „Stare Wspomnienia“ wielkiej wartości mieć nie mogą, bo nie zawierają w sobie nic nowego, nie wyjaśniają nawet lepiej żadnego ważnego, charakterystycznego rysu naszej przeszłości. Co za prawdziwą zasługę autorowi „Wspomnień“ poczytać należy to, że widocznie rozumiejąc, iż zbyt obfitego i ważnego materyału do spisania swych „Pamiętników“ nie posiada, umiał być krótkim i skromnym.

Stanisławów i powiat Stanisławowski pod względem historycznym i geograficzno-statystycznym przez *Aloizego Szarłowskiego*, profesora c. k. gimnazyum w Stanisławowie. Stanisławów 1887, nakładem księgarni Wł. Doboszyńskiego.

Niezmierna liczba monografij miast i miasteczek, jakie się szczególnie za granicą w naszych czasach pojawiają, a często bardzo od niepowołanego wychodzą pióra, sprawia, że z pewną obawą spotykamy się z każdem nowem dziełem tego rodzaju. Wobec książki p. Szarłowskiego obawa ta byłaby jednak nieuzasadnioną. Autor zamierzywszy pierwiastkowo opracować monografię miasta do „Słownika geograficznego“, zaczął już w r. 1881 zbierać materyały, które niebawem tak urosły, że widział się spowodowanym szersze rozmiary pracy swej nakreślić. Tej okoliczności zawdzięczamy dziełko, które się zaleca sumiennością w zebraniu dat i faktów, rozrzuconych po rozmaitych dziełach i skrzętnością w badaniu dokumentów, które były dla autora dostępne. Niewątpliwie przejrzenie archiwum rodziny Potockich potrafiłoby niejednę kwestyę niepewną wyjaśnić, a z drugiej strony inny układ obfitego materyału zapobiegłby częstemu powtarzaniu się, co jednak małej jest wagi wobec korzyści, jakie nam książka p. Szarłowskiego przynosi.

Stanisławów został założony w r. 1662 przez Jędrzeja Potockiego, syna Stanisława Rewery i Zofii z Kalinowskich, o czem się przekonujemy z przywileju erekcyjnego z dn. 7 maja 1662 r. i przywileju nadanego Ormianom z dn. 14 stycznia 1677 r. Gdyby już Stanisław Rewera Potocki był powziął myśl założenia miasta na tem miejscu, jak twierdzi K. Niesiecki, który Jędrzejowi przypisuje tylko ufortyfikowanie tegoż, to pamięć na inicyatora byłaby nakazywała nazwać miasto od imienia ojca. Tymczasem dokumenta stwierdzają, że Jędrzej Potocki nazwał miasto podług syna swego Stanisława, który następnie poległ podczas potrzeby wiedeńskiej r. 1683. Prawo magdeburgskie przez założyciela w r. 1662 nadane, a potwierdzone przywilejem króla Jana Kaźmierza z r. 1663, postawiło Stanisławów w rzędzie innych miast Rzeczypospolitej; w położeniu zaś swem na pograniczu, mając wszelkie warunki sprzyjające wytworzeniu przemysłu i handlu, znalazło miasto w nim źródło dobrobytu, zwłaszcza od czasu, gdy Ormianie, po zdobyciu Kamieńca Podolskiego przez Tur-

ków w r. 1672, tłumniej zaczęli napływać i przywilejem z r. 1677 z ludnością polsko-ruską zrównani zostali. Nie może tu być naszym zamiarem podawać choćby w najpobieżniejszem streszczeniu dziejów rozwoju i szybkiego wzrostu miasta, rozlicznych klęsk elementarnych i wojennych, z których szybko się dźwigało to „przedmurze Pokucia“, dzięki troskliwości i ofiarności dziedziców, którymi byli z kolei począwszy od założyciela Jędrzeja, syn jego i Anny z Rysińskich Józef Potocki (1691—1751), Stanisław, syn Józefa i Wiktoryi z Leszczyńskich (1751—1760) i Katarzyna z Potockich Kossakowska, wnuczka po Feliksie Potockim, młodszym bracie Jędrzeja (1760—1792). Różnorodne powody publicznej i prywatnej natury, jak powiada autor monografii, zmusiły tę ostatnią do sprzedania klucza stanisławowskiego bratu Protowi Potockiemu, od którego w r. 1802 przeszedł Stanisławów na własność funduszu religijnego. Wreszcie w r. 1848 nabyło miasto dawniejsze dominium i weszło w posiadanie niektórych praw i dochodów tegoż. Odsyłamy ciekawych do książki p. Szarłowskiego, gdzie znajdą nie tylko ładny obraz historyczny miasta, zajmującego co do ważności trzecie miejsce między miastami Galicyi, ale nadto zapoznać się będą mogli z położeniem, fizyografią, stosunkami ekonomicznymi i t. d. całego powiatu stanisławowskiego. Nakoniec wyrażamy nadzieję, że życzenie autora, wypowiedziane w przedmowie, ażeby pp. profesorowie zatrudnieni przy gimnazyach prowincyonalnych zajęli się monografią miejscowości, w której przebywają, znajdzie u nich posłuch i przyczyni się do wzbogacenia naszej literatury na tem polu, które dotąd u nas za mało uprawiano.

K. S.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Le mariage d'un roi, par *Paul de Raynal*. Paris. Calmann Levi 1887.

Smutne były ostatnie lata świetnego panowania Ludwika XIV. Sędziwy monarcha przeżywszy Delfina i jego dwóch synów, schodził do grobu zostawiając jedyną latorośl starszej gałęzi Burbońskiego domu, w osobie jedenastoletniego wnuka Ludwika XV.

Po śmierci Ludwika XIV., książe Orleanu jako regent, książe Bourbon jako pierwszy minister, zawładnęli sterem państwa, usiłując, każdy wzajemnie się nienawidząc, pozycyę wyzyskać dla siebie. Opieka więc nad młodym Ludwikiem zawsze jednemu z obu opiekunów korzyść przynieść musiała; aż nadto, to wyraźnie widzieć się daje przy układach o zawarcie małżeństwa Ludwika XV. z Infantką hiszpańską Anną Maryą Wiktoryą; jakby nadgrodę za przeprowadzenie tego układu regent miał pozyskać dla swej córki panny

Montpensier rękę ks. Asturyi następcę tronu hiszpańskiego, dla drugiej zaś panny Beaujolois rękę młodszego syna Karola V. Wkrótce też po owych układach panna Montpensier zawiera związki małżeńskie z następcą tronu hiszpańskiego, a młodziutką — bo trzechletnią Infantkę z wielkiemi honorami przywożą na dwór Wersalski, gdzie skończywszy lat siedm, zaręczoną miała być Ludwikowi XV.

W całym projekcie nie radzono się ks. Bourbon, a wybór tak młodziutkiej oblubienicy dla króla budził już w jego wyobraźni straszne widmo wygaśnięcia dynastyi Burbońskiej, i przejście korony prawem spadku na nienawistną mu gałąź domu Orleańskiego. Przedstawia więc ks. Bourbon całe niebezpieczeństwo radzie ministrów, która uznaje, że odłożenie na tak długie lata zaślubin królewskich naraża kraj na cały szereg możebnych nieszczęść. Pięć lat już upływało od czasu przybycia Infantki na ziemię francuską i zbliżała się już chwila urzędowych zaręczyn, pomimo tego zapada uchwała odesłania Infantki, chociażby to Francyę narazić miało na słuszny gniew Karola V., a może nawet na wojnę z Hiszpanią.

Załatwiwszy tak stanowczo tę trudną na pozór kwestyę, ks. Bourbon zaczął szukać na wszystkich dworach Europejskich księżniczki, któraby wiekiem, urodą, pochodzeniem, odpowiednią była partyą dla młodego króla, a zarazem przyniosła Francyi korzystne przymierze. Tak przedsięwzięte poszukiwania przyniosły imiona 23 księżniczek, pomiędzy któremi pierwsze miejsca zajmowały ks. Walji, i carówna rosyjska, córka Piotra I.; a jako z ostatnich Marya Leszczyńska. Rada ministrów z ks. Bourbon na czele szle wysłanników do Anglii, gdzie przyjęto propozycyę z wielkiem zadowoleniem. Chodziło tylko o zmianę wyznania księżniczki, bo na tronie Francyi, tej starszej córki kościoła, katoliczka tylko zasiąść może. Zresztą cóżby na to powiedział Papież Benedykt XIII. widząc, że się Francya stara o anglikańskie związki; czy w takim razie zamiast łagodzić gniewy katolickiego króla i przedstawiać mu, że tylko zbyt wielka młodość jego córki, była przyczyną rozchwiania się zamierzonego związku, nie zwróciłby się Papież wręcz przeciw Francyi? W każdym razie warto było zastanowić się nad tem pytaniem.

Rozpoczęły się więc rokowania w celu nakłonienia księżniczki angielskiej do zmiany wyznania, ale Jerzy I., wierny tradycyi Ha-

nowerskiej, stanowczo się temu sprzeciwił. Natomiast wysunęły się naprzód nowe projekta. Carowa Katarzyna, wszechwładna pani po śmierci męża, wydała córkę starszą za ks. Holsztyńskiego, a drugą młodszą chętnie by oddała władcy Francyi; sama z tem do posła francuskiego się zwróciła, na zmianę wyznania chętnie przystając. Tymczasem książe minister, przepatrując listę owych księżniczek proponowanych jako kandydatki na tron francuski, czy żałując tylu lat straconych, czy myśląc istotnie o dobru Francyi i szczęściu młodego monarchy, — właściwą przyczynę nie tak łatwo wyśledzić — dość, że nagle wybiera z pomiędzy tylu księżniczek i usilnie polecać zaczyna, zostającą dotychczas na ostatnim planie Maryę Leszczyńską, córkę króla wygnańca, chwaloną powszechnie z bogobojnego wychowania, równie jak zalet umysłu i serca. Pani de Prie, pod której wpływem książe minister tyle lat przebył, pochwalała podobno z początku ten zamiar, spodziewając się mieć w królewnie ślepe i powolne narzędzie do swych planów; później jednak, zdaje się, że obawa, aby z jej przebiegłych sideł nie uleciał nie młody już, a może i znudzony „kochanek", obecnie myślą o Maryi Leszczyńskiej dość na seryo, jak wydawało się, zaprzątnięty, skłoniła ją do nowych knowań, które tyle zaważyły w losach Francyi. Pani de Prie nasuwa myśl ks. ministrowi, aby upatrzoną przez siebie księżniczkę, przedstawił jako najodpowiedniejszą na królewską małżonkę. Od tej chwili oboje pracują tylko nad tem, aby do celu doprowadzić tak osnuty zamiar, który, chociaż płynący z przebiegłej intrygi, w rezultacie jednak był, jak się słusznie wyraża p. de Raynal, „najszczęśliwszym wydarzeniem panowania Ludwika XV." dając bowiem Francyi najlepszą i najcnotliwszą królowę, wyjednał w następstwie przyłączenie Lotaryngii do Francyi, jeden z najszczęśliwszych wypadków, jakimi historya francuska może się poszczycić.

Współczesne pamiętniki przekazały wiele szczegółów potomności o zaślubinach Maryi Leszczyńskiej; nikt jednak dotąd nie potrafił tak jak p. de Raynal, czytać w tej księdze przeszłości, a to dla prostej przyczyny, że szczęśliwszy od innych — nie opierał pracy na domysłach, ale charakteryzował epokę z dokumentów pewnych a obfitych. W bogatem archiwum arsenału w Paryżu, odnalazł p. de Raynal całą korespondencyę Stanisława Leszczyńskiego z ko-

mendantem Strassburga, a zarazem wiernym swym przyjacielem, marszałkiem de Bourg, listy królowej Maryi pisane do Ojca, i do tegoż starego przyjaciela i sporą wiązankę listów rozmaitych osób, pośrednio lub bezpośrednio dotyczących królewskiej rodziny. Mając już w ręku ten nietknięty dotąd skarb, pomnożył go autor poszukiwaniami w archiwum spraw zagranicznych i w archiwum narodowem, skąd wypisał korespondencye posłów zagranicznych, wyjaśniające najdrobniejsze szczegóły, odnoszące się tak do projektu zaślubin hiszpańskiej Infantki, jak rozchwianie tego małżeństwa, a potem nowe projekta i szczegóły odnoszące się do zaślubin Maryi Leszczyńskiej.

Z tego suchego materyału, którego jedyną okrasą są owe wspomniane listy, stworzył p. de Raynal książkę budzącą nadzwyczaj żywe zajęcie; czytelnik wyraźnie czuje, jak epoka, o której mowa, dobrze znaną autorowi, jaka w każdym szczególe przebija się pewność, maluje się znajomość charakterów. Historyczne też te postacie wychodzą z pod pióra p. de Raynal, żywe i prawdziwe, a czytelnik ma wrażenie, jakby na ten świat patrzył swojemi własnemi oczyma. Szczególnie *con amore* maluje p. de Raynal wnętrze królewskiej wygnańczej rodziny — nie dziwiąc się, jak wielu innych, że potężny Ludwik XV. wynosi na tron i najpiękniejszą koroną, jak wyraził się o niej Karol V., zdobi skronie ubogiej, ale cnotliwej, słodkiej i mądrej królewny Maryi Leszczyńskiej.

Wszystkich tych przymiotników używa autor dla określenia narzeczonej królewskiej, a wizerunek jej z lat następnych oddany w pracy p. de Raynal, jest tylko tych słów potwierdzeniem, ukazując nam w całym blasku ten prawy i spokojny charakter, nie dający się nigdy sprowadzić z prostej drogi, ani porwać tak licznym, uderzającym na nią ze wszystkich stron niebezpiecznym prądom. Królowa była bogobojną i miłosierną nad wyraz, a jeżeli te jej przymioty nie miały należnego rozgłosu, to jedynie dlatego, że za wiele złego stawało po przeciwnej stronie do walki, walka ta zużywała jej siły, ale nie przyćmiła nigdy blasku cnoty. Zawsze to była ta sama królowa poważna, bez skargi na ustach, a z cichą ofiarą w sercu. Rozsypane w książce listy Maryi Leszczyńskiej do Ojca, uchylają zasłonę z tej pięknej duszy, i z ukształconego i mądrego jej umysłu. W dodatku spotykamy wiązankę autentycznych

listów królowej do marszałka du Bourg, w których serce, dowcip, i żywość, malują się na przemiany. Korespondencya ta prowadzona przez lat 14 tj. od zaślubin Maryi Leszczyńskiej do śmierci starego przyjaciela — coraz i coraz smutniejsza, maluje zawsze wiernie i pięknie królowę, której naród dał imię dobrej.

M. S.

N. Gihr. Sequenzen des römischen Messbuchs dogmatisch und ascetisch erklärt. Freiburg i/B. Herder 1887 pag. 543.

Dr. Gihr znany już dostatecznie z dzieł i rozpraw o Mszy św. traktuje w dziele niniejszem o pięciu sekwencyach mszału rzymskiego, prawdziwych arcydziełach poezyi religijnej i liturgicznej. Lecz czy z tem uznaniem i podziwem nie powinnoby być połączone staranie się o lepsze zrozumienie i praktyczne zastosowanie tych wspaniałych pieni? To właśnie pytanie nasunęło Dr. Gihrowi myśl do opracowania tego przedmiotu w dogmatyczno ascetyczny sposób. Trzymając się ściśle dosłownego brzmienia tekstu, stara się autor rozwinąć bogactwo i głębokość dogmatycznej treści sekwencyj, aby z tychże do medytacyi i kazań praktyczny można zrobić użytek. Co nie służy do osiągnięcia tego celu, a więc uwagi polemiczne i krytyczne, jak również niekoniecznie potrzebne literackie cytaty — autor opuścił zupełnie, choć łatwo pojąć, jak silne w tym względzie pokusy musiały mu się nasuwać. Cel autora da się w streszczeniu określić słowami św. Bernarda wyjętemi z ascetyczno mistycznych rozpraw *O Pieśni nad Pieśniami*: „Głównem mem zadaniem nie jest mądrze pojedyńcze słowa wykładać, lecz do serc przemawiać. Czerpać sam muszę ze źródła a dopiero zaczerpnąwszy podostatkiem wody, innym ją mogę podawać: tego zaś nie dopnie, kto szybko z jednej materyi do drugiej przebiega; lecz ten tylko, kto nad każdem słowem pilnie się zastanawiając, zbawienne napomnienia z niego wyciąga.

Pięć sekwencyi stanowią: *Stabat mater — Victima Paschali — Veni Sancte Spiritus — Lauda Sion — Dies irae.* Poprzedza je rozprawa o boleściach Maryi wielce pożądana z tego powodu, że rzadko gdzie znaleść można przedmiot ten dogmatycznie opracowany. Autor zastanawia się głównie: 1) nad wielkością boleści Maryi, 2) nad siedmioraką ich liczbą, 3) nad bohaterstwem Matki Bolesnej, 4) nad celem i znaczeniem jej cierpień, 5) nad nabożeństwem do nich. Między innymi odznaczają się wywody autora, w których dowodzi, że Marya pod krzyżem nie zemdlała, że po zdjęciu z krzyża trzymała ciało Chrystusa na kolanach, że już przy zwiastowaniu przewidywała i przeczuwała wszystkie boleści, jakie ją w dalszym ciągu żywota spotkać miały i t. d. Chociaż nabożeństwo do siedmiu boleści Maryi już w XI. wieku powszechnie było znanem i rozszerzonem, to jednak protestanci w wieku XVI. wystąpili przeciw niemu z mnogimi zarzutami, dając tak sposobność do wszechstronnego zbadania tej materyi. W roku 1725 Benedykt XIII. rozciągnął święto siedmiu boleści Maryi na cały kościół wyznaczając na dzień tej uroczystości ostatni piątek przed wielkim tygodniem. *(Festum Primarium).* Później dozwoliła również Stolica Apostolska wielu krajom i zgromadzeniom zakonnym, obchodzić to

święto w trzecią niedzielę września. Papież Pius VII., który szczególne miał nabożeństwo do siedmiu boleści Maryi i w każdej większej potrzebie, każdej cięższej chwili do Matki Bolesnej się uciekał, oznaczył w roku 1814 dzień 18-go września jako drugi dzień, w którym uroczystość ta przez cały Kościół miała być obchodzoną. *(Festum secundarium)*. Drugie to święto nie ma na celu wyłącznego uczczenia najwyższego cierpienia Maryi, jakiego doznała na Golgocie, lecz wymienia wyraźnie i sześć innych jej boleści. Pierwsze święto pobudza nas do dzielenia boleści z najświętszą Matką, drugie do rozpamiętywania tryumfu chwalebnej królowej wszystkich męczenników, która równocześnie jest naszą najpotężniejszą i najłaskawszą pocieszycielką we wszystkich naszych dolegliwościach i utrapieniach.

Na szczególną uwagę zasługuje wytłomaczenie hymnu „Przyjdź Duchu święty“: *Veni sancte spiritus*. Uroczystość Ducha św., którego działalność w Kościele tak jest wielką, a zamieszkiwanie jego w duszach ludzkich z całą pełnią łask i dobrodziejstw tak dla nas pocieszającem, pomimo świetności, z jaką Kościół ją obchodzi, zbyt mało jest znaną, a stąd nie dość miłowaną i cenioną. Pochodzi to głównie stąd, że bardzo trudno pojąć dzieła Ducha św. wkraczające w sferę pojęć nadnaturalnych. Wielu świętych szczególnem do Ducha św. odznaczało się nabożeństwem; św. Teresa wszystkie swe listy tem pobożnem rozpoczyna życzeniem: „Niech Duch św. będzie z nami“ i t. p. Jak dobrą sposobność nastręczają nam Zielone Świątki do wytłomaczenia ludowi istoty i działalności Ducha św. Przecież i dzisiaj jeszcze Duch św. oświeca Papieża i biskupów, uczy ich prawdy, nagina serca wiernych ku zrozumieniu nauk Kościoła. Duch św. udziela kapłanom boskiej władzy do odprawiania ofiary bezkrwawej nowego zakonu i do sprawowania św. Sakramentów, Duch św. udziela wiernym łaski uświęcającej, i wszystkich łask, w których wykwita życie cnotliwe i bogobojne. Nie cały tekst sekwencyi *Veni sancte spiritus* nadaje się równie dobrze do popularnego wykładu; wszakże kaznodzieja znający swych słuchaczów potrafi z pewnością myśl jego i ważniejsze ustępy jasno i przystępnie im wytłomaczyć.

Zupełnie przystępnemi dla ogółu są sekwencye — *Lauda Sion* i *Dies irae* — a zwłaszcza ta ostatnia. Hymn *Dies irae* ułożony został przez br. Tomasza z zakonu OO. Franciszkanów; dr. Gihr dzieli go na 4 odrębne części: I. Strofa 1—7 wspaniały obraz końca świata wstrząsa umysłem. II. Strofa 7—19 w przejmujących słowach wyrażone uczucia, jakie grzeszną lecz pełną skruchy duszę człowieka przepełniają. Objawiają się one najprzód w szczerych prośbach o własne zbawienie (7—17), a potem w modlitwach za wszystkich zmarłych (18—19). Hymn ten po utworach Clementa, Moroniego i Daniela jest może najpiękniejszym poetycznym utworem kościelnym. Żadne tłomaczenie nie jest w stanie wiernie odtworzyć siły wyrażeń właściwej oryginałowi, to też w niemieckim np. języku jest tych tłomaczeń już przeszło sto. Dla czegoż więc, pyta autor, nie mielibyśmy z treścią tego hymnu więcej zaznajomić wiernych, dla czego nie przytaczać częściej na kazaniach i w naukach poruszających jego wierszy.

Niechaj tych kilka uwag posłuży do wykazania całej praktycznej doniosłości dzieła dra Gihrsa. Pięć drzeworytów w książce umieszczonych wiele pozostawiają do życzenia tak pod względem delikatności rysunku, jak i wyrazu pojedynczych twarzy.

Ks. A. Arndt.

Bernard Veuillot, par le Père *Gabriel Billot*, de la Compagnie de Jésus. Paris. Palmés éditeur 1887.

Rzadko zazwyczaj jedna i ta sama rodzina wydać z siebie zdoła w jednej epoce kilku mężów pierwszorzędnej miary. Ale wystarczy jednego, aby cały poziom otoczenia podnieść, całą domową atmosferę uduchownić, i wezwać najbliższych i bliskich do pewnej wyższości, od której odtąd bez sprzeniewierzenia się tradycyi rodowej odstąpić im trudno. Drugiego Ludwika Veuillot'a na próżno byłoby się spodziewać, nie tylko w rzędzie najbliższych jego krewnych, bo rzadkiem zjawiskiem, nawet wśród szermierzy prawdy, serce tak gorące, pióro tak ogniste, styl tak płomienny, odwaga tak nieporuszona. Oczywiście jednak, wpływ jego sięgający daleko i szeroko, musiał na najbliższych najsilniej oddziaływać. Całą też rodzinę swoją porywał na wyżyny. Brat, jeśli go nie potrafił zupełnie zastąpić, to przynajmniej nastąpił po nim w kierownictwie *Univers'a*, i wiernie też przestrzega braterskiej tradycyi. Ludwik miał tylko córki, na synach Eugeniusza wiele budowano, licząc, iż się stryj w którym z nich odrodzi. I rzeczywiście, młody Bernard Veuillot zdawał się zapowiadać piękną przyszłość; nie dziw, że przedwczesny zgon jego odbił się niezwykłą żałobą w łamach prasy katolickiej. Jego to krótkie życie opowiedział nam świeżo Ojciec Gabryel Billot, kilkoletni profesor zmarłego.

Już dzieckiem, krew Veuillotów odzywała się w Bernardzie, oburzeniem bez granic przeciw każdej niesprawiedliwości. Gdy mu po raz pierwszy opowiedziano dzieje męki Pańskiej, chłopczyk trzech letni wysypał na Bożobójców cały grad wyrazów gniewu i pomsty jakimi rozporządzał. Zwycięstwo złego, bezprawie, świętokradztwo, do żywego nim wstrząsało. A jednak, mimo tak gorących uczuć, przyrodzona miękkość charakteru i dziecięce lenistwo, przez dłuższy czas napełniały kochających go usprawiedliwionemi obawami. Szczęściem nastąpił przełom w usposobieniu i życiu Bernarda, a przełom ten odnieść wypada do Ludwika Veuillot'a. Przejęty największą czcią dla stryja, młody Bernard odczuł żywo jego stratę. Znajdował się właśnie na wakacyach w Paryżu, gdy dotkliwa ta żałoba okryła jego rodzinę. Całą noc czuwał przy zwłokach wielkiego obrońcy Kościoła, i od tej nocy rachował też dni swego nawrócenia. „Modliłem się przy nieboszczyku, a raz po raz mi się zdawało, iż oczy swe otwiera i na mnie spogląda z wyrzutem, iż niedość pracuję, aby stać się mu podobnym, choć zdaleka. Bardzo mnie to wzruszyło, i odtąd postanowiłem się poprawić". Przyrzeczenie te, ślubowane wobec śmiertelnych szczątków stryja, w pełności dochowanem być miało.

Odtąd hart duszy i silna wola przemieniły leniwego ucznia, w najpilniejszego studenta, a chłopca pasowały odrazu na męża. Poczucie zobowiązującego nazwiska, pamięć tego stryja, którego zwał chętnie największym chrześcijaninem naszej epoki, dokazały zupełnej przemiany w młodym Bernardzie. Rodzice, profesorowie, zaledwie poznać mogli dawnego wiecznie zaniedbującego się ucznia, w tym pracowitym i pracującym nad sobą młodzieńcu. Zniknięcie mężów, których nawykliśmy uważać za filary główne wielkich spraw, bywa nieraz dla serc szlachetnych pobudką do ściśnięcia szeregów i zarównania próżni... Jednego dzielnego, zastąpić może spójnia wielu dobrych, jak słusznie powtórzono niedawno temu nad otwierającymi się wśród nas mogiłami najlepszych, najpotrzebniejszych...

Bernard Veuillot kształcił się w kolegium Najświętszej Panny, *St. Mary's college*, w Canterbury, dokąd wygnani z Francyi Jezuici przenieśli jeden z swoich zakładów. Gotując się do egzaminów, młodzieniec marzył już o wstąpieniu do redakcyi *Univers'a* i naśladowania we wszystkiem nieodżałowanego stryja. Zamiar ten wpływał i na wyrobienie się jego stylu, który nawet w potocznych listach stawał się coraz silniejszym i świetniejszym. Korespondencya młodego chłopca dostarczyła tu biografowi niemało pięknych ustępów i urywków. Jednego dnia np. pisał do ojca: „Czuję jeszcze w sobie resztki dawnej miękkości, ale ufam że i te znikną z czasem. Wezmę się do tego mężnie, z myślą o Bogu i o Papieżu; te bowiem dwie dźwignie dodają mi siły. Zapewne, i wzgląd na służbę wojskową może mi być bodźcem, ale zdaje mi się, iż chrześcijaninowi raczej tamte przystały. Podniosę tedy oczy w górę i zwrócę je ku Bogu, który chce abym pracował, ku wam którzy mnie o to prosicie... Ach! jakżebym rad być silnym, mężnym, niezłomnym, i postępować bez lęku i bez zwrotów żadnych po drodze dobrego, zamiast się błąkać na ścieżkach miękkości, lenistwa i małoduszności! Uproście mi u Boga tę łaskę. Westchnijcie tam za mną do kochanego stryja, aby nademną czuwać raczył z nieba, i uczynił mnie godnym spadkobiercą swego nazwiska". Innego znów dnia się odzywał: „O byle co zapadam w uczuciowość, i marnie w niej ginę. Ach! gdyby mi Bóg zechciał przysporzyć nieco energii i mocy ducha, możeby się wtedy co ze mnie porządnego dało zrobić, boć was kocham z całej duszy, i miłuję wszystko co piękne. Ale po trochu jestem jak asfalt angielski, niby to kamień, a gdy się zagrzeje, mięknie jak masło".

W pięknej ambicyi zastąpienia stryja w obronie prawdy i sprawiedliwości, Bernard Veuillot zaszedł dalej niż zrazu zamierzał. Chciał piórem służyć Kościołowi, aż tu głos wewnętrzny jął go naglić, aby i życiem mu służyć. Budzące się w młodem sercu powołanie misternie tu zostało zanalizowane przez znawcę dusz i dróg Bożych. Wyrzeczenie świata niczem, ofiara z siebie czemś małem wydawała się szlachetnemu młodzianowi. Tylko węzły rodzinne, wzgląd na smutek rodziców, ostatecznie nie dają mu jasno wejrzeć w głąb własnego serca. Boi się stanowczego wezwania Bożego, wspomina o nadchodzących rekolekcyach, jako o tygodniu b ł o g i m i strasznym zarazem. Aż tu Bóg sam rozstrzyga; nie piórem, nie życiem młody Veuillot świadczyć Mu będzie i służyć: do innej powołan ofiary, którą w dziewiętnastym roku życia mu spełnić przychodzi. Śmierć zaszła go nagle, niespodzianie, tajemniczo, jako złodziej, wedle słów Pisma. W niedzielę, 30 maja przystąpił do stołu Pańskiego ze zwykłą pobożnością. Wieczorem długo się modlił. Nazajutrz wstał zdrów i rześki, uczył się pilnie, bawił ochotnie z towarzyszami. Wtem popołudniu nagle uczuł boleści wewnętrzne, w nocy straszne pojawiły się kurcze, i nic nie zdołało ulżyć katuszom biednego chłopca. Wśród najsroższych mąk, wijąc się od bólu, wciąż pamiętał na sąd Boga, przed którym czuł iż niebawem stanie. Wciąż trapił się myślą iż rodziców nie pożegna. Przyjęcie Sakramentów świętych przyniosło mu ukojenie, i ostatnie godziny przepędził w słodkiem poddaniu się woli Tego, którego od dzieciństwa ukochał. Dnia 1 czerwca 1886 r., nad ranem, podniósł rękę jakby z błogosławieństwem dla ukochanych, nieobecnych, i zawoławszy tylko: *Adieu, adieu!* zasnął w Panu.

Sympatyczna ta biografia powinna znaleźć miejsce w bibliotekach młodzieży chrześcijańskiej. Nie danem było Bernardowi Veuillotowi podjąć pióro

dziennikarza ani oblec suknię misyonarza. Nie mniej krótki jego żywot może wywrzeć rodzaj apostolstwa pośmiertnego, i niejedno wystudzone szkolnictwem nowoczesnem serce znów ogrzać uczuciami, które Bernardowi były pobudką i podnietą do dobrego.

M.

Mary Stuart a Narrative of the first Eighteen Years of her Life by the Rev. *Joseph Stevenson S. J.* Edinburg. Paterson. 1887.

Istna rycerska wojna o cześć kobiety, wedle tytułu nadanego jednemu z najpiękniejszych szkiców Szajnochy, wytoczoną została w bieżącem stuleciu przez uczonych wszystkich narodowości, aby przywrócić dobrą sławę pięknej Szkotów królowej, i postać Maryi Stuart oczyścić z legendowych naleciałości poezyi i powieści. Z tej próby badań wychodzi ona czystą i szlachetną, taką jaką być musiała, gdy ją spółczesny Skarga w poczet świętych męczennic zamieszczał. Dotąd atoli historycy głównie studya swe zwracali ku późniejszym okresom życia nieszczęśliwej pani, opisywali burzliwe lata jej panowania w Szkocyi, dwukrotne śluby, niewolę i śmierć tragiczną. Ojciec Stevenson, z Towarzystwa Jezusowego, po raz pierwszy specyalnie się zabrał do historyi młodych lat Maryi Stuart. Zakonnik ten zajmując się dotychczas przeważnie wydawnictwami starych dokumentów i archiwów, ograniczał się skromnie na pisaniu wstępów i przedmów do pomnikowych dzieł, świadczących o jego znojnej pracy i znajomości niedorównanej XVI. stulecia. Względnie zatartą przyjmując rolę, nie dał dotąd się był poznać samodzielną pracą, i zdumiał najsurowszych krytyków wdziękiem formy i stylu zaprawionego na najlepszych wzorach. Opierając się na zasadzie, iż życie kobiety jest dalszym ciągiem życia dziewczęcia, i że jakiem było wychowanie, takiem i życie, Ojciec Stevenson sięga do kolebki Maryi Stuart, aby wykazać, jak czystemi były jej dziecinne lata i młodość. Przez cały ciąg jej pobytu we Francyi nie podnosi się ani jeden zarzut, ani jedno słowo krytyki lub potwarzy nie dosięga jej nieskazitelnego charakteru, bądź wtedy gdy była panną, bądź gdy została żoną królewską, a następnie i wdową. Autor zwycięsko odpiera twierdzenie, jakoby Katarzyna Medycejska ukształtować miała charakter swej synowej. Przeciwnie, królowa ta żadnego wpływu nie wywarła, ani na jej wychowanie, ani na charakter. Co więcej, niechęć Katarzyny zawsze oddalała od niej Maryę Stuart, a w końcu tę ostatnią zniewoliła do opuszczenia Francyi. Jeżeli kto wpłynął na wychowanie młodej Maryi, to jedynie jej rodzina, ze strony matki, a mianowicie babka, Antonina de Bourbon, małżonka pierwszego księcia de Guise.

Chociaż książka cała napisaną jest z powziętem z góry postanowieniem obronienia swej bohaterki od licznych a niesprawiedliwych zarzutów, to przecież autor w tak pewnych czerpie źródłach, tak nowe i znaczące przytacza dokumenta, że wątpić niepodobna o prawdzie i sumienności jego słów. To też nawet protestanccy krytycy powitali nową tę pracę z najwyższem uznaniem, polecając ją usilnie uwadze tych wszystkich, którzyby poznać chcieli czynniki i wpływy rozstrzygające o rozwoju charakteru a pośrednio i losów pięknej i nieszczęśliwej królowej Szkockiej.

M.

Z pism peryodycznych.

Przegląd kościelny. Pismo miesięczne poświęcone nauce katolickiej i życiu Kościelnemu, wydawane przez *ks. Wład. Jaskulskiego*, proboszcza w Dolsku. Rocznik IX. Poznań 1887.

Każdemu katolikowi bez wątpienia prawdziwą sprawia radość, kiedy widzi, że duchowieństwo nasze wiadomości swoje i doświadczenie w ciężkiem zadaniu duszpasterstwa tak praktycznie jak i teoretycznie stara się coraz więcej pomnożyć i wydoskonalić. Niemniej chętnie każdy kapłan rozumiejący swe powołanie, korzysta z nadarzającej się sposobności, aby zasób wiadomości w kierunku ascetycznym, krasomówczym i duszpasterskim rozszerzyć i utrwalić. Słuszne więc uznanie należy się tym czasopismom, co postawiły sobie za zadanie, wspierać duchowieństwo w tym względzie. I dzięki Bogu, spostrzegamy u wszystkich niemal narodów cywilizowanych, że nauka katolicka nie upada, ale odpowiada także w zupełności dzisiejszym wymogom czasu, nowych pojęć i naukowych zdobyczy. Tu duchowieństwo katolickie na filozoficznem pracuje polu, tam apologią głównie się zajmuje, gdzieindziej dogmatyką, również monopol historyi protestanckim odebrano pisarzom, gdzieindziej wreszcie gorliwie i ze skutkiem pracują nad teologią moralną, prawem kanonicznem i teologią pastoralną. Przy tych zapasach na polu literackiem i nasz kler nie pozostaje po za drugimi, czego najlepszym dowodem czasopismo, któremu kilka uwag poświęcić chcemy.

Mamy oprócz niego wprawdzie i inne czasopisma, które do tegoż samego dążą celu, zajmują się one jednakowoż więcej sprawami właściwemi pojedynczym dyecezyom. Przegląd zaś katolicki, wychodzący dawniej jako tygodnik, a obecnie zmieniony na miesięcznik, zakreślił sobie ogólniejsze cele i szerszą dążność i tem samem podjął zadanie o wiele zaszczytniejsze i rozleglejsze. Nietylko służy on jako podręcznik praktyczny, lecz z dziedziny całej teologii traktuje pojedyncze działy, jak również z należytą energią, a zarazem umiarkowaniem zajmuje się sprawami kościelno-politycznemi i socyalnemi. Rozczytując się w poszytach ostatniego półrocza, przyznać musimy, że *Przegląd* usunął brak dawno w Polsce

odczuwany, wypełnił lukę w polsko-kościelnej literaturze i stanął na równi z *Linzer Quartal-Schrift Katholik, Münsterisches Pastoralblatt* i innemi tego rodzaju pismami zagranicy.

Oto dowód jak sumiennie i gruntownie traktuje rzeczy. Już w pierwszym zeszycie b. r. poruszono nadzwyczaj ważną kwestyę o rozgrzeszaniu powtórnie w grzech upadających *(de absolutione recidivorum)* kwestyę, przy której kapłan, jako sędzia w trybunale pokuty, wchodzi często w kolizyę ze swoimi obowiązkami ojca i lekarza. Autor rozprawy nie uwzględnia wprawdzie historycznego rozwoju tej kwestyi, lecz ze słów jego natychmiast poznać można, do jakiej zaliczyć go można szkoły. Rozwodzi się on najsamprzód nad zasadami t. zw. starej szkoły moralistów tj. moralistów przed św. Alfonsem Liguori i La Croix, czyli pisarzy przed powstaniem herezyi Jansena, objaśnia jak szkoła ta pojmuje powtórny upadek, jak również przedstawia jej zasady i zapatrywania pod względem odpowiedniego czasu. Łagodzi wiele zbyt ostrych wyrażeń niektórych starszych pisarzy, opierając się nietylko na kontekście, lecz w ogóle na całym ich systemie i tendencyi; dalej wyłożone są środki, jakie ku poprawie recydywisty służyć mogą, jasno wytłómaczone nadzwyczajne oznaki żalu *(signa extraordinaria doloris)*, dokładnie objaśniona sławna 60 propozycya Inocentego XI., jak również w jakim celu takowa ogłoszoną została. Nadzwyczaj gorliwie zajmuje się dalej szkołą rygorystyczną Jansenistów, wylicza jej nierozsądne zasady pod względem powtórnego upadku, które na pozór święte, lecz w rzeczywistości zdolne do prawdziwej doprowadzić rozpaczy. Z równą znajomością rzeczy objaśnia autor zasady O. La Croix i arystarcha teologii moralnej św. Alfonsa. Do nowszych moralistów przechodząc bardzo trafną autor robi uwagę, że wielka ich część, nie zważając na wynikające stąd trudności, po prostu idzie za św. Doktorem; wreszcie wspomina i o reszcie nowszych moralistów, którzy się znowu wrócili do dawnej szkoły. Za głównego przedstawiciela tego kierunku uważa O. Balleriniego, chociaż już i inni przed O. Ballerinim kwestyami tymi w myśl starej szkoły się zajmowali i w ich obronie występowali. W dalszym ciągu obszernie traktuje o O. Taure i Andreuccim, o walce O. Balleriniego z windicyami św. Alfonsa, i kończy wreszcie historyczny rozwój tej kwestyi najnowszą teoryą pojednawczą niektórych wy-

bitniejszych autorów, „z której widoczne, że autorowie wracają powoli do zasad dawnej szkoły“. Cieszy nas bardzo, że *Przegląd* ten *status questionis* i ten rozwój historyczny literaturze polskiej przyswoił.

Podobnie ma się rzecz z drugą ważną kwestyą „o juryzdykcyi i jej uzupełnieniu“, gdzie nieco pewnego, a wiele jeszcze kwestyi nie rozstrzygniętych. Kwestya spekulatywna, skąd kapłan otrzymuje juryzdykcyę, jasno wytłumaczona; jak zaś to ma być zrozumianem wobec tego, że kapłan *pro foro interno* od biskupa otrzymuje juryzdykcyę, powinno być rozstrzygnięte według zasad nowszej dogmatyki i teologii moralnej, według których każdy przy święceniu kapłańskiem otrzymuje juryzdykcyę *radicaliter*, czyli możność sprawowania urzędu kapłańskiego, żeby zaś *de facto* go sprawował, potrzeba, aby biskup podwładnych mu wyznaczył. Co do szczegółowych wypadków, w jakich Kościół juryzdykcyę uzupełnia, okazuje autor znajomość starszych pisarzy, św. Alfonsa Liguorego, jak również moralistów nowszej szkoły.

Również zajmującym jest artykuł: „Kilka uwag o historyi dogmatów“, w którym autor słuszną robi uwagę, że historya dogmatów wyrosła na gruncie protestanckim. Byłaby tu bardzo pożądaną wzmianka, dla czego właściwie protestantyzm tak silny na to położył nacisk, i ostatecznie historyę danego ściśle określonego dogmatu z dogmatem samym pomięszał. Pięknem jest wyjaśnienie i rozwinięcie historyi u racyonalistów i supernaturalistów, gdzie z samej natury rzeczy i z objawienia właściwe pojęcie historyi dogmatów wyprowadzone. Dogmat sam pozostaje zawsze ten sam, lecz rozwój, poznawanie go i sformułowanie *(fides explicita)* podlega pod tym względem zmianie, że jaśniej może być pojętym, dokładniej określonym, chociaż depozyt wiary apostołom powierzony był ten sam co i dziś. Przyjmujemy zatem chętnie jako jedynie trafną definicyę historyi dogmatu tę, jaką znajdujemy w tym artykule, że „jest przedstawieniem nauki wiary rozwijającej się na drodze postępu i sformułowania“. Przez to upada cały system Güntherianizmu i historycznej szkoły w Monachium, według których, że tak powiem, nowe powstają dogmaty. W końcu artykułu, wykazuje autor potrzebę, ważność i pożyteczność tej gałęzi teologii, przy czem wyjaśnia jej stosunek do właściwego dogmatu, że służy do lepszego

zrozumienia jego, a nie, jak dawniej często się działo i jeszcze dzieje, że stanowi główny przedmiot teologii, a dogmat leży zupełnie odłogiem.

Niemniej zalecenia godne są inne artykuły omawiające zadanie, znaczenie i obowiązki prasy katolickiej, i tak: „Znaczenie socyalne i moralne dobrowolnego ubóstwa“, „Sekularyzacya szkoły“, „Kary kanoniczne za obmowy“ i t. d. Znaleść tu można praktyczne wskazówki, w krótko omówionych kwestyach. Równie praktyczne są „Uwagi i wskazówki pastoralne“. Przytem czytelnik znajdzie tu najnowsze decyzye kongregacyi z wychodzących miesięcznie „Acta s. sedis“, skutkiem czego jest zawsze dokładnie powiadomiony o wszystkich najnowszych w tym względzie postanowieniach, co w wielu sprawach, jak np. pod względem zwolnienia z kar kościelnych *(Absolutio a censuris)* r. 1886, dla spowiednika nieodzownie jest potrzebnem.

Recenzyj najnowszych dzieł literatury na wszystkich polach dostarcza *Przegląd* pod rubryką „Wiadomości literackie“, a i o kronice nie zapomina, po czem daje ogólny pogląd na działalność kościoła w rozmaitych państwach i podaje krótko i treściwie najważniejsze zdarzenia tegoczesne. Przytem wszystkiem druk i cała strona zewnętrzna udatna, a cena 3 marek za kwartał bardzo umiarkowana. Możemy tylko pragnąć, aby *Przegląd* jak najwięcej się szerzył, rozwijał i doskonalił.

Ks. A. Kraetzig.

Rozmaitości.

50 lat poczciwej pracy i walki. Z dniem 1 lipca rozpoczęły *Historisch politische Blätter,* wychodzące w Lipsku setny tom swego wydawnictwa, którym święcą rzadki, bo piędziesięcioletni jubileusz swego istnienia.

Zadaniem tego czasopisma jest i była otwarta obrona interesów katolicyzmu na wszystkich punktach i pod każdym względem. Zaczepki ze wszech stron podnoszące się przeciw Kościołowi, niezliczona ilość pism i pisemek znieważających wszystko co święte

w naszej religii, a obok tego milczenie niemal powszechne prasy katolickiej natchnęły Gwidona Görresa i Jerzego Philipsa do założenia organu, któryby stanął na straży zagrożonych interesów Kościoła, fałsz bez ogródki piętnując, a prawdę w należytem świetle przedstawiając. Głośny swego czasu zatarg rządu pruskiego z kolońskim arcybiskupem Klemensem Augustem w sprawie mieszanych małżeństw, zakończony więzieniem sędziwego wyznawcy, był ostatniem hasłem do podniesienia głosu w obronie Kościoła i prawdy. Z dniem 1 kwietnia 1838 r. ukazał się pierwszy zeszyt czasopisma przeznaczonego *für das katholische Deutschland.*

Stanowisko przedewszystkiem historyczne uwzględnili założyciele, historya bowiem była punktem, z którego najzjadliwsze pociski padały na Kościół. Na tem to polu od wielu lat pracowali bez znużenia protestanccy uczeni. Pod pozorem „przedmiotowej prawdy", szerzyli oni najbardziej fałszywe poglądy, przekręcali i naciągali dzieje i fakty historyczne, słowem, wszystkiego używali, co się tylko mogło przyczynić do zohydzenia religii katolickiej, a podniesienia protestantyzmu, który malowano, jako zbawczą erę ludzkości.

Przeciw tej to fabrykacyi historyi wystąpiły liczne artykuły w nowem czasopiśmie, źródłowo i krytycznie opracowane, a bezstronnie wykazujące tendencyę i złą wiarę dziejopisów protestanckich. Zrazu nie zwracano na nie uwagi i pocieszano się nadzieją rychłego upadku młodego zapasnika. Kiedy atoli zaczęło ono nabierać coraz większej powagi, roszerzać swe łamy i koło swych czytelników, posypały się napaści ze strony przeciwnej, co nie mogąc zaprzeczyć prawdzie, silili się osłabić przynajmniej jego powagę. Dążność tę nazywano wsteczną, powrotem do średniowiecza i absolutyzmu Kościoła etc. Tymczasem biegli historycy pokazali, że są także odważnymi jak i ciętymi w polemice.

A nie tylko dawniejszemi dziejami zajmowały się *Historisch politische Blätter,* ale omawiały wszystkie kwestye współczesne tyczące się Kościoła i państwa. Gruntownie i zasadniczo stawiało kwestye o różnych formach rządu, o prawie międzynarodowem, o stosunkach socyalnych i ekonomicznych. Późniejszy historyk znajdzie tu gotowy materyał do swych prac i sąd, na którym będzie mógł bezpecznie polegać. Śmiała atoli krytyka przewrotnego

postępowania państwa z Kościołem i podciąganie najwyższej polityki ziemskiej pod kodex Boży, oburzała rządy pojedynczych państewek niemieckich, i ściągała kilkakrotny zakaz rozszerzania tego czasopisma w ich granicach, który jednak nie zbił z tropu odważnych szermierzy.

Obok tego liczne artykuły naukowe przekonywają, jak bacznie śledzono tutaj zdobycze wiedzy, skrzętnie notując i z fachową znajomością omawiając wszelki postęp w literaturze, sztuce i wynalazkach.

Stanowisko zawsze religijne, traktowanie rzeczy zawsze gruntowne i poważne, polemika w granicach przyzwoitości prowadzona, zyskały oddawna należyte temu czasopismu uznanie w całym świecie katolickim. Już przed 40 laty wyrzekł o niem Montelambert: „*Historisch politische Blätter* jest jednem z pierwszych czasopism Europy“. „Szczęść Boże i nadal“, oto życzenie, jakie mu przy tej sposobności składamy.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Mowa ministra Treforta. — Skargi miotane przeciw duchowieństwu i episkopatowi węgierskiemu. — Kwestya przenoszenia biskupów we Węgrzech. — Rozwój katolicyzmu w Anglii. — Przyjęcie posła papieskiego w Londynie. — Głosy gazet angielskich o odnowieniu dyplomatycznych stosunków z Watykanem. — Wybory municypalne w Rzymie.

Stronnictwo rządzące dziś we Węgrzech nie odznaczało się nigdy nie tylko szczególną, ale choćby tylko przez same okoliczności wskazaną względnością dla Kościoła; co smutniejsza, nie tai bynajmniej, że na drodze tej wytrwać zamierza, a jeśli się da, to i szybszym jeszcze krokiem po niej postępować. Minister oświaty i wyznań, August Trefort, przyznał się najzupełniej do tego programu w mowie wygłoszonej przed kilku tygodniami do wyborców peszteńskich. Wychodząc z założenia, że państwu podporządkować należy wszystkie a wszystkie sprawy i kwestye. Minister przemawiał gorąco za zaprowadzeniem przymusowych małżeństw cywilnych, a jeszcze goręcej za wzięciem w ścisłą kuratelę rządową całego kościelnego majątku, dóbr biskupich, kapitularnych i zakonnych. Ale jakże się dziwić, że węgierski minister wyznań nie zna i nie rozumie wzajemnego stosunku państw do Kościoła; kiedy, jak pokazuje się z dalszego ciągu tej samej mowy, nie ma on wyobrażenia o istocie, a ma najfałszywsze wyobrażenia o początkach chrześcijaństwa. „Prawdziwy chrześcijanin, mówił dosłownie Trefort, nie prześladuje „żadnej rasy, żadnego wyznania; lecz najmniej prześladować mu

„wolno żydostwo, boć z żydostwa i pewnej przymieszki greckiej „filozofii wytworzyło się chrześcijaństwo (!)“. Renan przyklasnąłby z pewnością temu frazesowi; jedyną jakąkolwiek wymówką być tu może, że minister wyznań, uniósłszy się zapałem w obronie żydów, nie rozumiał całej doniosłości niedorzecznych słów przez siebie wypowiedzianych.

Istotnie, kwestya żydowska wysunęła się we Węgrzech na pierwszy plan tak dalece, że ktokolwiek jej tam dotyka, wpada w pewien stan, rzecby można, chorobliwego rozdraźnienia. Trefort oskarżył znaczną część katolikiego duchowieństwa o żywienie i podsycanie antysemityzmu, gorsząc się mocno tym „antychrześcijańskim, a zatem antykatolickim ruchem“. Kilka dzienników pochwyciło w lot te słowa i poszło krok naprzód. Niższe duchowieństwa, pisały te liberalno-żydowskie organa, niemało zapewne zawiniły; ale największa odpowiedzialność cięży na prymasie węgierskim, kardynale Simorze, za którego wiedzą i zezwoleniem miały miejsce antysemickie hece. Oszczerstwo rzucić łatwo i szybko się ono rozeszło; następne protesta katolickiej prasy przeszły niepostrzeżone, a niezadowolenie wywołane i sztucznie potęgowane przeciw kardynałowi, dotarło podobno do sfer najwyższych i ściągnęło na najwyższego dostojnika węgierskiego Kościoła bardzo niemiłe zarzuty.

Jednocześnie cała falanga dzienników, zostających w stosunkach z rządem węgierskim, uderzyła na wyborczą agitacyę duchowieństwa, które, rzecz prosta, głosów swych takiemu Trefortowi i jego poplecznikom oddawać nie chciało i sumiennie nie mogło. Te same dzienniki, które zwykły plwać na księży a zajęcia ich wyszydzać, teraz rozpisały się o wysokiem, pojednawczem powołaniu kapłana, odsuwającem go z natury rzeczy od politycznych walk i stronnictw. Całą tę taktykę porównaćby chyba można z taktyką żydowską a katolicyzmowi wrogiej *Neue Freie Presse*, która wobec coraz silniejszego antysemickiego prądu zwraca się do katolików o pomoc w tej walce: jak tu, tak tam przemawiają widocznie i wyłącznie, bardzo źle zamaskowane egoistyczne względy.

W całych Węgrzech i daleko poza ich granicami żywo rozstrząsanem jest obecnie pytanie: Czy rząd węgierski, podobnie jak ma prawo przedstawiać biskupów do zatwierdzenia Stolicy św., tak też ma następnie prawo przenosić ich na własną rękę z jednej

dyecezyi do innej? Od dawnych czasów rząd rościł sobie do tego pretensyę, chociaż jak to przyznaje *Pester Lloyd*, Rzym nigdy się w zasadzie nie zgodził się na tego rodzaju postępowanie. Tymczasem, w ostatnich miesiącach rząd przeniósł znowu pewnego biskupa z jednej dyecezyi do drugiej bez poprzedniego odniesienia się do Rzymu. Kurya rzymska za pośrednictwem nuncyatury wiedeńskiej zwróciła w styczniu b. r. uwagę ministeryum spraw zewnętrznych na nieprawidłowość tego kroku; a gdy w marcu wystąpiła znowu na stół kwestya przeniesienia biskupa z Szatmar do Grosswardein, kurya, nie czekając urzędowego uwiadomienia, pierwsza *motu proprio* oznajmiła, że w tym konkretnym wypadku zgadza się bardzo chętnie na przeniesienie biskupa z Szatmar; ponieważ odpowiedniejszego kandydata na opróżnioną stolicę w Grosswardein trudnoby było odnaleść. Wobec tej bardzo dyplomatycznie, ale zarazem energicznie prowadzonej kampanii, rząd węgierski nie wie dobrze, co ma zrobić i w którą stronę się zwrócić; a najlepszym dowodem tego zakłopotania jest wspomniany już artykuł *Pester Lloyda*, który wykazać miał prawo korony węgierskiej do samowolnego przenoszenia biskupów, a w rzeczy samej wykazał niezbicie, że takiego prawa, a raczej przywileju nigdy Węgry nie otrzymały, i że papieże od najdawniejszych czasów protestowali przeciw nadużyciom zachodzącym w tym względzie. Na swoje nieszczęście liberalna prasa w całym szeregu wstępnych, długich artykułów wdała się w tę sprawę, i raz jeszcze dobitnie wykazała, że o sprawach i urządzeniach kościoła katolickiego nie ma najmniejszego wyobrażenia. Jakieś żydowskie pismo oświadczyło wręcz, że „wybór biskupów z samej „natury rzeczy wchodzi w ścisły zakres nikim i niczem nieograniczonej władzy królewskiej i że weto papieskie w tej mierze za„łożone byłoby bezsprzecznie niczem nieusprawiedliwionem wtrąca„niem się w prawa korony, bo jedynie królowi, naturalnie za po„radą odpowiedzialnego ministra, wolno być może przenosić bisku„pów do tych dyecezyj, do których zarząd w danym razie osądzi „ich za najodpowiedniejszych. Mówić o jakiembądź mieszaniu się „Papieża, jestto mówić o czem potwornem, a choć nasz wiek obfi„tuje w rozmaite potworności, to przecież tak okropnej potworności „dotąd jeszcze nie widział“. Nie cytowalibyśmy tych prawdziwie potwornie brzmiących słów żydowsko-liberalnego pisma, gdyby nie

stety! takie właśnie słowa nie znajdowały aż zbyt silnego oddźwięku w królestwie św. Stefana; ostatecznie przecież żydowski dziennikarz w swym artykule i minister Trefort w programowej swej mowie przychodzą do tych samych, choć w nieco inną szatę ustrojonych wniosków.

Jeśli patrząc na sąsiednie nam Węgry ze smutkiem powiedzieć sobie trzeba: Nigdzie może z taką siłą i szybkością nie rozrasta się żydowsko-wolnomularski polip, jak tutaj właśnie; nigdzie może Kościół, mimo pozornego swego znaczenia, smutniejszych w tej chwili losów nie przechodzi: to spoglądając na wyszły z katakumb, po trzechletniem ukryciu, katolicyzm w Anglii, na rozwijającą się bujnie i pięknie wiarę katolicką w północnej Ameryce, pocieszyć się można po bolesnym tym widoku. Świeżo ogłoszony spis Anglików nawróconych do wiary katolickiej, zawiera: 7 członków Rady tajnej, 33 członków izby lordów, 82 członków izby niższej, 1051 szlachciców i bogatych mieszczan, 145 oficerów, między którymi znajduje się jeden feldmarszałek i sześciu generałów; 29 oficerów marynarki, między którymi siedmiu admirałów; 48 lekarzy, 72 sędziów i adwokatów; 12 urzędników z ministeryum wojny; 337 duchownych. Przesądy przeciw papiestwu, które dotychczas najbardziej Anglikom tamowały drogę wiodącą do złączenia się z katolickim kościołem, znikają, dzięki Bogu, coraz bardziej, w miarę jak Anglicy przekonywują się, że walczyli i obsypywali obelgami nie rzeczywiste papiestwo, ale utwór wzburzonej własnej wyobraźni. Przed kilkudziesięciu laty poseł papieski w Londynie narażonymby był na każdym kroku na sromotne zniewagi; dziś, gdy Ojciec św. na jubileusz królowej Wiktoryi wysłał swego przedstawiciela, przyjmowano go wszędzie z głęboką czcią i uszanowaniem. „Po raz to pierwszy, pisze z tego powodu protestancka *Sa-*
„*turday Review* w artykule zatytułowanym: Leon XIII. i kró-
„lowa Wiktorya, po raz to pierwszy od lat dwustu, stanął wy-
„słannik papieski na dworze angielskim, a jeśli się nie mylimy, to
„nie stanął on tu bez z góry określonego zamiaru. Twierdzimy, nie
„obawiając się zaprzeczenia z jakiejbądź strony, że Leon XIII.
„pragnął tym sposobem zamanifestować, jak bardzoby sobie życzył
„ścieśnić węzły wzajemnej sympatyi między Anglią i Stolicą św.,
„wznawiając dyplomatyczne stosunki, które dla obu stron tak bar-

„dzo mogłyby być korzystne. Akt ten jest z pewnością czemś więcej, jak tylko wyrażeniem prostego życzenia. Papież, wysyłając „swego legata do królowej angielskiej, zrobił pierwszy krok, a krok „ten jest niezmiernego znaczenia, albowiem dotychczasowe trudności „nie płynęły z prawodawstwa, które dawno pod tym względem straciło na praktycznem znaczeniu, lecz z przesądów i etykiety, a w tego „rodzaju trudnościach kto pierwszy krok zrobi, ten ma już prawie „w ręku zwycięstwo. Królowa przyjęła publicznie i z winnymi za„szczytami Mgr. Ruffo-Scilla, przysłanego od Papieża z darami „i życzeniami, a przyjęcie to stanowi nową, odrębną fazę w wza„jemnych stosunkach między Anglią a Watykanem".

Inny protestancki dziennik *Spectator* jaśniejsze jeszcze, jeśli nie silniejsze wyciąga wnioski i wręcz domaga się jak najprędszego ustanowienia legacyi angielskiej w Watykanie. „Niech się wzdryga na tę myśl oranżystowski fanatyzm, pisze *Spectator*, nie przebierając w wyrazach i zbijając zwycięsko jeden po drugim protestanckie przesądy; a niech mówią co chcą ludzie, którzy niczego nie zapomnieli i niczego się nie nauczyli; teraz, kiedy Leon XIII. wysłał pierwszy do Londynu Mgr. Ruffo-Scillę, staje się wprost śmiesznym i niedorzecznym, kto wydobywa tego rodzaju zardzewiałą broń przeciw odnowieniu urzędowych stosunków między Rzymem a Londynem". Czy istotnie w bliskiej już przyszłości przyjdzie do odnowienia tych stosunków? Przewidzieć trudno, ale to pewna, że odzywa się za tem coraz więcej i poważniejszych głosów i że coraz więcej angielskich mężów stanu rozumieć zaczyna, jak bardzo już nie komu innemu, ale samejże Anglii powinno na tem zależyć, aby Papież dokładnie był poinformowanym o jej sprawach, zamiarach, a zwłaszcza o kolizyach z katolickimi poddanymi.

Na wiszącą wciąż w powietrzu kwestyę pojednania Watykanu z Kwirynałem, rzuciły bardzo ciekawe światło odbyte w drugiej połowie czerwca municypalne wybory rzymskie. Wybory do rad miejskich są jedyne, w których katolicy biorą udział i pokazać mogą, jaką jest ich siła, jakie byłoby znaczenie, gdyby Ojciec św. cofnął dotychczasowe rozkazy i dozwolił im zasiadać na ławach parlamentarnych. Nic dziwnego, że wobec krążących bez przerwy pogłosek o bliskiem spełnieniu się tej ewentualności, ostatnie wybory municypalne, szczególnej nabrały wagi i że równie katolicy,

jak i ich przeciwnicy, dołożyli wszystkich starań, aby szalę zwycięstwa przechylić na swoją stronę. Wszystkie liberalne i radykalne stronnictwa złączyły się tym razem ze sobą, głosując w zwartych szeregach przeciw kandydatom postawionym na liście katolickiej *Unione Romana*, wszystkie liberalne i radykalne dzienniki, począwszy od *Opinione* aż do *Diritto*, zagrzewając hufce swoich stronników do walki, kładły nacisk na niezmierną, odrębną wagę tegorocznych wyborów; zaklinały wyborców, aby głosami swymi stwierdzili święte hasło, fundamentalną zasadę włoskiego liberalizmu: *Roma intangibile*. „Pokażmy klerykałom, wołała pompatyczna „*Tribuna*, że nietylko historya, ale i wola ludu rzymskiego, prze„mawia i domaga się, aby Rzym był stolicą zjednoczonych Włoch... „Przeciwstawmy zwartym falangom klerykalnym, zwarte falangi li„beralne! Niechaj ci, dla których prawo narodowościowe jest pod„stawą i istotą wielkiej, odnowionej ojczyzny, zgniotą przewagą „swych głosów tych, którzy prawu temu przeczyćby chcieli!“ Bardziej jeszcze pompatycznie odezwał się *Diritto*: „Stronnictwa, me„tody, szkoły, znikają wobec zbliżających się wyborów; do walki „staje tylko obskurantyzm i światło, Syllabus kryjący podstępne „zasadzki przeciw ojczyznie i cywilizacya otwierająca Włochom „nowe posłannictwo pomiędzy narodami. Doniosłość obecnych wy„borów nadzwyczaj jest wielką, a jeżeli odpowiedzą one pragnie„niom niezmiernej większości ludu włoskiego, będzie to prawdziwem „dobrodziejstwem dla całych Włoch, spoglądających w tej chwili „z trwogą w stronę Rzymu“.

Zacytowaliśmy parę pompatycznych odezw włoskich dzienników, aby dać miarę, jak wszyscy zapatrywali się w Rzymie na zbliżające się wybory, i że wszyscy czuli wybornie, iż wybory te, jeśli kiedy, to zwłaszcza tą razą mieć będą nietylko miejscowe, lecz przedewszystkiem polityczne znaczenie. W świetle tej ogólnie przyjętej opinii, wobec bardzo silnej agitacyi ze wszech stron rozwiniętej, świetne zwycięstwo listy postawionej przez *Unione Romana*, tem większego nabrało znaczenia. Wszyscy bez wyjątku kandydaci katoliccy przeszli znaczną większością głosów; z listy liberalnej przeszli tylko ci kandydaci, których i *Unione Romana* powodując się roztropną wyrozumiałością, również na swojej liście umieściła. Zwycięstwo katolików było niewątpliwe, było tem ważniejsze i świet-

niejsze, że umiarkowani liberali, którzy dawnymi laty wchodzili nieraz w kompromis z *Unione Romana*, tą razą połączyli się nie z katolikami, lecz z radykałami; jakże sobie to zwycięstwo wytłumaczyć, jak znaczenie jego obniżyć, pytać się musiały te same dzienniki, które poprzedniego wieczora z nieukrytą chełpliwością wzywały katolików do kornego poddania się werdyktowi rzymskich wyborców. W pierwszej przynajmniej chwili dziennikarze liberalni, oszołomieni niespodziewanym ciosem, stracili głowę. *Fanfulla* usiłowała wyperswadować swym czytelnikom, że zwycięstwo katolików oznacza i stwierdza konieczność nie przenoszenia ze Rzymu stolicy Włoch zjednoczonych. *Popolo Romano*, *Tribuna*, *Riforma*, wdając się trochę po niewczasie w filozoficzno-polityczne rozmyślania, pocieszają się uwagą, że przecież wybory do rady miejskiej, czy prowincyonalnej, nie powinnyby właściwie obracać się na politycznym gruncie. Najlepiej poradził sobie *Diritto*: o rezultacie wyborów doniósł gdzieś nawiasem w kronice, poświęcając główne artykuły innym, ważniejszym sprawom.

Nieszczęściem dla *Diritta*, prasa europejska była ogólnego zdania, że właśnie wybory rzymskie, są jedną z najważniejszych spraw, jakie miały miejsce w ostatnich czasach i dlatego wszystkie niemal poważniejsze organa długie rezultatowi tych wyborów poświęciły artykuły. Bezwątpienia, piszą wymienione dzienniki, a na słowa ich trudno się nie zgodzić, wynik ostatnich wyborów rzymskich nie jest jeszcze ostatecznem zwycięstwem katolików we Włoszech, ale jest potężnym krokiem na drodze do zwycięstwa. Jeszcze kilka takich kroków, a rząd rad nie rad, będzie musiał z konieczności rzeczy zająć inne stanowisko względem Papieża; kto dobrze życzy rządowi włoskiemu, ten radzić mu musi, aby przyjął czemprędzej podaną sobie tak wspaniałomyślnie rękę do zgody, bo inaczej za lat kilka będzie może musiał sam prosić o zgodę pod warunkami daleko uciążliwszymi.

Ks. Jan Badeni.

Szkolnictwo w Bułgaryi.

Można śmiało powiedzieć, że dzieje odrodzenia narodowości bulgarskiej w XIX. wieku, — to dzieje jej szkolnictwa. Cała jej inteligencya, wszystkie niemal siły umysłowe poszły na usługi szkoły i wychowania młodego pokolenia. Począwszy od szkoły gabrawskiej i jej dostojnego promotora w 1835 r. Neofita Rylskiego, wszyscy prawie znakomitsi współcześni mężowie bulgarscy i z małym wyjątkiem — którzy zajęli stanowiska w nowo utworzonem państwie, byli nauczycielami przeważnie ludowymi, skoro w epoce władztwa tureckiego nie było (krom dwóch) innych szkół krom ludowych, elementarnych, (oprócz Gabrawa i Płowdiwa). Jedni tak czynili z głębokiego przeświadczenia o tem, że odrodzenie narodu zawisłem być musi od wykształcenia młodego pokolenia; drudzy dla tego, że wszystkie inne stanowiska pod rządem tureckim były dla nich zamknięte. Bądź co bądź — dzięki temu poświęceniu lepszych sił narodowych sprawie, przypisać w znacznej mierze należy to szybkie odrodzenie mas już za czasów utworzenia egzarchatu, a jeszcze bardziej po utworzeniu nowego państwa. Ten takt, ta dojrzałość polityczna ludu, ten szybki rozwój życia publicznego we wszystkich kierunkach, który podziwia Europa — to rezultat usiłowań samych skromnych pracowników nauczycielskich, którzy przed 10 laty po wsiach i miasteczkach cicho i bez rozgłosu, w maleńkiej izdebce, skarani często na zapłatę w miarkach zboża, sieli ziarna oświaty i świadomości narodowej.

Jacy mistrze, — tacy uczniowie; jaka szkoła, — taki naród.

Czem więc będzie naród bulgarski w następnem pokoleniu, za lat kilka, kilkanaście, — to dzieło ma być dzisiejszych szkół, dzisiejszego szkolnictwa.

W jakim ono stosunku i łączności zostaje do szkolnictwa epoki tureckiej?

Turcy wcale się nie troszczyli o szkoły giaurów Bulgarów; obojętnem dla nich było — czy i co uczono w szkołach; zostawiali im zupełną swobodę i autonomią szkolną, można było wnosić i zakładać szkoły, byle tylko budynki owych nie manifestowały się na zewnątrz demostrancyjnie, jako przybytki nauki niewiernych, tak

samo jak przybytki kultu religijnego. Toć najczęściej szkółki bulgarskie mieściły się w ukryciu, skromnie, przy cerkiewce w ogrodzeniu, nie różniącym się od innych domostw.

Będąc obojętnym, rząd też padyszacha nic nie łożył na szkoły bulgarskie: cały ciężar o ich pieczę spoczywał na barkach samego społeczeństwa — na barkach każdej gminy. Gdzie takowa dbałą była o oświatę i miała dobrych nauczycieli — tam i szkoła była dobra. Twierdzenie nasze wypowiedziane gdzie indziej[1], że w Bulgaryi trudno było spotkać podówczas analfabetów, odnieść należy do mężczyzn i ludności kompaktnej przy uczęszczanych gościńcach, a więc w gminach zamożnych. W pustych Borbonach lub w okręgach o mieszanej ludności stosunki były inne, nieprzyjazne dla oświaty.

Taki nierównomierny rozkład pracy nie mógł dalej istnieć po ukonstytuowaniu się państwa, które opieką swoją musiało otoczyć to, co dotychczas było wypływem dobrej woli jednostek. Jakoż w myśl §. 78 Tyrnawskiej konstytucyi żądającego, aby początkowa nauka była bezpłatną i obowiązkową dla wszystkich poddanych księstwa bulgarskiego, rząd tegoż księstwa przystąpił niezwłocznie do organizacyi szkół publicznych.

Naczelną władzę krajową sprawami oświaty poruczono ministerstwu, a w Rumelii — dyrekcyi oświecenia. Tu i tam odbywały się częste zmiany ministrów (w Rumelii – dyrektorów). W ciągu pierwszych dwóch lat istnienia księstwa teka ministeryalna siedm razy przechodziła z rąk do rąk, i ani jeden z ministrów nie dotrzymał jej przez cały rok szkolny, co nie mało musiało wpłynąć na brak jednolitości planu i systematyczności ustawodawstwa szkolnego. Częste zmiany ministrów neutralizował bardziej stały i długi pobyt innych kierowników na stanowisku bądź szefów sekcyi, bądź głównych sekretarzy ministerstwa, których pozyskał rząd bulgarski ze znakomitości znanych w Europie. Mam tu na myśli Drinowa i Jireczka, którzy już gdzieindziej zdobytą sławą dodali powagi działalności rządu bulgarskiego i podtrzymywali jedność kierunku oświaty w myśl zakreślonego planu, będąc w znacznej mierze i twórcami onego. Jireczek był na jakiś czas mianowany nawet no-

[1] Spółczesna Bułgarya. T. I. (Bulgarya przed i podczas wojny 1887/8.

minalnym ministrem, ale również jak Drinow, choć wpierw został podszefem, wywierał faktyczny wpływ ministeryalny na organizacyą szkół ludowych i średnich, gminnych i państwowych.

Co do szkół ludowych w myśl owego planu — cały kraj został podzielony na okręgi naukowe, których liczba i rozległość często się zmieniały, dosięgając niekiedy cyfry 16: sofijski, truski, kastendylski, bdyński, łomski, rahowski, orhanijski, plewneński, łowczeński, swisztawski, tyrnowski, ruszczucki, razgradzki, sylistryjski, szumneński, warneński. Rumeliackie szkoły początkowe podzielone były za czasów Bogorydesa i Krestowicza na 50 powiatów (z tyluż inspektorami) szkolnych, z tych 27 bulgarskich, 3 greckie, 16 tureckich i po jednym bulgarsko-katolicki, bulgarsko-protestancki, ormiański i żydowski.

Każdy okręg miał swego inspektora szkolnego, mianowanego przez ministerstwo, a obowiązanego nie tylko czuwać nad istniejącemi już szkołami, ale zakładać i organizować nowe, nie tylko mieć nadzór nad nauczycielami, ale być pośrednikiem między nimi, a ludnością, stykać się z tą ostatnią ustawicznie, wpływać na nią oficyalnie i poufnie, wdrażając pojęcia o niezbędności oświaty, hamując nieopatrzne wydatki jednych, podniecając do ofiarności drugich i tp. Słowem, stanowisko takiego inspektora było jednem z najpoważniejszych i najtrudniejszych, z którem nie da się porównać stanowisko podobnego inspektora w żadnym innym kraju i ocenić je należycie można tylko przez znajomość tego wyjątkowego stanu, w jakim się znajdować musiała szkoła w nowopowstającem państwie, gdzie wszystko trzeba było tworzyć począwszy od książek i ławek, a skończywszy na funduszach i personalu nauczycielskim.

Szkoły w Bulgaryi dzielą się na prywatne, konfesyjne, gminne i państwowe. Pierwsze dwie kategorye liczniejsze są w Rumelii, w księstwie ich bardzo mało, a tu i tam przeważnie istnieją wśród ludności nie bulgarskiej, (żydowskiej, greckiej, tureckiej, albo założone z pobudek wyznaniowych, jak np. pawlikiańskie (u Bulgarów katolików) w Płowdiwie, OO. Zmartwychwstańców w Odrynie (Adryanopolu), protestanckie w Samokowie i Płowdiwie i t. p. Ogół ludności bulgarskiej, zwłaszcza wschodniego kościoła korzysta wyłącznie z gminnych i państwowych szkół.

Do państwowych należą średnie (gimnazya i szkoły realne)

i specyalne zakłady naukowe; do gminnych — początkowe i t. z. klasowe szkoły, odpowiadające mniej więcej austryackim t. z. szkołom wydziałowym, chociaż w Bułgaryi mają one znaczenie szkół średnich i pozbawione są jednego planu i jednego kursu nauk jak w Austryi. Najczęściej bywają dwu klasowe, zdarzają się i z trzema klasami, a w Ruszczuku istnieje nawet 5 klasowa szkoła realna. Normy tu żadnej nie zakreślono, i cała różnica ich względnie do t. z. państwowych polega na tem, że są utrzymywane nie kosztem państwa ale gminy, której też pozostawiono wolność normowania zakresu nauk wykładowych w takiej szkole: jaką chce i może mieć gmina (jedna jeśli jest wielką i zamożną, jak gmina Ruszczuku, albo kilka, kilkanaście i więcej gmin drogą wspólnej konkurencyi i składek z całego okręgu), taką ma. Dowolność taka może się wydać oryginalnością w sferze szkolnictwa, ma jednak swoje racyonalne uzasadnienie. Państwo, jako organ społeczeństwa, w imieniu tegoż uznało, że dla wypełnienia niezbędnych celów państwowych i społecznych konieczną jest rzeczą, aby każdy obywatel osiągnął niezbędną minimalną dozę oświaty, czyli t. z. wykształcenie początkowe. Stąd i zasada, która znalazła uwzględnienie w konstytucyi tyrnowskiej, że początkowe wykształcenie jest obowiązkowem dla wszystkich i przez to samo — bezpłatnem. Wypowiedziawszy taką zasadę, państwo musiało wskazać zakres, do jakiego sięgnąć powinno to wykształcenie. Stąd też we wszystkich szkołach początkowych musiał być jednolity plan nauk, jeden program, realizowany w tym lub owym kursie. Co poza ten kres wybiega — nie jest obowiązkowem; jeśli więc którakolwiek gmina, bądź ze względów ogólnocywilizacyjnych, bądź dla własnej potrzeby, uznaje za rzecz pożądaną i możliwą, aby jej członkowie poszli w wykształceniu jeszcze dalej, musi jej być zostawiona wolność odpowiednia jej żądaniom i środkom.

Ale w takim razie powstaje rozmaitość wykształcenia, nieuzdalniająca obywateli do spełniania tych funkcyi państwowych, które wymagają w państwie pewnej stale oznaczonej normy lub sumy określonych wiadomości?

Nie. Bo na ten cel państwo własnym sumptem utrzymuje zakłady naukowe średnie i specyalne. Mimo zakreślonej przez pań-

stwo jednej normy i obowiązkowości względnie do szkół początkowych, takowe wszystkie zakładają i utrzymują gminy.

Gmina musi się starać o fundusze, ona wyszukuje i kontraktuje nauczyciela, może go nawet usunąć, ona stawia budynek, troszczy się o utrzymanie jego, wykonuje dozór nad szkołą przez organ swój z radą szkolną. Państwo pozostawia sobie jeno kontrolę i przychodzi z pomocą — że tak powiem — duchową przez przysposobienie nauczycieli, oraz dostarczanie niezbędnych środków naukowych jak np. układanie podręcznych książek etc., tudzież z pomocą materyalną, w razie jeśli gmina jest za nadto ubogą i bezwarunkowo wydołać nie może swoim obowiązkom. Wówczas rząd daje subwencyę na postawienie budynku lub zakupno narzędzi pomocniczych do nauki, jak książek, map, globusów i t. p.

Wyłączną mając sobie pozostawioną troskę o należyte podtrzymanie szkoły, każda gmina czyni temu obowiązkowi zadość w miarę swoich funduszów i stopnia poczutej potrzeby oświaty. Stąd też nie jednakowo są uposażone szkoły, nie jednakowe wydatki w każdej gminie. Gdy np. okręg kostendylski (143.365 mieszkańców) wydał w roku szkolnym 1880/81 na swoje szkoły 80.778 lewów i 78 stotinek, tyrnowski okręg (181.504 mieszkańców) w tym samym czasie przeniósł na takiż cel wydatków 134.362 lewów i 31 stotinek [1]. Jeśli więc w pierwszym okręgu wypadło na każdego mieszkańca 56 stotinek, to w drugim 74 stotinek wydatków.

Najgłówniejszem źródłem dochodów szkolnych bywają wkładki od członków gminy, rozdzielone na każdego z nich. Za czasów tureckich, kiedy szkoły tuliły się przy cerkwiach i były pod ich bezpośrednią opieką, znaczna rubryka dochodów cerkiewnych szła na szkoły. Teraz na ten cel najpoważniejszą rubrykę stanowi dochód od sprzedaży świec woskowych, które każdy bogobojny bułgar uważa za swoją powinność stawiać podczas nabożeństwa przed obrazami świętych, lub na cmentarzach na grobach nieboszczyków. Sprzedaż tych świec, w myśl ukazu 1881 r. monopolizowano i dwie trzecie dochodu z niej idzie na rzecz szkół gminnych, a trzecia część na potrzeby cerkwi.

Niekiedy przygodne ofiary przynoszą na rzecz funduszu szkol-

[1] P. raport złożony księciu przez ministerstwo oświaty w 1882 r.

nego daleko więcej niż obowiązkowe. W tej mierze ofiarność Bułgarów godna uznania i naśladowania, tembardziej że się nie ogranicza wyjątkowemi jednostkami: ofiarnym jest ogół cały, zarówno w miastach jak po wsiach. W pierwszych — przy amatorskich przedstawieniach teatralnych, przy odczytach, koncertach, loteryach i t. p. najczęściej pamięta się o szkole miejscowej. Wieśniak, gdy przedaje grunt lub na jarmarku bydło, nie zapomina o swojej szkole. To samo się czyni na weselach i imieninach, gdzie nie tylko nowożeńcy i ich rodzice, ale i goście składają coś w gotówce lub podarkach na *uczyliszte*. Najhojniejszym jest wszakże wieśniak podczas zbioru płodów ziemnych, jak przy żniwach, winobraniu, zbieraniu jedwabników i t. p. Dość wtedy aby się zjawił nauczyciel gminny, członek rady szkolnej *(nastojatielstwa)* lub inspektor szkolny, a wieśniak najchętniej *(na drago serce)* składa w ofierze Minerwie sporą część zbioru. W niektórych wioskach jest zwyczaj składać dobrowolne dary w dzień św. Jana. Gdzie indziej, przez jakiś czas mieszkańcy wstrzymują się sami od picia i zaoszczędzone w ten sposób wino składają w ofierze. Tą drogą np. w siole Czerkowna (okręg prawadyjski) zebrano w 1880 roku 1000 ok wina i podarowano szkole. To samo się dzieje w licznych wioskach szumneńskich. Naturalia sprzedają się i pieniądze idą do kasy szkolnej.

Tak samo rzecz się ma z zapisami testamentowemi w kapitałach i nieruchomościach, dość często praktykowanemi jeszcze z czasów tureckich. W Szumli utrzymał się od 1863 r. zwyczaj, że miejscowy kapłan, raz w rok po uroczystem nabożeństwie i odpowiedniem kazaniu o dobroczynności, wygłasza imiona dobrodziejów i zapisodawców (tak żyjących jak zmarłych) na cele gminne, a zwłaszcza szkolne. Czyn ten wielce jest ponętnym dla parafian i podnieca ich do naśladowania danego przykładu.

Najpewniejszym jednak jest dochód gruntowy od majątków nieruchomych, bądź przekazywanych na rzecz funduszu szkolnego przez państwa z nieużytków i pustkowi, bądź zapisywanych przez osoby prywatne, bądź nareszcie wydzielanych przez gminy. Nierzadko się zdarza, że w ten sposób szkoła posiada do 100 morgów własności, a bywają powiaty, gdzie znacznie więcej. W wielu miejscach (jak np. w tyrnowskim i kastendylskim) szkoły posiadają

oprócz roli, pastwiska, lasy, karczmy, kramy, młyny, piekarnie, kawiarnie etc.

Ministerstwo oświecenia bezustannie poleca inspektorom szkolnym, aby się starali zabezpieczyć dla szkół w odnośnym okręgu tego rodzaju własność. Gorliwość ministerstwa i inspektorów przynosi pożądane owoce. Bułgarya jest jeszcze mało zaludniona i gruntów tanich ma podostatkiem. Z czasem, gdy się ludność pomnoży i cena ziemi pójdzie w górę, taka własność nieruchoma szkoły będzie nieocenionym dla niej nabytkiem, zabezpieczającym raz na zawsze przyszłość szkoły ludowej.

Gdy wszystkie powyższe dochody nie wystarczają na postawienie i utrzymanie szkoły, wówczas dopiero władze rządowe i gminne uciekają się do wzmiankowanej daniny *(daždije)* od członków gminy, przy wszelkich możliwych ułatwieniach do tego stopnia, że pozostawioną bywa wolność składania swej daniny bądź w gotówce, bądź w naturaljach, kto jak może.

Dziwna bywa ochoczość tego ludu i garnięcie się jego do oświaty. Nie należy wszakże idealizować tego stanu i entuzyazmować się jako doskonałością. Ludzie są ludźmi, a wyjątki zdarzają się wszędzie. W pewnej wiosce powiatu kostendylskiego, gdy inspektor otworzył nową szkołę, włościanie poukrywali swe dzieci po chałupach, a matki tych, których w końcu zaprowadzono do szkoły, rwały sobie włosy na głowie i przeklinały sprawców otwarcia szkoły. Mniej drastyczne objawy zdarzały się gdzieindziej. Ale ogół zasługuje na poważanie. A i względem tych wyjątków należy podziwiać wielki takt władz rządowych, ich względność i wyrozumiałość, łagodność połączona jednak ze stanowczością w dążeniu do zakreślonego celu, a dyktowana rzetelną a głęboką miłością oświaty.

W instrukcyi danej w 1881 r. przez ministerstwo inspektorom szkolnym, znajduje się cały szereg napomnień, rad, wskazówek, dalekich od tego suchego biurokratyzmu i oficyalnej surowości, które cechują podobne akta urzędowe w Europie i czynią z instytucyi inspektoratu szkolnego narzędzie postrachu dla szkoły i ludności. „Główną powinnością inspektora ma być budzenie wśród ludności uczucia gorliwości dla nauki, zamiłowania do szkół i poznania tej doniosłości, jaką ma oświata dla każdego narodu".

Tak powiada wspomniana instrukcya i w następujący sposób

udziela rady zachowania się inspektorów względem ludności dla dopięcia zamierzonego celu: „W stosunkach ze wszystkimi mieszkańcami inspektor ma się kierować oględnością i grzeczną roztropnością, skoro powodzenie jego zadań zawisło od dobrej woli ludzi. Chociaż w wielu miejscach ludność unika dobra i z nieufnością spogląda na usiłowanie jej wykształcenia, to częstokroć łacniej można osiągnąć cel przyjacielską radą i drogą przekonania, niż gwałtownym postrachem. Przy każdej sposobności należy starannie wyjaśniać ludziom, że rząd pragnie ich postępu i pomyślności. Nieraz rozsądne słówko, wypowiedziane we właściwym czasie i z należną rozwagą, może wiele pomódz sprawie szkolnej, a przeciwnie jedno niebaczne zachowanie się jest w stanie podkopać i zniweczyć owoce długich przygotowań".

W innem miejscu jeszcze dobitniej wyrażono tę samą myśl: „Przejażdżki po okręgu inspektor powinien uważać za swoją pierwszą i najważniejszą powinność. Okólnikami i rozwlekłą pisaniną nie wiele się zrobi; prace należy dokonywać ustnie i na samem miejscu. Wieśniacy bardzo często wyglądają jeno inspektora, aby im dał radę bądź w wyborze nastojatelstwa (Rady szkolnej miejscowej), bądź co do umowy z nauczycielem, bądź urządzenia szkoły, bądź wreszcie zebrania dziatwy. Jeśli inspektor nie przybędzie, bardzo mało czego dokonają, albo wcale nic. Cała sztuka i całe powodzenie inspektora polega na tem, aby ten potrafił porozumieć się z wieśniakami, aby umiał ich przekonać o konieczności i wielkim pożytku z oświaty, oraz o ile zdoła pozyskać ich zaufanie, a to wszystko zawisłe od częstego z nimi obcowania i dokładnej znajomości".

Bywały przykłady, że gmina pragnąc jak najrychlej posiadać dobrze urządzoną szkołę, dopominała się pomocy od rządu raz, drugi i trzeci, bądź to w subwencyi dla nauczycieli, bądź na budynek, bądź na utrzymanie szkoły. Ministerstwo w okólniku do inspektorów zwracało ich uwagę na to, zalecając sumienne zbadanie tych żądań, azali istotnie gmina nie jest w stanie zaradzić potrzebom szkolnym, lub chce tylko obowiązek szkolny zrzucić ze swoich bark: „Podobne nawyknienia (tj. dopominanie się o pomoc), mówi okólnik, zwłaszcza gdy nie zachodzi istotna potrzeba pomocy, należy baczyć, aby się nie zakorzeniały wśród ludności, bo mogą

wielce zaszkodzić postępowi początkowego nauczania. Oświata kwitnie najbardziej u tych ludów, gdzie sam lud uczuwa jej potrzebę i gdzie istnieje krzepka inicyatywa prywatna. U nas szkoły kwitnęły i przed wyzwoleniem się z jarzma, a to dzięki inicyatywie prywatnej, która teraz nie powinna słabnąć, a przeciwnie — wzmagać się. Wobec teraźniejszego naszego stanowiska — w rodzinie ucywilizowanych narodów — potrzeba oświaty u nas Bułgarów jest tak wielką, że jej podołać sam skarb państwowy nigdy nie będzie w stanie. Dla postępu szkolnictwa niezbędne są wspólne usiłowania i ofiary; nie należy całego brzemienia zrzucać na barki rządu". Inną razą znów gorliwość gmin sięgała tak dalece, że się zdobywały na ostateczne środki, byle postawić szkoły. Rząd musiał je hamować w zapędach, mogących je zrujnować. „Inspektor, powiada jedna ministeryalna instrukcya, powinien baczyć na to, aby gminy, zwłaszcza miejskie, nie wydawały na szkołę ponad siły własne i nie angażowały się bez potrzeby w przedsięwzięcia, któreby mogły przyprawić je o znaczny deficyt".

J. G.

Listy z nad Bałtyku.

XIII.

Doniosłość nauki o źródłach dziejowych. — Wystawa historyczna kurlandzka. Zabytki archeologiczne. — Dział rękopisów, numizmatyczny, genealogiczny.

Jeśli w ostatnich listach mówiliśmy przeważnie o zabytkach przeszłości, rozrzuconych tu i owdzie w krajach nadbałtyckich, to list dzisiejszy poświęcamy wyłącznie zabytkom historycznym, nagromadzonym w Kurlandyi, a to dlatego, że ta prowincya tymi właśnie czasy zdobyła się na urządzenie osobnej *wystawy historycznej kurlandzkiej*, otwartej w Mitawie w dniu 18 czerwca b. r. A czytelników waszych z tą wystawą tembardziej zapoznać się godzi, iż dotąd przynajmniej niemal wszystkie pisma polskie zbywają ją już to kilku nic nie znaczącymi ogólnikami, już zupełnem milczeniem.

Jest to wszakże, zwłaszcza dla pism polskich ilustrowanych, sposobność rzadka przedstawienia czytelnikom swoim całego szeregu artykułów zarówno nowych i ciekawych jak pouczających, przyczem bodaj dobre drzeworytnictwo większe od pióra oddaćby mogło usługi.

Każde działanie i życie, powiada nader trafnie profesor Michał Bobrzyński [1], uwidocznia się w pewnych zewnętrznych objawach, które zowiemy faktami. Każdy też fakt moglibyśmy nawet po najdłuższym przeciągu czasu stwierdzić po jego śladach, gdyby ślady wielu faktów nie spływały się ze sobą i nie zacierały tem samem nie do poznania. Wiele faktów zginęło przez to lub ginie dla nas niepowrotnie, inne tylko dlatego są przed nami mniej lub więcej ukryte, że nie umiemy śladów ich odkryć i wyróżnić.

Chcąc też odgadnąć przeszłość tego wszystkiego co nas otacza i uwagę naszą na siebie zwraca, musimy przedewszystkiem zbierać, stwierdzać i badać ślady, które ta przeszłość złożona z nieskończonego szeregu faktów pozostawiła po sobie, musimy nabyć w tej pracy doświadczenia, wyrobić sobie pewne zasady i niezawodzące sposoby. Nauka, która nas do tego prowadzi, zowie się nauką o źródłach dziejowych, bo każdy ślad pozostawiony przez przeszłość, jest dla nas źródłem do jej bliższego poznania. Nauka ta przez bardzo długie czasy leżała w kolebce, a raczej mówiąc szczerze, jako nauka nie istniała wcale.

W połowie bieżącego stulecia głównie zasługą Francuzów i Niemców sformułowano zasady zbierania i korzystania ze źródeł dziejowych, skutkiem czego powstała osobna nauka o źródłach wszystkim dostępna, która z każdym rokiem wielkie robi postępy. Nauka ta wykryła przedewszystkiem i zestawiła najrozmaitsze rodzaje źródeł, na które każdy badacz przeszłości zwrócić musi koniecznie uwagę, obok wszelkiego rodzaju pism prywatnych i urzędowych, postawiła monety, pieczęcie, budowle, dzieła przemysłu i sztuki, a nawet w nazwach osób i miejscowości znalazła ważne historyczne źródło. I odtąd to w krajach cywilizowanych coraz częściej bywają urządzane wystawy historyczne wszystkim dostępne,

[1] Obacz: *Michał Bobrzyński* „W imię prawdy dziejowej". (Kraków 1879 r.) str. 3.

o których doniosłości już bodaj nie potrzebujemy rozwodzić się szeroko, a których obecnie nie braknie nawet na naszych oddalonych kresach.

Pierwszą z nadbałtyckich wystaw na takiej podstawie była *wystawa historyczna w Rydze*, o której warszawskie *Słowo* w swoim czasie podało dosyć wyczerpujące sprawozdanie[1] zaznaczając, że projekt pierwotny przez komitet powzięty urządzenia w roku 1883 wystawy archeologiczno-historycznej na wielką miarę całego materyału rozprószonego w trzech prowincyach nadbałtyckich — w Inflantach, w Kurlandyi i w Estonii — zrealizować się nie dał, że więc ograniczono się w roku 1883 do samych tylko Inflant, a przeważnie do głównego ich miasta — Rygi.

Do najbardziej pocieszających objawów, jakie owa pierwsza nadbałtycka wystawa historyczna wywołała bezpośrednio, należą zaprojektowane niebawem i w sąsiednich prowincyach podobneż wystawy, których komitety wkrótce się ukonstytuowały. I tak, odezwa komitetu królewieckiego, która wszystkich lubowników przeszłości zachęca do przesyłania zabytków na *wystawę historyczną królewiecką*, mającą się w Królewcu otworzyć wiosną w roku 1887, wygłasza wyraźnie: „iż komitet królewiecki zawdzięcza swoje ukonstytuowanie się *(seine Begründung)* przedewszystkiem wystawie historycznej w Rydze". Podobny komitet zawiązano w Rewlu w celu urządzenia tam na podobnychże podstawach w roku 1888 *wystawy historycznej estońskiej*. W takiż sposób powstała już w roku bieżącym w sąsiedniej Mitawie *wystawa historyczna kurlandzka*, która obecnie i w szerszych kołach ogólne wzbudza zajęcie.

Piękną zaiste myślą było zebranie razem i postawienie przed oczyma publiczności wszystkiego, co się tylko z zabytków Kurlandyi zebrać dało, aby uprzytomnić sobie całą przeszłość tego niegdyś głośnego w dziejach Europy księstwa udzielnego, które atoli, jak powszechnie wiadomo, stanowiło tylko lennicze państewka dawnej Rzeczypospolitej polskiej, aż do jej ostatniego rozbioru. To też wystawa ta w kołach polskich nie mniej wzbudza zajęcia jak w niemieckich. Rezultat przeszedł wszelkie oczekiwania i przewyż-

[1] Porównaj szereg artykułów: *O wystawie historycznej w Rydze*, ogłoszonych w Numerach: 179, 181, 183, 184, 188, 189, 191 i 194 warszawskiego dziennika *Słowo* z roku 1883.

szył doniosłością swą wszystkie inne poprzednie tego rodzaju przedsięwzięcia. Wydobyte zostały z ukrycia niespodziewane i nieznane przed tem zabytki. W starodawnym ordynackim pałacu hr. Medema w Mitawie stanął wspaniały obraz, świadczący z jednej strony o rozbudzonych, żywych i szlachetnych uczuciach, które się nań złożyły i zgromadzenie razem tylu okazów spowodowały, a z drugiej o cywilizacyjnem i kulturnem znaczeniu nietylko dawnej Kurlandyi, ale i dawnej Polski, z której zabytkami historycznemi na każdym niemal kroku tu się spotykamy. Postarajmy się zdać czytelnikom w ogólnych zarysach sprawę z wrażenia, jakie ta wystawa wywiera i oznaczyć charakter, jaki w szczegółach przedstawia.

* * *

Zwracają tu najprzód uwagę widza okazy z czasów przedhistorycznych Kurlandyi, których dostarczyły nietylko bogate zbiory kurlandzkiego muzeum prowincyonalnego, ale i liczne zbiory osób prywatnych, a mianowicie ordynacye Kayzerlingów, Korffów, Liwenów, Manteufflów, Medemów, Sackenów i inne. Sekcya pierwsza wystawy, nosząca nazwę *Czasy pogańskie*, tem bardziej jest pouczającą, iż na jej czele katalog wystawy podaje treściwe wytłumaczenie wszystkich wystawionych okazów przedhistorycznych dokonany mistrzowską ręką słynnego dorpackiego archeologa, profesora Grewingka, który umie być jasnym przy niezwykłej na tem śliskiem polu erudycyi.

Jakkolwiek w tym oddziale wystawy nie braknie okazów sięgających epoki kamiennej, nadzwyczaj licznie w nim przedstawionych, najbardziej atoli zastanawiają widzów wykopaliska z góry „Dobelsberg“, sięgające pierwszych czasów tak zwanej epoki żelaznej, które się odznaczają wielkiem bogactwem i rozmaitością. Nie mniejsze na widzach wywierają wrażenie naszyjniki olbrzymie srebrne i takież naramienniki z wykopalisk „Annenburskich“ i „Warenbrokskich“. Tu też wypada zaznaczyć okazy sekcyi 21, które niezbyt systematycznie i trochę po dyletancku ułożone, a mimo to w obu swych wydaniach obecnie już całkowicie wyczerpany katalog w zupełnie innej części wystawy umieszcza. Przedstawiają one doskonale wykonane podobizny najrozmaitszych „gór obronnych“;

(heidnische Burgberge), któremi są przepełnione wszystkie części Kurlandyi tak górnej jako i dolnej. Dokonał tych różnorodnych modeli niezmordowany badacz starożytności łotewskich, dr. Bielenstein, zajmujący wybitne stanowisko naukowe nietylko w kraju, ale i za granicą.

Ze względu na warunki wskazane przez ciasne ramy listu, przejść muszę zupełnem milczeniem nieskończoną ilość dalszych okazów archeologicznych na tej wystawie. O niezwykłem ich bogactwie poweźmie czytelnik Zachodniej Polski pewne wyobrażenie, jeżeli tu przytoczę rozmowę dwóch zawołanych archeologów krajowych, którzy zbiorom archeologicznym krakowskim już się niejednokrotnie przyglądali.

— Byłeś na wystawie kurlandzkiej?

— Nie.

— To idź.

— Cóż tam jest?

— Dawno nie spotkałem zbiorów podobnie ciekawych. Już sam oddział starożytności z czasów pogańskich wystarczyłby na zapełnienie nie kilku ale kilkunastu takich naprzykład *gabinetów katedry archeologii* uniwersytetu Jagiellońskiego! Atoli, o ile wiem, żadne poważniejsze pismo polskie nie wspomniało dotąd i jednem słówkiem czytelnikom swoim o tej wystawie.

Z kolei rzućmy okiem na dział rękopiśmienny.

Najstarszym z wystawionych dokumentów jest zżółkły pargamin, na którym biskup *Wilhelm de Sabina* w dniu 21 lutego r. 1245 uroczyście poświadcza w mieście Lugdunie daną już poprzednio deklaracyą: iż nowo założone biskupstwo kurońskie stanowi cząstkę Prus wschodnich, że przeto dwie części obszaru ziemnego tego biskupstwa mają należeć do zakonu krzyżackiego. Przewieszona pieczęć już niemal całkowicie zniszczona.

Obok tego najstarszego dokumentu dzisiejszej Kurlandyi wystawiono oryginalną bullę papieża *Aleksandra IV.*, wydaną w Viterbo d. 16 października 1257 r. Potwierdza w niej Stolica Apostolska wspomniane powyżej oświadczenie biskupa Wilhelma z roku 1245. Jest to jedyna bulla papieska przechowana dotąd w oryginale w krajach nadbałtyckich w zupełnej całości wraz z przewie-

szoną na niej olbrzymią ołowianą pieczęcią, zwaną po niemiecku *Bleibulle*.

Pomijam ze dwadzieścia ciekawych pargaminów z wieku XIII. i XIV. a zatrzymuję się chwilkę nad ugodą zawartą 12 stycznia r. 1434 pomiędzy *kurońskim biskupem Janem i kapitułą ryską* w celu ostatecznego załatwienia dawnych sporów o kurlandzki zamek Dondangen. Dokument ten pargaminowy zastanawia każdego wybornem przechowaniem aż ośmiu na nim przewieszonych ciekawych pieczęci, a mianowicie: pieczęci ówczesnego arcybiskupa ryskiego, biskupa kurońskiego, kapituł ryskiej i kurońskiej, wielkiego marszałka inflancko-krzyżackiego zakonu (a późniejszego hermistrza tegoż zakonu) *Franciszka a Kersdorff*, nakoniec komtura rewelskiego, proboszcza dorpackiego oraz słynnego w dziejach rycerza *Engelberta Tyzenhausa*. Cenny ten pargamin stanowi własność kurlandzkiego muzeum prowincyonalnego.

Z kilkudziesięciu dokumentów z wieku XVI. zajmują najbardziej publiczność polską 4 następujące:

1. Słynna *provisio ducalis* (pacta subjectionis) wydana przez króla naszego *Zygmunta Augusta* w Wilnie d. 28 listopada 1561 r. Tym aktem król polski Zygmunt August nadaje ostatniemu hermistrzowi zakonu inflanckiego *Gotardowi Kettlerowi* i jego potomkom, jako wasalom Polski, tytuł książęcy i dziedziczne rządy w nowoutworzonem przez tegoż króla polskiego *księstwie Kurlandyi i Semigalii*, nadto nadaje samemu Gotardowi namiestniczą władzę w Inflantach, szlachcie zaś rycerskiej wszelkie swobody, jakich tylko zapragnąć mogła. Przyświecał tu oczywiście niedawny przykład Prus: ten sam tytuł, godność, oznaki i przywileje, które przed kilku dziesiątkami lat były dane wielkiemu mistrzowi Albertowi, otrzymał teraz hermistrz inflancki Gotard. „Infiantczycy — jak się wyraża w tym dokumencie król Zygmunt August — z państwem naszem nakształt ziem pruskich złączyli się i inkorporowali“, a między postulatami szlachty uznanymi i przyjętymi przez króla znajduje się i ten: „żeby szlachta inflancko-kurlandzka do wszystkich prerogatyw, praw i wolności, którymi się polska szlachta zaszczyca, tym sposobem jak Prusacy, była przypuszczoną“. Mieli więc exkrzyżacy i szlachta rycerska, która odtąd dzieli się na *inflancką* i *kurlandzką*, zażywać największej wolności pod słońcem, bo za-

trzymując dawne przywileje, wywalczone na biskupach i mistrzach zakonu, zachowując przedewszystkiem wszelkie dotychczasowe właściwości i zupełną odrębność, niemieckie prawo i niemieckie władze, pozyskali od razu wszystkie wiekowym trudem zdobyte wolności i swobody szlachty polskiej. To też nie dziw, że ten tak ważny dla nich pargamin własnoręcznym podpisem królewskim i królewską pieczęcią opatrzony, z wielką troskliwością aż dotąd Kurlandczycy przechowali.

2. Wraz z nim przechowali i dokument tegoż króla polskiego datowany z Lublina d. 3 sierpnia 1569 r. *o wcieleniu Kurlandyi do Rzeczypospolitej polskiej,* skutkiem dokonania unii Litwy z Polską. Na nim podpis Zygmunta Augusta i przewieszona wspaniała pieczęć królewska.

3. Nie mniej wspaniała pieczęć zdobi dokument króla *Stefana Batorego* wydany z obozu pod Pskowem w dniu 28 listopada r. 1581; potwierdza w nim bohaterski król wszystkie przywileje wydane rycerstwu kurlandzkiemu przez księcia Gotarda Kettlera.

4. Aż dwie bogate pieczęcie korony i Litwy zdobią wydaną w dniu 18 kwietnia roku 1589 przez króla *Zygmunta III.* księciu kurlandzkiemu deklaracyą uroczystą pod tytułem: *Cautio religionis Frederico duci data.*

Tylko tyle o pargaminach z wieku XVI., których liczny szereg tu wystawiony.

Z wieku XVII. przytaczamy:

1. Pismo własnoręczne kurlandzkiego księcia *Wilhelma* do kanclerza *Michała Manteuffla* z dnia 24 kwietnia 1600 r. dotyczące mianowanej przez króla Zygmunta III. *komisyi polskiej w Piltyniu.* Po bliższe szczegóły o tej „komisyi“ odsyłamy ciekawszych czytelników do studyum *Piltyń i archiwum piltyńskie,* ogłoszonego przed dwoma laty w „Bibliotece warszawskiej“ [1].

2. Pismo własnoręczne kurlandzkiego księcia *Frydryka* z d. 24 września 1602 r. do kanclerza *Jerzego Tyzenhauza* o odezwie mającej się redagować do wielkiego kanclerza Rzeczypospolitej polskiej. Temu autografowi dzielnego księcia Frydryka najchętniej się

[1] Obacz *Biblioteka warszawska* z roku 1884, Tom I. (ogólnego zbioru Tom 173) str. 169, 429.

przyglądają Polacy, gdyż jak powszechnie wiadomo, książę ten młody w roku 1605 niezatartymi głoskami zapisał swe imię na jednej z najpiękniejszych kart dziejów polskich, na karcie opisującej cuda waleczności i znajomości sztuki wojennej nieśmiertelnego Jana Karola Chodkewicza i dzielnych jego hufców. Bo i któż z Polaków nie przypomina sobie z roskoszą i chlubą, że w wiekopomnej bitwie pod Kirchholmem, głośnej na całym świecie, Szwedzi przeważni liczbą, pewni już byli zwycięstwa, gdy wierny lennik Polski, młodziuchny *książę kurlandzki Frydryk* z zastępem 300 jeźdźców, złożonym wyłącznie z młodzieży należącej do najstarszej szlachty kurlandzkiej, zjawił się niespodzianie na lewym brzegu Dźwiny, przeszedł wpław rzekę brodem wskazanym przez miejscowego dziedzica *Stefana Römera* [1] i uderzył z tyłu na nieprzyjaciela!

Napad ten, jak wiadomo, sprawił wielki popłoch w szwedzkich szeregach i przechylił szalę zwycięstwa na stronę naszą, stanowczej zaś klęski Szwedów o mało nie dopełniło schwytanie *króla-przywłaszczyciela.* Młody *Matyasz von der Recke* już Karola IX. pochwycił za ramię; lecz Henryk Wreede, poświęcając się za swego pana, stanął pomiędzy nim a dzielnym paniczem kurlandzkim. Otrzymał wprawdzie Wreede cios śmiertelny, ale Karol Sudermańczyk wydostał się szczęśliwie z niebezpieczeństwa. Wszakże miecz jego i kapelusz ze sznurem kosztownym, istne *spolia opima*, pozostały w ręku kurlandzkiego szlachcica. Kapelusz historyczny już dawno zniszczyły mole, miecz zaś zdobiący obecnie najbardziej malowniczy oddział wystawy historycznej kurlandzkiej, stanowi i dotąd najkosztowniejszy klejnot ordynackiej zbrojowni Reków.

3. Dalej przytaczamy: własnoręczne pismo *Jakóba I.* króla angielskiego, w którem król ten oświadcza gotowość trzymania do chrztu kurlandzkiego *księcia Jakóba,* i

---

[1] O tym praojcu polskiej gałęzi Römerów powiada *kronika J. E. Neimbtsa:* „Dieser Römer hat auch zur Zeit der Kirchholmschen Schlacht die Curländische Armee durch eine Fuhrt durch die Duna geführet, dass alle 300 Reiter sicher und wohl durchgekommen sind. Er war Herr auf Setzen und Meistersholm in Curland und hat über 30 Jahr dem Herzog treulich gedienet". Dla biegłości w języku polskim, gdy w wojnach ówczesnych ze Szwecyą wojska polskie ustawicznie przez Kurlandyą i Semigalią przechodzić musiały, otrzymał ów Stefan Römer od księcia zarząd nad wszystkiemi dobrami *(Aemter)* książęcemi od Walhofu aż do Kryżborka położonymi. *(Arch. Rodz.).*

4. powierdzenie wszystkich przywilejów szlachty kurlandzkiej przez króla polskiego *Zygmunta III.*, oraz

5. słynny zbiór praw pod tytułem: *Formula Regiminis* z d. 17 marca 1617 r. opatrzony podpisami i pieczęciami aż pięciu *komisarzy polskich*, którzy, jak powszechnie wiadomo, układali nowe ustawodawstwo dla Kurlandyi i nowe prawo krajowe p. t. *Jura et leges in usum Nobilitatis Curlandiae et Semigaliae a nobis promulgata*, który to tytuł już sam najlepiej dowodzi, iż w owych czasach o jednym tylko stanie wyłącznie myślano. Te kurlandzkie ustawy oddrukował całkowicie Dogiel, odsyłamy więc ciekawszych czytelników *Przeglądu powszechnego* do Dogiela *Codex diplomaticus Regni Poloniae*, tom V. pag. 368, zaznaczywszy dla ogółu czytających, że słynna *Formula Regiminis* opiera się na *pactach subjectionis*, na przepisach tyczących się inwestytury lenniczej, oraz na dawnych dokumentach i recesach.

Następnie wymieniamy:

6. Potwierdzenie przywilejów rycerstwa piltyńskiego przez króla polskiego *Władysława IV.*, podpisane w Krakowie 14 marca 1633 r. Pargamin to wspaniały, pieczęcie polska i litewska w poważnych pokrywach żelaznych.

7. Pismo własnoręczne króla *Jana Kazimierza* z d. 1 sierpnia 1650 r., w którem król winszuje księciu *Jakóbowi Kettlerowi* syna nowonarodzonego. Książe ten niezwykle utalentowany i ambitny — lubo lennik polski — wyrobił sobie wysokie stanowisko w Europie, uczynił Kurlandyą krajem zamożnym i kwitnącym, a nawet zdobył poważne stanowisko w rządzie państw morskich, wybudowawszy flotę złożoną z 15 nieuzbrojonych i 44 uzbrojonych okrętów, z których każdy dźwigał na sobie kilkadziesiąt dział, nadto zaś 60 okrętów handlowych i wiele pomniejszych statków. Nie narażając siebie i swych poddanych na groźne niebezpieczeństwo wątpliwych zawsze wojen, nietylko zyskał wielkie skarby, lecz także zjednał sobie niemały rozgłos i szeroką sławę, bo stał się twórcą rozległego handlu morskiego na północy, który prowadził z dalekimi lądami, przewożąc płody obcych części świata do wszystkich europejskich portów i na odwrót, zawożąc daleko towary i produkta rodzime, sprowadzając zewsząd zdolnych fabrykantów, dając im u siebie szerokie pole do pracy, pewny i sowity zarobek, które to

fakta wystawa historyczna kurlandzka na każdym niemal kroku najdosadniej uwydatnia. Zawiązawszy korzystne i dogodne dla siebie traktaty handlowe z Francyą i Anglią, których wyliczeniem i odpisywaniem nie mogę nużyć czytelników *Przeglądu powszechnego*, miał ten lennik Rzeczypospolitej polskiej stosunki stałe z Wenecyą i z Rzymem, dostarczał obcym krajom własnego i litewskiego zboża po nierównie tańszych cenach niż inflancka Ryga, której wysokie cła nie pozwalały z nim współzawodniczyć. Ważne te przedsiębiorstwa handlowe ułatwiły mu kolonie, założone na wybrzeżach Gwinei, na wyspie św. Andrzeja i na Tabago, jednej z najpiękniejszych wysp między małymi Antyllami, nazywanej rajem ziemskim. Obszerne mapy geograficzne tych licznych niegdyś *kolonij kurlandzkich*, zdobią na wystawie historycznej ściany, do których właśnie przytykają witryny gablotek mieszczących w sobie *główne traktaty handlowe dzielnego księcia Jakóba* i rozmaite dokumenty odnoszące się do jego iście niezmordowanej działalności. Chcąc rozrządzać większymi zasobami surowych płodów, nie tylko od Szwecyi zakupił znaczne dobra na Pomorzu, lecz nadto od rządu duńskiego kopalnie żelaza w Norwegii i tyle na tem polu dokazał, że mógł zaopatrywać w wojenne potrzeby wielkie mocarstwa. Anglii (a mianowicie *Karolowi I. i II*). dostarczał długo okrętów, broni, amunicyi, prochu i różnych zapasów. W r. 1649 miał dostarczać Francyi 8 do 10.000 żołnierzy, 24 do 30 okrętów zupełnie uzbrojonych i zaprowiantowanych, a układ ten tylko dlatego nie przyszedł do skutku, że strony nie mogły się porozumieć co do ceny.

Ponad opisaną powyżej gablotką wywieszono na ścianie:

8. Traktat handlowy zawarty w Westminsterze pomiędzy *Oliwerem Kromwellem*, a księciem kurlandzkim *Jakóbem* d. 17 lipca 1657 r. Ten dokument najbardziej zastanawia publiczność olbrzymią pieczęcią państwową angielską, na nim przewieszoną. Pieczęć ta z żółtego wosku wybornie się przechowała, lubo niema żadnej przykrywy.

W owym czasie Mitawa była ogniskiem dyplomatycznych układów pomiędzy Polską, Szwecyą, Danią i Moskwą. Książe kurlandzki Jakób aczkolwiek tylko lennik, panujący nad szczupłem państewkiem, działał z tak niezwykłem mistrzowstwem, że, trakto-

wany niemal na równi z monarchami, ze wszystkimi żył w zgodzie, każdemu umiał się wydać potrzebnym; w istocie dbał o dobro kraju własnego, a niekiedy dopuszczał się aktów zdrady względem własnego suzerena, z których nawet najgorliwsi obrońcy Jakóba oczyścić go całkowicie nie zdołają.

W szczupłych ramach listu niepodobna wyliczać nagromadzone tutaj wszystkie ciekawe dokumenty z XVII. stulecia. Wymienię jeszcze jeden tylko. Nader pięknie się przedstawia wydany d. 9 listopada 1669 r. w Krakowie przez króla *Michała Korybuta Wiszniowieckiego* przywilej miastu Goldyndze, gdyż prześliczne miniaturowe akwarele tworzą wspaniałe obramowanie tego i pod względem sztuki bardzo cennego pargaminu.

Z wieku XVIII. wystawiono tu mnóstwo pism z przywilejów króla *Augusta II.*, hrabiego *Maurycego Saskiego* (marszałka Francyi, a naturalnego syna Augusta II. i hrabiny Koenigsmark), dzielnego *królewicza Karola*, który był jedynym księciem Kurlandyi, mającym prawo zasiadania na tronie obok króla Rzeczypospolitej i dawania tam swego doradczego głosu w sprawach dotyczących Polski.

Nie braknie tu i przywilejów króla *Augusta III.* i *Stanisława Augusta*, a z wieku XIX. wystawiono cały szereg bogato uposażonych dokumentów pargaminowych, w których cesarze rosyjscy *Aleksander I.*, *Mikołaj I.* i *Aleksander II.* zatwierdzają z kolei wszystkie odwieczne przywileje szlachty kurlandzkiej. Panujący obecnie cesarz *Aleksander III.* nie wydał dotąd dokumentu tego rodzaju, którego brak coraz boleśniej odczuwają Kurlandczycy — pod tym względem poniekąd zepsuci.

Z dzieł rękopiśmiennych, zdobiących tę wystawę historyczną, wymienię:

1. *Kronikę rymowaną*, niegdyś mylnie przypisywaną niejakiemuś Alnpeke. Autor jej dotąd nieznany, a składa się z kart 84, pisanych na pargaminie z wieku XIV. Dzięki tej cennej kronice, mogą badacze dzisiejsi dopatrzyć związku pomiędzy wypadkami i miejscem, które było widownią krwawego dramatu ostatecznego podboju łotewskiej Semigalii pod władzę krzyżackiego zakonu w końcu XIII. stulecia.

2. *Prawo magdeburskie*, a mianowicie ksiąg dziewięć t. zw. „dystynkcyj“, pisanych w Toruniu w r. 1433.

Z najstarszych druków ograniczę się przytoczeniem dobrze zachowanego egzemplarza *wulgaty*, wydanej w r. 1481 w języku łacińskim na pargaminie czcionkami gotyckimi. Wszystkie głoski początkowe ręką wprawnego miniaturzysty dziwnie delikatnie wykonane, stanowią dzieło sztuki.

Nie mniej imponującym jak dział rękopiśmienny wystawy i niemniej systematycznie ułożonym jest dział jej numizmatyczny. Zawiera on tak pełny komplet monet kurlandzkich, o jakim dotąd ani się marzyło żadnemu z licznych numizmatyków krajowych.

To też na uzupełnienie tej zaokrąglonej całości, złożyły się niemal wszystkie zbiory numizmatyczne miast nadbałtyckich. Już sama Ryga dostarczyła aż *trzech unikatów*, a mianowicie: talara Gotarda Kettlera z roku 1576, odbijanego z herbami Polski i Litwy, oraz cyfrą ks. Gotarda, trzygroszówki z r. 1586 z wyrazistem popiersiem Gotarda, a także podwójnego dukata, wybitego w roku 1764 z popiersiem urodziwego faworyta *Anny*, księżnej kurlandzkiej, a następnie cesarzowej rosyjskiej, Jana Ernesta Birona (właściwie *Bührena)*, który, aczkolwiek był tylko synem jednego z Kettlerowskich koniuszych, wielką w dziejach Kurlandyi odegrał rolę, a przez pewien czas takież zajmował stanowisko w Rosyi, jakie obecnie objął w Bawaryi książe Luitpold. Godzi się więc dotknąć tu choć w krótkich słowach jego niezwykle burzliwej przeszłości, którą seciny okazów tej wystawy historycznej co chwila najżywiej przypominają.

Wpadłszy w oko księżnie Annie, wdowie po młodziuchnym księciu kurlandzkim *Frydryku Wilhelmie Kettlerze*, został młody Ernest wysłany za granicę dla odbycia studyów prawno-politycznych w uniwersytecie królewieckim, skąd za burdy studenckie wkrótce relegowany, przyjął w Mitawie skromne miejsce sekretarza przy boku księżnej Anny, następnie zaś, wpadłszy w jeszcze większe u niej łaski, mianowany został jej przybocznym kamerjunkrem, a gdy w styczniu r. 1730 umarł nagle Piotr II. i Anna wezwaną została na tron rosyjski, tenże urodziwy młodzieniec Bühren zajął w Mitawie wpływowe miejsce posła carowej i równocześnie otrzymał tytuł oberhofmajstra dworu rosyjskiego, skutkiem czego cesarz

niemiecki Karol VI. uważał za stosowne przysłać mu dyplom hrabiowski, w którym go *Bironem* nazywa, August II. ozdobił go orderem orła białego, a rycerstwo kurlandzkie przyjęło do swego indygenatu, co mu dało prawo nabywania dóbr szlacheckich w Kurlandyi. Gdy zaś w dniu 4 maja r. 1737 umarł w Gdańsku książe kurlandzki *Ferdynand Kettler*, własnoręczne pismo carowej do najwyższych radców Kurlandyi wystarczyło do zwołania tak zwanej „braterskiej konferencyi", na której *hrabia Ernest Biron* jednogłośnie obrany został księciem Kurlandyi. Biron, jakkolwiek złożył natychmiast w ręce swej dobrodziejki urząd oberhofmajstra jej dworu, jako niezgodny z pozycyą samodzielnego księcia, pozostał wszakże dalej doradcą przybocznym tejże monarchini, która mu darowała liczne swe kurlandzkie dobra i posiadłości. Że zaś zwykle musiał przebywać u boku swej dobrodziejki, wystarano się dlań u króla polskiego formalnego pozwolenia „na rządzenie Kurlandyą z nadnewskiej stolicy".

To też niezwykłą była potęga tego nowo-kreowanego lennego książątka, a ze śmiercią carowej Anny (17 października 1740 r.) nietylko nie osłabła ona, ale raczej się podwoiła. Carowa bowiem przeznaczyła następstwo po sobie synowi swej siostrzenicy *Anny Karłówny*, wielkiemu księciu *Iwanowi*, w czasie małoletności którego Biron miał być regentem całego carstwa rosyjskiego. Lecz tylko przez jeden miesiąc cieszył się urodziwy Biron tą nieograniczoną władzą. Antagonista jego *hr. Münnich* zdołał się zaopatrzyć w pełnomocnictwo, siłą którego w nocy 19 listopada tegoż roku zaaresztował regenta wraz z całą jego rodziną. Aresztowanych odesłano niebawem do twierdzy Szlisselburskiej, a stamtąd, po nader krótkiej indagacyi, w której im zdradę stanu zarzucano, wyprawieni zostali na Syberyą, matkę zaś małoletniego Iwana, wielką księżnę Karłównę, ogłoszono regentką cesarstwa rosyjskiego.

Ta niebawem objawiła Kurlandczykom, że Ernest Biron już przestał być ich księciem. W niemałym kłopocie był przeto król *August III.*, któremu Rosya takowem postępowaniem aż nadto wyraźnie wykazała, kto właściwie kreował księcia Birona, który się przecież uważał za lennika Rzeczypospolitej.

Wszystko było w ciągłej niepewności, gdy nagle nastąpiła nowa zmiana w nadnewskiej stolicy. W dniu 25 listopada 1741 r.

wstępuje na tron rosyjski *Elżbieta* i manifestem niebawem wydanym, unieważnia wszelkie rozporządzenia byłego rządu, Birona zaś odwołuje z Syberyi i osadza go nad brzegami Wołgi w Jarosławiu (dzisiejszem miejscu wygnania ks. Hryniewieckiego biskupa wileńskiego); skutkiem tego Kurlandya w ciągu lat kilkunastu pozostawała bez żadnego księcia, a następnie widziała zdumiona Mitawa w ciągu czterech miesięcy jednocześnie aż dwóch książąt Kurlandyi na swoim tronie — księcia *Karola Saskiego* i tegoż *Ernesta Birona*, — cała zaś szlachta kurlandzka dzieliła się w owym czasie na zwolenników Karola *(Caroliner)* i Birona *(Ernestiner)*, którzy nietylko ustnie, ale i w ogłaszanych drukiem broszurach, zdobiących obecnie ciekawą wystawę historyczną kurlandzką, zarzucali sobie zdradę wzajemnie.

Figuruje na tej wystawie i biblia sążnista, z jakowej miał czerpać Biron pociechę na Syberyi i w Jarosławiu nad Wołgą.

Ze śmiercią króla polskiego Augusta III. (5 paźdz. 1763 r.) zmieniła się znacznie konstelacya polityczna mocarstw północnych, co naturalnie przyczyniło się wielce do utwierdzenia Birona na tronie kurlandzkim. Carowa *Katarzyna II.* w sierpniu r. 1764 odwiedziła go osobiście w Mitawie, a ze wstąpieniem na tron polski króla *Stanisława Augusta* weszło nowe słońce dla Ernesta Birona, którego powtórne rządy w Kurlandyi przypomina na tej pouczającej wystawie ów rzadki już dzisiaj podwójny dukat, wybity w r. 1764 na jego uczczenie.

Do niemniej rzadkich monet kurlandzkich zaliczają znawcy wystawiony tu dukat z r. 1646, ozdobiony popiersiem, znanego już czytelnikom niniejszego „listu“ ze swej genialnej działalności, księcia *Jakóba Kettlera*.

Z cennego zbioru medalów, odnoszących się wyłącznie do Kurlandyi, nie wymieniamy żadnego, by listu naszego zbyt nie przedłużać. Pomijamy również *oddziały sfragistyczny* i *heraldyczny*, jakkolwiek przedstawiają one wielki interes dla historyków polskich.

Z działu *genealogicznego* wystawy musimy przedewszystkiem zaznaczyć *dedukcyą rodu Tyzenhauzów*, jako kronikę stanowiącą ważne źródło do dziejów krajowych w XIII., XIV., XV. i XVI. stuleciu. Rękopism ten oryginalny, w pargamin oprawny, ręką dzielnego *Henryka Tyzenhauza* (dziedzica zamku *Bersonen*, a pra-

ojca polskiej gałęzi tego rodu) osobiście kreślony w roku 1585, — jest obecnie własnością kurlandzkiego rycerskiego archiwum, a dzięki szczodrobliwości polskiej, już w ciągu roku bieżącego ma zostać całkowicie ogłoszony drukiem. Wydawnictwa podjęli się *Dr. Józef Girgenson,* autor znanej i w Zachodniej Polsce pracy niezbyt obszernej *Die Historia Polonica des Długosz,* oraz kilku uczonych nadbałtyckich, koszta druku pokrywa *hr. Marya z Tyzenhauzów Przezdziecka,* składając hołd pamięci jednego z najszlachetniejszych przodków swoich.

W tymże dziale genealogicznym wzbudza interes Polaków dokument pargaminowy z roku 1572 z przewieszoną na nim wspaniałą pieczęcią królewską. Jest to dyplom na tytuł barona, wydany przez króla polskiego *Zygmunta Augusta* szlachetnie urodzonemu *Janowi Taubemu* wraz z całem jego potomstwem, które, jak utrzymują niektórzy, i dotąd jeszcze kwitnie na Litwie.

Nie mniej ciekawym jest przywilej na zamek i dobra Amboten — jedna z najpiękniejszych miejscowości w Kurlandyi — nadany przez króla *Stefana Batorego* księciu kurlandzkiemu *Wilhelmowi Kettlerowi* za dokonywane przez niego cuda waleczności przy oblężeniu Pskowa. Dyplom datowany z Grodna dnia 18 grudnia r. 1585.

Gustaw Manteuffel.

Druk ukończony dnia 23 lipca 1887.

PIEŚŃ BOGA-RODZICA.

(Rozbiór krytyczny).

Któż z nas nie zna lub przynajmniej nie słyszał o pieśni Boga-Rodzica. Pieśń ta świeci jak gwiazda nad kolebką naszego życia chrześcijańskiego w narodzie, prosta i rzewna jak serce mieszkańca tej ziemi, płynęła kiedyś falą wezbraną przed stopy dziewicze Tej, którą naród nasz nazywał swą Panią i Królową. Cała niemal Polska rozbrzmiewała przez długie wieki jej nutą, krzepiła nią swą odwagę, czerpała z niej nadzieję i pociechę we wszystkich przygodach życia ludzkiego i narodowego. Pieśń ta była pobudką bojową, pieniem dziękczynnem, modłą błagalną — hymnem narodowym Królestwa Polskiego.

Dziś jej nie słychać; już dawno ucichła na ziemi naszej, posłyszeć ją tylko można w tumie Gnieźnieńskim przy grobie tego, który ją razem z wiarą przekazać miał narodowi przez się nawróconemu.

A nietylko jako pamiątka odległej przeszłości budzi poszanowanie, ale nawet jako zabytek staropolskiej literatury zajmowała zwłaszcza w ostatnich czasach uczonych badaczów, tak duchownych jak świeckich [1]. Zarzutu z tego powszechnego zajęcia się pieśnią tą

[1] Bobowski Mikołaj. Die polnische Dichtung des XV. Jahrhunderts: I. Mariengedichte. Inaugural-dissertation. Breslau 1883. Streszczenie tej pracy podał autor w rozprawie: Polska poezya kościelna od najdawniejszych czasów aż do wieku XVI. Warszawa 1885. Odbitka z Przeglądu katolickiego.

Nehring Wł. Pieśń Boga-Rodzica w Studyach literackich. Poznań 1884, str. 1—26. Recenzyę pracy tej napisał prof. Brückner w Archiv f. slav. Phil. VIII., n 604.

Ks. Knothe Apolinary. Starożytność pieśni Boga-Rodzica. Przegląd katolicki. Warszawa 1884. str. 341. 357.

przez polskich uczonych robić im nie można, jak to czyni Jagić w zmiance o mej pracy [1], ponieważ każda praca naukowa, jakiegokolwiek jest rodzaju, jeżeli tylko prowadzi nas do poznania prawdy, nie może się uważać za zbyteczną. Na tem bowiem polega wartość nauki, że nie poprzestaje na zdobyczach już gotowych, osiągniętych przez poprzednie czasy, lecz równym zapałem grzeje nowe pokolenia i prowadzi na pole pracy dla prawdy. Ale żeby na drodze tej postępowała nauka, nie dosyć jest, wypowiedzieć nowe zdanie, postawić inną hipotezę, lecz koniecznem jest, ażeby zdanie to nowe i hipoteza ta opierały się bezpośrednio na tym fundamencie, który jako ostateczny wyraz dotychczasowej nauki uważać się musi, czy to budując dalej na nim, czy też znosząc go a na miejsce jego inny zakładając.

Jeżeli mimo tak licznych prac, podejmowanych dawniej i aż do dziś dnia nad pieśnią tą, przecież pozostało jeszcze niejedno w niej niewytłumaczonem, przyczyna tego w pierwszym rzędzie leży w tradycyi rękopiśmiennej, która w niejednym względzie jest niedokładną, ale także pewna część winy spada na pracowników, którzy nie wszyscy jeszcze trzymają się ściśle planu, który podaje naukowa metoda i nie wszyscy posługują się w równy sposób środkami, jakie stanowi znajomość przedmiotu. Przedewszystkiem za mało uwzględnia się stosunek genealogiczny, jaki pomiędzy dochowanemi rękopisami zachodzi, i uważa się za prawdziwe to, i starsze to, co przez przepisywanie dodanem zostało, a czego nie ma w starszym pierwowzorze. Wzgląd bowiem ten, że wyryant jaki daje zrozumialszą myśl, jest małoznaczący, gdyż przy rekonstrukcyi tekstu starodawnego powinno przedewszystkiem chodzić o to, ażeby nadać mu taką postać, jaką miał oryginał. Właśnie przez to samo, że waryant, w późniejszym zachodzący przepisie, wbrew tradycyi rękopiśmiennej nadaje miejscu odnośnemu wprawdzie myśl jasną, ale która nie ma żadnego poparcia w starych tekstach — okazuje

---

Tenże. Nieznany dotąd odpis pieśni Boga-Rodzica. Przegląd katolicki. 1886, str. 757.

Nehring Wł. Altpolnische Sprachdenkmäler. Systematische Übersicht, Würdigung und Texte. Ein Beitrag zur slavischen Philologie. Berlin 1886 (1887). O pieśni Boga-Rodzicy traktuje na str. 160—167.

[1] Archiv f. slav. Phil. IV., str. 537.

się jako nowszy utwór, zrobiony przez myślącego przepisywacza. I tak np. w pierwszej zwrotce wyrażenie *spust winam* w znaczeniu *odpuszczenie grzechów*, nadaje wprawdzie całości myśl zrozumiałą, ale ponieważ zachodzi dopiero w tekscie z połowy XVI. w. a w wszystkich starszych tekstach jego nie ma, zdradza tem samem swoje nowsze pochodzenie, którego źródłem był przepisywacz, i musi dla tej przyczyny stracić wszelkie prawo do oryginalności. Chcąc zaś wbrew tradycyi wszystkich rękopisów waryant ten przyjąć do tekstu, który za najbardziej podobny do pierwowzoru się uważa, znaczy poprostu ignorować zasady krytyki filologicznej. Równem prawem bowiem można każdą poprawkę, jaką podają Mateusz z Kościana, Herburt lub Skarga, jeżeli tylko czyni zadosyć sensowi odpowiedniego zdania, wciągnąć do tekstu, ponieważ pomiędzy temi źródłami zachodzi tylko ta różnica, że autor rękopisu krak. z połowy XVI. w. jest nieznany a ci są znani. Tak więc na zasadzie tej konkluzyi można zamiast niezrozumiałego *krzcziczela*, w drugiej zwrotce postawić *zbawiciela*, które w tym samym rękopisie krak. i u Mateusza z Kościana zachodzi, a które usunęłoby skrupuł, na jaki wszelkie poprawki tej zwrotki natrafiają. Ale czy wówczas może być mowa jeszcze o krytyce filologicznej? Zasada ta, która znana jest każdemu filologowi klasycznemu, liczy u nas mało jeszcze zwolenników.

Podobnie jak stosunek genealogiczny rękopisów mało znajduje uwzględnienia w naszej krytyce, tak też i pochodzenie rękopisów pod względem czasu, natury zewnętrznej, czyli paleograficznej, i treści ulega często fałszywej ocenie. Zwyczajnie oznacza się czas zabytku podług znamion, które często z nim nie stoją w żadnym związku. Znalazłszy np. wypisany rok 1408 w rękopisie krak. I., w którym mieści się także odpis pieśni Boga-rodzicy, przyjmuje się datę tę dla niego, nie wchodząc w to, czy inne okoliczności temu się nie sprzeciwiają. Ten sam stosunek zachodzi także przy najnowszym rękopisie pieśni Boga-rodzicy, który ks. *Apolinary Knothe*, z biblioteki seminaryjnej w Sandomierzu, ogłosił w *Przeglądzie katolickim*[1], naznaczając mu miejsce pośrednie pomiędzy

[1] Rok 1886, str. 757.

najdawniejszemi odpisami jej, tj. krakowskiego I. (1408) i warszawskiego z r. 1456. Do tego wniosku przyszedł autor w ten sposób, że w rękopisie, na którego oprawie znalazł się odpis pieśni naszej, stoi podany rok 1413, w którym rękopis ten miał być skończony *(est finitum)*. Skoro więc, (są słowa ks. Knothego) księga była doprowadzoną do połowy w r. 1413, przy innych klasztornych obowiązkach ukończona w r. 1420, a gdy może nie odrazu po ukończeniu była oprawiona, to skoro odpis (pieśni Boga-rodzicy) dawniejszy jest od oprawy, przyjmujemy prawdopodobnie *rok 1420* za datę naszego odpisu. Konkluzya ta opiera się na dedukcyi logicznej, ale mimo to może być fałszywa, ponieważ okładka rękopisu a rękopis sam są oddzielne rzeczy, które nie potrzebują stać z sobą w ściślejszym związku. Odpis ten pieśni Boga-rodzicy widział r. 1880 w rzeczonej bibliotece *Dr. Kętrzyński*, dyrektor zakładu narodowego imienia Ossolińskich, i przepisał go naznaczając mu wiek XVI. jako czas jego powstania. Daleki jestem od tego, abym lekceważył ks. Knothego wiadomości paleograficzne, ale nie mając innych dowodów, mających popierać jego zdanie, nad te, które przytoczył, wolę przychylić się do zdania Dr. Kętrzyńskiego, którego kompetencyi w rzeczach paleografii mam wszelkie prawo wierzyć.

Jednakowoż przez to nic nie zyskaliśmy, że rękopis sandomierski w chronologicznym porządku umieścimy pomiędzy ostatniemi rękopisami tej pieśni. Mimo to może być on bardzo dobrą kopią, która przekazała nam tekst pieśni w wierniejszej formie, aniżeli starsze jej odpisy. Chcąc więc ocenić jego wartość, lub budować na nim jakie hipotezy, trzeba poznać jego stosunek do innych znanych rękopisów pieśni. To jest też powód, dla którego napisałem niniejszą rozprawkę.

Nasamprzód umieszczam tekst rękopisu tego według przepisu, który zrobił dr. Kętrzyński, a którego mi na ten cel udzielił. Ponieważ na niektórych miejscach jest uszkodzony przez mole, dlatego wszystkie litery, jakie wskutek tego uległy zniszczeniu, kładę w nawias. Jako właściwość ortograficzną wspomnieć muszę, że nosowe samogłoski w środku wyrazu oznaczone są niekiedy przez a (przekreślone), na końcu zaś przez zwyczajne *a*, znak zaś piśmienny *y*, w znaczeniu dźwięku *i*, *y*, lub *j* ma przeważnie dwie kropki, które

tu opuszczone zostały. Dla praktycznych względów podzieliłem tekst na strofy, które według zwyczajnego porządku oznaczam przez odnośne liczby; dla tego samego powodu przeprowadziłem stale podział wyrazów, które w rękopisie niekiedy piszą się razem.

1. Boga rodzycza dzyeuicza bogyem szlawena Maria V tweg(o) szyna goszp(od)zyna mathko szwolena Maria syszczysz nam spuszczysz nam Kyrieleyson.

2. Thweg(o) d(z)yela krzy czyczyela bozyczyela Wszlysz gloszy napelyn miszly clowyecze. (Sl)ysz modlythwa yansz noszymi Odacz raczysz yego proszymi a na szwyeczye sboszny pobyth po zyuoczye rayszky przyebyth Kyryeleyson.

3. Narodzyl szy(a) nasz dla szyn boszy wyerzsze w tho clouiecze szboszny ysz bog trud przye szwoy lud othya l dyable stroszy.

4. Przydal nam szdrowya vyecznego starostha szkowal pkyelnego szmyercz (po)dya l wspomiona l clowyeka pyrwego.

5. Iensze trudi czyrpyal za wy(erne) gyeszczecz byl nye przyszpyal za wyerne alysz szam bog szmarthwy wsztal.

6. Adamye thy bozy kmyeczyu thy szyedysz v boga wyeczy Domyszcz nasz szwe dzyeczy gdyecz kroluya angeli.

7. Byla radoszcz byla myloszcz bylo vydzyenye thworcza angelszkye besz koncza thucz szya nam wszyawylo dyable pothapyenye.

8. Ny szyrebrem ny szlothem nasz dyablu othkupyl szwa mocza zaszthavyl czyebye dla clouiecze dal bog przyeklocz szobye bog racze nodze obye kry szwyatha szla sz boka na szbawyenye thobye.

9. O duszy o grzeszney szam bog pyecza ymyal dyablu ya othymal gdzyesz tho szam (p)rzyebywa thu ya kszobye wszywa.

10. (Wyerz)sze w tho clouiecze esz yeszu criszth prawy czyrpyal sza nasz r(any) (szwa) szwyatha krew przyelay za nasz krzyeszczyany.

11. Iuszczy czas g(odz)yna grzyechom szya kayaczy bogu fala daczy sze wszemy szylami crista milowaczy.

12. Thegosz nasz domyeszczy ihucriste mily bychom s (to)ba byly gdyecz szya nam raduya wsze nyebyeszkye szyly.

13. Maria dzywiycze proszmy szynka thwego krola nyebyeszkyego abi nasz vchowal othe wszego szlego.

14. Amen amen amen amen amen amen amen th(ak)o bog day bychom (po)szly wszyczczy w ray.

Porównywając tekst rękopisu sandomierskiego z innemi w sposób, jak to w Rozbiorze tej pieśni uczyniłem, widzimy w pierwszej zwrotce zupełną zgodę jego z wszystkiemi, które należą do jednej grupy, oznaczonej przez *A* w przeciwieństwie do drugiej *B*, reprezentowanej przez rkp. krak. z XVI. w. i Mateusza z Kościana, która ma *spust winam* zamiast *spuści nam* poprzedniej grupy.

Druga zwrotka ma najpierw waryant *krzyczyczyela* zamiast *krzczyczyela* innych rękopisów, co jednakowoż jest tylko ortograficzną właściwością bez większego znaczenia. Natomiast drugi waryant *bozyczyela* na miejsce *bozide, boszicze, sboszny cza, zboszny czas* innych rękopisów każe nam zaliczyć nasz rkp. do odrębnego źródła, z którego pochodzi ten waryant, lub co na jedno wychodzi, który przepisywacz na swoją rękę zrobił. Najbardziej zbliża się on do *boszicze* rkp. krak. II. a dla uzyskania rymu do poprzedniego *dzyela krzczyczyela* dodał przepisywacz zakończenie *czyela*. Jednakowoż na podstawie tej odmiany musimy wyłączyć go z rzędu innych rękopisów a ustanowić dlań osobną grupę. Inne właściwości tej zwrotki dzieli rkp. sand. z grupą *A*.

W zwrotce trzeciej mamy *narodzyl szya* zamiast *wstal zmartwych* grupy *A*, przez co przechodzi znów do grupy *B*, w której ten sam zachodzi waryant. Następne zaś wyrazy *ysz bog trud przye szwoy lud* są prostą pomyłką, zamiast *ysz przye trud bog szwoy lud* i nie uprawniają nas do żadnych wniosków.

Zwrotka czwarta należy do kategoryi rękopisów grupy *A*.

W zwrotce piątej ma najpierw *za wyerne* (trudi czirpal) zamiast *przezmyerne* innych rękopisów, przez co załącza się z rkp. krak. I. do jednej grupy. Oprócz tego powtarza się znowu wyraz ten *za wyerne* zamiast *za smierne* grupy *B*. Widocznie przepisywacz przeoczył tekst pierwotny i dwa razy napisał ten sam wyraz.

W zwrotce szóstej ma wyraz *nasz* podobnie jak wszystkie inne rękopisy, którego nie ma w rkp. krak. I.

W zwrotce siódmej ma *byla* zamiast *tam* grupy *B*, podobnie jak rkp. krak. I. i częst.

W zwrotce ósmej dodanem zostało *bog* zamiast *bok*, co tylko

błędem jest ortograficznym, ten sam dodatek mają wszystkie rękopisy z wyjątkiem krakowskiego I.

W zwrotce dziewiątej stoi *ymyal, othymal* zamiast *ima odima* grupy *A*, potem *przyebywa*, zam. *kroluje*, do czego dodał przepisywacz jako rym *wszywa*, zam. *przyma* innych rękopisów. Jestto znów osobny dodatek naszego rękopisu, przez co wyłącza się z grupy innych.

W zwrotce dziesiątej stoi *przyelay* zamiast *przelał* innych rękopisów, co prostym jest błędem ortograficznym.

W zwrotce jedenastej stoi *juszczy* zamiast *już nam* wszystkich rękopisów, potem *crista* zamiast *boga*, co znów wyłączną jest własnością naszego rękopisu.

W zwrotce dwunastej, stoi *bychom*, podobnie jak w krak. I. zamiast *byśmy* lub *bychmy* innych rękopisów, potem *wsze* zamiast *swe* rękopisu krak. I.

W zwrotce trzynastej stoi *proszmy* zam. *prosi* i *aby* zam. *haza* innych rękopisów.

Wreszcie w zwrotce czternastej nie ma dodatku: *gdzież królują anieli*, który się znajduje w kilku rękopisach.

Z powyższego porównania pokazuje się, że wyłączną własnością rękopisu sandom. są tylko te waryanty: *bozyczyela* zwr. 2; *wszywa*, zam. *przyma* zwr. 9, *juszczy*, zam. *już nam* zwr. 11; *crista*. zam. *boga* zwr. 11. Takowe mogą opierać się na starszem źródle, z którego pisarz przepisywał, ale też mogą być dodatkiem samego przepisywacza; w jednym lub drugim razie stanowią one osobną grupę rękopiśmienną, która z powyższemi musi stać w jakimś stosunku pokrewieństwa. Pokrewieństwo jego może się oznaczyć na podstawie tych waryantów, które wspólnie dzieli z innemi rękopisami. Co się tyczy stosunku waryantów wspólnych, to z zestawienia ich z innemi przypada na 27 waryantów, 14 na grupę *A*, a 10 na grupę *B*, reszta zaś jest własnością naszego rękopisu. Z porównania zaś waryantów jego z waryantami pojedyńczych rękopisów wynika następujący stosunek. Z rękopisami krak. I., II. dzieli 6 waryantów, tj. wszystkie, które obydwa rękopisy mają wspólne, różni się zaś od nich tylko jednym *bozyczyela*. Z tego wypływa ten wniosek konieczny, że źródło, z którego wypłynęły obydwa krak. rękopisy, było także podstawą dla naszego rękopisu. Potem z krak. I.

ma wspólnych waryantów jeszcze ośm, których niema w krak. II. z powodu, że tenże obejmuje tylko 3 zwrotki. Jednakowoż rękopis sandomierski nie mógł wypłynąć z żadnego z powyższych krak., ponieważ okazuje znów takie waryanty, których niema w żadnym z nich, ale natomiast zachodzą u innych. I tak z rkp. warsz. dzieli 20 wspólnych waryantów, tj. 11 w grupie *A*, a 9 w grupie *B*, a z częstochowskim 16, z których 9 przypada na *A*, a 7 na *B*. Z tego dalszy wniosek, że źródło, na którem się opierają obydwa rękopisy warsz. i częst., posłużyło także i dla naszego rękopisu, jednakowoż nie bezpośrednio, ponieważ znowu zachodzą różnice, które rękopis sand. z ich ściślejszego grona wyłączają. Wreszcie z rękopisem krak. z XVI. w. ma wspólnych 9 waryantów, z których 8 zachodzi także w tekstach warsz. i częst. a tylko jeden *narodzył szya*, mają obydwa wspólne. Charakterystyczna zmiana zachodzącego w wszystkich rękopisach *wstał z martwych* na *narodził się*, każe nam obydwa rękopisy sand. i krak. III. (z XVI. w). w ściślejszy sprowadzić stosunek, który przecież jest tego rodzaju, że rkp. sand. nie może opierać się na krak. III., ponieważ ma takie różnice, których niema w krak.

Cyfry powyższe równych lub różnych waryantów rękopisu sand. z innemi, są zdaniem mojem, j e d y n y m dowodem bliższego, lub dalszego pokrewieństwa, jakie pomiędzy niemi zachodzi. Jeżeli zatem rkp. sand. ma 14 waryantów wspólnych z rkp. krak. I., a 13 różnych, stąd może być tylko ten wniosek, że obok rękopisu krak. I., albo jego źródła, ma za podstawę rękopis sand. także inne źródło, z którego te 13 waryantów wypłynęły. Tem drugiem źródłem może być albo inny rękopis starszy, albo też wszystkie te waryanty mogą być dziełem przepisywacza. Jednakowoż ten wzgląd, że z tych 13 różnych waryantów zachodzi w innych rękopisach 9, a tylko 4 wyłącznie w rękopisie sand., dowodzi znów, że rkp. sand. te 9 waryantów przejął z innego starszego rękopisu. Trudno dalej przypuścić, ażeby pisarz rękopisu sand. przepisywał z dwóch rękopisów naraz, lecz tylko z jednego, który jednakowoż już był przepisanym z starszego. Otóż ten starszy rkp. z którego bezpośrednio wypłynął rkp. sand. jest tylko ogólnem wyrażeniem dla owych 9 waryantów, obydwom wspólnych, i dlatego sumę tę ogólną waryantów nazywam według powszechnego zwyczaju źródłem *B*, które mogły znów wypłynąć z jednego albo też kilku rękopisów.

Idąc dalej w tej indukcyi, musimy owe 14 waryantów wspólnych z rękopisem krak. I. uznać za osobne źródło, które dla tych samych względów nazywam *A*, a które znów może być wypływem jednego lub kilku rękopisów. Źródło *A* musi być starsze, aniżeli *B*, ponieważ wszystkie waryanty, które zachodzą w *B*, zachodzą także w *A*, ale natomiast źródło *B* ma jeszcze 9 odrębnych, których niema w *A*. Tem samem prawem rkpis sand. musi być młodszym od wszystkich poprzednich, ponieważ ma 4 waryanty, których niema w *A* i *B*, a reszta jego waryantów przypada na *A* i *B*.

Czy może być jeszcze w inny sposób oznaczony stosunek genealogiczny pomiędzy rękopisami jakiegokolwiek zabytku starodawnego? Takie a nie inne znaczenie mają u mnie źródła oznaczone przez *A*, *B*, takie mają one w całej filologicznej krytyce z wyjątkiem naturalnie tych wypadków, w których na podstawie pewnych dowodów może się poznać, że jeden rękopis jest bezpośrednią kopią drugiego. Dla tego przeciwko prawdziwości tej genealogii, jaką na podstawie faktycznych znamion wspólnych lub różnych, które zachodzą w rękopisach pieśni Bogarodzica, w mym Rozbiorze ustanowiłem, nic zarzucić nie można, a najmniej to[1], że pomiędzy faktycznie zachowanemi nam tekstami a ich źródłem, czy to *A*, czy też *B*, mogły istnieć dwa lub trzy teksty pośredniczące, ponieważ w stosunku tym nic się nie zmieni, choćby 20 lub 30 tekstów pośredniczyło.

Stosunek zaś ten genealogiczny musi się opierać na realnej podstawie, którą stanowi właśnie wspólność lub różnica waryantów, podobieństwo lub różnica treści itp.; ortografia zaś, którą dr. Bobowski uważa za dowód pokrewieństwa rękopiśmiennego, nie ma żadnego dowodowego znaczenia, ponieważ zależy ona od czasu i miejsca napisania rękopisu. Również i równość lub różnica we względzie fonetycznym, lub morfologicznym nie są żadnym dowodowym materyałem, ponieważ pisarz przepisując starszy rękopis, mógł się trzymać wiernie jego tekstu, ale też, jak przeważnie się działo, modernizował jego język, stosując go do swego czasu. Tak zachodzące w rkp. krak. I. i II. *Bogu-rodzica*, zam. *Boga-rodzica* innych tekstów, nie jest jeszcze dowodem ich większego pokrewień-

[1] Dr. Bobowski, die poln. Dicht., str. 18.

stwa, jak to zdaje się temu samemu autorowi, ponieważ formy *Bogu-rodzica* zachodzą także w zabytkach pochodzących z XVI. wieku np. Pozdr. H. 1 b. Jedynym dowodem pokrewieństwa są waryanty w całem znaczeniu tego wyrazu i to im więcej tychże dzieli jeden rękopis z drugim, tem ściślejszy zachodzi pomiędzy nimi stosunek. Cyfry więc mają w tym wypadku rozstrzygające znaczenie, jeżeli w ogóle chce się krytykę naukową oprzeć na realnej podstawie a nie na kombinacyach, choćby autorami ich były i największe powagi naukowe.

Na podstawie więc tego faktu, który podaje stan rękopisu sand. w porównaniu z innemi, możemy oznaczyć jego stosunek do poprzednich w ten sposób, że jest młodszym od źródła *A* i *B*, ale starszym od rękopisu krak. III. (z XVI. w.). Ponieważ *B* opiera się na *A*, a rkp. sand. dzieli z *B* 13 waryantów, stąd może być tylko mowa, z którym z rękopisów grupy *B* łączy go największe pokrewieństwo. Tu znów cyfry pokazują, że w pierwszym rzędzie rości do tego prawo rkp. warsz., z którym rkp. sand. ma wspólnych 20 waryantów, w drugim rzędzie rkp. częst., z którym dzieli 16 waryantów. Ponieważ zaś rkp. sand. podług pisma jest młodszy od obydwu, stąd byłby naturalny wniosek, że został z tamtych i to z warsz. przepisany. Jednakowoż sprawa ta nie koniecznie potrzebuje przedstawiać się w ten sposób. Że jest ona niemożebną, t. j. że rkp. sand. nie został przepisany z żadnego z obydwóch, dowodem tego jest treść tychże. I to jest drugi dowodowy punkt, na którym powinna krytyka opierać swoje wywody.

Już sam rzut oka na treść rękopisu sand. pokazuje jego niezależne stanowisko wobec obydwu rękopisów warsz. i częst. Podczas gdy bowiem rkp. warsz. liczy zwrotek 20, a częst. 19, składa się rkp. sand. z zwrotek 14, lub dzieląc drugą zwrotkę na 2 pomniejsze z 15. Jest on więc pod względem obszerności drugi z rzędu t. j. po krakowskim I., który liczy ich 14, obejmuje najmniejszą ilość zwrotek. W porównaniu z rękopisem krak. I. ma jednę zwrotkę więcej t. j. 11., zaczynającą się od słów: *Już nam czas godzina* i t. d., która zachodzi także w wszystkich rękopisach grupy *B*. Z tego pokazuje się, że rkp. sand. zajmuje pod względem ilości zwrotek pośredniczące stanowisko, pomiędzy grupą *A* a grupą *B*, z którą dzieli *jednę* zwrotkę, a różni się zaś brakiem kilku zwrotek.

W tej mierze zbliża się najbardziej do drukowanych tekstów począwszy od Łaskiego aż do Skargi, od których się różni tylko tem, że nie ma zwrotki: *wszyscy święci proście*, która w nich wszystkich zachodzi.

Co się tyczy następstwa pojedyńczych zwrotek, to jest ono równe w wszystkich tekstach aż do zwrotki 6: *Adamie ty boży kmieciu*, po której w rkp. krak. następuje *tegoż nas domieści*, podczas gdy w wszystkich innych rękopisach, nie wyłączając sandomierskiego zwrotka: *była radość*. Następna zwrotka *ni srebrem ni złotem* zajmuje znów w wszystkich rękopisach to samo miejsce. Po tej następuje w rkp. sand. zwrotka: *o duszy o grzesznej*, zamiast której inne rękopisy mają: *wierzże w to człowiecze*, a następnie dopiero: *o duszy o grzesznej*. Jedynie tylko rkp. krak. III. (XVI. w.) pokazuje to samo następstwo, które zachodzi w rkp. sand., ale różni się znów od niego następstwem zwrotki: *tegoż nas domieści*, która w rkp. sand. stoi po *już nam czas*, podczas gdy w innych rękopisach na miejscu tem stoi zwrotka *Maria dziewica*, zajmująca w rkp. sand. przedostatnie miejsce.

W ten sposób przedstawia się rkp. sand. także pod względem treści jako pośrednik pomiędzy grupą *A* i *B*, ale drugorzędny t. j. opiera się na źródle, które wypłynęło pośrednio przez *B* z *A*. Stosunek zatem genealogiczny tekstów rękopiśmiennych przedstawia się w następujący sposób:

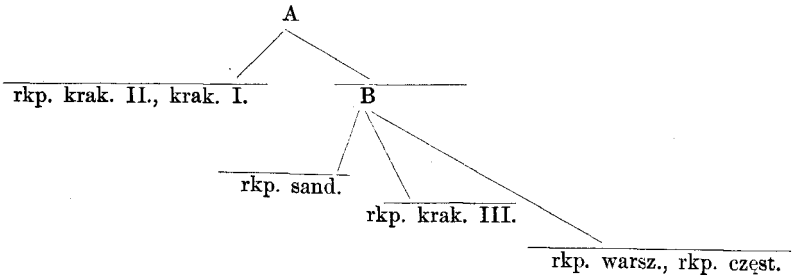

Ponieważ rkp. sand. pochodzi podług pisma z początku XVI. wieku, a rękopisy warsz. i częst. z XV. w., stąd wniosek dalszy, że źródło, na którem się opiera rkp. sand., musiało powstać przed nimi a więc na początku XV. wieku. Dla źródła *A* trzeba zatem przyjąć daleko starszy wiek, ponieważ rękopisy krak. I. II.

pochodzą także z wieku XV. Oznaczając w ten sposób na podstawie treści przechowanych rękopisów wiek ich źródeł, daleki jestem od tego mniemania, jakoby przez to można z matematyczną ścisłością obliczyć rok ich powstania. Jeżeli zaś dr. Bobowski rzeczywiście tak moje obliczenie zrozumiał, to żałować tylko trzeba, że nie postarał się o obszerne (weitläufige) wywody, któreby moje „bezpodstawne“ i „dowolne“ kombinacye obaliły. Z tego co na tem miejscu o stosunku genealogicznym rękopisów pieśni Boga-rodzica powiedziałem, jako też z samej natury tego stosunku, który podają istotne charakterystyczne znamiona rękopisów a nie zewnętrzne, przypadkowe oznaki, wynika, przynajmniej dla mnie, większa pewność tych kombinacyi, aniżeli wszystkie gołosłowne twierdzenia, lub zaprzeczenia, choćby opierały się na autopsii rękopisu i względnych wiadomościach paleograficznych niektórych krytyków.

Na podstawie tej analizy, możemy w rękopisie sand. rzeczywiście uznać kopią, opierającą się na dawnym pierwowzorze. Dla tego wartość jego nie potrzebuje być jeszcze wielką; może on służyć na poparcie dowodów w tych razach, w których waryanty jego zgadzają się z innemi, w przeciwnych razach natura waryantów i wiele innych okoliczności musi rozstrzygać o jego znaczeniu.

Co się tyczy tekstu naszego rękopisu w 1 zwrotce, to zgadza się tenże z wszystkiemi rękopisami i drukowanemi odpisami z wyjątkiem rękopisu krak. III., który ma *spust winam*, zamiast zachodzącego w wszystkich rękopisach *spuści nam*. Ponieważ waryant *spust winam* nie zachodzi w żadnym z najstarszych rękopisów, a tylko w jednym z XVI. wieku, to, zdaniem mojem, wystarcza, ażeby go uznać za poprawkę pisarza tego rękopisu, i z tego względu zarzucić. Pisarz rękopisu tego pozwolił sobie na niejednem jeszcze miejscu poprawek oryginału, jak w drugiej zwrotce *krzczyciela* zamienił na *zbawiciela*, w zwrotce 3 *oddacz* na *daj*, w zwrotce 4 *zbożny* na *każdy*, w zwrotce piątej dodał wyraz *bog* a zamiast *człowieka pirwszego* napisał *grzesznego* i t. p., przez co praca jego nie okazuje się jako mechaniczne przepisywanie oryginału, lecz jako poprawna redakcya tegoż. Ale właśnie dla tego traci wiele na wartości, ponieważ w wszystkich waryantach, nie znajdujących się w starszych tekstach, musimy upatrywać poprawki pisarza a nie właściwości, oparte na tradycyi rękopiśmiennej. Z tego też względu i waryant

spust winam, który prawie powszechnie przyjęty został przez naszych krytyków, upada, przeciwko któremu świadczy także i sam język nie tylko polski, ale w ogóle wszystkie słowiańskie. Wyraz bowiem *spust* nie tylko w polskim języku, ale w żadnym z słowiańskich nie oznacza to, co *odpuszczenie*, dlatego nie może używać się w tem połączeniu. Na to służą wyrazy polskie *odpust* zam. *otpust*, stsł. *otъpustъ*, który w wszystkich językach słow. wyraża to, co łać. *dimissio, remissio peccatorum*. Powód zaś, dla którego waryant ten dostał się na to miejsce, leży w tem, że w zdaniu zwrotki pierwszej niedostaje dla słów *zyszczy nam spuści nam* biernika, któryby od nich był zależny. Żeby ten utworzyć, a tem samem uczynić zdanie zrozumiałem, zrobił pisarz rękopisu krak. III. tę poprawkę, przez co *spust winam* jako czwarty przypadek, zależny od *zyszczy*, czyni rzeczywiście zadosyć wymaganiom składni, ale nie tradycyi rękopiśmiennej, ani też sposobowi mówienia. Konieczność emendacyi w celu przyprowadzenia całości syntaktycznej w zdaniu, rzuca tem samem podejrzenie na całość tej zwrotki i pokazuje, że postać, w jakiej nam się dochowała, nie może być pierwotną. Jak już w swym Rozbiorze[1] zwróciłem uwagę, otrzymamy odpowiednią całość dla zwrotki tej nie tylko pod względem gramatycznym, ale także i sensu, jeżeli opuścimy *u* a *twego syna gospodzina* weźmiemy za biernik, zależny od *zyszczy, spuści*. Sens więc zwrotki tej jest ten, że prosimy Boga-rodzicę, ażeby się wstawiła za nami do swego Syna — sens prosty i zrozumiały, który stanowi tło każdej modlitwy do N. Panny Maryi, a który zawarty jest w przytoczonej przezemnie zwrotce czeskiej:

Maria! žaduci,
Z nebe ruože stkvuci,
Pros za ny hospodyna,
Sveho miłeho syna. K(yrieleyson).

Zwrotka zatem pierwsza brzmi w ten sposób:

Bogu rodzica, dziewica,
Bogiem sławiena, Maryja!
Twego syna gospodzina[2],

[1] Str. 76, 113.

[2] Zamiast *gospodzina* wymaga rym *syna* formy *gospodyna*, która to forma, sądząc z Bielskiego, zob. Linde p. sł., przytaczającego pieśń: witayże witay nasz miły gospodynie, była wyłącznie używaną w stpol. języku.

Matko zwolena, Maryja!
Zyszczy nam, spuści nam.
Kyrie eleison.

Druga zwrotka znaną jest z trudności, jakie sprawiała wszystkim krytykom, którzy zajmowali się rozbiorem tej pieśni. Jako ostatni rezultat wszystkich emendacyi i konjektur przyjmuje prof. Nehring[1], następujący kształt dla niej, chociaż słusznie dodaje, że nie może uważać się jeszcze za zadowolniającą wszelkie wymagania krytyki:

Twoje dzieło, kry i cieło,
Bożycze,
Usłysz głosy, napełń myśli
Człowiecze,
Słysz modlitwę, jąż nosimy,
To dać raczy, jegoż prosimy,
Po żywocie rajski przebyt
A na świecie zbożny pobyt.
Kyrie elejson.

Pod względem formalnym nie można mieć nic do zarzucenia tej rekonstruowanej zwrotce. Forma *dzieło* zamiast *działo*, które przeważnie zachodzi w najstarszych zabytkach pol., nie stoi pod wpływem języka czesk., jak się to zdaje dr. Bobowskiemu[2], podobnie jak i formy *sławiena zwolena*[3]. W takich razach, w których język stpol. odchyla się od dzisiejszego a schodzi z czeskim, lub w którym zachodzą dwojakie formy, z których jedna równa się formom języka czesk., nie można w formach odmiennych, równających się czeskim, upatrywać obcego wpływu, jak się to zbyt często jeszcze u nas dzieje, lecz trzeba zjawisko takie zbadać w całym jego rozwoju historycznym. Formy polskie z dźwiękiem *ie* zamiat *ia* stsł. *ě* w zgłoskach twardych ciągną się przez całą historyą języka polskiego aż do obecnej chwili, które pokazują, że procesów językowych nie można tłumaczyć na podstawie jednego zjawiska, lecz trzeba cały ustrój języka mieć na uwadze. Tak, żeby tylko kilka przytoczyć przykładów, zachodzi *obietam* obok *obiata*[4],

---

[1] W Altpoln. Sprachdenkm. str. 162.
[2] Str. 25.
[3] Zob. Historya języka polsk. str. 380, 386.
[4] Ps. Fl. 10, b.

offierǫ[1] obok *offiarǫ*[2], *miesta*[3] obok *miasto*[4], *spowiedajcie się*[5] obok *spowiadajcie się*[6], *wierǫ*, *wiera*[7] obok *wiara*[8], *spowiedał*[9] tak przez całą historyą języka polsk., prwn. *powiedając*[10], *opowieda*[11], *z biady*[12] obok *bieda temu*[13], *dzielających*[14], *dzielać*[15] obok *udziałasz*[16], *obrzezał* obok *obrzazał*[17], *namiestnik*[18] obok *namiastkow*[19], *niewiesta* obok *niewiasta*[20], *wietr*[21], *jedla*[22], *objedował*[23] obok *jadzą*[24], *piestunkę*[25], *jedło*[26] i t. d. i t. d. Dla tej samej przyczyny może także *cieło* zamiast *ciało* godzić się do tekstu. Również i wyraz *Bożyc* mógł być używany w języku stpol., który w ten sam sposób byłby utworzonym, jak całe mnóstwo formacyi rodowych t. zw. patronymica. Zachodzi on także w języku staroczeskim i dzisiaj jeszcze w serbskim, w którym oznacza obok *Bożego narodzenia*, zwłaszcza w pieśniach religijnych także *dzieciątko Jezus*[27]. Wreszcie forma wołacza *bożycze*, o której prawdiwości Jagić.[28] zdaje się wątpić, zachodzi w języku polskim aż do końca XVII. wieku[29].

Początek zwrotki pod względem formalnym mógłby więc rościć prawo do tego, ażeby w niej upatrywać prawdopodobny kształt pierwowzoru. Jednakowoż pod względem sensu rekonstrukcya ta żadną miarą nie może się ostać. Znaczenie bowiem wyrazów *twoje dzieło kry i cieło bożycze* tak ze względu na myśl, jako też na połączenie syntaktyczne jest tego rodzaju, że nie wiadomo, co właśnie początek zwrotki tej ma oznaczać i jaki jest jego stosunek do poprzedniej. Nie inaczej przedstawia się sprawa, jeżeli *Boszicze* weźmiemy za dopełniacz poj. pod wpływem języka czesk. zam. *bożyca*, lub też za przymiotnik *bożyczy* od *bożyc*, którego nie zna żaden

---

[1] Ps. Fl. 28, a. [2] Ps. Fl. 29, a. [3] Ps. Fl. 59, b. [4] Ps. Fl. 60, a. [5] Ps. Fl. 61, a. [6] Ps. Fl. 64, a. [7] Ps. Fl. 72, a. [8] Ps. Fl. 73. b. [9] Rt. P. 18. [10] Kraś. Pod. I. 233. [11] Staszic Uw. 98. [12] Ps. Fl. 65, a. [13] Rej Ap. 63, b. [14] Łask. 109. [15] Bl. Szar. 12, b. [16] Bl. Szar. 8, a. [17] Bl. Szar. 19, a. [18] St. Wiśl. 2, 9. [19] St. Wiśl. 33. [20] Stsł. 34. [21] Aleks. 325. [22] Arist. L. 1. [23] Wyb. H. 7. [24] Sekl. 113. [25] Rej. Wiz. 57. [26] Bibl. Radz. 13 w. a.

[27] Zob. Rječnik hrvatsk. ili srpsk. jezika wyd. Akad. w Zagrzebiu, p. sł. *božić*.

[28] Archiv. f. slav. Phil. VII. 506.

[29] Zob. Historya języka polsk. 68.

język słow. i przetłumaczymy za przykładem prof. Brücknera:[1] Twoje dzieło jest krew i ciało Syna Bożego (Tyś porodziła Syna Bożego), ponieważ przy porodzeniu Chrystusa myśli się o jego naturze ludzkiej, zatem *krew i ciało* może tylko być uważane jako pierwiastek ludzki t. j. należeć do *Panny Maryi* a nie do *Boga Syna*. Przez te konjektury rekonstrukcya zwrotki tej nie posunęła się o nic dalej, od tej którą podał dr. Bobowski w formie: *Twego dzieła krzyżowa dla, Bożycze*, lub którą ja proponowałem w Rozbiorze: *Twego dla krzciciela Boże Ojcze!* Nie obstaję przy prawdziwości swej konjektury, gdyż każda konjektura opiera się na niepewnej podstawie. Jednakowoż nie dosyć jest postawić na miejsce jednej inną konjekturę, ale trzeba się starać oprzeć ją na takich dowodach, które czyniłyby za dosyć z jednej strony tradycyi rękopiśmiennej, z drugiej treści. Otóż zbadawszy każdą z nowo podanych konjektur, muszę mimo to wyznać, że moja czyni jeszcze najbardziej zadosyć obydwu wymaganiom. Jeżeli zaś dr. Bobowski uważa ją nie tylko za „bezpodstawną", ale nawet za „niedorzeczną" (widersinnig), ponieważ opiera się na nieprawdziwej hipotezie wyrazu *Boże ojcze* stpol. *ocze*, zamiast rękopiśmiennego *Boszycze*, dalej i dla tego, że przekazane *dzela* zestawiłem z stsł. *dělja*, dzisiejsze pol. *dla*, a *krzczyczela* przyjąłem niezmienione, to gdybym chciał jego własnemi słowy wydać sąd o jego konjekturze, mógłbym to uczynić nie tylko z spokojnem sumieniem, ale nawet ze względów naukowej krytyki miałbym do tego wszelkie prawo. Jednakowoż sąd o tej sprawie pozostawiam czytelnikowi *Przeglądu*, który niech zechce porównać, co na podstawie gramatycznej analizy jako rezultat o tej zwrotce powiedziałem:[2] Dla Twego Chrystusa Boże Ojcze! wysłuchaj głosy nasze, gdzie wyraz rękopisu *krzczyczel* ma oznaczać *Chrystusa* tj. *Syna Bożego*[3], jakto powołując się na Skargę, nazywającego *Chrystusa* mianem *chrzciciel*, wyraźnie piszą o tem, co dr. Bobowski[4] mówi, że „dowiadujemy się z mojej konjektury po pierwszy raz, że ktoś ochrzcił Boga Ojca" *(dass Jemand an Gott dem Vater die Taufe vollzogen hat!)* i dlatego naturalnie jako niedorzeczne musi upaść. Tak się piszą rozprawy naukowe!

---

[1] Arch. VIII., 574.
[2] Str. 85. [3] Str. 83. [4] Str. 23.

Jednakowoż konjekturę swą, jakoteż wszystkie inne uważam za chybione, a to dla tego, że drugiej zwrotki żadną miarą nie można oddzielić od pierwszej. Wprawdzie myśl zwrotki tej przypomina mocno pieśń staroczeską: *Hospodyne pomiluj ny,* w której zanosi się prośba do Chrystusa, do czego także przychodzi jeszcze i ta okoliczność, że układ metryczny zwrotki drugiej różni się mocno od pierwszej, co wszystko przemawia za tem, że zwrotka ta nie mogła powstać razem z pierwszą i pochodzić od jednego autora. Jednakowoż inna jest rzecz zapożyczyć myśl z obcego źródła, a inna myśl tę przetworzyć i zastósować do istniejącego już tenoru pieśni. To późniejsze przyczepienie drugiej zwrotki, stanowiącej pierwotnie osobną całość, do pierwszej, pokazuje się z formy metrycznej. Pierwsza zwrotka ma bowiem szemat metryczny następujący:

1. 5a + 3a
   5b + 3c
2. 5d + 3d
   5b + 3c
3. 3e + 3e
   3 + 3 x.

Składa się więc z sześciu wierszy, które stanowią trzy pary z rymami wewnętrznemi, czyli jest zwrotką trójdzielną. Druga zwrotka natomiast ma następujący szemat:

1. 4a + 4a
   3b
   4c + 4c
   3b
2. 8d
   8d
3. 8e
   8e
   3 + 3 x.

W pierwszej części widzimy również reminiscencyę pierwszej zwrotki w dwu 8-zgłoskowych wierszach z rymami wewnętrznemi, do których dodane zostały dwa trójzgłoskowe, podczas gdy drugie dwie składają się z dwu wierszów 8-zgłoskowych bez rymów wewnętrznych. Widocznie pierwotna forma całej pieśni była taką, jaką

jest w 2. i 3. części, a tylko dla zrównania jej z pierwszą pod względem metrycznym dodał autor rymy wewnętrzne i trzyzgłoskowe krótkie wiersze. To samo potwierdza melodya, która w drugiej części jest odmiennej budowy, różniącej się nietylko pod względem układu muzycznego, ale także i wartości melodyjnej od pierwszej [1]. Jeżeli jednakowoż mimo różnicy tak w metrycznym układzie jakoteż i melodyjnej kompozycyi obydwie zwrotki zostały ujęte w jedną całość, co się znów tak z formy metrycznej początku drugiej zwrotki, jakoteż melodyi zdradzającej pewną zależność od pierwszej części, pokazuje: to wniosek stąd naturalny, że obydwie zwrotki stanowiły także pod względem treści jedną całość. Konkluzya ta nabiera wiele prawdopodobieństwa przez to, że trudno przypuścić, aby pierwsza zwrotka tylko miała być poświęconą dla Matki Boskiej i od niej przejęła cała pieśń swą nazwę, powtóre dlatego, że układ całej pieśni, która jak to już w Rozbiorze oznaczyłem, a następnie jeszcze dokładniej oznaczę, składa się z 3 części, to samo potwierdza. Ponieważ zaś druga część, będąca pieśnią wielkanocną, zaczyna się od zwrotki trzeciej: *Nas dla wstał zmartwych,* dlatego pierwsza część musi obejmować dwie pierwsze zwrotki, w przeciwnym bowiem razie każda z tych zwrotek stanowiłaby osobną całość.

Uwzględniwszy wszystkie te okoliczności, będziemy szukali w drugiej zwrotce również Matki Boskiej jako Tej, do której prośba w zwrotce tej się zasyła. Dlatego *Bożycze* nie może być podmiotem całej zwrotki, ani też wyraz *twego* odnosić się do niego, lecz podmiotem musi być również Matka Boska, do której wprost przez wyraz *Twego,* zanosi się prośba w wyrazach *usłysz* i t. d. Ponieważ następna część zwrotki od *usłysz głosy* z podmiotem *Maryja,* zawartym w pierwszym wierszu, stanowi pod względem składni gramatyczną całość, stąd możemy wnosić, że i w pierwszym wierszu musi być zawarte całe zdanie w rozumieniu gramatycznem. W tym kierunku musi więc postępować krytyka, ażeby analiza wiersza pierwszego zawierała całkowite zdanie, z podmiotem i orzeczeniem, który pod względem treści musi stanowić bliższe określe-

[1] Zob. Rozbiór str. 105 n.

nie głównego podmiotu tj. Maryi, oznaczonego wyrazem *twego*. Naturalnie kombinacye mogą tu być rozmaite, z których każda może rościć pretensye do prawdopodobieństwa, jeżeli czyni zadość treści i może być popartą przez paleografię. I tak może wiersz ten być czytany: *Twego (Maryjo!) dzieła, krwie i cieła Bożycze*, gdzie wołacz *Bożycze* stoi zamiast mianownika podobnie jak Modl. 115: gdzye thy szam yesz wyschy kaplanye y nawyscha offyara[1]. Myśl więc byłaby ta: Bożyc tj. Syn Boży jest Twego dzieła, Twojej krwi i ciała, gdzie dopełn. *twego dzieła* używa się na wyrażenie pojęcia pochodzenia, porwn. np. dobrego pochodzenia, być dobrego rodu i t. p.[2] W tem mielibyśmy więc wyrażoną tę samą myśl, którą wyraża pierwszy wiersz pierwszej zwrotki: *Bogarodzica, dziewice*, przez co obydwie zwrotki zaczynałyby się od wezwania Panny Maryi jako *Bożej rodzicielki* i stanowiłyby pieśń na Boże Narodzenie.

Ale myśl ta, w której Panna Marya jako Boża rodzicielka się wzywa, mogła być także wyrażoną w ten sposób: *Twe godzieła krwie i cieła Bożycze*, tj. stałaś się godną, że z Twej krwi i ciała Syn Boży jest, tj. z Twej krwi i ciała się narodził, gdzie *godzieła* stoi zamiast *godziła*, *godzić* być dobrym, godnym[3]. Oprócz tych możliwych kombinacyj, które dają i myśl prostą, zrozumiałą i opierają się na tradycyi tekstów rękopiśmiennych, można także tak czytać ten wiersz: *Twego dzieła, krwie i cieła Bóg wzidzie*, lub *znidzie*, na co waryant rękopisu krak. I. *bozide* naprowadza. Na wyrazie *znidzie* opierałaby się także wersya niektórych rękopisów: *znicza*, które w połączeniu z *Bog* utworzyło *Bosznicza, zbożnica*. Wyrażenie *wzejść* w znaczeniu narodzić się, jest zwyczajnem w biblii, np. Przyszedł Pan z góry Syna a z Seir wszczedł nam Leop. Deut. 33,2[4]. Jeszcze i taka kombinacya jest możliwą: *Twego dzieła, krwie i cieła Boży dziej*, gdzie *dziej*, stsł. *dêj* może oznaczać lub to łać. *actus*, jak w czesk. *dêj*, lub też *auctor*, który tkwi w takich wyrażeniach jak *koło-dziej, dobrodziej* i t. p. W pierwszym

[1] Zob. Miklosich Synt. str. 369 n.
[2] Miklosich Synt. str. 461.
[3] Zob. Linde p. sł., stsł. *goditi* gratum esse.
[4] Zob. Linde p. sł. *wzejść, zejść*.

razie myśl byłaby ta: Twoje porodzenie jest boskie dzieło, w drugim: Bóg (Duch św.) sprawcą jest Twego porodzenia.

Za którąkolwiek z tych konjektur się oświadczymy, otrzymamy i myśl zrozumiałą, nadającą obydwom zwrotkom zaokrągloną całość i pod względem paleograficznym każda z nich przedstawia wiernie tradycyę rękopiśmienną. Dalsze wiersze zwrotki nie przedstawiają żadnej niejasności w tej formie, jaką przechowały rękopisy. Dlatego nie potrzebną jest zmiana, którą prof. Nehring na końcu zwrotki przyjmuje, kładąc dwa ostatnie wiersze w zmienionej pozycyi: *Po żywocie rajski przebyt, A na świecie rajski pobyt* zamiast: *A na świecie* i t. d. i *po żywocie* i t. d. Przeciwko tej poprawie przemawiają wszystkie rękopisy, potem sama myśl, gdyż modlimy się najpierw o szczęśliwy żywot *doczesny*, a potem dopiero *wieczny*.

Pod względem metrycznym wiersz szósty: *To dać raczy, jegoż prosimy* nie może w tej formie tworzyć harmonii z poprzedniemi, ponieważ liczy jedną zgłoskę za wiele. Takową można łatwo przywrócić, jeżeli wyraz *jegoż* zamienimy na *jeż: to dać raczy, jeż prosimy*, co daje ośmiozgłoskowy wiersz trochajiczny. Jednakowoż *wszystkie* rękopisy mają *jegoż*, więc niedokładność musi polegać na czem innem. W rękopisie krak. I. stoi *psimi*, co niczem innem nie jest jak błędem ortograficznym zamiast stczesk. *primi*, tj. *přimy* zam. *přejemy* od *přáti, příti* precari. Zwrotka ta zatem ma następującą postać:

Twego dzieła, krwie i cieła
Bożycze, (Bóg zidzie, Boży dziej)
Usłysz głosy, napełń myśli
Człowiecze;
Słysz modlitwę, jąż nosimy,
Oddać racz, jegoż prosimy,
A na świecie zbożny pobyt,
Po żywocie rajski przebyt.
Kyrie eleison.

Następne zwrotki stanowią osobną całość, która odpowiednio do metrycznego układu i treści pieśni rozpada się na dwie części. Pierwsza część poczyna się od zwrotki: *nas dla wstał zmartwych*, której szemat metryczny ma ten kształt: 8a

8a
6b
6a.

Trzeci wiersz ma rymy wewnętrzne, przez co szemat ten właściwie w ten sposób się układa: 8a + 8a
3b + 3b
6a

Tym szematem objęte są następujące zwrotki:

1. Nas dla wstał z martwych Syn Boży,
Wierzy-ż w to człowiecze zbożny,
Iż przez trud
Bóg swoj lud
Odjął djablej stroży.

2. Przydał nam zdrowia wiecznego,
Starostę skował pkielnego,
Śmierć podjął,
Wspomionął
Człowieka pirwego.

3. Jenże trud cirpiał za wierne,
Jeszcze nie prześpiał za smierne
. . . . . .
. . . . . .
Aż sam Bóg z martwych wstał.

4. Adamie, ty boży kmieciu,
Ty siedzisz u Boga w wiecu,
Domieści
Swe dzieci,
Gdzie królują angieli.

Zwrotka trzecia jest nie cała, jak metrum i treść pokazuje. Prawdopodobnie jest ona wtrąconą, za czem łączność zwrotki drugiej z czwartą przemawia, gdzie wzmianka o „człowieku pierwszym“, w zwrotce drugiej wywołała jako logiczne następstwo zwrotkę czwartą. Również i metryczna forma różni się od poprzednich, którą wprawdzie można wyrównać w sposób, jak to powyżej uczyniłem, ale wyrównanie to stało się kosztem tradycyi rękopiśmiennej. Widocznie w tekscie *A* wtrącono już całe zwrotki, które należały do innych pieśni, lub które tworzono nie stosując się jednakowoż do stopy metrycznej poprzedzających zwrotek. Jeżeli mamy obrać pewną miarę dla rekonstrukcyi tekstu zabytku poetycznego, wówczas może nią być tylko kształt wiersza, w przeciwnym razie cały sposób dowodzenia jest bezpodstawny. Dlatego najlepiej będzie zwrotkę tę wyrzucić, a tylko pozostające trzy uznać jako jedną

całość, do której tak pod względem kształtu wiersza, jakoteż treści, jako pieśni wielkanocnej należą. Prawdopodobniejszem jest jednakowoż, że pieśń ta składała się pierwotnie z dwu zwrotek, tj. z 1. i 2., a jako druga redakcya przystąpiły zwrotki 3. i 4., które tworzyły już jedną całość, kiedy ją wcielono do pieśni Bogarodzicy. Na tem kończyła się pierwotnie druga część pieśni Bogarodzica, do której dodawano następnie pojedyńcze zwrotki. Jako zakończenie całej pieśni dodano więc zwrotkę: *tegoż nas domieści*, w której powtarza się prośba do Jezusa Chrystusa o to, o co w całej pieśni proszono i zarazem o królestwo niebieskie, co zwyczajnem jest zakończeniem każdej modlitwy kościelnej. Ponieważ takie przeznaczenie miała ta zwrotka, by jako zakończenie służyła pieśni, dla tego też została odpowiednio do wzrastania pieśni przenoszoną na koniec. Stąd też w tekście krak. I. zajmuje miejsce po zwrotce: *Adamie ty boży kmieciu*, podczas gdy w rkp. sand. po *już nam czas godzina*; w innych tekstach została jeszcze dalej przeniesioną. Układ jej metryczny pokazuje, że nie należała od początku do tej części, podobnie jak i następna, poczynająca się od słów: *była radość*, lub jak inne mają rękopisy *tam radość* i t. d. Wzmianka o królestwie niebieskim w zwrotce szóstej: *Adamie* i t. d. dała sposobność do tego, żeby bliżej określić to królestwo niebieskie, co przez dodanie tej zwrotki uczyniono. Taki sam powód dała znów zwrotka 7, w której na końcu mówi się o „djablem potępieniu“ na ziemi, do wtrącenia trzech następnych wierszy w zwrotce ósmej: *ni srebrem*, które stanowią łącznik pomiędzy drugą częścią pieśni wielkanocnej a trzecią, będącą pieśnią pasyjną.

Szemat metryczny pieśni pasyjnej, poczynającej się od słów: *Ciebie dla człowiecze*, jest następujący: 6a
6b
6b
6c
6b(6x)

Pierwszy wiersz ma rymy wewnętrzne, a całość strofy trzy pary sześciozgłoskowych wierszy rymowanych, czyli jest również trójdzielną. Właściwa forma zatem zwrotek jest taka: 3a + 3a
6b + 6b
6c
6b (6x)

Szemat ten mają następujące zwrotki:

1. Ciebie dla człowiecze
Dał Bóg przekłoć sobie
Ręce, nodze obie,
Kry święta szła z Boga
Na zbawienie tobie.

2. W to wierzże człowiecze,
Iż Jezu kryst prawy
Cirpiał za nas rany,
Swą świętą krew przelał
Za nas krześciany.

3. O duszy, o grzesznej
Sam Bóg pieczą imą,
Djabłu ją odima,
Gdzie to sam króluje,
Tu ją k sobie przyma.

4. Już nam czas, godzina,
Grzechów się kajaci,
Bogu chwałę daci,
Ze wszemi siłami
Boga miłowaci.

5. Maria dziewica!
Prosi syna Twego
Krola niebieskiego,
Aby nas uchował
Ode wszego złego.

6. Tegoż nas domieści
Jezu Kryste miły,
Bychom z Tobą byli,
Gdzie się nam radują
Wsze niebieskie siły.

7. Tam radość, tam miłość,
Tam widzenie Tworca
Angielskie bez końca,
Tuć się nam zjawiło
Djable potępienie.

8. Amen, tako Bóg daj,
Bychom szli wszyscy w raj.

Pierwotny kształt pieśni pasyjnej był ten, że tylko zwrotki 1—3 stanowiły jedną całość, przyczem pieśń ta miała dwie redakcye, z których jedna miała następstwo zwrotek w porządku poda-

nym, druga w takim, jaki przedstawia tekst sand. i krak. III., tj. zwrotki 1. 3. następowały po sobie.

Te trzy części stanowiły pierwotnie odrębną całość, z których każda służyła za pieśń na odnośne święta kościelne. Tak na Boże Narodzenie śpiewała się pierwsza część, w której główne tło stanowi narodzenie Chrystusa z Panny Maryi, podczas gdy w poście część trzecia a na Wielkanoc część druga. Każda z nich ulegała przemianom i rozszerzeniom, które musiały już były nastąpić, zanim części te ujęte zostały w jednę całość. Tak pieśń wielkanocna otrzymała dodatek przez zwrotkę trzecią: *jenże trud* i czwartą: *Adamie*. Rozszerzenie to mogło pochodzić od jednego autora a więc równocześnie, ale też niekoniecznie, jednakowoż nastąpiło ono już w czasie, w którym pieśń ta śpiewała się jeszcze jako osobna całość tj. na Wielkanoc.

To samo trzeba przyjąć o pieśni pasyjnej, która w dwojakiej swej redakcyi otrzymała rozszerzenie na początku przez 3 wiersze:

ni srebrem, ni złotem
nas djabłu odkupił,
swą mocą zastąpił.

Że to stopniowe narastanie oddzielnych części odbyło się w czasie ich samodzielności, dowodem tego ich układ metryczny, który w nowszej części zastósowany jest wprawdzie do istniejącej już całości ale w sposób niedokładny, zdradzający późniejsze pochodzenie i innego autora. To zachodzi w pierwszej części pomiędzy 1 a 2 zwrotką, to powtarza się w drugiej części pomiędzy zwrotkami 1 2 a 3 4, z których 3 4 mimo podobieństwa z poprzednią, różni się od niej wierszem czwartym, nie rymującym z pierwszym i drugim. Ten sam stosunek zachodzi także w trzeciej części, w której szemat metryczny w formie 3a + 3a
6b + 6b
6c
6b
zachowany został ściśle tylko w zwrotkach 1, 2, 3 z zmianą w zwrotce drugiej *w to wierzże* zam. *wierzże w to*. Następne zwrotki 4, 6 mimo podobieństwa w ilości zgłosek, wierszy a nawet rymu, odstępują od podanego szematu w wierszu pierwszym, w którym

nie ma rymów wewnętrznych, a zwrotka 7 w wierszu piątym, który nie rymuje z drugim i trzecim.

W tej formie rozszerzonej występują odrębne te pieśni jako rdzenna podstawa pieśni Boga-rodzica. Składanie ich do jednej pieśni nie odbyło się naraz, lecz stopniowo w nierównych odstępach czasu. Najprzód do pierwszej części, jako pieśni o Bożem narodzeniu, dodaną została druga część o Bożem zmartwychwstaniu, w których najważniejsze momenty życia Chrystusa tj. narodzenie i zmartwychwstanie ujęte zostały w jednę całość. Ta nowa pieśń obejmowała pierwotnie 6 zwrotek, tj. kończyła się na zwrotce: *Adamie, ty boży kmieciu.* Oprócz tej redakcyi występuje jako druga redakcya pieśń ta z dodatkiem zwrotki siódmej tj. *Tegoż nas domieści,* która stanowiła zakończenie pieśni. Tę pieśń nazwijmy *Aa* w przeciwieństwie do poprzedniej *A* bez tego dodatku. Ale jeszcze jedna zwrotka: *tam radość, tam miłość* posłużyła jako rozszerzenie dla tej pieśni i to tak w formie, jaką miała redakcya *A*, jako też *Aa*.

Ponieważ pieśń ta miała za treść tylko *narodzenie* i *zmartwychwstanie* Chrystusa, a w pieśni o zmartwychwstaniu jest mowa o męce Pańskiej, stąd poszło, że i ten moment z życia Chrystusa, który stał się motywem dla pieśni postnych, został wcielony do obu poprzednich. W ten sposób otrzymała cała pieśń nowe rozszerzenie przez część trzecią, tj. do pieśni, obejmującej narodzenie i zmartwychwstanie Chrystusa, dodaną została pieśń o męce Jego. Że część ta nie została wcieloną pomiędzy pierwszą i drugą część, dokąd chronologicznie należy, powodem tego była całość pieśni, która uchodziła już jako jedna jednolita pieśń, która z tego względu nie mogła być rozerwaną. Niewłaściwość, jaka stąd odbić się musiała na poprzedniej pieśni starszej, starano się w ten sposób usunąć, że początek drugiej części: *nas dla wstał z martwych Syn Boży* zamieniono na *narodził się dla nas Syn Boży*, przez co część druga nie tworzyła anachronizmu do części trzeciej, lecz jako dalsza część o *narodzeniu* Pańskiem się przedstawiała. Dodanie trzeciej części odbyło się tak na zakładzie redakcyi poprzedniej pieśni w formie *A* jakoteż *Aa*. W ten sposób powstała znów *jedna* pieśń, stanowiąca wprawdzie jedną całość pod względem *treści*, tj. obejmująca wszystkie 3 momenta z życia Chrystusa, ale pod względem *formy* nie mająca zwykłego zaokrąglenia. Żeby takowe nadać jej, skompono

wano lub dodano z innego źródła zwrotkę: *Maria dziewica*, które to zakończenie z prośbą o przyczynę Matki Boskiej do Syna Jej jest zwyczajnem w pieśniach i modlitwach kościelnych. W ten sposób pieśń ta poczynała się od Matki Boskiej i kończyła się na Matce Boskiej i to dało powód do nazwy jej jako pieśni „Bogarodzicy".

Ale oprócz zakończenia, w którem Matka Boska występowała jako orędowniczka prośby człowieka do Syna Jej, używanem było drugie, w którem do Chrystusa samego bezpośrednio zasyłała się prośba. Takie zakończenie miała pieśń ta w formie redakcyi *Aa*, które po dodaniu trzeciej części wzięte zostało także jako zakończenie całej pieśni. Ale to nastąpiło tylko w tej redakcyi, w której cały szereg dodatków jeszcze na końcu trzeciej części, zatarł pierwotny kształt pieśni. W tej redakcyi zwrotka *Maria dziewica* zrównała się z innemi jak do św. Wojciecha i t. p. i dlatego potrzeba było jeszcze osobnego zakończenia do Chrystusa, które też przez postawienie zwrotki *Tego nas domieści* na końcu osiągnięto. Źródło drugie, w którem pieśń ta z trzecią częścią występuje, przedstawia znowu kilka redakcyi, które nie mogły powstać naraz, tylko stopniowo, a które w miarę, jak redakcye te cofają się wstecz dalej w przeszłość, były bardziej zbliżone do siebie.

W ten sposób geneza całej pieśni przedstawia te peryody, które pokazują zarazem stopniowe narastanie tejże.

Pierwszy peryod. Egzystencya pojedyńczych 3. części jako samodzielnych pieśni, z których 1. część zawierała pieśń na Boże narodzenie, 3 na post, a 2 na wielkanoc.

Drugi peryod. Połączenie pieśni na Boże narodzenie i wielkanoc w jedną pieśń o sześciu zwrotkach. Pieśń ta otrzymała nową redakcyę przez dodanie zwrotki siódmej: *Tegoż nas domieści* jako zakończenie. Oprócz tego jako nowa redakcya występuje dodatek zwrotki ósmej: *Tam radość, tam miłość.*

Trzeci peryod. Przyłączenie pieśni postnej do poprzedniej pieśni, przyczem jako zakończenie dodaną została zwrotka dwunasta: *Maria dziewica.* Jako nowa redakcya występuje pieśń ta z zakończeniem do *Pana Jezusa: Tegoż nas domieści.* Z tego peryodu zachowała nam się pieśń ta w redakcyi pierwszej, którą na-

zwałem *A*, obejmującej 12 zwrotek i końcową zwrotkę *Amen tako Bóg daj*. Redakcya druga przedstawia zwrotek 13 i odmienne zakończenie części trzeciej. Wreszcie na podstawie redakcyi drugiej powstała redakcya trzecia, w której obok większej liczby zwrotek zachodzi także różnica w ich następstwie. Pierwszą redakcyę przedstawiają rękopisy krak. II., I., drugą rkp. sand., a trzecią rkpisy krak. III. warsz. i częst.

Antoni Kalina.

ŹRÓDŁA HISTORYCZNE WSCHODU

ODNOŚNIE DO PISMA ŚWIĘTEGO.

II. Asyryologia.

(Ciąg dalszy.)

3. Odczytanie pisma klinowego; języki: staro-perski, medyjski, asyryjski i akadyjski. Rozwój asyryologii w Europie i w Ameryce.

Pierwsze wiadomości o rodzaju pisma używanego w Zachodniej Azyi dostały się do Europy w XVII. dopiero wieku. Pietro della Valle w liście pisanym do najuczeńszego męża w owym czasie, O. Atanazego Kirchera T. J., donosi mu, że w zgliszczach pałacu królów perskich w Persepolis (w pobliżu dzisiejszego Szyraz) wynalazł znaki, które uważa za rodzaj pisma. W sto lat później inni podróżni Chardin, Kämpfer i Korn Van Bruyn w opisach swych przypomnieli napis persepolitański, lecz właściwie Karsten Niebuhr, ojciec słynnego historyka, dokładnymi odpisami i spostrzeżeniami swego bystrego zmysłu badawczego, zapoznał Europę z tem pismem.

Napisy, jeżeli rzeczywiście były pismem, w niezwykły przedstawiały się sposób. Jeden i ten sam znak, mający kształt ostrza strzały, ćwieka lub klina ciągle się powtarzał, lecz w odmiennej pozycyi, pionowo, poziomo, ukośnie, i tworzył grupy. Ostrze klina nie było nigdy zwrócone ku górze, ani ku lewej stronie, jeżeli

kliny łączyły się z sobą pod kątem, rozwartość skierowaną zawsze była ku stronie prawej. Wniosek, jaki stąd Niebuhr wyprowadzał, zgadzał się ze zdaniem della Valle, iż pismo powinno być czytane od lewej ku prawej stronie. Badając pojedyncze skupienia klinów, uczony Hanowerczyk wnosił, iż w napisach persepolitańskich należy rozróżnić trojaki rodzaj pisma. Każdy rodzaj pisma stanowił osobną całość i prawdopodobnie innego języka był głoskami. Pierwszy z nich, najbardziej pojedynczy, składał się z czterdziestu dwóch różnych ugrupowań, drugi posiadał ich daleko więcej, najwięcej zaś trzeci; nadto pierwszy zajmował dwa razy tyle miejsca, co drugi i trzeci. Jeżeli te trzy napisy jedno i to samo wyrażały, co mniemać można było opierając się na księgach Estery i Ezdrasza, jak również na ogłoszeniach wydawanych w dzisiejszym czasie przez Baszów z Bagdadu, wówczas pierwszy rodzaj pisma mógł być alfabetyczny.

Ogłoszone prace Niebuhra obudziły zajęcie w Europie. Tychsen dostrzegł, iż klin ukośny, stojący osobno, często się powtarzał — czy nie służy on do rozdzielania wyrazów! W r. 1802 Duńczyk Münter przypuszczał, iż pierwszy rodzaj pisma musi mieć związek ze staro-perskim językiem, i obliczywszy stosunek liczebny samogłosek i spółgłosek w języku zendzkim, oznaczył alfabetycznie pewną ilość znaków; badania następne wykazały, iż miał słuszność co do dwóch znaków tylko. W tym czasie Grotefend wielki krok uczynił naprzód.

Na[illegible] na pałacu Daryusza. (B)

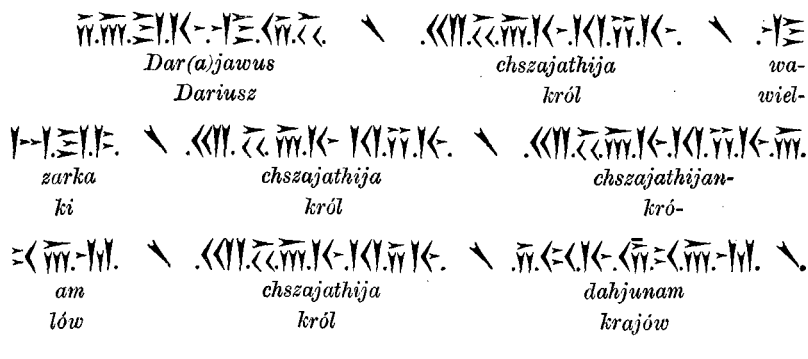

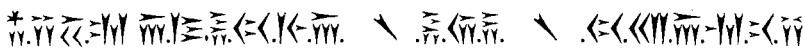

Wistaspahja putra hachamani-
Histaspa syn Acheme-

szija hya imam taćaram aku
nid który tę budowlę

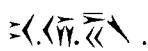

raus.
uczynił.

Napis na pałacu Kserksesa. (G)

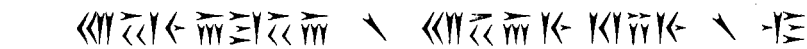

Chszajarsza chszajathija wa-
Kserkses król wiel-

zarka chszajathija chszajathian-
ki król kró-

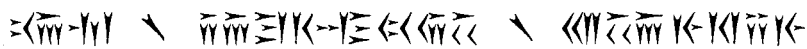

am Dar(a)jawahuz chszajathija-
lów Dariusza kró-

hja putra Hachamaniszija
la syn Achemenid.

Profesor hanowerski zajął się pierwszym rodzajem pisma, przypuszczał wraz z poprzednimi badaczami, iż ono jest głoskowe, i było wyrażone językiem staroperskim. Ze znalezionych napisów w Persepolis wybrał on dwa krótkie teksty (B. i G.) W tych tekstach kilka grup znaków było zupełnie podobnych, jedna mianowicie grupa często się powtarzała, mogła więc wyrażać tytuł panującego „król“; taż sama grupa znaków powtarzała się dwa razy w jednym wyrazie z niejaką zmianą, mogła tedy wyrażać „król królów“. To ostatnie przypuszczenie miało swoją podstawę: de Sacy znalazł był w języku *pelwi* tytuły królów z dynastyi Sasanidów: *Malkan malka* „król królów“, a dzisiejsi władcy Persyi używają również podobnego *Szah in Szah* w tem samem znaczeniu.

Co więcej, ponieważ za Sasanidów imię własne władcy poprzedzało zwykle bezpośrednio tytuł — w napisach persepolitańskich mogło być tak samo; otóż ponieważ w obudwu tekstach wyraz „król“ stał na drugiem miejscu, stąd pierwsze ich wyrazy były nazwiskami własnemi panujących: a że ugrupowania znaków były różne, napisy te wyrażały dwóch różnych królów. Zauważył dalej Grotefend, że nazwisko początkowe z pierwszego napisu (B) przychodziło w drugim (G), z odmienną tylko końcówką; ta końcówka mogła być odmianą gramatyczną, i oznaczać drugi przypadek, a ponieważ zaraz po nim następował wyraz przypuszczalny „król“, wyraz, który szedł za nim bezpośrednio mógł oznaczać „syn“. Ten ostatni wyraz znajdował się w pierwszym napisie (B), lecz go nie poprzedzał wyraz „król“, ten tedy wyraz mógł wyrażać nazwisko ojca królewskiego, który jednakże królem nie był. Zbierając wszystkie przypuszczenia razem obadwa napisy przedstawiały się w następujący sposób:

X król... król królów... Y syn...
Z król... król królów... X syn...

czyli inaczej, niejaki Y miał syna X, który został królem, i wnuka Z, który był królem również. Należało szukać w historyi podobnej kombinacyi. Ponieważ w Persepolis panowała dynastya Achemenidów, dwa tylko były możebne przypuszczenia: Y, X, Z, byli albo Kambyzes, Cyrus i Kambyzes, albo Hystaspes, Daryusz i Kserkses; otóż pierwsze było niemożebne, albowiem dziad i wnuk mają te same nazwiska, nadto grupa znaków dla X była zbyt długą, aby mogła oznaczać Cyrusa; przeciw drugiemu przypuszczeniu nie było nic na razie. Należało odszukać teraz te nazwiska w języku staroperskim, lub z tymże językiem spokrewnionych. W języku hebrajskim Daryusz wymawia się *Darjawesz*, na steli Strabona stało *Dareiaves*, Grotefend sądził, iż należy wymawiać *D-a-r-h-e-u-sz* i nadał siedmiu znakom odpowiedne brzmienie głoskowe: dwa inne nazwiska czytał: *K-sz-h-a-r-sz-a* i *G o-sz-t-a-s-p*. Tym sposobem Grotefend oznaczył 13 znaków. Odkrycia jego na razie nie zyskały uznania, co się tłumaczy łatwo, gdyż bardzo wielu w tym czasie porywało się do odczytywania, ogłaszali wyniki swych prac i podawali za pewniki przypuszczenia i hypotezy mające małe prawdo-

podobieństwo. Jednakże jakby na pociechę profesora z Getyngi odszukano wówczas urnę zwaną *Caillus'a*, która obok klinowego, miała napis hieroglificzny; w tym ostatnim nazwisko Kserksesa brzmiało *Kszarsza*, a więc prawie tak, jak czytał Grotefend. Następne badania wykazały, iż bystrego umysłu Hanowerczyk pomylił się tylko co do czterech głosek, dziewięć innych dobrze oznaczył; imiona które badał należało czytać: *D-a-r-ja-w-u-sz*, *Ch-sz-ja-a-r-sz-a*, *W-i sz t-a-s-p*.

Urna Kserksesa zwana de Caylus.

Grotefend dokonał odkrycia w r. 1805, prowadził dalej swe badania, lecz bez żadnego skutku; w dwadzieścia lat później (1826) profesor norwegski Rask oznaczył dwie głoski *m* i *n*; można już było wyczytać cały wyraz „król królów", brzmiał on: *Ch-sz-a-ja-th-i-ja-ch-sz-a-ja-th-i-ja-n-a-m*. Tę końcówkę *nam* uznano jako zakończenie drugiego przypadku liczby mnogiej. Następuje znowu długi zastój, przez lat dziesięć nie słyszano o żadnym postępie w odczytaniu — niezasypiano jednakże badań.

Przedewszystkiem należało poznać język staro-perski, lecz język ten był umarłym, a jego piśmienne pamiątki były właśnie owe mające być odczytanemi napisy. Domyślano się, iż językiem blisko z nim spokrewnionym był, tak zwany, język zendzki, którym napisana była księga Zend-Awesta, przypisywana Zoroastrowi; chociaż ten język był również zamarłym, istniała jednak powyższa księga, jakkolwiek niezrozumiała, nadto istniało jej tłumaczenie. Za dynastyi Sasanidów Awesta została przetłumaczoną na narzecze pelwi. Ponieważ języki irańskie pokrewne są indyjskim, z pomocą sanskrytu i pelwi Eugeniusz Burnouf wskrzesił stary język zendzki. Francuski filolog zajął się również napisami perskimi: korzystając

ze spisu ludów, przywiedzionych przez Niebuhra z napisów, oznaczył głoskami pewną liczbę znaków klinowych. W tym samym czasie Lassen, profesor z Bonn, idąc za wskazówkami Burnoufa, do tychże samych co i on doszedł wyników. Uczeni różnych narodów: Francuzi, Niemcy, Duńczycy, Norwegczycy nie ustawali w zabiegach, sprawdzali na miejscu napisy, odpisywali je i przywozili do Europy. Nowy zjawił się pracownik, a miary niezwykłej. Oficer angielski przebywający w Persyi, niezależnie prawie od innych badaczy, dzięki tylko bystrości umysłu i narodowej wytrwałości uzupełnił prace swych poprzedników na tem polu i odczytał całkowicie pierwszy rodzaj pisma klinowego — tym Champollionem perskim był Henryk Rawlinson.

Dzisiejszy generał, Sir Henry Rawlinson, przydzielony był podówczas do armii perskiej, miał tedy sposobność łatwego zwiedzania kraju; widział on i badał zwaliska w Persepolis, odkrył nadto w wielu innych miejscowościach starej Persyi podobne zgliszcza i napisy, mianowicie zaś w dawnej Medyi, między Kirmanszah a Hamadan [1], w Behistanie [2] czyli Bagastenie (Bogów — siedziba) słynny a długi napis. Odkrycie to pobudziło Rawlinsona do studyów irańsko-indyjskich języków, obznajomiony z mową krajową wyuczył się niebawem sanskrytu, zendu i pelwi, a zarazem zajął się kopiowaniem napisu, umieszczonego bardzo wysoko (120 m.) na stromej i niedostępnej skale. Od roku 1837 zaczął wysyłać do Europy wyniki częściowe swych badań, od czasu do czasu otrzymywał też stamtąd wiadomości o postępie w tym przedmiocie. Jakkolwiek pracę swoją musiał niejednokrotnie przerywać z powodu obowiązków służby wojskowej, między rokiem 1846 i 1847 wydał tekst i tłumaczenie z komentarzem całego napisu Bagastańskiego [3]. Wydanie dokładne tekstu perskiego posłużyło również uczonym europejskim do badań nad tym napisem: Hincks w Dublinie i Oppert w Paryżu pracami niezależnemi doszli do wniosków, które prawie całkowicie zgadzały się z wynikami Rawlinsona. Oppert wydał w r. 1851 w *Journal Asiatique* tekst, tłumaczenie i objaś-

[1] Dawna grecka Ekbatana, po hebrajsku Akhmeta.

[2] Behistun, Bisutun.

[3] *The Persian Cuneiform Inscription at Behistun*, deciphered and translated. London 1846.

nienie wszystkich dotąd znanych napisów perskich. Tym sposobem w sto lat blisko po odkryciu pierwszego napisu staro-perskiego, tenże napis został odczytanym, wskrzeszono zamarły język, wynaleziono klucz do zagadkowego pisma[1]. Obecnie możemy sobie zdać sprawę z ważności wynalazku.

Napis w Bagastanie uskuteczniony został na rozkaz Daryusza Hystaspa i zawiera opisy jego walk i zwycięstw. Płaskorzeźba przedstawia Daryusza otoczonego dworem, przed nim dziewięciu królów zwyciężonych. Jeńcy mają ręce w tył związane i karki okręcone powrozem. Napisy w trzech rodzajach pisma klinowego objaśniają obraz, spód jego zajmuje długi napis, w trzech językach również, streszczający całą historyę Daryusza. Napis rozpoczyna się wezwaniem opieki Ormuzda, następuje genealogia króla, i nazwy krajów podległych; dalej opowiedziane jest jego wstąpienie na tron, i dzieje państwa. Sam król opowiada historyę. Na początku każdego okresu powtarza się zawsze wyrażenie: „Tak mówi Daryusz król". Powyższe wyrażenie przychodzi w napisie siedmdziesiąt dwa razy; cały napis składa się z czterystu wierszy. Sama treść nie wiele jest pouczająca, potwierdza tylko prawdomówność Herodota. Dotąd nie odnaleziono więcej tekstów z pismem klinowem perskiem, stąd pomimo jego ważności filologicznej, nie budzi ono już dziś wielkiego zajęcia[2]; lecz poznanie jego miało dla asyryologów tę samą wartość, jaką dla egiptologów miał „kamień Rozetański", z jego pomocą odnaleziono klucz do dwu drugich rodzajów pisma.

Wraz z badaniem pierwszego rodzaju pisma usiłowano odczytać drugi. Trudności były większe. Łatwo można się było domyślać, iż pierwszy rodzaj pisany był językiem państwowym, a zatem perskim, lecz jaki był język drugiego pisma! Różne były przy-

---

[1] Na początku zeszłego wieku znakomity oryentalista angielski T. Hyde utrzymywał, że znaki klinowe znajdujące się na starych pomnikach perskich nie są zupełnie pismem, lecz tylko fantastyczną ornamentyką wschodnią.

[2] Teksty i tłumaczenia pisma klinowego perskiego wydane zostały w ostatnich latach przez wielu uczonych. Fr. Spiegel, *Die altpersischen Keilinschriften im Grundtexte mit Uebersetzung.* Leipzig. 1862, 1881. C. Kossowicz, *Inscriptiones palaeo-persicae Achaemenidarum.* Petropoli. 1872. Stolze, *Persepolis. Die achämenidischen und sassanidischen Denkmäler und Inschriften...* Berlin. 1882.

puszczenia, nazywano go językiem medzkim, suzańskim, elamickim, a nawet scytyjskim, lecz żadnego z nich nie znano. Dalej, znaki nie były rozdzielone, jak w perskim, klinem ukośnym, stąd trudność w obliczaniu ugrupowań; z wielkim mozołem znaleziono sto jedenaście różnych znaków, zawnioskowano z tego słusznie, iż pismo nie było głoskowem, lecz co najwięcej zgłoskowem. Starano się przedewszystkiem odszukać położenie znaków, któreby odpowiadały nazwiskom własnym ludzi i miejscowości, znanym już z tekstu perskiego; spostrzeżono, że nazwiska te były poprzedzone klinem pionowym. Odkrycie było ważne. Westergard wydał w r. 1844 rozprawę o tem piśmie, Dr. Hincks, de Saulcy i Norris (1853) zapoznali świat uczony ze swemi badaniami. Odczytywanie jednak tekstów szło opornie, prace nawet Oppert'a i Lenormant'a nie okazały się zadawalniającemi, pismo klinowe drugiego rodzaju oczekuje jeszcze na przyszłych badaczy.

To niepowodzenie około drugiego rodzaju pisma, pomijając już trudności wynikające z wielości znaków i nieznajomości języka, należy głównie przypisać tej okoliczności, iż mało się niem zajmowano. Oprócz kilku napisów w Persepolis i Bagastanie, nigdzie ich więcej nie napotykano; ten tedy rodzaj pisma nie budził zajęcia, rzecz ma się inaczej z trzecim rodzajem pisma.

W roku 1842 konsul francuski Botta i angielski podróżnik Henryk Layard w roku 1845, odkryli stare grody około Mosulu w Mezopotamii i zaczęli nadsyłać do Europy wydobyte z nich wykopaliska; otóż wszystkie te dzieła sztuki asyryjskiej były pokryte napisami klinowymi, które zupełnie odpowiadały trzeciemu rodzajowi napisów wynalezionych w Persepolis i Bagastanie. Trzeci zatem rodzaj pisma jest niezawodnie asyryjskim. A ponieważ z każdym dniem przybywało coraz więcej tychże napisów, ponieważ historya Asyryi mało znaną była, a szczególniej ponieważ losy ludu Izraelskiego ściśle połączone były z dziejami Asyryi, a pisarze biblijni tyle razy ją wspominają, poznanie zatem pisma asyryjskiego obudziło powszechne zajęcie; lingwiści, historycy, archeolodzy ku temu przedmiotowi zwrócili swe siły. Co więcej, poszukiwania Rich'a, konsula angielskiego w Bagdadzie, roku jeszcze 1811[1], zbo-

[1] Po śmierci Rich'a wyszło dopiero: *Narrative of a Journey to the Site of Babylon in 1811, now first published.* London 1839.

gaciły muzeum londyńskie staremi pamiątkami sztuki Babilońskiej: wszystkie one miały napisy klinowe, które, jak się przekonano, były te same co w Asyryi. Babilonia zatem, stara Chaldea, miała tenże sam język i pismo co i Asyrya, stąd odnalezienie klucza do jego odczytania dawało możebność sięgnąć do najdawniejszych zabytków społeczeństwa ludzkiego na ziemi.

Wszyscy badacze pisma klinowego skierowali obecnie swe usiłowania do pisma asyryjskiego; odczytywanie jednak nie szło raźnie. Przypuszczano że język jest asyryjskim, ale języka asyryjskiego nie znano, nie wiedziano nawet do jakiej rodziny należy. Szwedzki uczony Löwenstern utrzymywał iż język asyryjski musi być semickim, stąd w językach hebrajskich, syryjskich i arabskich należy szukać rdzennych pierwiastków. Przypuszczenie wydawało się prawdopodobnem, i jego też trzymali się badacze. Lecz ugrupowanie znaków przedstawiało wiele trudności; wyrazy nie były rozdzielone, ani odstępem jak w naszem piśmie, ani żadnem znakiem: stwierdzono jednakże że nazwiska własne poprzedzane były klinem pionowym. Poczęto się nieco oryentować; Botta naliczył różnych ugrupowań 642. Liczba ta okazała się później niedokładną, lecz na razie stwierdził przynajmniej iż pismo głoskowem nie jest. Tenże sam asyryolog, porównywając odczytany już tekst perski z tekstem asyryjskim, odkrył iż niejednokrotnie cały wyraz perski jednym znakiem, całkiem pojedynczym, zastąpiony bywa w asyryjskim, stąd można było wnioskować iż pismo jest, częściowo przynajmniej, obrazowem. Wynalazł on był cztery takie kształty obrazowe, które miały służyć do wyrażenia „króla, kraju, ludu, państwa“. De Saulcy wynalazł w napisie z Persepolis 120 znaków obrazowych. Hincks dowodził że wiele znaków asyryjskich należy uważać za głosowe, a przedstawiają one brzmienia całych sylab. Wszystkie te wnioski wyprowadzane były na mocy napisów persepolitańskich. W roku 1851 sir H. Rawlinson wydał w *Journal of the Asiatic Society of Great Britain and Ireland* tekst asyryjski z napisu Bagastańskiego. Z pomocą dziewięćdziesięciu imion własnych, które się tam znajdują, uczony Anglik oznaczył 246 znaków asyryjskich. Rzecz nie była jeszcze stanowczo rozstrzygniętą, lecz poprawne wydanie długiego tekstu dało możebność uczonym do pokonania wielu trudności — a trudności były niezwykłe.

Wzór pisma klinowego asyryjskiego[1].

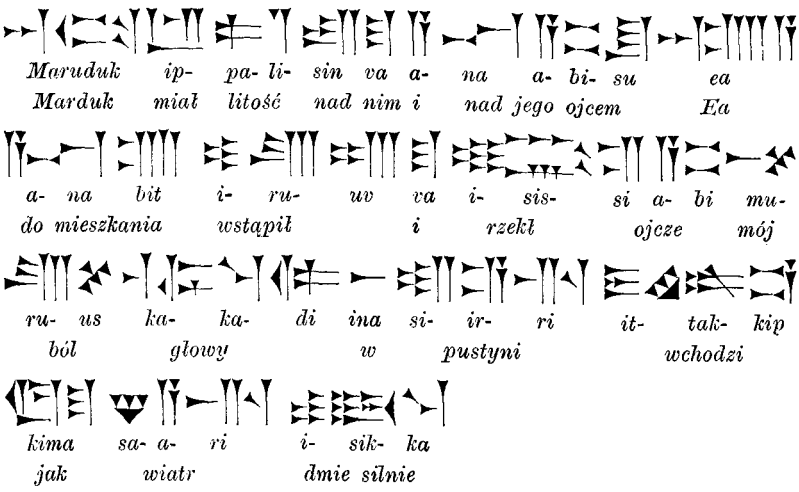

Maruduk ip- pa- li- sin va a- na a- bi- su ea
Marduk miał litość nad nim i nad jego ojcem Ea

a- na bit i- ru- uv va i- sis- si a- bi mu-
do mieszkania wstąpił i rzekł ojcze mój

ru- us ka- ka- di ina si- ir- ri it- tak- kip
ból głowy w pustyni wchodzi

kima sa- a- ri i- sik- ka
jak wiatr dmie silnie

Pismo asyryjskie było częścią obrazowe, częścią zgłoskowe. Jeden i ten sam wyraz pisał się czasem obrazowo, czasem głosowo, a nierzadko obrazowo i głosowo zarazem. I tak Nabuchodonozor pisany był głosowo: *Nabu kuduru-usur* lub obrazowo znakami, które w głosowem brzmieniu wyrażały: AN-PA-SA-DU-SIS; napotyka się również nazwisko tego króla w ten sposób: AN-PA-*Ku-du ur*-SIS, albo *Na-bu*-SA-DU-*u-su-ur*[2]. Co więcej, napotykano często, iż jeden i ten sam znak należało czasem czytać obrazowo, czasem głosowo, lecz zgłoska wymawiana nie miała żadnej łączności z nazwiskiem, jakie wyrażał znak obrazowy. I tak pewien znak wyrażający obrazowo „Boga“ czytał się po asyryjsku *Ilu*, lecz tenże sam znak skoro miał być wzięty głosowo wyrażał zgłoskę *An;* podobnie znak obrazowy mający przedstawiać obrazowo

---

[1] Ob. Faulmann. *Illustr. Gesch. der Schr.*, p. 336.

[2] Znaki, któreśmy tu przedstawili *kursywą* są głosowe, inne przedstawione *versalikami* są obrazowe. Trudności wynikające z różnego pisania tego samego wyrazu rozwikłane później zostały. Co się tyczy powyższego nazwiska uznano, że znak wyrażający się głosowo przez AN jest *orzecznikiem* (determinatif), nie wymawia się, lecz orzeka, że znak następny PA należy brać obrazowo, wymawiać zaś *Nebo;* SA-DU razem wzięte wyrażają obrazowo koronę, która po asyryjsku zowie się *Kuduru;* wreszcie ostatni znak SIS miał obrazowe znaczenie „zbaw, ochraniaj“, po asyryjsku *usur.*

„Ojca“ czytał się *Abu*, tenże sam znak jako zgłoska brzmiał *At*. Takich znaków o podwójnem znaczeniu było bardzo wiele. Nadto pojedyncze zgłoski pisały się dwojako: wyraz „dusza“ po asyryjsku *napsat* pisał się *nap-sat* lub *na-ap-sa-at*; nazwisko wyżej przytoczonego króla wyrażone bywało przez *Na-bu-u-ku-du-ur-u-su-r*. Wreszcie jeden i ten sam znak głosowy wymawiał się różnie, bywał wielobrzmiącym (polyphone): pewien znak wymawiał się *pa* i *khat*, inny znowu miał cztery brzmienia: *kal*, *lab*, *rid dan*; były znaki mające dziesięć, nawet dwanaście rozmaitych brzmień. Wiele nakoniec znaków nie wymawiało się. Podobne trudności mogły odstraszyć najbardziej wytrwałych badaczy, a nawet stanowić zupełną zaporę odczytaniu, gdyby szczęśliwe odkrycie nie przyczyniło się do ich usunięcia. Biblioteka znaleziona w Niniwie zawierała gramatykę i słownik: filologowie nowożytni skorzystali z podręczników szkolnych wygotowanych przed dwudziestu pięciu wiekami!

Źródła filologiczne znalezione w zgliszczach Niniwy odkryły nowy język, który należał do ludu niewiadomego pochodzenia i nazwiska; lecz ponieważ ten język pochodził z okolic Babilonu, ponieważ leżały tam niegdyś miasta Akkad i Sumer, stąd nadano temu pismu i językowi nazwę Sumeryjskiego albo Akadyjskiego. Rozpatrując się w zabytkach piśmiennych tego ludu spostrzeżono, że znak obrazowy, mający wyrażać „Boga“ był ten sam u Asyryjczyków jak i u Akadejczyków, pierwsi wymawiali go *Ilu*, drudzy *Anap*; lecz tenże sam znak skoro stawał się głosowym, tak u jednych jak u drugich brzmiał *An*. Ponieważ tak samo rzecz się miała z innymi dźwiękami głosowymi, zawnioskowano stąd, że Akadyjczycy przywiązali do znaku brzmienie pierwszej zgłoski swego wyrazu, Asyryjczycy zaś przyswoili sobie to brzmienie wraz z pismem, czyli, że Asyryjczycy zapożyczyli pismo od Akadyjczyków[1]. Język tedy Akadyjski był dla Asyryjczyków klasycznym, uczono go w Asyryi, jak u nas uczą po szkołach greki i łaciny; znajomość języka akadyjskiego dawała dopiero dostateczną wprawę do czytania i pisania po asyryjsku, a prawdopodobnie zapoznawała ówczes-

[1] Przykłady podobne istnieją gdzieindziej. Japończycy zapożyczyli również znaki i dźwięki od Chińczyków i niemi przekazują w piśmie swe myśli, choć językiem całkiem odrębnym od tych ostatnich.

nych uczonych z dokumentami naukowymi, pisanymi starym językiem.

Wzór pisma klinowego akadyjskiego[1].

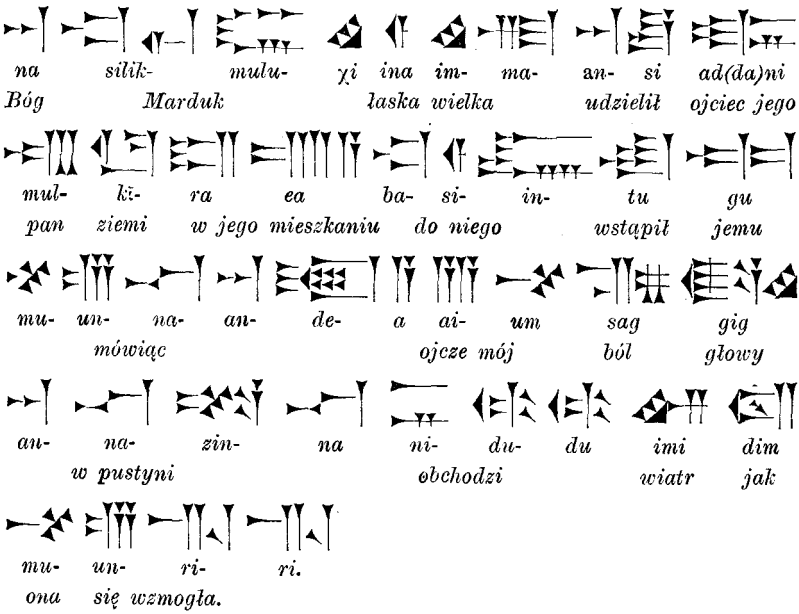

Gramatyka i słownik akadyjsko-asyryjski przyczyniły się niemało do wyjaśnienia zawikłań pisma asyryjskiego. Dalsze badania wykazały, że Asyryjczycy przed imionami bogów, mężczyzn, kobiet, krajów, miast używali osobnego znaku, który był orzecznikiem i nie wymawiał się. Nadto, skoro jeden i ten sam znak obrazowy miał oznaczać różne pojęcia, dodawano mu znaki głosowe odnośnego znaczenia: znak obrazowy słońca z przydanemi końcówkami *si, mu, mi, du* wymawiał się: *samsi, jumu, jumi, sadu*, co znaczyło: „słońce, dzień, dnie, jutrzenka". W roku 1857 odczytywanie pisma asyryjskiego postąpiło tak daleko, że Oppert wydał tłumaczenie tekstu z Borsippy[2]; stanowczość jego twierdzeń, a w ogóle postęp w tej umiejętności wystawione zostały niebawem na próbę, z której wyszły zwycięsko.

[1] Ob. Faulmann. *Illustr. Gesch. der Schr.*, p. 336.

[2] *Etudes assyriennes.* Inscription de Borsippa... w Journ. asiat.

W tymże właśnie roku sir Rawlinson, Oppert, Hincks i Talbot znaleźli się razem w Londynie. Zarząd British Muzeum powierzył każdemu z nich odbitkę litografowaną z napisu Teglatpalasara I., który był wynalazł Layard w Kalach Szergat. Po miesiącu pracy czterej asyryologowie złożyli do rąk prezesa „Towarzystwa Azyatyckiego“ zapieczętowane tłumaczenia. Na publicznem posiedzeniu, d. 25 maja t. r. odczytano je: wszystkie cztery były zgodne z sobą co do treści, w szczegółach jedynie zachodziły niejakie różnice [1].

Zadanie zatem zostało rozwiązane, znaleziono klucz pewny do odczytywania asyryjskich napisów, należało tylko uzupełnić braki i niepewności, co tem snadniej uskutecznione zostało, iż rządy francuski i angielski znaczne łożyły nakłady na poszukiwania i wydawnictwo tekstów oryginalnych. Badania odtąd raźnym szły krokiem. W r. 1868 J. Ménant wydał gramatykę asyryjską [2], w roku następnym Norris słownik asyryjski [3], niebawem (1872 r.) ukazała się poprawna gramatyka tegoż języka, wydana przez uczonego oryentalistę Sayce'a [4]. Nie było to jeszcze ostatnie słowo o języku asyryjskim, późniejsze badania i odkrycia niejeden szczegół objaśniły i poprawiły, i dziś jeszcze odczytanie niejednego znaku obrazowego pozostaje zagadką, z tem wszystkiem jednak znajomość języka asyryjskiego, i ogólnie pisma klinowego zajęły poczesne miejsce między umiejętnościami, i dziś możemy już sobie z nich zdać dokładną sprawę.

Pismo klinowe było pismem Zachodniej Azyi, używano go tam przez przeciąg kilkunastu stuleci, aż do początków naszej ery [5]. Narody różnego pochodzenia i języka przyswoiły go sobie: pięć ich dotąd liczą. 1° *Starzy Persowie*, ze szczepu aryjskiego, zasto-

---

[1] *Inscription of Tiglath Pileser I., King of Assyria* B. C. 1150. As translated by sir. H. Rawlinson, Fox Talbot, Esq, Dr. Hincks and Dr. Oppert. Published by the Roy. Asiat. Soc. London. 1857.

[2] *Exposé des éléments de la Grammaire Assyrienne.* Paris.

[3] *Assyrian Dictionary.* 3 parts. London. 1869—1873.

[4] *An Assyrian Grammar for Comparative Purposes.* London. 1872.

[5] Najpóźniejszy dokument klinowy, przetłumaczony przez Oppert'a, datowany jest z Babilonu, trzeciego dnia, miesiąca Kislev, roku V-go, Pakoras'a, króla perskiego, a zatem roku 81 przed Chr.

sowali pismo klinowe do swego języka i przerobili je na głosowe: oprócz kilku znaków obrazowych, wszystkie inne są głoskowymi. O piśmie perskiem mówiliśmy poprzednio z powodu napisów z Persepolis i Bagastanu. 2° *Starzy Ormianie.* Historyk ormiański Mojżesz z Korenu (w V-ym w.) opisywał stare napisy znajdujące się w Armenii. Fr. Ed. Schultz wynalazł w r. 1839, w pobliżu miasta Wan (Van) trzydzieści dziewięć napisów klinowych, później wynaleziono ich jeszcze trzy, wszystkie one pochodzą z IX. i VII. w. przed Chr. Uczeni nie zdołali jeszcze dostatecznie wyjaśnić, do jakiego języka zaliczyć je należy. Badania Stanisława Guyarda [1] i A. H. Saycey'a [2] doprowadzają do mniemania, iż język należał do grupy irańskiej, mianowicie zaś do rodziny „Oseckiej" (Osatowie, Osetowie). 3° *Suzanowie,* mieszkańcy Suzy, lud pochodzenia turańskiego; napisy odnaleziono w Suzie i kraju Elam. 4° *Medowie* z czasu królów z dynastyi Achemenidów; mówili oni językiem turańskim. 5° *Asyrowie,* pochodzenia i języka semickiego. 6° Wreszcie *Starzy Chaldejczycy*, czyli ludy z Sumer i Akkad. Z wyjątkiem Persów, którzy znakom klinowym nadali brzmienie głoskowe, wszystkie inne ludy, używające tego pisma, wyrażały swój język za pomocą znaków obrazowych i zgłoskowych.

Charakterystycznem znamieniem pisma klinowego jest rys podobny do k l i n a lub ć w i e k a, stąd też i nazwa pisma pochodzi. Grupa kilku klinów umieszczonych w różnych względem siebie pozycyach stanowi znak, obrazowy czasem, czasem głosowy. Znak obrazowy nie przedstawia na pozór przedmiotu, jaki ma wyrażać, nie przedstawia nawet żadnego, zdaje się, znanego skądinąd kształtu: rzut oka na zwyczajne pismo klinowe dostatecznie o tem przekonywa. Rzecz jednakże miała się inaczej w początkach, najstarsze zabytki pisma klinowego dozwalają nam poznać jego genezę i rozwój.

Pismo egipskie, jak wiemy, było potrójne: hieroglificzne, hieratyczne i demotyczne, otóż i w piśmie klinowem znajduje się tro-

---

[1] *Mélanges d'Assyriologie, suivi d'une étude sur les inscriptions de Van.* Paris. 1882.

[2] *The cuneiform Inscriptions of Van.* Journ. of the Roy. Asiat. Soc. New Ser. XIV. 3,377.

jaka odmiana odpowiadająca tym trzem rodzajom pisma. 1⁰ Pismo klinowe archaiczne spotyka się na najdawniejszych pomnikach chaldejskich[1]; w tem piśmie jakkolwiek występuje już wybitnie rys charakterystyczny klina, grupy jednak z niego złożone przypo-

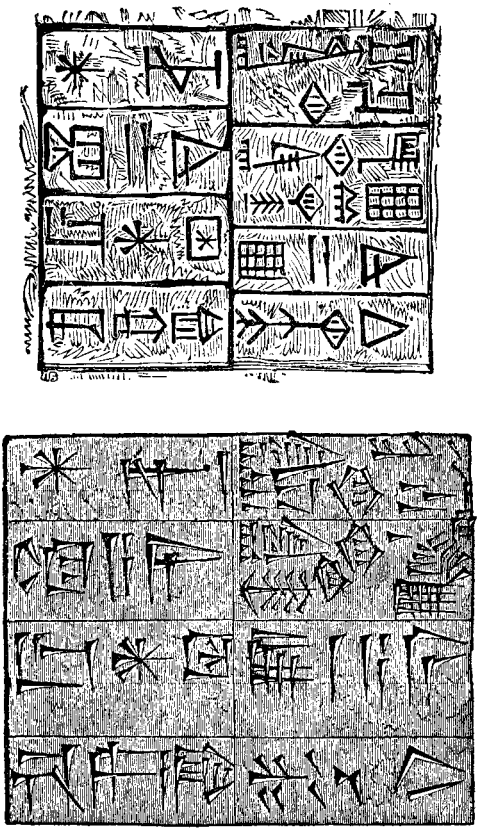

Pismo klinowe archaiczne.

Cegły napisowe znalezione przez Loftus'a w Warce.

minają coś z kształtu przedmiotów, jakie wyrażać mają. W British Muzeum przechowuje się odłam kamienny, na którym obok

[1] *A selection from the historical Inscriptions of Chaldaea, Assyria and Babylonia,* prepared for publication by major-general Sir H. C. Rawlinson, assisted by Norris. London. 1861.

szkiców przedmiotu znajdują się grupy klinowe naśladujące kształty odnośne. 2° Pismo nowożytne używane około X-go w. przed Chr., aż do zaboru perskiego; ten rodzaj pisma jakkolwiek był jednakowym w głównych rysach u różnych ludów, w szczegółach jednak miał swą odrębność — inaczej, choć tym samym językiem, pisano w Niniwie, a inaczej w Babilonie. 3° Pismo ludowe, albo kursywa było uproszczeniem pisma nowożytnego; pismo to było w powszechnem codziennem użyciu.

W napisach tak asyryjskich jak i babilońskich język jest jeden i ten sam, pozostał niezmiennym przez przeciąg kilkunastu wieków; języki jednak ludowe w Babilonie i Niniwie uległy zmianie. Angielscy lingwiści widzą w nich tę samą różnicę, jaka zachodzi między językiem angielskim biblijnym, a dzisiejszym powszechnie używanym. Asyrowie pisywali zwyczajnie na zwojach i deszczułkach, wiemy o tem z ich pomników; lecz zwoje te i deszczułki nie przechowały się do naszych czasów. Wiedzieli oni, że taki materyał w ich klimacie trwałym nie jest, stąd, chcąc pismu swemu zapewnić przyszłość, wybijali je na wilgotnej cegle, którą następnie wypalano w piecu. Te cegły nam pozostały. Dzięki temu niespożytemu materyałowi przechowały się do naszych czasów dokumenty autentyczne, pisane przed kilkudziesięciu wiekami.

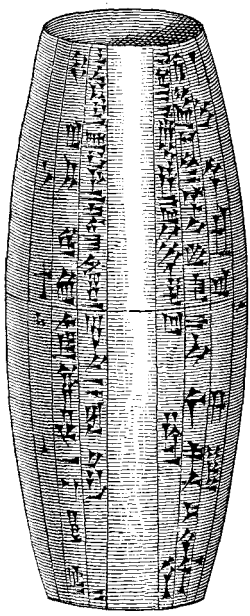

Walec napisowy asyryjski.

Źródła historyczne asyryjskie pochodzą częściowo z napisów pomnikowych, umieszczonych w świątyniach i pałacach królewskich, częścią zaś z ksiąg asyryjskich. Napisy bywały albo zewnętrzne, rzeźbione na ścianach gmachów, skał, na stelach, statuach i wyrobach glinianych lub metalowych, albo też ukryte były w fundamentach, a wyżłobione na graniastosłupach albo walcach dętych, z wypalonej gliny. Księgi asyryjskie składały się z cegieł, na których przed wypaleniem wyciskano pismo, każda tedy taka cegła odpowiada karcie drukowanej naszych ksiąg

dzisiejszych[1]. W samej Niniwie odnaleziono dotąd przeszło dziesięć tysięcy tych kart ceglanych, które gdyby oddrukowano dzisiaj w formacie in 4-to, utworzyłyby pięćset tomów, każdy o pięciuset stronnicach.

Płyta ceglana płaska, zwykle kwadratowa, po obu stronach była zapisana drobnem pismem, kursywą. Na każdej płycie wypisany był tytuł dzieła i numer porządkowy stronnicy, nadto pierwszy wyraz płyty, która po niej następowała. Wielkość dzieł była różna, są dzieła liczące po sto płyt. Dzieła tytułowano wedle pierwwszych wyrazów płyty początkowej, jak to czynili Izraelici, *Bereszit* Księga Rodzaju, *Waikra* księga kapłańska, i jak zwyczajnie jeszcze i dzisiaj tytułują bule papieskie, *Unam Sanctam*, *Quanta cura*. J. Menant pisze[2]: „Te płyty powierzane bywały dozorowi osobnego urzędnika, który się nazywał *Nisu Duppisati*. Badania napisów przekonywają, iż musiały one być ustawiane w bibliotece według porządku numerowego. Jeżeli dzieło spisane jest na wielu płytach, są one wszystkie jednego kształtu i jednej miary. Tytuł dzieła powtarza się na każdej płycie. I tak posiadamy dzieło treści astronomicznej złożone z siedmnastu płyt, każda z tych płyt nosi tytuł: *Kiedy bogowie Anu i Ilu*, temi bowiem słowami rozpoczyna rzecz pierwsza płyta. Na końcu płyty umieszczona jest uwaga: „„Pierwsza płyta (z dzieła) *Kiedy bogowie Anu i Ilu*““, albo: „„Druga płyta, Trzecia płyta i t. d. (z dzieła) *Kiedy bogowie Anu i Ilu*““. Co więcej, dla uchylenia wszelkich omyłek, ostatni wiersz płyty powtórzony jest w pierwszym wierszu płyty następnej. Stwierdzono nakoniec, iż istniały rzeczywiste katalogi ksiąg, i osobne małe płyty odpowiadające naszym kartom tytułowym dzieł“.

Uczeni całej Europy wzięli udział w pracach nad odczytaniem pisma klinowego, Anglikom jednak należy się zaszczyt pierwszeństwa: dzięki swej wytrwałości, pomimo godnych naśladownictwa współubiegań uczonych innych narodów, i dziś jeszcze Anglicy przodują innym w uprawie umiejętności asyryologicznej. Najdawniejszy i najznakomitszy współpracownik generał Sir Henryk Rawlinson

[1] Pliniusz wiedział już o tych kartach ceglanych. W swej *Hist. nat.* VII, 56, wyd. Teubner, t. II. str. 49, mówi: Epigenes apud Babylonios DCCXX. annorum observationes siderum *coctilibus laterculis* inscriptas docet.

[2] *La bibliothèque du Palais de Ninive.* Paris, 1880, p. 32—33.

nie przestaje brać czynnego udziału w pracach asyryologicznych. Oprócz gruntowych rozpraw wydanych w różnych czasopismach specyalnych, dzieła jego o napisach perskich w Bagistanie, i pomnikowe wydanie złożone z pięciu tomów *The Cuneiform Inscriptions of Western Asia* (London 1861—1880) zapewniły mu pierwszorzędne stanowisko naukowe.

Założyciel *Society of Biblical Archeology*, Bosanquet, nietylko ofiarnością swoją, lecz również własnemi badaniami przyczynił się wiele do rozwoju studyów asyryologicznych. Współzałożyciel tegoż Stowarzyszenia Fox Talbot przetłumaczył i objaśnił teksty asyryjskie, tyczące się ich podań religijnych. Wreszcie trzeci, którego śmierć przedwczesna nieodżałowaną była stratą dla asyryologii, jest Jerzy Smith. Rytownik z zawodu, posiadał rzeczywisty „zmysł asyryologiczny", pomimo braku studyów klasycznych i oryentalnych, zasługi jakie położył w asyryologii są nieocenione. On pierwszy umiał się rozpatrzeć w tych niezliczonych ułamkach cegieł napisowych, złożyć je umiejętnie; wysłany do Mezopotamii zdołał wygrzebać jeszcze całe stosy odłamów z klinowem pismem, i wśród nich odnaleźć kilka drobnych kawałków, których brakowało do złożonego już w British Muzeum z okruchów, podania o „Potopie". W dziele *The Chaldean Account of Genesis* zebrał Smith wszystkie wyszukane przez siebie ułomki podań religijnych chaldejskich; Fr. Delitzsch wydał to dzieło w tłumaczeniu niemieckiem (1876), uzupełniając poprawkami, a kilka lat temu (1880) Dr. Sayce uskutecznił nowe jego wydanie angielskie.

A. H. Sayce jest jednym z najczynniejszych uczonych angielskich: znając gruntownie języki semickie i język staro-egipski od lat dwudziestu, ogłaszał tak w pismach peryodycznych jak i w osobnych dziełach wyniki swych badań asyryologicznych. Jego gramatyka asyryjska, prace nad astronomią, astrologią i historyą chaldejską zyskały uznanie uczonych. W ostatnich czasach zajął się odczytaniem napisów ormiańskich z Wan i nowego rodzaju pisma z Hamat, znanego pod nazwą *hieroglifów hetejskich*.

Pomiędzy asyryologami angielskiemi na szczególniejszą wzmiankę zasługują Boscawen, Rodwell, Budge, Bertin, przedewszystkiem zaś Th. Pinches. Ten ostatni najmłodszy wiekiem i powołaniem naukowem zwrócił na siebie uwagę uczonych mężów, powołany przez Sir

Rawlinsona do wydawnictwa pomników klinowych, okazał niezwyczajne zdolności, i w krótkim czasie pozyskał powagę naukową: wszystkie pisma specyalne ubiegają się o jego rozprawy, a pism tych w samej Anglii liczy się znaczny poczet. *Transactions of the Society of Biblical Archeology*, zaczęły wychodzić w roku 1872, w roku 1885 wyszedł tom VIII.; zamieszczają one głównie rozprawy naukowe tyczące się podań religijnych ludów asyryjsko-chaldejskich. *Records of the Past; being english translations of the assyrian and egyptian monuments*; czasopismo popularne zajmuje się odkryciami w Egipcie i Asyryi; tomy: pierwszy, trzeci, piąty... nieparzyste poświęcone są asyryologii, parzyste zaś egyptologii. *Proceedings of the Society Biblical Archeology* daje sprawozdanie o pracach dokonywujących się w Egipcie i Mezopotamii. *The Babylonian and Oriental Record* zaczęło wychodzić roku zeszłego w Belgii. Nadto wiele prac nad asyryologią okazywało się w *Journal of the Royal Asiatic Society, Academy, Athenaeum* i innych.

Jakkolwiek od lat kilkunastu, wraz z przewrotami politycznymi i społecznymi, nastąpił we Francyi zastój naukowy, dla prac jednakże dawniej dokonanych należy się jej zaszczytne wspomnienie, Oppert, Fr. Lenormant, Menant, wraz z uczonymi angielskimi, zaliczają się do założycieli umiejętności asyryologicznej; w ostatnich latach Stanisław Guyard, Halevy, Aurès, Pognon, Amiaud, ks. Vigouroux pracami swemi podtrzymywali jeszcze godność naukową swego kraju [1].

Przez długi czas Niemcy nie brali żadnego udziału ani w poszukiwaniach archeologicznych Zachodniej Azyi, ani w badaniach filologicznych zamarłego języka semickiego, w roku dopiero 1869 Eberhard Schrader w *Zeitschrift der D. M. G.* zapoznał swych ziomków z nowym nabytkiem wiedzy. Znając doskonale języki semickie przyczynił się do poprawniejszego tłumaczenia tekstów asy-

[1] Z pomiędzy czasopism francuskich podajemy tu główniejsze, które zamieszczały i zamieszczają jeszcze badania odnośnie do asyryologii: *Journal Asiatique de France, Revue Archéologique, Revue d'Assyriologie et d'Archeologie orientales, Revue de l'Histoire des Religions, Revue critique de l'histoire, Recueil des travaux relatifs à la philologie et à l'archéologie égyptienne et assyrienne, Mélanges d'Archéologie égyptienne et assyrienne, Museon, Annales de philosophie chrétienne.*

ryjskich; oprócz różnych rozpraw nacechowanych ścisłością i gruntownością, wydał znakomite dzieło: *Die Keilinschriften und das Alte Testament*[1], które, chociaż nie jest wolne od racyonalistycznych poglądów autora, ważne oddaje usługi egzegezie biblijnej. Uczniowie Dra Schrader'a zajęli już w asyryologii wybitne stanowisko. Nawrócony Izraelita Dr. F. Delitzsch rozpoczął w r. 1874 w uniwersytecie lipskim pierwsze wykłady o asyryologii, od tego czasu wydał wiele bardzo cennych prac w tym przedmiocie, pomiędzy innemi z wielką znajomością rzeczy obrobione dziełko pod tytułem: *Wo lag das Paradies.* Wierzący protestant, Delitzsch, poświęca się głównie zadaniom asyryologicznym mającym związek z Biblią. Do pierwszorzędnych asyryologów niemieckich liczą się ks. Strassmaier T. J., Dr. Haupt i Dr. K. Bezold. Największą powagą pod względem języka akadyjskiego jest ks. Strassmaier, wydaje obecnie w Lipsku odnośny słownik. Dr. P. Haupt był już współpracownikiem KAT. Schrader'a i jest profesorem uniwersytetu w Baltymorze. Najlepsze czasopismo specyalne niemieckie *Zeitschrift für Assyriologie* wychodzi w Monachium pod kierunkiem Bezold'a. Od kilku lat zaczęła wychodzić w Lipsku *Assyriologische Bibliothek, herausgegeben von Fr. Delitzsch und P. Haupt;* dotąd wydano sześć tomów doniosłej naukowej wartości[2]. W ogóle, niemieccy uczeni, pomimo trudności, nie posiadają bowiem pomników asyryjskich, i muszą w Paryżu, a szczególniej w Londynie studyować oryginalne teksty, z wytrwałością i głębokością, jakie ich cechują, oddają wielkie usługi tej umiejętności.

Uczeni innych krajów nie brali wybitniejszego udziału w pracach asyryologicznych, tak zwanych „z pierwszej ręki", starali się

---

[1] Dzieło to asyryolodzy dla krótkości zaznaczają zwykle przez KAT.

[2] *Akkadische und sumerische Keilschrifttexte nach den Orientalen,* etc.... 1881—1882.

Die Achämenidenin schriften, babylonischer Text nebst Übersetzung. H. Bezold. 1882.

Das Babylonisch-Nimrodepos. Haupt. 1884.

Alphabetisches Verzeichniss der assyrischen und akkadischen Wörter in zweiten Bände der Cuneiform Inscriptions of Western Asia. Strassmaier. S. J. 1882—1885.

Keilschrifttexte Sargon's... Dr. Lyon. 1885.

Babylonische Busspsalmen. v. H. Zimmern. 1885.

jednakże zapoznawać swych ziomków z tą umiejętnością, a nadto opierając się na jej wynikach zestawiali ją z tekstami Pisma św.; na szczególniejszą wzmiankę zasługują we Włoszech, Finzi, ks. Brunnengo T. J., ks. Massaroli; w Belgii i Holandyi, ks. Delattre T. J. i Tiele; w Danii, W. Schmidt. Nasz kraj nie posiada żadnego specyalnego badacza, nie posiada nawet żadnego dzieła popularnie traktującego ten przedmiot [1].

Musimy tu jeszcze zaznaczyć udział, jaki druga półkula wzięła w badaniach asyryologicznych. Amerykanie z natury swojej więcej są skłonni do przedsięwzięć i zajęć, z których bezpośrednie mogą ciągnąć korzyści materyalne, stąd i asyryologia nie odrazu zyskała u nich należne uznanie; skoro jednak okazało się, że umiejętność ta ma ścisły związek z Biblią, za grube dolary sprowadzili sobie Jankesi uczonych europejskich do wykładu asyryologii w uniwersytetach. Od lat kilkunastu obudziło się większe zajęcie w całej Ameryce. Nie można było sprowadzać większych wykopalisk z Mezopotamii, gdyż złożone już one były w Paryżu i Londynie, misyonarze amerykańscy w Azyi zakupywali jednakże w Mosulu i Bagdadzie, co się kupić dało, i wysyłali do swej zaatlantyckiej ojczyzny. Uczniowie amerykańscy zaczęli niebawem dojrzewać i ogłaszać swe prace. Wśród asyryologów amerykańskich na zaszczytną wzmiankę zasługują: Brown, Joy, O'Conor T. J., Mc. Curdy, Bliss. Nietylko w uniwersytetach, lecz i w seminaryach duchownych wykładają dziś w Stanach Zjednoczonych asyryologię, a pokaźna liczba czasopism specyalnych, stara się swemi gruntownemi rozprawami dorównać swej starszej braci w Europie [2]. (C. d. n.)

X. W. Zaborski.

[1] W jednem z czasopism warszawskich ukazały się wprawdzie artykuły asyryologiczne, *Historya literatury powszechnej* zamieściła również w dziale starożytnym treściwe poglądy o piśmiennictwie staro-semickim, lecz autorowi nie chodziło tyle o zaznajomienie czytającej publiczności z odkryciami dokonanemi, ile o zaszczepienie poglądów bezwyznaniowych. Autor, bez znajomości rzeczy i bez żadnego wyboru wypisywał z racyonalistów niemieckich całe ustępy; opowiadanie jego jest suche, nużące, bez ciągu i przepełnione fałszami historycznymi.

[2] Główniejsze czasopisma asyryologiczne w Ameryce są następujące: *Proceedings of the American oriental Society, Bibliotheca sacra, American Journal of Philology, Hebraïca, Andover Review;* nadto inne jeszcze czasopisma zamieszczały artykuły tyczące się tej umiejętności, *New-York Journal of Commerce, Independent, Presbyterian Review* etc.

STOWARZYSZENIA KATOLICKIE W NIEMCZECH.

(Dokończenie).

3. Stowarzyszenia dobroczynne.

A. Towarzystwa zbiornicze (Sammel-Vereine).

Towarzystwa zbiornicze, których pojawienie się przed kilku latami w Niemczech wielki miało rozgłos, powstałe pierwiastkowo z inicyatywy loży masońskiej, w krótkim przeciągu czasu osiągnęły bajeczne powodzenie. Zadaniem ich było zbieranie najróżnorodniejszych przedmiotów niemających prawie żadnej wartości, jakiemi są: odkrawki cygar, cynfolia od flaszek, korki używane, stare rękawiczki i t. d. oraz monetę miedzianą, niklową i, o ile być mogło, srebrną; celem utworzenia z zebranego w ten sposób kapitału, *Państwowego domu sierot w Lahr* w badeńskiem. Zrazu na pierwszym planie widniała tu jedynie dążność humanitarna; sama więc piękna i praktyczna idea pociągnęła do stowarzyszeń wielu bardzo takich, którzy przedsięwzięciu temu dobrze poznanemu, z pewnością nie byliby poświęcili czasu i trudu. Ale po pewnym czasie mętne wody wykazały mętne źródło. Cały projekt obrachowany był na to: aby w domu państwowym dawać ubogim sierotom wychowanie przesiąkłe niezdrowym racyonalizmem. Wyjaśnienie tej sprawy obudziło w Niemczech energiczną reakcyę; postanowiono, używając tychże samych środków, założyć już nie masoński, lecz chrześcijański przytułek dla sierot. Opierając się na zasadzie, iż „przez oszczędzanie małych, dochodzi się do wielkich rzeczy“, postanowiono: w ścisłem zastosowaniu do ustaw towarzystwa św. Bonifacego, zakładać po miastach i wsiach towarzystwa do zbierania rozmaitych przedmiotów,

które pojedyńczo prawie żadnej nie posiadają wartości, lecz w wielkich masach zebrane stanowią wartość niemałą. Aby towarzystwom tym dać właściwe przewodnictwo, wezwaną została w początku 1885 roku, do objęcia centralnego nad nimi zarządu istniejąca w *Paderbornie* kongregacya młodych kupców, zachowując jednak główny dozór urzędnikom towarzystwa św. Bonifacego. Kongregacya padernborska uprosić miała inne kongregacye kupieckie w Niemczech, aby starały się o rozszerzenie towarzystw zbiorniczych w okręgu swych miejscowości. Współcześnie udano się do komitetetów dyecezalnych towarzystwa św. Bonifacego z prośbą o silne wspieranie w odnośnych dyecezyach działalności młodzieży należącej do różnych kongregacyi. Ze wszech stron odpowiedziano w całej pełni tym życzeniom. Kongregacya młodych kupców ogłosiła w Meran 1885 r. odezwę do katolików niemieckich, wzywającą ich do zawiązania *towarzystw zbiorniczych*, kongres kupiecki w *Essen* polecił członkom swojego związku zawiązywanie i prowadzenie takichże stowarzyszeń w Niemczech północnych i południowych; zgromadzenie generalne katolików niemieckich poleciło tworzenie i wspieranie tychże wszystkim katolikom niemieckim. Rezultaty są już obecnie do zadziwienia pomyślne. We wszystkich prawie dyecezyach Niemiec północnych urządzone są hierarchicznie zorganizowane *towarzystwa zbiornicze* św. Bonifacego. Rezultat z pierwszego roku jest w przybliżeniu następujący:

Kolonia	dostarczyła	dochodu	na	. .	3685	marek	95	pfen.
Paderborn	„	„	„	. .	6178	„	56	„
Monaster	„	„	„	. .	13291	„	73	„
Moguncya	„	„	„	. .	1091	„	52	„
Hanower	„	„	„	. .	1485	„	71	„
Koblencya	„	„	„	. .	1006	„	18	„
Braunsberg	„	„	„	. .	1408	„	24	„
Różne inne miejscowości				. . . .	399	„	85	„
			Ogółem	. .	28547	marek	74	pfen.

Wszakże wymieniona tu suma 28.547 marek 74 pfen. nie mogła być w całości obrócona na przytułki sierot, ponieważ pierwsze wprowadzenie w czynność towarzystw, pociągnęło za sobą znaczne koszta. Potrzeba było drukować wezwania, okólniki i t. d. dla po-

jedyńczych członków; sporządzać w znacznej liczbie skrzynki, mające być wystawione w oberżach, kasynach i t. p. do składania okrawków cygar i pieniędzy. Następnie wydatki te z roku na rok będą się z pewnością zmniejszać.

Dyecezya Wrocławska zajęła wyłączne stanowisko: Brandeburgii bowiem Szląsku i Pomeranii głównem centrem zorganizowanych do tej chwili *towarzystw zbiorniczych* jest Berlin i Wrocław i dotąd przynajmniej nie udało się doprowadzić do skutku przyłączenia tychże do *towarzystwa zbiorniczego* św. Bonifacego. W Berlinie, po odtrąceniu pierwszych kosztów zaprowadzenia towarzystwa, pozostało około 3.000 marek. Zarząd centralny w Wrocławiu rozporządzał w pierwszym roku około dziewięciu tysiącami marek czystego dochodu.

B. Towarzystwo św. Wincentego, św. Elżbiety, dam katolickich i t. d.

Jeśli kiedy to dziś nie brak różnych, pod różnemi nazwiskami paradujących towarzystw dobroczynnych, ale częstokroć mało, bardzo mało błogosławieństwa Bożego na nich spoczywa. Pod chwilowym wpływem nerwowej tkliwości zawiązuje się towarzystwo, sypią się pieniądze, ale po nie wielu tygodniach zapał stygnie, datki zmniejszają się, towarzystwo istnieje na papierze, ale ubodzy o niem nie wiedzą. Należenie do takiego lub takiego stowarzyszenia ma zaspokoić sumienie i uwolnić od natrętności ubogich. Ubogi tymczasem schodzi między żebraków, nie zalicza się już do społeczeństwa, przyjmuje bez wdzięczności to, co dane bez miłości bliźniego, lub jeszcze zazdrością tchnie i goryczą względem tych, co dostali więcej.

Inną zupełnie jest piecza o ubogich wykonywana w duchu ewangelii, która daje ubogiemu znaczenie zastępcy Jezusa Chrystusa; „łaknąłem, a nakarmiliści mnie, pragnąłem, a napoiliście mnie, by„łem nagi, a przyodzialiście mnie, byłem pielgrzymem, a przyjęliście „mnie; albowiem coście uczynili najmniejszemu z tej braci mojej, „to mnie uczyniliście“.

Chrześcijańska też piecza o ubogich nie zadowalnia się datkami: chce ona nieść pomoc i ratunek w całem znaczeniu tego słowa, niosąc datek dla ciała, bardziej jeszcze myśli o pokrzepieniu duszy, dodaniu moralnych sił do dalszej walki życia. Miłosierdzie

chrześcijańskie czci w ubogim członka rodziny Jezusa Chrystusa. Już nie jest on żebrakiem, bo wsparcie, jakie otrzymał, pozostaje nieznanem światu i widziane jest tylko od Tego, który widzi w skrytości. Dlatego też na takich darach spoczywa wdzięczność ludzka i błogosławieństwo Boże.

Powyższemi słowami scharakteryzował ś. p. biskup wrocławski, na zgromadzeniu generalnem towarzystwa św. Wincentego w Wrocławiu, czynność i ducha towarzystw, mających staranie o ubogich. I w rzeczy samej, jakże wielka jest różnica pomiędzy świecko-państwową i chrześcijańsko-katolicką pieczą o ubogich, jak głęboko a różnie przenikający wpływ zupełnie odmiennych sposobów postępowania. Pierwszy zbyt łatwo sprowadza gorycz i niewdzięczność; drugi rodzi wdzięczność tak gorącą i pełną miłości, iż tego tylko żałować przychodzi, że towarzystwa św. Wincentego dla braku środków częstokroć nie są w stanie działalności swej bardziej rozszerzyć.

Niewchodząc w tej chwili w bliższą ocenę miłosierdzia państwowego, które bezwątpienia może mieć pewne dobre strony, a czasami siłą smutnych okoliczności być wskazanem, przyjrzyjmy się towarzystwom miłosiernym ożywionym duchem chrześcijańskim. Każda parafia tworzy własne Stowarzyszenie, urządza konferencye parafialne, konferencye mężczyzn i kobiet. Co tydzień zgromadzają się członkowie, a po modlitwie i czytaniu duchownem, miewają narady o położeniu, potrzebach ubogich i środkach niesienia im pomocy. Członkowie dzielą się na czynnych i honorowych, przyczyniających się do zbożnego tego dzieła składkami w pieniądzach, żywności i odzieniu. Członkowie czynni nawiedzają pojedyńczych ubogich albo rodziny, zostające pod opieką towarzystwa, dowiadują się o stopniu potrzeby, przynoszą wsparcia udzielone na konferencyach, łącząc ze wsparciem słowa pociechy, perswazyi i łagodnego napomnienia; nakłaniając do większej pobożności i moralności, przedewszystkiem zaś współudziałem w niedoli bliźniego osładzają jałmużnę, tam szczególnie, gdzie jeszcze istnieje poczucie gorzkiego wstydu, który tylko w nieodzownej potrzebie do jałmużny dozwala się uciekać, gdzie jest wola pozostania niezawisłym od dobroczynności i chęć utrzymania się z własnej pracy.

Stan działalności towarzystwa w Berlinie, włącznie z przyle-

głościami: Rixdorf i Steglitz w roku 1884, wykazują następne cyfry: członków czynnych 266, członków wnoszących składki 456; przychód 18.000 marek, wydatki 14.000 marek, rodzin wspieranych 506.

Trzydzieści konferencyj św. Wincentego czynnych w obrębie delegatury Księcia Biskupa Wrocławskiego składa się z 601 członków czynnych i 693 członków honorowych. Konferencye te, pomimo że największa część katolików, zamieszkujących te okolice, należy do klas ubogich, miały razem w 1884 r. przychodu 33.080 marek, wydatków 25.130 marek. Wspierały w ciągu tegoż roku 709 rodzin. Następująca tabela, na str. 382, ułożona z trzech raportów rocznych wyjętych z roczników towarzystw św. Wincentego à Paulo w obrębie Biskupstwa Wrocławskiego i hrabstwa Glatz, stawi nam przed oczy dokładny obraz ruchu i wzrostu tych związków w najwybitniejszych swych punktach.

Pobieżny nawet rzut oka na poniższą tabelę przeświadcza o bardzo pocieszającym fakcie wzrostu tych związków, które nazwaćby można kwiatem ludzkości. Taki rozwój miłości bliźniego jest jedną z cech katolicyzmu, tak iż tylko z uczuciem pewnego zdziwienia znajdujemy w paru miastach protestanckich podobne instytucye. To też miasta takie są fenixami. Zarząd gminy miasta *Elberfeld* przyjął jeśli nie zupełnie też same, to podobne bardzo zasady w urządzeniu opieki nad ubogiemi. Instytucya ta działa wzorowo. Błogosławione te związki miłosierne, istniejące prawie wszędzie, gdzie mieszkają katolicy, świadczą najlepiej o żywotności katolickiego kościoła, rodzącego wciąż nowe, potrzebom czasu odpowiadające, zawsze równie piękne, owszem coraz niemal piękniejsze owoce.

4. Stowarzyszenia zawodowe.

A. Kongregacye i katolickie stowarzyszenia kupieckie.

Związki, te dziś bardzo rozszerzone, wzięły początek z kongregacyj N. P. Maryi, złożonych z młodych kupców a zostających pod kierunkiem zakonników. Kongregacye te utworzyły się w dość znacznej liczbie w miastach katolickich jak: Akwisgran, Kolonia, Koblencya, Monaster, Moguncya i t. d. W r. 1870, za pobudką

Liczba, skład i środki Towarzystw				Rezultaty czynności w pojedynczych latach			
	W roku 1883	W roku 1884	W roku 1885		W roku 1883	W roku 1884	W roku 1885
Liczba miast w których założone konferencye	67	69	70	Liczba dzieci utrzymywanych kosztem towarzystw w ochronkach	240	851	241
Liczba konferencyj	133	140	142	Liczba dzieci utrzymywanych kosztem towarzystw w szkołach przemysłowych	53	49	24
Liczba ogólna członków czynnych	3795	4136	4660	Liczba pielęgnowanych i wspieranych chorych	294	252	181
Liczba ogólna członków honorowych	5081	6124	6535	Liczba pielęgnowanych i wspieranych sierot	155	233	1260
Suma ogólna dochodów	131.733 marek	138.585 marek	168.992 marek	Liczba wspieranych rodzin	3758	3946	4323
	— pf.	— pf.	— pf.	Liczba wspieranych uczniów	117	124	101
Suma ogólna wydatków	123.447 marek	130.948 marek	137.490 marek	Liczba wspieranych więźniów nieznajdujących środków utrzymania po opuszczeniu więzień	156	96	114
	— pf.	— pf.	— pf.				

księdza dra Schmitz, kapelana w *Dusseldorfie*, założoną została w tem mieście podobnaż kongregacya Maryańska, do której mogli również należeć młodzi artyści. Kongreganiści obowiązani są brać udział w pewnych nabożeństwach, spełniać najakuratniej obowiązki chrześcijańskie i do tego innych pobudzać. W początku 1870 r. powstały też w innych miastach stowarzyszenia katolickie młodych kupców, z nieco odrębnym, od poprzednich, charakterem. Na kongresie odbytym w Moguncyi w 1877 r., deputacye wielu miast Niemieckich objawiły życzenie połączenia swoich stowarzyszeń z kongregacyami w jeden wielki związek. Kongres następny (1878 r.), zebrany w Koblencyi, przyprowadzając myśl tę do skutku, wzbudził do życia *Związek połączonych kongregacyj i stowarzyszeń katolickich młodych kupców*, określił różnostronne powinności stowarzyszonych i nadał ogólne statuty. Za dewizę wybrano dobre przysłowie: *Po katolicku w życiu, rzetelnie w handlu, (katholisch im Wandel, redlich im Handel)*. Związek generalny założył w Moguncyi *centralne bióro pośrednicze*, które utrzymuje ciągłą komunikacyę z biórami pojedynczych kongregacyj i stowarzyszeń.

Oto są główniejsze dane statystyczne Związku generalnego z roku 1885/6. Związek liczy dziewięć kongregacyj, mianowicie: w *Akwisgranie*, *Koblencyi*, *Kolonii*, *Dusseldorfie*, *Fryburgu*, *Moguncyi*, *Mülheimie* nad Renem, *Monasterze* i *Paderbornie*. Kongregacya Akwisgrańska jest najdawniejszą, bo datuje od 1855 roku. Nowsze kongregacye składają się w ogóle z 79 członków honorowych, 860 zwyczajnych, 224 nadzwyczajnych, 53 niezaliczonych do poprzednich klas, razem z 1222 członków. W wymienionym wyżej roku (1885/6) należało do związku trzydzieści sześć katolickich stowarzyszeń kupieckich, obecnie należy ich czterdzieści, które liczyły ogólnie 265 członków honorowych, 2395 zwyczajnych, 1449 nadzwyczajnych, 261 niezaliczonych do klas poprzednich, razem 4370 członków.

Kasa — utworzona na przypadek choroby i kasa pogrzebowa stowarzyszeń kupieckich — ma punkt swój środkowy w *Hannowerze*, oraz miejscowe zarządy w ośmiu różnych miastach.

Wszystkie korporacye należące do związku zgromadzają się corocznie na kongres, dla wspólnej narady o sprawach związku. Na

kongresie tym wybierany bywa zarząd, którego pieczy powierzane są na rok przyszły interesa i reprezentacya związku.

B. Stowarzyszenia robotników.

Stowarzyszenia robotników zwane „chrześcijańsko-socyalnemi związkami robotników“, nie są socyalnemi w znaczeniu berlińskiem, ale w znaczeniu rzymsko-katolickiem. Początek wzięły w 1869 r., po konferencyi biskupów zebranej w Fuldzie we wrześniu pomienionego roku. Celem ich jest religijno-obyczajowe i materyalne podniesienie stanu robotniczego. Z wielorakich pobudek, zwłaszcza z powodu braku księży i dlatego aby ich interesami i kłopotami pieniężnemi nie obciążać, przewodniczącym bywa zawsze nie ksiądz, lecz człowiek świecki doświadczony i w opinii publicznej wysoko stojący; obok niego zaś ksiądz zajmuje miejsce prezesa honorowego.

Większa część związków, o których mówimy, powstała wtedy, kiedy propaganda socyalno-demokratyczna poruszała wszelkie sprężyny kłamstwa i zwodniczej zachęty, aby przywabić robotników; ale we wszystkich tych miejscowościach, w których okoliczności sprzyjały rozszerzeniu związków chrześcijańsko-socyalnych, zwodziciele ludu doznali zupełnego *fiasco*. Związki te słusznie uważane być mogą za najlepszą przeciwwagę zgubnym naukom socyalnej demokracyi, do tego bowiem przedewszystkiem dążą, aby robotnik był zadowolniony z swego losu. Zmarły zawcześnie *Bongartz* wypowiedział swą myśl w tym względzie w dobitnych wyrazach: „Śledząc życie robotnika od kolebki aż do grobu, przyznać mu„simy, że nie spoczywa on na różach. Dzień w dzień od świtu do „późnego wieczora, ciężka, przykra, często ducha zabijająca praca „w zakopconych, zatrutych wyziewami warstatach, albo w podzie„miach, gdzie promień słońca niedochodzi; w znoju, w pocie czoła „pożywa robotnik chleb powszedni. Ciągła zależność od rozkazów, „często od samowoli zwierzchnika, tysiączne gorycze w obejściu się „ludzi nieokrzesanych; zakłócone życie domowe, przytem dość czę„sto troska o środki wyżywienia się i inne małe lub wielkie kło„poty i krzyże domowe; wszystko to wije wieniec cierniowy na „jego głowę. Cóż zaś utrzymuje robotnika w jego trudach i troskach, „w jego kłopotach i cierpieniach; czemu zawdzięcza, że przy co„dziennych zajęciach, których przedmiotem sama li materya, nie

„pogrąży się i on w prochu ziemi, nie zmateryalizuje się ostatecz-„nie, nie zstąpi do rzędu zwierząt? — zaiste, jedynie wierze, reli-„gii swej to zawdzięcza. Ona go pociesza w przeciwnościach i cier-„pieniach, ona mu wskazuje ciągle wyższe jego przeznaczenie, ona „go uszlachetnia, przyrzeka w życiu przyszłem tysiąckrotną zapłatę „za ziemskie jego troski i trudy i w ten sposób wlewa weń zado-„wolnienie z ziemskiego losu. Odejmcie robotnikom religię, a uczy-„nicie ich nieszczęśliwymi, i sprowadzicie nieszczęście na całe spo-„łeczeństwo!“ Związki chrześcijańsko-socyalne dążą do tego, aby robotników utrzymać w należytej, a nieodzownej podległości prawu Bożemu i ustawom ludzkim, dlatego też przyjmują tylko takich członków, którzy słowem i życiem wyznają religię chrześcijańską, a tem samem trzymają się zdala od wszelkich związków, dążących do celów chrześcijańskim zasadom przeciwnych. Przełożony związku czuwa bezustannie nad religijno-moralnem prowadzeniem się członków. Wszyscy członkowie w święta chodzić powinni do kościoła na mszę, a raz przynajmniej w rok przystępować do Sakramentów Pokuty i Ołtarza. Nadto obowiązani są uczestniczyć w procesyach i przyjmować wspólnie komunię św. w cztery wielkie święta doroczne. Według statutów prezes ma prawo wydalać ze związku członków, którzy ulegli pozbawieniu czci i praw obywatelskich, lub stali się winnymi ciężkich przestępstw przeciwko wierze i dobrym obyczajom.

Jednym z najważniejszych celów związku jest dostarczenie członkom towarzyskiej rozrywki, nie przykrzącej się, po chrześcijańsku wesołej i z jak najmniejszym kosztem połączonej. Robotnik czuje bardzo naturalną potrzebę rozrywki; lecz ta właśnie potrzeba staje się częstokroć przewodnikiem wiodącym na manowce grubych, zmysłowych, albo wprost grzesznych uciech. Celem utrzymania członków związku w oddaleniu od takich dróg, urządzone są w związku przyzwoite, niewinne, wesołe zebrania towarzyskie. W zebraniach tych krąży szklannica piwa, lecz wódka ściśle jest wyłączoną. Od czasu do czasu popularne wykłady publiczne, gromadzą ciekawych i dają im temat do długich pogadanek.

Śpiew choralny i muzyka, odczyty pism humorystycznej i poważnej treści i t. p. zapełniają czas przyjemnie i użytecznie. W obchodach wielkich uroczystości związkowych, jak rocznica jego zało-

żenia, oraz w koncertach, reprezentacyach teatralnych i t. p. mogą uczestniczyć także żony i dzieci członków. Aby zaś te zabawy ze środka nie przemieniły się w główny cel związku i nie budziły niezdrowego zamiłowania rozrywek, przełożony związku ogranicza je do pewnej ściśle wytkniętej miary, a chrześcijański tychże charakter zastrzeżonym jest rozmaitymi bardzo rozumnymi przepisami.

Interesa robotników znajdują w związku i przez związek najodpowiedniejszą reprezentacyę; nie stawiają jednak nigdy robotników w stosunku nieprzyjaźnym do pracodawców. Owszem, jeśli od czasu do czasu właściciel jakiej fabryki zamianowanym zostanie członkiem honorowym związku, wszyscy fakt ten przyjmują do wiadomości z niekłamaną radością.

Fakta te i wyrabiające się przez związki stosunki, rzucają żywe światło na zasadę wypowiedzianą przez Lassalla: „Jedną z głównych przyczyn potwornej fizjonomii dzisiejszego mieszczaństwa i społecznych katastrof, jest zimny, jakby nieosobisty stosunek przedsiębiorcy do robotnika, zapatrywanie się nań jak na rzecz, która podobnie innemu towarowi staje na rynku, płacona drożej lub taniej, stosownie do mniejszej lub większej produkcyi.

Dzięki chrześcijańskim zasadom i poglądom, zdołano z chrześcijańskiemi stowarzyszeniami robotników powiązać, stosownie do okoliczności osobistych i miejscowych, zakłady dobroczynne i kasy, których celem jest przyniesienie materyalnej ulgi członkom i zabezpieczenie ich przyszłości przeciw nieprzewidzianym wypadkom.

C. Towarzystwa i zakłady dla opieki nad wyrobnicami i dziewczętami służącemi.

Co *Kelping* zrobił dla robotników, dając im w swych stowarzyszeniach ognisko domowe, toż samo wymienione w nagłówku stowarzyszenia zrobiły dla tysiąców robotnic i wyrobnic sprowadzonych do miast fabrycznych nieodzowną potrzebą lub łudzącą nadzieją epszego losu. Stowarzyszenia te, na wzór urządzonych przez Kolpinga, zakładają i utrzymują gospody, mające biednym tym dziewczętom zastąpić, o ile można, dom rodzicielski. Za bardzo umiarkowane wynagrodzenie otrzymują dziewczęta pomieszkanie, czyste i porządne sypialnie, dobry stół, regularne opranie, a nadewszystko staranną macierzyńską pieczołowitość i dozór. Oprócz tego uczą się

praktycznie wszystkiego, co dobra gospodyni wiedzieć powinna. Porządek bowiem domowy nie nakłada żadnych przykrych ciężarów; zarząd gospody obchodzi się z wszystkiemi swemi gośćmi bez wyjątku z szczerze chrześcijańską miłością. Całe urządzenie domu zastosowanem jest do tego, aby na przebywających w nim wywrzeć jak najlepszy wpływ moralny i religijny. Wszechwładnie panuje tu: oszczędność, ochędóstwo, porządek, miłość wzajemna, a wszystko ożywione jest duchem Chrystusowym.

Towarzystwo opieki nad wyrobnicami, którym okoliczności niedozwoliły jeszcze założyć swej własnej gospody, starają się tymczasem pomieszczać dziewczęta przybyłe, niemające rodzicielskiego domu, przy uczciwych rodzinach katolickich i rozciągają tam nad niemi nadzór.

Wzorowe zakłady opisanych tutaj towarzystw znajdują się w *Monachyum*, *Gladbach* i w *Kerzen* nad *Renem*. Niedawno temu zmarły ekonomista *Thun* (protestant) takię wyrzekł zdanie o towarzystwach tych i gospodach. „Ten tylko może w słusznej mierze „ocenić dobro spływające z takich związków, kto sam przypatrzył „się w miastach fabrycznych prowadzeniu się wyrobnic. Twierdzić „można z pewnością, że każdy chłopak co niedzielę po południu wy„daje ze swą „ulubioną“ najmniej jednodzienny zarobek (16% „tygodniowego dochodu), najczęściej niekupując sobie za te pie„niądze żadnej ani prawdziwej, ani przyzwoitej przyjemności. Ure„gulowanie konsumpcyi przez dostarczenie sposobności do uciech „i rozrywek przyzwoitych, jest jeszcze może ważniejszem od starań „o zwiększenie dochodów. W tych warunkach dziewczęta zachowają „się z pewnością skromniej i przyzwoiciej“.

W *Viersen* założył w r. 1870 stowarzyszenie tego rodzaju ksiądz dr. *Norremberg*, kapelan miejscowy. Od r. 1877 towarzystwo to posiada własny obszerny dom związkowy z wielkim ogrodem. Wyrobnice związkowe w największej części liczą 16—22 lat wieku. Dla rozrywki ich i nauki urządzone są odczyty niedzielne, biblioteka związkowa, nauka śpiewu i t. d. Każdej niedzieli biegłe nauczycielki uczą je od 9—11 z rana prasować, od 4 do 6 po południu robót na drutach, cerowania, naprawiania, kroju i szycia. Gdzieniegdzie siostry miłosierdzia stają na czele tego rodzaju domów. Wyrobnice zbierają się każdego wieczora i pod przewodnic-

twem sióstr trudnią się różnemi kobiecemi robotami w zakresie najpotrzebniejszych robót domowych. W niedzielę o 1 po południu słuchają teoretycznego wykładu o sporządzaniu odzienia, szyciu, kucharstwie i ogrodnictwie. Następuje przechadzka, poczem wspólna modlitwa kończy ten dzień tak dobrze użyty.

Dla dziewcząt służebnych urządzone są domy mniej więcej na ten sam wzór. Zadaniem ich jest: 1. wykształcenie młodych dziewcząt na dobre służące. Dziewczęta starsze, poczciwe i niezepsute, wchodzą do zakładu jako wychowanki; uczą się gruntownie religii, czytania, pisania, rachunków i robót ręcznych, któremi później będą sobie mogły na chleb zarabiać; szycia bielizny, robót na drutach, sporządzania odzienia, kucharstwa, prania, prasowania. Pobyt wychowanic w zakładzie trwa dwa lub trzy lata, następnie zakład pomieszcza je w odpowiedniej służbie, nie przestaje wszakże, dopóki to jest możliwe, rozciągać nad niemi nadzoru i opieki. W tym okresie, słusznie do okoliczności, pobiera się od wychowanek małe wynagrodzenie. 2-gie Zakład ma pieczę o dziewczętach zostających w służbie, albo jej szukających. Każda przybywająca do miasta służąca, skoro tylko ma dobre świadectwa, lub zostanie przez poważną jakąś osobę poleconą, otrzymuje za małą opłatą pomieszkanie i całą opiekę w zakładzie, który też pośredniczy szukając dla niej odpowiedniej i, o ile można, dobrej służby. Podczas pobytu w zakładzie dziewczęta powinny poddać się porządkowi domu, który jednoczy je w życiu wspólnem, porządnem i wesołem. Dawniejsze wychowanki, które już w służbie znajdują się, mogą w niedziele i święta uroczyste przepędzać wolne godziny w zakładzie, gdzie mogą zabawić się w sposób przyjemny i użyteczny, oraz we wszystkich swych kłopotach i frasunkach zasięgnąć rady, a znaleść nieraz pociechę i pomoc. Kilkakrotnie w ciągu roku odbywają się wobec licznie zebranych słuchaczek o powinnościach ich stanu stosowne odczyty. Jeśli która z nich straci służbę bez własnej winy, znajduje w zakładzie przytułek i opiekę. Służące przychodzące do zdrowia po chorobie pielęgnowane są w zakładzie aż do zupełnego wyzdrowienia. 3-cie Dom opiekuńczy przyjmuje nadto służące niemogące już pracować na dożywotnie bezpłatne utrzymanie. Do tego dobrodziejstwa pierwsze prawo mają członkowie stowarzyszenia.

Skreślony tu żywemi farbami, ale bez żadnej przesady, piękny

obraz domów opieki nad służącemi wzięty jest z pism przedwcześnie zgasłego *Arnolda Bengartz* b. redaktora *Dziennika chrześcijańsko-socyalnego*, człowieka, który położył nader wielkie zasługi dla sfery robotniczej.

D. Towarzystwo gospodarstwa narodowego dla prowincyi Reńskiej.

Na wezwanie Landgrafa (Freiherr) *Felixa von Lue*, zgromadzili się katolicy różnych stanów w liczbie koło 250-ciu osób dnia 25 lipca 1877 r., dla założenia oddawna obmyślanego *towarzystwa gospodarstwa narodowego*. Komitet przygotowawczy opracował statuty, które zgromadzenie po rewizyi i obradach przyjęło.

§. 1. statutu tak brzmi:

Towarzystwo gospodarstwa narodowego, dla prowincyi Reńskiej, ma siedlisko w *Neuss*. Celem jego jest promowować dobrobyt w prowincyi reńskiej, jak np. interesa pieniężnych ubezpieczeń, sprawę oświaty ludowej, oraz wszystko, co wchodzi w zakres gospodarstwa wiejskiego, a to przez wydawanie gazety ekonomicznej i inne odpowiednie środki.

§. 2. Stanowi: że każdy mieszkaniec prowincyi Reńskiej może być członkiem towarzystwa. Przyjęcie wszakże zależy od komitetu rządzącego. Roczna wkładka wynosi trzy marki, za co otrzymuje każdy egzemplarz gazety wydawanej przez towarzystwo.

Owoce tego młodego jeszcze towarzystwa nie są jednak małoznaczące. Jemu zawdzięcza swe powstanie towarzystwo ubezpieczeń od ognia *Rheinland*, z kapitałem trzech milionów marek. Rozwija się ono nader szybko w prowincyi Reńskiej i zakasuje niejedno z dawniejszych towarzystw nadreńskich. Powstały także za inicyatywą towarzystwa gospodarstwa narodowego banki katolickie w kilku ważnych miejscowościach kraju. Liczba członków ciągle wzrasta. Gazeta towarzystwa, redagowana przez zdolnych ludzi, w trafny i zajmujący sposób spełnia swe zadanie. Towarzystwo to jednem słowem wywiązało się z obietnic wygłoszonych przy zawiązaniu jego, a zasługa jego tem większa, że rozwijało się wśród ciężkich nader warunków, i powszechnej niemal nieprzychylności wszystkich stanów społecznych.

E. Wolne stowarzyszenie katolickich socyalnych polityków.

Przed czterema laty komisarz zgromadzenia generalnego katolików niemieckich, książe *Karol Löwenstein*, miał sobie zleconem zwołać komitet katolickich polityków socyalnych dla obradowania nad umniejszeniem społecznych nędz naszych. Rezultat tych obrad miał być ogłoszony publiczności, celem wyrobienia podstawy, na której możnaby dalej roztrząsać te kwestye w gazetach i czasopismach. Wszyscy prawie, do których doszła odezwa ks. *Löwenstein*, przybyli na pierwszą konferencyę do zamku *Haid* w Czechach. Następne narady odbywały się w *Salzburgu* i w *Kleinheubach*. Na nich to roztrząsano kwestye lichwy, płacy robotników i obliczania onej, interesa rzemieślników i inne zadania społeczne, a wynik rozpraw ułożono w tezy i ogłoszono drukiem. Krytyka zarówno przychylna jak i przeciwna wystąpieniem tu swojem dodała wiele wagi całej rzeczy i przyczyniła się do rozpowszechnienia zbawiennych zasad i teoryj.

Nie jestto atoli instytucya trwała, ale czasowa, jak to widać z celu, jaki sobie wytknęła.

F. Związek polepszenia losu robotników (Arbeiterwohl).

Na szczególną uwagę zasługuje *związek polepszenia losu robotników*, złożony nie już z robotników, ale z pracodawców. Jest on wypływem czystej katolickiej miłości bliźniego, i jedynem w tym rodzaju stowarzyszeniem w Niemczech; żadne bowiem inne wyznanie religijne na nic podobnego tutaj dotychczas się nie zdobyło. Związek ten powstał w 1880 r. i założył czasopismo miesięczne: *Dobro robotników (Arbeiterwohl)*. Celem jego jest poznajomić ogół z istniejącemi dla polepszenia bytu robotników urządzeniami; wykazać w jaki sposób powstały, oraz o ile przyczyniły się one do polepszenia bytu materyalnego, do podniesienia sfery intellektualnej i moralności w stanie roboczym. Wiadomości te mają być pobudką do nowych rozpraw; jak urządzenia tego rodzaju w czyn wprowadzać, w jaki sposób zastosować je w obecnych warunkach, jak tę nową budowę dalej prowadzić, z uwzględnieniem miejscowości, prac i przedsiębiorstw; jakich szkopułów unikać, z jakich okoliczności

przyjaznych korzystać należy. Wszystko to nietylko przemysłowcom jako filantropom, lecz w szczególności duchowieństwu, wskazuje drogi i środki, ile każdy stan w swoim zakresie może być czynnym w rozwiązaniu licznych kwestyi społecznych. Wszystkie artykuły tego czasopisma *Dobro robotników*, skreślone są przez specyalistów w odnośnych materyach. Charakterystyczną cechą miesięcznika tego, jest wyłączenie artykułów treści politycznej lub specyalnie naukowej. *Dobro robotników* dla swego wskróś praktycznego charakteru musi z czasem zyskać uznanie wszystkich, bez względu na rozdział stronnictw. Członkowie związku otrzymują miesięcznik bezpłatnie. Osobom postronnym dostarcza go handel księgarski za cenę trzech marek.

Prócz tego rozszerza ten związek publikacye popularne, małe co do rozmiaru, ale ważne co do treści, o wysokiej psychologicznej wartości. Publikacye te znalazły powszechne uznanie w protestanckich nawet Prusach, iż zwróciły uwagę rządu, otrzymały zachętę i urzędowe zalecenie.

W ten sposób kończymy przegląd socyalnych katolickich stowarzyszeń, jak te w biegu lat ostatnich, pod naciskiem palących kwestyi socyalnych, tworzyły się i rozwijały. Rzut oka na całość przeświadczy, iż niepodobna nie przyznać katolickim Niemcom, że ocenieniem okoliczności i z należytem zrozumieniem, uczyniły wszystko, co tylko mogły w zakresie środków prewencyjnych przeciwko wybuchowi rewolucyi Stanu Czwartego, który zdaje się zdala zagrażać. Jeśli pomimo to nie okaże się to wystarczającem, aby socyalizm w szachu utrzymać, wina nie będzie po stronie katolickiej. Katolicy bowiem, (jako znaną jest historya deputowanych w Reichsracie niemieckim) oddawna to poznali, dokąd prowadzi kokietowanie z socyalną demokracyą.

Dr. Baumgarten.

ARTYSTA CHRZEŚCIJAŃSKI

FRYDERYK OVERBECK.

(Ciąg dalszy).

To też wyższe pojęcie odźwierciedla się mianowicie w życiu Overbecka i w jego codziennych z owej epoki zapiskach. Nic lepiej nas wtajemniczyć nie zdoła w myśli i aspiracye pobożnego artysty, jak te poufne zwierzenia, przechodzące niekiedy to w modlitwę, to w rachunek sumienia. Czasem zabłąka się tu jakie osobiste wspomnienie lub wrażenie, np. odwiedzin u rzeźbiarza Canovy, który słynął z łaskawości względem młodszych miłośników sztuki; albo jeszcze wędrówek po Rzymie, coraz to z większą powtarzanych rozkoszą. Pod datą np. 16 września doczytujemy się zdania, iż nie należałoby nigdy zwiedzać żadnego muzeum, inaczej jak po lekturze Homera, wobec arcydzieł greckiej sztuki raz po raz sobie jaki wiersz z Iliady przypominając. Odgłosy dnia rzadziej atoli tu dochodzą, raczej odgłosów duszy w tych zapiskach szukać trzeba. I tak na dzień 21 września 1811 roku znajdujemy ustęp następny, jakby dla utwierdzenia woli i serca pisany:

„Bądź wiernym twemu postanowieniu, poprawy i odmiany, i walcz tak długo, aż wszystko oporne z siebie wykorzenisz. Upokorz się przed Panem i stań się jakoby dziecięciem wobec Niego. Porzuć wszelką miłość własną, miej się za nic zgoła, i wspomnij, że wszystko coś dotąd dokonał, tylko za Bożą dokazałeś pomocą. Często sobie powtarzaj: Jednego tylko potrzeba! i niechaj cię wszystko wiedzie do zdobycia tego jednego. Niech się twe serce napełni bezinteresowną miłością. Dąż do mądrości, która jest zło-

żona w bojaźni Bożej i w najwyższem Dobru. Mądrość ta niechaj będzie pierwszą twą myślą rano, ostatnią wieczorem modlitwą. Mądrości! córo Boża, bądź mi towarzyszką w życiu, prowadź niepewne kroki moje po pewnych ścieżkach, aż do domu Ojca niebieskiego, do ojczyzny, którą zamieszkujesz! Ach! kiedym jeszcze był dzieckiem, już cię czułem falującą ku mnie niewidzialnie z drzew lasu, z kwiatów pola, z gwiazd firmamentu, już serce moje tęskniło za twą niewidzianą pięknością. Ścigałem cię jak myśliwy, uganiający się za dziką zwierzyną, ścigałem przez pola i lasy, przez ciernie i moczary! Niestety! za prędko wyczerpały się moje siły, znikałaś jako sen, jak urojenie, i upadałem znużony, aby znów powstać, znów za twemi ślady gonić wiernie. Pozwalałaś mi je odnaleść, ale mi swego oblicza nie odsłoniłaś, nie byłem godzien twą piękność oglądać. Przyjaciółko moja, wybrana moja! kogoż do ciebie przyrównam? Piękniejszą jesteś nad słońce i księżyc, słodszą nad gwiazdy wieczoru. Ach! gdybym mógł chociaż pod wieczór mego życia cię posiąść i na twojem spocząć łonie! Oby cię świat poznał, przyjaciółko moja! Ale ty od niego stronisz, gardzisz jego próżnym blichtrem. Wolisz się dzieciom odsłaniać, i pragnących cię nawiedzasz, ocierając wszystkie łzy z ich oczu, krzepiąc ich słodkiemi jak miód ust twoich wyrazy".

Wpływ ksiąg świętych znaczy się na tej gorącej apostrofie do Mądrości, przypominającej ulubioną Overbecka *Pieśń nad pieśniami*. Poetyczna jego wyobraźnia tak się dźwiękami owego hymnu miłości zachwycała, iż wymarzonemu ideałowi swej duszy nadawał w kole przyjaciół miano Sulamitki, skąd wynikły i pisane w bratniem kole legendy na średniowieczną modłę, i kartony, i obrazki z rzetelną artystyczną i psychologiczną wartością. Ale należą się czytelnikowi dalsze jeszcze urywki z dzienniczka Overbecka:

Dnia 9 października 1811 r. „Tylko nieprzerwana wewnętrzna modlitwa jest w stanie utrzymać natchnienie w artyście. Tylko czyste, porządne, nieskazitelne życie zapewnić mu może ten spokój serca i duszy, który jest koniecznym, aby prawdziwie czyste tworzyć dzieła. Jak czystem musiało być życie błogosławionego Anioła z Fiesole! beznamiętne, całe oddane niebiańskiej miłości! jak surowem i akuratnem było niezawodnie jego zakonne życie! Boże mój! do wszystkich łask, któremi mnie codziennie obdarzasz,

dodaj, błagam cię, i obfitość Ducha twego św.! Daj mi coraz lepsze zrozumienie Pisma św. i dzieł tych mistrzów, którzy w onego duchu tworzyli".

Dnia 13 października. „Słowo Boże jest prawdziwą do mądrości drogą. Obym tego nigdy z pamięci nie tracił! Pismo św. jest źródłem, z którego wszyscy sztukmistrze nowszych wieków czerpali, i my też bez wyczerpnięcia czerpać będziem. Tam to ludzie i artyści prawdziwą mądrość znajdą, ale tylko ten, kto Duchem św. odnowiony i odrodzony będzie, odczuje wysoką cenę sztuki".

Dnia 21 października. „Zgodne życie klasztorne; słodkość, samotności i oddalenia od świata: tylko w tych warunkach może prawdziwa sztuka zakwitnąć. Życzyłbym sobie zostać zakonnikiem. Aleć to niepodobieństwem! Czy jednak suknia czyni zakonnika? czy nie raczej serce i bogobojne życie? Pokora i posłuszeństwo na głos cnoty, czystość i wierność ślubom, miłosierdzie, miłość, wszystko łatwem czyni?"

Dnia 31 października. „Upłynął więc znów miesiąc cały. Początek poprawy, dzięki Bogu i za łaską Bożą, już zrobiony. Ale niestety! jakże mało dotąd postępu! jak wiele złych duchów zazdrości, próżności, lenistwa dotąd się w twojem sercu gnieździ! Tylko za pomocą modlitwy i postu można się ich pozbyć. Ach! gdybyś mógł wierzyć! Wszystko podobne wierzącemu! Wierzę Panie! wybaw mię z niedowiarstwa mego!"

Innego znów dnia, czując w sobie pewne zniecierpliwienie czy drażliwość, powtarza: „Zwalczyć tego nie można inaczej, jeno modlitwą i postem". Oczywiście i początek każdej roboty z osobna tu bywa wpisany; z szczególnym naciskiem oznaczony dzień, w którym chłopiec niegdyś w Lubece przed obrazem Najświętszej Panny rozmodlony, po raz pierwszy pokusił się o wymalowanie Madonny. Przedsięwzięcie to osobne mieć musiało dla młodzieńca znaczenie, skoro tak skwapliwie a gołosłownie podaje dzień zaczęcia i zakończenia obrazu, i kilkakrotnie doń się wraca.

Jednocześnie poznajemy lepiej z tych zapisków ustrój życia Łukaszowych braci. Od zakonnego jest ono pod pewnemi względami surowsze; w czasie powszechnej miękkości i ogólnego dążenia do wygód, budzi prawdziwy podziw! Praca wypełnia sumiennie

dzień cały; rysują, malują pilnie, drzwi zatarasowane, kolegom się nie otwiera, niech pukają jak długo chcą. Osłodą i rekreacyą — wędrówki po Rzymie, oraz wspólne wieczory, nieraz ożywione żwawą o rzeczach sztuki dyskusyą. Zresztą bieda rzec można i nędza. Każdy z artystów po kolei kucharzem, a zadanie to nie bardzo zawiłe, skoro obiad się ogranicza na mącznej polewce i jarzynie bez innej przyprawy jak sól i artystyczna rozmowa. Towarzysze — co prawda — nie wybredni, przyznają Overbeckowi najwyższy talent kulinarny. Nie mistrzem on tylko, lecz niekiedy i kuchmistrzem. Mięsa nigdy nie widać na studenckim stole. Po niejakim czasie, lękając się utraty sił, Overbeck zapisuje postanowienie, iż przynajmniej w niedzielę chodzić będzie do restauracyi na mięsny obiad, i codziennie nieco wina wypije. Dotąd wino pojawiało się tylko w dni uroczyście przyjaźnią święcone i wtedy go nie szczędzono, przeciągając z animuszem niemieckich studentów późno w noc serdeczną rozmowę raz po raz przerywaną wesołym toastem.

Aby wytrzymać to spartańskie życie, trzeba było zaiste wielką miłością ukochać sztukę, i wielki też w sercu chować zapał, skoro go ni głód, ni chłód wystudzić nie zdołały. Ale Overbeck miał jeszcze inny wzgląd, zobowiązujący do coraz twardszego i oszczędniejszego życia. Żelazna ręka despoty panującego wówczas nad Rzymem, rozciągała się i nad Lubeką. Los tego miasta stawał się coraz opłakańszym. Wszystko podbił zaborca; nowy obyczaj i obce prawa wstąpiły w miejsce dawnych krajowych instytucyj i tradycyj. Jedynie mowa ojców ostatnim, nietkniętym pozostała skarbem. Materyalne stosunki coraz się pogorszały, najpewniejsze upadały firmy! Rodzice Overbecka w coraz trudniejszem znajdowali się położeniu. Ojciec zalecał przeczekać te czarne chwile, za pomocą cierpliwości i męztwa. Cała rodzina pobożną myśl zwracała do Boga, modląc się o pomoc, ciesząc, że przynajmniej ukochany Frydryk daleko, nie doznaje bezpośredniego zetknięcia z tą niedolą, a listami tchnącemi sztuką i nadzieją orzeźwia smutnych rodaków pozostałych w ojczystem mieście.

Overbeck jednak, dowiedziawszy się ubocznie o położeniu rodziców, postanowił ulżyć im ciężaru, zdobywając sobie niepodległość materyalną, choćby zdwojoną pracą. W tem celu najprzód chwycił się lekcyj rysunku, i zapewniwszy sobie pierwszych kilka

godzin, pisał z szczerą radością: „Dzięki Tobie o Panie! będzie to ulgą dla rodziców, którzy takie ciężary obecnie znoszą. Obym mógł na ich utrzymanie zapracować!“ Marzył bowiem, nietylko o wystarczeniu własnemi środkami, lecz jeszcze o wspomaganiu swoich zarobionym groszem. Dotąd wszystkie jego roboty były, bądź tylko szkolnemi ćwiczeniami lub osobistą zabawą, bądź pamiątkami rozdawanemi bliskim. Bractwo Łukasza nie znało też co moje lub twoje, gdy który obfitsze z domu otrzymał zasiłki, wnet dzielił się z innymi. Na Overbecku zaczęła ciężyć osobna troska, z powodu smutnych rodzicielskich stosunków. Aż oto w tej właśnie próbie, najniespodziewańszy nadszedł obstalunek: wymalowanie obrazu dla królowej Bawarskiej. Overbeck zapisuje rozkosz tej chwili. Nie umiał znaleść słowa odpowiedzi, padł na kolana, aby Bogu podziękować, poczem pobiegł dobrą wieścią podzielić się z braćmi. Było to 16 grudnia 1811 r. „Błogosławiony dzień, którego przez całe życie nie zapomnę i Pana zań chwalić będę. Już tedy rodzicom nie będę ciężarem“. Wybór przedmiotu miał być dowolnym, Overbeck chwycił się dawno snującego mu się po głowie hołdu trzech króli w Betleem. W kilka dni później zapisuje w dzienniczku: „Pisałem do Lubeki. Co za radość! teraz nareszcie rodzice mogą już dalszej troski o mnie zaniechać, a szczęście moje pokrzepi ich w obecnych smutkach. Stanąłeś tedy na długo wyczekiwanym punkcie wytycznym. Jesteś nareszcie, albo raczej jesteś już mężem, niezależnym artystą, który w swej pracowni, jak król nad całem państwem fantazyi władnie, i sam sobie piękny świat tworzy. Dla tego jednak nie sądź, żeś się już wszystkiego nauczył, owszem, pamiętaj, iż artysta do końca życia studentem być musi i codziennie starać się winien, aby dalej i dalej postąpić. Składaj atoli dzięki Najwyższemu za miłosierdzie, z jakiem nad tobą czuwa“.

Wynagrodzenie pracy nie podcina, jak widzimy, skrzydeł ideału, nie obciąża materyalnym zarobkiem polotu ku wyżynom. Owszem, gdy czysta pobudka kieruje trudem, gdy cel szlachetny pobudza do znoju, ziemska nawet zapłata otrzymuje rodzaj uświęcenia. Nie darmo ojciec Gratry piorunując przeciw zbytkom i nadużyciom dostatków, dodaje, że pieniądz osobną ma wartość i znaczenie, gdy się zważy, iż przedstawia pot i łzy tysiąców, i stąd winien wzbudzać poszanowanie i na dobre tylko być używanym. Zresztą nie

było obawy, aby Overbeck kiedykolwiek miał sztukę zamienić w zyskowne rzemiosło. W kilka dni po owym pierwszym wybuchu radości, pisze: „Zacząłem rysować karton do obrazu dla królowej bawarskiej. Boże, błogosławić racz tej mojej pracy! Wiesz Panie, iż niczego tak bardzo nie pragnę, jak sztukę posiąść doskonale, i tworzyć dzieła, któreby mogły poruszać i wzbudzać najgłębsze uczucia. Wszystkie siły teraz skupię i w Panu zaufam, który nieraz wielkie rzeczy za pośrednictwem słabych dłoni dopełnia. Upodobał sobie tych, którzy z serca się przed nim korzą i na Jego pomocy budują". Niebawem zapisuje dzień rozpoczęcia samegoż obrazu: „Dziś tedy zacząłem malować moich Trzech króli. Wiosna już nadchodzi, na drzewach pączki się okazują, i w krótce się cała odnowi natura. Daj mi o Boże Zbawicielu i Wspomożycielu mój, odnowić się w duchu, odnów we mnie wszystkie dawne uczucia artystyczne, które mnie napełniały, gdym wskrzeszenie Łazarza malował. Wtedy tylko bowiem sztuka prawdziwe przynosi korzyści, gdy wzmacnia miłość Boga i miłość piękna, gdy poświęca serce sztukmistrza na świątynię wszelakiej cnoty".

Gromadka Łukaszowych braci nie przepomina o domowej gwiazdce. Na stole rzęsiście oświeconem, wśród darów wzajemnych, Madonna Overbeck'a wieńcem z zieloności ozdobiona, króluje nad rodzinnem świętem. Koledzy w tydzień później razem obchodzą koniec roku i początek nowego. „Doczekaliśmy północy i na parę minut przed dwunastą udaliśmy się na chórek klasztorny, aby z biciem zegaru pobożną pieśń zanucić. Towarzyszyłem na organach chórem śpiewanemu hymnowi: *Nun danket alle Gott.*

Tymczasem okoliczności zmieniały nieco ustrój i skład bractwa. Jeden z towarzyszów opuścił Rzym; drugiego, Pforr'a, długa choroba powaliła na łoże cierpienia, z którego wstać już nie miał. Przywiózł on z wycieczki do Neapolu i Poestum zaród śmiertelnej choroby i nieuleczony kaszel. Nadzwyczaj stąd ciężka dla braci wywiązała się próba. Wielkie ich ubóstwo, niedoświadczenie i młodość, nie pozwalały im otoczyć chorego należytemi staraniami. A jednak najlepszym dowodem jak się wszyscy wyprzedzali w tem zadaniu miłości, nagłe urwanie zapisków Overbeck'a, wyznanie, że i twórczość jego artystyczna chwilowemu zastojowi uległa, słowem przerwa i zmiana w dotychczasowych warunkach życia. W ostatnich bowiem

miesiącach zastęp młodych reformatorów sztuki rozszerzył się był wspólnikami idącymi w tym samym co i oni kierunku, choć nie koniecznie należącymi do związku. Celki klasztoru św. Izydora były zbyt ciasne dla sztalug lub modeli. Stąd umyślono w refektarzu klasztornym wieczorne urządzić ćwiczenia, zwane akademią. Uczestniczyli w nich Veit, Xeller, Cornelius, Jan Veit, Cateb i Schadon, oprócz samychże mieszkańców klasztoru. Przy wspólnej robocie, postępy szły raźno naprzód: rysowano z natury, zaprawiano się w malowaniu draperyi i fałdów. Wierni jednak zasadzie, iż tylko duszą do dusz przemówić można, bracia Łukaszowi w akademii wykonywali same tylko studya i szczegóły, obrazy natomiast malując z pamięci i natchnienia, w ciszy i samotności swych celi, gdzie niebezpieczeństwo zbytniego naturalizmu nie mogło im stanąć na drodze.

W tych to wspólnych ćwiczeniach przodował Overbeck. Pod względem rysunku nie miał bodaj równego, i posiadał doskonale ten fundament sztuki. Jaskrawym kolorystą nigdy zostać nie chciał, choć go światły ojciec zdawna napominał, aby nauczył się dokładnie i wyraziście malować. Główna atoli wyższość jego talentu zasadzała się na niedościgłej doskonałości rysunku. Wspomnieliśmy przed chwilą imię Corneliusa. Wielki ten malarz miał zająć w życiu Overbeck'a i w dziejach odrodzenia sztuki odrębne stanowisko. Przyszły filar Łukaszowego związku, sztukmistrz z łaski Boskiej, jakiego nie każde stulecie posiada, urodził się był w Dysseldorfie w 1783. Był tedy o sześć lat starszym od Overbeck'a; poprzedzała go w Rzymie sława pięknych illustracyi Fausta, w których okazał i własny, niepospolity talent, i zrozumienie geniuszu Goethego. Opatrzność zesłała go Overbeck'owi w chwili bolesnego osierocenia. Choroba Pfarr'a, tego najmilszego brata i towarzysza, szybkiemi postępowała kroki. Ciągnące się jeszcze przez jakiś czas zapiski Overbecka wtajemniczają nas w cierpienia jego duszy. „Gaśnie codziennie nadzieja wyzdrowienia, żaden już środek nie działa. Wszechmocny i litościwy Boże! jeśli podobna, oddal od nas ten kielich goryczy! Ale nie wchodź ze mną w sąd, nie moja lecz Twoja niech się dzieje wola. Tak się sercem z nim zrosłem, z nim przebyłem prawdziwy maj życia. Jego przyjaźń zastąpiła dla mnie miłość kobiety! a teraz grób ma nas rozłączyć!".

Wciąż powtarza się modlitwa o zachowaniu ukochanego, którego życie, rad byłby własnem okupić. W tych to ciężkich dniach nastąpiło po kilkomiesięcznej znajomości wzajemne zbliżenie się Corneliusa do Overbeck'a. Pod datą 28 lutego 1812 r. czytamy w dzienniczku: „Zesłał mi Bóg w swej widomej łasce skarb nieoceniony, przyjaciela! Niezapomnianym będzie dla mnie wieczór, w którym pozyskałem przyjaźń Corneliusa i nazwałem go bratem! Boże mój! zachowaj mi miłość tylu dobrych i szlachetnych ludzi, daj mi stać się coraz godniejszym ich przyjaźni! Związek nasz został zawartym pod otwartem niebem — na zawsze! Niech będzie świętą godzina, w której to nastąpiło, świętem miejsce, gdzie uścisk bratni nas połączył!" Nastąpił obchód zapisania Corneliusa do towarzystwa św. Łukasza, skromna uczta z mnóstwem śpiewów i toastów. Stary klasztorek zabrzmiał pięknemi niemieckiemi pieśniami, wśród których przyjaciele wspominają Szyllera *Lied an die Freude* i hymn: *Am Rhein*. Nazajutrz towarzysze wybrali się razem wzdłuż Tybru na daleką za miasto przechadzkę, zwiedzili Bazylikę św. Pawła, i dopiero wieczorem powrócili do domu.

Bliska śmierć jednego z pośród najbliższego koła wybranych przyjaciół, nastrajała oczywiście do coraz poważniejszych myśli. U Overbeck'a z dawną pobożnością łączy się jakiś niepokój religijny. To wspomina długą wieczorną rozmowę z przyjacielem o kwestyach wiary, innym razem dyskusyę o sakramencie ołtarza wobec *Dysputy* Rafaela. Wyraźnie rozpoczyna się wewnętrzny jakiś przełom. Pokój i niepokój na przemian duszą targa: „Tomasz a Kempis zawsze dla mnie najlepszym przybocznym nauczycielem". Zaczyna co niedziela uczęszczać na rychłe nabożeństwo w sąsiednim kościele. Cornelius, pisząc w owym czasie do jednego z niemieckich przyjaciół, po szerszym opisie Łukaszowego związku dodaje: „Overbeck jest tym z pośród braci, który słodyczą swej duszy i siłą swego szlachetnego ducha innych wokoło siebie skupia i do wyższych rzeczy zapala. Kto wie, azali on nie największym artystą z pośród tych wszystkich, którzy tu mieszkają? Zadziwiłbyś się na widok jego robót. A przytem jest on uosobieniem pokory i skromności".

Niebawem umierającego kolegę przeniesiono do Albano. Ale i świeże powietrze uzdrowić go nie mogło. Znosił z wielką cierpliwością rosnące cierpienia: wieczorem 16 czerwca, Overbeck prze-

czytał mu opis męki Zbawiciela Pana według św. Łukasza. Słuchał z wytężeniem uwagi, z pogodą i przytomnością nie zwiastującą bliskiego końca, który nastąpił lekko, pogrążając Overbecka w nieutulonej żałobie. Złożywszy przyjaciela w ustronnym grobie, udał się wraz z Corneliusem na kilko tygodniowy odpoczynek do Ariccia. Pobyt ten orzeźwił zarazem i duszę jego skołataną i talent i ciało. Czar przyrody podziałał dodatnio na jego usposobienie. Stosunek z Corneliusem ścieśniał się rosnącą między nimi harmonią. „Zaczynamy dzień i kończymy krótką lekturą z Pisma św., co tak odpowiada moim potrzebom, tak zdrowo działa na nas obojgu“, pisze Overbeck do jednego z przyjaciół. „Żyjemy tu szczęśliwi, o ile to podobnem, po tak ciężkiej stracie. Codzienne rozmowy religijnej treści, które nas unoszą po nad życie i koniec onego, łagodzą żal nasz i zbliżają do ubłogosławionego ducha naszego nieboszczyka. Gdyby nie bliskość Albano i świeżość wspomnień żałobnych, niemal z słodyczą myślałbym już dziś o jego śmierci, która udarzyła go błogą szczęśliwością, w zamian za ciężkie, nużące życie“. W korespondencyi Overbecka czuć uciszenie po burzy serca miotanego ciężką żałobą. Czuje on i przyznaje, że pobyt w Ariccia pod każdym względem mu wychodzi na dobre. „Im jednostajniejsze moje zewnętrzne życie, tem bogatszem wewnętrzne bywa A o ileż to wewnętrzne życie od zewnętrznego szczęśliwszem!“ Ale nie długie są te wakacye. Mimo oszczędności i skromnego, wieśniaczego utrzymania, młodzieńcy rychło spostrzegają, że szczupłe fundusze lada chwila rozpłyną się w nicość. Czas tedy wrócić do Rzymu, zawierzając stale „wielkiemu skarbnikowi w niebiesiech“. Raz po raz też dowody troskliwej opieki tego skarbnika nad sobą czują. To jeden z nich niespodziane otrzymuje stypendyum, to drugi odbiera z domu przesyłkę pieniężną, to Overbeck nowe zapisuje obstalunki, i cieszy się, Bogu dziękuje, i napomina sam siebie, aby się nie wzbijać w pychę, ani w wysokie o sobie rozumienie, powtarzając wciąż, że serce sztukmistrza winno być naczyniem Ducha św. Choć raz po raz obfitsze płyną środki utrzymania, w niczem nie zmienia się tryb niby ubóstwu poświęconego życia klasztornego. Rachunki z tych czasów pozostałe, ograniczają się na polewce i mleku, cytrynach i pomarańczach. Kasyerem braci był Overbeck, wierny wpojonemu przez matkę domowemu ładowi.

Ustronne to i umartwione życie oczywiście zwróciło na się uwagę, bodaj niechętną, innych artystów. Bracia Łukaszowi nie radzi się wdawali z tymi, którzy nie dzielili ich zapatrywań i zasad w sztuce. Owa wyłączność niemało im wzbudziła nieprzyjaciół. Przezwano ich Nazareńczykami i *Nazareni*, a miano to pozostało im na długo, nawet gdy przestali mieszkać w klasztorku św. Izydora, co mniej więcej w tym właśnie nastąpiło czasie. Przybyli do Rzymu pełni ognia i zapału, marząc o odrodzeniu sztuki, odnowieniu ducha, wyswobodzenia natchnień osobistych z kleszczy konwencyonalnych prawideł mody i techniki akademicznej, wrażenia podniosłe w jakie Miasto Wieczne obfituje, samaż atmosfera starożytnej i artystycznej Romy, spotęgowała jeszcze ich zamiary i zapały, rozwinęła przyrodzone każdemu dary, dążnościom skrzydeł dodała. Krótki epizod wspólnego zakonnego życia w San Isidoro pozostał dla wszystkich uczestników promiennem wspomnieniem, a dla tych, którzy pragną posiąść tajemnice sztuki, służyć może za piękny przykład i szkołę, wskazując wiodące ku tak podniosłemu celowi szlaki, drogą pracy, modlitwy i wyrzeczenia. W tych warunkach, nie sam tylko talent się rozwijał, ale i dusza nabierała hartu i wyższego polotu, ciągłem stopniowaniem ku wyższej doskonałości, coraz goretszem umiłowaniem dawcy wszelkiego dobra i źródła wszelakiego piękna. Kto raz na podobną wstąpi drogę, już się nie cofnie ani zboczy, lecz każdodzienną wytrwałą pracą zasługuje sobie na pełniejszą łaskę i obfitsze światło. Tak się też stało i z Frydrykiem Overbeck'iem.

Widzieliśmy, iż z bogobojnego domu wyniósł chrześcijańskie zasady i chrześcijańskie też nawyknienia. Rozczytywanie się w Piśmie św. od najmłodszych lat było jego każdodzienną praktyką i rozkoszą. Przedewszystkiem powracał do kazania na Górze, szukał słów i nauk Zbawiciela u czterech Ewangelistów, z listów apostolskich odczytywał najchętniej końcowe rozdziały z listu do Rzymian, oba listy do Koryntyan, mianowicie rozdział trzynasty z listu pierwszego, listy do Tymoteusza i Tyta, list św. Jakóba, nareszcie z księgi Objawienia, odezwę do siedmiu kościołów.

Szukał tedy Overbeck pilnie Chrystusa w Piśmie św., a tymczasem coraz inne, coraz większe wątpliwości nasuwały się, rosły, nie dawały pokoju. Widział, iż również i dla katolików księgi

święte mają znaczenie Objawienia Bożego, lecz że w Kościele szukają i znajdują oni zatwierdzenie i ubezpieczenie swej wiary. Zrazu przypisywał wewnętrzny rozstrój i niepokój niedostatkowi pomocy religijnej, wstrzymaniu się od uczestniczenia w uczcie Pańskiej i udziału w nabożeństwach swego wyznania. Istotnie od wyjazdu z Wiednia nie miał ku temu żadnej sposobności: do r. 1818, nie było żadnego protestanckiego zboru w Rzymie. Wierzący i pobożni innowiercy, w braku własnego przybytku, nawykali uczęszczać do katolickich kościołów.

I nasz Overbeck, utęskniony za nabożeństwem i ćwiczeniami wiary, jął chodzić na mszę niedzielną. Trapiła go ustawicznie myśl, dlaczego, kiedy Chrystus mówi tylko o jednym pasterzu i jednej owczarni, ludzie rozchodzą się na tyle wyznań, w tylu różnych idą kierunkach. Czytanie ksiąg o Naśladowaniu, oraz dziejów wiary chrześcijańskiej hr. Stolberga, wielką mu w tym okresie życia przyniosło ulgę.

Z klasztoru św. Izydora przeniósł się był wówczas Overbeck do pałacu Guarnieri obok Monte Pincio, gdzie zajął wspólne i obszerniejsze mieszkanie z Janem Veit, pasierbem Schlegla, a coraz bliższym przyjacielem swoim. I Veit, i gospodarz domu, rzeźbiarz Pulini, z nietajoną radością powitali wprowadzającego się pod ich dach Overbecka. Świeża śmierć jednego z towarzyszów zwracała myśli Łukaszowych braci ku rzeczom poważnym i nadprzyrodzonym. Jeden z nich, katolik z urodzenia, ale ostudzony w wierze i praktyce życia chrześcijańskiego, wrócił w tymże czasie do Boga i dzielił się z braćmi pociechą odrodzonego, uspokojonego sumienia. W czasie nieobecności Overbecka i Corneliusa garstka uczestników wieczornych akademii w klasztorze św. Izydora, umyśliła była uprosić pewnego światłego kapłana, aby zechciał przez pewien czas miewać dla nich konferencye duchownej treści. Kapłanem tym, którego wszyscy słusznie nazywali wypróbowanym dusz lekarzem był *Abbate* Pietro Ostini, profesor historyi kościelnej w kolegium rzymskiem, późniejszy nuncyusz w Wiedniu i kardynał św. rzymskiego Kościoła. Łukaszowe bractwo nie od dziś o nim wiedziało. Ks. Ostini przyjął był na łono katolickiego kościoła wielkiego przyjaciela związku, a w szczególności Overbecka, dra Chrystyana Schlossera, którego imie i listy często w toku niniejszej biografii powracają. Schlosser

powinowaty Goethe'go był jedną z najpiękniejszych postaci owego czasu; młody, utalentowany, pełen zapału i cnoty, czcią dla Dante'go przywiedziony został do Włoch i do progów katolickiego kościoła. Przekładem *Boskiej komedyi* zarobił sobie na sławę w ojczyźnie, gorące zaś przywiązanie i wysoki szacunek, jaki dla niego chowali mężowie takiej miary, jak Overbeck i jego towarzysze, wymownie o nim i za nim świadczą. Kto wie, azali obok Schlossera inny jeszcze pośrednik nie zbliżył Łukaszowych braci do Ostini'ego. Kapłan ten wedle serca Bożego nie jedną wybitną zdobyczą dla katolickiego kościoła mógł się pochlubić. Przed przybyciem Overbeck'a do Rzymu, ks. Ostini przyjął był na łono Prawdy sławnego publicystę, barona Ecksteina. W jego też ręce, już z wiosną 1810 r., złożył był wyznanie wiary słynny z awanturniczego życia i ognistej duszy poeta, Zacharyasz Werner. Postać to oryginalna, interesująca, zagadkowa. „Jego obłąkanie, pokuta, skrucha, żal i dążności, wszystko jest poezyą", mawiał o nim inny wieszcz współczesny. Dla nas postać to tem ciekawsza, iż licznemi stosunkami z Polską związana. Młodzieńcem gościł w Warszawie, jako członek administracyi Prus południowych. W starszym wieku nieraz myśl i serce zwracał ku Polsce, a przyjaźń ks. Stanisława Chołoniewskiego i hr. Mikołaja Grocholskiego przyciągała go ku Kamieńcowi Podolskiemu. Nawrócenie jego było tak nagłe i niespodziewane, że zrazu niedowierzano stałości jego zwrotu na drodze życia, co mu było źródłem niewypowiedzianego bólu. Błogosławiony Klemens Hofbauer został aniołem stróżem tej bujnej i gwałtownej natury. Pod jego opieką i strażą, Zacharyasz Werner, jako kapłan i mówca kościelny, wielkie oddał usługi sprawie Bożej. W czasie kongresu wiedeńskiego, ukoronowane głowy korzyły się i kruszyły pod jego słowem natchnionem w kościele Augustyanów. Przetrawiony wewnętrznym ogniem, kapłan-poeta wcześnie swój żywot doczesny zakończył, i spoczął na cichym w Luzerndorf pod Wiedniem cmentarzu obok przewodnika swego Ojca Hofbauera, teraz na Ołtarze podniesionego. Skłonny do zapałów i uniesień Werner, nie został obojętnym na poezyą życia artystycznej młodzieży u św. Izydora. Zwłaszcza dla Overbecka taką zapłonął przyjaźnią, iż go nazywał seraficznym kunstmistrzem, uczestniczył w wieczornych rozmowach i zebraniach

nowej szkoły, nie zaznał spokoju, dopóki go nie włączono w poczet Łukaszowych braci, jako artystę poetę, nie malarza.

Ostini od kilku już dni raczył swych słuchaczów duchownemi konferencyami, gdy Overbeck powrócił z Ariccia. Koledzy namówili go, aby wespół z nimi udał się pewnego wieczora na oznaczoną godzinę do mieszkania Ostini'ego na placu Sciarra. Więcej z ciekawości, niżeli z innej jakiej przyczyny, poszedł za drugimi, aby przysłuchać się prywatnemu wykładowi profesora. Jakież było jego zdumienie, gdy zamiast fanatycznych wykrzykników, nietoleranckich, nienawistnych przekleństw, których się spodziewał, usłyszał słowa przyznające i wolną wolę i swobodę sądu we wszystkich kierunkach, z jednem tylko zastrzeżeniem poddawania się w rzeczach duchownych i sprawach religijnych najwyższej wyroczni rozstrzygającego Kościoła. Uczony profesor, widząc przed sobą grono chrześcijańskiej i wykształconej młodzieży, kładł przedewszystkiem nacisk posługując się słowami Ojców świętych na władzę i przewagę Kościoła i na jego posłannictwo apostolskie. Powtarzał, iż Chrystus nie powiedział: Weźcie biblię, a kto w jej słowa nie uwierzy, potępion będzie; lecz rzekł: idźcie a nauczajcie narody. I oto roztaczał się przed słuchaczami wspaniały ustrój i rozwój Kościoła, poczet następców Piotrowych, wiekuista jedność i nieśmiertelna rodzajność Oblubienicy Chrystusowej. Różni różnie przyjmowali słowo Boże: Powtarzała się w życiu przypowieść o siewaczu ewangelicznym. Ziarno dobre padało to na opokę, to wśród cierni, to opodal drogi, świeckiemi wyparte myślami. W duszy Overbeck'a znalazło ono rolę dobrą, mogącą setny wydać owoc. Nie tylko chwytał on całą duszą słowa profesora, ale je dopełniał w domu pilnem rozczytywaniem się w pismach Ojców Kościoła. Przechowały się z onego okresu nieprzeliczone zeszyty pełne wyciągów z pism św. Ignacego, Klemensa, Ireneusza, Cypryana, Orygenesa, Laktancyusza, Bazylego, Atanazego, Hieronima, Augustyna, dotyczące przeważnie kwestyi jedności i władzy katolickiego Kościoła. Zgodność ich nauk z nauką głoszoną przez Ostini'ego głęboko uderzyła i poruszyła Overbecka. Ale, jakby mu niedość było na tych świadectwach, jął wertować dzieła Lutra, i w tych odnalazł nowe dowody przyznające kościołowi katolickiemu i wyższość i władzę i pierwszeństwo. Dwustronnie utwierdzony w przekonaniu o nadprzyrodzonej misyi

katolickiego kościoła, młody malarz byłby natychmiast ostateczne poczynił kroki, aby na jego łonie znaleść pokój i zbawienie, gdyby nie wzgląd na rodziców, którzy dotkliwie odczuli wiadomość o zamierzonej odmianie. Ojciec mianowicie, który miał wiele przesądów do katolicyzmu i wstręt do „trybunału wiary“ odejmującego „wszelką niezależność sumienia“, krwawe synowi robił wyrzuty, usiłował go poruszyć listami pełnymi łez i żalu, żądał opuszczenia Rzymu, oddalenia się od przyjaciół, którzy zapewne, jak wyrażał się, obałamucili w głowie jego wrażliwą wyobraźnię. Listy ojca zasmuciły lecz nie wstrząsnęły Overbecka w coraz stalszym postanowieniu. Wielką pomocą i poparciem w onych trudnych przejściach była mu korespondencya z nawróconym poprzednio a szczerze pobożnym Schlosserem. Ten ostatni powtarzał mu, aby cierpliwie i pokornie sprawę swoją w Boże złożyć ręce, nic nie naglić, nie zrywać się, lecz czekać powołania i rozkazu z góry.

Potrzeba widomego Kościoła, oto był kardynalny punkt, który podbił i przekonał Frydryka Overbecka; nie świetność obrzędów, nie zewnętrzne blaski kultu, lecz ta to potrzeba i konieczność zmieniła ostatecznie jego dotychczasowe zapatrywania. Powtarzał to ustawicznie ojcu, wstrzymującemu go od ostatecznego kroku. Dłuższa zwłoka mogłaby na szwank wystawić sprawę własnego zbawienia, i dlatego młody artysta postanowił nie opóźniać dłużej swego nawrócenia i dnia 13 kwietnia 1813 r. złożył wyznanie wiary katolickiej przed grobem św. Alojzego, w ręce profesora Ostini'ego. W dniu tym przypadała niedziela Palmowa: godłem Overbecka, nie od dziś obranem, była palmowa gałązka; przybył do Rzymu z rozpoczętym na wielką skalę obrazem upamiętniającym wjazd do Jerozolimy Zbawiciela Pana. Wszystko to dziwnie harmonijnie przemawiało do duszy młodego malarza łączącego się z prawdziwym Kościołem, aby w nim, jak pisał sam do jednego z przyjaciół, znaleść niewysłowiony pokój dla duszy, zaspokojenie serca, przewodnią gwiazdę dla rozumu.

Overbeck znajdował się w 24 roku życia. W chwili w której przeszedł na łono katolickiego kościoła, towarzysze jego po większej części byli rozproszeni poza Rzymem. Stąd wrażenia owego uroczystego kroku utrwaliły się w przyjacielskiej korespondencyi. Pilno mu przyszło mianowicie podzielić się ową dobrą wieścią z pobożnym

Suttere'm, owym pozostałym w Wiedniu kolegą, którego doskonałość Frydryk tak uwielbiał, iż upatrywał w nim jednego z tych „co zawsze za Barankiem postępują".

Na początku tłumaczy się Overbeck przyjacielowi z przydłuższego milczenia: „Szczęściem ani choroba, ani żadna przykrość „tego powodem nie była, lecz coś innego za co serce moje przez „całe życie chwalić Pana nie przestanie. Za powrotem moim ze wsi, „poznałem duchownego, który za wzór świeckiego kapłana może „być uważanym, taka w nim gorliwość, taka wiara obok wyso- „kiego wykształcenia, tak niewolące serca obejście. Często i długo „rozmyślałem nad najważniejszą rzeczą na ziemi, którą jest wiara „prawdziwa, i przyszedłem do przekonania, iż tylko wtedy spełni „się najgłówniejsze każdego chrześcijanina życzenie, aby był tylko „jeden pasterz i jedna owczarnia, gdy się zarówna rozdział między „protestantami a katolikami, pochodzący, jak mniemałem, tylko „z nieświadomości zobopólnej. O katolickiej nauce wiedziałem „bardzo mało, i chciałem się o niej coś więcej od tego kapłana „dowiedzieć, nie domyślając się co z tego dla mnie wyniknie. „W kilku atoli wieczorach tak mi się wyjaśniła konieczność wi- „dzialnego kościoła, że jakoby łuski z oczu moich opadły. Jąłem „ponawiać u owego kapłana wieczorne z przyjaciółmi zebrania, i po „krótkiej wewnętrzej walce, doszedłem do przekonania, że tylko „w kościele katolickim znajduje się pełność i czystość objawionej „prawdy, a zatem, że obowiązkiem każdego człowieka jest szukać „w nim zbawienia. Jakież mnie wtedy światło oblało! Wtedy do- „piero zrozumiałem, dlaczego wraz z Reformacyą prostota i po- „bożność, wionące z dzieł dawnych mistrzów i mędrców, zniknęły „i zginęły niepowrotnie, aby ustąpić miejsca pysze i wrzekomemu „postępowi i oświeceniu, które ludziom odebrały wszelkie piękne „tradycye, wyziębiły ich i znieczuliły na wpływy piękna i sztuki". Wyjaśniwszy trudności napotkane ze strony rodziców, odzywał się jeszcze do przyjaciela: „Niedziela Palmowa była dla mnie owym „dniem ważnym i niezapomnianym, w którym, po kilkodniowem „przygotowaniu w pewnem klasztorze, zostałem na łono katolickiego „kościoła przyjętym. Odbyło się to cichutko, ale co się we mnie „działo, żadne nie wypowie słowo. Od tej chwili pędzę regularnie „katolickie życie, a używanie św. Sakramentów przynosi mi tyle

„spokoju i pociechy, iż odtąd mężnie i odważnie znieść potrafię „wszelkie walki, które mnie czekają i wszelkie cierpienia, jakie mi „Bóg przeznaczy. Dziękuje i ty, mój najdroższy, za łaskę, jaką Bóg „swemu słudze wyświadczył, za to iż nas jeszcze ściślej połączył, „bylebyśmy idąc w Jego ślady, nigdy się Jego miłości nie sprze- „niewierzyli".

Sutter z wzruszeniem, ale bez zdziwienia przyjął wiadomość, którą przeczuwał i przepowiadał już w Wiedniu, opierając się na wskazówkach czerpanych z ówczesnego sposobu życia, aspiracyj i dzieł Overbecka. Inny kolega, Wintergest, podobną rokował odmianę, już wtedy gdy Frydryk uczęszczał z nim do kościoła Mariahilf, i tak się wespół z nim zachwycał pieśniami przez lud śpiewanemi, iż towarzysz nie wątpił, że nietylko braterstwo sztuki, lecz i braterstwo wyznania niezadługo ich połączy.

W liście do innego jeszcze kolegi, Overbeck podobnie się wyrażał: „Za łaską Bożą wróciłem tedy na łono prawdziwego kościoła. Niedziela Palmowa była dla mnie niezapomnianym dniem, w którym przyszło mi wstąpić do świętości Przybytków Pańskich, a On, najświętszy, raczył me niegodne nawiedzić serce. Cicho się to odbyło, ale w duszy mojej wielka była uroczystość. Módl się za mnie, aby Bóg we mnie dokończył rozpoczętego dzieła, módl się za moich rodziców i rodzeństwo, ażeby raczył ich łaską swoją oświecić".

Młodzi katoliccy artyści z najżywszą radością powitali ważny krok swego przywódcy. Dziwną bowiem sprzecznością, na czele ruchu odnawiającego sztukę i uduchowniającego jej kierunki, stał dotychczas innowierca, teraz dopiero przez Piękno doprowadzony do Prawdy. Ale zanim nawet przestąpił progi kościoła i przystąpił do katolickiej jedności, towarzysze w nim upatrywali „niebieskiego dziedzica i spółmieszkańca, wzór cnoty, przykład wszystkiego dobrego, męża z weselem służącego Bogu i z Jego ręki przyjmującego chętnie wszystkie krzyże, dźwigającego ochotnie bliźnich jarzma i brzemiona, skąpego w słowa, oszczędnego w używaniu czasu, o wszystkich dobrze mówiącego, siebie tylko oskarżającego, a dobrze czyniącego wedle każdej sposobności i siły".

Na tym wizerunku, skreślonym przez najbliższych towarzyszów Overbecka, zamkniemy część pierwszą naszego streszczenia

wyczerpującej biografii mistrza. Dodajemy jeszcze, że zmiana religii nie rozerwała tkliwych węzłów jego z rodziną. Ojciec przez czas dłuższy trapił się nawróceniem syna wypełniającem odtąd prawie wyłącznie zobopólną korespondencyę. Jakoż ojciec, mimo ciągnących się ustawicznem pasmem katastrof, które naznaczyły ostatnie lata Napoleońskiej przewagi, nie tracił nigdy z oczu dusznej sprawy syna, z obozów, z biór dyplomatycznych, z najróżniejszych miejsc i poselstw śląc napomnienia i zaklęcia. Nawzajem syn próbował wciąż ojca przekonać, podbić, nawrócić. Po niejakim czasie stary Overbeck położył kres tej zamianie sporów teologicznych. *Ohe! jam satis*! pisze pod koniec 1816 roku do syna. „Mówmy odtąd o wszystkiem, o sztuce, nauce, przyrodzie, tylko nie o religii, niestety! już nigdy o religii". Matka spokojniej zniosła cios ten, o którym uwiadomiono ją dopiero po dopełnieniu stanowczego kroku. W modlitwie polecała syna miłosierdziu wiekuistej Światłości. Dla rodzeństwa, mimo wewnętrznej odmiany, pozostał on dawnym, ukochanym Frydrykiem.

Ojciec przedewszystkiem darować sobie nie mógł, iż nie przeszkodził synowi w obranym zawodzie. „Gdyby nie sztuka, nie byłby udał się do Rzymu, nie byłbym dożył tego, aby widzieć syna papistą". W tym względzie mylił się senator Overbeck. Jeżeli dzieckiem Frydryk sam znalazł drogę wiodącą w Lubece do katolickiej kaplicy, młodzieńcem tak samo byłby odnalazł ścieżki wiodące do prawdziwego kościoła. Nie darmo o nim Cornelius mawiał: że był urodzonym katolikiem i prędzej czy później nawrócić się musiał. A nadto bywają okresy naznaczone osobnym ruchem, wznowionem rozbudzeniem religijnem. Nakreśliliśmy przed dwoma laty obraz prądów poruszających wówczas podnioślejsze umysły i dusze, nawiązując do życia ks. Amelii Galicynowej, wizerunki przedniejszych osobistości w ówczesnem społeczeństwie katolicko-niemieckiem. Nawrócenie hr. Stolberga niezmierny wywarło wpływ na współczesnych. Wszakże i Overbeck się w jego pismach rozczytywał, a później nawet znalazł się w listownym z nim stosunku. Po upadku Napoleona, duch Boży widoczniej jął się unosić nad ziemią tylu wojnami spustoszoną. Ludzkość zapragnęła pokoju, nietylko w materyalnym rzeczy porządku. Naprzeciw Józefinizmu i rewolucyi, negacyi bezwyznaniowej i ateizmu półmędrków, stanął za-

stęp mężów gorącej wiary a silnej woli, pragnących przybliżenia królestwa Bożego na ziemi.

Uderzającym, a nie rzadkim w dziejach faktem jest ten, że tego apostolstwa podjęli się przeważnie ludzie świeccy. Kościół nie samych tylko duchownych potrzebuje obrońców i szermierzy. Owszem, bywają epoki, w których świeccy pionierzy prawdy niemal więcej zdziałać mogą. Nie darmo to powtarzał wśród nas i do nas niezapomniany chrześcijański dziennikarz, ś. p. Maurycy Mann. I w epoce, którą malujemy, obok zacnych kapłanów, mnożyli się świeccy rycerze prawdy, i swobodniej za nią staczać mogli zasadnicze boje. Wspomniany przez nas Chrystyan Schlosser słał do Rzymu za pośrednictwem Overbecka obraz stosunków religijnych w Niemczech, bardzo wówczas smutnych, zwłaszcza dla braku księży, a zwłaszcza biskupów: błagał, aby na to stanowisko wyniesiono mężów takich jak hr. Droste Vischering, lub świętobliwy ks. Overberg, przyjaciół i spółpracowników ks. Galicynowej, a nareszcie i późniejszego biskupa w Ratyzbonie, znakomitego Sailera. Schlosser powtarzał, że na to został katolikiem, aby swą wiarę przed ludźmi wyznawać i w ojczyźnie swej popierać zwrot ku prawdzie katolickiej. Marzył o założeniu katolickich gimnazyów, katolickiego uniwersytetu, Schlegla chciał uprosić o nowe tłumaczenie Pisma św., a nareszcie i Overbecka utwierdzał w wierze w posłannictwo sztuki i posłannictwo własne, wyrastające w rodzaj apostolstwa za pomocą wrażeń pięknych, pobożnych i uszlachetniających! Zobaczymy w dalszym ciągu niniejszej pracy, jak młody malarz odpowiedział powołaniu swemu, i jak zużytkował powierzone sobie od Boga talenty.

(C. d. n.)

M.

Z PAMIĘTNIKÓW JÓZEFA HR. KRASIŃSKIEGO.

Uroczystości dworskie w czasie koronacyi cesarza Mikołaja.

Józef hr. Krasiński, syn obożnego koronnego urodzony w r. 1781, zmarły w roku 1845, przeżył epokę najburzliwszą w dziejach nowożytnych — epokę walk olbrzymich, wstrząśnień, zmian, przewrotów ciągłych na całym teatrze Europy i umarł prawie w przeddzień nowych wstrząśnień, które ostatecznie sprowadziły nam erę siły przed prawem. Wspomnienia jego dziecinne sięgają ostatnich lat istnienia dawnej Polski. Młodzieńcem za panowania pruskiego w Warszawie rzucił się w wir światowy — bawił się, hulał szalenie jak całe ówczesne wykolejone pokolenie. Za zjawieniem się Napoleona na ziemi polskiej rozpoczął życie czynne — był jednym z przywódców gwardyi narodowej w Warszawie i organizował takową w Krakowie, po zajęciu tej dawnej stolicy polskiej przez ks. Józefa. W r. 1812 wszedł do wojska regularnego i odbył całą kampanią rosyjską w randze majora i podpułkownika, a w odwrocie był przy boku dwóch wodzów polskich Kniaziewicza i Zajączka. Za królestwa stworzonego na kongresie wiedeńskim, był posłem na sejm, członkiem dyrekcyi teatrów, szambelanem dworu polskiego — później mistrzem dworu i senatorem kasztelanem. Przytem pracował na różnych polach, pisał komedye i operetki, wydawał *Przegląd technologiczny*, bardzo użyteczny pod tytułem *Piast*, zakładał fabryki w swoim majątku Radziejowicach, zajmował się bardzo magnetyzmem i doszedł w tem do rezultatów nader w swoim rodzaju ciekawych. Nakoniec zostawił w manuskrypcie 12 tomów pamiętników. Nie sadził się w nich na styl — pisał za biegiem pióra, ale pamiętniki jego mają cztery rzadkie zalety. 1. Nie miał

na celu sławienia siebie lub swoich. 2. Widział z bliska wszystko co opowiada a znajdował się w położeniu, że mógł widzieć bardzo ważne lub bardzo ciekawe rzeczy. 3. Nie umiał kłamać, brzydził się kłamstwem, przyznają mu to wszyscy, co go znali. 4. Nakoniec opisywał co widział nie po upływie lat, ale za świeżej pamięci. Pamiętniki jego są dziełem całego jego życia.

Dołożę jeszcze, że dla pamiętniko-pisarza najlepszą rękojmią wiarogodności jego świadectw i jego sądów jest poczciwość, a hrabia Józef Krasiński był poczciwym człowiekiem w całem znaczeniu tego słowa. Gorliwy katolik — obywatel zawsze gotów do wszelkich usług i poświęceń dla kraju, najlepszy ojciec, umiał sobie zjednać szacunek ogólny i serdeczną przyjaźń u tych, którzy go z bliska znali.

Juliusz Falkowski.

W końcu kwietnia 1829 nadeszła do Warszawy wiadomość, o mającej wkrótce nastąpić koronacyi cesarza Mikołaja na króla polskiego. Niebawem dowiedzieliśmy się, że na ten obrządek przyjadą do naszej stolicy cesarz z cesarzową już w pierwszych dniach maja. Był to powód dla mnie do wielkich kłopotów. Jako szambelan dworu, chcący przytem utrzymać godność familii w takiej nadzwyczajnej okoliczności, musiałem wystąpić z pewnym przepychem niezwykłym dla mnie, który dosyć skromnie żyłem. Trzeba mi więc było zebrać najprzód, ile mogłem, funduszów — a następnie zaopatrywać się w konie powozowe, wierzchowe, uprzęże, siodła piękne, liberye i t. d., i t. d.; co mnie nie mało zachodów kosztowało. W Warszawie od pierwszych dni maja zaczęto robić przygotowania tak na wjazd cesarstwa, jak i na koronacyę. Było bieganiny, krzątaniny i prób tego wielkiego obrzędu, bez końca. Najprzód wysłano Zaboklickiego, świeżo na tę uroczystość mianowanego małym mistrzem ceremonii, karetę cesarską z eskortą kawaleryi do Kowna, gdzie były przywiezione z Petersburga korona, berło, i insygnia cesarskie, które tenże pontyfikalnie przywiózł do Warszawy i złożył w zamku. Ustawiono je pod wielkiemi dzwonami szklannemi w gabinecie zwierciadlanym, i wolno było je oglądać przez szkło; razem z niemi przyjechała do nich straż przyboczna, złożona z sa-

mych wysłużonych oficerów gwardyi grenadierów ogromnego wzrostu w bermicach. Potem nadjechał Stanisław Potocki, syn Szczęsnego Potockiego, wielki mistrz dworu dla uczenia nas, dworu polskiego, ceremonij koronacyjnych. Broniec zaś, marszałek dworu polskiego, zwołał nas wszystkich i zawiadomił, iż musimy z piechoty na kawaleryą się przeistoczyć, dla przyjęcia w szyku konnym cesarza, gdy będzie swój wjazd ceromonialny rozpoczynał; nastąpiły biegania za końmi, czaprakami [1], rzędami, i insygniami nowych godności [2]. Książe Maksymilian Jabłonowski mianowany został na koronacyę wielkim szambelanem, a książe Adam Czartoryski, wielkim mistrzem polskiego dworu, lecz ponieważ nasi naczelnicy sami ani służby nie znali, ani podobnych ceremonij nigdy nie widzieli, przeto miewaliśmy codziennie wszyscy sesye u Stanisława Potockiego, na których każdego z nas uczono tak naszych obowiązków, jak i etykietalnych ceremonii. Nie tylko jednak w kółku naszem, gdzie każdy miał figurować w obrządku koronacyi, lecz i w szerszych kołach był ruch ogromny. Dobijano się o miejsca, skąd by widzieć można było paradny wjazd cesarstwa do Warszawy. Przepłacano okna na ulicach, którędy orszak miał przechodzić, a rozbijano się dosłownie w mieszkaniu w. mistrza dworu Stan. Potockiego, który rozdawał bilety na miejsca w sali zamkowej, gdzie miała się odbyć koronacya. Liczba miejsc oczywiście była ograniczona, przeznaczona tylko dla osób należących do wyższych sfer towarzyskich, ale i dla tych była niedostateczna. Ja sam, lubo miałem już przyrzeczone bilety dla mojej żony i jej krewnych pani Wielhorskiej i pani Łubieńskiej, przytem i wstęp łatwy do Potockiego, ledwo wcisnąć się mogłem do niego i dopiero w samą wilię koronacyi otrzymałem owe bilety.

Lecz wieleż to jeszcze potrzeba było dla naszych dam objaśnień tyczących się strojów, etykiety, zwyczajów dworskich na balach i fetach rozmaitych, dla cesarstwa Imci, które miały nastąpić po koronacyi. Księżna Łowicka podjęła się edukacyi naszych dam

---

[1] Karmazynowe wielkie czapraki złotem haftowane a na wiszących końcach orły białe. Jam się podjął je dla całego dworu sprawić, i musieli dzień i noc je robić, a ledwo na sam dzień wjazdu skończyli.

[2] Dwóch szambelanów z wielkiemi laskami naprzód i t. p.

pod tym względem i zwoływała po kilkanaście dam z kolei do Belwederu i wszystkiego ich uczyła.

Dnia 17 maja wczesnym rankiem, my należący do dworu, pojechaliśmy karetami na Pragę, na trakt ku Jabłonnej aż do domu młynarza za rogatkami, gdzie na nas czekały nasze konie, już w owe paradne rynsztunki przybrane, a o godz. 9-tej, już wszyscy na nie siadłszy, staliśmy przy drodze w szeregu podług starszeństwa, mając na naszym czele naszych wielkich urzędników dworu polskiego i rosyjskiego. Ustawiono nas po lewej stronie traktu, nad samym rowem bitej drogi, dość w tem miejscu wysokiej. Gdy pierwszy kuryer nadbiegł, donosząc, że już cesarstwo jadą, a działa z wałów (tam ustawione) naprzeciwko nas będących, zagrzmiały razem, i gdy się z daleka już ukazał tuman kurzu, tu niespodzianie koń mój się zląkł, i nagle się cofnąwszy ze mną, wpadł do rowu dość głębokiego, szczęściem że suchego, i nic nam się obojgu nie stało, a nawet nie złażąc z niego, wspiąwszy go tylko ostrogami, wskoczyłem na trakt i uszykowałem się w przeznaczonem miejscu, nim powóz cesarski nadjechał. Mniej był szczęśliwy mój kolega Tymowski Józef, który nigdy nie był wojskowym, ani kawalerzystą, gdy mu się koń jakiś pożyczany także przestraszył, zleciał z niego, i swoją ceremonialną laskę na kawałki połamał, lecz choć powalany, musiał z kawałkami swojego insygnium szambelańskiego wsiąść na koń i w szeregu z nami dalej defilować.

O samej 11-tej godzinie przyjechali cesarstwo oboje karetą koronacyjną, całą w oknach, a W. Książe Konstanty, następca tronu, i hufiec nieskończony świty za nimi obok karety postępowali. Ruszyliśmy więc przy odgłosie dział, trąb i muzyk pułkowych piechoty, wszędzie po obu stronach drogi ustawionych, przez nowy most, wprost od rogatek do Żoliborza, dalej przez nowe miasto, ulicę długą, miodową prosto do zamku. Widok był pyszny, prawdziwie cudowny, gdy cała ludność Warszawy była na tych ulicach zebrana, każdy ubrany w co miał najlepszego, wszystkie domy przystrojone w kobierce, draperye, kwiaty, zgoła w co tylko można było użyć do ich ozdoby, a okna przepełnione głowami dam. Zajechawszy do zamku znowu stanęliśmy w przepisanym nam porządku i zsiadłszy z koni, uformowaliśmy w przedsionku dwa szeregi dworzan. Tam na cesarzowę czekały w sieni wszystkie wiel-

kie damy nasze, mianowicie najprzód żony wielkich dygnitarzy, jako to: Księżna Zajączkowa; Panie: Gutakowska, Sobolewska, Mostowska; następnie Panie ozdobione dawniej portretem cesarza, jako to: Zamojska, Brońcowa; nakoniec mianowane dawniej damy cyfrowe: Panny Małachowskie, Brzostowska, Grudzińska, Sobolewska i wiele innych, a na czele wszystkich księżna Łowicka, jako pierwsza dama portretowa. Gdy cesarzowa wysiadła, już miała jej księżna Łowicka upaść do nóg[1], ale cesarzowa ją wstrzymała, uściskała, podała rękę i razem poszły na górę, a dwór cały za niemi. Przyszedłszy do sali zwanej Canalettego[2], odprawiono nas jako już niepotrzebnych, lecz kazano mężczyznom z dworu pod przewodnictwem W. Mistrza oddać wizyty przybyłym wielkim cesarskim dygnitarzom jako to: generalnemu szefowi sztabu, księciu Wołkońskiemu, generalnemu adjutantowi Benkendorfowi, marszałkowi dworu cesarzowej hrabi Medem, wielkiej mistrzyni dworu księżnie Wołkońskiej i t. d., które wszystkie figury obszedłszy, poszliśmy do zamkowej ruskiej kaplicy, na nabożeństwo ruskie, błogosławieństwa cesarstwa po podróży, a stamtąd na męskie śniadanie do Tymowskiego. Więcej już w tym dniu nic innego do czynienia nam nie pozostało jak oglądania wieczorem illuminacyi, osobliwie pysznie oświeconych celniejszych gmachów. Nazajutrz, to jest dnia 18 maja, odbyła się wielka parada całego wojska na placu Saskim. Cesarz był w polskim mundurze, następca tronu i cesarzowa w karecie, my dwór nieczynni, oprócz tych co byli na służbie. Rzecz dziwna, że w czasie parady, lubo nie było żadnej policyi z nakazu, pomimo wielkiego natłoku widzów, nie zdarzył się żaden smutny wypadek.

Dnia 19 maja ja na służbie, wielkie prezentacye u dworu wojskowych, przez W. księcia urzędników, przez właściwych mini-

---

[1] Jak już wyżej mówiłem, ożenienie W. Księcia było tak zwane *Morganatique* to jest tajne, i nie przyznane przez monarchów, a więc przy ceremoniach nie mogła mieć miejsca księżna Łowicka, tylko jako dama dworu; a nawet gdyby jej nie dano portretu, a potem na samą koronacyę wstęgi św. Katarzyny, to nawet by nie mogła być u dworu.

[2] Gdzie były zawieszone widoki Warszawy i okolic przez Canalettego robione, dziś już do Petersburga zawiezione, z tej sali jedne drzwi idą do kaplicy katolickiej, a drugie na wielką galeryę, która jest nad biblioteką.

strów, a mnie wyznaczono, ażebym cesarzowej prezentował posłów. Chociaż bowiem sejm miał być, i był daleko później, jednak wszyscy posłowie i deputowani byli zwołani na koronacyę. Zbierali się wszyscy w wielkiej sali balowej, cesarzowa z damami dworu, stała w sali obrazów historycznych, a posłowie przychodzili po jednemu z jednej sali do drugiej, prezentowali się kolejno i wracali. Nie obeszło się to bez wielkich omyłek z mojej strony. Dano mi zawczasu listę obecnych posłów i deputowanych i ich porządek kolejny, jak będą po sobie nadchodzić. Lecz ja ich nie znałem wszystkich, niektórych prezentowałem cesarzowej z pamięci, innych z listy, którą w ręku trzymałem, lecz nie wiem z jakiego powodu, czy przez czas nim się zaczęła prezentacya, który z nich wyszedł, czy się na miejsce z drugim zamienił, jak już się raz omyliłem, tak już dalej ani mogłem do ładu trafić, i kiedym którego przedstawiał, wymawiałem półgębkiem M. Brrrreński i niechaj sobie cesarzowa zrozumie lub nie, mnie to było wszystko jedno, a i jej prawdopodobnie toż samo. Jakoż skończyła się jak najlepiej prezentacya, nie zdradzając mojej niewiadomości; ile że wielu z posłów, bardzo dawnych moich kolegów znałem, i wyraźnie ich nazwiska wypowiedziałem[1]. W tej samej sali, gdzie ja cesarzowej, tam cesarzowi, tychże posłów i deputowanych prezentował marszałek ostatniego sejmu Piwnicki, lecz lubo mu się nie przytrafiła żadna omyłka w przedstawianiu, bo znał ich dobrze każdego, lecz znowu inna mu się wielka nieprzyjemność zrobiła. Prezentując posłów z województwa Kaliskiego, gdy przyszła kolej na posła Wartskiego, Bonawenturę Niemojewskiego, ten się wyrwał z mową wcale nie na czasie do cesarza, która złe bardzo skutki wywołała.

Byliśmy temi prezentacyami niezmiernie zmęczeni, tak, że cesarzowa, nie mogąc dotrwać tak długo, kilka razy kazała przerwać prezentacyę, i drzwi zamknąć, ażeby usiąść i odpocząć; nic dziwnego, gdy się zważy na mnóstwo prezentowanych osób, ze wszystkich ministeryów, Izb, obywateli i t. p.: pewnie było ich do 500

---

[1] O mały włos, iż tegoż samego dnia nie miałem z tego powodu pojedynku z Leduchowskim, któremu się zdawało, żem umyślnie jego nazwisko przekręcił, i że widział, żem się śmiał wymawiając, ledwo przez jego brata kasztelana Rembielińskiego udało mnie się później wytłumaczyć.

najmniej, a każdemu z prezentowanych trzeba było koniecznie coś powiedzieć, albo przynajmniej głową kiwnąć. Dnia tego nic więcej nie było prócz balu u Branickich, na którym dworu nie było.

Dnia 20 maja w Zamku znowu prezentacya dam, tu już my byliśmy tylko jako figuranci i staliśmy w szeregu, a księżna Łowicka i księżna Zajączkowa prezentowały. Stanisław Potocki, W. mistrz, kazał mi po prezentacyach przyjść do siebie, gdyż miał do mnie rozkaz od cesarza; gdy przyszedłem zlecił mi, ażebym zaraz pojazdem cesarskim pojechał do pani niegdyś Walickiej, a wówczas Wichlińskiej, z wstawieniem się w jego imieniu o rękę jej córki, dla młodego Rzewuskiego[1]. Jakże można było takiemu pośrednikowi jak cesarz odmówić? Wróciłem też zaraz do Potockiego z odpowiedzią zezwalającą, a panna dziękowała, żem uzyskał, czego ona uzyskać nie mogła.

Dnia 21 maja wielka po mieście parada heroldów, naprzód trębacze i kotły na koniach, dalej pluton szaserów gwardyi, za nim dwaj heroldy[2], w ubiorach starodawnych heroldów, w formie ornatów z herbami, za niemi Tymowski na koniu ze swoją (już posklejaną laską), znowu pluton gwardyi, wszyscy objeżdżali całe miasto, przy odgłosie trąb i kotłów, a stawali na znaczniejszych placach i rogach głównych ulic, gdzie się krzyżują, i tam heroldowie okrzykiwali nastąpić mającą koronacyę; która to parada przez dni trzy trwała, zatrzymując się co dzień na innych miejscach. Wieczorem był bal u Sobolewskich, ale tylko dla dam i świty cesarskiej i cesarzowej.

Dnia 22 maja cały dwór od rana zwołany do zamku na wielkie śniadanie, u W. mistrza dworu Potockiego, po którym próba tym razem koronacyjnej ceremonii, lecz wszystko było udane, zamiast korony był jakiś kołpak, zamiast berła laska, zamiast płaszcza koronacyjnego kobierzec, do którego klamry przypięto; nakoniec zamiast cesarza jakiś drągal, jego lokaj, już wyuczony co ma robić.

---

[1] Córka z pierwszego męża panna Walicka, była damą cyfrową; matka nie chciała jej wydać za Rzewuskiego; później poszła za niego, on umarł w Krakowie 1831 r.

[2] Będkowski i Grabowski, lecz jak nieszczęśliwe były tych dwóch młodych ludzi wówczas heroldów przeznaczenia, gdy wkrótce został pierwszy przez lud zabity, będąc o szpiegostwo posądzony; drugi z ran umarł.

My zaś dostaliśmy dopiero instrukcyą, który z nas, kiedy i co ma uczynić, jak postępować, kiedy podać koronę, kiedy berło, jak włożyć płaszcz [1] i jak go zaczepić, kiedy i w jakim porządku w marsz koronacyjny wyruszyć i t. p., które to próby musieliśmy pod przewodnictwem Potockiego, a jeszcze bardziej za radami starego Babkina [2] tyle razy powtórzyć, dopókiśmy się naszych obrotów i gestów zupełnie nie wyuczyli na pamięć. Po czem nam grzecznie powiedziano *Paszoł domoi*, to jest, że już dziś nie jesteśmy więcej potrzebni w Zamku.

Dnia 23 maja rano o godzinie 6 przyleciał do nas feldjeger cesarski i przywiózł dla mojej córki Maryni brylantową cyfrę i patent na damę dworu. Wielka była radość a razem kłopoty [3], albowiem ta ani spodziewana, ani poszukiwana godność za sobą pociągnęła niezmierne, a co gorsza, tak nagłe wydatki, w strojach, sukniach dworskich z ogonami, a przy nadchodzącej już koronacyi, nie było wcale czasu do stracenia i trzeba było natychmiast sprawiać wszystko. Tego samego dnia były pokoje i prezentacye u W. księcia Michała, brata cesarskiego, gdzie byli razem jemu przedstawieni oficerowie pruscy i bawarscy, którzy ze swoim generałem Papenheimem wybrali się bić przeciwko Turkom; wieczór koncert Paganiniego, na którym był dwór cały, lecz nikt z cesarskiej familii, bo jak nam mówiono, zwykła w wilią koronacyi pościć, modlić się, a w sam dzień spowiadać i komunikować.

Dzień koronacyjny [4] był przecudnie piękny, chociaż w nocy przechodzące chmury deszczem straszyły. Bardzo rano wstawszy, biegałem do w. ministra Potockiego i do panien Małachowskich (dam Cyfrowych) dla dowiedzenia się, gdzie mam i kiedy odwieść

---

[1] Ten właśnie obowiązek był włożony na mnie i z kobiercem dość mnie się dobrze udawało, a w czasie koronacyi prawdziwej, ani mogłem zapiąć klamry, aż adjutant Staś Potocki dopomógł.

[2] Stary, mały, niski, siwy, cesarski sztabsfurier, który tak był zawsze obznajmiony z ceremoniami, ubieraniem i etykietą, jeszcze za ces. Aleksandra, że cały dwór, najwyżsi urzędnicy, chodzili zawsze do niego po radę.

[3] A między niemi, że trzeba było dać feldjegrowi 50 zł., bo taki jest zwyczaj.

[4] Ten cały dzień w i e r n i e i c o d o s ł o w n i e kopiuję jak wówczas w dzienniku moim zapisałem.

Marynię, której przysłano rozkaz, żeby się do zamku stawiła, o godz. 8-mej przybiegł do mnie feldjeger cesarski i przywiózł mi aż dwie na raz nominacye[1], to jest na senatora kasztelana i na mistrza dworu; o godz. 9-tej ubrany w mój paradny haftowany dworski mundur, zabrawszy po drodze Tymowskiego, pojechaliśmy do zamku paradnym moim ekwipażem[2]. W sali przedtronowej[3] długośmy na cesarstwo oczekiwali, albowiem tak długo się modlili w greckiej kaplicy, gdzie nikomu, oprócz ich familii, ani nawet i dworowi wnijść nie było wolno. Gdy nadeszli, ruszyliśmy naprzód podług przepisanego porządku do sali tronowej czyli senatorskiej, gdzie już był zgromadzony na dole senat, ministrowie, izba poselska i wszystkie ganki i loże przepełnione były[4] publicznością, złożoną jedynie z pierwszych osób w kraju; gdyśmy (dworscy) otoczyli cały tron, my za cesarzem, a orszak dam dworskich za cesarzową, zaczął się obrzęd koronacyi, zupełnie podług przepisanego programatu, i w największym do końca się odbył porządku. Pyszny był nasz marsz koronacyjny z sali tronowej z zamku do katedry, po drodze całej pokrytej pąsowym suknem, widząc po obu stronach zbudowane wysokie amfiteatra, całe napełnione, jakby makiem, niezliczoną liczbą dam w wykwintnych strojach; gwardye po obu stronach naszej drogi formowały szpaler, a muzyki stojące jedna przy drugiej, po kolei w ciągu tego wolnego pochodu, odzywały się hymnem *God save the king*. Cesarstwo oboje szli pod wielkim baldachimem niesionym przez dwunastu generałów polskich, a my, dwóch nowo mianowanych mistrzów dworu[5], prowadziliśmy pod ręce po obu stronach cesarza, i istotnie nie było to przez ceremonią

---

[1] Znowu za każdą musiałem dać po 50 zł. na piwo.

[2] To jest czterema końmi angielskiemi anglizowanemi, karetą z paradnym kozłem o moich herbach, z forysiem na przednich koniach, a dwoma stojącemi z tyłu lokajami, wszyscy pudrowani, w paradnej liberyi całej w galonach i stosowanych kapeluszach, oraz pończochach i trzewikach.

[3] Czyli przedsenatorskiej.

[4] Właściwie nie loże, lecz kilka okien, które dają do górnych zamkowych pokoi. Tam byli zagraniczni posłowie, którzy umyślnie na tę koronacyę przyjechali.

[5] Oprócz mnie tego dnia został mistrzem dworu Michał Dzierzbicki, jako najstarszy szambelan, Żaboklicki mistrzem ceremonii, Gutakowski podkoniuszym, Bytowski wielkim łowczym, Bieliński łowczym.

jedynie, gdyż tak był, nie wiem, czy zmęczony czy zmięszany, iż mocno się na nas opierał, a nawet wchodząc już do katedry po schodach, tak mu było ciężko, że musiałem go prawie dźwigać.

W kościele cesarz po wymówieniu za arcybiskupem Woroniczem przysięgi, gdy odmawiał koronacyjną modlitwę, tak się rozpłakał, że ledwie ją zdołał dokończyć. Po tym kościelnym obrzędzie, w tejże samej paradzie i porządku wróciliśmy do zamku o godz. 3-ciej, a odprowadziwszy cesarstwo do ich pokoi, sami, to jest cały dwór, zostaliśmy w małej tronowej sali[1]; zaś obok w historycznej sali czekali zaproszeni wielcy dygnitarze, senat, posłowie zagraniczni, ministrowie, generałowie dywizyj, ich żony, którzy osobnemi biletami byli wezwani na wielki koronacyjny obiad. Nim jeszcze ze swoich pokoi nadeszli cesarstwo, za danym znakiem wszyscy ruszyli do wielkiej marmurowej sali, przeznaczonej na obiad, i każdy stanął przed stołkiem dla niego przeznaczonym, co gdy nastąpiło, był moment największej cichości, aż póki nie otworzyły się podwoje i weszli oboje cesarstwo, ich syn następca tronu i oba bracia W. książęta Michał i Konstanty, którzy gdy usiedli na swoich miejscach, wszyscy też także, jakby na jakiej mustrze usiedli razem, i zagrzmiała orkiestra z pierwszych artystów złożona. W chwili naszego powrotu z katedry, przeznaczył mnie W. M. ob. Potocki, ażebym na ten obiad pełnił obowiązki wielkiego krajczego, to jest zostałem (jakby szarfą) przepasany wielką serwetą, i stałem przez cały obiad naprzeciwko cesarza przy stole[2] i każdą potrawę mnie podawano, ja niby ją krajałem, (już były pokrajane) brałem na talerze, podawałem cesarzowi i cesarzowej, za któremi stali szambelanowie, ci talerze odbierali od nich, oddawali je kamerjunkrom, którzy je dopiero odnosili do kredensu.

W czasie tego koronacyjnego obiadu, zaczęło się (jak wyżej napomknąłem) od muzyki całej orkiestry teatrów, połączonej z najpierwszemi talentami, jakie tylko były w stolicy, pod dyrekcyą Karola Kurpińskiego, kapelmistrza dworu polskiego, wszyscy ubrani

---

[1] Obok sali obrazów historycznych, mała salka obita pąsowym aksamitem, gdzie stoi maleńki tron, do przyjmowania ambasadorów.

[2] Śmieszny wypadek!! moja córka siedziała u stołu, a ja z serwetą usługiwałem.

w mundury umyślnie na tę uroczystość sprawione[1]. Muzyka składała się z 5 oddziałów, to jest 1-mo cała orkiestra, 2-do Paganini sam na skrzypcach, 3-tio orkiestra, 4-to Lipiński na skrzypcach, 5-to orkiestra i arye z chórami śpiewane przez uczennice konserwatoryum warszawskiego[2]. Znać robili i oni próby zastosowane do długości czasu, bo się razem skończyły, obiad i muzyka. Cesarstwo wstali, ukłonili się nam wszystkim, mnie cesarz jako krajczego stojącego przy nim ścisnął za rękę, i wyszli do swoich pokoi. Całe biesiadne towarzystwo zostało w sali jadalnej i pomału się rozjeżdżać zaczęło. My tylko (dwór) poszliśmy za cesarstwem, i to niedaleko, tylko do sali historycznej, albowiem kazali nas przez W. marszałka pożegnać, podziękować, że nas już więcej dziś nie potrzebują, gdyż idą o d d y c h a ć[3], a że cały dwór męski służył u stołu, (i to nietylko cesarzowi samemu, lecz ich familii musiał służyć niższy chór dworski), a nawet posłowi austryackiemu, księciu, który był jakiś cesarski krewny i patrzał na jedzących, a sam nie jadł, przeto Broniec, marszałek dworu w imieniu cesarskim w ten czas nas dopiero wszystkich zaprosił na obiad, a nawet Kurpińskiego, Paganiniego, Lipińskiego, Soliwę i panny jego uczennice[4] i to nie do siebie, lecz do sali zamkowej tej samej, gdzieśmy w wilią odbywali próbę koronacyi. Ale ta próba obiadu daleko była lepsza i weselsza jak tamta, udała się wybornie, bo z szaloną wesołością, po wielu kielichach obfitości i wykwintach wszelkich, a bez żadnej już żeny, i owszem najwyżsi urzędnicy, tak nasi, jak rosyjscy tak się rozszaleli z nami, jak na kuliku na wsi więcej nie można, a podochociwszy sobie po obiedzie, wzięli na ręce Lipińskiego, wsadzili na stół, i gdy już nie miał skrzypców, bo je po koncercie odesłał, na pierwszych lepszych, jakie mu gdzieś Kurpiń-

[1] Karmazynowe fraki, do koła złotemi galonami obszyte, spodnie białe.

[2] Pod dyrekcyą Soliwy, były 3 śpiewaczki celujące, które razem po koronacyi weszły na prima dony do teatru, (żadnej już nie ma). Gładkowska poszła za mąż za Grabowskiego i mieszka na wsi niedaleko Rudziejowic, Janikowska na suchoty umarła, Wołkow puściła się w świat, i zdrowie i głos straciła, jeszcze czasami śpiewa, ale rzadko, i to za osobną zapłatą, ale już to wcale nie to co było!

[3] Po rusku *oddychajet* znaczy: *la méridienne*, czyli przespać się po obiedzie.

[4] Jeszcze był inny stół dla furierów, orkiestry i t. d.

ski wyszukał, musiał nam grać, a Paganiniemu wielki kielich nalano i musiał jego zdrowie wypić. Ta dworska hulanka trwała do nocy, a że cesarstwo zmęczeni już nigdzie nie wyszli od siebie, więc nie byli na balu, który dawała księżna Zajączkowa. Moja żona z Marynią tam pojechały, a mnie się nie chciało, i tylko zabrawszy się dwoma pojazdami, w jednym ja, a w drugim dzieci, objeżdżaliśmy miasto, dla widzenia przepysznej iluminacyi [1].

Ścisk był tak niezmierny ludności, oraz ilość pojazdów krążących, że w wielu miejscach musieliśmy po godzinie stać, nie mogąc dalej ruszyć, co i samym cesarstwu, także objeżdżającym miasto, się trafiło, a chociaż z wyraźnego rozkazu, ani policyi, ani eskorty, ani żadnych patrolów nie było na ulicach, jednak najmniejszy przypadek się nie wydarzył. Ja lubo kazałem, żeby pojazd z dziećmi wciąż się za naszym trzymał, jednakże jak go gdzieś w ciżbie od nas odcięto, napróżno go szukałem; wróciwszy do domu z niespokojnością, drugi raz po dzieci pojechałem, i ledwiem je aż we trzy godziny w ścisku przed ratuszem znalazł.

Dzień 25 maja, nazajutrz po koronacyi, całe rano pełno było u mnie osób z powinszowaniem aż dwóch razem awansów, potem od południa ja u dworu [2] po instrukcye na wielki bal dworski, czyli tak zwany marsz koronacyjny, który miał być dziś wieczór. Nie wiem nawet, jakby mogły być tańce, gdyż każda dama miała kilka łokci ogona. Ta sama więc orkiestra strojna, co przy obiedzie grała, wciąż tylko powtarzała polonezy, które parę godzin trwały; na tem się bal zaczął, i na tem się skończył; ja zaś miałem służbę niezmiernie nużącą przy cesarzowej, która, za każdem do koła obejściem sali, posyłała mnie po innego jakiego magnata, ażeby z nim znowuż obejść salę [3]. O dwunastej już się ta cała ceremonia skończyła, lecz taki był tłok i najeżdżanie na siebie po-

---

[1] Najpiękniejszą iluminacyą odznaczały się: bank, ministeryum wojny, pałac Zamojskich, Uniwersytet, Ratusz, pałac i ogród Krasińskich, pałac Raczyńskich, pana Wincentego, Mostowskich, dawny przyjaciół nauk, dróg i mostów, a najdalej pewnie widziana była cała oświecona kopuła kościoła ewangelickiego.

[2] Już nie na służbę, jak dotąd bywało, gdyż tylko szambelanowie parami chodzili, a urzędnicy tylko na wielkie pokoje.

[3] Księżna Łowicka, tuż za nią stojąc, znać było, że jej osoby dyktowała.

wozów, że ledwo w godzinę mogłem się do mego dostać, a jeszcze mnie ktoś tak najechał, że mnie dyszel złamał, i musiałem w mundurze, pończochach i trzewikach defilować przez miasto do domu. Szczęśliwsza moja córka, odesłaną została do domu cesarską karetą [1].

Dnia 26 maja, Marynia na służbie u cesarzowej po raz pierwszy na cały dzień. Rano zaraz przyjechała po nią dworska kareta i ludzie [2], i od początku dnia do nocy siedziała w zamku, lecz dobrze się bardzo bawiły, raz że ich było kilka, powtóre, że właśnie w tym dniu cesarzowa z niemi objeżdżała Bielany i obozy, a wieczór przyjechała na pokoje sławna śpiewaczka, niegdyś panna Sontag, a teraz hrabina Rossi, i z łaski tego małżeństwa, po odśpiewaniu w pokojach cesarzowej, była do jej stołu wezwana, i z damami honorowemi wieczór przepędziła. I ja tego dnia nie byłem bez pracy, albowiem, gdy miał być tego dnia wielki bal dla dworu u PP. Sobolewskich [3], włożono na mnie obowiązek, należący zresztą do mego urzędu mistrza dworu, urządzenie porządku i etykiety. W. m. dw. Stanisław Potocki dał mi instrukcye, a gdym się ich na pamięć wyuczył, zabrałem z zamku sztabsfuriera Szultza [4], z nim zaraz po obiedzie pojechałem do namiestnikowskiego pałacu; zaraz mnie go całkowicie pod zarząd oddano, i już wszystko, i cała służba była pod mojemi rozkazami, nawet sami gospodarstwo, którym dyktowałem, gdzie kto ma stać, jak przyjmować, co po czem następować, zgoła tak potrafiłem utrzymać dworsko-etykietalny porządek, że i stary Babkin, sukcesyjny sztabsfurier ce-

---

[1] Panna każda, skoro tylko otrzyma brylantową cyfrę, to jest zostanie frejliną, już przez to samo odbiera tytuł *Madame*, i może sama jeździć, a gdy jest na służbie, ma na rozkazy karetę i ludzi dworskich.

[2] W dni służbowe damy, już będąc w wilię uwiadomione przez furiera, czekały gotowe na powóz dworski; lecz gorzej było w inne dnie, w których tylko powiedziała im w wilię pierwsza dama cesarzowej, stara panna Orłow, że może będą damy cyfrowe potrzebne! (ma się rozumieć dla świty, czy to w czasie prezentacyj, czy spacerów, lub jakich innych solenności); wtenczas to biedne frejliny musiały cały dzień czekać ubrane, ani się ruszać z miejsca, a czasem napróżno.

[3] Sobolewski wówczas pełnił obowiązki namiestnika królewskiego.

[4] Był to świeży furier dworu polskiego, dopiero się uczący od Babkina. Od rewolucyi został skasowany.

sarski [1], zdziwił się, żem tak dobrze wszystko umiał prowadzić, a później cesarz przez ministra Grabowskiego kazał mi za cały czas służby oświadczyć podziękowanie. Bal trwał długo, i tańce już nie tak były ceremonialne jak u dworu; damy tylko służbowe i matrony stare były z ogonami, inne (podług zawiadomienia) były w krótkich sukniach, i rozmaite tańce wyskakiwano, wypadek też był jeden osobliwszy w wielkiej białej sali [2]. Były w środkowym jej miejscu postawione trzy paradne krzesła dla cesarstwa, a za niemi inne dla świty, jakoż tam większą część czasu siedzieli, patrząc na tańce, było to pod samą wielką galeryą, na której była orkiestra. Tylko co cesarstwo wstali, żeby się przejść po sali, i ze znakomitemi grandesami przemówić, gdy od owej galeryi z samego wierzchu gzymsu urwał się wielki kawał ciężkiego ornamentu, i spadł właśnie na miejsca gdzie krzesła stały. Co jednak ich nie przestraszyło, a gdy zebrano gruzy, usiedli znowu na swoich miejscach.

Dnia 27 maja cały dzień wraz z Marynią w Zamku przesiedziałem, lecz tam odbywały się tylko same prezentacye, rano wojskowych [3] — cesarzowej, potem obywateli Warszawy, a po obiedzie — dam, to jest żon znakomitszych kupców i obywateli z prowincyi przybyłych, które pierwszą razą nie były prezentowane [4]. W zamku był obiad u Brońca. Pod wieczór przyjechali Wielcy księstwo Wejmarscy i stanęli w Zamku. W. księżna ze mną się pierwsza przywitała, jak z dawną znajomością, lecz już teraz nie przydano mnie,

---

[1] Tym razem nic dziwnego, że u namiestnika królewskiego ja robiłem honory, boć to zawsze z kasy królewskiej; lecz w Rosyi, skoro tylko cesarz czy w drodze, czy w stolicy lub kraju jest w domu obywatela, zaraz już ten dom w czasie jego pobytu jest cesarski, i on zaprasza do siebie gospodarza. Cesarscy ludzie służą, cesarski urzędnik rozkazuje, gdyż ogólne godło wszystkich poddanych jest: „My, i wszystko co mamy jest własnością cesarza“, toż samo jest jednak i w Austryi.

[2] Wielka sala balowa z białego marmuru o dwóch piętrach, a po obu stronach na kolumnach dwie wielkie galerye dla widzów i orkiestry.

[3] Wspomniałem już dawniej o prezentacyi wojska, lecz wówczas W. książe prezentował tylko sztaby i generałów, a teraz cesarzowej ja prezentowałem pułkowników i sztabsoficerów, — stał przy mnie Turno adjutant i podawał nazwiska, żebym się nie pomylił.

[4] Osobliwie żony kupców i radców miejskich, które miały być gospodyniami na balu miejskim w ratuszu, który miał być dany nazajutrz.

jak dawniej do niej na służbę, lecz dwóch młodszych [1], a jej dwór, to jest, Fitzthum — marszałek, panna Fritsch i doktór Schwabe, niezmiernie się z widzenia ze mną ucieszyli. Wieczór familia cesarska została sama w swoich apartamentach, a nas pożegnano i odesłano do domów.

Dzień 28 maja przeznaczony był na wielką fetę ludową, spodziewano się do ostatniej chwili, iż będzie pyszna i bardzo wesoła, gdyż od dwóch już tygodni wielkie do niej czyniono przygotowania, a sam dzień 28 maja rozpoczął się najpiękniejszą pogodą wiosenną; lecz wcale się inaczej skończyło, niżeli można było z tego rozpoczęcia wróżyć. Na wielkim placu otoczonym barierami, między ulicą Ujazdowską, koszarami Ujazdowskiemi, a drogą do Łazienek, w samym środku na wysokich gradusach, pąsowym suknem obitych, stała wielka świątynia okrągła, na kolumnach oparta, przeznaczona na altanę dla cesarstwa, i ich familii, z którejby mogli wygodnie patrzeć i widzieć wszystkie miejsca i rodzaje zabaw ludu; do koła placu było ustawionych 100 stołów nakrytych. Każdy stół na 100 osób; dla każdej osoby talerze i sztucce, miska rozmaitego mięsiwa, chleb, ciasta i butelka miodu, a co kilka nakryć dzban piwa i kubek wódki, wszystko wraz z nakryciem miało być własnością tego co usiądzie pierwszy. Przy każdym stole sztuczne fontanny, tryskające winem, inni utrzymywali, że piwem. Do koła zaś baryer huśtawki, karuzele, rozmaite widowiska, maszty do włażenia, orkiestry pułkowe, oraz szopy pod dachami (bez ścian) — sale do tańca, gdzie od rana szynkowniane orkiestry grały, a lud pląsał; plac zaś, na którym były rozstawione stoły, był otoczony kobylicami i sznurami na nich, ażeby nikt z ludu do stołów się nie zbliżał, aż za przybyciem cesarstwa. Oprócz tego do koła był zbudowany amfiteatr dla wszystkich dam, które elegancko poubierane, od rana miejsca zabrały. Nam, dworowi, kazano się stawić o 11-stej i zajęliśmy miejsca na owych pąsowych gradusach do koła altany; o 1-szej przyjechali cesarstwo, ona koronacyjną karetą, a on z synem na koniu, posłowie zagraniczni zajęli też altanę, a cesarz jeszcze konno objeżdżał cały plac między tłumami ludu i oglądał wszystkie zabawy. Skoro wrócił i wszedł do altany, puszczono balon, a gdy

[1] Ruskiego szambelana Galicyna i polskiego Kamerjunkra Turkuła.

wystrzał armatni dał znak, nagle otworzono owe sznurowe baryery, i natłoczony w koło nich lud rzucił się jak morska fala do stołów i przy nich w oka mgnieniu zabrał wszystkie miejsca, i to w dwa razy większej liczbie niżeli było nakryć, a nie wiem czy pięć minut minęło, gdy już owej zastawy półmisków z jadłem, i naczyń i butelek z napojem, a nawet sztućców ani znaku nie zostało. Dopiero się zaczęły gonitwy do owych trunkowych fontan (gdyż i te fontanny dopiero zaczęły tryskać, gdy cesarstwo przyszli), jeden drugiego przewracał, czem kto mógł czerpał, byle prędzej, żeby go kto nie odpił; dopiero się zaczęły przy samym pawilionie cesarskim tańce chłopów w różnych narodowych strojach; rozpoczęły się też do koła widowiska tancerzy na linach, na koniach, maryonetki, farsy, kuglarze, sztukmistrze i t. p.: prawdziwy karnawał wenecki.

Trudno podobnie hucznąą i wesołą widzieć fetę ludową, na której dla widzenia i dla ukazania się ludowi mieli cesarstwo do wieczora bawić, i miano im tam nawet przynieść rozmaite chłodniki i jedzenia. Ale cóż, niestety, dzień był śliczny, gorąco, pogoda; nadeszła około godz. 3-ej chmura, z tak ulewnym deszczem, że wszystkich z placu zabaw rozegnał. Cesarstwo i dwór wsiedli do karet, które zajechały, i pojechali do miasta, lud się rozbiegł, oprócz pijanych, którzy, jak zwykle w podobnych okolicznościach, na ziemi się pokładli. My, chcąc się schronić, a nie mogąc w tym ogromnym ścisku uciekających znaleźć naszych pojazdów, przebieraliśmy się piechotą do pierwszego domu w Rozdroży, zmokliśmy do nitki, lecz cóż dopiero się działo z nieszczęśliwemi elegantkami napełniającemi amfiteatr! bez dachu, bez parasoli, a nawet bez pomocy mężczyzn, albowiem amfiteatr był dla samych dam przeznaczony. Wszystkie kapelusze, stroje, koronki, szale, pióra przemokłe i zniszczone, a które wiele pieniędzy biednych mężów i ojców kosztowały. Patrząc na uciekających, widzieliśmy jak niejedna, i to z pierwszych elegantek nawet, w ucieczce lub szukaniu powozu, trzewiki w błocie zostawiła. A tu jeszcze biedny mąż musiał całą drugą elegancką tualetę dziś jeszcze sprawić, na wielki bal w ratuszu. To pewnie, że jeżeli kupcy strojów przez ten przeciąg festynów koronacyjnych porobili majątki, to mężowie, ojcowie i kochankowie bardzo swoje zaszargali.

Wieczorem był wielki bal w ratuszu, gdzie znowu od szóstej zrana posłany dla zaprowadzenia porządku we wszystkiem; tym razem zostawiłem furiera Szultza, aby wszystkiego dopilnował, gdyż oprócz owego nadzoru nad przygotowaniem do balu, o godz. 11 nakazane mi było na fetę ludową się stawić, wróciłem jednak na samo zaczęcie balu dla urządzenia przyjęcia przez gospodynie, i dalsze etykiety co do służby cesarskiej.

Dnia 29 maja, znowu u dworu wielkie prezentacye i pokoje, wieczór zaś wielki bal w banku, czyli tak zwany bal kupców w giełdzie, i można powiedzieć, że ze wszystkich najpiękniejszy, osobliwie co do urządzenia gmachu całego ministeryum skarbu; zajazd zaś na ten bal był tak cudownie urządzony, iż cesarstwo wjechali galeryą, z pysznych tureckich makat utworzoną, i wysiedli z powozu wprost przed progiem sali balowej [1], to jest przerobionej na ten cel wielkiej sali giełdy, w sposób pyszny i gustowny [2], a z tej sali rozchodziły się na wszystkie strony gmachu korytarze, do różnych pokoi, gdzie były urządzone stoły, bufety, stoliki gry i t. p., a nawet cząstkowe orkiestry; albowiem, gdy później rozpoczął dyrektor banku poloneza z cesarzową, i z nią obszedł cały szereg apartamentów, ten sam polonez, jaki orkiestra na wielkiej sali zaczęła, inne orkiestry po wszystkich salach powtarzały. Na tym balu cesarzowa najwięcej tańczyła, i najdłużej cesarstwo bawili. Lecz już na tym dniu zakończę szczegółowe opisywanie festynów koronacyjnych codziennych, nie mając zamiaru wiernego kopiowania kart mojego ówczesnego dziennika, lecz tylko wyciągi w treści ważniejszych wypadków podam z niego. I tak: było jeszcze kilka balów później we dworze, jako to: u Zamoyskich, u Sobolewskich, u Nowosilcowa. W teatrach umyślnie dla cesarstwa przedstawiano sztuki: *Cecylia Piaseczyńska* [3], *Szkoda wąsów* i t. p.

---

[1] Wszystko to ułożył i wykonał dyrektor banku Henryk Łubieński.

[2] Dano w całej sali na tą fetę posadzkę do zaprawy, (gdyż zwykle jest kamienna) do koła gradusy wysokie pąsowo pokryte dla dam do siedzenia, a w środku kandelabr o 200 świecznikach całą tę okrągłą kopułę oświecał.

[3] Nędzna sztuka, umyślnie przez Dmuszewskiego dla cesarza napisana, ani cesarstwu, ani publiczności się nie podobała. Ile razy cesarstwo zawiadomili, że będą w teatrze, tyle razy dwór powinien się był udać w mundurach, i miał sobie przeznaczone trzy loże w głębi teatru, lecz ja siedziałem choć w mundurze w mojem krześle dyrektorskim.

Dla nich aktorowie francuscy grali w wielkim teatrze, później w Łazienkach na wyspie, lecz niestety, znów deszcz przeszkodził, i cesarstwo nie przyszli, lecz tylko z okien pałacu Łazienkowskiego patrzyli na zgromadzenie. Nadjechał też królewicz pruski, brat cesarzowej, dla którego znów prezentacye w zamku, i znowu bal dla niego; zgoła aż do dnia 15 czerwca ciągnął się dla mnie peryod nieustannej dworszczyzny i służby, lub następowała stagnacya zupełna, naszpikowana niepewnościami, a wszystko to mnie znudziło, nawet i zdrowie zniszczyło.

WYWODY HISTORYCZNE O POCZĄTKU KATEDRY NA WAWELU.

Ogromem materyału bibliograficznego dowieść możemy do oczywistości, iż żadna epoka z dziejów naszych, czasy tylko ostatnie pomijając, żadne zdarzenie historyczne, nie może się pochlubić na liczbę taką mnogością zadrukowanego materyału historycznego ile ich liczy epoka pierwotnej Polski. Kroniki, roczniki, dzieje, rysy, szkice, opowiadania, rozprawy, badania a wszystkie z przydomkiem historyczne, polemika wreszcie odnośna, tak bogatą tworzą dziś bibliotekę, że zdawałoby się iż przedmiot ten jest całkowicie wyczerpany, a tymczasem rzecz cała ma się zupełnie przeciwnie. Pierwiastków Polski jako państwa i narodu przed przyjęciem chrześcijaństwa, nie zdało się dotąd rozświecić najmozolniejszym poszukiwaniom; same zaś początki chrześcijaństwa w Polsce wiele i bardzo wiele pozostawiają nierozjaśnionych szczegółów. To samo tyczy się i początku czasów w pierwotnych dyecezyach polskich, które dopóty trzeba objaśniać, dopóki się nie dotrze do źródeł jasnych, prawdziwych. Z takiem właśnie objaśnieniem i wywodem historycznym o początku katedry na Wawelu pod względem hierarchicznym i budowlanym stawam dziś przed tymi, dla których kościół ten jest tak drogi, tak bardzo drogi!

* * *

Cesarz Otto I. krótko przed zgonem swoim *(† 7 maja 973 r.)* na zjeździe w Kwedlimburgu dnia 23 marca 973 r. zniósłszy parafią Boemia należącą do biskupstwa w Ratysbonie, *parochia extitit, episcopatum efficit* utworzył biskupstwo pragskie. Akt erekcyjny

biskupstwa napisał sam biskup ratyzboński Wolfgang i granicę biskupstwa oznaczył [1]. Ale oryginał tego aktu zaginął. Dopiero na mocy innego dokumentu, ułożonego na synodzie w Moguncyi r. 1086 za cesarza Henryka IV., który także zatracony został w oryginale, a przechował się w transumpcie jedynie, a raczej opowiadaniu w kronice Kosmasa pisanej około roku 1125, miał zawierać granice dyecezyi pragskiej, sięgającej na wschód poza Kraków do źródeł Styru i Bugu, a na południe głęboko w Węgry aż do Dunaju. Dziś gdy krytyka historyczna dowiodła, że dokument ten jest sfałszowany i nie ma żadnej powagi [2], płynie oczywisty wniosek, że Kraków, nim był wyniesiony do stolicy biskupiej, wcale nie należał do dyecezyi pragskiej, co więcej, nim był wyniesiony do stolicy biskupiej, nie należał do Polski, mówmy inaczej, nie należał do dzierżaw Mieszka I., do jego państwa gnieźnieńskiego.

Za świetnych czasów Wielkiej Morawy, Kraków, jako jeden z ważniejszych grodów Chrobacyi, należał do tego potężnego wówczas państwa; z rozpadnięciem się Wielkiej Morawy, od roku 907 należał do podrzędniejszych dzierżaw kniaziów słowiańskich; a na samym schyłku wieku X., około 990 roku, pod czeskiem zostawał panowaniem, pokąd przez rozszerzającego na wsze strony granice Polski, Bolesława Chrobrego roku 999 wraz z Chrobacyą całą po Karpaty, nie został zdobyty, i już odtąd na zawsze przy Piastach i Polsce pozostał.

Że przedtem Kraków do dzierżaw polskich wcale nie należał, krytyka historyczna zupełnie dowiodła, a między dowodami zapisany jest stanowczo rozstrzygający tę sprawę dokument, który najwyraźniej opiewa, że gdy Oda, macocha Bolesława Chrobrego wraz z synami swemi, zaraz po śmierci Mieszka wygnana została z Polski, roku 995 całe państwo Mieszkowe oddała pod opiekę i protekcyą stolicy apostolskiej. W dokumencie tym określone są granice Polski ówczesnej z wyraźnem zaznaczeniem, że Kraków nie należał wówczas do Polski [3]. A drugi dokument to fakt historyczny,

---

[1] Vita S. Wolfg. apud Pertz IV. 538.

[2] Lelewel. Polska wiek. śred. 1856 II. 148, Bielowski Monum. I. 145, Małecki Przewod. nauk. 1875, 196.

[3] Pamięt. Warszaw. 1817 tom XVII str. 317. Lel. Polska wiek. śred. II. 72. Bielowski Monum. I. 148. Kodeks Wielk. I. 3.

że Bolesław Chrobry dopiero w roku 999, zawojowawszy poza Odrą Szląsk, o ile jeszcze nie należał do Polski, ziemię Wiślicką, Sandomierską, Lubelską i Krakowską aż po Karpaty, a Słowaczyznę węgierską aż do Dunaju pod Ostryhoniem, opanował Kraków, wypędziwszy z niego Czechów, a jak pisze Kosmas, w pień ich wyciął [1]. Zostawszy panem Krakowa postanowił bezzwłocznie uregulować stosunki polityczne i religijne. Ponieważ te drugie głównie nas teraz obchodzą, zachodzi najważniejsze na razie pytanie, w jakim stanie zastał Bolesław Chrobry chrześcianizm w zdobytym grodzie Krakusa.

Na to pytanie chcąc znaleść odpowiedź, sięgnąć potrzeba w przeszłość a mianowicie w tę epokę, gdy Kraków należał do państwa Wielkiej Morawy. Z tej epoki najnowsze ostatnich czasów badania historyczne wykazały, że apostoł Wielkiej Morawy św. Metody, w najściślejszym zostający związku z Rzymem, z upoważnienia Stolicy apostolskiej wysyłał misyonarzy kapłanów na pobrzeża Wisły, którzy apostołując tu, szerzyli chrześcijanizm. Z upadkiem Wielkiej Morawy, kiedy biskupi niemieccy, a zwłaszcza salcburski i pasawski, wszędzie gdzie tylko były ślady katolicyzmu w obrządku słowiańskim, tępili ten obrządek, — zaprowadzając łaciński; w tym celu od czasu do czasu wysyłali misyonarzy swoich, którzy rozpoczęte apostolstwo między Słowianami w Chrobacyi dalej prowadzili [2]. Otóż, kiedy do Chrobacyi na pobrzeżach Wisły przybywali z południa misyonarze słowiańscy, a z zachodu łacińscy i prace swe apostolskie szerzyli skutecznie, wniosek oczywisty, że musiały być i kościoły, w których sprawowali służbę Bożą i ofiary składali Panu. Może więc jeszcze z czasów Metodego, a na każdy raz z przed upadku Wielkiej Morawy, istniał w Krakowie kościół, gdzie w języku słowiańskim sprawowano ofiarę mszy św.; zaś z późniejszych czasów istnieć musiał w Krakowie kościół obrządku łacińskiego, a prawdopodobnie krypta tylko św. Leonarda w skale jakoby wykuta na górze Wawelu, w której misyonarze łacińscy, owi pierwsi mniemani biskupi krakowscy, Prochor, Prokulf, Lambert, apostoło-

[1] Sub. an. 999 porównaj, Lelewel l. c. 145. Szajnocha Bol. Chr. 99. Bartosz. Hist. pier. Pols. II. 42. Małecki Przewod. nauk. 1875, 200.

[2] Friese I. 7. Bielowski Mon. I. 88—91. Gromnicki święci Cyryl i Metody. Rozprawy tom XII., 71—81.

wali gorliwie, szerząc chrześcijanizm łacińskiego obrządku w prastarym grodzie Krakowie między rokiem 966 a 1000. Że ten kościół św. Leonarda jest najstarszą, najdawniejszą w Krakowie świątynią łacińskiego obrządku, to dowodzi najprzód katakumbowa jego budowa — ukryta przed oczyma niechętnych jeszcze dla katolicyzmu mieszkańców Krakowa, nie chcących porzucić pogańskiej wiary praojców swoich; dowodzi sam tytuł św. Leonarda tak powszechnie w owych czasach nadawany kościołom w Niemczech, a zwłaszcza w Bawaryi, skąd głównie przybywali misyonarze wysyłani od biskupów pasawskiego i salcburskiego; dowodzi styl sam prastary romański i podobieństwo budowy do tych krypt jakie w X. wieku w niejednym w Niemczech budowano kościele. Misyonarzom niemieckim w pomoc przychodzili misyonarze czescy, a zwłaszcza w tych czasach gdy Bolesław II. Pobożny zająwszy Chrobacyę, osadził w Krakowie r. 993 czeską załogę, jak Dobner mniema, pod zwierzchnictwem Władewoja, a Pelzel i Dubrowski twierdzą, że pod wodzą Krassoty.

W tej tedy epoce, to jest w ostatnim dziesiątku lat dziesiątego stulecia, nad podziemnym kościołem św. Leonarda na wawelskiej górze, wystawiono obszerniejszy nieco kościół, nieopodal zamku książęcego, który niewątpliwie stać musiał na tej samej górze i to od strony wschodniej. Tu dwie okoliczności wytłumaczone mamy, dlaczego mianowicie krypta św. Leonarda zwrócona jest absidą na zachód, kiedy powszechnie łacińskie kościoły zwracano ołtarzem wielkim na wschód. Zamek książęcy władcy i panującego w starym grodzie, musiał być w Krakowie tak w owym czasie, gdy Kraków należał do Wielkiej Morawy, jak wtedy gdy był grodem tylko książęcym białej Chrobacyi, jak wreszcie i wtedy, gdy w ostatnich latach X. wieku władztwu Czechów podlegał, Kosmas bowiem pisze, że Bolesław Chrobry 999 roku zdobywszy Kraków [1], w pień wyciąć kazał załogę zamkową. Zamek ten stał nie gdzie indziej tylko na wschodniej stronie góry Wawelu, i to pewnie na wiele lat pierwej nim nadeszła tamże potrzeba wystawienia kościoła, kaplicy czy krypty, przyległej zamkowi, zwróconej doń frontem, a więc z absydą na zachód. Kiedy więc raz

[1] Porównaj Naruszewicza, księga I. rok 999.

już taki podziemny w skale kościół stanął na Wawelu, kiedy potem okazała się potrzeba zbudowania wyższej świątyni, wystawiono takową nad kryptą św. Leonarda pod tytułem św. Wacława. Tytuł ten kościoła znowu dowodzi, że stać się to mogło tylko wtedy, kiedy Czesi władali Krakowem, tylko wtedy, kiedy już pod tym tytułem mieli wystawioną w Pradze katedrę św. Wita i Wacława (r. 950); otóż to wszystko, gdy jak raz wypada na sam schyłek X. wieku, któż nie przyzna, że w braku piśmiennych autentycznych dowodów, argumenta same przemawiają, że tak być musiało a nie inaczej. Na górze tedy wawelskiej, na tem samem miejscu, gdzie dziś stoi zamek królewski, stał w X. wieku zamek książęcy może drewniany tylko, może murowany z kamienia, ale stał w obronnem miejscu na skale. Obok zamku książęcego z rozszerzaniem się chrześcijanizmu łacińskiego obrządku, przy schyłku X. wieku, zbudowano najprzód kryptę pod tytułem św. Leonarda, a następnie naprzeciw zamku nad tym podziemnym kościołem wzniesiono, bądź z kamienia bądź z drzewa kościół pod tytułem św. Wacława.

Taki stan co do tego punktu zastał Bolesław Chrobry, książe chrześcijański, gdy jako zwycięzca stanął w Krakowie na górze Wawelu roku 999.

Wzmiankowaliśmy wyżej o dokumencie Ody, którym Stolicy Apostolskiej oddała w opiekę Gniezno, to jest ówczesną Polskę Mieszka, w skutek tego w Rzymie postanowiono dać koronę polską najstarszemu synowi Mieszka i Ody, Mieszkowi II., gdy jednakże ten umarł w maju r. 999, a jednocześnie Stefan węgierski królestwo swoje poddał pod władzę duchowną papieżowi, przeznaczoną pierwotnie dla Mieszka koronę, przesłano i oddano Stefanowi węgierskiemu. Ponieważ działo się to jak raz, gdy Bolesław Chrobry zdobył Kraków, papież Sylwester II. zasiadający na stolicy rzymskiej od kwietnia r. 999 w porozumieniu się z Ottonem III. nie mogąc na teraz dać Polsce korony, inne tu zamierzył przeprowadzić sprawy, a mianowicie hierarchię urządzić kościelną w państwie, które tak szczęśliwie i pomyślnie rozszerzało granice swoje. Więc przedewszystkiem książęcą stolicę Gniezno, w której kościół chlubił się zwłokami świętego męczennika Wojciecha, postanowił podnieść do godności arcybiskupiej, i dla tego w Rzymie wyświęcił na arcybiskupa gnieznieńskiego, brata św. Wojciecha Radzyna,

a dowód na to mamy w tem, że na dokumencie papieskim wydanym w Rzymie 2 grudnia 999 roku, podpisany jest między innymi świadkami: *Gaudentius archiepiscopus S. Adalberti* [1]. Resztę miał załatwić cesarz Otto III., a mianowicie gdy papież nie mógł zmienić nadania korony, miał to uczynić cesarz — a w porozumieniu się z Bolesławem, hierarchiczne miał urządzić stosunki kościoła w Polsce. Stało się to jak wiadomo roku następnego tysiącznego w Gnieźnie. Wielką wówczas dyecezyę poznańską, obejmującą nie tylko dawne dzierżawy Mieszka I. ale i nowo zdobyte przez Bolesława ziemie, podzielono na jedno arcybiskupstwo z stolicą w Gnieźnie i na cztery biskupstwa: poznańskie z stolicą w Poznaniu, krakowskie z stolicą w Krakowie, wrocławskie na Szląsku z stolicą w Wrocławiu i kołobrzeskie w Pomeranii z stolicą w Kołobrzegu. Arcybiskupem gnieźnieńskim został przedtem już r. 999 wyświęcony w Rzymie Gaudencyusz, czyli Radzyn, a jemu poddani zostali jako biskupi sufragani: krakowski Lambert, wrocławski Urban i kołobrzeski Reinber, wszyscy niewątpliwie misyonarze apostołujący w tych właśnie stronach Polski. Poznański biskup Unger, jako sufragan arcybiskupa w Magdeburgu, wyjęty był na teraz od zależności arcybiskupa gnieźnieńskiego.

Ale to była pierwsza część dopiero onego wielkiego aktu rozpoczętego w Gnieźnie — druga miała się spełnić w stolicy każdej pojedynczo dyecezyi, to jest miał być wybrany i naznaczony, lub nowo wzniesiony kościół katedralny, opatrzony w odpowiednią liczbę personału duchownego, z odpowiedniem uposażeniem. I stało się to — inne katedry i uposażenie ich pomijając, zwracam myśl główną ku katedrze krakowskiej. Skonstatowałem, że w roku 999, w czasie zajęcia Krakowa przez Bolesława Chrobrego, istniał już na górze Wawelu kościół św. Wacława wraz z kryptą św. Leonarda.

Kto wystawił ten kościół, i kto go uposażył, na to pewnych nie mamy dowodów, dlatego w niedostatku takowych nie możemy całkowicie odrzucić tego, co napisał Długosz [2], że kościół św. Wacława w Krakowie wystawił Mieczysław książe polski i syn jego Bolesław Chrobry, a ostatni uposażył go dostatnio. Otóż zapiskę

---

[1] Bielowski Mon. II. 793.

[2] Lib. benefic. I. pag. 5.

tę tak czytać mamy a nie inaczej, że w owym czasie gdy Mieszek I., a po nim Bolesław Chrobry panował w Polsce, w Krakowie stanął kościół św. Wacława, a za czasów Bolesława Chrobrego, gdy ustanowione zostało kanoniczne biskupstwo krakowskie r. 1000, kościół ten przeznaczono na katedralny, któremu Bolesław Chrobry stosowne dał uposażenie.

Ponieważ dziś pewnikiem jest historycznym, że biskupstwo krakowskie erygowane zostało roku 1000, ponieważ na kościół katedralny potrzeba było wybrać taki, któryby był najodpowiedniejszy, choćby też był podtenczas inny w Krakowie, wybrano niewątpliwie kościół św. Wacława, jako stojący obok zamku książęcego na górze Wawelu, idąc w tem za upowszechnionym zwyczajem, że katedralny kościół bywał, gdzie był i zamek książęcy — panującego; tak bowiem było w Salzburgu, Pasawie, Moguncyi, Pradze, Poznaniu, Gnieźnie, tak było i później w Płocku.

Zbliżamy się teraz do spraw faktami stwierdzonych. Zapiski rocznikarskie, najdawniejsze katalogi biskupów krakowskich, a potem wszystkie kroniki zaświadczają, że dnia 27 września 1088 r. „Święte ciało bł. Stanisława Lambert biskup i kanonicy krakowscy ze Skałki z kościoła św. Michała przenieśli ze czcią należną do kościoła głównego [1]. Ten kościół główny, to był kościół katedralny św. Wacława na zamku. To zdarzenie tak pewne, dowodzi, że kościół katedralny na zamku *in castro* musiał istnieć przed rokiem 1088, dowodzi, że gdyby kościół św. Michała był katedralnym, jak tę hipotezę stawiają niektórzy z badaczów przeszłości, na tem się opierając, że tam św. Stanisław został zabity, to by stamtąd nie przenoszono ciała św. Stanisława do innego mniej znacznego, który kiedyś dopiero miał być katedralnym; nie przenoszono by z kościoła, który Kadłubek wyraźnie nazywa *basilica minor S. Michaelis* do kościoła, który roczniki, katalogi i kroniki zowią zawsze *ecclesia major*. Żeby zaś kościół katedralny miał być budowany dopiero po męczeńskiej śmierci biskupa Krakowskiego, po r. 1079 i to jednocześnie z kryptą, to hipotezę tę trudno zrozumieć, dla samych tytułów rozdzielonych. Gdyby wtedy dopiero

[1] Rocznik krakowski Mon. Pol. hist. II. 796. Rocznik świętokrzyski Mon. Pol. hist. III. 68. Katalogi bisk. krak. Mon. Pol. hist. III. 344, 345.

budowano kościół i kryptę, to nie dawanoby osobnego tytułu krypcie — a osobnego tytułu kościołowi — powtóre, jakakolwiek zapiska tak ważnej okoliczności przy wzmiance tylekroć powtórzonej o przeniesieniu ciała św. Stanisława ze Skałki, musiałaby mieć miejsce choćby taka: „do nowo zbudowanego kościoła“ — że tego wszystkiego nie ma, więc dowód, że to był kościół dawniej zbudowany. Ale po co tu silić się na więcej dowodów. Jeżeli nie ma i nie może istnieć i nie może być erygowana parafia bez kościoła — *a fortiori* nie mogła być ustanawiana dyecezya bez pasterza, bez katedry — a że fakt najjaśniejszy, że dyecezya i biskupstwo krakowskie powstało kanonicznie w roku 1000, musiało więc mieć w tym czasie i kościół swój katedralny. Budowanie kościoła katedralnego dopiero po męczeńskiej śmierci św. Stanisława, po roku 1079 i budowanie go dla jego uczczenia, pod okiem monarchy brata rodzonego króla, zabójcy świętego biskupa, byłoby zbyt śmiałym aktem ze strony biskupa i kapituły, którzy przez 10 lat w ukryciu trzymali zwłoki jego, lękając się gniewu tak dobrze samego Bolesława jak i brata jego Hermana.

Ci którzy fundacyę i wybudowanie kościoła katedralnego na zamku św. Wacława przypisują dopiero Władysławowi Hermanowi, opierają się nie bez zasady na zapiskach rocznikarskich i na kronice starszej od Długosza, a stąd wiarogodniejszej. W roczniku Sędziwoja z Czechła pod rokiem 1102 czytamy: *Vladislaus dux Poloniae pater tercii Boleslai obiit qui ecclesiam beati Wenczeslai edificavit in Cracovia in castro*[1]. W innym znowu roczniku zwanym Traski pod rokiem 1139 zapisano: *Boleslavus tercius, dux inclitus Polonorum, obiit. Iste Boleslavus ecclesiam sancti Wenceslay in Cracovia, quam pater eius Wladyslaus fundaverat, edificavit et viginti canonicos in ea constituit*[2].

Z kroniki najważniejsza w tej sprawie Boguchwała, na którą już Naruszewicz powołuje się[3], taką ma zapiskę: *Iste Wladislaus piissimus princeps ad honorem sancti Venceslai martyris olim ducis Bohemiae in castro Cracoviensi cathedralem ecclesiam pri-*

---

[1] Mon. pol. hist. II. 874.
[2] Mon. pol. hist. II. 832.
[3] Wydanie I. 1781 tom III. str. 11 przyp. *z*.

mus fundavit, in qua viginti quatuor canonicos constituit, quibus prebendas magnificentia regali dotavit[1].

Ponieważ w tej zapisce najwyższego jest znaczenia wyraz *primus fundavit*, i na tej opierają się wszyscy co Władysławowi Hermanowi dopiero przypisują pierwsze wystawienie katedry na Wawelu, posłuchajmy starszej jeszcze tego samego tenoru zapiski, wynikłej z tego samego źródła co i zapiska Boguchwała, to jest z rocznika bardzo dawnego, współczesnego zapewne — w tej drugiej zapisce w kronice Mierzwy z XIII. wieku czytamy: *Hic Vladislaus pius princeps ad honorem sancti Wenceslai martyris ducis Bohemorum ecclesiam in castro cracoviensi fabricavit, canonicos instituit et magnificentia regali dotavit*[2]. Pisze więc dosłownie to co u Boguchwała, tylko z tą doniosłą różnicą, że nie mówi *primus*, że nie pisze, że on to pierwszy dopiero wystawił i ufundował katedrę na Wawelu.

Jaśniej teraz sprawy tej całej nie możemy mieć przedstawionej.

Przed Władysławem Hermanem na kilka lat przedtem wystawiony był i uposażony kościół św. Wacława, który od roku 1000 zamieniony na katedralny, a od roku 1088 obdarzony świętością zwłokami męczeńskiemi św. Stanisława, wymagał przy zwiększeniu się liczby duchowieństwa i wiernych, by wspanialszy był — jakoż stało się to w ostatnich latach panowania Władysława Hermana, a przeciągło się jeszcze w panowanie Krzywoustego jak świadectwem temu powołana wyżej zapiska z rocznika Traski.

Kościół ten Władysława Hermana gdy nam się zdaje, że był przedstawiony na najdawniejszej pieczęci kapitulnej, zachowanej przy dyplomacie Mogilskim z r. 1220, rysowanej w dodatku do albumu Kielesińskiego, i na mapie dawnej dyecezyi krakowskiej ks. prałata Scipiona z datą 1204 r., takie nasuwa uwagi. Jeżeli pieczętarz, co ryl tę starożytną pieczęć, przedstawił widok kościoła od strony północnej, to na pewno powiedzieć możemy, że absyda kościoła spoczęła jak raz nad absydą krypty św. Leonarda, czyli inaczej mówiąc, że kościół ołtarzem wielkim nie był zwrócony ku

[1] Mon. Pol. hist. II. 493.
[2] Mon. Pol. hist. II. 310.

wschodniej, lecz ku zachodniej stronie. Przestrzegano wprawdzie wówczas zwyczaju żeby kościoły stawiano zawsze na wschód, mnóstwo jednak stawić można dowodów, a zwłaszcza w miastach większych, że od zwyczaju tego odstępowano bardzo często. Samego Krakowa obliczmy dawne i późniejsze kościoły, a znajdziemy je ku wszystkim czterem stronom świata stawiane, wniosek przeto oczywisty, że tej zasady tak ściśle nie zachowywano. Wracamy do katedry naszej, przebudowana była za Władysława Hermana, a ukończona za Bolesława Krzywoustego.

To co pisze ks. Łętowski, że biskup Maurus konsekrował kościół katedralny 12 maja 1110 r., wzmiankę o tem znajdujemy tylko w Długoszu przy żywotach biskupów, a w porównaniu z zapiskami zawartemi w rocznikach o dokończeniu przebudowania katedry za Bolesława Krzywoustego jest bardzo na swojem miejscu. Inna znów zapiska zamieszczona w rocznikach, że biskup Radost r. 1140 konsekrował kościół katedralny św. Wacława, umieszczona w roczniku kamienieckim i w roczniku krakowskim [1], każe się domyślać jakiegoś nowego przebudowania, o czem jednakże w żadnych źródłach, bliższych danych nie znajdujemy. Za Wisława Kościeleckiego roku 1230, pisze ks. Łętowski, gdy wieże katedralne pokrywano ołowiem, zgorzał kościół katedralny. *Ecclesia Cracoviensis combusta est.* Data rzeczona jest prawdziwa, bo zapisana w Roczniku kapitulnym [2], ale do Wisława nie może się stosować, gdyż ten dopiero w roku następnym został biskupem, jak to w tychże rocznikach czytamy. Długosz w żywotach biskupów krakowskich pisze, że Wisław wystawił 3 wieże kościoła katedralnego i pokryć je dał ołowiem. *Tres turres ecclesiae beati Wenceslai erexit et plumbo texit* [3].

Następca Wisława, biskup Prandota, przygotowując się do niezwykłej uroczystości, bo do podniesienia z grobu ciała św. Stanisława i wystawienia go na ołtarzu, wiele zapewne uczynił ku ozdobie kościoła katedralnego, k'czemu dowodem służy zapiska Długosza że w roku 1253 nową dał posadzkę w całym kościele *Anno Do-*

[1] Mon. Pol. hist. II. 778, 833.
[2] Biel. Mon. II. 803.
[3] Dług. I. 400.

mini Millesimo ducentesimo quinquagesimo tertio ecclesia beati Wenceslai pavimentatur[1]. Pod rokiem 1305 smutną mamy zapiskę w kalendarzu krakowskim w tych słowach: *Anno D. M. tercentesimo quinto dum arsit civitas apud omnes Sanctos, de illo igne ventus portavit super ecclesiam Craccviensem et exussit totam in crastino s. Stanislai*[2]. X. Łętowski w katedrze objaśnia, że to było za czasów Nankiera, w wigilią św. Stanisława — lecz i tu omyłka widoczna, gdyż Nankier został biskupem krakowskim po Janie Muskacie, dopiero roku 1320, a pożar kościoła katedralnego miał miejsce nie w przeddzień św. Stanisława, lecz nazajutrz po tem święcie — 1305 roku.

Jak zaradzono tej pogorzeli kościoła sw. Wacława, nigdzie o tem wzmianki najmniejszej, dopiero po roku 1320 czytamy, że Nanker uważając, że kościół katedralny krakowski stał w ciasnem miejscu i w starodawnym stylu, według zwyczaju i zamożności owych czasów, za nisko był zbudowany, rozburzył zupełnie mury starego kościoła, a założył mury z ciosu bardzo piękną strukturą dając mu odpowiednią długość i szerokość, o ile na to pozwalała przestrzeń miejsca[3].

Tem wspomnieniem Długosza zamykam badania moje o kościele katedralnym na Wawelu, sięgające od początku jego, od samego schyłku X. wieku aż do roku 1320. Od argumentów moich i wywodów jak najchętniej odstąpię, ale wtedy dopiero, jeśli potrafi kto stawić dowody, że między rokiem 993 a 1000 i w ogóle na schyłku X. wieku nie budowano jeszcze kościołów, a zwłaszcza krypt w stylu romańskim, jakiej wzór mamy dochowany w krypcie św. Leonarda na Wawelu; jeżeli kto stawi dowody, że roku tysiącznego w Krakowie inny był kościół katedralny, bez egzystencyi którego, erygowanego biskupstwa krakowskiego roku tysiącznego pojąć nie podobna.

D o m ó w i e n i e. Jużem był oddał do druku powyższy artykuł, gdy ktoś życzliwy zwrócił mi uwagę, że przed wielu laty p. Bolesław Podczaszyński, profesor szkoły sztuk pięknych w Warszawie, na jednem z posiedzeń Towarzystwa naukowego krakow-

[1] Dług. Opera I. 402.
[2] Mon. Biel. II. 921.
[3] Długosz Opera omnia, Vol. I. pag. 409.

skiego, czytał rozprawę naukową o krypcie pod katedrą na Wawelu. Śledzenie za tą rozprawą ten mi dało tylko rezultat, że rozprawa Podczaszyńskiego nigdzie w całości drukowaną nie była, wyjątki z niej jednakże w roku 1862 zamieszczono w feljetonie *Czasu* Nr. 180, 181, 182, 183 i 185, zebrawszy i odczytawszy takowe z dumą i radością zastawiam się powagą tak uczonego badacza i odnośne wyjątki przytaczam tu dosłownie.

Wspominając o najdawniejszych zabytkach budownictwa z pierwszych czasów chrześcijaństwa w Polsce, tak się wyraża Podczaszyński: „Między wszystkiemi pierwszeństwo trzyma podziemna kaplica czyli krypta pod katedrą na Wawelu, jak sądzę, między 955 a 999 r. zbudowana. Jest ona bez zaprzeczenia najdawniejszym w Krakowie (a bodaj nawet i w całym kraju polskim) zabytkiem chrześcijańskiego budownictwa". *Czas* Nr. 181. W tymże samym numerze nieco niżej czytamy o tej krypcie taki przydłuższy ustęp:

„§. 1. Ktokolwiek zwiedza wspaniałą bazylikę krakowską na szczycie Wawelu zbudowaną, po obejrzeniu licznych, rzec można nieprzeliczonych zabytków, jakie w tej istnej skarbnicy krajowych pamiątek nagromadziła w ciągu dziesięciu niemal wieków skrzętna pobożność mieszkańców Polski, nie omieszka nigdy rzewnem serca wiedziony uczuciem hołd oddać pamięci królów, którzy zacnie i długo panowali na tej ziemi, i głębokiem wzruszeniem uczcić ich popioły. Gdy w tej pobożnej wędrówce zstąpi w główne katedry podziemie, zdjęty zostaje pomimowoli szczególnem uszanowaniem na widok poważnej dawności, jaką tchnie to ustronie. Znawca i badacz starożytnych rzeczy zapomina na chwilę o stojących tu pięknych kamiennych grobowcach, w których spoczywają zwłoki kilku królów i znakomitych w Polsce mężów, mija ozdobne miedziane trumny Władysława IV. i żony jego Cecylii Renaty; usuwa myślą przed kilkuset już laty dodane obszerne podmurowania, dźwigające na sobie główne filary katedralnej nawy, a zachwyca się widokiem wnętrza, w którem łacno mu rozeznać jednę z tych kaplic starodawnych kryptami albo konfesyami zwanych, dosyć upowszechnionych w budownictwie kościelnem przed wiekiem XIII."

„Nizko zwieszone sklepienie o półkolistej krzywiźnie, krępe, dwoma rzędami stojące słupy okrągłe z kostkową głowicą, półko-

liste zakończenie (absis) kaplicy, wreszcie z gruba tylko wyrobione i jakby niedokończone części i ozdoby, kolejno zajmują uwagę jego. Cała naostatek wewnętrzna postać podziemia wymownie przekonywa każdego, iż ma przed sobą godzien troskliwego zbadania pomnik, nader odległych sięgający wieków, dawniejszy znacznie od innych części starej bazyliki krakowskiej, a świadek pierwszych chwil krzewienia się wiary św. w Polsce, pierwszych lat wzrostu i potęgi narodu, który wytrwałą walką przeciw napływom niemieckiego żywiołu początek dziejów swoich naznaczył".

„Dawni kronikarze spisywali rocznikowym sposobem poczet współczesnych sobie i to ważniejszych tylko w kraju wypadków. Pierwsi dziejopisowie, biorąc za wzór wsławionego Tacyta moralisty raczej niż historyka, przesadzali się w zwięzłości wyrażeń ogólnikowych, a bardziej krasomowstwem niż obrazowaniem prawdy dziejowej zajęci, pomijają w swych pracach liczne szczegóły tak nam upragnione, naciągają nawet częstokroć wypadki dziejowe do swych osobistych widoków lub upodobanych teoryj. Jak jedni więc tak i drudzy nader mało dostarczają gotowych już materyałów do poznania dziejów owoczesnych, a tylko ściślejszy porównawczy rozbiór tych surowych źródeł może cokolwiek mglistą niepewność pierwotnych lat historyi narodowej rozjaśnić i światło prawdy ukazać".

„Tak właśnie jest z katedrą krakowską. Napróżnobyśmy szukali w kronikach i u dziejopisarzy bliższych szczegółów o założeniu pierwotnem i o początkowej budowie tej świątyni. Głuche milczenie jednych, sprzeczne i wiarogodności nie przedstawiające powieści drugich, dopiero od panowania Władysława Hermana (1081 do 1102) nieco więcej dostarczają wiadomości o katedralnym na zamku kościele, które w wątpliwości jednak zostawują pragnącego oświecić się o dawniejszych jego losach, tembardziej, że niekiedy nawet wyraźnie zdają się zaprzeczać istnieniu bazyliki na Wawelu przed XII. wiekiem. Wszakże widoczną jest rzeczą, z pierwszego nawet poglądu, że na dzisiejszą postać kościoła różne a znacznie od siebie odległe składały się epoki. Jakoż pominąwszy dodatki i przeistoczenia późniejsze, wiadomo, że już Bolesław Krzywousty około r. 1126 przerabiał tę świątynię i powiększał; wieża zaś wikaryjska, która właśnie z tego czasu pochodzi, tak dalece różni się

budową swoją od zajmującej nas głównie podziemnej kaplicy, że przynajmniej o jakie półtorasta lat od niej musi być młodszą; założenie więc pierwotne kościoła, znacznie dawniejszej niż Władysława Hermana sięgałoby epoki". *Czas* Nr. 181.

„Ostateczny rezultat badań i ostateczne słowo z rozprawy ś. p. Podczaszyńskiego to było: „iż krypta wawelska jest dziełem Czechów, którzy trzymając załogę tynu krakowskiego, zbudowali ją między 955 a 999 rokiem — że prawdopodobnie kaplicę tę poświęcono pierwotnie orędownictwu św. Leonarda, który w Czechach czczony, mniej znanym był w polskiej ziemi". *Czas* Nr. 185.

„Pod względem techniczno-archeologicznym ś. p. Podczaszyński wykazał w rozprawie, że umieszczanie ołtarza w stronie zachodniej było dosyć powszechne, jedynie pod koniec XIII. wieku, jak tego dowodzą stare krypty we Francyi południowej, w Normandyi, w Czechach i w Kolonii. Niedokończony stan wszelkich robót wewnętrznych, nie obcięte jeszcze ucha u kolumn do dźwigania ich w górę przeznaczone; nie wszędzie wyrobione ornamenta u głowic i rudymentarne zaledwie formy podstaw słupowych. Kształt rzeźb i kapiteli, mających wielkie podobieństwo z czeskiemi ówczesnemi monumentami. Układ całości ze śladami ławy w około ołtarzowego półkręża (absydy) zbliżony i niemal jednaki z układem krypt w X. wieku stawianych na zachodzie, a szczególnie identyczny układ z czeską kryptą św. Jerzego w Pradze z X. w. To wszystko dowodzi, iż krypta św. Leonarda zbudowaną była na schyłku X. stulecia". *Czas* Nr. 185.

Sprawozdawca z odczytu ś. p. Podczaszyńskiego nadmienia na ostatku, że prelegent wszystkie szczegóły swej pracy przedłożył uczonemu Augustowi Bielowskiemu i dziwnie się zgodziły badania obu tych mężów, chociaż Bielowskiego zdobyte były jedynie drogą badań dziejowych, a Podczaszyńskiego dowodami czerpanemi z historyi sztuki. „Bądź co bądź, jasnem pozostanie to, iż krypta św. Leonarda pochodzi z drugiej połowy X. wieku, a należy do pamiątek tej kategoryi, jak trzemeszeńskie kielichy Dąbrówki, jak włócznia św. Maurycego, przechowana w skarbcu katedry na Wawelu.

Ks. Ignacy Polkowski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Stefan Batory. Przegląd historyi jego panowania i program dalszych nad nią badań. Z powodu 300-letniej rocznicy śmierci króla Stefana napisał *Zakrzewski Wincenty*. Wydanie poprawne i uzupełnione dodatkami. W Krakowie, nakładem G. Gebethnera i Sp. 1887.

Aby uczcić 300 letnią rocznicę zgonu Stefana Batorego, ogłosił uczony świat polski trzy książki za staraniem Akademii Umiej.: wyszedł zbiór aktów, *Batoryanami* pospolicie zwanych, których wydawcą jest ks. Polkowski, a równocześnie prawie drukowały się w *Przeglądzie polskim* i *powszechnym* dwie obszerne prace ks. Załęskiego i prof. W. Zakrzewskiego. Ostatnia wyszła obecnie, wraz z dodatkami źródłowemi, pod tytułem na wstępie wypisanym [1]. Chronologicznie rzecz traktując należy się tej rozprawie pierwszeństwo przed publikacyą ks. Polkowskiego i dlatego o niej najpierw mówić nam przychodzi.

Książka p. Z. nie jest przedewszystkiem tem, co tytuł na pierwszej karcie powiada, nie jest więc „przeglądem historyi panowania Stefana", lecz zestawieniem kwestyj spornych, które, podług zdania autora, wymagają źródłowego opracowania i wyjaśnienia. Że książka p. Z. w ten sposób pojęta, może być uważana jako „pro-

[1] Pomijamy rozprawy pomniejsze, jak prof. Pawińskiego (Zgon króla, w Tygodn. illustrow.) i Kallenbacha (Nuncyusz Caligari o królu Stefanie), i takie, które właściwie rozjaśnienie innych kwestyj mają na celu (Balzera Stefan Batory wobec reformy sądownictwa polskiego).

gram dalszych badań“ nad historyą nieodżałowanego monarchy, na to zgadzamy się zupełnie, chociaż wątpimy, czy porządek przez autora wskazany da się utrzymać w całości i czy zadania jego obejmują wszystko, czego od dziejopisarza tej epoki wymagaćby należało. P. Z. rozpoczyna książkę swoję od opisania śmierci królewskiej, mówi następnie okolicznościowo o źródłach, ogłoszonych dotychczas, i przystępując nareszcie do samej historyi, dzieli ją na 3 oddzielne grupy: w pierwszej traktuje o stosunkach wewnętrznych, mianowicie o sejmach, o ustanowieniu trybunału, o sprawie Zborowskich i t. d.; w drugiej zajmuje się sprawami kościelnemi i wspomina nawiasowo o literaturze; w trzeciej nakoniec rozważa zewnętrzną politykę króla i plany jego na przyszłość. Porządek ten, który zapewne nie jest wskazówką dla dziejopisarza traktującego o całem panowaniu Stefana, przesuwa przed nami cały szereg kwestyj niewyjaśnionych należycie, a każda z nich może stanowić temat do szczegółowej, nieraz aż zanadto drobiazgowej monografii. Jestto więc spis zagadnień ciekawych dla uczniów seminaryum historycznego, chociaż nieposuwający na razie sprawy pod względem naukowym. Wyjątek stanowią kwestye kościelne (nie religijne), stosunek polityczny króla do kuryi rzymskiej, opracowany przez autora na podstawie korespondencyj nuncyusza Laureo, przechowywanej w archiwum watykańskiem a skopiowanej przez ks. Kalinkę. Chronograficzny ten ułamek, prowadzący rzez całą niedaleko, bo tylko do złożenia obedyencyi Grzegorzowi XIII., porusza jedną kwestyę ważną, jak na teraz sporną jeszcze, i podług naszego zdania, wcale niewyjaśnioną.

P. Z. (str. 49 i nast.) utrzymuje wbrew dotychczasowemu twierdzeniu, że król Stefan, od chwili objęcia rządów w Siedmiogrodzie, sprzyjał Kościołowi katolickiemu i z Stolicą Apostolską w najlepszych zostawał stosunkach, że więc nie było powodu, aby mu katolicy polscy nie ufali. Argumentacya ta nie wydaje nam się przekonywującą. Prawdą jest, że Batory, jako wojewoda siedmiogrodzki, dawał dowody pisemne przychylności swojej dla Kościoła katolickiego, na co zresztą p. Z. z dzieła Theinerowskiego przytacza dowody, ale zarazem zaprzeczyć się także nie da, że w Polsce pomiędzy duchowieństwem niemała co do jego prawowierności panowała wątpliwość. Bielski, którego dokładne informacye niejedno-

krotnie mieliśmy sposobność stwierdzić, opowiada przecież obszernie o misyi Solikowskiego i o protestantach, otaczających nowego elektora[1]; a trudno przypuścić, aby szczegółowa ta relacya wylęgła się tylko w głowie współczesnego kronikarza. Ażeby więc można było wydać sąd stanowczy o zasadach religijnych króla Stefana przed wstąpieniem jego na tron polski, na to trzeba koniecznie zbadać źródłowo pierwszą epokę jego życia. I oto jest kwestya, którą p. Z. w programie swoim zupełnie pominął. Dokąd ona wyjaśnioną nie będzie, dokąd historycy polscy zajmować się będą tylko panowaniem Stefana w Polsce, dotąd ani charakter jego osobisty, ani kierunek polityczny należycie wyjaśnionym nie będzie. P. Z. składa zapewne tę pracę na barki dziejopisów węgierskich, ale gdyby nawet zapowiedziana książka p. L. Szadeczkyego[2] się ukazała, to, pomijając już trudności językowe, z jakiemi polscy pisarze, chcący korzystać z dzieł węgierskich walczyć muszą, nie znamy pewności, czy badania p. Sz. były prowadzone metodycznie i czy uwzględnią te właśnie kierunki, o które nam najwięcej chodzić może.

Trafną za to, chociaż niewyczerpującą zupełnie, jest charakterystyka Karnkowskiego (str. 62—69). P. Z. pojmuje dobrze jego usposobienie, ocenia należycie zdolności polityczne, ale pisząc to wszystko ma na oku tylko Karnkowskiego, biskupa kujawskiego, a nie prymasa. Tymczasem w życiu niepospolitego tego prałata rozróżniać trzeba dwie epoki: pierwsza, gdzie talent jego i wpływ rosną i rozwijają się na pożytek Kościoła i ojczyzny, i druga rozpoczynająca się z chwilą bezkrólewia po królu Stefanie, mniej szczęśliwa i dla Rzeczypospolitej mniej pożyteczna. Co było przyczyną tej zmiany niefortunnej, na to stanowczo odpowiedzieć nie można, przypuszczać się jednak godzi, że od chwili, gdy fatalna sprawa Zborowskich rzuciła zarzewie niezgody w szeregi szlacheckie, nastąpiło także pewne oziębienie stosunków pomiędzy prymasem a kanclerzem Zamoyskim, w skutek czego i popularność Karnkowskiego

[1] Bielski, Kronika (Wyd. Turow.) t. III., 1388.

[2] Zanim recenzya niniejsza mogła być oddana do druku, ukazała się praca dra Szadeczkyego (*Bathory Jrdván lengyel Niralybyá valasztása* 1574—1576. Budapest 1887). O ile jednak z treści podanej przez prof. Zakrzewskiego w Kwartalniku historycznym (zesz. III. p. 524), sądzić możemy, nie zajmuje się autor rządami Stefana w Siedmiogrodzie.

zachwiać się musiała. Wiek i choroba dokonały reszty. Karnkowski podczas bezkrólewia r. 1587 jestto, podług źródeł współczesnych [1], starzec złamany cierpieniem fizycznem i oczekujący co chwila śmierci; wobec walki zażartej stronnictw zajmuje on stanowisko pośredniczące, ale partyi silnej i niezawisłej wytworzyć nie umie, nie kieruje też wypadkami, lecz idzie za prądem silniejszym. Polityka jego jest i tu na wskróś uczciwa i narodowa, daleka jednak od skutecznej inicyatywy; widocznie siły fizyczne opuszczają go, dawna energia słabnie, powstaje tylko dobra wola i pragnienie służenia sprawie Kościoła i ojczyzny. Podobnie przedstawia się Karnkowski na schyłku życia, za panowania Zygmunta III. Opozycya przeciw projektowi uporządkowania elekcyj wniesionemu w r. 1589 przez Zamoyskiego i zwołanie zjazdu Kolskiego w r. 1890, są to w każdym razie fakta, świadczące o upadku tyle potężnej do niedawna jeszcze inteligencyi znakomitego i zasłużonego męża. Otóż charakterystyka działalności Karnkowskiego musi, zdaniem naszem, objąć całe jego życie, a nie może i nie powinna zadowolnić się epizodem, najpiękniejszym wprawdzie, lecz w porównaniu z całością niezupełnie prawdziwym. To samo da się powiedzieć i o Possewinie. I on nie ustępuje całkiem z widowni politycznego życia, chociaż p. Z. (str. 138) twierdzi, że „na pole działalności swojej nie powrócił już nigdy;“ owszem, spotykamy go raz jeszcze, a mianowicie na początku r. 1587, gdy zetknąwszy się z Annibalem z Kapuy, legatem Stolicy Apostolskiej, dążącym do Polski, składa w ręce jego owo dziwne przyrzeczenie, które na dworze cesarskim w Pradze wywołało niemałe zdziwienie i, przyznać trzeba, uzasadnione podejrzenia [2].

Z postacią Possewina łączy się ściśle wielki plan wojny tureckiej, o którym znowu p. Z. zdaje się powątpiewać (str. 102), chociaż powątpiewanie to następnie (str. 107) znacznie modyfikuje, przytaczając świadectwo Wereszczyńskiego. Zgadzamy się z autorem, że kwestya ta nadzwyczaj ważna, ciekawa, jasną dotychczas

---

[1] Porów. Dyaryusze sejmu konwokacyjnego i elekcyjnego świeżo wydane w Krakowie.

[2] Edward Mayer: Des Olmützer Bischofs Stanislaus Pawłowski Gesandtschaftsreisen nach Polen aus Anlass der Königswahl nach dem Ableben Stefan I. (1587—1589) etc. 1861. S. 23 i 24.

nie jest, ale znowu z drugiej strony nie możemy pojąć, dlaczego klucz do tej zagadki miałby spoczywać tylko w archiwum watykańskiem. W listach Ks. Reszki, ogłoszonych przez Ambr. Grabowskiego, czytamy dość szczegółowe sprawozdanie o negocyacyach, które w imieniu króla Stefana prowadził z Syxtusem V., Andrzej Batory, późniejszy kardynał i bisk. warmiński, ale wnioskować stąd trudno, czy król posłał rzeczywiście Stolicy apostolskiej opracowany dokładnie plan przyszłej wyprawy. Za to w 12 lat później, kiedy Klemens VIII. łącznie z Rudolfem II. podjął myśl wielkiej przeciw Turkom krucyaty, oświadczył Zamoyski wyraźnie Vanozzemu, sekretarzowi legata, że szczegółowe plany Stefana posiada i takowych, w razie potrzeby, użyć nie omieszka. Kto wie, jak troskliwie kanclerz i jego rodzina przechowywali dokumenta, ten uważać powinien to wyrażenie, jako wskazówkę do poszukiwań, które bardzo łatwo pomyślnym mogą być uwieńczone skutkiem. A jeżeli już mowa o kanclerzu i o stosunkach jego z królem Stefanem, jeżeli ogółem o programie prac przyszłych pisać nam wypada, musimy tu wyrazić przekonanie nasze, że historyą panowania Batorego powinien poprzedzić gruntownie opracowany życiorys kanclerza. Monografia tego rodzaju musiałaby się oprzeć na dokładnych studyach archiwalnych i dać nam nietylko historyą znakomitego statysty i hetmana, ale oraz rozległą jego korespondencyę w wydaniu — o ile możności — zupełnem i umiejętnie opracowanem. To byłyby te „nowe źródła", które p. Z. ma na myśli (str. 39), to byłaby droga właściwa do poznania wewnętrznych stosunków Rzeczypospolitej, a kto wie, czy i nie jedyny możliwy sposób do odkrycia wielkich planów Stefana.

Do kwestyj niewyjaśnionych zalicza autor — bardzo słusznie — sprawę kozacką. Na innem miejscu [1] mieliśmy już sposobność wypowiedzieć zdanie nasze o owej „organizacyi Kozaków"; z zadowoleniem widzimy, że p. Z. w zasadzie pogląd nasz podziela, ale zastrzedz się zarazem musimy przeciw zbytecznemu skeptycyzmowi autora, który w tym wypadku za daleko się posuwa. Bo jakkolwiek niema dotychczas śladu regestrowania Kozaków, to zdaje się

[1] O tureckiej polityce Stefana Batorego (Ateneum warszawskie z marca 1886 r.).

być rzeczą niewątpliwą, że Stefan rzeczywiście pracował nad tem, aby ująć w karby Niżowców i zamiar ten swój przywiódł pod pewnym względem do skutku, oddając hetmaństwo nad Kozakami Janowi Oryszowskiemu, herbu Prawdzic [1]. Ten Oryszowski, o którym Bielski następnie, jako o powinnym swoim wspomina [2], nie był wcale postacią mityczną, owszem przybywa w charakterze „przełożonego nad Niżowymi“ na sejm elekcyjny warszawski, w r. 1587, i zwraca powszechną uwagę ubiorem swoim i zachowaniem. Jeżeli się zważy dalej, że to hetmaństwo Oryszowskiego przypada jakoś na czas wysłania komisarzy królewskich do Kozaków, o czem niewątpliwe mamy świadectwa, to zdaje się nie ulegać wątpliwości, że jakąś organizacyą ustanowiono wtedy i że opowieść Piaseckiego „legendą“ nie jest, chociaż w całej osnowie dziś przyjąć jej nie podobna.

O polityce wewnętrznej króla Stefana ogółem mamy bardzo niedokładne dotychczas wiadomości. Z wyjątkiem ustanowienia trybunału, którego genezę umiejętnie, jakkolwiek nie wyczerpująco, opracował dr. Balcer, nie znamy stanu społeczeństwa polskiego w tej epoce pod względem religijnym i cywilizacyjnym. Utarło się u nas oddawna już zdanie, że wiek XVI. jest złotą epoką dla literatury polskiej i oświaty. Twierdzenie to polega wprawdzie na świetnym rozwoju piśmiennictwa krajowego, ale wniknąwszy w rzecz głębiej, przyznać trzeba, że ten olśniewający pięknością swoją rozkwit literatury nie idzie w parze z postępem na polu edukacyi publicznej i ścisłych umiejętności. Społeczeństwo polskie żyje bądź z kapitału uzbieranego w w. XV., bądź też pożycza światła u obcych, wysyłając gromadnie młodzież swoją na obce uniwersytety. Zwrot ten, zgubny w skutkach swoich, tłumaczy się poniekąd właściwością charakteru narodowego, trochę owym hałasem, jaki wywołała reformacya, w końcu upadkiem szkół krajowych, które po krótko trwającym rozkwicie w w. XV., od dawna już chyliły się ku upadkowi.

Jakie były przyczyny tych ze wszech miar smutnych objawów, na to odpowiedzieć dziś trudno, bo historya wychowania publicz-

---

[1] Bielski Kron. III., 1441.

[2] Str. 1480.

nego leży u nas od czasów Łukaszewicza odłogiem. Kto przeto chce poznać stan oświaty w Polsce za panowania króla Stefana, ten musi koniecznie zbadać dzieje wychowania publicznego w całym ciągu XVI. stulecia, a przedewszystkiem wyjaśnić sobie przyczyny upadku akademii krakowskiej, która powinna była być ogniskiem nauk i nadawać kierunek wykształceniu młodego pokolenia. Dlaczego instytucya ta, ufundowana potężną dłonią ostatniego Piasta, a z gruzów podźwignięta staraniem wnuczki jego, nie spełniła swojego zadania i podupadła tak dalece, że ją za Batorego czasów aż reformować trzeba było, na to mogłaby odpowiedzieć chyba umiejętnie opracowana historya jagiellońskiej szkoły, a tej niestety nie posiadamy. Dla króla Stefana dość chluby, że myślał i pragnął zreorganizować ten starożytny przybytek nauk, a kiedy usiłowania jego nie odniosły pożądanego skutku, założył akademią wileńską. I kto wie, czy dla późniejszych pokoleń nie była ważniejszą i pożyteczniejszą owa *alma mater* w grodzie Gedymina, niż najgruntowniejsza reforma jagiellońskiej akademii. Nowa szkoła stała się ogniskiem zachodniej cywilizacyi dla litewskich i ruskich prowincyj i przyczyniła się niemało do spełnienia tej misyi, jaką Rzplta na dalekim wschodzie objęła. A jeżeli p. Z. pyta (str. 90), dlaczego król zaniechał nareszcie zamiarów swoich względem krakowskiego uniwersytetu i zwrócił się ku Litwie, to odpowiedź na to dać nam może znowu chyba stosunek jego do kanclerza, który w dwadzieścia lat blisko później założył akademią Zamojską. Wyjaśnić by więc należało tylko, kto powziął na schyłku XVI. w. pierwszy myśl szerzenia cywilizacyi na wschodzie w sposób zgodny z pojęciami XIX. stulecia.

Wobec tylu ważnych kwestyj, poruszonych przez autora, byłoby rzeczą bardzo ciekawą dowiedzieć się, jak dalece może przyszły historyk tej epoki oprzeć się na źródłach i opracowaniach dotychczasowych. I to jest, naszem zdaniem, pięta Achillesowa, gruntownej zresztą i pożytecznej pracy p. Z. Kto wie, czy nie byłoby lepiej rozpocząć rzecz całą od krytycznego ocenienia tego co już zrobiono, a wskazując przytem brak i uchybienia, nakreślić program dalszych monografij. Jesteśmy przekonani, że p. Z. myśli o opracowaniu historyi króla Stefana, i jak świadczy książka niniejsza, przygotowywał się do tego dzieła od dawna, podług wszelkich wy-

magań naszej szkoły dziejopisarskiej. Pomimo to jednakże sądzimy, że brak monografij w niejednym wypadku zadanie jego utrudni i z tego powodu życzyćby należało, aby znalazł licznych i chętnych pomocników, którzyby się zajęli zbadaniem kwestyj drobniejszych i materye dla całości przygotowali. Praca taka wymaga dokładnej znajomości źródeł i wskazówek, w jakiem kierunku poszukiwania prowadzić należy. Wskazówki ogólnikowe zawiera praca p. Z., brakuje tylko przeglądu źródeł i opracowań. Dla autora wydawały się te wiadomości zbyteczne, dla historyka początkującego są one niezbędne, a zdaje nam się, że nawet wszyscy fachowi historycy byliby podobną pracę przyjęli z wielkiem zadowoleniem. Tymczasem p. Z. ograniczył się na krótkich i niewyczerpujących wzmiankach. Do historyi zakonu Jezuitów np. przytoczył Wielewickiego i Rostowskiego a pominął Argentusa i Cichockiego (Sawickiego); z nowszych brakuje, nie wspominając innych, choćby takiego ważnego zbioru jak *Pierlinga: Bathory et Possevino. Documents inédits sur les rapports du Saint-Siége avec les Slaves etc.* Nie czynimy z tego powodu autorowi zasadniczych zarzutów lecz, uznając pożyteczność jego pracy, żałujemy, że nie jest taką jaką być mogła i jaką mybyśmy ją mieć pragnęli. W dodatku do rozprawy swojej umieścił p. Z. dwa ciekawe listy do marszałka W. Kor. Opalińskiego i postanowienia sejmików w Środzie i Opatowie, które się odbyły przy końcu r. 1880 i na początku następnego. Akta te są przepisane z Ms. biblioteki dzikowskiej i rzucają szczególniej światło nowe na charakter Zamoyskiego i jego stosunki z Opalińskim.

A. S.

Pamiątka 50-letniego jubileuszu kapłaństwa J. Ś. Leona XIII. Papieża. Wydał *Ks. Edward Borawski.* Lwów 1887. Nakład redakcyi „Wiadomości katolickich“ w drukarni Ludowej.

Bardzo pożyteczna i na czasie będąca książeczka rozpoczyna się od odezwy do Czcigodnych Braci Kapłanów i Ludu polskiego — napisanej jędrnie, w słowach podniosłych, odpowiadających wielkiemu, zbliżającemu się wypadkowi, który zapowiada i omawia. Dalej idzie krótki żywot Ojca św., aż do wyboru na papieża; następnie parę kartek o działalności jego jako głowy Kościoła, a w końcu szczegółowa kronika, rok za rokiem, dzień za dniem czynów wielkiego papieża. A choć żywocik ten i kroniczka wzięte są z niemieckich, włoskich i łacińskich źródeł, odznaczają się jednak dobrą, z małemi bardzo uster-

kami polszczyzną, co bynajmniej nie jest małej wagi, przy publikacyach popularnych, i jak ta, na szeroką obrachowanych publiczność.

Następuje program jubileuszu i wystawy watykańskiej, streszczenie wspólnego listu pasterskiego naszych Najprzew. Arcypasterzy wszystkich trzech obrządków; kończy książeczkę modlitwa rytualna Ojca św. Wszystko razem tchnie szczero-polskiem przywiązaniem do wspólnego ojca. Dlatego życzymy szczerze, aby niniejsza *Pamiątka* dotarła do kół jak najszerszych.

Biblioteka rodzinna: 1) Chwile natchnienia młodej osoby przez *Karola Sainte-Foi* (z francuskiego); 2) Gospodą pod Aniołem Stróżem, przez p. *de Segur* (z francuskiego); 3) Życie wewnętrzne Jezusa i Maryi. Rozmyślania na wszystkie niedziele i główne święta roku, przez O. *Grou T. J.* (z francuskiego). Lwów 1887. Wydawnictwa księgarni K. Łukaszewicza.

Przed kilku miesiącami uwiadomiliśmy z radością czytelników *Przeglądu* o nowo zapowiedzianem przez księgarnię Łukaszewicza wydawnictwie *Biblioteka rodzinna*, której celem być miało wyprzeć z polskiego społeczeństwa książki złe, podkopujące wiarę i moralność, a w dodatku za drogie zazwyczaj pieniądze z zagranicy sprowadzane. Dziś mając już przed sobą kilka tomików tego w tak poczciwej myśli rozpoczętego wydawnictwa, z o wiele większą jeszcze radością widzimy i stwierdzić możemy, że prospekt nie został martwą literą, że piękne zamiary nie pojawiły się tylko na papierze, lecz choć zwolna i nie tak jeszcze zapewne, jakby sobie tego wydawcy życzyli, w czyn się przemieniają. Same dobrze znane nazwiska autorów: Karola Sainte-Foi, O. Grou, p. de Segur, świadczą wymownie, że wydawcy równie w kierunku ściśle religijnym, jak i w powieściowym starają się o należyty dobór, a nie mając pod ręką odpowiednich książek oryginalnie napisanych, uciekają się bardzo rozumnie do tłumaczeń rzeczy, mających powszechnie i od dawna ustaloną sławę. Być może że zamiast „Gospody pod Aniołem stróżem“, wolałby kto może inną jaką powieść, a przynajmniej nie bez pewnej słuszności, mógłby pewnie zapytać: Czemu wybrano właśnie te opowiadania, wcale zresztą nie pierwszej świeżości, a nie jednemu prawdopodobnie z czytelników „Biblioteki“ dobrze z lat dziecinnych znane, kiedy tyle innych nowszych powieści francuskich i niemieckich, nie mówiąc już o włoskich, angielskich lub hiszpańskich, równie chrześcijańskich, a nierównie ciekawszych i lepiej opracowanych; same o przetłumaczenie na język polski się proszą. Ale rozumiemy dobrze, że wydawcy liczyć się muszą z wieloma względami, które nieraz najlepsze ich chęci tamują; nie czyniąc więc im wcale zarzutu z wybrania tej właśnie, zresztą samej w sobie dobrej, a jak dla dzieci i ciekawej powieści, zwrócić tylko chcieliśmy prawdziwie po przyjacielsku uwagę ich na przyszłość, czyby nie można starać się o tłumaczenia powieści mniej znanych, a mogących równie swą treścią, jak i odpowiedniem przedstawieniem rzeczy zainteresować i pouczyć szersze koła czytelników — rodziny chrześcijańskie w całem tego słowa znaczeniu.

Tyle co do treści *Biblioteki rodzinnej*, treści zasługującej, powtarzamy to z naciskiem, na wszelkie pochwały. Zewnętrzna strona „Biblioteki“, druk, papier, tania stosunkowo cena, również nie pozostawiają nic do życzenia. Z żalem prawdziwym nie możemy tego samego powiedzieć o poprawności języka,

o *polskiem* tłumaczeniu wydanych dotąd tomików. Tłumaczenie to, powiedzmy po prostu, jest słabe i więcej niż słabe. Już sam tytuł pierwszej książeczki: *Chwile natchnienia młodej osoby* dziwnie brzmi i ze względu na treść książki jest wprost niezrozumiałym. Francuskie zwroty; całe żywcem widocznie słowo za słowem przełożone ustępy; zdania związane ze sobą na obcą modłę; niezachowywanie pewnych ogólnie przez tłumaczów przyjętych prawideł np. w odmienianiu cudzoziemskich imion własnych: rażą bardzo niemile i niejednemu wytrącić mogą z ręki te pożyteczne książki. Przykładów nie cytujemy; niestety, na każdej niemal stronnicy znaleść można w tym względzie aż zbyt wymowne dowody! Wydawcy koniecznie postarać się powinni o rozumnego korrektora, któryby przed oddaniem rękopismów do druku, starannie je przeglądał i poprawił ważniejsze przynajmniej błędy, sprostował wręcz niemożliwe zwroty. Jest to rzeczą niezbędną, bo istotnie szkoda by było, aby wydawnictwo tak pożyteczne, i skąd inąd tak pięknie się zapowiadające utknąć miało na tego rodzaju braku; lub — co niemniej byłoby złem i przykrem — szerzyć wśród rodzin polskich język, który czasami nie wiedzieć, czy jeszcze do nazwy p o l s k i e g o może sobie rościć prawo.

B.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Ostatnie wydawnictwa niemieckie z dziedziny historyi kościelnej.

Podobnie jak z dziedziny historyi w ogóle [1], tak w szczególności z dziedziny historyi kościelnej bardzo wiele i bardzo ważnych dzieł ukazało się w ostatnich kilkunastu miesiącach. Jako najcenniejszych autorów wymienić tu należy: Hergenroethera, Hefelego i Pastora. Dzieło kardynała Hergenroethera *Handbuch der allgemeinen Kirchengeschichte* [2]. W nowem trzeciem wydaniu znowu o 8 arkuszy druku zwiększone zostało. Wydanie to o wiele praktyczniejsze od poprzednich, gdyż uwagi i objaśnienia autora obecnie są tuż pod odnośnym umieszczone tekstem. Dzieło to włączono do biblioteki teologicznej, którą B. Herder wydaje w Fryburgu. Prawdziwem zupełnie jest twierdzenie jednego z krytyków protestanckich, że firma Herdera katolicyzmowi nadzwyczajne oddała przysługi, gdyż powiedzieć można, że dzieło wydane jej nakładem jest zawsze pod każdym względem wzorowe i nie potrzebuje się oba-

[1] Por. *Przegląd powszechny*. Czerwiec 1887. str. 493.
[2] Podręcznik powszechnej historyi kościelnej.

wiać sprawiedliwej krytyki. Herder, jak inny jakiś protestant się odzywa, jest jedną z potęg katolickich. Prawda, lecz p. Herder gotów na wszystkie ofiary i poświęcenia, gdzie chodzi o sprawy kościoła katolickiego. W tymże zakładzie wyszły również i dzieła dwóch drugich wyżej wspomnianych autorów. Trudno pominąć milczeniem inne wielkiej wagi dzieło kardynała Hergenroethera *Regesta Leonis X.* W roku zeszłym wyszedł 4 zeszyt obejmujący regesta 6037—8243 od 1 stycznia do 29 kwietnia 1514 r. Oprócz spraw odnoszących się do beneficyów i małżeństw we wszystkich prawie europejskich krajach, regesta te zawierają dokumenta odnoszące się głównie do utrzymania pokoju europejskiego. Opracowaniem dalszego ciągu dzieła Hefelego *Konsiliengeschichte* [1], a szczególnie Soboru Trydenckiego, ma się również zająć kardynał Hergenröther, tymczasem profesor Knöfler, uczeń biskupa Hefelego, podjął się drugiego wydania dotąd wyszłych tomów. Kim jest Knöfler i jak dzielne ma pióro, o tem przekonał się każdy, kto spotkał się z opracowanym przezeń dwudziestym trzecim tomem *Historyi kościelnej* Rohrbachera w niemieckiem wydaniu.

W nowem wydaniu tego piątego tomu wyliczono 48 soborów, o których w pierwszem wydaniu, przed dwudziestu laty drukowanem, nie było wzmianki. Co do metody, której się trzyma, przytacza Dr. Knöpfler słowa Leona XIII. z Breve *Saepenumero* (18 sierpnia 1883): „Historyk powinien zawsze kierować się prawdą, „nigdy żadnego prawdziwego faktu nie powinien taić, być wolnym „od wszelkiego zarzutu stronniczości i z góry powziętych uprzedzeń".

Pastora *Geschichte der Päpste seit dem Ausgange des Mittelalters* [2], jest dziełem bardzo dziś głośnem, przez sam swój tytuł, rzecby można, dostatecznie poleconem. Wydana dawniej przez Rankiego: *Geschichte der Päpste im XVI. und XVII. Jahrhundert* [3], już dlatego samego, że od 50 laty nie zmieniono w niej ani kreski, zupełnie nie wystarczała. Ranke nie korzystał ani z archiwów, do jakich w nowszych czasach przystęp ułatwionym został, ani też nie uwzględniał nowej krytycznej metody, a protestanckie jego stano-

[1] Historya Soborów.
[2] Historya Papieżów od końca wieków średnich.
[3] Historya Papieżów w XVI. i XVII. wieku.

wisko utrudnia mu dobre zrozumienie przedmiotu. Choć Pastor postawił sobie olbrzymie zadanie, to pierwszy tom, który opuścił już prasę, wzbudza nadzieję, że się z trudnego tego zadania dobrze wywiąże. We wstępie dzieła, które ma objąć około sześciu tomów, umieścił autor ważną rozprawę o humaniźmie. Najpiękniej przedstawił nam Pastor panowanie Kaliksta III. Słowa Pertza, że „najlepszą obroną papieży będzie zawsze dokładne zbadanie ich historyi", najlepsze w dziele Pastora znajduje zastosowanie. Wielkie dzieło profesora Krausa: *Encyclopaedie der christlichen Archäologie*[1] doczekało się wreszcie końca. Jedna z największych powag w tej mierze, de Rossi, uważa je za lepsze od dzieł Martiniego i innych francuskich i angielskich autorów, w każdym razie historyk obejść się dziś bez niego nie może.

Oprócz dzieła kardynała Hergenroethera o historyi kościelnej, pojawiły się historye kościelne Funka i Kopallika. Zamiarem Dra Funka było, napisać książkę treściwą, przejrzystą, mogącą służyć za podstawę do dalszych studyów na ważnem tem a tak pociągającem polu. Literatura dość wyczerpująco przedstawiona; zbyt szkrupulatne zachowywanie z góry a dowolnie ułożonego rozkładu materyi, utrudnia zrozumienie rzeczy. Profesor Kopallik dał się już wcześniej poznać światu uczonemu przez rozprawę o Cyrylu Aleksandryjskim. Historya kościoła, wydana przezeń obecnie w języku łacińskim, głównie się tem różni od innych, że uwzględnia w szczególniejszy sposób stosunki kościoła w Austryi i obfituje w cytaty źródeł, na których się opiera. Profesor Jungmann wydał VI. tom swych *Dissertationes selectae in historiam ecclesiasticam*[2] zawierający sześć nowych rozpraw, omawiających czasy pontyfikatu Bonifacego VIII., zniesienie zakonu Templaryuszów, historyę papieżów awinjońskich, schyzmę zachodnią, dzieje kościoła w początkach XVI. wieku. Księgarnia nakładowa F. Pusteta, która około wydawnictw liturgicznych największe może na całym świecie ma zasługi, wydaniem tego dzieła, weszła na nowe tory, nie opuszczając dawnych i bardzo prawdopodobna, że w tym kierunku

[1] Encyklopedya chrześcijańskiej archeologii.
[2] Rozprawy wywodów w historyi kościelnej.

doścignie niedługo Herdera, z którym na równi zajmuje się gorliwie wszystkiem, co świat katolicki może i powinno interesować.

Trzytomowe dzieło Dra Jannera: *Geschichte der Bischöfe von Regensburg*[1] ważny stanowi przyczynek do krytycznego studyum dziejów kościoła, a ma ono tem większą doniosłość, że oddawna brakowało dzieła właśnie tego rodzaju. Autor opracował najprzód panowanie pierwszych 45 biskupów według źródeł, jakich mu głównie dostarczyły niedrukowane dotąd akta archiwum duchownego, przy czem z wszelką swobodą wyraża swoje zapatrywanie o ujemnych stronach czasów ówczesnych. Nadzwyczaj zajmująco opisana działalność reformatorska biskupów Ruperta I. (1457—1465) i Henryka IV. (1465—1492), gdyż wybornie przedstawia nam wszystkie trudności, które biskupi w wiekach średnich musieli zwalczać. Miejmy nadzieję, że wkrótce ukaże się historya ostatnich trzech wieków.

Do czasów reformacyi odnosi się biografia Marcina Lutra, skreślona przez Eversa, do której materyału dostarczyły głównie listy Lutra w wydaniu de Witte. Trudno pojąć, dla czego właśnie tak ważne źródło, jakiem jest autobiografia Lutra, dotąd tak mało zostało zużytkowanem. Evers korzysta z niej objektywnie, choć czasem niepotrzebnie posługuje się wyrazami, któremi jakby pomścić się chciał za uwielbienie, jakie dawniej jako pastor luterski czuł dla niemieckiego reformatora. Dzieło ks. Soffnera: *Die Reformation in Schlesien*[2], zawiera pomiędzy innymi także wiele zajmujących szczegółów odnoszących się do historyi kościoła w Polsce. O. Enbel a. S. P. napisał: *Geschichte der Oberdeutschen Minoritenprovinz*[3]. O Kobler T. J. opracował według dzieła O. Foley: *Geschichte der Märtyrer und Bekenner der Gesellschaft Jesu in England 1580—1681*[4], w której umieszcza żywoty 57 osób. Drugą tego rodzaju monografią jest dziełko O. Ringhoby o. S. B. o św. Odilu Kluniackim. W r. 1880 przełożeni klasztoru w Einsiedeln z okazyi jubileuszu zakonu św. Benedykta, rozdali pomię-

[1] Historya biskupów regensburgskich.

[2] Reformacya na Szląsku.

[3] Historya prowincyi Franciszkańskiej Wyższych Niemiec.

[4] Historya męczenników i wyznawców Towarzystwa Jezusowego w Anglii 1580—1681.

dzy młodszych członków zgromadzenia do opracowania pewną ilość zadań wybranych ze wszystkich peryodów historyi zakonu. Tom jaki mamy przed sobą godnym jest zakonu i jego świętego. O. Prat T. J. w rozprawie swej (tłumaczonej przez O. Grubera T. J.) udziela nam wiadomości o życiu i działalności O. Piotra de Ribodencyra, jednego z najulubieńszych uczniów św. Ignacego Lojoli, męża wielkiej nauki i cnoty, który przez lat 85 brał czynny udział we wszystkich ważniejszych zdarzeniach swego czasu.

H. Thode wydał: *Franz von Assisi und die Anfänge der Renaissance in Italien* [1]. Już opuszczenie wyrazu „świętego“ objaśnia nas dostatecznie, do jakiego wyznania należy autor; tem przyjemniejsze wrażenie czynią na czytelniku pojęcia, które w tem dziele rozwija. Autor mówi o św. Franciszku z takim zapałem, że słowa jego (podług Gallanda) przypominają encyklikę Leona XIII. „Jeżeli kiedykolwiek który z ludzi zasłużył na przydomek świętego, to bezwątpienia Franciszek z Assyżu“, tak pisze Thode, choć z drugiej strony niedługo czytać trzeba, aby się przekonać, że świętego i pobudek, dla których działał, zupełnie nie pojmuje. „Święty Franciszek był rewolucyonistą“. Taki sąd o tym świętym mężu wydał Droysen w Berlinie, powtórzył go Thode, a za nim jak echo *Neue ewangelische Kirchenzeitung* [2] w ocenie tego dzieła. W każdym razie dzieło Thodego jest pierwszem, które wyczerpująco, z rzadkiem zrozumieniem rzeczy i jasno przedstawia istotę i historyę wpływu, jaki św. Franciszek wywarł na sztukę budownictwa i malarstwa w XIV. i XV. wieku.

Na ostatniem miejscu wspomnieć nam wypada o dziele, które szczęśliwie wypełniło brak dotkliwie uczuć się dający. Jest to Majunkego *Geschichte des Kulturkampfes* [3]. Majunke wie o wielu sprawach, które odgrywały się niejako po za kulisami, a wszystkie zdarzenia z historyczną opisuje wiernością. Nie wspominamy szczegółowo o rozlicznych artykułach zamieszczonych w wybornych katolickich czasopismach: *Das katholische Jahrbuch, Historisch-politische Blätter, Katholik, Studien aus dem Benediktinerorden* i t. d. Liczba tych artykułów, wkraczających w dziedzinę historyi kościel-

[1] Franciszek z Assyżu i początki odnowienia we Włoszech.
[2] Nowa ewangeliczna gazeta kościelna.
[3] Historya walki kulturnej.

nej, nazywa się *legjon*, a najpobieżniejsze nawet ich omówienie przekroczyć by musiało o wiele miarę niniejszemu sprawozdaniu wyznaczoną.

Ks. A. Arndt.

Correspondance du père Aubry, des Missions etrangères. Lille, librairie de *Saint Augustin* 1887.

Przeczucie wielkiego, choć dotąd nie jasnego niebezpieczeństwa, jakie Europie i światu grozi ze strony Chin, ogólną dziś ciekawość zwraca ku Niebieskiemu Państwu i tajemniczemu plemieniu, które, zdaniem kompetentnych znawców, prędzej później stanie do walki z wyższą duchowo, niższą liczebnie rasą białą. Z tem atoli systematycznem pomijaniem źródeł wyraźnie chrześcijańskich, które jest cechą naszej epoki, badacze idącego przełomu wszystkich radzą się powag, okrom właśnie najpoważniejszych. Przyjmują na oślep świadectwa podejrzanej wartości Chińczyków, do szczerych wyznań bynajmniej nie skorych, a zostawiają w cieniu zapomnienia materyały najlepiej posłużyć mogące do poznania aryjskiego sfinksu, listy i zapiski katolickich misyonarzów. Taką to korespondencyę świeżo wydała z pożytecznych swych wydawnictw księgarnia S. Augustyna w Lille. Odgłosy to siedmioletniego zaledwie apostolstwa. Ks. Aubry urodzony w r. 1844 od dnia swej pierwszej komunii posłyszał w sercu głos Chrystusowy wzywający go do apostołowania w dalekich krainach; wszelako zamiar ten nie odrazu dojrzał. Młody kleryk pił naukę wiary ze źródła, kształcił się na ławkach kolegium rzymskiego pod okiem i kierunkiem świątobliwego i uczonego kardynała Franzelina. Później został profesorem przy seminaryum w Beauvais. Ale wyraźne powołanie zawsze się w duszy odzywało, mimo zyskanego stanowiska i zdobytego na młodzieży wpływu, pędziło go, a jak się sam wyrażał „gnało w świat szeroki, pogański, zaślepiony". Ciężko było zrywać węzły łączące z krajem, z dyecezyą, z przyjaciołmi, ale im cięższa ofiara, tem większa nagroda. U wstępu do Chin, odrazu zmierza on piękność swego apostolstwa. „Jakąż pociechą patrzeć z bliska na początki, kolebkę i młodość katolickiego kościoła!... Zapewne kościół Boży wszędzie jest pięknym, bez różnicy krajów i wieków; ale tu bodaj jeszcze ma więcej rzewnego uroku, niby dziecię święte, wzrastające wśród pogańskiej społeczności, jako lilia między cierniem".

Zrazu pod starszym, doświadczeńszym towarzyszem ćwiczy się w misyonarskim zawodzie; następnie sam się zabiera do dzieła. Dowiadujemy się ile trzeba cierpliwości i wytrwałości, aby przybliżać panowanie królestwa Bożego w Chinach. „Muszę wam opisać przebieg tej ewangelicznej roboty, w jaki sposób tu działać należy, aby rozszerzać chrześcijaństwo i nowe dla wiary podbijać zastępy".

„Misyonarz osiedla się w gminie chrześcijańskiej najdalszej, położonej na granicy kraju, gdzie zamierza swe apostolskie zagony rozszerzyć. Tam tedy odprawia nabożeństwo, głosi nauki, zaprasza ludzi, aby przychodzili poznać n a u c z y c i e l a r e l i g i i z dalekich stron. Chińczyk bardzo z natury swej ruchliwy, a przytem niezmiernie ciekawy, zwłaszcza wszystkiego co się Europy dotyczy. Przychodzi ich też wielu, po kilkuset i więcej. Wszyscy oświadczają

zgodnie, iż nowa religia jest stokroć piękniejszą i rozumniejszą od bałwochwalstwa, że moralność w niej i wyższa i lepsza. Ale gdy przyjdzie do praktycznych konkluzyj, wynoszą się jeden po drugim. Zawsze jednak zostaje kilku, czasem kilkunastu, którzy jakoby czegoś wyglądali. Pytasz ich, badasz, odpowiadają, że kto wie, nie zarzekają się, może jutro wrócą. Nazajutrz już tylko połowa się stawia. Żądasz aby co dzień na naukę przybywali, z kolei jeszcze kilku odpada, innych czasem sam pozbywać się musisz, spostrzegłszy dowodnie, iż to udana sztuczka, aby misyonarza wyzyskać. Po dwóch tygodniach garstka zmalała, oczyściła się z żywiołów niepewnych i to co z niej zostało, budzi nieco otuchy. Nauczasz ich prawd wiary, ile się da; poczem misyonarz zostawia odpowiednie na czas swej nieobecności rozkazy: jeden z chrześcijan miejscowych ma dalej uczyć przychodzących od czasu do czasu katechumenów, niedzielne z nimi odprawiając pacierze. Jeśli do roku wytrwają w zamiarze, poznają dokładnie prawdy, stwierdzą dobrem prowadzeniem chęć dobrą, wtedy misyonarz przyrzeka ich ochrzcić. Tymczasem wracają do domów, do osad swoich. Po upływie kilku lub kilkunastu miesięcy, kapłan na nowo te strony obiegając przywołuje katechumenów. Wracają niekiedy w zmniejszonej liczbie, czasem w zwiększonej, jeśli im się udało nowe zwerbować zaciągi. Po sumiennym wyegzaminowaniu, jednym się chrztu św. udziela, drugich odracza; neofici wracają znów do siebie, aby zawiązać nową gminę chrześcijańską. Tym sposobem dyecezya nieco się rozszerzyła. Za przyszłym objazdem, misyonarz do nich zajedzie, odprawi im mszę św., a jeśli mu dadzą jakie nadzieje, znów nieco dalej w tę stronę podboje wiary posunąć spróbuje. I tak pomalutku, rośnie królestwo Boże. Prawda, jak zajmująca ta powolna, wciąż rozszerzająca się robota z domu do domu, z osady do osady".

Ale nie tylko liczebny postęp zajmuje młodego apostoła. Z rzewnym zapałem maluje on nadprzyrodzone strony swego posłannictwa:

„Chrześcijańskiem darzyć życiem te wydziedziczone plemiona! o Boże mój! cóż to za zadanie! a jak szczupłemi rozporządzamy środkami! A jednak dzieło postępuje naprzód, wiara szerzy się, cudem doprawdy, cudem wewnętrznym, lecz niezaprzeczonym... Dla mnie, który nań patrzę, wydaje mi się on nadzwyczajniejszym nawet od wskrzeszenia umarłych lub uzdrowienia chorych. Oto biedne dusze, dotychczas martwe, którym obcą była nie tylko każda myśl podnioślejsza, ale bodaj nawet ludzka, dusze zezwierzęcone, poniżone od samego poczęcia. Rzucasz w nie najmniejszą wiary iskierkę, rozżarza się ona wśród popiołu, i nagle bucha miłością i światłem. Patrzysz na postęp ewangelii ogarniającej stopniowo dusze, rodziny, całe okolice. Zrazu wiara słaba, słabiutka, zaledwie o niej wiadomo; po kilku latach, staje się dotykalną, widomą".

Apostoł zwrócony ku rzeczom nadprzyrodzonym, nie obojętnieje na piękność przyrodzoną Bożego dzieła. Pod piórem jego nieraz malownicze, pełne poezyi snują się opisy. Listy coraz to inną noszą datę, z innej miejscowości w wędrówkach misyonarskich pisane. Stanąwszy raz po uciążliwej drodze w Sa-Gao, ustronnej wiosce prowincyi Kin-Czeu, pisze:

„Krajobraz tu prześliczny, zwłaszcza wieczorem... Nie można sobie wystawić nic spokojniejszego: przedemną pasmo gór rysuje się stromo w świetle księżyca. Dolina pozostaje w cieniu... cisza zupełna, przerywana szumem płynącego potoku, dzwonieniem świerszczów, dalekiem psów szczekaniem. Ziemia

niknie, duszę porywają ku sobie światła błyskające w górze na pogodnem niebie. Tam ona dąży i wznosi się, jakby szukając żyjących: *Terra viventium.*

„Ale tymczasem obowiązek przykuwa do ziemi, do tej doliny. Za gór tych pasmem roi się od ludzi. Każdy z nich ma własną duszę, anioła stróża, prawo do uczestniczenia w zasługach Zbawiciela, miejsce w niebie zgotowane. I oto ja im przynoszę w Imię Pana światło, oświecające drogę zbawienia. *Lumen ad revelationem gentium.* Lud ten cały pozostaje w nocy, która na dolinę zapadła... *Illuminare his qui in umbra mortis sedent.* Słowa te mają w sobie coś przejmującego, gdy się je tu powtarza. Widzę ja ową zasłonę śmierci, nad całą zawisłą krainą, zdaję mi się, że się jej dotykam... Ach! jakiż to smutny widok narodu, który nie jest chrześcijańskim. A cóż chcą zrobić z Europy ci, którzy wszelkich dokładają starań, aby jej wydrzeć wiarę?“

Umysł tak światły, oczywiście najtrafniej mógł ocenić miarę i wartość słynnej pod pewnymi względami cywilizacyi Chińczyków. Sąd Ojca Aubry zgadza się zupełnie z zdaniem ogółu misyonarzy: „Obecna cywilizacya Chin jest tą samą, która tu od lat 2500 istnieje, bo to kraina skamieniała w swej nieruchomości, i najróżniejsze dokumenty stwierdzają, jak dalece we wszystkiem utrzymuje się *status quo.* Otóż ta cywilizacya, niemal pod każdym względem, jest nietylko anty-chrześcijańską, ale nawet anty-ludzką.

„Słyszymy wiele o ich bogatych księgozbiorach, encyklopedyach, tysiącach tomów. Że istnieją, to prawda, ale ich nikt nie czyta, krocie tych książek, żadną nicią z sobą nie powiązanych, tworzą masę wzrosłą z czasem — *rudis indigestaque moles* — a jednak treści mało. Księgi te podobne do zbioru najnudniejszej, najbanalniejszej gazety, pełno panegiryków i pochwał; nigdzie ścisłości naukowej, nigdzie głębszego poglądu i zdania, nigdzie podniosłego faktu. Co najwięcej, tu i owdzie przypowieść trafna“.

Sąd o ludziach nie lepiej wypadł. Z wszystkich klas społecznych, wieśniacy najzdrowszym podobno żywiołem, choć i tu brak podstawy chrześcijańskiej odejmuje tę rodzinną podniosłość, która bywa dziedzictwem prostej, szczerej a prawdziwej wiary. Mimo jednak tylu stron ujemnych, miłość dla dusz krwią Zbawiciela odkupionych tak przywiązuje misyonarza do biednych Chińczyków, iż radby życie za nich położyć. I życie też swe im daje, nie naraz krwawą ofiarą, lecz codziennym trudem i tęsknotą. Boć tęsknota „wielką pokusą misyonarskiego zawodu“, pisze na jednem miejscu: „Wspomnienia i pamiątki przeszły u mnie w organizm, w krew i kości moje. Im dalej w życie, tem one czarowniejsze i rzewniejsze. Stanowią skarb mój w tym biednym kraju, gdzie potrzeba tym więcej sił wewnętrznych, że niema gdzie ich zapasu odnowić“.

„Zdarza się niekiedy, iż odmawiając brewiarz w drodze, nagle oczy podniosę, aby ujrzeć w dali pagórki, osady, chaty i drzewa, przypominające po trochu nasze wioski francuskie. Nie możecie sobie wystawić, jakie ten widok budzi we mnie wstrząśnienie, jaka nieopisana ogarnia mnie tęsknota, jaki żal piersi rozrywa; ale bądźcie spokojni, po pół minucie wszystko mija. Im się jest starszym misyonarzem, tem częściej takie przychodzą chwile, co nie przeszkadza, że zazwyczaj bardzo jestem rozradowany, a gdy ofiara trudniejszą się zdaje, dodaję sobie ochoty piosnką żeglarza zwracającego myśl ku niebu“.

Samotność misyonarza równa się osamotnieniu pustelników: „Zapewne, żywot misyonarzów pozornie wcale nie świetny; lecz może żaden inny tyle

nie obfituje w wewnętrzne pociechy. Czuję na dnie duszy nieporuszony zasób pokoju i szczęścia. Osamotnienie moje moralne jest zupełnem. Z rzadka dochodzi mnie jaka wieść z kraju, odwiedzi kolega misyonarz. Najbliższy mój sąsiad znajduje się o kilkanaście mil stąd". Następuje barwny opis radości spotkania którego z spółbraci apostolskich. „Ale można się zżyć z samotnością. Towarzysz mnie opuścił bardzo pokrzepiony, a jam pozostał nie smutny wcale. A jednak dobrze mi z nim było. Czułem tylko, że czas marnuję, nie miałem chwili czasu na nic. Niech żyje więc samotność! Nigdy mi ona nie ciężyła, teraz zaś stała się potrzebną, a obecność Chińczyków bynajmniej jej nie przerywa".

Wolne od trudów apostolskich godziny zajmował ulubionemi studyami teologicznemi, kąpiąc swą duszę w krynicy prawdy. Wielką mu dźwignią w ciężkim bądź co bądź zawodzie był także ów prawdziwy skarb męstwa i wesołego animuszu, który stanowił siłę każdego Francuza, poświęcającego się kapłańskiej czy żołnierskiej karyerze. Na troskliwe pytania o zdrowie, odpowiadał swobodnie: „każdy ostatecznie musi się zestarzeć i potrafi zemrzeć". Powtarzał, iż na misyach obojętnieje się na losy swej p o w ł o k i. W jednym z ostatnich listów pisał do przyjaciela, jakby przeczuciem wiedziony: „Żegnam cię, mój drogi, nie bądźmy smutni, wszakże zmierzamy ku wiekuistej młodości".

Na dwa lata przed zgonem, ojciec Aubry o mało co nie uszczknął palmy męczeńskiej; Pan przyjął pot jego w miejsce krwi, której nie danem mu było wylać. Umarł przedwcześnie, w chwili gdy biskup dyecezyalny na sufragana swego go przedstawiał. Nie liczył jeszcze lat czterdziestu, z których siedm spędził na apostołowaniu w Chinach.

Nakładcy zaledwie krótkim wstępem opatrzyli te listy, nie odejmując im cech poufnych, zostawiając świeżość pierwszego rzutu pióra i myśli, słanej z głębi Chin do przyjaciół zostawionych w Francyi. Rzadki wdzięk tej publikacyi wzmaga się pobożną wonią, która z niej płynie, a woń to ukrzepiająca poniesionego dla Chrystusa trudu, znoju, ofiary i poświęcenia.

M.

Die Gabe des h. Pfingstfestes. Betrachtungen über den h. Geist von *P. Meschler S. J.* Herder 1887.

Autor znany z licznych i pięknych prac na polu ascezy i wymowy, umieszczający zazwyczaj swe artykuły w *Stimmen aus Maria Lach*, podaje nam w mniejszej swojej pracy o Duchu św. prawdziwie piękny, ascetyczny, a zarazem dogmatyczny traktat podzielony na 49 rozmyślań czyli rozdziałów. Na wstępie we wzniosłych wyrazach objawia autor cel tej swojej pracy: „Rozejrzyjmy się najsamprzód w wewnętrznej istocie Bóstwa, gdzie Duch św. przebywa i rządzi, aby zaczerpnąć w niej wiadomości o prawdziwie miłości godnych własnościach Jego boskiej osoby. Wychodząc z tego założenia, postępujmy za Nim we wszystkich rodzajach Jego działania na zewnątrz, dopóki nie wrócimy na łono Przen. Trójcy".

Jakoż wyznać należy, że cel, który sobie autor założył, osiągnął w zupełności. Zagrzewa on nas najprzód do dokładnego zastanawiania się nad tym przedmiotem i podaje nam do tego nie tylko powody lecz i sposób, w jaki tą miłością ku osobie Ducha św. zapalać się mamy, jak również niektóre nie-

odzownie do tego potrzebne warunki, a mianowicie samotność, modlitwę i miłość, względnie zgodę. Mówiąc o uroczystości zesłania Ducha św. dostarcza nam w siedmiu punktach materyału do rozmyślania, o rzeczywistem zstąpieniu Ducha św., obecności Jego i ciągłej działalności w świecie, kościele, w duszy każdego pojedyńczego człowieka. Poczem wzbijając się w wyższe, nadziemskie sfery, wstępuje w głębią Bóstwa i przedstawia nam Ducha św. jako trzecią osobę Trójcy św., przyczem jako doświadczony teolog opiera się tak na piśmie św., jak i na tradycyi, zwłaszcza na greckich Ojcach kościoła. Stąd wyprowadza śliczne, praktyczne wnioski co do czczenia i uwielbienia Ducha św. Nazwa, oblicze, przemieszkiwanie ducha św. w sercu Bożem, są to rozważania, w których, odpowiednio do naszego słabego pojęcia, natura (Ducha św.) stosunek Boga Ojca i Boga Syna do Ducha św. i wzajemnie jego stosunek do tych dwóch Osób dostatecznie są wyjaśnione. W rozmyślaniach nad pochodzeniem Ducha. św. maluje nam autor zewnętrzną stronę tej wspaniałości, jaką Duch Boży w swych dziełach na zewnątrz t. j. w stworzeniu rozwija, czyli jak się w tym nadmiarze miłości na zewnątrz ludziom na wzór i podobieństwo Boga stworzonym ujawnia. Pierwszym przedmiotem tej miłości jest Bóg-człowiek czyli wcielenie Bóstwa. Pobożne rozważanie, co ten Bóg człowiek jako człowiek w ludzkiej swej naturze Duchowi św. zawdzięcza, i jak mu tę miłość odpłaca, stanowi jedno z najpiękniejszych rozmyślań, przyczem naturalnie prześlicznie przedstawiona i królewska oblubienica Ducha św. — przenajświętsza Marya Panna, tak w stosunku do Syna Bożego, jak i do przenajświętszej Trójcy. Następuje drugi sposób przebywania Ducha św. „w św. Aniołach“, w których objawia się odpowiednio do ich natury, stopni i urzędów. Zstępując niżej spostrzegamy stworzenie pod zmysły podpadające, tj. świat zewnętrzny, którego stwórcą jest Duch św. i od którego też otrzymuje wszelkie dobrodziejstwa. Najpiękniejszem dziełem stworzenia widomego jest człowiek, który w rozmaitych względach wchodzi w stosunek z Duchem św. a zwłaszcza w porządku nadnaturalnym jako członek Kościoła, owego ogniska i przybytku szczególnej działalności Ducha św. na ziemi. Działanie jego spostrzegamy w całej hierarchii kościelnej, w nieomylnym urzędzie nauczycielskim, w władzy pasterskiej, w urzędzie kapłańskim, w św. Sakramentach chrztu, pokuty, bierzmowania i t. d. a najwięcej w najważniejszym ze wszystkich sakramentów św. tj. sakramencie Ołtarza.

Następujące rozmyślania malują nam dziwnie ciche, lecz ciągłe działanie Ducha św. w duszy każdego Chrześcijanina, przedewszystkiem owo odrębne zamieszkanie Ducha św. w duszy tych chrześcijan, którzy przez łaskę uświęcającą z naturą Bożą są w szczególny sposób zjednoczeni. Z tej łaski uświęcającej wznosi się w duszy przepyszna świątynia dla Ducha św., oparta na cnotach chrześcijańskich, tak teologicznych jak i moralnych, którą to chrześcijańską świątynię wieńczy wreszcie siedem cudownych darów Ducha św. W nich to Duch św. działa przez łaskę uczynkową *(actualis)* przez życie w łasce Bożej, przez uczynki spełniane ku zbawieniu wiecznemu, z czego wynika wewnętrzny spokój, jako zadatek połączenia się z Bogiem, a stąd prawdziwy duch modlitwy. Rozmyślanie nad wszystkimi tymi darami, a zwłaszcza nad łaską uświęcającą, przez którą Duch św. łączy się z nami, a które stanowią treść życia chrześcijańskiego, jest może jednem z najpiękniejszych w całem tem dziele.

Lecz Duch św. przebywa nie tylko w duszy pojedyńczego człowieka,

lecz również i w rodzinie chrześcijańskiej, a nawet w całych chrześcijańskich społeczeństwach, będących niejako odbiciem tajemnicy Trójcy św., jednej w naturze — troistej w osobach. I w samymże kościele są znowu różnorodne stowarzyszenia t. j. zakony, w których Duch św. działalność swą objawia, prowadząc je drogami różnemi, ale które wszystkie wiodą do jednego celu, do Boga. Duch św. tchnieniem swojem wzbudził zakony do życia; bierze udział w wewnętrznym rozwoju ich członków, wskazuje Kościołowi, jak najodpowiedniejszy z nich robić użytek; w szkołach przyczynia się do doprowadzenia uczniów na szczyt doskonałości chrześcijańskiej; na teologii mistycznej wyciska piętno swej wielkości, odblask nieskończonej swej doskonałości, prowadząc dusze wybrane, aż do samych wyżyn życia nadprzyrodzonego t. j. do oglądania Boga twarzą w twarz i przez to do połączenia się najściślejszego z Trójcą przenajświętszą.

W ostatnich rozmyślaniach zagrzewa autor czytelnika do oddawania czci Duchowi św., która to cześć może być dwojaką t. j. negatywną, czyli wystrzeganiem się grzechu i pozytywną, czyli szczególnem oddawaniem czci Bogu przez różnorodne nabożeństwa. Wskazuje dalej, jak Kościół wzywa całą naturę, sztuki piękne, aby wespół z nim cześć Duchowi św. oddawała, w ten sposób stworzenie składa swą daninę u stóp Ducha św. przez pośrednictwo człowieka, którego głównem zadaniem iść zawsze za natchnieniem Ducha św. Obszerne a piękne swe dzieło zamyka autor rozdziałem o zakonach i kongregacyach ustanowionych pod wezwaniem Ducha św. Mówiąc krótko, dzieło to napisane, o ile można, przystępnie, gruntownie i ciepło, stać się może dla każdego chrześcijanina, a wszczególności dla kaznodziejów, nieprzebraną kopalnią, z której tak dla siebie jak i dla drugich czerpać mogą pobudki do lepszego umiłowania Boskiego — dawcy nadprzyrodzonych darów.

A. K.

Dr. Joseph Binders. Handbuch des katholischen Eherechtes umgearbeitet von *Dr. Joseph Scheicher.* Herder 1887, 3-te Auflage.

Już ta sama okoliczność, że dzieło powyższe doczekało się trzeciego wydania, jak również, że nazwisko autora pomiędzy prawnikami niepoślednie zajmuje miejsce, dostatecznie dzieło to poleca. Trzecie to wydanie, nie mówiąc już o innych poprawkach, daje nam zupełnie nowy rozdział „O kościelno sądowem postępowaniu w sprawach małżeńskich“ i oszczędza tym sposobem duchowieństwu wiele formalnych trudności, w dodatku zaś podaje nam 45 formularzy wyczerpujących cały dział o małżeństwach. Zarówno praktyczną stronę książki uważać należy, że uwzględnia austryackie prawo cywilne o małżeństwach, w skutek czego służyć może za krótki ale wystarczający, a przedewszystkiem nadzwyczaj jasny podręcznik, który zwłaszcza dla początkującego stanowić może niemałą pomoc.

Ks. A. K.

Rozmaitości.

Dwa dziełka z powodu koronacyi cudownego obrazu Matki Boskiej w Kalwaryi Zebrzydowskiej mamy do zaznaczenia:

Kalwarya Zebrzydowska. Pamiątka dla pobożnych pielgrzymów, opracowana według kronik klasztornych przez *O. Czesława Bogdalskiego*, zakonu OO. Bernardynów w Krakowie 1887, w małej 8-ce str. 128.

Kalwarya Zebrzydowska w obrazach, przez *Podolankę* w wielkiej 8-ce, str. 34. Wydanie bardzo ozdobne w drukarni „Czasu“ w Krakowie 1887.

Książeczka O. Czesława napisana dla ludu, odznacza się poprawnością, a przytem prostotą stylu, iż ją i wykształcony z zajęciem i pożytkiem przeczyta. Opowiada dzieje świętej góry Kalwaryjskiej, jej pierwsze zawiązki 1595 r., powolne a coraz świetniejsze dźwiganie się pięknych kaplic i klasztoru aż do dni naszych. Za tem idzie opis pobożnych pielgrzymek, zwłaszcza ze Szląska, któremi dawna ta piastowska dzielnica podtrzymuje pobożność i narodowość swoją. A wreszcie opis obecnego stanu świętej góry. Zakończa rzecz całą historya cudownego obrazu Najśw. Maryi Panny i rejestr doznanych u stóp jego łask i cudów. W drugiem tej książeczki wydaniu należałoby dla tem łatwiejszego zoryentowania się w niej podać nagłówki pojedyńczym rozdziałom, a przy końcu spis rzeczy, którego w pierwszem wydaniu brakuje.

Poemat Podolanki przedstawia w udatnych ośmiu obrazach, niemal to samo co książeczka O. Czesława. Poprzedza je piękna dedykacya Matce Bożej. Obraz 1. „Góra Kalwaryjska“ opisuje położenie i krajobraz tego świętego miejsca. Obraz 2. „Trzy krzyże“ opowiada widzenie Zebrzydowskiego i jego żony, które dało pierwszą myśl założenia św. góry. Obraz 3. „Rokoszanin“ piętnuje trafnie motywa buntu, na którego czele stanął Zebrzydowski i dumę tego skądinąd pobożnego pana. Żal jego za tę winę i skruchę serdeczną opiewa pieśń IV. „Pustelnia św. Maryi Magdaleny“. W opowiadanie to wpleciona legenda „Góra Włodkowej“ o głośnej swego czasu pani Włodkowej, która długi czas stała na czele bandy zbójeckiej, ukrywającej się w Berwałdzie, nareszcie uchwycona przez wojska starościńskie, spaloną została na stosie w Krakowie. Obrazy VI. i VII. poświęcone opisowi dwóch pielgrzymek: szląskiej księcia Adama Wacława z Cieszyna, ostatniego Piastowicza 1614 r., i królewicza polskiego Władysława IV., po wygranej chocimskiej 1621 roku. Ostatnia Pieśń VIII. przedstawia legendę o cudownym obrazie Matki Boskiej Kalwaryjskiej, i w krótkich trafnych rysach opis obrazu tego podaje. Znamy już kilka utworów pióra Podolanki: „Pieśni o Janie Kochanowskim, o Janie Sobieskim, o królowej Jadwidze“ i inne. Jak w tamtych, tak i w „Kalwaryi Zebrzydowskiej w obrazach“ opowiadanie jest łatwe, wierszowanie poprawne, rzecz cała poczciwie pojęta, rzewnie i budująco przedstawiona.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

List papieski do kardynała Rampolli. — Związek tego listu z allokucyą z 23 maja. — Wrażenie wywołane w całej Europie. — Gniewy prasy włoskiej. — List Fazzariego. — Kongres katolików niemieckich w Nissie. — Rozwój katolicyzmu w Grecyi i na półwyspie skandynawskim.

Doniosłe pytania postawione przez allokucyą papieską z 23 maja b. r. nie zeszły odtąd ani na chwilę z porządku dziennego, zajmując sobą coraz bardziej publiczną opinię całego cywilizowanego świata, a tak raz jeszcze zadając kłam twierdzeniu, jakoby kwestya świeckiej władzy Papieża nieodwołalnie już była pogrzebaną. W pierwszej chwili nie wszyscy zrozumieli, czy może nie chcieli zrozumieć znaczenia słów papieskich; niektórym dziennikom zdawało się, że Leon XIII. gotów zadowolnić się potwierdzeniem i rozszerzeniem ustaw gwarancyjnych, zrzekając się — przynajmniej milcząco — odwiecznych swych praw do Rzymu. Niebezpiecznym tym, bo mącącym pojęcia illuzyom, do których powód mógł dać tylko niezwykle łagodny, pełen miłości dla Włoch, ton Ojca św., położył koniec dyplomatyczny okólnik kardynała Rampolli, z 22 czerwca b. r. będący, jak zgodnie zatwierdziły papieskie organa, urzędową parafrazą allokucyi Ojca św. Nieprzyjaciele pokoju, pisał kardynał Rampolla, usiłują zniszczyć w zarodku skutki allokucyi, tłumacząc ją w ten sposób, jakoby Ojciec św. gotów był odstąpić od najświętszych swych praw, których tak on, jak i jego następcy zawsze bronić

muszą i będą musieli. Ojciec św. pragnie pojednania z Włochami, ale pojednanie to, jak jasno i wyraźnie w mowie swej naznaczył, opierać się musi na naprawieniu popełnionych krzywd, na zapewnieniu Stolicy Apostolskiej odpowiedniej niezależności i godności: a słowami temi zastrzegał Ojciec św. jak najenergiczniej prawa swe do władzy doczesnej. Bez takiej władzy mówić nawet nie można o prawdziwej wolności i niezależności, boć wszelkie ustawy gwarancyjne, uchwalone przez króla lub parlament, mogą być każdej chwili, równie przez króla lub parlament, odwołane lub zmienione; doradcy papiescy, będący poddanymi, a tem samem zależnymi od obcego mocarstwa, nie mają koniecznej wolności w spełnianiu swych obowiązków; sam Ojciec św. na każdym kroku narażony jest na tysiączne przeszkody i upokorzenia, stojące w sprzeczności z wysokim jego urzędem i godnością. Allokucya zapraszała rząd włoski do pojednania tak ważnego i korzystnego nietylko dla Papieża, ale zwłaszcza i przedewszystkiem dla samychże Włoch, ale zapraszała do pojednania opartego na warunkach możliwych, nie gwałcących najprostszych pojęć o sprawiedliwości; jeżeli rząd włoski, jak sądzićby można z odpowiedzi ministrów Zanardellego i Crispiego, nie zechce przyjąć ofiarowanej sobie tak wspaniałomyślnie ręki do zgody, to wtedy na nim i na nim jedynie ciążyć będzie wina i wobec Boga i wobec świata. W każdym razie rząd włoski nie będzie już mógł odtąd uskarżać się, jak dotąd niesłusznie się uskarżał, że Papież pełen względów dla innych mocarstw, względem jednych tylko Włoch żywi nieprzyjazne uczucia; nie będzie mógł wskazywać przed innemi państwami na Stolicę św., jako na główną przyczynę stanu rzeczy powszechnie opłakiwanego a rodzącego tyle i tak ciężkich nieszczęść.

Okólnik kardynała Rampolli nie był przeznaczony dla szerszej publiczności, ale wyłącznie dla sfer dyplomatycznych. Tymczasem jakaś nieroztropna czy złośliwa ręka, spodziewając się może, że w ten sposób spłata psotę Watykanowi, pospieszyła z umieszczeniem telegraficznego streszczenia tej noty we wszystkich ważniejszych dziennikach, budząc w ten sposób zawziętą, na bardzo szerokie rozmiary rozpoczętą, a nie zawsze lojalną polemikę. Teraz dopiero organa papieskie, w celu uniknięcia możliwych nieporozumień i zapobieżenia szerzonym niedokładnym wersyom, ogłosiły

oryginalny tekst noty, a zarazem obszerny, nadzwyczajnie ważny list Papieża do kardynała Rampolli, odsłaniający jasno pragnienia i zamiary Ojca św. List ten nosi datę 15 czerwca; poprzedził zatem na kilka dni notę sekretarza stanu, trzymającego się zresztą ściśle przewodnich myśli w wymienionym liście zawartych.

Bardzo trudno w krótkich wyrazach streścić list papieski, bo zajmuje on się nie jedną tylko kwestyą rzymską, ale dając przegląd spraw w ostatnich czasach poruszonych i przeprowadzonych, stawia zarazem praktyczny a głęboko pomyślany program działania, obejmujący cały świat katolicki. Powołując kardynała Rampollę do godności sekretarza stanu, wtajemnicza go niejako Papież w tym liście w swe zamiary, odsłania trudności, zaprasza do wspólnej pracy nad dobrem Kościoła, wskazuje jakie niebezpieczeństwa grożą Kościołowi w pojedyńczych krajach. Dla Austryi, zwłaszcza dla katolickiego jej cesarza, ma Papież gorące słowa pochwały; obyż i Francya, tak zawsze wspaniałomyślna i szlachetna, weszła w jej ślady, obyż raz przestała okazywać Stolicy Apostolskiej niczem nie zasłużonej nieufności i nadgrodziła krzywdy wyrządzone religii i Kościołowi! Hiszpania potrzebuje przedewszystkiem zjednoczenia się wszystkich katolików w bezinteresownej obronie religii, zapomnienia na wszelką prywatę, na dawno minione wewnętrzne waśnie. Częściowe rezultaty osiągnięte dotąd w Prusach, wzbudzają nadzieję, że kościół katolicki otrzyma tam niebawem zupełną, należną mu swobodę. Dałby Bóg, aby wszystkie niemieckie państwa, zmieniły i usunęły coprędzej prawa, hamujące duchowieństwo w wolnem wykonywaniu swej władzy i swych obowiązków! Dałby Bóg, aby wiara prawdziwa rozszerzyła się i w innych krajach niekatolickich; aby wszystkie protestanckie i odszczepieńcze narody połączyły się znowu z centrum jedności katolickiej a tak wróciły do dawnej świetności! Dałby Bóg, aby raz wreszcie nieznośny dzisiejszy stosunek papiestwa do państwa włoskiego zmienił się na inny, lepszy, na zasadach sprawiedliwości oparty, do czego przyjść nie może, dopokąd Papież nie odzyska zupełnej, a nie illuzorycznej swobody, której bez odzyskania władzy doczesnej nigdy na seryo i trwale nie można mieć zapewnionej. Papieże mają święty obowiązek bronienia tej władzy, obowiązek przysięgą stwierdzony, którego ścisłego dopełnienia cały świat katolicki od nich się słusznie do-

maga. Wszystkie projekty i plany, mające pozornie zapewnić papieżowi niezależność a nie biorące w rachubę przywrócenia mu władzy doczesnej, są z samej już swej natury skazane na bezpłodność. Przeciwnie wrócenie papieżowi należnego mu stanowiska, stałoby się dla samychże Włoch źródłem niewypowiedzianych korzyści, wzmocniłoby je na wewnątrz, dodało powagi na zewnątrz, nie popsuło w niczem dobrze zrozumianej jedności państwa, owszem przyczyniłoby się potężnie do prawdziwego postępu i wzrostu cywilizacyi w dobrem i jedynie właściwem tego słowa znaczeniu. „Oby myśli te, kończył Ojciec swe niezwykle długie i ważne pismo, myśli „płynące z tak szczytnych pobudek, a mające na oku wszystkie „istotne i usprawiedliwione względy, znalazły przystęp do coraz „szerszego koła umysłów; oby nietylko wszyscy prawdziwi katolicy, „ale i wszyscy ci, którzy dla Włoch szczerą żywią miłość, raz „wreszcie zrozumieć zechcieli nasze zamiary i pomoc im swą udzielić. Bądź co bądź, żywimy silne przekonanie, że popierając sprawę „pojednania Włoch z papiestwem i podając główne warunki, na „których podstawie pojednanie to mogłoby przyjść do skutku, spełniamy, choćby nawet usiłowania nasze do żadnego rezultatatu nie „doprowadziły, jeden z obowiązków zaciągniętych przez nas względem Boga i ludzi".

Taka jest treść pisma papieskiego. Na pierwszy rzut oka zdawaćby się mogło, że Ojciec św. powtarza tylko dawne protesta przeciw zaborcom Rzymu, i że zatem w liście swym, w tej niejako mowie tronowej przed całym światem wygłoszonej, żąda układów, a nie czyni żadnych ustępstw, jak tego domagał się od pierwszej chwili wstąpienia na tron Piotrowy. Ale głębiej w rzecz wnikając, spostrzegamy w ostatniej odezwie Ojca św. pewną różnicę od poprzednich odezw i protestów, różnicę — która, o ile się to nam przynajmniej wydaje — zaznaczoną już była w allokucyi z 23 maja, a obecnie silniej jeszcze i wyraźniej została podkreśloną.

Jak dawniej tak i teraz Ojciec św. domaga się przywrócenia władzy doczesnej; zaręcza, że władza ta jest niezbędną do zapewnienia mu zupełnej niezależności, koniecznej do należytego sprawowania urzędu od Boga mu poruczonego; przypomina przysięgę, którą Papieże zobowiązują się strzedz w tym względzie najsłuszniejszych a nigdy nie przedawnionych praw swoich. Ale kiedy daw-

niej Ojciec św. wyraźnie i z naciskiem żądał zwrotu całego państwa kościelnego; to obecnie mówi tylko o konieczności władzy doczesnej, nie wspominając wcale, w jakich granicach ta władza miałaby się rozciągać, i dając do zrozumienia, jeśli się nie mylimy, że w tym kierunku gotów jest do największych ustępstw, byleby na jakiejś piędzi ziemi prawdziwą osiągnął polityczną władzę niezawisłości. Zdaje nam się, że w tem właśnie przemilczeniu ściśle określonych granic domagań papieskich, leży główna waga pisma Ojca św. i naturalny jego związek z allokucyą z 23 maja, i że w ten sposób pismo to wymowniejsze jeszcze jest tem, co przemilcza, niż tem, o czem wyraźnie wspomina.

Bądź co bądź, wrażenie wywarte ogłoszeniem listu papieskiego było niezmierne: mnóstwo fantastycznych gmachów, wybudowanych przez płodne w pomysły umysły dziennikarskie, runęło w jednej chwili i zniknęło bez śladu. List papieża do kardynała Rampolli, pisały najpoważniejsze urzędowe dzienniki całej niemal Europy, „stanowi epokę“, jest bezwątpienia jednym z najważniejszych historycznych faktów naszego czasu. Prasa austryacka, hiszpańska, portugalska, francuska dziękowała papieżowi z rzadką zgodą za ustępy poświęcone każdemu z tych państw w szczególności, a zastanawiając się nad stosunkiem Włoch do Watykanu, przyznawała bez ogródki, że dzisiejszy stan rzeczy dłużej trwać nie może. Lecz w jaki sposób praktycznie stan ten zmienić się może na lepsze? Leon XIII., pisze *Neue Freie Presse* w artykule, w którym zresztą obok wielu prawd mieści się więcej jeszcze fałszów, wstępuje w ślady swych poprzedników Grzegorza VII. i Innocentego III., a zarazem jestto papież znający potrzeby swego wieku, gotowy zrobić mu odpowiednie ustępstwa, byle tylko interesa Kościoła na tem nie cierpiały. „W liście swym przedstawia Leon XIII. klerykałom włoskim pro„gram działania na przypadek, gdyby okoliczności dozwoliły im „wziąść udział w życiu politycznem i parlamentarnem. Papież dąży „prawdopodobnie do utworzenia *Centrum* w Montecitorio, wedle „wzoru podanego przez *Centrum* niemieckie. ... Oto, o ile dziś „sądzić można, przewodnia myśl papieża w ogłoszonym przezeń li„ście, a Kwirynał będzie się musiał z myślą tą rachować“.

Tenże sam praktyczny wniosek wyciągają demokratyczny *Wiener Tagblatt*, liberalny *Tagblatt*, *Vorstadt Zeitung* i wiele in-

nych zwłaszcza austryackich dzienników. Wedle tych wywodów kwestya przystąpienia katolików włoskich do urn wyborczych miałaby już być w zasadzie rozstrzygniętą; list papieski jest pierwszym krokiem Watykanu na drodze nowej, czynnej polityki we Włoszech, jak nad spodziewanie szczęśliwie dla katolików przeprowadzone ostatnie wybory municypalne były niejako wstępem do tej polityki. Urzędowe gazety: *Fremdenblatt* i *Pester Lloyd* nie wątpią, że Ojciec św. w ten lub w inny sposób dojdzie do urzeczywistnienia nakreślonego przez siebie programu.

„Papież, pisze ministeryalny organ peszteński, nie może należycie spełnić swych obowiązków, bez zupełnej, niczem nieograniczonej niezależności. Jakoż zaprzeczyć nie można, choćbyśmy zapatrywali się na tę kwestyę z stanowiska czysto politycznego, że Papież nie domaga się niczego, do czego nie miałby prawa. Zależność Papieża od jakiego bądź panującego połączona jest z różnemi niebezpieczeństwami dla innych państw, bo zdarzyć by się mogło, że Papież nie będący panującym uledzby mógł wpływowi, szkodliwemu dla innych rządów. Tem bardziej z punktu widzenia kościelnego, nie można przytoczyć ani jednego rzeczywistego dowodu na potwierdzenie zdania, że Papież obejść się może bez niezależności i władzy panującego, w najściślejszem słowa tego znaczeniu. Zatem uznać należy konieczność odstąpienia Papieżowi pewnego terytoryum. Zapewnienie faktycznej władzy i prerogatyw królewskich w żaden sposób tu nie wystarczy. Dla przekonania się o tem przywiedźmy sobie na pamięć, że i u nas przedstawiciele zagranicznych mocarstw utrzymywać muszą fikcyjną exterytoryalność". Z przykładu tego okazuje się nieodłączny związek niezależnego kawałka ziemi z pojęciem o prerogatywach panującego. Zarzucają, że tego rodzaju pragnienie terytoryalnej niezależności zgodzić się nie może z jednością Włoch. Zarzut ten nie wydaje nam się zupełnie słusznym. Bezwątpienia, gdyby Papież wprost i bez zastrzeżeń domagał się zwrotu całego dawnego państwa kościelnego, zaspokojenie tego żądania złączonem by było z wielu trudnościami. Ale Papież nie postawił wcale takiego *ultimatum*... Prędzej czy później — Włochy przekonają się, że zawarcie pokoju z Papieżem leży we własnym ich interesie. Interesa włoskie ucierpiałyby nad wyraz, gdyby Papież nie chciał, lub nie mógł nadal w Rzymie pozostać. Wedle naszego najszczerszego przekonania, może przyjść do zgody między Watykanem a Kwirynałem...

Wobec tych wyrazów, wobec uszanowania i uznania, z jakiem odezwały się o liście papieskim już nietylko organa katolickie, ale protestanckie jak *Kreuzzeitung*, rosyjskie jak *Journal de Saint-Petersbourg* i *Nord*, a nawet tureckie jak *Turquie*, gazeta urzędowa ministerstwa spraw zewnętrznych: tem dziwniej i niemilej odbija zachowanie się wolnomularzy włoskich, drżących z obawy, aby tyloletnia ich, z takim mozołem i wytężeniem prowadzona

praca nie doprowadziła ostatecznie do tem świetniejszego tryumfu Kościoła i Papiestwa. W pierwszej chwili pewna część wolnomularskiej prasy, oślepiona gniewem czy bojaźnią, straciła już nietylko zimną krew, ale niemal przytomność. Pismo papieskie zawołało kilka gazet ze skrajnej lewicy, zasługuje jedynie na konfiskatę, i dziwić się chyba łagodności rządu włoskiego, że tak kardynałowi Rampolli jak i papieżowi dozwala obrzucać się publicznie zniewagami. *Capitale* ogłosiła niesmaczny artykuł pod skandalicznym tytułem: *Le corbellerie del signor Pecci* (Żarciki pana Pecciego); *Riforma* usiłowała dowieść, że papież używa w Rzymie „zanadto wielkiej wolności“ i na głos śmiała się „z papieskich utopij“; *Gazetta d'Italia*, *Tribuna*, *Diritto* rywalizowały w szyderstwach i osobistych wycieczkach przeciw Ojcu św. Gniewy te, groźby i szyderstwa tak dalece przeszły wszelką miarę, że nawet *Journal de Saint-Petersbourg*, powstrzymać nie mógł w tym względzie swego oburzenia, a zwróciwszy się w szczególności do gazety *Riforma*, dał jej dobrze zasłużoną lekcyę, napominając do większego spokoju i grzeczności. „Najsmutniejszą rolę, pisze słusznie w tym względzie „wiedeński *Vaterland*, odegrała liberalna prasa rzymska. Artykuły zamieszczone w rzymskich dziennikach z ostatnich kilku dni, naj„lepszym są dowodem *ad hominem*, że położenie papieża jest „istotnie nieznośnem, za granicą słowa Leona XIII. odbiły się „wszędzie wspaniałem echem; dzienniki wszystkich odcieni nie miały „dość słów na wychwalanie piękności i wspaniałości papieskiego „programu; wszystkie z kolei schyliły głowę przed zamiarami „i pragnieniami Ojca św. Natomiast przedstawiciele rzymskiego „liberalizmu powtarzali i powtarzają bez przerwy dawne frazesy „stokrotnie już odparte, udając, że nie znają odpowiedzi danej im „przez katolików, lub twierdząc bez zająknięcia się, że żądania pa„pieskie nawet do dyskusyi się nie nadają“.

Szczęściem sprawiedliwość i prawda to mają do siebie, że choć zwolna pozyskują dla siebie umysły, a ostatecznie zwyciężyć muszą. Jednym z takich zwyciężonych przez poczucie sprawiedliwości i prawdy, a około którego grupuje się coraz znaczniejsza liczba lepiej myślących Włochów, jest głośny dziś exgarybaldczyk Fazzari, który wystąpiwszy z parlamentu, oddał się wyłącznie szerzeniu przekonania o konieczności pojednania Watykanu z Wło-

chami. „Słuszność, pisał Fazzari w otwartym liście omawiającym „cyrkularz kardynała Rampolli i pismo papieskie, a umieszczonym „w *Fanfulla* i *Corriere di Roma*, jest najzupełniej po stronie Wa„tykanu. Zliczyćby nie można ran, które otrzymałem walcząc za „jedność Włoch; nie spodziewałem się nigdy i nie domagałem się „żadnej za to nadgrody, wiedząc, że spełniam obowiązek obywatela „kochającego swą ojczyznę; dlatego też spokojnie i bezinteresownie „sądzić mogę postępowanie rządu, nie mając wzroku zaciemnionego „żadnymi osobistymi względami. Sam rozpocząłem politykę poje„dnawczą; znalazła ona przychylne echo w Watykanie, gdy prze„ciwnie rząd włoski okazał się jej przeciwnym, niezdecydowanym, „podejrzliwym, niezachowującym względów, których domagała się „sama przyzwoitość. Słowa moje jestem w stanie, w razie potrzeby, „poprzeć dowodami. Pojednanie przyjdzie do skutku pomimo usi„łowań sekt, które zawsze przeszkadzały naszemu krajowi w osiąg„nięciu prawdziwego dobra, a przyjdzie do skutku dlatego, bo jak „mocno jestem przekonany, Leon XIII. nikomu nie ustępuje w mi„łości dynastyi i Włoch, ukochanej naszej ojczyzny".

Achilles Fazzari.

List Fazzariego, powszechne zajęcie się akcyą pojednawczą, same nawet gwałtowne, nie przebierające w słowach wyrażenia, z jakiemi niektóre koła przeciw akcyi tej występują, wykazują dostatecznie, że liczyć ona może na powodzenie, bo opiera się na gwałtownej potrzebie odczutej przez wszystkich lepiej i rozumniej myślących. Inna rzecz, czy akcya ta w najbliższym już czasie doprowadzi do praktycznych rezultatów; w tym względzie zdania się różnią, bo jeśli z jednej strony stoi dobrze zrozumiany interes Włoch, poparty gorącem żądaniem największej części ludności, to z drugiej strony stanęła sekciarska zawziętość nie przebierająca w środkach, a która drogiego owocu tyloletniej pracy i tylu zabiegów, nie da sobie z pewnością bez ciężkiej walki z rąk wytrącić. W każdym razie coraz widoczniejsze i w skutki obfitsze organizowanie się katolickich szeregów we Włoszech budzi błogą nadzieję i daje moralną pewność, że, w razie gdyby Papież uznał za stosowne zawezwać katolików włoskich do wzięcia czynnego udziału w życiu politycznem, nie potrzebowaliby się oni powstydzić wobec

katolików niemieckich, broniących od tylu lat, a broniących na każdem polu tak wytrwale i świetnie interesów wiary, Kościoła i Papiestwa.

Nowym dowodem tej wytrwałości i błogosławieństwa Bożego, spoczywającego na pracach katolików niemieckich, był zebrany w Nissie w pierwszych dniach lipca kongres katolików szląskich, będący zresztą tylko przygotowaniem do kongresu wszystkich katolików niemieckich, ktory niezadługo ma się odbyć w Trewirze. Mowcy z zapałem i energią wyrażali swe przywiązanie i zaufanie bez granic do Ojca św.; cieszyli się z tego co dotychczas dla osiągnięcia pokoju religijnego w Niemczech dało się zrobić; ale zarazem śmiało i bez ogródek wyliczyli szereg żądań, dotąd niezaspokojonych i nakreślili praktyczny plan działalności na przyszłość. Jako krótkie streszczenie obrad i żądań zebranych, posłużyć może najlepiej następny porządek dzienny, wzniesiony przez ks. Engla, a przez kongres jednomyślnie przyjęty:

„Katolicy szląscy, uczestniczący w dziesiątem zgromadzeniu, zanoszą protest przeciw mieszaniu się państwa do wykładów religii, które powinny być poddane wyłącznemu i niezależnemu zarządowi duchowieństwa. Domagają się zatem, aby księża nie doznawali nadal żadnych przeszkód w udzielaniu i kierowaniu nauką religii; aby wespół z państwem i kościół miał prawo dozoru nad szkołą; aby nikt udzielać nie mógł nauki religii, bez otrzymania na to osobnego pozwolenia od władzy kościelnej; aby inspektorowie szkół katolickich byli wszyscy i bez wyjątku katolikami; aby zniesiono wszystkie szkoły mieszane i aby do wykładu nauki religii używano w każdej poszczególe okolicy języka ojczystego dzieci do szkoły uczęszczających. Nadto katolicy domagają się, aby w szkołach protestanckich ustanowiono osobnych katechetów dla dzieci katolickich, które zmuszone są w tych szkołach naukę pobierać.

Na dwóch krańcach Europy: w Grecyi i na półwyspie skandynawskim, katolicyzm robi wolne, ale pewne postępy. Jeden z korespondentów ateńskiej gazety *Paliggenesia* doradzał, niedawno temu, w dłuższym artykule rządowi greckiemu zawiązanie z papieżem bliższych stosunków, które dla obu stron, a w szczególności dla Grecyi przyniesćby mogły nie małe korzyści. Na razie projekt ten, przyjęty zresztą w pewnych kołach bardzo przychylnie, nie przyjdzie prawdopodobnie do skutku; ale w każdym razie samo jego pojawienie się i poważna polemika, która nad nim wywiązała się, świadczy, że w Grecyi wiele dawnych fantastycznych uprzedzeń

zupełnie zniknęło, lub w części przynajmniej stopniało. Norwegia liczy dzisiaj zaledwie 800 katolików; bardzo to skromna liczba, lecz pamiętać należy, że nie tak dawno temu, liczyła ich tylko 150. W Sztockholmie złożyło w uroczystość Zielonych Świątek 35 protestantów, między którymi znajdowali się ludzie bardzo wykształceni i majętni, katolickie wyznanie wiary. Bardzo dobre wrażenie na protestantów sprawia uprzejmość i głęboka nauka nowo mianowanego prefekta apostolskiego dla misyi północnej, Mgr. Falize; dość powiedzieć, że protestanckie dzienniki, wychodzące w Sztockholmie i Chrystianii, zgodnym chórem najpochlebniej wyraziły się o jego wiedzy i takcie. Protestanci duńscy z szczególnym znów podziwem przypatrują się niezmordowanej działalności Sióstr Miłosierdzia, pracujących w trzech szpitalach i dwunastu szkołach, a spotykając się coraz częściej z katolickimi księżmi, pozbywają się zwolna zakorzenionych uprzedzeń. Dotąd znajduje się w Danii około 30 księży i 4.000 katolików; i to drobna sama w sobie, ale jeśli cofniemy się myślą o lat kilkanaście, a bardziej jeszcze, jeśli pomyślimy, z jakimi przesądami i uprzedzeniami misyonarze dotąd walczyć musieli, dosyć znaczna liczba.

Ks. Jan Badeni.

Listy z nad Bałtyku.

Portrety i miniatury historyczne. — Wachlarze, naszyjniki i inne klejnoty. — Charakterystyka dawnej szlachty Kurlandzkiej. — Puhary i naczynia stołowe. — Broń palna i sieczna. — Szafy rzeźbione, sepety i szkatułki. — Dział ceramiczny. — Szkła weneckie. — „Dictionarium Polono-Latino-Lotavicum". — Dział: „Ludwik XVIII."

Oddział wystawy, obejmujący widoki i plany najrozmaitszych zamków kurlandzkich ze wszystkich epok, przedstawia ich nam przeszło sto, lecz żadnemu z nich nawet słów kilku poświęcić tu nie możemy. Natomiast *z działu portretów historycznych i miniatur* przytoczyć musimy chociażby kilka głównych.

Na czele jego widzimy dumnego komtura dobleńskiego *Thiessa von der Recke* (ur. r. 1495 † r. 1580), możnego współzawodnika

Gotarda Kettlera, a który równocześnie z Gotardem dobijał się o zaszczytną posadę prowincyonalnego mistrza zakonu inflanckiego. Po bliższe szczegóły o tej historycznej postaci odsyłamy czytelnika do studyum „Neuenburg w Kurlandyi“, ogłoszonem w tomie III. niniejszego pisma na str. 218—225.

Wystawiono tu naturalnie i najstarsze portrety byłego mistrza krzyżaków Inflanckich, a pierwszego księcia kurlandzkiego *Gotarda*, jakoteż współczesne portrety licznego jego potomstwa, oraz postaci historycznych, które w czasie panowania pojedyńczych książąt Kurlandyi w jakibądź sposób zasłynęły. Nie braknie tu nawet podobizn obu braci *Noldów* — Gotarda i Magnusa — zamordowanych nielitościwie w Mitawie w roku 1615 z rozkazu księcia Wilhelma Kettlera, którego za ten niecny postępek skazał na banicyą król *Zygmunt III.*, a rządy nad Kurlandyą nadał jego bratu, księciu *Frydrykowi*. I nie mógł *król-suzeren* inaczej postąpić z lennikiem, gdyż ks. Wilhelm, zanadto dufając swym powyżej już wspomnianym wojennym zasługom i poparciu swych szwagrów *Radziwiłłów* (najstarsza z córek Gotarda Kettlera, figurująca również na tej wystawie *księżniczka Anna*, od r. 1586 była żoną księcia *Jana Olbrychta Radziwiłła*), popełnił tę nieroztropność, że odmówił sądowi królewskiemu kompetencyi i nie stanął na nim.

Wystawiono także portret współczesny jednego z przodków polskiej gałęzi baronów Brunnowów, a mianowicie *Mikołaja Brunnowa*, dziedzica dóbr Pahzen i Islitz w Kurlandyi, stojącego wraz z żoną z domu *Schöppingk* i całą swoją rodziną u stóp ukrzyżowanego Chrystusa. Malowidło to z wieku XVII., otoczone wielką ilością herbów, które wytwarzają wyraźną tablicę genealogiczną, wykonaną z niezwykłą zręcznością w roku 1677. Sposób sztywny, w jaki ów pan kurlandzki i cała jego rodzina są tu przedstawieni, przypomina poniekąd rodzinę bazylejskiego burmistrza Majera, uwiecznioną przy słynnej madonnie Holbeina w galeryi drezdeńskiej.

Bardziej artystycznem wykonaniem odznaczają się portrety z wieku XVIII., mianowicie księcia saskiego *Karola*, hrabiego *Maurycego* saskiego, *Doroty* księżnej de Sagan, słynnej autorki *Elizy v. d. Recke* a zwłaszcza króla *Stanisława Augusta*.

Pomiędzy pomniejszymi podobiznami zwracają uwagę znawców miniatury *Augusta III.*, księżnej kurlandzkiej *Doroty*, odegry-

wającej pewną rolę w Warszawie w czasie sejmu czteroletniego, hrabiny *Esterhazy z domu Schöppingk,* hrabiego *Stakelberga* — posła rosyjskiego u dworu Stanisława Augusta, portret konfederata barskiego *Heykinga* — autora słynnych pamiętników — i kilka wspaniale oddanych miniaturowych kopij, wykonanych wedle oryginalnych portretów nieśmiertelnego van Dyka.

Atoli najbardziej rzewne wspomnienia nastręcza odwiedzającym tę wystawę piękna miniatura kurlandzkiego księcia *Frydryka Wilhelma* (ur. 1692 r. † 1711), umieszczona obok jedynego w Kurlandyi kreowanego orderu, noszącego francuską nazwę *ordre de la reconnaissance.* Ustanowił go wyrastający dopiero z lat pacholęcych Frydryk Wilhelm *in memoriam recuperatae Curlandiae,* a order ten dziś tak rzadki, nie przeżył bodaj założyciela, którego szlachetność i poświęcenie się dla kraju i dotąd jeszcze wzbudza podziwianie ogólne. Ukochał on pierwszą gorącą miłością księżniczkę Karolinę z Wolffenbüttel, a mimo to pożegnał się z marzeniami osobistego szczęścia dla dobra kraju, którego stan istotnie był rozpaczliwym, i, zadając gwałt swemu sercu, ożenił się w 19-tym roku życia ze wspomnianą już przez nas powyżej rosyjską księżniczką *Anną,* córką cesarza Piotra Wielkiego. Wiadomo wszakże jak nieszczęśliwie skończył się ten związek. Obrzęd zaślubin odbył się na dworze nadnewskim z całą okazałością w dniu 11/23 listopada 1710 roku. Odtąd następował bankiet po bankiecie, a na każdym z nich wino lało się strumieniami. Młodziuchny książe nie przywykły do wybryków i libacyj, w jakich przychodziło mu tutaj uczestniczyć dla przypodobania się rozmiłowanemu w nich gospodarzowi, popadł w chorobę. Chory już wyruszywszy w drogę, na początku stycznia następnego roku, dostał gwałtownej gorączki na pierwszej stacyi, oddalonej o 6 mil od Petersburga. Mimo to, pragnąc jak najprędzej powrócić do ojczyzny, już nazajutrz rano ruszył dalej; zaledwie jednak dojechał do następnej stacyi, tak go siły opuściły, że się położył, aby już nigdy nie powstać. Wyzionął ducha 10/21 stycznia 1711 roku, zanim mógł ziścić nadzieje i zebrać owoce poniesionej dla kraju ofiary. Kształt ustanowionego przez niego orderu *de la reconnaissance:* krzyż biały emaliowany o ośmiu narożnych gałkach, a raczej gałeczkach złotych, w środku herb Kur-

landyi z napisem u wierzchu: *pour les honnêtes gens*. Noszono go na czerwonej wstędze o brzeżkach srebrnych.

Pod tąż witryną umieszczono bogatą kolekcyę medalionów, miniaturowych tabakierek, kameryzowanych i emaliowanych najrozmaitszych klejnocików i t. d. Naszyjniki przeważnie ze złota w skrętach *à jour* w części filigranową robotą wykonane, ozdobione perłami urjańskiemi, brylancikami lub drobnemi rubinkami.

W sąsiedniej gablotce zbiór wachlarzy dam kurlandzkich, z epok rozmaitych. Jeden z nich — najmniej pokaźny — stanowił niegdyś własność autorki *Elizy v. d. Recke*[1] i cały złożony z autografów współczesnych jej wielkości literackich. Jest to oczywiście rodzaj oryginalnego imionnika, nieużywanego zgoła jako wachlarz. Pełno na nim ciekawych sentencyj lub wierszy. *Goethe* uwiecznił się tylko słowami:

Zur Erinnerung an den 13 Juli 1785.

Za to dramaturg ówczesny *Leisewitz* wypisał po francusku:

Celui qui ne sait pas pleurer
N'a pas acquis le droit de rire.

W tejże części wystawy bogaty zbiór strojów dawnych dam kurlandzkich, z epok najrozmaitszych. Tło główne stanowią w nich aksamit oraz różnorodne tkaniny jedwabne, przetykane lub bogato haftowane już-to złotem, już srebrem. Nie braknie i strojów męskich z wieku XVIII. wybornie przechowanych, a nawet mundurów, liberyj i t. p.

Wszystko to charakteryzuje dosadnie rozmaite epoki życia dawnej szlachty kurlandzkiej, która oczywiście z wielu względów przypominać musiała szlachtę polską, niegdyś ściśle z nią połączoną. „Kwitła tu i dotąd kwitnąć nie przestaje niepomierna gościnność, której ujemną stroną było zbytnie rozmiłowanie się w rozkoszach jadła i napoju. Rezydencye dawnej szlachty kurlandzkiej i piltyńskiej stały dla wszystkich otworem, jak gospody; wszędzie rozlegał się gwar wesołych biesiad. Nie było najzwyczajniejszego

---

[1] Szczegóły dotyczące tej autorki odszukać może każdy ciekawszy czytelnik w tomie III. *Przeglądu powszechnego* na str. 222 i 223, w odsyłaczu, gdzie są podane odnośne źródła.

bankietu bez obfitych libacyj. Podczas uczt, gdy wino podnosiło ogólną temperaturę biesiadników, bardzo często przychodziło do kłótni i bójki. Spory i procesy załatwiano chętniej z szablą w ręku niż przez adwokatów“ [1]. Dzika bowiem niesforność i niezwyczajna burzliwość była charakterystycznym znamieniem zarówno szlacheckiej społeczności z nad Wisły i Warty jak rycerstwa z nad Wenty i Abawy. „Moi ziomkowie — pisze piltyński kurlandczyk *Freiherr von Blomberg* w roku 1698 — żyją na swych zamkach i dworach wolni i niezawiśli jak mali książęta, nie dbając ani o Boga, ani o świat, a najmniej o prawa książąt kurlandzkich“. Obraz tego dawnego kurlandzkiego życia maluje nam dosadnie główna sala wystawy.

W środku tej obszernej komnaty wzniesiono sześciokątną oszkloną zewsząd ostrogranową estradę *(piramide tronquée)*, a na niej piętrzą się zastawy stołu srebrne, olbrzymie misy artystycznie cyzelowane *en repoussé*, potężne puhary, dzbany, roztruchany i inne naczynia srebrne tu i owdzie złocone. Na nich wykuwane sceny myśliwskie i mitologiczne. Niektóre pokryte ciekawymi monetami i olbrzymiemi medalami, inne ozdobione herbami wykonanymi z wielkim artyzmem, na innych znowu wypukło wykute szeroko i wybornie traktowane pejzaże, w pośród których występują postacie biblijne. Na pokrywach w medalionach figury *en haut relief*. Jedną z nich zdobi pięknie wykonane popiersie króla *Zygmunta III.*

Dwie główne ściany tejże sali służą do dopełnienia obrazu. Na nich umiejętna ręka rozłożyła w olbrzymie panoplie uzbrojenia tej szlachty, 1) *broń palną i ręczną:* rusznice z hakami i bez haków, muszkiety o krzosowych zamkach i rurkach przeważnie ośmiobocznych, osadzonych w łożach ozdobnie kością słoniową lub perłową macicą inkrustowanych, rusznice skałkowe, pistolety a nawet rewolwery skałkowe, których rurki obracają się około osi, krucice o rurkach ośmiobocznych, ku wylotowi na płask rozszerzone; 2) *broń sieczną najrozmaitszą:* pałasze, szable, karabele, kordelasy, miecze regimentarskie, a nawet miecze katowskie z XVI. i XVII. wieku. Na pierwszym napis:

Die Herren steuern dem Unheil
Ich exequire ihr Urtheil!

---

[1] Obacz *List IX.*, ogłoszony w tomie XII. *Przegl. powsz.*

a na drugim:

Wenn dem Sünder wird abgesprochen das Leben,
So wird er mir unter die Hand gegeben.

Atoli najcenniejszym klejnotem tego zbioru jest miecz obosieczny, lekki i krótki, pozostały w ręku dzielnego *Matyasza v. d. Recke* w wiekopomnej bitwie pod Kirchholmem; o nim jużeśmy na innem miejscu wspomnieli.

U tychże ścian, które zdobią opisane powyżej panoplie, umieszczono stalowe zbroje rycerskie polerowane i niepolerowane, składające się: już to z nitowanych kolczug, czepców i misiurek, już to z napierśnika, pleców, ryngrafu, naramiennika i hełmu w formie okrągłej czapki z osłoną na kark. Pomiędzy niemi jedna z XVI. stulecia stalowa, polerowana — brzegi bronzem złocone i takimiż guzami nabite — stanowi własność kurlandzkiego prowincyonalnego muzeum, na resztę złożyły się zbrojownie sąsiadujących z Mitawą panów kurlandzkich.

Inną część tejże głównej sali wystawy zdobią olbrzymie szafy dębowe i orzechowe nadzwyczaj bogato rzeźbione. Kształtnych form postacie alegoryczne, mające uosabiać *wiarę*, *nadzieję*, *miłość*, *prawdę*, *sprawiedliwość* i t. p. odznaczają wybitnie jedną z nich, pochodzącą z roku 1624. Inna, również o podwójnych drzwiach, zachwyca znawców delikatnością i wytwornością rzeźby, którą tworzą arabeski najrozmaitsze, mocno wystające medaliony z kwiatonów, oraz wieńce z liści i owoców stylowo traktowanych.

W ornamentach obu wspomnianych szaf przebijają tradycye renesansu. Kilka mniejszych szaf — z drzewa dębowego, gruszowego, śliwowego — odznaczają przepyszne inkrustacye, w których także figury allegoryczne najróżnorodniejsze, a także i herby.

Nie mniej wspaniale przedstawiają się na tej historycznej wystawie sepety i sepeciki o pięknych architektonicznych formach, już to dębowe, już orzechowe, już hebanowe.

Sepecik na klejnoty (z r. 1599) z drzwiczkami o dwu skrzydłach, wykonany z hebanu w najczystszym stylu odrodzenia, zadziwia nietylko kształtnością swoją, ale i mnogością zawartych w nim szufladek.

Szafkę na przechowanie złota — zieloną, o złotych ornamen-

tacyach, a pochodzącą z roku 1636 — zdobią wyryte na niej bardzo prawdziwe uwagi i sentencye, z których przytaczam następną:

Leih ich nicht, so ist ein Zorn,
Leih ich, so ist das Goldt verlorn;
Doch besser der erste Zorn
Denn Geldt und Freund zugleich verlorn!

Nie braknie tu i skrzyneczek żelaznych, okutych w esownice stalowe, stołów rozmaitego rozmiaru i kształtu z wieku XVI., XVII. i XVIII., stolików dębowych o siedzeniu i oparciu obitem kurdybanem wytłaczanym we wzory ciekawe, nie braknie zegarów kaflowych czworobocznych i sześciobocznych, kandelabrów bronzowych i waz w stylach najrozmaitszych; ale o tych pomniejszych okazach rozpisywać się w niniejszym liście niepodobna. Zaznaczę atoli przepyszną grupę z kararyjskiego marmuru, arcydzieło włoskiego dłuta. Przedstawia ona amorków zażarcie walczących o rzucone pomiędzy nich serce płonące. Własność to barona z Ludynghauzu Wolfa, a tem bardziej w jego rodzie ceniona, iż stanowi pamiątkę familijną. Jest to dar osobisty zrobiony baronowi Manteufflowi, pradziadowi dzisiejszego właściciela, przez króla *Stanisława Augusta.*

Kto tylko z czytelników waszych miał sposobność przyjrzenia się bliżej na wystawie jubileuszowej króla Jana III. w Krakowie, albo też w ordynacyi książąt Lubomirskich w Przeworsku złotemu puharowi z rytemi owocami i orłami, w wypukło wykuwanych ozdobach, puharowi o pokrywie zakończonej orłem w koronie, biało emaliowanym, stojącym na kuli w pośród zielono-emaliowanego laurowego wieńca, a który okala napis ryty: *grata Mitawa offert suo liberatori Czarniecki*, — ten już powziął niejakie wyobrażenie o wytwornym smaku Kurlandczyków.

Tegoż prawdziwie wytwornego smaku dowodzi na wystawie historycznej kurlandzkiej pomiędzy innymi i *dział jej ceramiczny*, niezwykle bogaty, przewyższający o wiele wystawę historyczną w Rydze, a to nietylko ilością, ale i jakością okazów.

Spotykamy tu co chwila porcelanowe zastawy stołowe, grupy i pojedyńcze figury lub figurki wykonane iście po mistrzowsku, serwisy *en vieux saxe* bądź śniadaniowe, bądź herbatnie, sięgające pierwszych lat XVIII. stulecia, a mianowicie czasu, w którym

słynny *Bergroth Höroldt* stanął na czele fabryki miśnieńskiej. Prawdziwie artystycznie wykonane miniaturowe malowidła na tych wytwornych serwisach zachwycają nie samych już tylko lubowników starożytności.

A są tu i okazy porcelany chińskiej, japońskiej, berlińskiej, wiedeńskiej i francuskiej z epok najrozmaitszych. Niezwykłej wartości jest serwis *en vieux Sèvres*, ofiarowany przez króla *Stanisława Augusta* hrabinie *Stakelberg* w czasie *Sejmu czteroletniego*. Pomiędzy figurami z saskiej porcelany najbardziej bywają podziwiane pokaźne postacie hrabiego *Brühla* i jego małżonki w charakterystycznych strojach ówczesnych. Miały one w swoim czasie stanowić główną ozdobę jednego z pomniejszych gabinetów Brühlowskiego pałacu w Warszawie.

Z majoliki włoskiej zaznaczyć winniśmy piękny talerz wykonany w roku 1526.

Nie brak w tym oddziale wystawy i szkieł najrozmaitszych, bądź emaliowanych, bądź gładkich złoconych, a pochodzących przeważnie z Wenecyi. Większą ich część zdobią monogramy i herby nietylko starożytnej szlachty kurlandzkiej, ale i królów polskich i ich odwiecznych lenników — książąt kurlandzkich; na innych znowu znajdujemy sceny myśliwskie z prawdziwym wykonane artyzmem. Ogólne zajęcie wzbudzają: puhar kryształowy o wysokiej pokrywie i wyrytym napisie: *Augustus Rex*, puhar z herbem polsko-saskim i monogramem *księcia Karola saskiego*, który lubo nie długo, ale dzielnie rządził Kurlandyą, nakoniec puhar szklany, na którym przedstawiony niedoszły książe kurlandzki, słynny paliwoda i awanturnik *hrabia Maurycy saski*. Widok tego ostatniego bogatego kryształu przypomina pomimowolnie, iż jedynym owocem dwuletnich zabiegów Maurycego o Kurlandyą były... zdwojone długi i... pargaminowy dyplom elekcyjny, o którego zwrot długo się jeszcze upominali Polacy.

W tymże oddziale tu i owdzie napotykamy insygnia masońskie na szkle weneckiem misternie wyryte; te znowu przypominają mi nadaremnie cały dział wystawy kurlandzkiej poświęcony wyłącznie loży masońskiej *Asträa* (mającej niegdyć siedlisko w Mitawie), gdyż braknie mi czasu i ochoty do rozpisywania się o *dawnych*

wolnomularzach kurlandzkich, o ich fartuszkach, orderach, cyrklach, kielniach, księgach, kancyonałach i t. d.[1].

Dział łotewski *(lettische Section)*, jako nie przedstawiający większego interesu dla ogółu czytelników Zachodniej Polski, radbym także zbyć zupełnem milczeniem. Z tego działu atoli zaznaczyć mi wypada dziś już nadzwyczaj rzadkie dzieło *Jerzego Elgera* p. t.: *Dictionarium Polono-Latino-Lotavicum, Vilnae, typis acad. soc. Jesu A-no D-ni 1683-tio,* który to okaz wystawy najlepiej zbija zarzut czyniony przez niektórych zażartych *kulturträgerów,* iż rzekomo w wieku XVII. katolicy i Polacy o oświacie Łotyszów ani nawet pomyśleli! Co do nas moglibyśmy tym panom wykazać cały szereg publikacyj katolickich polsko-łotewskich, ogłaszanych pomiędzy rokiem 1604 a 1689, któreśmy w pracach naszych bibliograficznych już niejednokrotnie zużytkowali, na wielkie upokorzenie tych niewielu nadbałtyckich historyków, którzy śmiało posługiwali się zasadą: *l'histoire n'est au fond qu'un mensonge convenu*, zanim monumentalne dzieło *Janssena: Geschichte des deutschen Volks,* omawiane obszernie w kilku ostatnich zeszytach *Przeglądu powszechnego*[2], a zwłaszcza rozprawy tegoż autora: *An meine Kritiker,* oraz *Ein zweites Wort an meine Kritiker,* nie zniewoliły stronniczych pisarzy do cokolwiek większej oględności.

Lecz wracam do okazów wystawy.

Z działu *pamiątek akademickich* zaznaczyć winienem puhar jubileuszowy z roku 1883, srebrny, złocony, o wielkich rozmiarach,

---

[1] Nader trafnie zauważył *Dr. Gabler* w swych *Listach czeskich* ogłaszanych w roku zeszłym w czasopiśmie warszawskiem *Ateneum,* że jeśli wolnomularstwo *dawne* uważane być mogło za coś zgoła niewinnego, za jakieś *nieszkodliwe amatorstwo kosmopolityczno-humanitarnych ideałów przyszłości,* to się rzecz ma inaczej z dzisiejszem wolnomularstwem. „Wolnomularstwo z r. 1885 nie jest już tem, czem być mogło przed stu laty; przyjęło bowiem w różnych krajach Europy odrębną cechę. W Niemczech n. p. jest ta cecha obecnie niemiecko-narodową, z dążnością rozszerzania granic państwa tak dalece, jak tylko sięga mowa niemiecka", a więc propagandą *pangermanizmu* na wielką skalę pod hasłem: *siła przed prawem*! „we Francyi jest prawie wyłącznie antykościelną, we Włoszech i w Hiszpanii — republikańską". W Anglii zaś, wedle dra Gablera, masonerya nie ma znaczenia pod względem politycznym. *(Ateneum* z września 1885 r., *List XII.)*

[2] Obacz tom X. niniejszego pisma, str. 177, 376, a także tom XI. str. 221 i tom XII. str. 91.

na którym ozdobnie wyryty napis łaciński: *Curoniae — Poloni*, przypomina zwiedzającym wystawę, że w Dorpacie, jak dawniej, tak i obecnie łączą młodzież polską ściślejsze więzy z korporacyą kurlandzką, niż z jaką bądź inną.

Dział gimnazyum kurlandzkiego, zwanego niegdyś *Academia Petrina*, zawiera ciekawy dokument z dnia 29 czerwca 1775 r., dotyczący fundacyi tego naukowego zakładu, opatrzony nietylko własnoręcznym podpisem króla *Stanisława Augusta*, ale i wielkimi pieczęciami Korony i Litwy; podpis właściwego założyciela — księcia *Piotra Birona* — spotykamy, jak na lennika przystało, tylko na wspaniale na pargaminie wykonanej kopii tegoż aktu fundacyjnego, nie zaś na samym oryginale.

Pozostaje mi już tylko dać wam niejakieś wyobrażenie o dziale wystawy, noszącym nazwę, *Ludwik XVIII.*, którego to działu na wystawie historycznej *kurlandzkiej* nie każdy z czytelników waszych oczekuje. Ci wszakże, którzy czytali już-to pracę Ernesta Daudeta z czasów Pawła I., ogłoszoną w *Revue des deux mondes* w roku 1885, już to wydany zaledwie w styczniu r. b. 5-ty tom pamiętników konfederata barskiego *Heykinga*, — przypomną sobie bez wątpienia, iż król francuski Ludwik XVIII. przebywał aż dwa razy w Kurlandyi, najprzód od roku 1798—1801, a następnie od roku 1804—1807.

Owóż, na utworzenie działu wystawy, o którym mowa, zgromadzono starannie wszystkie pamiątki, odnoszące się wyłącznie do dwurazowego pobytu w Kurlandyi rodziny *Burbonów*, która goszcząc przez lat tyle w zamku mitawskim i jego okolicach, liczne stosunki ze szlachtą miejscową była zawarła. Nic więc dziwnego, że w tej części kurlandzkiej wystawy historycznej spotykamy przepyszne medalionowe portrety nietylko króla *Ludwika XVIII.*, ale księcia i księżnej *d' Angoulême*, listy i dyplomy króla-emigranta, a także portret córki królewskiej, której ślub z księciem *du Barry* odbył się w czerwcu r. 1799 w Mitawie z udziałem szlachty kurlandzkiej.

Pod sąsiednią witryną wystawiono ówczesne medale pamiątkowe, tabakiery, bomboniery, zegarki, pieczątki a bodaj i breloki.

Nieopodal wznosi się potężny zegar ścienny Ludwika XVIII., dalej „zegar kurantowy“ tegoż króla i wiele innych przedmiotów, których w liście i tak już do zbytku przedłużonym niepodobna mi

wyliczać. Znajduje się tu i laska słynnego *abata Edgewortha*, świadka krwawego dramatu nieszczęsnego *Ludwika XVI.*, jego najwierniejszego pocieszyciela i spowiednika, a następnie spowiednika księżnej *d' Angoulême*. Kapłan ten zacny zakończył swój piękny żywot w Mitawie i tamże na cmentarzu katolickim został pogrzebiony.

Ale nierównie żywiej niż *l'abbé Edgeworth* i jego laska przypomina na kurlandzkiej wystawie historycznej ostatnie chwile Ludwika XVI. zegarek kieszonkowy, który miał przy sobie królmęczennik wstępując w dniu 21 stycznia r. 1793 na szafot, przy dźwięku pocieszających słów Edgewortha: *Fils de Saint Louis, montez au ciel!*

W jaki sposób ta cenna relikwia historyczna dostała się z rąk kata Ludwika XVI. do *Rohana*, ówczesnego wielkiego mistrza zakonu maltańskiego, dumnego z dewizy swojej herbowej:

Roi ne puis
Duc ne daigne
Rohan je suis,

a po śmierci wielkiego mistrza — do komtura tegoż zakonu, Wincentego hr. Raczyńskiego herbu Nałęcz, szlachcica kurlandzkiego ale Polaka, — o tem zawiera ciekawe szczegóły książka pod tytułem: *Sitzungsberichte der kurländischen Gesellschaft für Literatur und Kunst aus den Jahren 1850—1863*, a mianowicie stronice 207—224, na których czytelnik znajduje poważny rozbiór krytyczny, udowadniający autentyczność tej relikwii przeszłości, będącej obecnie w posiadaniu prowincyonalnego kurlandzkiego muzeum.

Na tem zamykając nasz list o kurlandzkiej wystawie historycznej w Mitawie, wyrażamy życzenie, ażeby za przykładem Rygi i Mitawy poszedł z kolei i Rewel, uskuteczniając nakoniec ową już dawno tam projektowaną *wystawę historyczną estońską*, o której jużeśmy na początku niniejszego listu wam wspomnieli.

Jeśli i ta już się odbędzie, wtedy dopiero, przy wzrastającem coraz bardziej w tym kierunku zajęciu publiczności, będą mogły tutejsze towarzystwa naukowe przystąpić do urządzenia wystawy archeologiczno-historycznej na wielką skalę całego materyału rozproszonego we wszystkich prowincyach nadbałtyckich.

Pisałem w Lipcu 1886 r. *Gustaw Manteuffel.*

List Słoweńca o Słoweńcach.

Zewnętrzna postać Słoweńca. — Zabobony, gusła i czary. — Emigracya do Ameryki. — Nowy miesięcznik „Smotra“. — Ruch na polu literackiem i naukowem.

Kiedyś dawniej[1] podałem wam krótkie notatki o rozwoju naszego piśmiennictwa, o naszych czasopismach, literaturze, stowarzyszeniu św. Mohora, słowiańskiej Matycy; wiecie, jaki ma Słoweniec pokarm dla umysłu, nie wiecie może dosyć jak wygląda w życiu codziennem, jaki jego strój, zajęcia, pokarm dla ciała. A warto przecież i z tej strony przypatrzyć się swym pobratymcom, boć uważamy się za waszych braci, a jako takich znać nas wszechstronnie powinniście. Więc najprzód coś o zewnętrznej postaci Słoweńca, o jego zwyczajach i obyczajach; a potem kilka słów o najnowszym księgarskim i literackim ruchu.

Na pierwszem miejscu, o ile można, wierny obraz Słoweńca. Zazwyczaj jestto człowiek średniego wzrostu, o jasnych włosach i niebieskich oczach; silny i gibki, zwłaszcza gdy górskiem oddycha powietrzem. Kobiety styryjskie i z okolicy Lublany słyną z piękności; głowę ich zdobią białe lub teraz coraz częściej kolorowe chusty, z pod których spływają bujne warkocze. Niestety! narodowe stroje znikają coraz bardziej, ustępując miejsca, zwłaszcza u młodzieży, niesmacznym i nieodpowiednim modom zapożyczonym z Francyi, a wyciągającym nieraz z kieszeni biednego Słoweńca, nie umiejącego się oprzeć natarczywym prośbom żon i córek, ostatni ciężko zapracowany grosz. Dziewczyna, a często i młodzieniec zadawalnia się lichem mieszkaniem i jeszcze lichszem jedzeniem, nie widzi mięsa, chyba w święta uroczyste, ale ambicya nakazuje im przybrać się w dziwacznie wyglądające „miejskie“ ubrania, z któremi, jak sobie wystawiają, cywilizacya i oświata po raz pierwszy do ich wiosek wkroczyła!

Gdybyż przynajmniej ta cywilizacya wypędziła mnóstwo przesądów i zabobonów, a oczyściła wiekami przekazane zwyczaje i obyczaje z zabobonnych przymieszek! Wiara w czary istnieje dotąd

[1] *Przegląd powszechny* t. X. str. 323 nast.

między ludem w całej niewzruszonej swej sile. Biada dziecku, na którego popatrzy człowiek, mający brwi na czole zrośnięte; urok rzucony, a biedne dziecko nigdy się już zpod jego wpływu nie potrafi wyzwolić. Kto we wilię Bożego Narodzenia pójdzie na wieżę kościelną, ten dowie się o wszystkiem, co się ma stać w jego domu na rok przyszły. Do domu, przed którym odezwie się puchacz, lub kret ryje pod progiem, śmierć z pewnością niezadługo zaglądnie. Kiedy człowiek umiera, trzeba koniecznie otworzyć okno w jego pokoju, aby dusza mogła swobodnie odlecieć.

Dziwne też sobie rzeczy opowiadają o „drakonie“, mieszkającym w wodzie, a siejącym do koła postrach i zniszczenie; o „jeziornikach“ czyli „mężach podwodnych“, mających na dnie jezior prześliczne pałace, do których zwabiają nieostrożne dziewczęta; o strasznych „wilkołakach“, pół-ludziach, pół-wilkach; o „nocnych myśliwych“ czyli psach o trzech nogach, w których pokutują dusze sąsiadów kłócących się za życia; o siedzących zazwyczaj na piecu „skratach“ czyli katach, dostarczających swoim panom za życia wszelkiego rodzaju skarbów, a za to w chwili śmierci chwytających ich duszę; o „białej żonie“ tj. śmierci uwijającej się na ziemi w widomej postaci, a która, gdy się kogo dotknie, ten już za nią iść musi. Do tak silnego zakorzenienia się zabobonnych przesądów w umysłach ludu, niemało przyczyniła się książka: *Kolomonow żegen*, wydana po słoweńsku jeszcze w w. XVI., a która, mimo ostrych zakazów Kościoła, przechodząc z rąk do rąk, z pokolenia do pokolenia, uczyła czarodziejskich formułek, przyobiecując łatwowiernym zaklęte skarby i spełnienie możliwych i niemożliwych pragnień.

Czarownik, wedle wiary powszechnie przyjętej, może bez trudności, zwłaszcza w czasie burzy, przy odgłosie grzmotów i blasku błyskawic, wzbić się w obłoki, spuszczać stamtąd deszcz i grad, niszczyć zasiewy, szkodzić bydłu swych nieprzyjaciół. A kto jest czarownikiem? Każdy kto odbył jakiebądź wyższe szkoły, kto np. skończył klasę siódmą, a więc naturalnie wszyscy księża. Swoją drogą mają Słoweńcy dla księży, jak i dla religii wielkie uszanowanie; nieszczęściem, nie rozróżniają dosyć, co jeszcze jest pobożnym, tradycyą uświęconym zwyczajem; a co z pogaństwa datującym, nierozumnym zabobonem. Ale jeżeli prosty Słoweniec czci

i szanuje księdza, to za to z nietajoną nieufnością i lekceważeniem spogląda na urzędników, a w ogóle na wszystkich, którzy mają cośkolwiek do czynienia z książką i piórem. Dla tego to wielka część ludowych pieśni i opowiadań nie jest jeszcze dotychczas zebraną; parobcy i dziewczęta śpiewają wesoło przy robocie, zdawałoby się, że trudno sobie wyobrazić Słoweńca nie śpiewającego, lecz niechaj ten sam rozochocony śpiewak zobaczy kogoś obcego, który chciałby sobie zanotować posłyszane wyrazy, nagle pieśń milknie lub niewyraźne tylko jakieś słowa z ust się wydobywają.

Ojczyznę swę i rodzinną zagrodę kocha Słoweniec z całego serca; tem smutniej, że zasada dzielenia ojcowizny na równe cząstki między wszystkich członków rodziny, przyprowadza zbyt wielu i zbyt często do ubóstwa, i przyczynia się do zgubnej emigracyi za ocean. A za oceanem, w Ameryce, Słoweniec wyuczywszy się szybko obcych języków, do których z natury wielką ma łatwość, zapomina zwolna na narodowe obyczaje, czasem i na narodowe cnoty, i ani się spostrzeże, kiedy przekształcił się na zupełnego Amerykanina. Wychodźtwo ma nadto tę złą stronę, że ziemię słoweńską oddaje w ręce Niemców i Włochów. Żałuję, że na razie nie mam w ręku dokładnych danych statystycznych w tym względzie; bądź co bądź kwestya wychodźtwa i niewypuszczania z rąk ziemi ojczystej, jest dla nas, powiedzieć to można śmiało, kwestyą życia lub śmierci.

Szczęście przynajmniej, że praca podjęta na polu piśmiennictwa słoweńskiego nie ustaje ani na chwilę, a krzewiąc znajomość i zamiłowanie narodowego języka, narodowych zabytków i pamiątek, rozszerza zarazem dobrze pojętą miłość własnego kraju i obyczaju. Przeszłego roku zaczął wychodzić w Zagrzebiu nowy miesięcznik *Smotra* (Przegląd) treści przeważnie literackiej i beletrystycznej, który, jeśli z dobrej drogi nie zboczy, oddać może wielkie przysługi całej południowej słowiańszczyznie. To też Słoweńcy w szczególności przyjęli z wielką radością pojawienie się *Smotry*, spodziewając się, że przyczyni się ona niemało do przyspieszenia i u nich tak pożądanego językowego i literackiego rozwoju. Istotnie, sądząc z głośnych nazwisk współpracowników *Smotry*, którą obiecali zasilać swemi pracami, tacy pisarze, jak: Gjalski, Mijakić, Marjanović, Tkalčić, Kučera, Ciraki, dr. Markowić, dr. Fr. Rački,

i wielu, wielu innych, można spodziewać się, że te nadzieje południowych Słowian w pewnej przynajmniej części się spełnią. W programie czytamy, że *Smotra* radaby zapoznać swych czytelników także z życiem i literaturą polską; nie możemy, jak tylko przyklasnąć i ucieszyć się szczerze z tego zamiaru.

Ściśle słoweńskie organy, jak: *Ljubljanski Zwon*, lub ilustrowany dwutygodnik *Slovan*, mające głównie na celu szerzenie słowiańskiego patryotyzmu, pomyślnie się rozwijają. Liczba członków *stowarzyszenia św. Mohora* wzrosła w roku bieżącym do 34.000, a więc w przeciągu mniej więcej roku pomożyła się o 5000. Wydawanie książek słoweńskich staje się już nawet czasami dosyć zyskownym interesem. Niedawno temu niemiecki nakładca Kleinmeyer zakupił *Zebrane spisy potea Stritara* za 2000 złr.; stosunkowo do innych krajów niska to cena, bo dzieła te wynieść mogą do stu arkuszy druku, ale przed kilku latami nie dałby żaden księgarz i 200 złr. nie za sto, ale i 200 arkuszy słoweńskich poezyj... Obecnie przygotowuje się do druku obszerny i dokładny słownik słoweńsko-niemiecki i rosyjsko-słoweński; a jedna z bardziej przedsiębiorczych firm przedrukowuje dawniej już wydany przez Janežiča „niemiecko-słoweński słownik kieszonkowy".

Dział beletrystyczny, równie jak i dział książeczek przystępnych dla młodzieży, wzbogacają konkursa ogłaszane przez *Maticę* i *stowarzyszenie św. Mohora*. Nadgroda zazwyczaj nie wielka; tak n. p. roku przeszłego *Matica* przeznaczyła 200 złr. jako nadgrodę za napisanie najlepszej powieści, opartej na historyi słoweńskiej w objętości mniej więcej dziesięciu arkuszy druku; i 100 złr. za napisanie podobnejże powieści w objętości pięciu arkuszy druku. Na wzór podany przez *Maticę horwacką*, rozpoczęła i *Matica słoweńska* wydawać szereg nowelli i powieści pod wspólnym tytułem: *Zabawna krjižnica*. Pierwszy tom nowego tego wydawnictwa opuścił już prasę i zawiera przekład J. Kraszewskiego *Chata za wsią;* w następnych tomikach umieszczane być mają same tylko oryginalne utwory słoweńskich pisarzów.

P. M.

Z Francyi.

Paryż 6 sierpnia 1887.

Wyjeżdża się z domu w czasie wakacyjnym, aby zostawić za sobą kłopoty, zapomnieć o swych zwyczajnych pracach i mozołach. Ale cóż z tego? — one gonią za jeźdzcem.

Et post equitem sedet atra cura.

Dziś nawet za pociągiem kolejowym ścigają. Dosyć, że od kilku tygodni co jestem we Francyi, śni mi zawsze pióro i atrament; czuję potrzebę podzielenia się z czytelnikami naszego *Przeglądu* wrażeniami jakie stąd odnoszę.

Kiedy się odwiedza Francyę po tylu ciężkich jej dolach: — już nie mówiąc o wojnie i komunie — ale po filokserze i zachwianiu jedwabnictwa, po kryzie gospodarczej, która tu jeszcze dotkliwszą była, niż w innych krajach, po zamknięciu sąsiednich granic francuskiemu eksportowi, po szalonych wysileniach na wojsko i flotę, zwłaszcza po dziesięcioletnim bezrządzie... pierwsza rzecz co uderza przybysza, to dziwna tego kraju żywotność. Francya wydaje się równie zdrowa i wesoła, jak się ją znało za czasów Napoleońskich, kiedy to ona dawała ton światu w polityce i literaturze, jak w modzie i zabawie. W Paryżu zawsze ten sam olbrzymi ruch, ruch ludzi, rzeczy i pojęć, płynących tam i sam po tych bulwarach, jarzących się od świata i wystawionych bogactw, a ciągnących się w nieskończoność — jak feeryczny sen. Ktokolwiek ma miliony do wyrzucenia, czy w Ameryce, czy w Petersburgu, czy w Londynie, czy w Wiedniu zebrane, ten przyjeżdża jeszcze po dawnemu wysypać je na te bulwary. I po za Paryżem, w pomniejszych nawet miastach, wszędzie naokoło siebie widzi się tylko dostatek przepych i zabawę.

Istotnie jest to naród jędrny. Choć konstellacya polityczna przeciwko niemu stanęła, choć rząd który go opanował a raczej szajka ludzi, którzy po kolei nim rządzą, systematycznie go deorganizują, on jednak sam sobie radzi i własną żywotnością żyje. Przyjeżdżając nie dawno temu z Berlina do Paryża, uderzony byłem tym kontrastem: Berlin wzmaga się nierównie więcej niż Paryż, w wielu punktach pruska stolica przedstawia się już okazalej niż

francuska; ale cała ta świetność Berlina wygląda tak, jak wyglądać musiał przepych stolic assyryjskich: objawia się w gmachach rządowych, dworcach, kasarniach — jest utworem rządu, nie wytworem społeczeństwa. W Paryżu przeciwnie i w całej Francyi rząd obecny niszczy, rozkłada, a jednak społeczność ma tyle zasobów i sił, burzuazya w najmniejszych nawet miastach ma takie bogactwa, kupiec i robotnik mają tyle zmysłu i sprytu, że wszystko utrzymuje się w dawnym blasku i bujności.

Wzglądnąwszy jednak w głąb, pod tą świetną powłoką znajduje się w tem społeczeństwie wiele ran i boleści. Nie tylko brak prawdziwego rządu, któryby wiedział czego chce i do czego dąży, ale zupełny brak perspektywy na przyszłość. Każda partya ma programy, ale żadna nie ma człowieka. Ogromna większość społeczeństwa tęskni za jakąbądź monarchią, byle powrócić do porządku i do równowagi finansów; ale rzeczpospolita i nieład się utrzymują, bo każda konkretna postać monarchi rozbija się o niemożliwości. Orleanowie nie chcą się ryzykować, legitymiści, którzy im są najbliżsi, najmniej ze wszystkich im ufają. A choć konserwatyści stanęli solidarnie w parlamencie — co już jest wielkim u nich postępem — jednak nie dosyć są pojednani, żeby na jakikolwiek własny rząd sami się zgodzili. W sprawach kościelnych nawet jest ciągła scyssya między tymi, którzy chcą jak najdalej ustępować rządowi, a tymi którzy chcą we wszystkiem mu się opierać — i to niestety paraliżuje szlachetne wysiłki wielu mężów ku poprawie położenia. Prasa, która w tych paru latach rozmnożyła się do nadzwyczajnych rozmiarów, ale też zarazem obniżyła co do wartości, zamąca do reszty pojęcia traktowaniem spraw publicznych namiętnem a powierzchownem. Zresztą uderzyło mię, jak mało miejsca przeciętna prasa francuska poświęca sprawom publicznym; bawi ona tylko opinię błachemi awanturami, które po kolei zajmują publiczność: jak proces Prinziniego, pojedynek Ferrego i t. p.; resztę zaś szpalt zapełnia się szkandalikami z ulicy lub z galeryi trybunału. Dodać przecież muszę, że wśród tej powodzi lichych i złych gazet, jest kilka dzielnych pism katolickich, które szeroko się rozchodzą, i wiele dobrego robią i muszą. I tak zauważyłem, że bardzo się sprzedaje *le Nouvelliste de Lyon*, gazeta codzienna polityczna, doskonale poinformowana, pisana z wezwą, której numer

na dość dużym arkuszu, kosztuje w całej Francyi susa (2 centy)... i sprzedaje się wszędzie. Niestety takie pisma, to *rari nantes in gurgite vasto.*

Ze wszystkich wszelako bied jakie dziś ciężą na Francyi, najbardziej jej dolega prześladowanie religijne — prześladowanie, które uprzykrzyło się już do żywego całemu społeczeństwa, a jednak trwa ciągle, i nic nie zapowiada, żeby było bliskiem końca. Dotąd wszystkie kościoły zakonne opieczętowane, zakonnicy wciąż rozproszeni, pensye biskupów uszczuplone, codzień znoszą to posady wikaryuszów, to kapelanie przy wojsku, przy marynarce, przy szpitalach, to szpitale jakieś sekularyzują, tj. wypędzają z nich siostry i księdza, mimo łez chorych i protestów lekarzy. Szkoły wyznaniowe sparaliżowane, a w rządowych szkołach ani imienia Pana Boga wymówić nie wolno — chyba dla bluźnienia. To też wszyscy porządniejsi ludzie, nawet z pomiędzy niereligijnych, odstrychnęli się od tych szkół; ani w nich uczyć nie chcą, ani swych dzieci do nich posyłać. Stąd też szkoły rządowe, gdzie nie stoją pustkami, tam się tylko zapełniają dziećmi urzędników i ludzi zależnych, którzy jednak żywo nad tem boleją.

Ale i obywatele niezależni znosić muszą ustawiczne dokuczania biurokracyi na punkcie religijnym. Opowiadał mi właśnie temi dniami pewien zamożny *burgeois*, zajście jakie miał z prefektem departamentu o kaplicę, którą urządził sobie w własnym pałacu na wsi. Mam w moim pałacu, mówił prefektowi, dwie wieże jednakowe: jeżeli w jednej z tych wież urządzę sobie świątynię Astarty i będę obchodził jej misterya ze służbą i przyjaciołmi, czy mię prawo nietykalności mieszkania uchroni od weksacyi władz? — Niewątpliwie, odpowiedział prefekt. — Czemuż więc w drugiej wieży nie mogę tym samem prawem urządzić kaplicy katolickiej i oddawać cześć Chrystusowi? — Logika tej uwagi zamknęła usta prefektowi, ale nie uratowała kaplicy.

Zdaje się nie do uwierzenia żeby taki dokuczliwy, prześladowczy system mógł dzisiaj we Francyi panować. Ale tak zawsze bywa: jak się raz pchnęło biurokracyę na drogę dokuczania społeczeństwu, jak się raz wyrobiła między kółkami tej maszyneryi opinia, że prześladowanie jest znamieniem gorliwości za rządem, to już nie bywa końca donosów, szykan, krzywd, ucisków...

Aż trzeba potem silnej ręki u góry i pewnego czasu, żeby ten pęd zatrzymać.

Głębiej rzeczy biorąc, niepodobna zapoznać, że jest także we Francyi poczet ludzi, nie bardzo liczny ale zwarty i zszeregowany, który z całą świadomością i bezwzględnością dąży do zniszczenia religii. Jest dziś we Francyi domowa wojna religijna — to jest charakterystyka obecnego stanu rzeczy — wojna religijna jak za Hugenotów: z tą różnicą, że wówczas walczono mieczem na polach bitwy, dziś wojuje się paragrafami, ministeryalnemi ukazami, policyą i pieniędzmi — ale walczy się bodaj czy nie z większą zaciętością, na zabój. Wrogowie religii, acz stosunkowo nieliczni, mają tę korzyść, że przed wypowiedzeniem wojny uchwycili w ręce ster rządu i te ogromne zasoby i środki działania, jakiemi każdy rząd w naszych czasach rozporządza. Tych środków używają też ci ludzie z największą bezwzględnością, względem urzędników wszelkiej kategoryi i wszystkich co od rządu w jakikolwiek sposób zależą. Dla tych niema mowy we Francyi o wolności myśli. U tych każdy znak religijności, bywanie w kościele, przystępowanie do Sakramentów, osobiste stosunki z duchowieństwem, zwłaszcza wychowywanie dzieci w szkołach wyznaniowych, bywa denuncyowane i bezwzględnie karane uchyleniem z urzędu. Z drugiej strony na korzyść Mameluków szafuje rząd posadami, pensyami, słowem groszem publicznym pod różnemi formami z szaloną rozrzutnością. A że trzeba przytem najczęściej i tym, których się z miejsca spycha bez ich winy, legalne pensye przyznawać, powstają stąd kolosalne *passiva* w budżecie, na które Leon Say i wszyscy rozumniejsi finansiści francuscy załamują ręce. Ale darmo: *C'est une nécessité politique.* Rozumie się, że najgorsze żywioły z całego społeczeństwa, ludzie chciwi a bez przekonań i bez godności osobistej, garną się ile miejsca starczy do usług takiego rządu; a żywioły zdrowsze, ludzie którzy się szanują, nawet z pomiędzy prawych republikanów, uchylają się coraz więcej, albo wyparci zostają. W ten sposób odbywa się obecnie w całej Francyi ten dziwny proces selekcyjny, że co gorszego to idzie w górę, tworzy warstwę rządzącą — a co lepszego i zacniejszego to spuszcza się w dół. Ten proces nazywa się oficyalnie *l'épuration.* I stąd to Francya przedstawia się po wierzchu tak

nędznie, choć tyle wybornych pierwiastków wewnątrz posiada. Stąd też trudność wyparcia obecnie rządzącej warstwy, bo lepsi wypuścili z rąk najpotężniejsze środki działania, stanowiska rządowe, zniechęcili się nawet do parlamentu, o którego skuteczności niemal zwątpili.

Tymczasem wrogowie religii korzystając z chwili, zadają jej wciąż złośliwe a mądrze obmyślane ciosy. Konkordat, ten węzeł między Francyą a Kościołem, jest w ich rękach powrozem, którym Kościół udusić usiłują. W imię konkordatu obniżają pensyę biskupów (z tego tytułu, że za Napoleona I. pensye były mniejsze), kasują teologiczne fakultety, znoszą najważniejsze kościelne posady, zamykają katolickie zakłady (zawsze pod tym pretekstem, że za czasów konkordatu te instytucye nie istniały). Do tego doszło, że nawet niższe duchowieństwo zaczyna pragnąć zniesienia konkordatu, choć toby ich doraźnie chleba pozbawiło. Powszechnie uważają zerwanie konkordatu za kwestyę czasu. Jakie zaś będą ewentualne tego zerwania następstwa? Sądzą tam, że w większej części Francyi duchowieństwo nie tylko się utrzyma, ale korzystniejsze i silniejsze niż dotychczas zdobędzie stanowisko, opierając się wyłącznie jak w Irlandyi na ofiarności ludu. W niektórych zapewnie prowincyach straci do reszty grunt — ale już i teraz w tychże prowincyach odstrychnięcie od Kościoła jest powszechne, a duszpasterze prawie żadnego pola pracy tam nie mają. Kiedyś chyba wypadnie te dzielnice Francyi na nowo ewangelizować, jak kraje misyjne.

Ostatecznie kościół francuski patrzy na ewentualność zerwania konkordatu bez wielkiej trwogi. Nierównie groźniejszym dla jego przyszłości ciosem jest świeżo przeprowadzone prawo, które znosi woluntaryat czyli jednoroczną służbę wojskową i zmusza wszystkich bez wyjątku do służby trzyletniej. Prawo to podcina oczywiście wszystkie zawody naukowe i artystyczne, grozi postępowi samej nauki we Francyi; nawet dla armii, jak sami wojskowi uznają, jest niekorzystnem, bo zniósłszy jednoroczną służbę, chcąc żeby budżet i kasarnie nie pękły, będzie się dawało wszystkim długie urlopy, które faktycznie służbę 3-letnią sprowadzą na dwa lata, a to, dla wyrobienia prostych ludzi na żołnierzy jest zupełnie niedostatecznem. Jednak, mimo tych wszystkich notorycznych niedogodności, prawo zostało przeprowadzonem, dlatego jedynie — i to głośno w prasie

i w parlamencie wypowiedziano — ażeby aspirujących do stanu duchownego do służby wojskowej pociągnąć i przez to rekrutacyi duchowieństwa stanowczy cios zadać. Nie ma zaś wątpliwości, że ten cios jest istotnie groźnym, bo we Francyi duchowieństwo świeckie rekrutuje się niemal wyłącznie z tak zwanych małych seminaryów, gdzie przyszli lewici wychowują się od dzieciństwa kosztem i staraniem władz dyecezalnych, i skąd przechodzą od razu, bez zetknięcia się z światem, do wyższych czyli teologicznych seminaryów. Czy te tak wychuchane powołania wytrzymają trzyletnią próbę kasarni, jestto więcej niż wątpliwem — a o innych powołaniach do duszpasterstwa we Francyi nie słychać; — i tak już brak duchowieństwa czuć się daje.

Dwie rzeczy, jak słyszałem z ust wysoko postawionych duchownych, naprawdę zagrażają Kościołowi we Francyi i trwogą przejmują prawych katolików: tj. dopiero wspomniane prawo pociągające kandydatów stanu duchownego do kasarni — i w jeszcze wyższym stopniu nowe prawo szkolne, które ogół młodego pokolenia skazuje na wychowanie ateistyczne i niemoralne. Jak wyglądają te dzieci wiejskie, tresowane przez bezwyznaniowych nauczycieli, aby szydziły ze wszystkiego co poważne i święte — jak się wychowuje po miastach ta młodzież w rządowych szkołach średnich, prawie zawsze internatach — tego ani opisać niepodobna. Ze łzami tylko w oczach o tem mówią Francuzi. Aby wychować dziecko, staramy się, żeby wszystkie władze: rodzicielska, kościelna i szkolna, w oczach dziecka przynajmniej, ręce sobie podawały — rozumowe zasady moralności przedstawiamy mu w związku z wielkiemi prawdami wiary — a z tem wszystkiem nie bez trudu i nie zawsze zdołamy charakter dziecka wykształcić i jego złe skłonności okiełznać... Cóż się dziać musi, kiedy dziecko, ledwo oczy na świat otwiera, już widzi wszystkie władze w niezgodzie: nauczyciel wyśmiewa księdza, wójt go prześladuje, ojciec i matka to ze szkołą to z Kościołem w sporze... a dziecięcy jego rozum już wzywany do buntu przeciw wierze i przeciw moralności!

To też echo tego wychowania, choć nie oddawna wprowadzonego, już się odzywa w kryminalności Francyi. Temi dniami właśnie wyszła książka: *Paryż cierpiący*. Pod tym tytułem p. Guillot sędzia śledczy z trybunału Sekwańskiego, wykazuje cyframi sza-

lony wzrost zbrodni między młodzieżą francuską. W przeciągu ostatnich dwudziestu lat, liczba kryminalistów, liczących mniej niż lat dwadzieścia, pomnożyła się w czwórnasób, rosnąc z 5000 do przeszło 20.000. „Można ich oglądać, pisze p. Guillot, jak rozpie-„rając się cynicznie na ławach sądów kryminalnych, chełpią się ze „swych zbrodni i nie tyle troszczą się o uniewinnienie, ile raczej „o to, aby ich miano za skończonych zbrodniarzy. I oni piszą „swoje pamiętniki, starają się o wywarcie efektu; dreszcz oburze-„nia przebiegający między słuchaczami starczy im za najgłośniejsze „oklaski. Wiedzą dobrze, że pozując na cyników i ludzi bez serca „i czoła, olbrzymieją w oczach swoich towarzyszów, i stawiają „w tem wolnomularstwie niewielu liczącem renegatów, swoją kandy-„daturę na bardzo pożądany urząd herszta bandy i sułtana trotuarów".

Ale jakaż główna przyczyna tej demoralizacyi tak smutnej, a w skutkach tak strasznej? Na to pytanie odpowiada p. Guillot: „Nikt, co szczerze prawdy szuka, mniejsza o to, jakich osobiście „trzymałby się opinij, zaprzeczyć nie może, że to przerażające „zwiększenie się pomiędzy młodzieżą liczby popełnianych zbrodni „datuje od chwili, od której zaprowadzono zasadnicze zmiany w or-„ganizacyi wychowania publicznego. Kto sądził, że pchając społe-„czeństwo na te nowe tory, przyczynił się do jego postępu, temu, „gdy spojrzy na młode pokolenie odznaczające się brutalną prze-„wrotnością, sumienie nie daje dziś pewnie pokoju.

„Wypędzono dawnych opiekunów wieku dziecięcego i ciężko „dziś za to pokutujemy. Zabrakło równowagi między żądzami po-„wodującemi się samym tylko instynktem, a odporną siłą, która „wynika z wychowania: tj. stałych zasad, podanych przez rozumnych „nauczycieli, i pod ich okiem praktycznie wykonywanych. Wyjąwszy „może nie wiele wyjątkowych natur, moralność w życiu praktycz-„nem złączona jest z wiarą najściślejszymi węzłami; w chwili, w któ-„rej moralność staje się oderwanem, czysto ludzkiem pojęciem, „każdemu wolno o niej rozprawiać, rozszerzać ją lub ścieśniać, we-„dle własnych upodobań, namiętności, żądz i interesów".

Stanowisko autora, i potężny argument cyfr, który wytacza, uwalniają mię jak sądzę od dalszych wywodów.

Nie chcąc zakończyć tym smutnym obrazem, wspomnę jeszcze o dwóch lepszych objawach, które mię tym razem we Francyi ude-

rzyły. Najprzód poczyna się budzić we Francyi reakcya przeciwko rosnącej potędze Semitów. Francya nie zdawała sobie sprawy, jak Żydzi do niej z cicha napływali. W wyższych sferach finansowych już oddawna panowali; w ostatnich paru latach założyli wiele gazet (— widać że Alians Izraelski postanowił prasę całego świata w swoje ręce ująć —); a choć te gazety (*la Lanterne* i t. p.) są liche, mało cenione, wyśmiewane przez resztę prasy, jednak najwięcej są kolportowane, wciskane do rąk za susa (2 centy) po wszystkich rogach ulic, w traktyerniach, w omnibusach — tak dalece, że są bądź co bądź wiele czytane. Teraz w dodatku napływa do Francyi wiele drobnego żydowstwa — spotykam nawet po ulicach polskich żydków, których zapewnie głód wygnał z wyjedzonej Galicyi lub Królestwa, a instynkt złota zapędził do Francyi. Z początku tam nędzną egzystencyę wiodą, ale dorabiają się, mają „plecy“ w Aliansie Izraelskim.

Otóż książka Drumonda otworzyła oczy Francyi. Napisana lekko, anegdotycznie, a przytem nabita faktami, utrafiła ona najzupełniej do opinii francuskiej, wywołała hałas i wywarła wpływ, o którym w Polsce wyobrażenia nie mamy. Skrajni radykali, tj. komuniści głośno już mówią, że tego dnia co opanują władzę, zaczną od wyduszenia semickich Nababów: *Nous leur ferons rendre gorge!* Istotnie, mimo tych skrajnych gróźb, niema niebezpieczeństwa, żeby powstał we Francyi antysemityzm nielegalny, gwałtowny, jak się w innych krajach niekiedy pojawia. Jestto zanadto przeciwne charakterowi i usposobieniu narodu. Ale zanosi się na ten słuszny i legalny rodzaj samoobrony, że jak Żydzi stają solidarnie do walki ekonomiczno-społecznej przeciwko chrześcijanom, tak też ci postrzegają potrzebę jednolitego odporu, i w opinii ta jednolitość poczyna się wyrabiać.

Drugi dodatni objaw jest, że Francya jako naród poczyna podnosić głowę w obec wiecznie grożącej wojny z Niemcami. Przeszłego roku jeszcze świadkiem byłem powszechnego przygnębienia, jakie perspektywa tej wojny sprawiała; nikt nie śmiał tej zmorze w oczy zajrzeć. Obecnie uważam, że to przygnębienie ustępuje: naród poczuwa się do swojej siły; prowokować Niemiec wcale nie chce (pozory prowokacyi były tylko czynem garstki krzykaczy, może płatnych z zagranicy); ale gotuje się naród spokojniej do

fatalnej rozprawy i okazuje się skorym do największych ofiar dla zabezpieczenia swych granic. Jenerał Boulanger, który jako mąż stanu jest zerem (inaczej byłby już dyktatorem), a jako wojskowy jest dopiero znakiem zapytania, jednak pod tym względem miał wpływ dodatni, że pierwszy przemówił głośniej — i to jakoś animusz Francuzów obudziło.

Żałować trzeba, że Francuzi nie mają dosyć patryotyzmu, aby się wśród pokoju pogodzić i prywatę dobru publicznemu poświęcić; ale patryotyzm przeciw wrogowi postronnemu, gotowość do wszelkich ofiar i ostatnich wysileń dla obrony Francyi — ten patryotyzm istnieje i wzmaga się we wszystkich warstwach i stronnictwach, naciąga się z dniem każdym jak łuk olbrzymi...

Ostatecznie Francya zaszła chmurą, nie zapadła się. Kiedy grzmoty przeczyszczą atmosferę, ujrzymy ją znowu na dawnem miejscu — nie idealną, jaką wymarzyli nasi dziadowie, gdy krew za Napoleona przelewali, ale jednak walczącą zawsze za ideę, nie dającą światu trupieszyć w materyalizmie zysku i siły.

Ks. M. Mor.

Korespondencya Redakcyi.

Od autora dziełka *Kwestye społeczno-polityczne, według prawa naturalnego etc.*, którego recenzyę umieściliśmy w *Przeglądzie* czerwcowym, otrzymujemy następującą odpowiedź:

Szanowny recenzent rozpoczyna swą krytykę od następujących wyrazów: „Z tytułu może się czytelnik spodziewa wielkiego dzieła. W istocie jestto broszura o 85 stronnicach, zawierająca w streszczeniu dział etyki filozoficznej katolickiej o prawie publicznem, — sposób traktowania szkolny, rozdziały, paragrafy, numery i litery".

Ależ tytuł dziełka mego niekoniecznie każe spodziewać się wielkiej onego objętości; bo mniejsza lub większa objętość onego zależy od ilości i jakości, traktowanych kwestyj i od treściwego i zwięzłego lub rozwięzłego ich wykładu.

Moim głównym celem było tylko o kilku kwestyach obszerniej traktować, i to w taki sposób, aby ani za wielką objętością dzieła ani rozwlekłością wykładu, nie zrażać i nie nużyć czytelnika — czym celu swego dopiął niech osądzą szanowni czytelnicy onego. Że zaś użyłem w dziełku mojem podziału na rozdziały, paragrafy i t. d., to dla tego to uczyniłem, że wzięcie onych w traktowaniu tego rodzaju kwestyj uważam za właściwe, odpowiednie i nader pożyteczne do jasnego przedstawienia przedmiotu, i że znakomici publicyści katoliccy, jako to: Taparelli, Ventura, Audisio, Desorges i t. d. użyli podobnych podziałów (niby to szkolnych) w dziełach swych o tego rodzaju kwestyach traktujących — a przytem niech mi wolno będzie zrobić jeszcze i tę uwagę, że niejedna jest taka stronnica w mem dziełku, na której nie znajduje się ani jeden rozdział, paragraf lub litera i t. d.

Szczególniej zaś nie mogę pozostawić bez odpowiedzi następującej krytyki mego dziełka: „Jako *compendium* etyczno-społecznych pojęć i tez dokładnie określonych, ta broszura ma swoją wartość. Żałujemy jednak, że autor traktujący tak ważny przedmiot, pierwsze i najważniejsze kwestye, które wobec dzisiejszego usposobienia umysłów, gruntownego wymagają uzasadnienia, przebiegł tak pobieżnie i bez dowodów, że jego assercye wyglądają na prawdy *á la monsieur de la palisse;* o dalszych zaś zagadnieniach mniej zasadniczych i wcale nie na czasie (jak o prawie do buntu o słuszności powołań i t. p.) rozpisał się stosunkowo zbyt obszernie i zdań trzymał się skrajnych". Prawda, że niektóre kwestye i tezy krótko przedstawiłem w mem dziełku, ale uczyniłem to dla tego, że o nich traktują obszernie inni autorowie w dziełach swoich i że obszerne o nich traktowanie nie wchodziło w zakres głównego celu, tego dziełka mojego — krótkie onych przedstawienie, zdało mi się być wystarczającem do harmonijnej całości dziełka, o innych zaś kwestyach, jako to: o pochodzeniu i potrzebnej władzy publicznej w narodzie, — o jej prawowitości i nieprawowitości — o prawach i obowiązkach prawowitej i nieprawowitej

władzy publicznej najwyższej — o prawach i obowiązkach narodu, względem prawowitej i nieprawowitej władzy najwyższej rządzącej — o godziwości lub niegodziwości powstania narodowego — o godziwym i niegodziwym udziale Duchowieństwa w sprawach publicznych cywilnych i politycznych narodowych — o tych mówię kwestyach traktuję obszerniej w mem dziełku i tezy postawione udowadniam racyami wewnętrznemi i powagami znakomitych teologów, prawników i publicystów katolickich; bo właśnie obszerniej o nich traktować głównym mego dziełka było celem, już to dla tego, że chyba z wyjątkiem kwestyi o pochodzeniu i potrzebie publicznej władzy najwyższej w narodzie, o innych dopiero wymienionych kwestyach, dzisiejsi autorowie dzieł nie traktują *ex professo* w Polsce — już dlatego, że zauważyłem wielką potrzebę i na czasie, ogłosić drukiem tego rodzaju dziełko — bo i kiedyż, jeżeli nie w obecnym wieku, kiedy tak szybko szerzy się negacya prawdziwego źródła władzy publicznej najwyższej w narodzie — kiedy tyle spaczonych przybywa pojęć o prawach i obowiązkach rządzących i rządzonych — o rewolucyi i powstaniu — o udziale duchowieństwa w sprawach publicznych cywilnych i politycznych i t. d., kiedyż proszę jeżeli nie w obecnych chwilach wielka potrzeba jest i na czasie jest publicznie obszernie i zasadniczo traktować, o tego rodzaju, wprawdzie drażliwych, ale naglących kwestyach, by prawdę od fałszu odróżnić — spaczone pojęcia prostować — zdrowe zdania wyrabiać — i od przerzucania się w ostateczności chronić? Pozwoli sobie jeszcze zrobić uwagę szanowny recenzent, że w nawias ujęte w jego krytyce słowa (o prawie do buntu, a słuszności powstań) wcale nieznajdują się w mem dziełku — zapewne pomyłka drukarska zaszła.

A co się tyczy nazwy skrajnych danej mym zdaniom, to ona niezdoła osłabić mocy i zasadniczości tez w dziełku mem wypowiedzianych; bo one oparte są na tak silnych dowodach wewnętrznych i niezaprzeczonych powagach teologów i publicystów katolickich, jako to: św. Tomasza z Akwinu, Suareza, Bellarmina, Kornelego a Lapide, św. Bonawentury, Ventury, Andisio, Desorges i t. d., iż jeżeli które z onych nie do zupełnie pewnych, powszechnych *(opiniones certae communes)* to przynajmniej do prawdopodobniejszych i powszechniejszych *(communiores et probabiliores)* zaliczoną być musi.

Ks. Licencyat S. Paszkowski.

Mimo tych wyjaśnień Autora, recenzent obstaje przy swoich twierdzeniach. A co się tyczy kwestyi „o prawie do buntu i słuszności powstań", o których szan. Autor sądzi, że nie znajdują się w jego dziele, recenzent czyta je, wyraźnie i obszernie omówione, od str. 23 „A czy naród ..." aż do str. 47 incl.

Ks. M. M.

Druk ukończony dnia 15 sierpnia 1887.

SPIS RZECZY.

Artykuły o rzeczach współczesnych.

Stronnica

Stowarzyszenia katolickie w Niemczech. II. Istota. Urządzenia. — Działalność. Przez *Dra Baumgartena* (Dok.) 377

Wystawa sztuki kościelnej w Wiedniu. Przez *Stanisława Tomkowicza* 91

Św. Alfons Maria Ligouri Doktor Kościoła. W stuletnią rocznicę jego śmierci. Przez *Ks. Z. Bartkiewicza T. J.* 181

Artykuły naukowe i literackie.

Tajne Towarzystwa włoskie w pierwszej połowie XIX. wieku. Przez *Ks. Dra Józefa Pelczara* . . 1, 196

Janssen i historya reformacyi. Przez *Ks. A. Kraetziga T. J.* 16, 260

Radziwiłłowska Ołyka. Przez *Tadeusza Jerzego Steckiego* (Dok.) 33

Młode lata Księdza Stanisława Chołoniewskiego. Przez *Ks. Jana Badeniego T. J.* (Dok.) . . . 49

Źródła historyczne Wschodu odnośnie do pisma św. Przez *Ks. Wł. Zaborskiego T. J.* 73, 242, 356

Artysta chrześcijański Fryderyk Overbeck . . 209, 392

Dzwony jako przedmiot sztuki kościelnej. Przez *Ks. Jana Balwierczaka* 226

Pieśń Boga-Rodzica. (Rozbiór krytyczny). Przez *Antoniego Kalinę* 329

Stronnica.

Z Pamiętników Józefa hr. Krasińskiego. Uroczystości dworskie w czasie koronacyi cesarza Mikołaja 410

Wywody historyczne o początku katedry na Wawelu. Przez *Ks. Ignacego Polkowskiego* . . . 428

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa krajowego:

Krzysztof Warszewicki 1543 do 1603 i jego dzieła. Przez *Teodora Wierzbickiego (Ferdynand Bostel)* 110

Poczet rodów w W. Ks. Litewskiem w XV. i XVI. wieku, ułożył i wydał *Adam Boniecki (Tadeusz Jerzy Stecki)* . 126

Matka bolesna wzór dla cierpiących wolne tłum. dzieła O. Fabra. Przez *O. Prokopa* 127

Dom kapitulny zwany dawniej św. Stanisława biskupa. Monografia historyczna przez *Ludw. Zarewicza* 128

Monumenta Musices Sacrae in Polonia. Poszyt II. Przez *ks. Dra Józefa Surzyńskiego* 276

Obrazy z życia kilku pokoleń w Polsce. Przez *Jul. Falkowskiego* Tom V. *(Tadeusz Jerzy Stecki)*. 279

Wiersze ulotne. Przez *M.* z Pleszowic 281

Silva rerum ze starych wspomnień. Przez *Aleksandra Wybranowskiego* 282

Stanisławów i powiat Stanisławowski. Przez *Alojzego Szarłowskiego* 283

Stefan Batory. Z powodu 300-letniej rocznicy śmierci króla Stefana. Napisał *Zakrzewski Wincenty* 442

Pamiątka 50-letniego jubileuszu kapłaństwa J. Ś. Leona XIII. papieża. Wydał *Ks. Edward Borawski*. 449

Biblioteka rodzinna: 1) Chwile natchnienia młodej osoby. Przez *Karola Sainte-Foi.* 2) Gospoda pod Aniołem Stróżem. Przez p. *de Segur.* 3) Życie wewnętrzne Jezusa i Maryi. Rozmyślania na wszystkie niedziele i główne święta roku. Przez *O. Grou* 450

Z piśmiennictwa zagranicznego:

Histoire d'une grande dame du XVIII. siècle, par *L. Perey* 129

Vie du cardinal de Bonnechose, Archevèque de Rouen, par *Mgr. Besson* 141

Letters and Papers, Foriegn aud Domestic of the Reign of Henry VIII. arranged and catalogued by *James Gaudner.* 142

Cursus Scripturae Sacrae. Commentarius in I. et II. libros Regum. F. de Hummelauer S. J. *(ks. Arndt T. J.)* . . 144

Le Mariage d'un roi par *Paul de Raynal.* 284

Sequenzen des römischen Messbuches dogmatisch und ascetisch erklärt. Von *N. Gihr (Ks. A. Arndt T. J.).* . . . 288

Bernard Veuillot, par le Père *Gabriel Billot.* S. J. 290

Mary Stuart a Narrative of the first Eighteen Years of her Life by the Rev. *Jos. Stevenson S. J.* 292

Ostatnie wydawnictwa niemieckie z dziedziny historyi kościelnej. *(Ks. A. Arndt T. J.)* 451

Stronnica.

CORRESPONDANCE DU PÈRE AUBRY, des Missions étrangères . . 456
DIE GABE DES H. PFINGSFESTES. Betrachtungen über den h. Geist. Von *P. Meschler S. J.* 459
DR. JOSEF BINDERS. Handbuch des katholischen Eherechtes, umgearbeitet von *Dr. Joseph Scheicher* 461

Z pism peryodycznych:

LA CIVILTA CATTOLICA 1886—1887. (*Ks. Jan Badeni T. J.*) . 145
PRZEGLĄD KOŚCIELNY. Pismo miesięczne wydawane przez *ks. Wład. Jaskulskiego* (*Ks. A. Kraetzig T. J.*) 293

Rozmaitości:

50 lat poczciwej pracy i walki 296
Dwa dziełka z powodu koronacyi cudownego obrazu Matki Boskiej w Kalwaryi Zebrzydowskiej 462

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Lipiec.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Allokucya papieska. — Wrażenie, wywołane allokucyą za granicą i we Włoszech. — Interpellacye w parlamencie włoskim. — Artykuł z *Osservatore Romano*. Przez *Ks. Jana Badeniego T. J.* 151
LISTY Z NAD BAŁTYKU: Wojna niszczy dzieła sztuki w Inflantach. — Sztuka drugiej połowy XVII. wieku pozbywa się dawnych pięknych cech. — Wyjątki. — Grobowiec Pontusa, epitafia Bogusława Rozena, Kaspra Tyzenhauza. — Odżycie sztuki w rękodziełach. — Wojna trzydziestoletnia wielu rzemieślników-artystów zapędza na Inflanty z Zachodu. — Srebra *en repoussé*. „Baroko". — „Rokoko". — Skoszlawienie gustu: małże jako zdobiny. — Styl klasyczny, sentymentalny, napoleoński. — Interregnum. — Styl nowszego odrodzenia. Przez *Gustawa Manteuffla* 159
Z BERLINA: Sprawy kościelno-polityczne i polskie. — Z obozu socyalistów i anarchistów 168
UROCZYSTOŚĆ OTWARCIA NOWEGO GMACHU UNIWERSYTECKIEGO W KRAKOWIE 176

Sierpień.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Mowa ministra Treforta. — Skargi miotane przeciw duchowieństwu i episkopatowi węgierskiemu. — Kwestya przenoszenia biskupów w Węgrzech. — Rozwój katolicyzmu w Anglii. — Przyjęcie posła papieskiego w Londynie. — Głosy gazet angielskich o odnowieniu dyplomatycznych stosunków z Watykanem. — Wybory municypalne w Rzymie. Przez *Ks. Jana Badeniego T. J.* . . 299
SZKOLNICTWO W BUŁGARYI 306

Stronnica.

Listy z nad Baltyku: XIII. Doniosłość nauki o źródłach dziejowych. — Wystawa historyczna kurlandzka. — Zabytki archeologiczne. — Dział rękopisów, numizmatyczny, genealogiczny. Przez *Gustawa Manteuffla* 314

Wrzesień.

Sprawy Kościoła: List papieski do kardynała Rampolli. — List Fazzariego. — Kongres katolików niemieckich w Nissie. — Rozwój katolicyzmu w Grecyi i na półwyspie skandynawskim. Przez *Ks. Jana Badeniego T. J.* 463

Listy z nad Baltyku: XIII. Portrety i miniatury historyczne. — Wachlarze, naszyjniki i inne klejnoty. — Puhary i naczynia stołowe. — Broń palna i sieczna. — Dział ceramiczny. — „Dictionarium Polono-Latino-Lotavicum". — Dział: „Ludwik XVIII." Przez *Gustawa Manteuffla* . 472

List Słoweńca o Słoweńcach. Zewnętrzna postać Słoweńca. — Zabobony, gusła i czary. — Emigracya do Ameryki. — Nowy miesięcznik „Smotra". — Ruch na polu literackiem i naukowem 483

Z Francyi. Przez *Ks. M. Mor. T. J.* 487

Korespondencya Redakcyi 495

Wydawca i redaktor odpowiedzialny X. M. Morawski T. J.